

CLIVE CUSSLER



**ZABÓJCZE
WIBRACJE**

Clive Cussler
Zabójcze Wibracje
(Shock Wave)
Przekład Paweł Wieczorek

*Z wyrazami najwyższego szacunku
dla doktora Nicholasa Nicholasa,
doktora Jeffrey'a Taffeta
oraz Roberta Fleminga*

WYPRAWA „GLADIATORA”

17 stycznia 1856 roku Morze Tasmana

Z czterech kliprów, zbudowanych w 1854 roku w szkockim Aberdeen, jeden szczególnie się wyróżniał. „Gladiator” miał sześćdziesiąt metrów długości, dziesięć metrów szerokości i nośność 1256 ton, a jego trzy maszty wznosiły się ku niebu pod dziarskim kątem. Był jednym z najszybszych kliprów w historii, choć żeglowanie nim na wzburzonych wodach było niebezpieczne z powodu zbyt wysmukłych kształtów. Określano go czasami mianem „Ducha”, ponieważ mógł płynąć przy najłżejszym podmuchu wiatru. Nigdy nie zdarzyło mu się wolne przejście z powodu unieruchomienia przez ciszę.

Niestety „Gladiator” był skazany na zapomnienie.

W trakcie budowy armatorzy kazali go przystosować do obsługi handlu i ruchu emigracyjnego na linii australijskiej i został jednym z niewielu kliprów, mogących tak samo dobrze wozić pasażerów jak ładunek. Wkrótce okazało się jednak, że zbyt mało kolonistów stać na opłacenie przejazdu i pływa z pustymi kabinami pierwszej i drugiej klasy, uznano więc, że znacznie lukratywniejsze będzie zdobycie kontraktów rządowych na transporty więźniów na kontynent, będący w owych czasach największym więzieniem świata.

„Gladiatorem” dowodził jeden z najostrzej pływających kapitanów kliprów - Charles „Kat” Scaggs. Przydomek był jak najbardziej trafny, bo choć Scaggs nie używał wobec uchylających się od pracy lub niesubordynowanych marynarzy bicz, bezlitośnie zmuszał swoich ludzi i statek do rekordowych przebiegów pomiędzy Europą a Australią. Jego brutalne metody przynosiły efekty. W czasie trzeciego rejsu powrotnego do Anglii „Gladiator” przepłynął trasę w sześćdziesiąt trzy dni. Do dziś ten rekord nie został pobity przez statek żaglowy.

Scaggs ścigał się ze współczesnymi mu legendarnymi kliprami i kapitanami jak John Kendricks i jego chyży „Hercules” albo dowodzący zmodernizowanym „Jupiterem” Wilson Asher i nigdy nie przegrał. Rywalizujący kapitanowie, ruszający z Londynu zaraz po „Gladiatorze”, przybywając do portu w Sydney, niezmiennie zastawali go dawno zacumowanego.

Szybkie przebiegi były zbawieniem dla więźniów, którzy musieli znosić koszmarną podróż w zatrważających męczarniach. Wiele statków potrzebowało na pokonanie trasy trzy miesiące.

Zamkniętych pod pokładem skazańców traktowano jak ładunek bydła. Byli wśród nich zatwardziali kryminaliści, byli polityczni dysydenci, było jednak też wielu nieszczęśników, skazanych za kradzież sztuki ubrania czy kawałka chleba. Mężczyzn wysyłano do kolonii karnych za wszelkie przewinienia - od kradzieży kieszonkowej po morderstwo, kobiety - oddzielone grubą przegrodą - głównie za drobne kradzieże. Przez długie miesiące na morzu więźniowie byli skazani na marne drewniane koje, brak podstawowych warunków higienicznych i niewiele warte jedzenie. Jedynym luksusem były racje cukru, octu i soku cytrynowego przeciwdziałające skorbutowi oraz portwajn poprawiający morale w nocy. Skazańców strzegł dziesięcioosobowy oddziałek Regimentu Piechoty Nowej Południowej Walii pod dowództwem porucznika Silasa Shepparda. Pod pokład praktycznie nie dopływało świeże powietrze - dochodziło jedynie przez włazy, w które wbudowano

jednak grube kraty, cały czas zamknięte i solidnie zaryglowane, tak że kiedy wpływano w tropiki, w ciągu dnia nie było czym oddychać. Gdy morze się wzburzało, więźniowie cierpieli jeszcze bardziej. Nie tylko musieli gnić w całkowitej ciemności, na dodatek robiło się zimno i wilgotno, a każdy walący w kadłub grzywacz powodował, że rzucało nimi jak workami kartofli.

Na przewożących więźniów statkach musiał znajdować się lekarz i „Gladiator” nie był w tym zakresie wyjątkiem. Nad ogólnym stanem zdrowia więźniów czuwał nadinspektor doktor Otis Gorman, który kiedy pozwalała na to pogoda, sprowadzał ludzi niewielkimi grupkami na pokład, by zaczerpnęli świeżego powietrza i zażyli ruchu. Kiedy dobijano do nabrzeża w Sydney, zawsze z dumą się szczyił, że nie stracił w drodze ani jednego więźnia. Gorman był litościwym człowiekiem i dbał o ludzi, których miał pod kuratelą - upuszczał krew, przecinał wrzody, leczył rany, pęcherze i biegunkę, pilnował sypania do klozetów chlorku, prania ubrań i czyszczenia pojemników na moc. Rzadko się zdarzało, by nie dziękowano mu przy schodzeniu na ląd.

Kat Scaggs zwykle nie zauważał istnienia zamkniętych pod pokładem jego statku nieszczęśników. Interesowały go jedynie rekordowe przebiegi. Jego brutalność i żelazna dyscyplina były szczerze nagradzane przez szczęśliwych armatorów i zarówno kapitan, jak i jego statek po wsze czasy znaleźli miejsce wśród legend o kliprach australijskich.

Teraz też czuł nosem nowy rekord trasy i był nieustępliwy jak mała kiedy. Pięćdziesiąt dwa dni po wypłynięciu z Londynu z ładunkiem oraz stu dziewięćdziesięcioma dwoma skazańcami, w tym dwudziestoma czterema kobietami, wyciskał z „Gladiatora” co tylko się dało i nawet przy ostrym wietrze rzadko zbierał żagle. Jego wytrwałość została nagrodzona przepłynięciem w ciągu doby niewiarygodnych 439 mil.

Scaggs wykorzystał jednak swój limit szczęścia. Za rufą zawisło na horyzoncie nieszczęście.

Dzień po tym, jak „Gladiator” bezpiecznie przeszedł znajdującą się pomiędzy Tasmanią a południowym wybrzeżem Australii Cieśninę Bassa, niebo wypełniło się złowieszczymi czarnymi chmurami, morze stawało się niespokojne i znikało coraz więcej gwiazd. Scaggs nie wiedział o tym, że wkrótce z południowo-wschodniego krańca Morza Tasmana wypadnie na statek potężny tajfun. Z powodu ich szybkości i zdecydowania Pacyfik nigdy nie obchodził się z klipkami łagodnie.

Tajfun miał się okazać najstraszliwszy i najbardziej niszczycielski, jaki pamiętali mieszkańcy mórz południowych. Z każdą godziną wiatr przyspieszał. Ocean zmienił się w łańcuch wznoszących się wysoko gór, które z hukiem wypadały z ciemności i zwały się na „Gladiatora”. Scaggs zbyt się ociągał z rozkazem refowania żagli i niezwykłej siły podmuch porwał je na strzępy. Maszty pękły jak wykałaczkę, a zalany wodą pokład zasłaty wanty i reje. Potem, jakby chcąc posprzątać, huczące grzywacze splukały tę płataninę za burtę. Od rufy nadeszła dziesięciometrowa fala, uderzyła odrywając od kadłuba ster i przetoczyła się po pokładzie rozbijając mostek. Kiedy spłynęła, z pokładu zniknęły szalupy, koło sterowe, nadbudówki i kambuz. Luki były wepchnięte do środka i woda bez przeszkód wlewała się do statku.

Jedna ogromna fala zmieniła cieszący oko wdzięczną linię kliper w bezradny, okaleczony wrak. Umierający kadłub zamienił się w miotaną falami kłodę, stracił sterowność i został wydany na pastwę wody. Nie mając możliwości walki z burzą, nieszczęsna załoga i więźniowie mogli jedynie beczynnie spoglądać śmierci w twarz i czekać w przerażeniu, aż statek zanurkuje w bezlitosną głębię.

Dwa tygodnie po minięciu terminu dotarcia „Gladiatora” do portu wysłano statki, aby przeczesaly trasy przechodzenia klipków przez Cieśninę Bassa i Morze Tasmana, nie udało im się

jednak znaleźć najmniejszego śladu rozbitków, zwłok ani szczątków wraka. Armatorzy spisali statek na straty, firma ubezpieczeniowa wypłaciła odszkodowanie, rodziny marynarzy i skazańców opłakały odejście bliskich i z czasem pamięć o „Gladiatorze” zaczęła blaknąć.

Niektóre statki mają opinię pływających trumien albo piekielnych łajb, ale znający Scaggsa i „Gladiatora” kapitanowie konkurencyjnych towarzystw niemal bez wyjątku pokręcili głowami i uznali zaginiony piękny kliper za ofiarę nadmiernej delikatności konstrukcji i agresywnego pływania Scaggsa. Dwóch ludzi, którzy niegdyś pływali na „Gladiatorze”, zasugerowało wręcz, że mógł zostać zaatakowany równocześnie przez gwałtowny podmuch wichru i wysoką falę od rufy, a suma potęg wepchnęła dziób pod wodę i posłała statek na dno.

W Sali Ubezpieczeń giełdy ubezpieczeń morskich Lloyda zaginięcie „Gladiatora” zostało zapisane w księgach pomiędzy zatonięciem amerykańskiego holownika parowego a wejściem na mieliznę norweskiego kutra rybackiego.

Minęły niemal trzy lata, zanim wyjaśniono tajemnicze zniknięcie.

Kiedy potworny tajfun odszedł na zachód, przedziwnym, nieznanym w historii marynistyki trafem „Gladiator” w dalszym ciągu unosił się na wodzie. Ogołocony kadłub przeżył, ale przez spękane poszycie do środka w niepokojącej ilości wlewała się woda. W południe następnego dnia w kadłubie było jej niemal dwa metry, a pompy toczyły skazaną na przegraną bitwę.

Waleczność Kata Scaggsa nie osłabła nawet na chwilę i załoga mogłaby przysiąc, że statek utrzymuje się na wodzie jedynie dzięki jego uporowi. Wydawał rozkazy ze srogą miną i niezwykle spokojnie. Więźniów, którzy nie odnieśli poważniejszych ran z powodu długotrwałego rzucania wewnątrz statku, zatrudnił do obsługi pomp, załoga zajęła się uszczelnianiem kadłuba.

Resztę dnia i noc spędzono na odciążaniu statku wyrzucając za burtę ładunek i wszystko z wyposażenia, co nie było niezbędne, ale efekt był znikomy. Stracono mnóstwo cennego czasu i niewiele osiągnięto. Do rana woda podniosła się o kolejne trzy czwarte metra.

Późnym popołudniem wycieńczony Scaggs został pokonany. Nic nie było w stanie uratować „Gladiatora”, a przy braku szalup pozostała jedna desperacka możliwość uratowania znajdujących się na pokładzie dusz. Kapitan wydał porucznikowi Sheppardowi rozkaz uwolnienia więźniów i ustawienia ich na pokładzie pod czujnym okiem uzbrojonych żołnierzy. Ci, którzy pracowali przy pompach, oraz gorączkowo uszczelniający uszkodzenia członkowie załogi pozostali oczywiście przy pracy.

Scaggs nie potrzebował do panowania nad statkiem bicia ani pistoletu. Był ogromny i miał budowę kamieniarza. Mierzył prawie metr dziewięćdziesiąt, szaro-oliwkowe, wbijające się w człowieka oczy były głęboko osadzone w ogorzalej od słońca i słonego wiatru twarzy, którą otaczała szopa kruczoczarnych włosów i wspaniała czarna broda, na specjalne okazje splatana w warkocz. Mówił głębokim, donośnym basem, dobitnie podkreślającym jego dowódczą pozycję. Był w kwiecie wieku - miał trzydzieści dziewięć lat.

Spojrzał na skazańców i zaskoczyła go ogromna ilość ran, sińców, zwichnięć oraz obwiązanych zakrwawionymi bandażami głów. Nigdy nie widział bardziej odrażającej bandy obdartusów. Na twarzach widać było strach i zdziwienie. Większość - chyba z powodu złej diety w dzieciństwie - była niskiego wzrostu, wszyscy mieli wymizerowane i ponure fizjonomie oraz bladą cerę. Scaggs miał przed sobą cyniczne, nieczułe na słowo Boga szumowiny angielskiego społeczeństwa, bez szans na powrót do ojczyzny, bez nadziei na owocne życie.

Gdy te ludzkie wraki ujrzały zniszczony pokład, kikuty masztów, poszarpane relingi i puste

miejsca po szalupach, zapanowała ogólna rozpacz. Kobiety zaczęły z przerażeniem krzyczeć - z wyjątkiem jednej, nieco oddalonej od stłoczonej ciżby.

Scaggs przyjrzał się dziwnej więźniarce, wysokiej niemal jak mężczyzna. Wystające spod spódnicy łydki były długie i gładkie, wąską talię zwieńczał kształtny biust, nieco wypływający górą z dekoltu bluzki. Jej ubranie wyglądało porządnie i czysto, sięgające talii blond włosy - w odróżnieniu od brudnych i zwisających strąkami włosów pozostałych kobiet - lśniły jak starannie wyszczotkowane. Stała prosto, strach ukrywała pod maską buntu i wpatrywała się w Scaggsa oczami błękitnymi jak alpejskie jezioro.

Kapitan zauważył ją pierwszy raz od wyjścia w morze i na próżno się mitygował, dlaczego nie był bardziej spostrzegawczy. Skarcił się jednak w myślach za bujanie w obłokach, skoncentrował na bezpośrednim niebezpieczeństwie i rozpoczął przemowę.

- Sytuacja nie jest obiecująca. Muszę z całą uczciwością przyznać, że statek jest skazany na zagładę, a nie mamy szalup.

Przyjęto jego słowa z mieszanymi uczuciami. Piechurzy porucznika Shepparda stali cicho i bez ruchu, wielu skazańców zaczęło jęczeć i wyć. Ze strachu, że statek rozleci się zaraz na kawałki, wielu padło na kolana i zaczęło błagać niebiosy o wybawienie.

Nie zwracając uwagi na lamentsy, Scaggs mówił dalej:

- Chcę z pomocą łaskawego Boga spróbować uratować każdą duszę z tego statku. Zamierzam zbudować tratwę wystarczającej wielkości, aby uniosła wszystkich znajdujących się na tym żaglowcu, aż zostaniemy uratowani przez przepływający statek albo morze zanieś nas na australijski kontynent.

Załadujemy wody i prowiantu, żeby wystarczyło na dwadzieścia dni.

- Jeżeli pozwoli pan, kapitanie, zapytam, po ilu dniach spodziewa się pan ratunku?

Pytanie zadał olbrzymi mężczyzna o pogardliwym wyrazie twarzy, górujący nad pozostałymi o półtorej głowy. W odróżnieniu od swoich towarzyszy był modnie ubrany, a jego fryzura wymyślnie ułożona. Scaggs, nim odpowiedział, zwrócił się do porucznika Shepparda:

- Kim jest ten goguś?

Sheppard przysunął się blisko kapitana.

- To Jess Dorsett.

Scaggs uniósł brew.

- Rozbójnik Jess Dorsett?

- We własnej osobie. Zanim ludzie królowej go złapali, zbił fortunę.

Jedyny z tej pstrej bandy umie czytać i pisać.

Scaggs natychmiast zrozumiał, że jeżeli sytuacja na tratwie zrobiłaby się groźna, rozbójnik może okazać się przydatny, a musiał się poważnie liczyć z niebezpieczeństwem buntu.

- Oferuję wam jedynie szansę na przeżycie, panie Dorsett. Poza tym nie mogę obiecać niczego.

- Czego oczekuje pan w tej sytuacji ode mnie i moich zdegenerowanych przyjaciół?

- Pomocy przy budowie tratwy ze strony każdego zdolnego do pracy mężczyzny.

Kto odmówi pomocy albo będzie się migał przy pracy, zostanie na statku.

- Słyszycie, chłopcy?! - krzyknął Dorsett do skazańców. - Macie pracować albo umrzeć! -

Odwrócił się do Scaggsa. - Ale żaden z nas nie jest marynarzem. Będzie pan musiał powiedzieć, co mamy robić.

Scaggs wskazał na pierwszego oficera.

- Rozkazałem panu Ramseyowi narysować plany i zbudować szkielet tratwy. Część załogi nie zajęta walką o utrzymanie nas na wodzie pokieruje budową.

Jeff Dorsett, mający ponad metr dziewięćdziesiąt, wśród innych więźniów sprawiał wrażenie giganta. Okryte drogim płaszczem z aksamitu ramiona miał szerokie i potężne, nos długi, kości policzkowe wysokie, szczękę wydatną. Długie miedzianorude włosy opadały mu swobodnie na kołnierz. Mimo dwóch miesięcy zamknięcia w ładowni statku wyglądał, jakby właśnie wyszedł od eleganckiego londyńskiego krawca.

Zanim odwrócili się od siebie, Dorsett i Scaggs wymienili krótkie spojrzenia. Pierwszemu oficerowi Ramseyowi nie umknęła uwagi ich intensywność. „Tygrys i lew” - pomyślał melancholijnie. Ciekawe, który będzie górą, kiedy dotrą do kresu tego, co wyznaczył im los.

Na szczęście ocean się uspokoił i można było budować tratwę na wodzie. Konstrukcję zaczęto robić z tego, co wyrzucono za burtę. Rama tratwy powstała z resztek masztów, które powiązano grubą liną. Opróżniono przeznaczone dla tawern i sklepów Sydney beczki z winem i mąką i poprzywiązywano je do ramy, by zwiększyć pławność. Na górze poprzybijano belki, które utworzyły pokład, i otoczono go wysokim do pasa relingiem. Dwie zapasowe bomstengi postawiono po obu końcach tratwy i owantowano je, osztagowano i otaklowano. Gotowa tratwa miała jakieś dwadzieścia pięć metrów na dwanaście i choć wyglądała na dużą, to po załadowaniu zapasów nie było łatwo upchać na niej stu dziewięćdziesięciu dwóch więźniów, jedenastu żołnierzy i dwudziestu siedmiu członków załogi oraz kapitana, co razem stanowiło dwieście trzydzieści jeden osób. Po stronie, którą wyznaczono na rufę, do prowizorycznego rumpla zamocowano szczytkowy ster.

Na pokład spuszczone beczki z wodą, sokiem cytrynowym, solonym boczkiem, wołowiną i serem, gary ugotowanego w kambuzie ryżu i grochu, i przywiązano wszystko między masztami tak, by znajdowało się pod osłoną wielkiej płachty płótna, którą rozpięto jako ochronę przed palącymi promieniami słońca.

Odbijano od wraka przy błogosławieństwie czystego nieba i oceanu gładkiego jak ogrodowy staw. Pierwsi przesiedli się uzbrojeni w muszkiety i pałasze żołnierze. Potem nadszedł czas na skazańców, szczęśliwych, że uniknęli pójścia na dno razem z przechylnym już niebezpiecznie na dziób statkiem. Tak wielu ludzi nie mogło zejść po trapie, większość dostawała się więc na tratwę zsuwając się po burcie statku na linach. Niejeden zbyt wcześnie skakał albo puszczał linę, wpadał do wody i musiał być wciągany na pokład przez ludzi Ramseya. Najciężej rannych opuszczano na dół obwiązanych liną. Ku zaskoczeniu wszystkich, ewakuacja się udała. Po dwóch godzinach dwieście trzy osoby znajdowały się na tratwie w wyznaczonych przez Scaggsa miejscach.

Teraz nadeszła kolej na załogę. Ostatnią osobą, która opuściła ostro już nachylony pokład, był kapitan. Zanim zeskoczył na tratwę, spuścił na linie w ręce pierwszego oficera pudło z dwoma pistoletami, księgą logową, chronometrem, kompasem i sekstantem. Tuż przed opuszczeniem wraka Scaggs obliczył pozycję i po znalezieniu się na tratwie nikomu - nawet Ramseyowi - nie powiedział, że burza zniosła „Gladiatora” daleko od uczęszczanych tras. Dryfowali w martwym rejonie Morza Tasmana trzysta mil od wybrzeży Australii, ale - co gorsza - prąd znosił ich coraz bardziej w nicość nie odwiedzaną przez żadne jednostki. Po sprawdzeniu na mapach kapitan doszedł do wniosku, że ich jedyną nadzieją jest napotkanie przeciwnych prądów i wiatrów i pożeglowanie na wschód, ku Nowej Zelandii.

Wkrótce po zainstalowaniu się na tratwie pasażerowie stwierdzili z przerażeniem, że na pokładzie może się położyć maksimum czterdziestu z nich. Marynarze widzieli poważniejsze

zagrożenie - pokład wystawał nad wodę nie więcej niż dziesięć centymetrów i było jasne, że jeżeli morze się wzburzy, cała tratwa zostanie zatopiona wraz z nieszczęsnym ładunkiem.

Scaggs powiesił kompas na maszcie przy rumplu.

- Stawiajmy żagle, panie Ramsey. Ster sto piętnaście stopni wschód-południowschód.

- Aye, kapitanie. Nie płyniemy do Australii, prawda?

- Naszą nadzieją jest północno-zachodnie wybrzeże Nowej Zelandii.

- Ile nas od niej dzieli?

- Sześćset mil - odpowiedział Scaggs, jakby mówił o znajdującej się tuż za horyzontem piaszczystej plaży.

Ramsey zmarszczył czoło i zlustrował przepelnioną tratwę. Dłużej zatrzymał wzrok na grupie zagłębionych w szeptaną dysputę skazańców. Kiedy się odezwał, głos miał przepelniony przygnębieniem.

- Nie wierzę, by w otoczeniu takiej masy śmieci jakikolwiek bogobojny człowiek dotarł do celu podróży.

Ocean pozostał spokojny przez następne pięć dni. Wszyscy przyzwyczaili się do dyscypliny racjonowania żywności. Okrutne słońce prażyło bezlitośnie, zmieniając tratwę w gorejące piekło, i każdy desperacko pragnął skoczyć do wody, by się ochłodzić, ale rekiny krążyły w pobliżu oczekując łatwego kąska. Marynarze lali wiadra wody na rozpięty płócienny dach, co jedynie zwiększało pod nim duchotę.

Nastrój zaczął się zmieniać z melancholii w buntowniczość. Ci, którzy wytrzymali dwa miesiące zamknięcia w ciemnych ładowniach „Gladiatora”, niepokoiłi się teraz niepewną konstrukcją tratwy i pustką wokół. Zaczęli rzucać w kierunku marynarzy i żołnierzy dzikie spojrzenia i pomruki, co nie uszło uwagi kapitana Scaggsa. Rozkazał porucznikowi Sheppardowi, aby nakazał swoim ludziom trzymać muszkiety nabite, z podsypnym na panewkę prochem.

Jess Dorsett często obserwował wysoką kobietę o platynowych włosach, która cały czas siedziała sama przy przednim maszcie. Otoczyła się aurą upartej pasywności, jakby była przyzwyczajona do niewygód bez nadziei na poprawę. Zdawało się, że nie zauważa pozostałych więźniarek, rzadko do kogokolwiek się odzywała i sprawiała wrażenie, jakby wolała pozostawać na uboczu i milczeć. Dorsett uznał, że na pewno nie jest tuzinkowa.

Ruszył ku niej przeciskając się wężowym ruchem pomiędzy upakowanymi ciasno na pokładzie ciałami, aż zatrzymał go żołnierz, który kazał mu się cofnąć podkreślając rozkaz wysunięciem lufy muszkietu do przodu. Dorsett był cierpliwym człowiekiem i zaczekał, aż zmienią się warty. Nowy strażnik od razu zaczął pożądlawie spoglądać na kobiety, co natychmiast odwzajemniły urąganiem. Dorsett wykorzystał jego nieuwagę i szybko podszedł do domyślnej linii mającej dzielić kobiety od mężczyzn. Blondynka nie dała po sobie poznać, czy go zauważyła, jej błękitne oczy były wbite w coś na horyzoncie, co tylko ona umiała dojrzeć.

- Wypatrujesz pani Anglii? - spytał z uśmiechem.

Odwróciła się i wbiła w niego wzrok, jakby zastanawiała się, czy zaszczycić go odpowiedzią.

- Małej wioski w Kornwalii.

- Tam panią aresztowano?

- Nie, w Falmouth.

- Za próbę zamachu na królową Wiktorię?

Jej oczy błysnęły i roześmiała się.

- Nie, za kradzież koca.
- Musiało być pani zimno.

Spoważniała.

- Miał być dla mojego ojca. Umierał na płuca.
- To bardzo smutne.
- Pan jest rozbójnikiem.
- Byłem, dopóki mój koń nie złamał nogi i nie zostałem pojmany przez ludzi królowej.
- Nazywa się pan Jess Dorsett.

Był zadowolony, że pamięta jego nazwisko, i zadawał sobie pytanie, czy zasięgała o nim języka.

- A pani nazywa się...?
- Betsy Fletcher - odparła bez wahania.
- Betsy - powiedział czerwieniejąc - niech pani pozwoli mi zostać swoim opiekunem.
- Nie potrzebuję pstrokatego rozbójnika - odparła rezolutnie. - Umiem dbać o siebie.

Zatoczył ręką półkole wskazując na ściśniętą na tratwie horde.

- Nim ujrzymy ziemię, może pani potrzebować pary silnych rąk.
- Dlaczegoż miałabym oddawać swój los w ręce człowieka, który nigdy nie splamił się uczciwą pracą?

Popatrzył jej znacząco w oczy.

- Może w swoim czasie obrabowałem kilka powozów, ale poza dobrym kapitanem Scagsem i mną nie ma tu mężczyzny, któremu kobieta może zaufać.

Betsy Fletcher spojrzała w niebo i wyciągnęła rękę w kierunku groźnie wyglądających chmur, pchanych ku nim przez świeżą bryzę.

- Panie Dorsett, jak zamierza pan ochronić mnie przed nimi?
- Zaraz w nie wpadniemy, kapitanie - powiedział Ramsey. - Lepiej spuśćmy żagle.

Scaggs ponuro skinął głową.

- Weźcie zapasową linę, potnijcie ją na kawałki i rozdajcie. Niech pan powie tym biedakom, żeby się poprzywiązywali do tratwy.

Wkrótce ocean zaczął szarpać tratwę. Pokład chwiał się i kołysał na boki, a fale zaczęły się przelewać przez zbitą ludzką masę. Wszyscy pozaczepiali kawałki liny o co się dało i zacisnęli na nich dłonie, co sprytniejsi poprzywiązywali się do belek pokładu. Choć sztorm nie był nawet w połowie tak gwałtowny jak tajfun, który zniszczył „Gladiatora”, wkrótce nie dało się powiedzieć, gdzie zaczyna się tratwa, a kończy ocean. Grzywacze robiły się coraz wyższe, na ich grzbietach kipiała piana. Niektórzy próbowali stanąć, żeby wystawić głowy nad kipiącą topiel, ale tratwę tak gwałtownie rzucało i bujało, że natychmiast padali na pokład.

Dorsett przywiązał Betsy do masztu swoją i jej liną, potem owinął się pozrywanymi wantami i zaczął osłaniać dziewczynę ciałem jak tarczą. Nagle lunął deszcz z taką gwałtownością, jakby diabeł rzucał kamieniami. Wzburzony ocean bił w tratwę ze wszystkich stron.

Przez szalejącą burzę przebijały się jedynie przekleństwa Scaggsa, towarzyszące wykrzykiwanym do załogi rozkazom, by dodatkowymi linami zabezpieczyli zapasy żywności. Marynarze walczyli z żywiołem, starając się wiązać skrzynie i beczki, w pewnym jednak momencie ryknęła wielka jak góra fala i zwała się na tratwę wpychając ją głęboko pod wodę. Przynajmniej minutę nie było na godnej pożałowania tratwie nikogo, kto nie był przekonany, że zaraz zginie.

Scaggs wstrzymał oddech, zamknął oczy i kłął z zamkniętymi ustami. Czuł na sobie ciężar, jakby

woda chciała wycisnąć z niego duszę. Po zdającejsię wiecznością minucie tratwa ciężko przebiła się przez skłębioną pianę i wychyła na powierzchnię, gdzie natychmiast została zaatakowana przez wichur. Kto nie został zmyty do oceanu, odetchnął głęboko i zaczął wykasływać z płuc słoną wodę.

Kapitan rozejrzył się po tratwie i opanowało go przerażenie. Zapasy zniknęły, jakby nigdy nie ładowano ich na pokład. Jeszcze bardziej przerażające było to, że zerwane skrzynie i beczki przebiły sobie drogę przez skańców, miażdżąc napotkanych po drodze ludzi i spychając ich w odmęt z siłą lawiny. Nikt nie mógł zareagować na świdrujące uszy krzyki o pomoc. Dziki ocean sprawiał, że jakakolwiek próba ratunku była niemożliwa, a szczęśliwi ocaleni mogli jedynie pogrążyć się w żałosci z powodu śmierci towarzyszy.

Tratwa i zgnębieni do cna pasażerowie wytrzymali burzę do rana, zalewani regularnie przetaczającymi się po nich grzywaczami. Rano ocean zaczął się uspokajać, a wiatr osłabł do lekkiej południowej bryzy. Nieustająco musieli jednak uważać na pojedyncze zdradliwe fale, które wyskakiwały zza horyzontu, wlewały się na pokład i próbowały ściągnąć już i tak niemal potopionych ludzi w otchłań.

Kiedy Scaggs mógł w końcu stanąć i oszacować straty, z przerażeniem stwierdził, że ani jedna beczka wody czy jedzenia nie została oszczędzona przez gwałtowność oceanu. Po chwili odkrył następną katastrofę. Maszty zostały połamane, z żagli pozostały strzępy. Rozkazał Ramseyowi i Sheppardowi policzyć zaginionych. Okazało się, że stracili dwudziestu siedmiu ludzi.

Sheppard wbił wzrok w wycieńczone postacie i pokręcił ze smutkiem głową.

- Biedni łajdacy. Wyglądają jak potopione szczury.

- Niech pan każe rozpiąć to, co pozostało z żagli, i nałapie jak najwięcej wody, nim szkwał minie - rozkazał kapitan Ramseyowi.

- Nie mamy jej w czym trzymać - odparł ponuro Ramsey. - Z czego zrobimy wtedy żagle?

- Kiedy każdy się napije, naprawimy co się da i popłyniemy dalej na wschód-południowschód.

Na tratwę zaczęło wracać życie. Dorsett wyplątał się z want i ujął Betsy za ramiona.

- Jest pani ranna? - spytał.

Patrzyła na niego przez przyklejone do twarzy pasma włosów.

- Nie wpuszczono by mnie w takim stanie na bal w pałacu królewskim.

Jestem przemoczona, ale zadowolona, że żyję.

- To była okropna noc, lecz obawiam się, że czekają nas jeszcze gorsze.

Wkrótce wróciło słońce, a było nie mniej okrutne od szalejącego oceanu. Bez baldachimu, który został zerwany przez wiatr i fale, pasażerowie nie mieli najmniejszej ochrony. Wkrótce dołączyły się tortury głodu i pragnienia. Każdy okrucz pożywienia, jaki udało się znaleźć w szparach pomiędzy deskami pokładu, został zjedzony. Odrobina wody, którą udało się złapać w podarte resztki żagli, poszła w zapomnienie.

Kiedy ponownie postawiono strzępy żagli, okazało się, że nie mają żadnej wartości. Jeżeli wiatr wiał od rufy, tratwa reagowała jako tako na ster, ale każda próba halsowania kończyła się obróceniem tratwy dziobem do wiatru. Niemożność decydowania o kierunku poruszania się tratwy była kolejnym ciężarem dla Scaggsa. Ponieważ uratował instrumenty nawigacyjne przyciskając je do piersi w czasie najgorszej nawałnicy, ustalił obecną pozycję.

- Bliżej lądu, kapitanie? - spytał Ramsey.

- Obawiam się, że nie - grobowym głosem odparł Scaggs. - Sztorm zepchnął nas jeszcze dalej na północ i zachód. Jesteśmy znacznie dalej od Nowej Zelandii niż dwa dni temu.

- Nie wytrzymamy długo bez wody.

Scaggs wskazał na przecinającą ocean piętnaście metrów od nich parę płetw.

- Jeżeli w ciągu kilku dni nie napotkamy statku, panie Ramsey, obawiam się, że rekiny będą miały okazję ucztę.

Rekiny nie musiały długo czekać. Drugiego dnia po sztormie zrzucano do wody ciała tych, którzy zmarli z ran. Natychmiast zniknęły w kipieli krwawej piany. Szczególnie agresywny wydał się Scaggsowi jeden z drapieżników. Rozpoznał w nim żarłacza białego, znanego lepiej pod nazwą rekina ludojada, uważanego za najbardziej krwiożerczą bestię, jaka żyje w morzu. Oceniał jego długość na siedem i pół metra.

Prawdziwy koszmar miał się jednak dopiero zacząć. Dorsett był pierwszym, który przeczuł, co znajdujące się na tratwie jedne ludzkie wraki szykują na drugie.

- Coś knują - powiedział do Betsy. - Nie podoba mi się sposób, w jaki patrzą na kobiety.

- O czym pan mówisz? - wydyszała przez spieczone wargi. Zakryła twarz poszarpaną chustką, gołe ramiona i wystające spod spódnicy łydki miała spalone słońcem i pełne pęcherzy.

- Ta niegodziwa banda przemytników na rufie, prowadzona przez nie godziwego mordercę Walijczyka Jake'a Hugginsa. Umie z taką samą łatwością poderznąć gardło, jak inni podają godzinę. Idę o zakład, że planują bunt.

Betsy rozejrzała się nieprzytomnie po rozrzuconych na pokładzie ledwie żywych ludziach.

- Dlaczego mieliby chcieć przejąć władzę?

- Zaraz się dowiem - powiedział Dorsett i ruszył między porozciągany na wilgotnych deskach skazańcami, obojętnymi na wszystko i myślącymi jedynie o palącym pragnieniu. Poruszał się nieporadnie, zaniepokojony sztywnością członków, pozbawionych ruchu przez kilkadziesiąt godzin.

Był jednym z niewielu, którzy śmieli zbliżyć się do spiskujących. Przecisnął się siłą przez zwolenników Hugginsa. Udali, że go nie zauważają, w dalszym ciągu poszeptywali między sobą i rzucali gorączkowe spojrzenia w stronę Shepparda i jego piechurów.

- Czemu tu wężysz, Dorsett? - burknął Huggins.

Przemytnik był niski i krępy, jego klatka piersiowa przypominała beczkę, miał długie splecione włosy, niezwyklej wielkości spleciony nochal i ogromne usta, w których brakowało co drugiego zęba, a te, co pozostały, były szerniałe jak prymka tytoniu. Wyglądał odrażająco.

- Pomyślałem, że przyda wam się przy przejmowaniu tratwy silny człowiek.

- Chcesz się dołączyć do podziału łupów, żeby jeszcze trochę pożyć, co?

- Nie widzę żadnego łupu, który mógłby przedłużyć nasz żywot - obojętnie stwierdził Dorsett.

Huggins wybuchnął śmiechem, ukazując gnijące zęby.

- Kobiety, głupcze.

- Zdychamy z pragnienia i upału, a ty chcesz kobiet?

- Jak na sławnego rozbójnika wielki z ciebie głupiec - rzucił z irytacją Huggins. - Nie chcemy kłaść lalek na plecy, chcemy je pociąć na kawałki i zjeść ich delikatne mięso. Scaggsa, jego marynarzyków i żołnierzy zostawimy sobie na czas, kiedy zrobimy się naprawdę głodni.

Pierwszą myślą Dorsetta było, że Huggins robi sobie niesmaczne żarty, ale wzyierający z jego oczu diabeł i upiorny uśmiech jednoznacznie dowodziły, że skazaniec nie bawi się w słówka. Pomysł był tak nikczemny, że Dorsettowi zebrało się na wymioty, był jednak znakomitym aktorem, wzruszył więc jedynie ramionami, jakby niewiele go to obchodziło.

- Po co pośpiech? Jutro o tej porze możemy być uratowani.

- W najbliższym czasie nie pojawi się żaden statek i żaden ład. - Huggins zawiesił głos, obrzydliwą twarz wykrzywiała mu otchłań ludzkiego upadku.

- Jesteś z nami, rozbójniku?

- Łącząc się z tobą nie mogę stracić, Jake - odparł Dorsett uśmiechając się z zaciśniętymi ustami - ale ta wysoka blondynka jest moja. Z resztą rób, co chcesz.

- Widzę, że ci się spodobała, ale ja i moi chłopcy dzielimy się po równo.

Pozwolę ci zacząć, lecz potem się nią dzielimy.

- To uczciwe - oschle stwierdził Dorsett. - Kiedy atakujemy?

- Godzinę po zapadnięciu zmroku. Na mój znak napadamy na żołnierzyków i zabieramy im muszkiety. Jak będziemy mieć broń, Scaggs i jego ludzie nic nam nie zrobią.

- Ponieważ od dawna siedzę przy przednim maszcie, zajmę się żołnierzem, który pilnuje kobiet.

- Chcesz być pierwszy w kolejce do obiadku, co?

- Na same twoje słowa robię się głodny - zakończył Dorsett sardonicznie.

Wrócił do Betsy, ale nie wspomniał o szykowanym przez skazańców pogromie. Wiedział, że Huggins i jego ludzie będą go obserwować, aby się upewnić, że nie podejmie próby ostrzeżenia żołnierzy albo załogi „Gladiatora”. Szansę otrzyma dopiero z zapadnięciem zmroku i będzie musiał zadziałać, nim Huggins da znak do rozpoczęcia rzezi. Położył się tak blisko Betsy, na ile pozwolił mu żołnierz, i udawał, że całe popołudnie drzemie.

Zaraz po tym jak zmrok objął ocean i pojawiły się gwiazdy, Dorsett opuścił Betsy i podczołgał się jak najbliżej Ramseya. Dał mu znak cichym psyknięciem.

- Ramsey, nie porusz się ani nie sprawiaj wrażenia, że kogoś słuchasz.

- O co chodzi? - mruknął pierwszy oficer „Gladiatora” stłumionym głosem.

- Czego chcesz?

- Posłuchaj uważnie. Za godzinę skazańcy pod wodzą Jake’a Hugginsa zaatakują żołnierzy. Jeżeli uda im się ich zabić, skierują broń na kapitana i załogę.

- Dlaczego miałbym wierzyć słowom pospolitego przestępcy?

- Jeżeli nie uwierzysz, zginiecie.

- Poinformuję kapitana - wstrzemięźliwie stwierdził Ramsey.

- Nie omieszkać powiedzieć mu, że ostrzegł was Jess Dorsett.

Dorsett odczołgał się z powrotem do Betsy. Zdjął lewy but, przekreślił podeszwę i wyjął z buta nóż z dziesięciocentymetrową klingą. Oparł się plecami o kikut masztu i zaczął czekać.

Nad horyzontem wschodził cienki sierp księżyca, nadając i tak już godnym pożałowania postaciom na tratwie wygląd widm. Kilka duchów szybko wstało i podeszło do zakazanej dla więźniów strefy na środku tratwy.

- Zabić świnię! - wrzasnął Huggins skacząc ku żołnierzom. Wpółobłąkani z pragnienia więźniowie, chcąc dać upust nienawiści wobec autorytetów, rzucili się ze wszystkich stron na centrum tratwy.

Odpowiedziała im salwa z muszkietów i nieoczekiwany opór natychmiast ich zatrzymał. Ramsey przekazał ostrzeżenie Dorsetta Scaggsowi i Sheppardowi. Piechurzy czekali z naładowanymi muszkietami i postawionymi bagnetami, Scaggs i jego ludzie uzbroili się w pałasze, młotki, siekiery i co tylko można było użyć jako broni.

- Nie dać im czasu na przeładowanie, chłopaki! - zawył Huggins. - Atakujcie!

Masa oszalałych buntowników znów ruszyła do przodu i choć nadziali się na bagnety i pałasze,

nie nie było w stanie ostudzić ich wściekłości. Rzucali się na zimną stal, niejeden chwycił gołe ostrze ręką. Zdesperowani mężczyźni walczyli i mordowali się na czarnym morzu, oświetlanym jedynie upiornym księżycowym światłem.

Żołnierze i marynarze walczyli z furją. Nie było centymetra tratwy, gdzie nie próbowano by się zaciekle zabijać. Ciała zabitych zaścielały pokład, przeszkadzając żywym walczyć. Krew spływała po belkach i utrudniała stanie, kto upadł, nie był w stanie wstać. Mimo głodu i pragnienia walczono i rżnięto na oślep. W niebo wzbiły się wrzaski rannych i jęki umierających.

Rekiny, które poczuły łup, zataczały wokół tratwy coraz ciasniejsze kręgi. Wystająca wysoko nad wodę płetwa Egzekutora, jak marynarze nazywali żarłacza, krążyła cicho nie dalej niż dwa metry od tratwy. Kto wpadł do wody, nie miał szans powrotu na pokład.

Cięty pięć razy pałaszem Huggins zataczając się szedł w kierunku Dorsetta, unosząc wysoko nad głową kawał odłupanej deski.

- Ty zdrajco! - syknął.

Dorsett skulił się i wyciągnął przed siebie nóż.

- Zrób krok, a zginiesz - odparł spokojnie.

- Nakarmią się tobą rekiny, rozbójniku! - Rozwścieczony Huggins opuścił głowę i zaatakował machając deską jak kosą. Dorsett padł na kolana, a nie mogący zatrzymać impetu skoku wściekły Walijczyk potknął się o nie go i poleciał z hukiem na pokład. Zanim wstał, Dorsett skoczył na jego potężne plecy, przekręcił w dłoni nóż i poderżnął mu gardło.

- Nie nakarmisz się dziś damami - szepnął mu do ucha Dorsett, kiedy ciało Hugginsa sztywniało w agonii.

Tej nocy Dorsett zabił jeszcze trzech ludzi. W pewnym momencie bitwy został zaatakowany przez grupkę zwolenników Hugginsa, którzy zamierzali natychmiast dobrać się do kobiet. Pojawiła się Betsy i zaczęła walczyć u jego boku, wrzeszcząc jak furia i wczepiając się we wrogów Dorsetta niczym tygrysica. Jedyne rana, jaką odniósł, pochodziła od zębów człowieka, który wrzeszcząc upiornie, wgryzł mu się w bark.

Krwawa jatka szalała jeszcze dwie godziny. Scaggs i jego marynarze oraz Sheppard z piechurami walczyli mężnie, likwidowali każdy atak i w końcu przeprowadzili kontratak. Raz za razem oszalały motłoch był odpychany przez coraz rzadszy front obrońców, desperacko trzymających się środka tratwy. Sheppard padł uduszony przez dwóch skazańców. Ramsey odniósł liczne kontuzje, a Scaggsowi złamano dwa żebra. Niestety skazańcom udało się zabić dwie kobiety i wyrzucić je za burtę. W końcu zdziesiątkowani buntownicy zaczęli jeden po drugim cofać się ku brzegom tratwy.

Świt ukazał porozrzucane wszędzie trupy, nie miał to być jednak jeszcze ostatni akt makabrycznego dramatu. Na oczach ocalałych marynarzy i żołnierzy skazańcy zaczęli ciąć trupy i pożerać niedawnych towarzyszy. Scena była rodem z sennych majaków.

Ramsey przeliczył żywych i przerażony stwierdził, że z dwustu trzydziestu jeden pasażerów ocalało jedynie siedemdziesięciu ośmiu. W bezsensownej bitwie straciło życie stu dziewięciu więźniów, zniknęło pięciu żołnierzy Shepparda, prawdopodobnie wyrzuconych za burtę, zginęło lub zaginęło dwunastu marynarzy „Gladiatora”. Mogło się wydawać niepojęte, jakim cudem małej garstce udało się opanować taką masę, ale skazańcy ani nie byli szkoleni do walki jak piechurzy Shepparda, ani tak zaprawieni do ciężkiego wysiłku jak załoga Scaggsa.

Ponieważ lista pasażerów została gwałtownie skrócona o sto dwadzieścia sześć osób, tratwa unosiła się znacznie wyżej nad wodę. Resztki trupów, które nie zostały zjedzone przez oszalały

z głodu motłoch, zostały wrzucone do oceanu i natychmiast padły łupem rekinów. Kiedy wariujący z głodu marynarze też zaczęli wycinać mięso z trupów, Scaggs nie mogąc ich powstrzymać, zacisnął zęby i odwrócił głowę.

Dorsett, Betsy i większość kobiet, choć osłabieni bezlitośnie torturującym ich głodem, nie mogli się zdobyć na sięgnięcie po ludzkie mięso. Po południu spadł gwałtowny deszcz i pomógł ugasić pragnienie, nie zmniejszyło to jednak męki głodu.

Do Dorsetta podszedł Ramsey.

- Kapitan chciałby zamienić z panem słówko.

Rozbójnik poszedł w towarzystwie pierwszego oficera do Scaggsa, który pół leżał, pół siedział oparty plecami o maszt rufowy. Doktor nadinspektor Gorman obwiązywał mu klatkę piersiową porwaną koszulą. Zanim zrzucano trupy do morza, lekarz rozebrał je, żeby wykorzystać ubrania na bandaż. Scaggs podniósł ku Dorsettowi ściągniętą z bólu twarz.

- Chciałbym podziękować za ostrzeżenie, panie Dorsett. Śmiem twierdzić, że znajdujący się na tym piekielnym okręcie uczciwi ludzie zawdzięczają panu życie.

- Moje życie było grzeszne, ale nie popospolituję się z trawionym zgnilizną pospółstwem.

- Kiedy dotrzemy do Nowej Południowej Walii, ze wszystkich sił postaram się przekonać gubernatora, by złagodził panu wyrok.

- Jestem wdzięczny, kapitanie. Oddaję się pod pańskie rozkazy.

Scaggs popatrzył na nóż, który Dorsett wsunął za szarfę wokół pasa.

- To pańska jedyna broń?

- Tak. Minionej nocy sprawdziła się doskonale.

- Dajcie mu zapasowy pałasz - rozkazał Scaggs Ramseyowi. - To jeszcze nie koniec rozprawy z tymi łajdakami.

- Podzielam pańskie zdanie - stwierdził Dorsett. - Bez dowództwa Jake'a Hugginsa nie zaatakują z tą samą furją, ale dalej miesza im się z pragnienia w głowach. Po zmroku spróbują ponownie.

Jego słowa okazały się prorocze. Z powodów, które mogą zrozumieć jedynie ludzie doprowadzeni do obłądu przez głód i pragnienie, skazańcy zaatakowali dwie godziny po zachodzie słońca. Atak nie był tak gwałtowny jak poprzedniej nocy, ale przypominające widma postacie bez pardonu zadawały ciosy. Ciała skazańców i obrońców mieszały się padając bezładnie na pokład.

Zdecydowanie więźniów zostało osłabione kolejnym dniem bez jedzenia i wody, a opór skazańców gwałtownie się załamał, kiedy obrońcy nieoczekiwanie przeszli do kontrataku. Osłabieni napastnicy stanęli, po chwili zaczęli się chwiejnie cofać. Scaggs i jego wierni marynarze rzucili się w środek więźniów, niedobitki piechurów Shepparda zaatakowały ich z flanki. Nie minęło dwadzieścia minut, a było po wszystkim.

Tej nocy zginęło pięćdziesiąt osób. Kiedy nastał świt, z siedemdziesięciu ośmiu rozbitków zostało dwudziestu pięciu mężczyzn i trzy kobiety: szesnaścioro skazańców - w tym Jess Dorsett, Betsy Fletcher i dwie dalsze kobiety - dwóch piechurów, dziewięciu marynarzy i kapitan Scaggs. Wśród zabitych był pierwszy oficer Ramsey. Doktor nadinspektor Gorman został śmiertelnie ranny i zgasł po południu jak lampa, w której skończyła się nafta. Dorsett otrzymał paskudne cięcie w prawe udo, Scaggs do pękniętych żeber dorobił się złamania obojczyka. Niezwykłe, ale Betsy, pomijając drobne rany cięte i siniaki, nie ucierpiała.

Skazańcy byli ostatecznie pobici. Nie było wśród nich nikogo, kto nie odniósłby poważnych obrażeń. Bezsensowna walka o tratwę „Gladiatora” została zakończona.

Dziesiątego dnia przerażającej odysei zmarło kolejnych sześciu. Dwóch młodzieńców - dwunastoletni chłopiec okrętowy i szesnastoletni żołnierz - oddało swój los śmierci rzucając się do oceanu. Pozostałą czwórką byli skazańcy, którzy ulegli ranom. Żywi doznawali coraz straszniejszych cierpień. Torturujące jaskrawością słońce wywoływało płonącą gorączkę i delirium.

Dwunastego dnia ich liczba zmniejszyła się do osiemnastu. Ci, którzy jeszcze mogli się poruszać, byli owinięci w łachmany, ich ciała pokrywały rany z bitwy, twarze mieli zniekształcone od palącego słońca, skórę pokrytą bąblami od ocierania o rozchybotane deski pokładu i słonej wody. Dawno przekroczyli granicę zwątpienia i zapadniętymi oczami widzieli zjawy. Dwóch marynarzy przysięgło, że widzą „Gladiatora”, wskoczyło do wody i zaczęło ku niemu płynąć. Wkrótce zniknęli z powierzchni - nie wiadomo, czy utonęli z braku sił, czy zostali porwani przez Egzekutora i jego nienasyconych towarzyszy.

Halucynacje wyczarowywały wizje zastawionych jedzeniem i piciem stołów, ale też zatłoczonych ulic i domów, których nie widziano od dzieciństwa. Scaggs roił, że siedzi z żoną i dziećmi przed kominkiem w domku, z którego rozpościera się widok na port w Aberdeen. W którymś momencie popatrzył dziwnym wzrokiem na Dorsetta i powiedział:

- Nie mamy się czego bać. Zawiadomiłem admiralicję i wysłali okręt ratowniczy.

Betty będąc w nie mniejszym od kapitana odrętwieniu, zapytała:

- Którego gołębia używa pan do przesyłania wiadomości? Czarnego czy szarego?

Dorsett ułożył splekane wargi w bolesny uśmiech. Dziwne, ale jeszcze nie postradał zmysłów, był nawet w stanie pomagać marynarzom przy naprawianiu co poważniejszych uszkodzeń. Znalazł kilka strzępów płótna i rozpiął nad kapitanem niewielki baldachim. Betsy zajmowała się ranami Scaggsa, otoczyła go najlepszą możliwą opieką. Kapitana żeglugi wielkiej, rozbójnika i złodziejkę z każdą godziną spajała coraz bliższa przyjaźń.

Instrumenty nawigacyjne wypadły w czasie bitwy do wody i Scaggs nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie teraz tratwa się znajduje. Nakazał swoim ludziom spróbować łowić ryby za pomocą szpagatu i wygiętych w haczyki gwoździ. Jako przynęty użyto ludzkiego mięsa. Małe ryby całkowicie zignorowały oferowane im pożywienie, co ciekawsze, także rekiny nie okazywały zainteresowania.

Dorsett przywiązał do gardy pałasa linę i rzucił ten pseudoharpun w grzbiet przepływającego blisko rekina. Ponieważ brakowało mu sił do walki z morskim potworem, obwiązał swoim końcem liny maszt i czekał, aż rekin się wykrwawi i będzie go można wciągnąć na pokład. Po długim oczekiwaniu jedyną nagrodą okazał się goły pałasz, na dodatek zgięty w połowie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Dwóch marynarzy przywiązało do tyczek bagnety i zaczęło dźgać przepływające rekiny, które jednak zdawały się nie zwracać najmniejszej uwagi na zadawane im rany.

Zrezygnowali już ze zdobywania pożywienia, kiedy późnym popołudniem pod tratwą przepłynęła ławica cefali. Mające do pół metra długości ryby było znacznie łatwiej nabijać na harpun i wyrzucać na pokład niż rekiny. Zanim ławica odpłynęła, na mokrych deskach podskakiwało siedem podłużnych ciał z rozwidłonymi ogonami.

- Bóg nas nie opuścił - mruknął Scaggs wpatrując się w srebrzyste ryby. - Cefale zwykle żerują na płytkich morzach. Jeszcze nigdy nie widziałem ich na głębokich wodach.

- To tak jakby przysłał je prosto do nas - mruknęła Betsy wpatrując się rozszerzonymi oczami w pierwszy od niemal dwóch tygodni posiłek.

Cierpieli taki głód, a ryb mieli tak niewiele, że dodali do posiłku kawałki kobiety, która zmarła

godzinę wcześniej. Pierwszy raz Scaggs, Dorsett i Betsy tknęli ludzkie mięso. W dziwny sposób jedzenie człowieka wydało im się dopuszczalne w połączeniu z rybą. Mniej odrażające.

Następny prezent dostali wraz z trwającym niemal godzinę szkwałem, dzięki któremu zebrali niemal dziesięć litrów wody.

Choć częściowo odzyskali siły, ich twarze w dalszym ciągu znaczyło z wątpienie. Rozjątrzone przez słońcą wodę rany i kontuzje bolały bez ustanku, ciągłą torturą było palące słońce. Nie było czym oddychać, a temperatura przekraczała ludzką wytrzymałość. Noc przyniosła odpoczynek, lecz niektórzy rozbitkowie nie wytrzymali następnego dnia. Kolejnych pięciu ludzi - czterech skazańców i ostatni żołnierz - powędrowali w milczeniu do oceanu i natychmiast zniknęli.

Piętnastego dnia pozostali Scaggs, Dorsett, Betsy Fletcher, trzech marynarzy i czterech więźniów, w tym jedna kobieta. Przestało ich cokolwiek interesować. Śmierć wydawała się nieunikniona. Cefale dawno zniknęły i choć martwi pomagali żywym uchronić się przed śmiercią, było jasne, że brak wody i żar z nieba spowodują, że niedługo tratwa będzie nieść jedynie zmarłych.

Wtedy wydarzyło się coś, co odwróciło uwagę od nieopisanego koszmaru minionych dwóch tygodni. Z nieba spłynął wielki zielonkawobrazowy ptak, okrążył trzy razy tratwę i trzepocząc skrzydłami, usiadł na rei przedniego masztu. Żółtymi ślepiami o przypominających czarne paciorki źrenicach wpatrywał się w doświadczonej przez los łachmaniarzy o twarzach i kończynach oznaczonych przez walkę i palące promienie słońca. Każdemu natychmiast przeszło przez myśl, by złapać ptaka i zjeść.

- Cóż to za dziwne ptaszysko? - spytała Betsy, której język tak napuchł, że wydała z siebie jedynie cichy szept.

- To nestor kea - mruknął Scaggs. - Jeden z moich byłych oficerów miał takiego.

- Latają nad oceanami jak mewy? - spytał Dorsett.

- Nie, to gatunek papug, żyjących na Nowej Zelandii i otaczających ją wyspach. Nigdy nie słyszałem, aby latały nad otwartym oceanem, chyba że... - Scaggs zawiesił głos - chyba że to kolejny znak od Wszchemogącego. - Wstał zbolący, aby rozejrzeć się po horyzoncie, i jego oczy nabrały dziwnego wyrazu. - Łąd! - wykrzyknął z radością. - Łąd na zachodzie.

Mimo apatii podróźnych tratwa była nieustająco pchana przez fale. Nie więcej niż dziesięć mil na zachód widać było wystające z oceanu dwa zielone wzniesienia. Wszyscy skierowali w tamtą stronę wzrok i ujrzeli dużą lesistą wyspę ze wzgórzami na obu krańcach. Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Zamarli w oczekiwaniu, choć każdego paraliżował lęk, że prąd może oddalić tratwę od zbawienego łądu. Wymizerowani rozbitkowie ukłękli i zaczęli się modlić, aby ocean wyrzucił ich na zapraszającą plażę.

Minęła godzina, nim Scaggs stwierdził, że wyspa rośnie.

- Prąd znosi nas w jej kierunku! - oznajmił radośnie. - To cud, cholera, cud! Na żadnej mapie tego rejonu nie ma wyspy!

- Prawdopodobnie jest nie zamieszkana - uznał Dorsett.

- Ale piękna - wymamrotała Betsy wpatrując się w cieszący oczy soczystą zielenią las. - Mam nadzieję, że są tam chłodne jeziora.

Nieoczekiwana perspektywa przeżycia przywróciła im resztki sił i nakazała działać. Przestano myśleć o złapaniu papugi i przyrządzeniu jej na obiad. Pierzasty posłaniec został uznany za dobry omen. Scaggs i nieliczni marynarze postawili żagiel zrobiony z postrzępionego baldachimu, Dorsett zaś i pozostali skazańcy chwycili deski i zaczęli gorączkowo wiosłować. Papuga, jakby chcąc ich

poprowadzić, wzniosła się w powietrze i pofrunęła w kierunku wyspy.

Wyspa rosła i zajmowała coraz większą część horyzontu. Przyciągała jak magnes. Wiosłowali szaleńczo, gnani perspektywą zakończenia cierpień. Od rufy nadeszła bryza i pchnęła tratwę mocniej w kierunku azylu, potęgując delirium nadziei. Nie musieli dłużej czekać z rezygnacją na śmierć. Wyzwolenie było trzy mile na zachód.

Jeden z marynarzy wspiał się resztką sił na maszt. Osłaniając dłonią oczy lustrował ocean.

- Co widzisz? - zażądał informacji Scaggs.

- Wygląda na to, że zbliżamy się do otaczającej lagunę rafy koralowej.

Scaggs odwrócił się do Dorsetta i Betsy.

- Jeżeli nie uda nam się wpłynąć, fale roztrzaskają nas o rafę.

Pół godziny później marynarz na maszcie zawołał:

- Widzę spokojne przejście przez rafę dwieście metrów na sterburtę!

- Do wiosła! Szybko! - rozkazał Scaggs marynarzom, potem zwrócił się do skazańców: - Każdy, komu zostało trochę siły, niech łapie za deskę i wiosłuje ile sił!

Wraz z narastaniem huku łamiących się o rafę grzywaczy gęstniał unoszący się nad tratwą całun strachu. Fale biły w korale, eksplodując górami skłębionej piany i dudniąc jak haubice. Im bliżej brzegu, tym bardziej wznosiło się dno, przez co fale rosły na wysokość wielopiętrowych domów. Zdecydowanie zmieniło się w przerażenie, pasażerowie tratwy bowiem zaczęli rozumieć, co im grozi, gdyby zostali rzućeni potęgą fal o rafę.

Scaggs włożył pod pachę rumpel steru i próbował sterować w kierunku przesmyku między rafami, marynarze walczyli z postrzępionym żaglem. Skazańcy, złachmanieni jak strachy na wróble, wiosłowali, ale nie dawało to wiele. Ich słabowite wysiłki miały się nijak do ruchu tratwy. Dopiero kiedy Scaggs kazał wiosłować wszystkim po jednej stronie, zaczęli być pomocni.

Tratwę pochwyciła w objęcia ściana kipiącej piany i pchnęła ją do przodu z niesamowitą prędkością. Przez kilka sekund łupina unosiła się na grzbiecie potężnego grzywacza, po chwili została pchnięta w dolinę między falami. Dwóch więźniów zostało splukanych w niebieskozieloną kipieli i więcej ich nie ujrano. Nadszarpnięta przez ocean tratwa była rozrywana na kawałki. Tarte i wyciągane stałym kołysaniem liny jeły się strzępić i rozwarstwiać. Szkielet, na którym opierał się pokład, zwichrował się i odpadały od niego coraz większe fragmenty. Kiedy tratwę zalała kolejna fala, cała konstrukcja jęknęła jak mordowana. Rafa była blisko, Dorsett miał wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, by jej dotknąć.

Udało im się wpłynąć w przesmyk pomiędzy szczybatymi krawędziami rafy. Przyływ przepchnął ich z impetem, tratwa zawirowała jak szalona i rozpryskujące się wokół kawałki drewna zamigotały w słońcu jak iskry wirującego zimnego ognia. Szkielet rozpadł się i rozbitkowie zostali wyrzuceni gwałtownie do wody.

Wewnątrz atolu granatowe morze było jasnoturkusową taflą, spokojną jak górskie jezioro. Dorsett kaszłąc wypłynął na powierzchnię obejmując ręką talię Betsy.

- Umiesz pływać?

Gwałtownie pokręciła głową wypluwając wodę.

- Ani dudu.

Nie puszczając dziewczyny, Dorsett zaczął płynąć w kierunku unoszącego się dwa, może trzy metry od nich kawałka masztu. Kiedy dopłynęli, ułożył ręce Betsy wokół zaokrąglonego kloca. Zawisł obok i łapał zachłannie powietrze. Waliło mu serce, osłabione ciało było wycieńczone

wysiłkiem ostatniej godziny. Po kilku minutach odpoczynku zaczął się rozglądać i liczyć.

Niedaleko ujrzał Scaggsa i dwóch marynarzy, którzy wciągali się na cudem trzymający się razem kawał pokładu. Po chwili siedzieli na belkach i odrywali deski, by mieć czym wiosłować. Z więźniów mógł dojrzeć dwóch mężczyzn i kobietę, unoszących się na wodzie i wczepiających w resztki tego, co pozostało z tratwy „Gladiatora”.

Spojrzał w kierunku plaży. Czteryście, może pięćset metrów od niego zapraszał śnieżnobiały piasek. Kontemplację przerwał mu krzyk zza pleców.

- Podpływajcie! - krzyczał Scaggs. - Weźmiemy was i tamtych i rusza my na brzeg!

W odpowiedzi Dorsett pomachał i pocałował Betsy w czoło.

- Tylko mnie teraz nie zostaw, dziewczyno. Za pół godziny będziemy na suchej ziemi i... - przerwał gwałtownie, cała radość zniknęła.

Wokół resztek tratwy w poszukiwaniu łupów krążyła wysoka płetwa żarłacza. Egzekutor wpłynął za nimi do laguny.

„To nieuczciwe” - rozkrzyczał się niemy głos w umyśle Dorsetta. Wytrzymać niewyobrażalne cierpienia tylko po to, aby wybawienie zostało zniweczone przez rekina?! Ta niesprawiedliwość wołała o pomstę do nieba. Mało było na świecie ludzi, którzy mieli mniej szczęścia od nich. Dorsett ciasno objął Betsy i ze śmiertelnym przerażeniem obserwował, jak płetwa staje w miejscu, rusza w ich kierunku i znika pod wodą. Zamarło mu serce - pozostało jedynie bezradnie czekać, aż ostre jak brzytwa zęby rozszarpia bezbronne ciało.

W tym momencie nastąpił cud.

Spokojna woda laguny w ułamku sekundy zmieniła się w kipiącą biel, z której wytrysnęła potężna fontanna. Po opadnięciu wody okazało się, że wysoko nad powierzchnią unosi się potężny rekin. Zabójcza bestia rzucała się dziko na wszystkie strony, a wzbudzające grozę szczęki próbowały wściekle chwycić owiniętego wokół niej olbrzymiego morskiego węża. Ściskający pływające resztki tratwy rozbitkowie wpatrywali się oniemiałi w walkę na śmierć i życie pomiędzy dwoma potworami głębin.

Scaggs miał znakomity widok. W jego ocenie ciało potężnego, podobnego do węgorza stworza mierzyło od tępego łba do zwężającego się spiczasto ogona dwadzieścia metrów. W najgrubszym miejscu wąż miał w obwodzie tyle co duża beczka mąki. Paszcza spazmatycznie otwierała się i zamykała, ukazując równy szereg krótkich, wygiętych kłów. Jego skóra wyglądała na gładką, na grzbiecie była ciemnobrązowa, niemal czarna, od strony brzucha biała jak kość słoniowa. Scaggs nieraz słyszał legendy o morskich potworach, ale zawsze je wyśmiewał jako wizje marynarzy, którzy wypili w porcie za dużo rumu. Sparaliżowany strachem, teraz się nie śmiał - jak na dłoni widać było, że choć Egzekutor szarpie się co sił, chcąc uwolnić się z uścisku wroga, walka jest daremna.

Krępa, masywna budowa udaremniała rekinowi takie obrócenie łba, by sięgnąć węża zębami. Mimo niezwykłej siły, rekin nie był w stanie wyrwać się ze śmiertelnych splotów. Zataczając z wielką prędkością koła, rekin i wąż zniknęły pod wodą, tylko jednak po to, by po chwili znów wyprysnąć w powietrze w kłębowisku spienionej wody.

Wąż zaczął gryźć rekina w skrzela. Po dwóch, może trzech minutach zmaganie gigantów osłabło, rekin przestał walczyć, a splecione potwory zanurzyły się w wodę, by opaść w głębie laguny. Myśliwy został łupem silniejszego myśliwego.

Po zakończeniu bitwy Scaggs nie marnował czasu i wciągnął przemoczonych skazańców na jeszcze trzymający się kupy kawałek tratwy. Zaszokowani tym, co widzieli, godni pożałowania

nieliczni ocaleni w końcu dotarli do pokrytej śnieżnobiałym piaskiem plaży, zataczając się wyszli na ląd. Wyrwali się z koszmaru i dotarli do nie znanego przez żeglarzy raję.

Wkrótce znaleźli strumień czystej wody, spływający ze wznoszącej się na południowym krańcu wyspy wulkanicznej góry. W lesie znaleźli pięć gatunków tropikalnych owoców i stwierdzili, że laguna roi się od ryb. Niebezpieczeństwo zostało zapomniane. Ośmiu z dwustu trzydziestu jeden ludzi, którzy zeszli z pokładu „Gladiatora” na tratwę, żyło, aby któregoś dnia opowiedzieć o koszmarze, jaki przeżyli w ciągu piętnastodniowego dryfu po zalanych słonecznym żarem pustkowiach oceanu.

Pół roku po tragicznym zaginięciu „Gladiatora” przypomniano sobie o nim na krótko za sprawą nowozelandzkiego rybaka, który zszedł na ląd, aby naprawić łódź, i zobaczył wystającą z piasku drewnianą dłoń z mieczem. Po odkopaniu znaleziska stwierdził z zaskoczeniem, że ma przed sobą naturalnej wielkości antycznego wojownika. Zawiózł zdobycz osiemdziesiąt kilometrów na północ do Auckland, a tam stwierdzono, że jest to figura dziobowa zaginionego klipra o nazwie „Gladiator”.

Po oczyszczeniu i zakonserwowaniu umieszczono wojownika w niewielkim muzeum morskim, gdzie zwiedzający obserwowali go dumając nad tajemnicą zaginięcia statku.

Została ona wyjaśniona w lipcu 1858 roku w artykule opublikowanym w „Sydney Morning Herald”.

POWRÓT Z ZAŚWIATÓW

Morza wokół Australii widziały wiele nieoczekiwanych zdarzeń, ale żadne nie było tak dziwne, jak nagłe pojawienie się kapitana Charlesa „Kata” Scaggsa, który zaginął i został uznany za zmarłego po tym, jak należący do Carlisle’a i Dunhilla z herness, dowodzony przezeń kliper „Gladiator” zaginął na Morzu Tasmana w styczniu 1856 roku w trakcie okrutnego tajfunu, znajdując się jedynie 300 mil na południowy wschód od Sydney.

Kapitan Scaggs zadziwił wszystkich wpływając do portu w Sydney niewielkim stateczkiem wraz z jedynym ocalałym członkiem załogi, z którym zbudował go na nie znanej nikomu bezludnej wyspie.

Wyrzucona półtora roku temu na zachodnie wybrzeże Nowej Zelandii figura dziobowa „Gladiatora” była dowodem zatonięcia statku i aż do cudownego pojawienia się kapitana Scaggsa nic nie było wiadomo o okolicznościach, w jakich to się stało, ani o losie wiezionych do kolonii karnej 192 więźniów, 11 żołnierzy i 28 członków załogi.

Według kapitana Scaggsa, katastrofę przeżył tylko on i dwóch marynarzy, a zostali wyrzuceni na bezludną wyspę, gdzie przez dwa lata żyli w krańcowo trudnych warunkach, aż wreszcie za pomocą narzędzi wydobytych z wraku kolejnego statku, który rozbił się niedaleko wyspy tracąc całą załogę, zbudowali statek. Kadłub zbudowali samodzielnie z rosnących na wyspie drzew.

Kapitan Scaggs i jego marynarz, cieśla Thomas Cochran, sprawiali wrażenie, że mimo przebytych przygód są w znakomitej formie. Nie mogli się doczekać zaokrętowania na pierwszy odpływający do Anglii statek. Wyrazili głęboki żal z powodu tragicznej śmierci przewożonych przez „Gladiatora” pasażerów i dawnych towarzyszy, którzy utonęli wraz ze statkiem z powodu tajfunu. Im samym udało się uczepić kawałka wraku i utrzymać na nim kilka dni, aż prądy morskie wyrzuciły ich bardziej martwych niż żywych na bezludną wyspę.

Skrawek ziemi, na którym żyli przez ponad dwa lata, nie może zostać zlokalizowany, ponieważ Scaggs stracił w katastrofie instrumenty nawigacyjne. Najlepszy szacunek, na jaki stać kapitana, to umiejscowienie wyspy mniej więcej 350 mil na wschód-południowschód od Sydney, w rejonie, w którym zdaniem pływających tamtędy kapitanów nie ma skrawka ziemi.

Wśród zaginionych w katastrofie statku znajdowali się także porucznik Silas Sheppard, którego rodzice mieszkają w Hornsby, i dziesięciu żołnierzy z Regimentu Piechoty Nowej Południowej Walii, którzy pilnowali skazańców.

DZIEDZICTWO

17 sierpnia 1876 roku Aberdeen, Szkocja

Scaggs powrócił do Anglii i przez krótki okres cieszył się żoną i dziećmi. Carlisle i Dunhill zaproponowali mu dowództwo swego najnowszego i najlepszego klipra - „Cullodena” - i rzucili go na chińską linię herbacianą. Po sześciu wyczerpujących rejsach, w czasie których ustanowił dwa rekordowe przebiegi, Kat Scaggs wycofał się mimo młodego wieku czterdziestu siedmiu lat, by spędzić emeryturę w domu w Aberdeen. Ponieważ w trakcie ostatnich rejsów inwestował wspólnie z armatorami, zgromadził znaczący majątek.

Kapitanowie kliprów starzeli się przedwcześnie. Za pływanie na najszybszych podówczas statkach świata ciało i dusza płaciły wysokie koszty. Większość kapitanów umierała młodo, niejeden szedł na dno wraz ze statkiem. Byli elitą, ludźmi z żelaza, zmuszającymi drewniane okręty do osiągania prędkości nie znanych w najromantyczniejszych latach żeglarstwa. Szli do grobów - pod ziemią lub pod wodą - wiedząc, że dowodzili najwspanialszymi stworzonymi przez człowieka żaglowcami. Wytrzymały jak wręgi jego statku Scaggs odbył swój ostatni rejs w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat.

Kiedy po śmierci ukochanej Lucy i założeniu przez dzieci własnych rodzin został sam, pielęgnował miłość do morza żeglując po zatokach Szkocji niewielkim własnoręcznie zbudowanym keczem. Tuż po zakończeniu rejsu przez lodowate morze do Petershead, gdzie odwiedził syna i wnuki, zachorował.

Kilka dni przed śmiercią posłał po starego przyjaciela i dawnego pracodawcę, Abnera Carlisle'a. Ogólnie szanowany potentat okrętowy, który wraz z Aleksandrem Dunhillem stworzył znaczącą fortunę, był jednym z najważniejszych obywateli Aberdeen, a poza towarzystwem okrętowym posiadał firmę kupiecką i bank. Chętnie łożył na miejscową bibliotekę i szpital. Carlisle był chudym, żyłastym mężczyzną bez jednego włoska na głowie. Miał sympatyczne oczy i chodził wyraźnie kulejąc, co było spowodowane upadkiem w młodości z konia.

Został wprowadzony do domu kapitana przez jego córkę Jenny, którą znał od urodzenia. Objęła go krótkim uściskiem i chwyciła za rękę.

- Dobrze, że pan jest, Abnerze. Pyta o pana co pół godziny.

- Jak stary wilk morski się czuje?

- Obawiam się, że jego dni są policzone - odparła ze smutkiem.

Carlisle rozejrzał się po wspaniale urządzonej domu wypełnionym meblami ze statków i popatrzył na porozpinane na ścianach mapy z zaznaczonymi dziennymi przebiegami w czasie rekordowych rejsów.

- Będzie mi brakowało wizyt w tym domu - westchnął.

- Bracia twierdzą, że dla rodziny będzie najlepiej, jeżeli go sprzedamy.

Zaprowadziła Carlisle'a na górę, do sypialni z wielkim oknem na port Aberdeen.

- Tato, przyszedł Abner Carlisle.

- Najwyższy czas - mruknął Scaggs.

Jenny cmoknęła Carlisle'a w policzek.

- Zrobię wam herbaty.

Scaggs leżał na łóżku. Był nad wiek postarzały, wyniszczony trzydziestoma latami ciężkiego życia na morzu. Mimo to Carlisle był jak zawsze zadziwiony ogniem, płonącym w jego szaro-oliwkowych oczach.

- Mam dla ciebie nowy statek, Kacie.

- Niech cię cholera. Jaki takielunek?

- Żadnego. To parowiec.

Scaggs spurpurowiał i uniósł głowę.

- Przeklęte śmierdziele. Powinno się zakazać im zanieczyszczania morza.

Taką odpowiedź Carlisle miał nadzieję usłyszeć. Kat Scaggs może i stał u wrót śmierci, ale odchodził dumnie, tak jak żył.

- Czasy się zmieniły, przyjacielu. Obaj dobrze wiemy, że jedynymi pracującymi jeszcze kliprami są „Cutry Sark” i „Thermopylae”.

- Nie zostało mi wiele czasu na czcze pogaduszki. Poprosiłem cię o przy bycie, abyś wysłuchał mojego przedśmiertnego wyznania i wyświadczył mi osobistą przysługę.

- Spraeś pijaka czy przespałeś się w burdelu w Szanghaju z Chinką? - spytał Carlisle z sarkazmem.

- Mam na myśli „Gladiatora” - mruknął Scaggs. - Skłamałem o nim.

- Przecież zatonął w tajfunie. Gdzie tu kłamstwo?

- To prawda, że zatonął w tajfunie, ale pasażerowie i załoga nie poszli z nim na dno.

Carlisle przez dłuższą chwilę milczał.

- Charlesie Kacie Scaggs - odezwał się wreszcie - jesteś najuczciwszym człowiekiem, jakiego spotkałem w życiu. Przez pół wieku znajomości ani razu nie zawiodłeś mojego zaufania. Jesteś pewien, że tak szalone słowa nie są spowodowane chorobą?

- Uwierz mi, że przez dwadzieścia lat żyłem w kłamstwie, aby spłacić dług.

- Co chcesz powiedzieć?

- Historię, której nie opowiadałem nikomu. - Scaggs oparł się na poduszki i spojrzał w dal tak odległą, że niedosięglą dla kogokolwiek poza nim. - Historię tratwy „Gladiatora”.

Pół godziny później Jenny przysłała z herbatą. Było ciemnowo i zapaliła stojącą przy łóżku ojca lampę naftową.

- Ojczy, musisz coś zjeść. Zrobiłam twoją ulubioną rybę.

- Nie chce mi się jeść, córko.

- Ale Abner na pewno pada z głodu, słuchając cię całe popołudnie. Myślę, że chętnie coś zje.

- Daj nam jeszcze godzinę - powiedział Scaggs. - Wtedy podasz nam, co tylko zechcesz.

Natychmiast po wyjściu córki kontynuował opowieść:

- Kiedy wreszcie wydostaliśmy się na brzeg, było nas ośmioro. Z załogi tylko ja, cieśla Thomas Cochran i dobry marynarz, Alfred Reed. Z więźniów - Jess Dorsett, Betsy Fletcher, Marion Adams, George Pryor i John Winkelman.

Osiem dusz z dwustu trzydziestu jeden, które wyruszyły z Anglii.

- Musisz mi wybaczyć, przyjacielu, że pozostaję sceptyczny. Dziesiątki ludzi, mordujących się na pływającej środkiem oceanu tratwie, jedzenie ludzkiego mięsa, w końcu wybawienie przez morskiego węża, który zjada rekina - łagodnie mówiąc, nie do wiary.

- Nie są to majaki umierającego - zapewnił Scaggs. - Każde słowo jest prawdą.

Carlisle nie zamierzał niepotrzebnie denerwować Scaggsa. Bogaty kupiec położył dłoń na ramieniu starego kapitana, który miał spory wkład w stworzenie imperium Carlisle'a i Dunhilla.

- Mów dalej. Nie mogę się doczekać końca. Co się działo po wyjściu na brzeg?

Przez następne pół godziny Scaggs opowiedział, jak znaleźli słodką wodę spływającą chłodnymi strumieniami z wulkanicznej góry. Opisał, jak łapali w lagunie wielkie żółwie, przewracali je na grzbiety i szlachtowali nożem Dorsetta - jedynym narzędziem, jakie mieli. Znaleźli kamień i uderzając weń nożem, rozpalili ogień i upiekli żółwie. W lesie zbierali pięć gatunków owoców, jakich Scaggs jeszcze nigdy nie widział. Wegetacja zdawała się dziwnie odmienna od australijskiej. Streścił, jak przez następne dni obżerali się, aby odzyskać siły.

- Wówczas zaczęliśmy badać wyspę. Ma kształt haka na ryby, jest długa na prawie osiem, szeroka na półtora kilometra. Na każdym krańcu znajduje się masywny wulkaniczny szczyt o wysokości mniej więcej trzystu pięćdziesięciu, czterystu pięćdziesięciu metrów. Laguna ma kilometr długości i od strony oceanu chroni ją masywna rafa. Reszta wyspy to wysokie klify.

- Bezludna?

- Nie widzieliśmy żywej duszy, ze zwierząt jedynie ptaki. Znaleźliśmy ślady, które świadczyły, że mieszkali tam kiedyś aborygeni, ale musieli zniknąć dawno temu.

- Były ślady po wrakach?

- Nie zauważyliśmy ani jednego.

- Po niedoli na tratwie wyspa musiała być rajem.

- Jest to najpiękniejsza wyspa, jaką widziałem przez lata spędzone na morzu. Wspaniały szmaragd na szafirowym tle. - Zawahał się, jakby widział wznoszący się nad lustrem Pacyfiku klejnot. - Szybko przyzwyczailiśmy się do idylli. Wyznaczałem ludzi do różnych prac, przydziałałem do łowienia ryb, budowania i naprawy chat, zbierania owoców i innej strawy oraz stałego utrzymywania ognia, na którym nie tylko gotowaliśmy, ale którym zamierzaliśmy dać znaki, gdyby przepływał jakiś statek. Żyliśmy w ten sposób w zgodzie przez kilka miesięcy.

- Zaryzykuję podejrzenie, że zaczęły się kłótnie między kobietami.

Scaggs pokręcił głową.

- Między mężczyznami o kobiety.

- A więc doświadczyliście tego samego co buntownicy z „Bounty” na wyspie Pitcairn.

- Dokładnie tego samego. Spodziewałem się kłopotów, stworzyłem więc plan podziału kobiet pomiędzy mężczyzn. Nie był to może plan, który podobał się każdemu, zwłaszcza kobietom, ale nie było innej możliwości uniknięcia rozlewu krwi.

- W tych warunkach zrobiłbym tak samo.

- Udało mi się jedynie odwlec nieuniknione. Skazaniec John Winkelman zamordował marynarza Reeda, kiedy ten leżał na Marion Adams, a Jess Dorsett odmówił dzielenia się z kimkolwiek Betsy Fletcher. Kiedy George Pryor spróbował zgwałcić Betsy, Dorsett rozwalil mu głowę kamieniem.

- Ale było was sześcioro.

Scaggs skinął głową.

- Spokój zapanował na wyspie, kiedy John Winkelman ożenił się z Marion Adams, a Jeff Dorsett z Betsy Fletcher.

- Ożenił? - Carlisle prychnął szczerym oburzeniem. - Jak to możliwe?

- Zapomniałeś, Abner? Jako kapitan byłem upoważniony do przeprowadzania ceremonii.

- Ale tylko stojąc na mostku swojego statku. Muszę powiedzieć, że nieco przesadziłeś.
- Nie mam wyrzutów sumienia. Dzięki temu żyliśmy w harmonii, aż odpłynąłem z Cochranem.
- Nie pożąдалиście kobiet?

Śmiech Scaggsa zmienił się w kaszel. Carlisle podał mu szklanę wody. Kiedy kapitan odpoczął, powiedział:

- Za każdym razem, kiedy nachodziły mnie zmysłowe myśli, wyobrażałem sobie moją ukochaną, słodką Lucy. Ślubowałem jej, że z każdego rejsu wrócę tak czysty, jak wyjechałem.

- A cieśla?

- Los chciał, że Cochran wolał towarzystwo mężczyzn.

Teraz Carlisle się roześmiał.

- Wybrałeś sobie dziwnych towarzyszy przygód.

- Nie minęło dużo czasu, a wybudowaliśmy wygodne kamienne domy i zaczęliśmy walczyć z nudą tworząc urzędników mające uprzyjemnić życie.

Umiejętności Cochrana stały się szczególnie przydatne, kiedy zdobyliśmy narzędzia do obróbki drewna.

- Jak to się udało?

- Po mniej więcej czternastu miesiącach wielka fala rzuciła na południowym krańcu wyspy francuską korwetę na skały. Mimo prób uratowania Francuzów wszyscy poszli na dno, fale rozłupały ich statek. Dwa dni później morze się uspokoiło. Wydobyliśmy czternaście ciał i pochowaliśmy je obok George'a Pryora i Alfreda Reeda. Ponieważ razem z Dorsettem byłem najlepszym pływakiem, przeprowadziliśmy w dwóch akcjach wydobywania z wraku wszystkiego, co mogło się przydać. W ciągu trzech tygodni odzyskaliśmy sporą stertę dóbr, materiałów i narzędzi. Zarówno Cochran, jak i ja posiadaliśmy umiejętności, które pozwoliły na zbudowanie statku wystarczająco stabilnego, by dopłynąć do Australii.

- A co z kobietami? Jak miały się Marion i Betsy?

Scaggs posmutniał.

- Biedna Marion, grzeczna i wierna, skromna służąca, skazana za kradzież jedzenia ze spiżarni swego państwa, zmarła rodząc córeczkę. John Winkelman oszalał i próbował zabić małą. Przywiązaliśmy go na cztery dni do drzewa, aż odzyskał zmysły, ale już nigdy nie był taki jak dawniej. Aż do naszego odpłynięcia prawie się nie odzywał.

- A Betsy?

- Ulepiona z zupełnie innej gliny. Mocna jak górnik. Znosiła trudy jak mężczyzna. Urodziła dwóch chłopców i wykarmiła małą Marion. Dorsett i ona byli stworzeni dla siebie.

- Dlaczego nie przyłączyli się do ciebie?

- Było najlepszym wyjściem, aby pozostali na wyspie. Zaoferowałem się w ich sprawie przemówić do gubernatora, ale nie chcieli skorzystać z po mocy i dobrze zrobili. Natychmiast po przybyciu do Australii służby więzienne zabrałyby im dzieci i oddały do przytułków. Betsy najprawdopodobniej skończyłaby jako prządka w najnudniejszym dziale kobiecej fabryki w Parramatta, a Jess w barakach skazańców w Sydney. Nigdy więcej nie ujrzeliby ani chłopców, ani siebie. Obiecałem, że dopóki żyję, pozostaną zapomniani wraz z pozostałymi straconymi duszami z „Gladiatora”.

- Winkelman też?

Scaggs skinął głową.

- Zamieszkał w jaskini na północy wyspy i chciał pozostać sam.

- Przez wszystkie lata nawet nie wspomniałeś o ich istnieniu - westchnął Carlisle w zadumie.

- Zrozumiałem w którymś momencie, że gdybym złamał milczenie, łobuz gubernator wysłałby po nich statek. Ma opinię, że poruszy niebo i ziemię, by pojmać zbiegłego więźnia. - Scaggs przekręcił lekko głowę i zapatrzył się na statki w porcie. - Kiedy wróciłem do domu, nie widziałem powodu opowiadać o tratwie „Gladiatora”.

- Już nigdy ich nie widziałeś?

Scaggs pokręcił głową.

- Było to pełne łez pożegnanie. Betsy i Jess stali na plaży trzymając na rękach chłopców i córeczkę Marion i cały świat powiedziałby na ten widok, że są szczęśliwymi rodzicami. Odnaleźli dobroć, która nie była im pisana w cywilizowanym świecie. - Słowo „cywilizowanym” niemal wypuł.

- Co powstrzymało Cochra na przed mówieniem?

Oczy Scaggsa słabo błysnęły.

- Jak wspomniałem, miał sekret, którego wyjawienia się bał, zwłaszcza gdyby zechciał wyjść kiedyś ponownie w morze. Utonął z „Zanzibarem” na Morzu Południowochińskim w sześćdziesiątym siódmym.

- Nigdy się nie zastanawiałeś nad ich dalszymi losami?

- Nie musiałem. Wiem, co się z nimi działo.

Carlisle uniósł brwi.

- Byłbym wdzięczny za informację.

- Cztery lata po naszym odpłynięciu, wyspę znalazł amerykański statek wielorybiczny i przybił do brzegu uzupełnić zapasy wody. Jess i Betsy wyszli na spotkanie załogi, wymienili owoce i świeże ryby na ubrania i garnki. Po wiedzieli kapitanowi, że są misjonarzami rozbitkami. Nie minęło wiele czasu, a na wyspie zaczęły lądować kolejne statki wielorybiczne w celu nabrania wody i zdobycia owoców. Jeden ze statków w zamian za kapelusze z palmowego włókna dał Betsy nasiona i razem z Jessem zaczęli hodować warzywa.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Zaczęli wysyłać przez wielorybników listy.

- W dalszym ciągu żyją?

Oczy Scaggsa posmutniały.

- Jess zginął sześć lat temu w trakcie połowu, jego łódź przewrócił gwałtowny szkwał. Betsy powiedziała, że wyglądało, jakby uderzył w coś głową i dlatego utonął. Jej ostatni list dotarł do mnie wraz z paczką dwa dni temu.

Znajdziesz go w środkowej szufladzie biurka. Napisała, że umiera na jakąś chorobę żołądka.

Carlisle wstał i podszedł do starego biurka, które towarzyszyło Scaggsowi we wszystkich rejsach po „Gladiatorze”. Wyjął z szuflady niedużą owiniętą w gumowane płótno paczuszkę i otworzył ją. W środku była koperta i złożony na czworo list. Wrócił do krzesła, założył okulary i zapatrzył się w słowa.

- Jak na dziewczynę skazaną za kradzież, pisze bardzo dobrze.

- Jej wcześniejsze listy były pełne błędów, ale Jess miał wykształcenie i pod jego kuratelą bardzo poprawiła gramatykę.

Carlisle zaczął głośno czytać.

Drogi Kapitanie!

Pokładam w Bogu nadzieję, że jesteś w dobrym zdrowiu. Jest to mój ostatni list do Ciebie, jak mi bowiem powiedział lekarz ze statku wielorybniczego „Amie & Jason „, mam chorobę żołądka i wkrótce dołączę do mojego Jessa.

Mam do Ciebie ostatnią prośbę i modłę się, byś ją uszanował. W pierwszym tygodniu kwietnia bieżącego roku moi synowie i córka Marion opuścili wyspę na pokładzie statku wielorybniczego, który wyruszył do Auckland na naprawę konieczną po ciężkim zderzeniu z rafą. Tam dzieci opłacą przejazd do Anglii i możliwe, że odwiedzą Cię w Aberdeen.

Piszę, mój najlepszy Przyjacielu, prosząc, abys przyjął ich pod swój dach i zorganizował im edukację w najlepszych szkołach Anglii. Będę wiekuiście wdzięczna i wiem, że Jess, Panie świeć nad jego duszą, czułby to samo, jeżeli uszanujesz moją prośbę.

Dołączam moje dziedzictwo, by wynagrodzić Twoje wysiłki i pokryć koszta szkół. To bardzo bystre dzieci i na pewno będą się pilnie przykładać do nauki.

Z wyrazami najgłębszego szacunku żegnam.

Betsy Dorsett Jeszcze jedno: wąż pozdrawia.

Carlisle spojrział znad okularów.

- „Wąż pozdrawia”? Co to za nonsens?

- Wąż, który uratował nas przed rekinem. Okazało się, że mieszka w lagunie.

W czasie pobytu na wyspie widziałem go na własne oczy przynajmniej cztery razy.

Carlisle patrzył na swego przyjaciela, jakby ten był pijany, postanowił jednak dowiedzieć się więcej.

- Wysłała małe dzieci same w podróż z Nowej Zelandii do Anglii?

- Te dzieci nie są już takie małe. Najstarszy ma dziewiętnaście lat.

- Jeżeli wypłynęli w kwietniu, mogą zapukać do twoich drzwi w każdej chwili.

- Zakładając, że nie musieli długo czekać w Auckland na parowiec.

- Boże, jesteś w niemożliwej sytuacji.

- Masz rację, bo jak umierający starzec spełni prośbę umierającej kobiety?

- Nie umierasz - powiedział Carlisle patrząc Scaggsowi w oczy.

- Oj, umieram. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Jesteś praktycznym człowiekiem interesu, Abner, i nie musimy się oszukiwać. Właśnie dlatego chciałem się z tobą widzieć jak najszybciej.

- Chcesz, żebym niańczył dzieci Betsy?

- Póki nie zakotwiczą się w najlepszych szkołach Anglii, mogą zamieszkać w moim domu.

- Tyle że to, co Betsy uzyskała ze sprzedaży kapeluszy i żywności przepływającym wielorybnikom, może nie wystarczyć na pokrycie lat nauki w drogich szkołach. Będą potrzebować odpowiednich strojów i prywatnych nauczycieli, którzy doprowadzą ich do odpowiedniego poziomu wiedzy. Mam nadzieję, że nie prosisz, bym pokrywał te koszta obcym mi ludziom?

Scaggs wskazał na skórzaną sakiewkę na stole i Carlisle ją podniósł.

- To na edukację dzieci?

Scaggs skinął głową.

- Otwórz.

Carlisle rozluźnił sznureczek i wysypał zawartość na dłoń. Nic nie rozumiejąc patrzył na Scaggsa.

- Co to za żart? To zwykłe kamienie.

- Abner, uwierz mi, to nie są zwykłe kamienie.

Carlisle podniósł mający wielkość śliwki kamień i zaczął go oglądać. Bryłka była ośmioboczna i miała dość gładką powierzchnię.

- To jakiś kryształ. Nie ma najmniejszej wartości.

- Zanieś kamienie do Leviego Strousera.

- Tego żydowskiego handlarza szlachetnymi kamieniami?

- Pokaż mu kryształy.

- Na pewno nie są to kamienie szlachetne - z przekonaniem powiedział Carlisle.

- Proszę. - Słowa przechodziły Scaggsowi z trudnością przez usta. Długa rozmowa go zmęczyła.

- Jak chcesz, przyjacielu. - Carlisle wyjął z kieszeni zegarek i sprawdził godzinę. - Spotkam się ze Strouserem jutro rano i zawiadomię cię, kiedy dokona wyceny.

- Dziękuję - mruknął Scaggs. - Reszta przyjdzie sama.

Mżyło, powoli budził się dzień. Carlisle szedł do starej dzielnicy handlowej niedaleko Castlegate. Sprawdził adres i wszedł schodami do niepozornego szarego budynku z wydobywanego w okolicy granitu. Wiele podobnych nadawało Aberdeen solidny, choć monotony wygląd. Proste mosiężne litery przy drzwiach informowały: STROUSER I SYNOWIE. Uderzył w drzwi kołatką. Po chwili służący wprowadził go do ubogo umeblowanego kantoru. Zaoferował krzesło i zaproponował filiżankę herbaty.

Minęła leniwa minuta, nim otwarły się ukryte w ścianie drzwiczki i pojawił się niski mężczyzna w długim surducie. Jego sięgająca pasa broda była pół na pół czarna i siwa.

- Nazywam się Levi Strouser. Czym mogę służyć?

- Nazywam się Abner Carlisle. Przysłała mnie do pana mój przyjaciel kapitan Charles Scaggs.

- Kapitan Scaggs przysłał umyślnego i zapowiedział pańską wizytę. Jestem zaszczycony obecnością w moim skromnym biurze najgodniejszego kupca Aberdeen.

- Czy kiedyś się spotkaliście?

- Nie bywamy w tych samych kręgach, a nie należy pan do ludzi, którzy kupują biżuterię.

- Moja żona zmarła młodo i nie ożeniłem się ponownie, nie miałem więc powodu kupować drogich błahostek.

- Także straciłem za młodu żonę, ale miałem szczęście znaleźć kochającą kobietę, która urodziła mi czterech synów i dwie córki.

Carlisle często robił interesy z żydowskimi handlarzami, ale nigdy nie miał do czynienia z kamieniami szlachetnymi. Poruszał się po obcym terenie i czuł się w obecności Strousera nieswojo. Położył sakiewkę na stole.

- Kapitan Scaggs prosił, aby oszacował pan znajdujące się tu kamienie.

Strouser położył na stole kartę białego papieru i wysypał na nią zawartość sakiewki. Policzył kamienie. Było ich osiemnaście. Nie spiesząc się, zaczął obserwować każdy przez jubilerską lupę. Na koniec podniósł w dłoniach największy i najmniejszy kamień.

- Jeżeli byłby pan uprzejmy zaczekać, panie Carlisle, chciałbym przeprowadzić pewne badania tych dwóch egzemplarzy. Każę jednemu z synów podać panu herbatę.

- Bardzo dziękuję, czekanie nie sprawi mi kłopotu.

Minęła niemal godzina, nim Strouser wrócił. Carlisle umiał obserwować ludzi. Od dnia, kiedy kupił pierwszy statek w wieku dwudziestu dwóch lat, przeprowadził ponad tysiąc poważnych i udanych interesów. Widział, że Levi Strouser jest zdenerwowany. Nie byłoby to widoczne dla

mniej wprawno oka - nie trzęsły mu się dłonie, nie drgały kąciki ust, nie spocił się - zdradzał go jedynie wyraz oczu. Strouser wyglądał jak ktoś, kto zobaczył Boga.

- Czy mogę zapytać, skąd pochodzą te kamienie? - spytał Żyd.

- Nie umiem określić dokładnie - zgodnie z prawdą odpowiedział Carlisle.

- Kopalnie indyjskie odpadają, coś takiego nie może też pochodzić z Brazylii.

Może z którejś z nowych kopalni w Afryce Południowej?

- Nie potrafię odpowiedzieć. Dlaczego pan pyta? Czy mają jakąś wartość?

- Nie wie pan, co to jest? - z wielkim zdziwieniem zapytał Strouser.

- Nie jestem ekspertem od minerałów. Zajmuję się statkami.

Strouser wyciągnął dłonie nad stosikiem leżących na stole kamieni jak pradawny czarownik.

- Panie Carlisle, to są diamenty! Najpiękniejsze nie oszlifowane diamenty, jakie widziałem w życiu!

Carlisle znakomicie ukrył zaskoczenie.

- Nie chcę kwestionować pańskiej fachowości, ale to z pewnością żart.

- Moja rodzina zajmuje się kamieniami szlachetnymi od pięciu pokoleń, panie Carlisle. Proszę uwierzyć, na tym stole leży fortuna. Kamienie są nie tylko idealnie czyste, ale mają też znakomity i niezwykle rzadki fioletoworóżowy kolor. Z powodu swojej doskonałości i rzadkości takie okazy osiągają znacznie wyższe ceny od kamieni bezbarwnych.

Carlisle postanowił wrócić na ziemię i przerwał Strouserowi.

- Ile są warte?

- Nie oszlifowane kamienie jest niezwykle ciężko szacować, ponieważ do momentu oszlifowania i wypolerowania nie wiadomo, co są naprawdę warte.

Najmniejszy waży nie oszlifowany sześćdziesiąt karatów. - Przerwał i pod niósł największy egzemplarz. - Ten ma dziewięćset osiemdziesiąt karatów, jest więc największym nie oszlifowanym diamentem, jaki istnieje na świecie.

- Czy dobrze uważam, że mądrą inwestycją byłoby oszlifowanie ich przed sprzedażą?

- Jeśli pan wolał, zaoferuję uczciwą cenę na surowe.

Carlisle zaczął chować diamenty do sakiewki.

- Dziękuję, ale nie. Reprezentuję umierającego przyjaciela i mam obowiązek zapewnić mu najwyższy możliwy zysk.

Strouser natychmiast pojął, że sprytny Szkot nie zechce się rozstać z nie oszlifowanymi kamieniami. Nie dałby rady mu ich wyrwać, by oszlifować i sprzedać z ogromnym zyskiem na giełdzie w Londynie, zdecydował więc mądrze, że lepiej zrezygnować z części zysku, niż całkiem go stracić.

- Nie musi pan nigdzie chodzić, panie Carlisle. Dwaj moi synowie terminowali w najlepszych szlifierniach w Amsterdamie. Są nie gorsi - o ile nie lepsi - od szlifiery w Londynie. Kiedy kamienie zostaną oszlifowane i zechce pan je sprzedać, mogę zostać pańskim agentem.

- Dlaczego nie miałbym sprzedać ich sam?

- Z tego samego powodu, z jakiego do wysłania towaru do Australii nie kupowałbym statku, lecz zgłosił się do pana. Jestem członkiem Londyńskiej Giełdy Diamentów, a pan nie. Mnie zapłacą cenę dwukrotnie wyższą, niż pan by uzyskał.

Carlisle był wystarczająco cwany, natychmiast wyczuł dobry interes. Wstał i wyciągnął dłoń.

- Przekazuję panu kamienie, panie Strouser. Ufam, że interes okaże się opłacalny zarówno dla

pana, jak i osób, które reprezentuję.

- Może być pan tego pewny.

Już w drzwiach szkocki potentat morski odwrócił się do żydowskiego handlarza.

- Ile pańskim zdaniem będą warte po oszlifowaniu przez pańskich synów?

Strouser wbił wzrok w niepozorne grudki, próbując wyobrazić je sobie jako migoczące brylanty.

- Jeżeli pochodzą z zasobnego złoża, które można eksploatować bez trudności, jego właściciele mogą stworzyć niewyobrażalnie bogate imperium.

- Proszę mi wybaczyć, ale ta wycena brzmi nieco dziwacznie.

Strouser popatrzył przez stół na Carlisle'a.

- Moim zdaniem po oszlifowaniu powinno się je sprzedać za milion funtów*.

* [W tamtych czasach około 7 mln dolarów, dzisiaj około 50 mln dolarów.]

- Boże drogi! Aż tyle?!

Strouser podniósł największy kamień do światła. Trzymał go w palcach jak Świętego Graala. Kiedy się odezwał, w jego głosie był pełen uwielbienia szacunek.

- Może i więcej, znacznie więcej.

CZEŚĆ I ŚMIERĆ ZNIKĄD

14 stycznia 2000 roku Morze Tasmana

1

Nad wyspą unosiło się przekleństwo śmierci. Dowodziły tego groby tych, którzy postawili nogę na pośepnym brzegu i nigdy go nie opuścili. Nie było tu nic pięknego. Na rozległych przestrzeniach Antarktydy i znajdujących się u jej wybrzeży wyspach nie należy się spodziewać niczego poza majestatycznymi, pokrytymi lodem szczytami, wznoszącymi się wysoko jak białe klify Dover lodowcami i pływającymi niemo jak kryształowe pałace górami lodowymi, tu jednak były same gołe skały.

Wyspa Seymoura jest największym wolnym od lodu terenem na kontynencie i w jego okolicy. Leżący tu od tysiącleci pył wulkaniczny przyspiesza topnienie lodu i wyspa jest pocięta siecią wyschniętych dolin; pomiędzy nimi wznoszą się pozbawione barw góry, na zboczach których praktycznie nigdy nie ma śniegu. Jest to samotne, odstręczające miejsce, zamieszkane jedynie przez kilka gatunków porostów i kolonię pingwinów Adeli, które na Wyspie Seymoura znalazły obfite źródło niewielkich kamyków potrzebnych do budowy gniazd.

Większość ludzi, pogrzebanych w płytkich, wyrąbanych w skałach zagłębieniach, należała do norweskiej wyprawy antarktycznej, która trafiła tu w 1859 roku po zgnieceniu ich statku przez lody. Przeżyli dwa lata, potem skończyły im się zapasy i wymarli z głodu. Ich znakomicie zakonserwowane ciała zostały odnalezione w 1870 roku przez Anglików, którzy postanowili założyć na wyspie stację wielorybniczą.

Z biegiem lat następni ludzie umierali i byli chowani pod skałami Wyspy Seymoura. Niektórych pokonywała choroba, inni stawali się ofiarami wypadków, nieodłącznych w trakcie polowania na wieloryby. Kilku zginęło po oddaleniu się od stacji - złapała ich nagła burza i zamarзли. Ciekawostką jest, że wszystkie groby są znakomicie oznakowane, a stało się tak dlatego, iż kolejne załogi statków wielorybniczych, które utykały w lodzie i musiały czekać na wiosnę, by się uwolnić, skracaly sobie oczekiwanie robieniem z okolicznych skał płaskich płyt nagrobkowych i wycinaniem w nich napisów. Kiedy Anglicy zamykali stację w 1933 roku, niegościnnie teren krył w sobie sześćdziesiąt ciał.

Snujące się po zapomnianej przez Boga ziemi niespokojne dusze badaczy i marynarzy nigdy sobie chyba nie wyobrażały, że pewnego dnia miejsce ich spoczynku zapełni się księgowymi, adwokatami, hydraulikami, gospodyniami domowymi i emerytami, którzy zaczną tu przyplýwać luksusowymi statkami pasażerskimi, aby gapić się na wyryte na nagrobkach napisy i strzelać oczami ku zamieszkującym wybrzeże śmiesznym pingwinom. Nikt nie wiedział, czy wyspa rzuci klątwę także na nowych intruzów.

Dla niecierpliwych pasażerów statku wycieczkowego nie było w Wyspie Seymoura niczego złowieszczonego. Bezpieczni w komfortowym pływającym pałacu, widzieli jedynie odległy, surowy i tajemniczy ląd, wznoszący się nad wodę niebiesko jak mieniące się upierzenie pawia. Czuli podniecenie, zwłaszcza że byli jednymi z pierwszych, którzy zejda na brzeg Wyspy Seymoura. Miał

to być trzeci przystanek z pięciu planowanych w trakcie opływania półwyspu - może niezbyt atrakcyjny, ale jeśli wierzyć wydawanym przez armatora broszurom, jeden z najciekawszych.

Wielu z obecnych na pokładzie było w Europie i na Pacyfiku, widziało mnóstwo tłumnie odwiedzanych przez turystów egzotycznych miejsc, teraz jednak chcieli czegoś więcej, pożąдали czegoś nowego. Podniecała ich możliwość zwiedzenia miejsca oglądanego przez niezliczonych ludzi, odległej krainy, bytnością w której będą mogli chwalić się znajomym i sąsiadom.

Kiedy podnieceni niedaleką perspektywą zejścia na ląd zbili się w gęstą gromadkę w pobliżu trapu i skierowali teleobiektywy na pingwiny, Maeve Fletcher weszła w grupę i zaczęła sprawdzać jasnopomarańczowe polarne kurtki, które każdy dostał od załogi razem z kamizelką ratunkową.

Kręciła się energicznie, choć bez zbędnych ruchów, jej gibkie ciało robiło wrażenie, że stać je na więcej, niż inni ludzie osiągają intensywnymi ćwiczeniami. Wystawała o głowę nad kobiety, była wyższa od wielu mężczyzn. Jej splecione w dwa warkocze włosy były jasne jak dojrzałe zboże. Oczy koloru granatu głębokiego jeziora dominowały w wyrazistej twarzy o wysokich kościach policzkowych. Usta zdawały się nieustająco ułożone w miły uśmiech, co ukazywało niewielką przerwę pomiędzy przednimi górnymi zębami. Ogorzała skóra była typowa dla osoby wytrzymałej, często przebywającej na powietrzu.

Maeve brakowało trzech lat do trzydziestki i od niedawna miała magisterium z zoologii. Po dyplomie wzięła trzyletni urlop naukowy w celu przeprowadzenia badań w terenie nad zwierzętami i ptakami strefy polarnej. Po powrocie do Australii zaczęła pisać na uniwersytecie w Melbourne doktorat i kiedy dotarła mniej więcej do połowy, zaproponowano jej dorywczą pracę na stanowisku przyrodnika i przewodnika wycieczek w firmie Rupert i Saunders, linii wycieczkowej z siedzibą w Adelajdzie, specjalizującej się w organizowaniu rejsów przygodowych. Ponieważ była to znakomita okazja zarobienia tyle, by skończyć doktorat, rzuciła wszystko i ruszyła ku białemu kontynentowi na pokładzie „Polar Queen”.

W trakcie rejsu na statku przebywało dziewięćdziesięciu turystów, a Maeve była jednym z czterech przyrodników mających prowadzić wycieczki na lądzie. Z powodu kolonii pingwinów, stojących jeszcze budynków stacji wielorybniczej, cementarza i obozu, w którym powymierali norwescy badacze, Wyspa Seymoura była uznana za miejsce historyczne i podlegające ochronie przyrody. W celu ograniczenia natłoku turystów pasażerowie mieli być sprowadzani na brzeg w małych grupach i tylko na dwugodzinne rekonesanse. Przekazano im regulamin zejścia na ląd. Nie wolno było stawać na mech i porosty ani zbliżać się na mniej niż pięć metrów do jakiegokolwiek zwierzęcia. Nie wolno było nic zbierać, nawet najmniejszych kamyków.

Większość turystów pochodziła z Australii, nieliczni z Nowej Zelandii. Maeve została wyznaczona do zejścia na brzeg z pierwszą grupą, mającą liczyć dwadzieścia pięć osób. Gdy podnieceni wycieczkowicze schodzili trapem do zodiaca, uniwersalnego pontonu zaprojektowanego przez Jacques'a Cousteau, sprawdzała listę. Kiedy miała zejść za ostatnim z podopiecznych, zatrzymał ją pierwszy oficer, Trevor Haynes. Był cichym i spokojnym człowiekiem i choć w opinii dam przystojnym, nie lubił mieszać się z pasażerami i właściwie nie schodził z mostka.

- Powiedz ludziom, żeby się nie denerwowali, bo zamierzamy odpływać.

- Dokąd popłyniecie?

- Sto mil stąd szykuje się sztorm. Kapitan nie chce ryzykować wystawiania pasażerów na ciężkie warunki pogodowe i równocześnie nie chce ich zawieść skracaniem wycieczek na brzeg. Zamierza popłynąć dwadzieścia kilometrów na północ, wysadzić drugą grupę przy kolonii fok, wrócić po

twoją grupę, na koniec popłynąć po tamtych.

- Czyli w połowie czasu załatwić dwa razy tyle wycieczek.

- Taki jest zamysł. Dzięki temu może uda nam się przed sztormem dotrzeć do spokojnych wód Cieśniny Bransfielda.

- Już się zaczynałam zastanawiać, dlaczego nie rzucacie kotwicy. - Maeve lubiła Haynesa. Był jedynym oficerem, który nie próbował bez przerwy zwabiać jej po wieczornych drinkach do kabiny. - Czekam na was za dwie godziny - powiedziała i pomachała na pożegnanie.

- W razie czego masz nadajnik.

Maeve podniosła nadajnik przymocowany do paska.

- Gdyby co, dowiesz się pierwszy.

- Pozdrów ode mnie pingwiny.

- Obiecuję.

Zodiak pomknął po gładkiej i migoczącej jak lustro wodzie. Maeve zaczęła opowiadać swoim nieustraszonym podopiecznym o historii miejsca, do którego się zbliżali.

- Wyspa Seymoura została odkryta w 1842 roku przez Jamesa Clarka Rossa. W 1859 roku zmarło tu czterdziestu norweskich badaczy, zmuszonych do zejścia na brzeg po zgnieceniu ich statku przez lody. Odwiedzimy miejsce, gdzie mieszkali, a potem pójdziemy do miejsca, gdzie pogrzebano ich w poświęconej ziemi.

- Czy mieszkali w tych budynkach? - zapytała zbliżająca się do osiemdziesiątki dama wskazując w kierunku niewielkiej zatoki.

- Nie. To pozostałości po angielskiej stacji wielorybniczej. Ją też odwiedzimy, skąd zrobimy krótką wycieczkę na południe wokół tego wzgórzka do kolonii pingwinów.

- Czy na wyspie ktoś mieszka? - spytała ta sama dama.

- Argentyńczycy mają na północnym krańcu stację badawczą.

- Jak daleko stąd?

Maeve łaskawie się uśmiechnęła. W każdej grupie był ktoś ciekawy jak czterolatek.

- Około trzydziestu kilometrów.

Mimo prawie czterech metrów głębokości widać było wyraźnie dno - gołą skałę bez śladu życia. Cień pontonu sunął po nim jak duch. Przy brzegu nie było fali, woda pluskała o wystające skały jak na maleńkim jeziorze. Kiedy dziób zodiaca miał dotknąć brzegu, marynarz wyłączył silnik. Jedynym śladem życia był bielusieńki petrel, krążący wysoko jak wielki płatek śniegu.

Zaraz po wyprowadzeniu wszystkich na brzeg i wyjściu na kamienisty ląd Maeve odwróciła się i popatrzyła na odpływający na północ statek.

Jak na standardy statków wycieczkowych „Polar Queen” był niewielki. Miał siedemdziesiąt metrów długości i dwa tysiące pięćset ton wyporności. Zbudowano go w norweskim Bergen z przeznaczeniem do pływania po wodach polarnych. Był zbudowany masywnie jak lodołamacz i mógł spełniać taką funkcję. Nadbudówki i szeroki poziomy pas poniżej dolnego pokładu pomalowano śnieżnobiałą farbą, resztę kadłuba - jasnożółtą. Dzięki pędnikom strumieniowym na dziobie i rufie mógł przemykać między krą i górami lodowymi ze zwinnością królika. Komfortowe kabiny były urządzone jak eleganckie górskie domki, od strony morza miały panoramiczne okna. Uprzejmiały życie luksusowy klub i restauracja, prowadzona przez kucharza, który tworzył godne trzygwiazdkowego lokalu kreacje kulinarne, sala gimnastyczna i biblioteka pełna książek na tematy związane z okolicą podbiegunową. Załoga była znakomicie wyszkolona i liczyła dwadzieścia osób

więcej niż liczba pasażerów.

Kiedy biało-żółty „Polar Queen” małał w oddali, Maeve poczuła niczym nie uzasadnione ukłucie żalu. Przez chwilę czuła to samo, co musieli czuć norwescy badacze widząc, jak znika pod wodą ich jedyna szansa na ratunek.

Szybko jednak strząsnęła z siebie niepokój i poprowadziła paplającą grupę księżycowym krajobrazem w kierunku cmentarza.

Dała im dwadzieścia minut na łażenie między grobami i zapełnianie rolek filmu obrazami kamiennych tablic. Potem zebrała ich wokół leżącej obok stacji wielorybniczej sterty zbielałych ogromnych kości i zrobiła wykład o przetwarzaniu wielorybiego mięsa.

- Po niebezpieczeństwach i radościach związanych z pościgiem i zabijaniem nadchodził czas na mało przyjemne zadanie porznięcia olbrzymich ciał i przerobienia ich na tran. Mówiło się wtedy na to „rozebranie” i „wytop”.

Poszli do starych chat i baraku. Stacja wielorybnicza, raz do roku dogłędana i naprawiana przez Anglików, miała status skansenu. Meble, sprzęty kuchenne, książki i czasopisma leżały tak, jak wielorybnicy zostawili wszystko w dniu wyruszenia w drogę powrotną do domu.

- Proszę niczego nie dotykać - poinstruowała Maeve. - Prawo międzynarodowe zakazuje cokolwiek zabierać. - Zamilkła na chwilę, by przeliczyć głowy. - Teraz zaprowadzę państwa do wykopanych przez wielorybników jaskiń, gdzie przechowywali tran przed transportem do Anglii.

Ze stojącej przy wejściu do jaskiń skrzyni wyjęła latarki, zostawione przez przewodników poprzednich wycieczek, i rozdała je w grupie.

- Czy ktoś cierpi na klaustrofobię?

Jedna z kobiet - mniej więcej siedemdziesięcioletnia - podniosła rękę.

- Chyba nie wejść - powiedziała.

- Ktoś jeszcze?

Kobieta, która zadawała ciągle pytania, też kiwnęła głową.

- Nie lubię ciemnych, wilgotnych miejsc.

- Dobrze, zaczekacie więc panie na nas we dwie - oznajmiła Maeve. - Zapraszam pozostałych do magazynu tranu. To kilkanaście metrów, wrócimy za kwadrans.

Poprowadziła szczebioczącą grupę wijącym się tunelem do wielkiej jaskini, wypełnionej ogromnymi bekami, które pozostawiono likwidując stację. Kiedy wszyscy byli w środku, Maeve wskazała na leżący przy ujściu tunelu wielki głaz.

- Kamień ten wycięto wewnątrz jaskini i służył do ochrony przed zimnem i konkurencją, która mogła zwędzić tran pozostawiany, kiedy zamykano stację na zimę. Waży tyle co uzbrojony czołg, ale może go poruszyć dziecko, oczywiście pod warunkiem, że wie jak. - Odeszła krok na bok, położyła dłoń na tylko jej znanym punkcie i bez wysiłku pchnęła głaz zamykając wejście. - Genialne dzieło sztuki inżynierskiej. Skała balansuje na przeprowadzonym przez nią wałku. Jeżeli dotknie się głazu w złym miejscu, nie drgnie.

Zaczęto dowcipkować o ciemności, rozświetlanej jedynie światłem latarek. Maeve podeszła do jednej z beczek, podstawiała pod kurek niewielką buteleczkę i naląła do niej trochę tranu. Puściła buteleczkę w obieg, prosząc, by każdy wziął kilka kropel i roztarł je między palcami.

- Zimno zapobiegło zjełczeniu tranu, i to przez niemal sto trzydzieści lat. Jest tak świeży jak w dniu, kiedy przelewano go do beczki z kotła, w którym gotowano wielorybie mięso.

- Sprawia wrażenie bardzo smarownego - stwierdził siwy mężczyzna z czerwonym pijackim

nochalem.

- Proszę nie mówić tego firmom naftowym - odparła Maeve z uśmiechem - bo do następnej gwiazdki wymordują wieloryby.

Jedna z kobiet poprosiła o buteleczkę, powąchała tran i zapytała:

- Czy można go używać do celów spożywczych?

- Jak najbardziej. Japończycy uwielbiają tran, stosują go do smażenia i wyrobu margaryny.

Dawni wielorybnicy moczyli herbatniki w słonej wodzie i smażyli je w kotle z wrzącym tranem. Spróbowałam kiedyś, smak jest ciekawy, choć nieco mdły, ale...

W tym momencie Maeve przerwał wrzask jednej z kobiet, która gwałtownie złapała się za skronie. Zawtórowało jej przynajmniej sześć osób. Kobiety piszczały, mężczyźni ryczeli basem.

Maeve zaczęła biegać między ludźmi, zaskoczona wyzierającym im z oczu przerażeniem.

- Co się stało?! - krzyknęła. - O co chodzi?! Jak wam pomóc?

Nagle przyszła kolej i na nią. Głowę przeszła jej eksplozja bólu, serce załomotało jak szalone. Odruchowo ścisnęła rękami skronie. Otumaniona patrzyła na swoich podopiecznych. Ich oczy zdawały się wypływać na wierzch, głowy drgały jak w agonii. Sama doznała przerażających zawrotów głowy, zaraz po nich nadeszły nieopisanie silne mdłości. Straciła równowagę i padła ciężko na ziemię.

Nikt nie rozumiał, co się stało. Powietrze stężało, nie było czym oddychać. Światła latarek nabrały nieziemskiego błękitnawego poblasku. Choć nie było najmniejszego drżenia ziemi, w powietrzu zaczął się wznosić kurz. Ludzie krzyczeli rozdzierająco, mdleli. Maeve z przerażeniem i niewiarą stwierdziła, że straciła orientację i zapadła w jakiś koszmar.

Przez chwilę wszyscy patrzyli w oczy przychodzącej znikąd śmierci, zaraz jednak w tajemniczy sposób rozdzierający ciało ból i zawroty głowy zaczęły mijać. Osłabły i zniknęły tak samo szybko, jak się zjawily.

Maeve czuła ból aż do kości. Oparła się słabo o beczkę z tranem i zamknęła oczy, bezbrzeżnie wdzięczna losowi, że cierpienie ustało.

Przez długie minuty nikt się nie odzywał. W końcu jeden z mężczyzn, obejmujący ramionami żonę, zapytał:

- Co to było, do diabła?

- Nie mam pojęcia. - Maeve powoli pokręciła głową.

Z ogromnym wysiłkiem obeszła jaskinię i stwierdziła z radością, że wszyscy żyją. Wyglądało na to, że wracają do siebie i nie ponieśli trwałych szkód. Była szczęśliwa, że nikt ze starszych nie dostał zawału.

- Proszę poczekać w środku i odpocząć. Sprawdzę, co z paniami przy wejściu, i zawiadomię statek.

Pomyślała, że są naprawdę fajną grupą. Nikt nie zapytał o przyczynę tajemniczego zdarzenia ani nie zarzucił jej narażenia turystów na niebezpieczeństwo. Zamiast tego zaczęli się nawzajem pocieszać, młodszy pomagali starszym wygodnie usiąść. Odsunęła głaz w wejściu i weszła do tunelu. Ujrzawszy światło dzienne, wydało jej się, że przeżyła jakąś halucynację. Morze było w dalszym ciągu spokojne i błękitne, słońce stało odrobinę wyżej na bezchmurnym niebie. Obie panie, które wolały zostać na zewnątrz, leżały na brzuchach, ściskając wystające kawałki skały, jakby próbowały nie pozwolić zdmuchnąć się silnemu wichrowi.

Schyliła się, by pomóc im wstać, zamarła jednak widząc puste oczy i rozdziawione usta. Obie

zwymiotowały i obie były martwe. Ich skóra nabierała fioletowej barwy.

Maeve zbiegła do stojącego tam gdzie przedtem zodiaca. Marynarz, który ich przywiózł, też nie żył, jego twarz przybrała ten sam wyraz przerażenia, skóra robiła się tak samo fioletowa. Ogłuszona szokiem Maeve sięgnęła po nadajnik przy pasku.

- „Polar Queen”, tu ekspedycja numer jeden. Mamy nagły wypadek.

Proszę natychmiast odpowiedzieć. Odbiór.

Odpowiedzi nie było.

Spróbowała jeszcze kilkanaście razy wywołać statek, ale odpowiadała jej jedynie cisza. Tak jakby „Polar Queen” i jego pasażerowie nigdy nie istnieli.

2

Styczeń to na Antarktydzie środek lata, dni są długie i mrok zapada na nie więcej niż dwie godziny na dobę. Temperatura na półwyspie może osiągnąć plus piętnaście stopni Celsjusza, ale od momentu, kiedy grupa wyszła na brzeg, spadła do zera. W ustalonym terminie nie było śladu po „Polar Queen”.

Maeve do wpół do jedenastej w nocy co pół godziny ponawiała próby skontaktowania się ze statkiem, ale daremnie. Gdy słońce zapadło za horyzont, przestała chcąc oszczędzać baterie. Zasięg nadajnika nie przekraczał dziesięciu kilometrów, a w promieniu pięciuset nie było żadnego statku ani samolotu, który mógłby przechwycić wezwanie o pomoc. Najbliższym potencjalnym odbiorcą byli badacze w znajdującej się na drugim końcu wyspy argentyńskiej stacji, ale sygnał dotarłby do nich jedynie pod warunkiem, gdyby niespotykane warunki pogodowe niespodziewanie zwiększyły zasięg nadajnika. Zrezygnowała i postanowiła spróbować ponownie później.

Zastanawiała się bez przerwy, gdzie jest statek i załoga. Czy możliwe, że dostali się pod wpływ tego samego morderczego zjawiska co jej grupa i coś im się stało? Wolą nie poddawać się tak pesymistycznym myślom. Jak na razie zarówno ona, jak i turyści byli bezpieczni, ale nie wyobrażała sobie, jak długo wytrzymają bez jedzenia i ciepła. Góra kilka dni. Średnia wieku jej podopiecznych była dość wysoka - najmłodsze małżeństwo miało po sześćdziesiąt parę lat, większość pokończyła siedemdziesiąt, najstarsza była osiemdziesięcioletnia dama, która przed pójściem do domu spokojnej starości chciała poznać smak przygody. Maeve opanowało poczucie beznadziei.

Ze sporą obawą obserwowała napływające z zachodu ciemne chmury. Najprawdopodobniej zwiastowały sztorm, którego kazał się spodziewać pierwszy oficer Trevor Haynes. Maeve miała wystarczająco dużo doświadczenia z panującymi w okolicach bieguna południowego warunkami pogodowymi, by wiedzieć, że przybrzeżnemu sztormowi będą towarzyszyć gwałtowny wiatr i marznący deszcz ograniczający widoczność do zera. Spadnie niewiele śniegu albo nie będzie go wcale. Podstawowe niebezpieczeństwo to wycieńczające zimno spowodowane silnym wiatrem. Maeve ostatecznie porzuciła nadzieję ujrzenia statku w bliskim czasie i zaczęła szykować się na najgorsze. Należało jak najszybciej znaleźć schronienie na najbliższe dziesięć godzin.

Stojące jeszcze chaty i barak nie mogły dać ochrony przed żywiołami. Ich dachy zapadły się dawno temu, a silne wiatry powybiły okna i powyrywały drzwi z zawiasów. Maeve uznała, że grupa będzie miała lepszą szansę przeżycia przenikliwego zimna i groźnego dla życia wiatru pozostając w jaskini. Można było rozpaść ognisko wykorzystując leżące niedaleko stacji wielorybniczej zwietrzałe resztki drewna, należało jedynie pamiętać, aby nie rozpaść go zbyt daleko od wejścia. Umieszczenie ogniska zbyt głęboko w jaskini mogłoby zagrozić zaczadzeniem.

Czterech najmłodszych mężczyzn pomogło Maeve zanieść zwłoki obu kobiet i marynarza do baraku, wciągnąć zodiaca wyżej na brzeg i przywiązać go, aby nie doznał uszkodzeń od wzmagającego się wiatru. Następnie, aby zabezpieczyć się przed lodowatymi porywami wichru, zabarykadowali wejście do tunelu kamieniami, pozostawiając jedynie niewielki otwór. Maeve nie chciała odcinać się całkowicie od zewnętrznego świata zasunięciem głazu. Potem kazała ludziom zbić się w ciasną grupę, aby lepiej utrzymać ciepło.

Nie pozostało nic poza bezczynnym czekaniem na ratunek. Godziny dłużyły się niczym wieczność. Próbowano spać, ale okazało się to niemożliwe. Otępiające zimno powoli przekradało się pod ubrania, a wiatr na zewnątrz przeszedł w zawieruchę i wpadał w pozostawiony w zaporze u wejścia otwór, wyjąc jak zwiastujący śmierć upiór.

Tylko jedna czy dwie osoby skarżyły się, większość znosiła swój los ze stoickim spokojem. Niektórzy byli wręcz podnieceni, że przeżywają prawdziwą przygodę. Dwóch potężnych Australijczyków, wspólników, którzy zbili majątek prowadząc firmę budowlaną, drażniło swoje żony i rzucało sarkastyczne dowcipy mające podnieść pozostałych na duchu. Sprawiali wrażenie, jakby czekali na lotnisku na samolot. Maeve przeszło przez myśl, że wszyscy w grupie to dobrzy ludzie, powoli zbliżający się do kresu swych dni i byłoby wstydem - nie, przestępstwem - gdyby mieli umrzeć w tym lodowatym piekle.

Jej myśli snuły się powoli, w którymś momencie miała wizję, że leżą wszyscy pod skałami, pochowani obok norweskich badaczy i angielskich wielorybników. „Uluda” - spokojnie się skarciła. Mimo nienawiści, jaką okazali jej ojciec i siostry, nigdy nie była w stanie uwierzyć, że mogliby odmówić jej godnego pogrzebu w rodzinnym grobowcu. A jednak od czasu, kiedy urodziła bliźniaki, było bardzo prawdopodobne, że rodzina przestanie uznawać ją za krew ze swej krwi.

Leżała obserwując tworzącą się z oddechów mgłę i próbowała przypomnieć sobie synów - sześciolatek chłopców, będących pod opieką przyjaciół, aby mama mogła zarobić pilnie potrzebne pieniądze. Co się z malcami stanie, jeśli ona umrze? Modliła się, żeby nigdy nie dostali się w ręce jej ojca. Nie wiedział co to litość, a ludzkie życie niewiele dla niego znaczyło. Nie motywowały go też pieniądze - uważał je jedynie za narzędzie, jego prawdziwą pasją była władza i możliwość manipulowania. Obie siostry Maeve odziedziczyły po ojcu bezwzględność wobec świata, na szczęście ona wrodziła się w matkę - łagodną kobietę, wpędzoną przez zimnego i brutalnego męża w samobójstwo, kiedy Maeve miała dwanaście lat.

Po tej tragedii Maeve nigdy nie uważała się za członka rodziny. Nie wybaczone jej odejście z domu w jednej parze butów i rozpoczęcia życia na własny rachunek pod nowym nazwiskiem. Nigdy nie żałowała tej decyzji.

Obudziła się i zaczęła nad słuchiwać. Wiatr przestał gwizdać, nie atakował wejścia do tunelu. Sztorm jeszcze trwał, ale lodowaty wiatr na chwilę ucichł. Obudziła obu australijskich przedsiębiorców budowlanych.

- Chodźcie ze mną do kolonii pingwinów. Nietrudno je łapać. Złamiemy prawo, ale jeżeli mamy dotrzeć do powrotu statku, musimy coś zjeść.

- Co ty na to, stary? - huknął jeden z mężczyzn do wspólnika.

- Nie powiem, wziąłbym coś dobrego na ząb.

- Pingwiny nie są najlepszymi kandydatami na stół smakosza - stwierdziła z uśmiechem Maeve. - Ich mięso ma oleisty posmak, ale syci.

Nim wyszli z jaskini, kazała pozostałym wyjść i ukraść ze stacji wielorybniczej drewno na

ognisko.

- Czy pens, czy worek złota, rozbój to rozbój. Jeżeli mam iść siedzieć za zabijanie zwierząt pod ochroną i niszczenie historycznych miejsc, może my zabrać się za to poważnie.

Ruszyli do pingwinów. Mieli do przejścia mniej więcej dwa kilometry i aby dotrzeć do kolonii, musieli obejść znajdujące się na północnym brzegu zatoki wzniesienie. Choć wiatr ustał, marznący deszcz bardzo utrudniał marsz. Widoczność nie przekraczała trzech metrów i mieli wrażenie, że patrzą przez bryłę lodu. Znacznym utrudnieniem było to, że nie mieli gogli, jedynie okulary słoneczne; zacinające ze wszystkich kierunków marznące krople wpadały za szkła i zalepiały powieki. Udawało im się utrzymać kierunek dzięki temu, że szli tuż przy wodzie. Co prawda wydłużyło to marsz przynajmniej o dwadzieścia minut, ale się nie zgubili.

Wiatr znów zawył i wgryzł się w ich nie osłonięte twarze. Maeve przemknęła przez myśl wizja wędrowni do argentyńskiej stacji, szybko jednak ją odrzuciła. Było jasne, że trzydziestokilometrowy marsz przez burzę wytrzymałoby niewiele osób z grupy. Ponad połowa natychmiast po wyruszeniu opadłaby z sił. Maeve musiała jednak przemyśleć wszelkie warianty, zarówno wykonalne, jak i utopijne. Była młoda i silna, jej pewnie by się udało dotrzeć do Argentyńczyków, nie mogła jednak pozostawić oddanych jej pod opieką ludzi na pastwę losu. Pewną możliwość stanowiło wysłanie idących teraz z nią Australijczyków, co by jednak zastali u celu?

A jeżeli argentyńscy naukowcy zmarli w podobnie tajemniczych okolicznościach co trójka z jej grupy? Jeżeli wydarzyło się najgorsze i jedyną korzyścią z dotarcia do stacji okaże się możliwość skorzystania z tamtejszego nadajnika radiowego? Decyzja, co robić, była niezwykle trudna. Zaryzykować życie obu Australijczyków wysyłając ich w niebezpieczną podróż, czy zatrzymać ich na miejscu do opieki nad słabymi i starymi? Postanowiła nie robić wyprawy do argentyńskiej stacji. Jej zadaniem było chronienie klientów Rupperta i Saundersa przed zagrażającymi życiu sytuacjami. Nie było wyboru - musieli czekać do nadejścia pomocy, i to w możliwie najbezpieczniejszy sposób.

Siekący deszcz osłabł i widoczność wzrosła do niemal pięćdziesięciu metrów. Pojawiło się słońce, które wyglądało jak słabo żarząca się czerwona kula, otoczona kolorami niczym pryzmat. Okrążyli otaczające północny brzeg zatoki skały i wrócili ku brzegowi, gdzie mieściła się kolonia pingwinów. Choć Maeve zdawała sobie sprawę z wyższej konieczności, nie uśmiechało jej się zabijanie pingwinów. Są tak łagodne i przyjacielskie.

Pygoscelis adeliae albo pingwiny Adeli są jednym z siedemnastu odrębnych gatunków. Mają czarny grzbiet, biały brzuch, paciorkowate małe ślepka i fałdę kostną na łbie, co sprawia wrażenie, jakby nosiły kaptur. Jak wskazują znalezione na Wyspie Seymoura skamieliny, ich przodkowie pochodzący sprzed czterdziestu milionów lat byli wzrostu człowieka. Zaciekawiona przypominającym ludzkie zachowaniem społecznym tych ptaków Maeve spędziła kiedyś całe lato na ich obserwowaniu i zakochała się w tych czarujących stworzeniach. W odróżnieniu od większego pingwina cesarskiego, pingwin Adeli może poruszać się z prędkością do pięciu kilometrów na godzinę, a ślizgając się brzuchem po lodzie - znacznie szybciej. Maeve nieraz żartowała, że wystarczy dać im melonik i laseczkę, a dreptałyby, doskonale parodiując Charliego Chaplina.

- Ten cholerny deszcz chyba słabnie - rzekł jeden z budowlańców. Miał na głowie futrzaną czapkę i palił papierosa.

- Najwyższy czas - mruknął drugi, który obwiązał głowę szalikiem jak turbanem. - Czuję się niczym mokra szmata.

Widoczność w kierunku morza sięgała pół kilometra. Jeszcze niedawno gładka jak lustro

powierzchnia wody była pełna wznoszonych przez wiatr piany. Maeve spojrzała na pingwiny. Sięgały po horyzont, według szacunków musiało ich być tutaj ponad pięćdziesiąt tysięcy. Kiedy podeszli bliżej, stwierdziła zaskoczona, że żaden z ptaków nie stoi w typowej postawie, podpierając się kikutem ogona, by nie przewrócić się do tyłu. Pingwiny były bezładnie porzucane, większość leżała na grzbiecie, jakby straciły równowagę i nie mogły się podnieść.

- Coś tu jest nie tak - powiedziała Maeve. - Nie stoją.

- To znaczy, że nie są takie głupie - stwierdził facet w turbanie. - Stanie w tym deszczu to żadna przyjemność.

Maeve stała na skraju stada i przyglądała się pingwinom. Poraziła ją cisza jak makiem zasiał. Mimo obecności ludzi żaden pingwin nawet nie drgnął. Uklękła i przyjrzała się jeszcze bliżej. Zwierzę leżało bezwładnie i patrzyło pustym wzrokiem w niebo. Zbladła widząc, że żaden z tysięcy ptaków nie zdradza objawów życia. Zauważyła dwa lamparty morskie, naturalnego wroga pingwinów, których ciała unosiły się bezwładnie na drobnej fali pluskającej o kamienisty brzeg.

- Wszystkie nie żyją - wymamrotała przerażona.

- Niech to cholera - wydyszał budowlaniec w futrzanej czapce. - Naprawdę. Żaden nie oddycha.

Myśli Maeve gnały krzycząc, że to nie może być prawda. Stała jak zaklęta. Nie widać było przyczyny masowej śmierci, ale czuła unoszącą się wokół grozę. Naszła ją myśl, że tajemnicza plaga zniszczyła wszelkie życie na świecie. Czy to możliwe, że pozostali jedynymi żywymi na planecie?

Australijczyk w turbanie nachylił się i podniósł pingwina.

- Oszczędzi to nam zabijania ich - stwierdził.

- Proszę to zostawić! - wykrzyknęła Maeve.

- Dlaczego? Najemy się.

- Nie wiemy, co je zabiło. Może zginęły od zarazy?

Australijczyk w czapce potaknął.

- Mała wie, o czym mówi. Ta sama choroba, która zabiła ptaki, może wykończyć i nas. Nie wiem jak ty, ale ja nie chcę odpowiadać za śmierć żony.

- Z pewnością to nie była żadna choroba - przekonywał facet w turbanie. - Obu pań i marynarza nie zabiła choroba, tylko traf natury.

Maeve nie zamierzała popuścić.

- Zabraniam igrać ze śmiercią. „Polar Queen” wróci. Nie zapomną o nas.

- Jeżeli kapitan chce nas nastraszyć, to udało mu się jak cholera.

- Musi mieć ważny powód, dlaczego nie wraca.

- Ważny albo i nie, mam nadzieję, że pani szefowie są dobrze ubezpieczeni, bo jak wrócimy do cywilizacji, natrzemy im dobrze uszu.

Maeve nie miała nastroju do kłótni. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w drogę powrotną. Mężczyźni ruszyli za nią lustrując morze w poszukiwaniu czegoś, czego nie było.

Obudzić się po trzech dniach spędzonych w znajdującej się na jałowej wyspie jaskini, na zewnątrz której szaleje polarna burza, w dodatku ze świadomością, że jest się odpowiedzialnym za śmierć trzech osób, to niewielka przyjemność. W dalszym ciągu nie było śladu „Polar Queen” i wesoła wycieczka zmieniła się dla turystów - którzy zeszli na brzeg, aby doświadczyć niezwykłego odizolowania Antarktydy od reszty świata - w koszmar samotności i rozpacz. Jakby chcąc dobić

Maeve, wyczerpały się baterie w jej nadajniku.

Zdawała sobie sprawę, że w każdej chwili może się spodziewać pierwszych zgonów. Jej podopieczni mieszkali całe życie w ciepłej, wręcz tropikalnej strefie i nie byli zaaklimatyzowani do surowych warunków Antarktydy. Młode, silniejsze organizmy może wytrzymałyby do przybycia ocalenia, ale tym ludziom brakowało sił dwudziesto - i trzydziestolatków. Wiek robił swoje.

Na początek żartowali i opowiadali sobie historyjki, próbowali traktować to, co im się przydarzyło, jako dodatkowe wakacje. Śpiewali piosenki i wymyślali gry słowne, wkrótce jednak zaczęli popadać w odrętwienie. Zamilkli i przestali reagować na otoczenie. Starali się przyjmować los z podniesionym czołem.

Nie potrwało długo, a głód przewyciężył strach przed zakażonym mięsem i Maeve powstrzymała bunt jedynie dzięki pozwoleniu na przyniesienie kilku martwych pingwinów. Ponieważ natychmiast po śmierci ptaki zostały zamrożone, nie było obaw, że mięso się zepsuło. Jeden z turystów, zapalony myśliwy, wyciągnął szwajcarski nóż oficerski i fachowo obdarł pingwina ze skóry, a potem rozłożył tuszę na kawałki. Napelnienie żołądków proteinami i tłuszczem bardzo pomogło utrzymywać ciepło.

W jednej z chat wielorybników Maeve znalazła siedemdziesięcioletnią herbatę, udało jej się też wydobyć skądś stary garnek i patelnię. Nalała do patelni litr tranu z beczki i podpaliła. Tłuszcz zapłonął niebieskim płomieniem, wszyscy zaklaskali na widok sprytnie skonstruowanej kuchenki. Wyczyściła garnek, nabrała do niego śniegu i ugotowała herbatę. Nastroje poprawiły się, niestety na krótko. Wypito herbatę i depresja znów rozpostarła sieć nad jaskinią. Zdecydowanie, aby nie umierać, było podkopywane niską temperaturą. Zaczęło się szerzyć przekonanie, że koniec jest nieunikniony. Statek nigdy nie wróci, a jakakolwiek nadzieja na inny ratunek graniczyła z fantazją.

Przestało kogokolwiek interesować, czy zapadnie na tę samą chorobę, od której zginęły pingwiny. Nikt nie był ubrany w sposób gwarantujący bezpieczne dłuższe przebywanie w temperaturze poniżej zera. Niebezpieczeństwo zaczadzenia było zbyt wielkie, aby zrobić większy ogień z tranu, a niewielka jego ilość w patelni nie dawała dość ciepła, by utrzymać kogokolwiek przy życiu. Macki zimna wkrótce miały objąć ich w swój ucisk.

Szalejący na zewnątrz sztorm jeszcze bardziej się nasilił i zaczął padać śnieg, co było w lecie rzadkością. Wraz z nasilaniem się nawałnicy bladła ostatnia nadzieja, że ktoś przypadkiem ich odkryje. Czworo najstarszych było bliskich śmierci i Maeve opanowywało zniechęcenie. Obwiniła się o trzy ofiary, co jeszcze bardziej ją gnębiło.

Ledwo żywi członkowie grupy traktowali ją jak ostatnią nadzieję. Nawet mężczyźni akceptowali jej autorytet i wykonywali polecenia bez słowa.

- Boże dopomóż im - szeptała sama do siebie. - Nie mogę okazać, że i mój koniec jest bliski.

Robiła, co mogła, aby otrząsnąć się z przygniatającego poczucia bezradności. Opanowywał ją dziwny letarg. Wiedziała, że musi dotrzeć do końca tej okropnej przygody, ale nie czuła się na siłach dalej dźwigać odpowiedzialności za życie dwudziestu osób. Była wycieńczona i nie chciało jej się walczyć. Z oddali, przebijając się przez mur apatii, dotarł do jej uszu dziwny dźwięk, niepodobny do wycia wiatru. Sprawiał wrażenie, jakby coś łopotало na wietrze, odgłos zaraz jednak zniknął. „Omamy” - pomyślała. Prawdopodobnie tylko wiatr zmienił kierunek i w odmienny sposób zawył w dziurze u wejścia.

Dźwięk się powtórzył. Maeve z wysiłkiem stanęła na nogi i zataczając się, ruszyła tunelem. Śnieg niemal zasypał otwór w wejściu. Wypchnęła go, wybiła kilka kamieni i wyczołgała się w lodowaty świat śniegu i wichru. Wiatr dał z prędkością może czterdziestu kilometrów na godzinę, wznosząc

białe wiry jak tornado. Maeve wbiła wzrok w tuman.

Zdawało jej się, że widzi jakiś ruch, niewyraźny kontur, odrobinę ciemniejszy od spadającej z nieba migotliwej kotary. Zrobiła krok i upadła na twarz.

Przez długą chwilę miała ochotę zostać tak i zasnąć, chęć poddania zdawała się niepohamowana, ale tłąca się jeszcze iskra życia nie zgasła. Maeve uniosła się na kolana i wbiła wzrok w migoczącą przed nią jasność. Zobaczyła, że coś się zbliża, ale zaraz zasłoniła to kolejna chmura śniegu. Po chwili kształt pojawił się ponownie, nawet nieco bliżej. Kiedy zrozumiała, co widzi, zamarło jej serce.

Miała przed sobą zasypanego śniegiem i oblepionego lodem człowieka. Zaczęła machać i krzyczeć. Postać stanęła, jakby słuchała, potem odwróciła się i zaczęła odchodzić. Maeve zawyła ile sił w płucach, ale wyszedł jej pisk, do jakiego zdolna jest tylko kobieta. Postać odwróciła się ponownie i zaczęła patrzeć przez zamieć. Maeve zamachała jak najenergiczniej, postać odmachwała i ruszyła ku niej.

- Niech to nie okaże się zwiądą - błagała niebiososa.

W tym momencie postać uklękła w śniegu obok i objęła ją ramionami, które wydały się Maeve najsilniejsze, jakie spotkała w życiu.

- Dzięki Bogu. Nigdy nie straciłam nadziei, że się zjawicie.

Mężczyzna był wysoki, miał turkusową polarną kurtkę z wyszytymi na lewej piersi literami NUMA i maskę przeciwśnieżną z goglami. Kiedy zdjął gogle, ujrzała niesamowicie opalizujące zielone oczy, w których kryła się mieszanka zaskoczenia i zaintrygowania. Opalona skóra zdawała się niezbyt na miejscu na Antarktydzie.

- Co pani tu robi? - spytał nieco ochryplym głosem, w którym kryła się troska.

- W jaskini jest jeszcze dwadzieścia osób. Wyszliśmy na brzeg na wycieczkę.

Nasz statek odpłynął i nie wrócił.

Patrzył z niewiarą.

- Zostawili was?

Skinęła głową i zapatrzyła się nerwowo w zamieć.

- Czy światu przydarzyła się jakaś katastrofa? - spytała.

Zmrużył oczy.

- Nic o tym nie wiem. Dlaczego pani pyta?

- Trzy osoby z mojej grupy zmarły w tajemniczych okolicznościach, a znajdująca się na północy wyspy kolonia pingwinów została wybita do ostatniego ptaka.

Jeżeli obcy był zaskoczony tragiczną wieścią, nie dał tego po sobie poznać. Pomógł Maeve wstać.

- Lepiej będzie, jeśli gdzieś się pani schowa.

- Jest pan Amerykaninem - powiedziała drżąc z zimna.

- A pani Australijką.

- To tak oczywiste?

- Wymawia pani „a” jak „e”.

Wyciągnęła ku niemu dłoń.

- Nawet pan nie wie, jak się cieszę, panie...

- Nazywam się Dirk Pitt.

- Maeve Fletcher.

Wziął ją na ręce i cofając się jej śladami, ruszył ku jaskini.

- Proponuję dalszą konwersację w cieple. Mówi pani, że jest jeszcze dwadzieścia osób?

- Żywych.

Pitt popatrzył na nią ponuro.

- Wygląda na to, że w folderze przereklamowano tę wycieczkę.

Kiedy weszli do tunelu, postawił Maeve na ziemi i zdjął maskę. Jego twarz okalała gęsta szopa zmierzwionych czarnych włosów, oczy spoglądały spod gęstych brwi, a cała twarz, choć ogorzała i pocięta zmarszczkami, była w szorstki sposób przystojna. Usta zdawały się wykrzywione w niedbałym uśmiechu. Maeve od razu pomyślała, że jest mężczyzną, przy którym kobieta może czuć się bezpiecznie.

Minutę później zmarznięci turyści fetowali Pitta jak bohatera lokalnej drużyny futbolowej, który poprowadził zespół do zwycięstwa. Widok pojawiającego się znikąd obcego podziałał na nich jak wygrana na loterii. Zdumiało go, że jak na sytuację, w jakiej się znaleźli, byli w przyzwoitej kondycji. Starsze panie otoczyły go i zaczęły obcałowywać jak syna, mężczyźni poklepywać po plecach jak dobrego kumpla. Wszyscy gadali naraz i wykrzykiwali pytania. Maeve przedstawiła go i opowiedziała, jak spotkali się w zamieci.

- Skąd się wziąłeś, bracie? - chcieli wiedzieć wszyscy.

- Ze statku badawczego NUMY, czyli Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Prowadzimy właśnie ekspedycję w celu ustalenia przyczyn niespodziewanego zmniejszenia się w tej okolicy populacji fok i delfinów.

Lecieliśmy nad wyspą helikopterem, ale wpadliśmy w zamieć śnieżną, więc postanowiliśmy wylądować i przeczekać.

- Czy to znaczy, że jest was więcej?

- Pilot i biolog czekają w helikopterze. Zobaczyłem coś, co wyglądało na kawałek wystającego spod śniegu zodiaca, zdziwiłem się, co robi na niezamieszkaną część wyspy, i właśnie szedłem go obejrzeć, kiedy zawołała mnie pani Fletcher.

- Dobrze, że zdecydowałaś się wyjść, moje dziecko - powiedziała do Maeve osiemdziesięcioletnia babcia.

- Zdawało mi się, że słyszę nietypowy dźwięk. Musiał to być odgłos lądującego helikoptera.

- To niezwykle szczęście, że odnaleźliśmy się w środku burzy śnieżnej - stwierdził Pitt. - Nie mogłem uwierzyć, że słyszę kobiecy krzyk; do momentu, aż panią ujrzałem, byłem pewien, że to wycie wiatru.

- Gdzie jest wasz statek?

- Około czterdziestu kilometrów na północ.

- Czy widzieliście może nasz statek - „Polar Queen”?

Pitt pokręcił głową.

- Od tygodnia nie widzieliśmy żadnej jednostki.

- Nie odebraliście żadnej wiadomości przez radio? Wezwania pomocy?

- Rozmawialiśmy ze statkiem wiozącym zapasy do angielskiej stacji Halley Bay, ale nic nie wiem o statku wycieczkowym.

- Przecież nie mogli rozplynać się w powietrzu - powiedział ze zdziwieniem któryś z mężczyzn. - Nie z całą załogą i pozostałymi pasażerami.

- Zajmiemy się rozwiązaniem zagadki zaraz po tym, jak dostarczymy państwa na nasz statek. Nie

jest co prawda tak luksusowy jak „Polar Queen”, ale mamy wygodne kabiny, dobrego lekarza i kucharza, który posiada znakomitą piwniczkę z winem.

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli chcę spędzić jeszcze chwilę w tej zamrażarce - powiedział ze śmiechem zylasty hodowca owiec z Nowej Zelandii.

- Mogę naraz wcisnąć pięć, może sześć osób do helikoptera, będziemy więc musieli zrobić kilka kursów - wyjaśnił Pitt. - Ponieważ wylądowaliśmy trzysta metrów stąd, pójdę do maszyny i każę pilotowi przylecieć, żebyście nie musieli państwo brnąć przez zawieję.

- Nie ma nic lepszego od bycia odwożonym spod samego domu - powiedziała Maeve mając wrażenie, że urodziła się na nowo. - Mogę iść z panem?

- Czuje się pani na siłach?

Skinęła głową.

- Myślę, że wszyscy się ucieszą, jeśli przez chwilę nie będę nimi komenderować.

Al Giordino siedział w fotelu pilota turkusowego helikoptera NUMY i rozwiązywał krzyżówkę. Był nie wyższy od kucyka, ale zbudowany jak umocowana na dwóch słupach beczka z dwoma dźwigami zamiast ramion. Od czasu do czasu kierował hebanowe oczy na zewnątrz i nie widząc Pitta, wracał do kratek. Jego puciołowatą twarz zwieńczały kręcone ciemne włosy, a usta nieustająco wyrażały sceptycyzm wobec świata i jego spraw. Nos jednoznacznie świadczył o rzymskich przodkach.

Przyjaźnił się z Dirkiem Pittem od dzieciństwa i przez wspólne lata w lotnictwie wojskowym byli nierozdzielni. Tak samo razem zgłosili się ochotniczo do NUMY, gdzie spędzili niemal całe ostatnie czternaście lat.

- Puchaty głupek karmiący się cuchnącym zielem na osiem liter - powiedział do siedzącego za nim mężczyzny, kulącego się w zapchanym sprzętem przedziale bagażowym. Biolog spojrzał znad okazów, które nazbierał przy poprzednich lądowaniach, i uniósł brwi.

- Nie istnieje puchaty głupek.

- Jesteś pewien? Tak tu jest napisane.

Roy Van Fleet natychmiast wiedział, kiedy Giordino zaczyna mącić. Po wspólnych trzech miesiącach na morzu był na tyle mądry, żeby nie dać się nabrać na toporne włoskie dowcipasy.

- Nie wiem. Jak się zastanowię, to myślę, że może to być mongolski latający leniwiec. Spróbuj „śliniarz”.

Zauważywszy, że dowcip nie wyszedł, Giordino znów wyjrzał na zewnątrz.

- Dirk zaraz powinien wrócić.

- Ile czasu go nie ma?

- Jakieś trzy kwadransy.

Kiedy w oddali pojawiły się dwa cienie, Giordino przetarł oczy.

- Chyba idzie, tyle że w kanapce, którą przed chwilą jadłem, musiał być jakiś proszek. Wydaje mi się, że ktoś z nim jest.

- Nie ma mowy. W promieniu trzydziestu kilometrów nie znajdziesz tu żywej duszy.

- Popatrz sam.

Zanim Van Fleet schował słój z okazami do drewnianej skrzyni, Pitt otworzył luk wejściowy i pomógł Maeve Fletcher wsiąść.

Weszła do środka i odsunęła kaptur pomarańczowej kurtki. Jej włosy wypłynęły jak dwa

strumienie złota. Uśmiechnęła się.

- Witam panów. Nawet nie wiecie, jak cieszy mnie wasz widok.

Van Fleet patrzył, jakby zobaczył zmartwychwstanie. Jego mina wyrażała całkowitą niewiarę. Giordino jedynie westchnął z rezygnacją.

- Nikt inny - powiedział w przestrzeń - tylko Dirk Pitt może wyjść na nie zamieszkanym antarktycznym zadupiu w burzę śnieżną i znaleźć piękną dziewczynę.

4

W niecałą godzinę po zaalarmowaniu „Ice Huntera”, statku badawczego NUMY, kapitan Paul Dempsey nie zważając na lodowatą bryzę wyszedł obserwować lądującego na pokładzie Giordina. Z wyjątkiem kucharza, który rzucił się do przygotowania posiłków, i głównego mechanika, który musiał pozostać pod pokładem, cała załoga wraz z naukowcami i technikami wyległa na zewnątrz, by pozdrowić pierwszą grupę zmarzniętych i wygłodniałych turystów przybywających z Wyspy Seymoura.

Kapitan Dempsey wychował się na rancho w górach Beartooth, rozpościerających się po obu stronach Wyoming i Montany. Po maturze uciekł na morze i pracował na kutrach rybackich wokół wyspy Kodiak u wybrzeży Alaski. Za kołem polarnym zakochał się w pokrytych lodem morzach. Po zdobyciu patentu kapitańskiego otrzymał dowództwo na holowniku ratowniczym. Nieważne, jak wysoka była fala ani jak silny wiatr, po otrzymaniu wezwania od statku w potrzebie Dempsey nigdy nie wahał się podejmować walki z najsilniejszymi sztormami, jakie znała zatoka Alaska. W ciągu piętnastu lat dzięki jego odwadze została uratowana niezliczona liczba kutrów rybackich, sześć obsługujących ruch przybrzeżny frachtowców, dwa tankowce i należący do wojska niszczyciel, a efektem narosłej wokół niego legendy stała się postawiona obok doku w porcie Seward statua z brązu, co bardzo krępowało Dempseya. Zmuszony do przejścia na emeryturę, kiedy zatrudniające go towarzystwo ratownicze zjadły długie, przyjął złożoną mu przez dyrektora NUMY, admirała Jamesa Sandeckera, propozycję objęcia stanowiska kapitana na statku badawczym agencji, „Ice Hunterze”.

Znak firmowy Dempseya, rzeźbiona fajka z korzenia wrzośca, zawsze zwisała z kącika jego zaciśniętych, ale wesołych ust. Był typowym kapitanem holownika - szerokim w barach, o potężnej piersi, zwykle stojącym na szeroko rozstawionych nogach, teraz jednak wyglądał nieco inaczej. Patrząc na gładko ogolonego mężczyznę, z uczesаныmi siwymi włosami i uśmiechem sugerującym, że lubi opowiadać morskie historyjki, można by go wziąć za jowialnego kapitana statku turystycznego.

Kiedy koła śmigłowca osiadły na pokładzie, zrobił dwa kroki do przodu. Tuż za nim szedł lekarz pokładowy, doktor Moose Greenberg. Wysoki i szczupły doktor wiązał długie ciemne włosy w kucyk. Jego zielononiebieskie oczy zazwyczaj żywo migotały i tak jak w wypadku każdego sumiennego i oddanego swemu powołaniu lekarza, unosiła się wokół niego aura każąca natychmiast mu zaufać.

Doktor Greenberg podszedł do śmigłowca razem z czterema marynarzami, którzy nieśli nosze, aby pomóc nie mogącym samemu iść starszym pasażerom. Nachylił głowę przed zwalnającymi łopatom wirnika i otworzył tylny właz. Dempsey podszedł do kokpitu i dał znak Giordinowi, aby odsunął okienko. Krępy Włoch zrobił, co mu kazano, i wystawił głowę na zewnątrz.

- Pitt jest z wami? - spytał Dempsey przekrzykując huk silnika.

Giordino pokręcił głową.

- Poszedł z Van Fleetem zbadać zdechłe pingwiny.

- Ilu przywiózł pan pasażerów?

- Udało nam się wepchnąć sześć najstarszych kobiet. Będziemy musieli zrobić jeszcze cztery kursy. Trzy żeby przywieźć turystów i czwarty, żeby przywieźć Pitta, Van Fleeta, przewodniczkę i trójkę zmarłych, którzy leżą teraz w starej szopie.

Dempsey stał w obrzydliwej mieszance śniegu i marznącego deszczu.

- Trafi pan do nich w tej zupie?

- Polecę na sygnał nadajnika Pitta.

- W jakim stanie są turyści?

- W lepszym niż można by się spodziewać. Pitt kazał przekazać doktorowi Greenbergowi, że jego głównym zmartwieniem będzie zapalenie płuc.

Przenikliwie zimno dobrze nadszarpnęło siły starszych państwa i nic dziwnego, że stracili odporność.

- Mają jakieś podejrzenie, co się stało z ich statkiem?

- Przed zejściem na brzeg przewodniczka dowiedziała się od pierwszego oficera, że zamierzają popłynąć dwadzieścia kilometrów na północ, aby wysadzić na brzeg drugą grupę. Po odpłynięciu statek nie nawiązał z nią kontaktu.

Dempsey lekko poklepał Giordina po ramieniu.

- Spieszcie się i nie przemoczcie nóg. - Podszedł do tylnego luku i przedstawił się wysiadającym zmęczonym i przemarzniętym pasażerom „Polar Queen”.

Owinął kocem wynoszoną na noszach osiemdziesięcioletnią.

- Witamy na pokładzie - powiedział najmilej, jak umiał. - Mamy gorącą zupę, kawę i miękkie łóżko w kabinie oficerskiej.

- Z wami zawsze to samo - odparła słodkiutko. - Wolę herbatę.

- Pani życzenie jest mi rozkazem. Dla pani herbata raz!

- Dziękuję, kapitanie - odparła ściskając mu rękę.

Zaraz po wyładowaniu ostatniego pasażera Dempsey machnął Giordinowi, że może odlatywać, a pilot natychmiast uniósł się w powietrze. Dempsey patrzył na turkusowy helikopter, aż znikł za białą zasłoną. Zapalił nieodłączną fajkę i stał samotnie na lądowisku helikoptera, podczas gdy pozostali pospieszili do wnętrza statku. Rozumiał, że na wzburzonym morzu statek może znaleźć się w potrzebie, ale kapitan zostawiający pasażerów na bezludnej wyspie i to w tak ostrych warunkach pogodowych... nie, to nie mieściło mu się w głowie.

„Polar Queen” musiał odpłynąć znacznie dalej niż dwadzieścia pięć kilometrów od starej stacji wielorybniczej. Nie było w tym zakresie najmniejszej wątpliwości. Radar „Ice Huntera” miał zasięg stu dwudziestu kilometrów i nie pokazywał żadnej jednostki.

Kiedy Pitt, Maeve Fletcher i Van Fleet doszli do kolonii pingwinów, zawieja zdecydowanie osłabła. Australijska zoologka i amerykański biolog natychmiast zapałali do siebie przyjaźnią. Pitt szedł za nimi w milczeniu, słuchając, jak porównują swoje uniwersytety i szukają wspólnych znajomych. Maeve męczyła Van Fleeta pytaniami związanymi z jej doktoratem, on dopytywał o szczegóły masowej śmierci najukochańszych na świecie ptaków.

Sztorm wyniósł leżące najbliżej brzegu padnięte zwierzęta na morze, zdaniem Pitta między kamieniami i skałami musiało być jednak rozrzuconych przynajmniej czterdzieści tysięcy martwych ptaków, wyglądających jak wypełnione mokrym zbożem worki. Wraz ze słabnięciem wiatru i deszczu

widoczność wzrosła niemal do kilometra.

Zlatywały się petrele olbrzymie - sępy oceanu. Przy całym majestacie szybowania w powietrzu i wdzięcznym wyglądzie, są to bezlitośni czyściciele. Pitt i pozostała dwójka przyglądała się z obrzydzeniem, jak olbrzymie ptaki błyskawicznie prują brzuchy nieruchomych ofiar, wbijają głęboko dzioby i wyciągają łby czerwone i umazane trzewiami oraz skrzepniętą krwią.

- Nie jest to widok, jaki chciałoby się pamiętać - stwierdził Pitt.

Van Fleet nic nie rozumiał. Odwrócił się ku Maeve, jego wzrok wyrażał najwyższe zdumienie.

- Widzę na własne oczy, co się stało, ale trudno mi pojąć, jak tyle zebranych na jednym terenie zwierząt mogło zginąć w tak krótkim czasie.

- Bez względu na to, jaki był powód ich śmierci, jestem pewna, że to samo zabiło dwie osoby z mojej grupy i marynarza, który przywiózł nas na brzeg.

Van Fleet ukląkł i zaczął badać pingwina.

- Brak oznak zranienia, nie ma śladów choroby ani zatrucia. Ciało wydaje się tłuste i zdrowe.

Maeve spojrzała mu przez ramię.

- Jedyną niezwykłą rzeczą, jaką udało mi się stwierdzić, jest wytrzeszcz oczu.

- Faktycznie. Gałki oczne wydają się znacznie większe.

Pitt popatrzył uważnie na Maeve.

- Kiedy niosłem panią do jaskini, powiedziała pani, że wszystkie trzy osoby zmarły w tajemniczych okolicznościach.

Skinęła głową.

- Zostaliśmy zaatakowani przez jakąś dziwną siłę, niewidoczną i bezcielesną. Nie mam pojęcia, co to mogło być, jedno mogę powiedzieć - przez przynajmniej pięć minut miałam wrażenie, że wybuchnie mi mózg. Ból był nie do wytrzymania.

- Sądząc po niebieskawym zabarwieniu ciał, które pokazałaś mi w baraku - powiedział Van Fleet - można zaryzykować hipotezę, że przyczyną śmierci było zatrzymanie pracy serca.

Pitt rozglądał się po arenie koszmarnego zniszczenia.

- Niemożliwe, żeby troje ludzi, niezliczona liczba pingwinów i ponad pięćdziesiąt lampartów morskich zmarło nagle na serce.

- Musi istnieć jakaś wspólna przyczyna.

- Czy widzisz jakiś związek pomiędzy tutejszymi wydarzeniami a ławicą delfinów, którą znaleźliśmy na Morzu Weddella, albo stadem fok wyrzuconych na brzeg wyspy Vega, z których każda sztuka była bardziej martwa od kawała drewna? - zapytał Pitt.

Biolog wzruszył ramionami.

- Jeszcze za wcześnie, aby wypowiadać się w tym zakresie, zwłaszcza bez przeprowadzenia dokładnych badań, ale wydaje mi się, że istnieje związek.

- Badałeś je laboratoryjnie? - spytała Maeve.

- Przeprowadziłem sekcję dwóch fok i trzech delfinów i nie znalazłem niczego, co mogłoby uzasadniać jakąś sensowną teorię, u wszystkich egzemplarzy stwierdziłem jednak wewnętrzne krwawienia.

- Delfiny, foki, ptaki i ludzie - powiedział cicho Pitt. - Wszystkie te gatunki są mało odporne na krwawienia wewnętrzne.

Van Fleet ponuro kiwnął głową.

- Nie wspominając o bliżej nie określonej liczbie kałamarnic i żółwi morskich wyrzuconych na

brzegi Pacyfiku oraz milionach martwych ryb, które znaleziono w ciągu ostatnich dwóch miesięcy u wybrzeży Peru i Ekwadoru.

- Jeżeli to się nie skończy, trudno przewidzieć, ile wyginie żyjących pod wodą i nad nią gatunków. - Pitt popatrzył w niebo i wsłuchał się w odległy jeszcze dźwięk helikoptera. - Co wiemy poza tym, że tajemnicza plaga zabija bez wyboru każdą żywą istotę w morzu i powietrzu?

- I to w ciągu niewielu minut - dodała Maeve.

Van Fleet wstał. Wyglądał na wstrząśniętego.

- Jeżeli nie ustalimy - i to cholernie szybko - czy przyczyna jest naturalna, czy wywołana działaniem człowieka, wkrótce oceany mogą zostać pozbawione życia.

- Nie tylko oceany. Nie zapominaj, że to coś zabija także na lądzie - przypomniała Maeve.

- Nie chcę nawet myśleć o takiej możliwości.

Przez długie minuty nikt się nie odzywał, próbowali jedynie zrozumieć kryjącą się gdzieś potencjalną katastrofę.

- Wygląda na to - powiedział w końcu Pitt z zamyślonym wyrazem twarzy - że sami wybraliśmy to, co robimy.

5

Pitt uważnie studiował monitor, ukazujący komputerowo korygowany satelitarny obraz Półwyspu Antarktycznego i otaczających go wysp. Odchylił się do tyłu, pozwolił przez chwilę odpocząć oczom i wyjrzał przez barwione szkło w oknach mostka „Ice Huntera” na przebijające się powoli przez chmury słońce. Była jedenasta wieczór, ale tak blisko bieguna południowego latem praktycznie całą dobę jest dzień.

Pasażerowie „Polar Queen” zostali nakarmieni i położeni do łóżek w komfortowych kajutach, wielkodusznie oddanych przez członków załogi i naukowców, którzy ścieśnili się w pozostałych. Doktor Greenberg zbadał wszystkich i nie stwierdził u nikogo trwałego uszczerbku na zdrowiu ani znaczących urazów psychicznych. Z ulgą zdiagnozował jedynie kilka lekkich przeziębień. Nie było ani jednego przypadku zapalenia płuc. Van Fleet i Maeve Fletcher przeprowadzali w znajdującym się dwa poziomy nad szpitalem laboratorium pośmiertne badania pingwinów i fok, które przywieźli drogą powietrzną z wyspy. Ciała zmarłych ludzi zostały włożone do lodu i czekały na przekazanie w ręce patologa.

Pitt przebiegł wzrokiem po potężnym podwójnym dziobie „Ice Huntera”. Nie była to przerobiona na statek badawczy byle krypa, lecz pierwszy statek badawczy świata, stworzony przy użyciu komputerów pracujących na podstawie danych przekazanych przez oceanografów. Statek unosił się wysoko nad wodę na podwójnym kadłubie, w którym umieszczono potężne maszyny i wyposażenie pomocnicze. Zaokrąglone zgodnie z modą ery lotów kosmicznych nadbudówki były pełne technicznych finezji i futurystycznych innowacji. Kwatery załogi i naukowców mogły rywalizować z apartamentami luksusowych liniowców pasażerskich. Choć bardzo smukły i z wyglądu delikatny, statek był wołem roboczym, stworzonym do sunięcia jak po maśle przy gwałtownej fali i najgorszych szkwałach. Trójkątne w przekroju kadłuby mogły ciąć i rozbijać wielometrowej grubości pokrywę lodową.

Admirał James Sandecker, dyrektor Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, towarzyszył budowie „Ice Huntera” od pierwszego komputerowego szkicu po dziewiczy rejs wokół Grenlandii. Był dumny z każdego centymetra turkusowego kadłuba i lśniących bielą nadbudówek.

Sandecker był mistrzem wydzierania nowemu Kongresowi pieniędzy z gardła i przy budowie i wyposażeniu „Ice Huntera” nie oszczędzano na niczym. Bez dwóch zdań był to najpiękniejszy kiedykolwiek zbudowany polarny statek badawczy.

Pitt odwrócił się i ponownie skoncentrował na przekazywanym przez satelitę obrazie.

Nie czuł wyczerpania. Dzień był długi i męczący, ale pełen emocji, szczęścia i radości z uratowania ponad dwudziestu osób oraz zmartwienia na widok leżących po horyzont martwych zwierząt. Katastrofa była niepojęta. Po okolicy krążyło coś tajemniczego i groźnego, jakaś zaprzeczająca logice ohyda.

Przerwało mu wejście Giordina i kapitana Dempseya, którzy wysiedli z windy chodzącej pomiędzy skrzydłem mostka a znajdującymi się piętnaście pokładów niżej trzewiami maszynowni.

- Macie jakiś ślad „Polar Queen” z kamer satelitarnych? - spytał Dempsey.

- Nic, co można by jednoznacznie zidentyfikować jako statek - odparł Pitt. - Śnieg zamazuje obraz.

- A co z radiem?

Pitt pokręcił głową.

- Jakby go porwali Marsjanie. Radionamiar nie złapał najmniejszego sygnału. Jeśli już przy tym jesteśmy, to dodam, że argentyńska stacja też nie odpowiada.

- Bez względu na to, co się stało ze statkiem i załogą, musiało nastąpić tak szybko, że biedacy nie zdążyli nadać SOS - stwierdził Dempsey.

- Czy Van Fleet i Fletcher coś odkryli, co wyjaśniałoby przyczynę śmierci?

- Wstępne badania wykazują, że u wszystkich zwierząt popękały arterie u podstawy czaszki powodując wewnętrzne krwawienia. Więcej nie umiem powiedzieć.

- Wygląda na to, że mamy do czynienia z zagrożeniem, które z tajemniczego zmieniło się w enigmatyczne, a z niejasnego w zagadkowe i nie widać w perspektywie rozwiązania - stwierdził filozoficznie Pitt.

- Jeżeli „Polar Queen” nie dryfuje w pobliżu ani nie osiadł na dnie Morza Weddella - powiedział zamyślony Giordino - możemy mieć do czynienia z porwaniem.

Pitt uśmiechnął się i wymienił z Giordinem znaczące spojrzenia.

- Jak w przypadku „Lady Flamborough”?

- Przeszło mi to przez myśl.

Dempsey popatrzył w sufit, aby przypomnieć sobie incydent.

- Mówicie o statku wycieczkowym porwanym przez terrorystów kilka lat temu w Punta del Este?

Giordino skinął głową.

- Na pokładzie tamtego statku były jadące na konferencję gospodarczą głowy państw. Terrorysty przepłynęli przez Cieśninę Magellana, wpłynęli do chilijskiego fiordu i zacamowali pod lodowcem. Dirk ich tam wyszedł.

- Zakładając prędkość podróżną osiemnaście węzłów, terrorysty mogli już przepłynąć „Polar Queen” pół drogi do Buenos Aires - oszacował Dempsey.

- Nie wydaje mi się to prawdopodobne - stwierdził Pitt. - Nie widzę żadnego sensownego powodu, dlaczego terrorysty mieliby porywać pływający po Antarktydzie statek z turystami.

- Jaka jest twoja hipoteza?

- Uważam, że płynie albo dryfuje zataczając koła i znajduje się nie dalej niż dwieście kilometrów stąd. - Pitt powiedział to z takim przekonaniem, jakby nie dopuszczał innej możliwości.

- Wiesz coś, o czym my nie wiemy?

- Założę się, że to samo zjawisko, które zabiło dwoje znajdujących się poza jaskinią turystów i marynarza, zabiło też załogę „Polar Queen”.

- Niemiła to myśl, ale wyjaśniałaby, dlaczego nie wrócili po grupę na ładzie - rzekł Giordino.

- Nie zapominajmy, że dwadzieścia kilometrów na północ miała zostać wysadzona na brzeg druga grupa - przypomniał Dempsey.

- To się robi coraz gorsze - mruknął Giordino.

- Polecę z Alem poszukać tej drugiej grupy. - Pitt kontemplował obraz na monitorze. - Jeżeli nikogo nie znajdziemy, sprawdzimy argentyńską stację.

Tam też mogą nie żyć.

- Na Boga, co spowodowało nieszczęście?

Pitt zrobił nieokreślony gest rękami.

- Żadna ze znanych przyczyn niszczenia życia w okolicach mórz nie pasuje do tej łamigłówki. Nie występują tu odpowiedzialne za masowe wyniszczanie ryb czynniki naturalne takie jak zmiany temperatury wód przybrzeżnych ani gwałtowne kwitnienie alg, które określamy jako „czerwony przypływ”. Nic takiego tu nie ma.

- Pozostaje zanieczyszczenie spowodowane przez człowieka.

- Trudno czynić tu odpowiedzialnym człowieka - zaproponował Pitt. - W promieniu tysięcy kilometrów nie ma źródeł zanieczyszczeń przemysłowych, radioaktywne albo chemiczne odpady nie zabiłyby w tak krótkim czasie tylu pingwinów, zwłaszcza tych, które znajdowały się daleko od wody.

Obawiam się, że mamy do czynienia z nie znanym dotychczas zagrożeniem.

Giordino wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki olbrzymie cygaro. Pochodziło z osobistego zapasu admirała Sandeckera, takie cygara robiono wyłącznie na jego użytek. Jak się okazywało, także na użytek Giordina, choć nigdy nie odkryto, w jaki sposób od przynajmniej dziesięciu lat zdobywa sobie dostęp do zapasów admirała. Przytknął do grubego końca płomień zapalniczki i wydmuchał chmurę aromatycznego dymu.

- Świetnie - powiedział rozkoszując się smakiem cygara. - No to co teraz?

Dempsey skrzywił się od zapachu cygara.

- Porozumiałem się z dyrekcją Rupperta i Saundersa, armatorem „Polar Queen”, i zapoznałem ich z sytuacją. Postanowili nie tracić czasu na poszukiwania lotnicze. Kazali zawieźć uratowanych turystów na Wyspę Króla Jerzego, ma tam lądowisko angielska stacja badawcza. Sami się zajmą dostarczeniem

ich stamtąd do Australii.

- Przed czy po tym jak rozejrzemy się za „Polar Queen”? - wtrącił Giordino.

- Żywi przede wszystkim - z powagą odparł Dempsey. Ponieważ był kapitanem, decyzja należała do niego. - Wy dwaj sprawdźcie z helikoptera linię brzegową, a ja ruszam w kierunku Wyspy Króla Jerzego. Kiedy bezpiecznie wysadzimy pasażerów, zaczniemy szukać statku.

Giordino uśmiechnął się ironicznie.

- W tym czasie Morze Weddella będzie się roić od statków ratowniczych.

- To nie nasz problem. NUMA nie jest firmą ratowniczą.

Pitt wyłączył się z rozmowy i podszedł do stołu, na którym leżała wielka mapa Morza Weddella. Próbował pohamować instynkt i zmusić się do racjonalnego myślenia. Wyłączył „nosa”, włączył mózg. Próbował sobie wyobrazić, że jest na pokładzie „Polar Queen” w momencie, kiedy nawiedza

statek katastrofa. Giordino i Dempsey zamilkli i zaczęli mu się przyglądać.

Po mniej więcej minucie uniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Jeżeli wpisujemy odpowiednie dane do analizatora, powinien wskazać lokalizację dającą sporą szansę, że ich znajdziemy.

- Czym, twoim zdaniem, powinniśmy nakarmić Mózgownicę? - Dempsey w ten sposób określał każde urządzenie współpracujące z komputerem statku.

- Wszystkimi danymi dotyczącymi prędkości wiatru i prądów morskich z ostatnich czterech dni, które mogły oddziaływać na masę wielkości „Polar Queen”. Jeżeli obliczymy parametry dryfu, może się dowiemy, w jakim kierunku i jak daleko mógł popłynąć z martwą załogą na pokładzie.

- A jeśli nie masz racji i nie zatacza kół, gdyż miał ster ustawiony na kurs na wprost?

- Wtedy może być półtora tysiąca kilometrów stąd na środku południowego Atlantyku, daleko poza zasięgiem naszego systemu namiarów satelitarnych.

- Ale nie wierzysz w to - powiedział Giordino.

- Nie. Jeżeli jakkolwiek wskazówką może być ilość śniegu i lodu, jaką sztorm pokrył nasz statek, to „Polar Queen” może mieć go na nadbudówkach tyle, że przestał być widoczny dla satelity.

- Aż tyle, żeby uchodzić za górę lodową?

- Raczej za pokryty śniegiem półwysep.

Dempsey popatrzył nie rozumiejąc.

- Zgubiłem się.

- Założę się o swoją państwową pensję, że znajdziemy „Polar Queen” wyrzucony na brzeg półwyspu albo którejs z okalających wysp.

6

Pitt i Giordino odlecieli o czwartej rano, kiedy większość załogi „Ice Huntera” jeszcze spała. Nicco się ociepliło, morze było spokojne, a z nieba zniknęły chmury. Wiatr osłabł do dziesięciu kilometrów na godzinę i wiał z południowego zachodu. Pitt pilotował. Ruszyli na początek w kierunku starej stacji wielorybniczej, potem skręcili na północ w poszukiwaniu drugiej grupy turystów z „Polar Queen”.

Kiedy przelatywali nad terenem, gdzie zginęły pingwiny, Pitt nie był w stanie otrząsnąć się ze smutku. Jak okiem sięgnąć, brzeg był zasłany ciałami komicznych ptaków. Pingwiny Adeli są stworzeniami osiadłymi i nigdy nie przenosiły się tu osobniki z innych znajdujących się wokół Półwyspu Antarktycznego kolonii. Nieliczne niedobitki, którym może udało się uniknąć śmierci, będą potrzebowały dwudziestu lat albo i więcej, aby odtworzyć populację Wyspy Seymoura. Na szczęście nawet tak liczna redukcja nie zagrażała gatunkowi.

Kiedy zniknął za nimi ostatni martwy ptak, Pitt obniżył wysokość do pięćdziesięciu metrów i leciał nad samym brzegiem, wypatrując najmniejszego znaku po turystach. Giordino obserwował przez boczne okienko, szukając między pływającą po otwartym morzu krą śladu „Polar Queen”. Od czasu do czasu zaznaczał coś na trzymanej na kolanach mapie.

- Gdybym za każdą górę lodową na Morzu Weddella dostawał dziesięć centów - mruknął - mógłbym wykupić General Motors.

Pitt spojrział mu przez ramię na labirynt zamrożonych mas, które oderwały się od Lodowca Szelfowego Larsena i były pchane przez wiatr i prąd na północny zachód ku cieplejszym wodom, gdzie pękały na tysiące mniejszych gór. Trzy z nich miały wielkość niewielkich miast, niektóre

sięgały trzysta metrów w głąb i wystawały nad wodę na dziesięć pięter. Wszystkie były oślepiająco białe, pokryte błękitnymi i zielonkawymi plamami. Łód tych pływających gór powstał w zamierzchłych czasach ze sprasowanego śniegu, nie wiadomo ile setek lat temu oderwały się od kontynentu i zaczęły poruszać ku otwartemu morzu dążąc ku powolnemu, ale nieuniknionemu stopieniu się.

- Myślę, że mógłbyś jeszcze dokupić Forda i Chryslera, - Jeżeli „Polar Queen” zderzył się z którąś z gór, mógł pójść na dno w szybszym czasie, niż to mówię.

- Wolalbym o tym nie myśleć.

- Widzisz coś?

- Szare skały wystające z bieli. Powiedziałbym: sterylna monotonia.

Giordino zrobił kolejny znak na mapie i sprawdził, ile przelecieli.

- Dwadzieścia kilometrów od stacji wielorybniczej i nawet śladu turystów.

Pitt potaknął.

- Też nie widzę nic człekopodobnego.

- Maeve Fletcher powiedziała, że mieli zamiar wysadzić ich przy kolonii fok.

- Foki. - Pitt wskazał w dół. - Jest ich jakaś setka i też nie żyją.

Giordino uniósł się w fotelu i wyjrzał przez boczne okienko. Pitt przechylił helikopter, by dać mu lepszy widok. Żółtobrazowe korpusy wielkich słoń morskich ciągnęły się przez niemal kilometr. Z wysokości pięćdziesięciu metrów można było sądzić, że śpią, ale wystarczyło się dokładnie przyjrzeć, by dostrzec brak jakiegokolwiek ruchu.

- Nie wygląda mi na to, że druga grupa zeszła na brzeg - stwierdził Giordino.

Nie było nad czym dalej dyskutować, Pitt skorygował więc nieco kurs i poleciełi równoległe do brzegu, kilkadziesiąt metrów od linii wody.

- Następny przystanek: argentyńska stacja badawcza.

- Powinna się pokazać lada chwila.

- Wolę nie myśleć o tym, co zastaniemy - westchnął Pitt.

- Spróbuj spojrzeć na sytuację optymistycznie. Może stwierdzili jak jeden mąż, że mają wszystko gdzieś i pojechali do domu.

- Nie łudź się. Stacja ma ogromne znaczenie dla badań meteorologicznych.

Jest jedną z pięciu na świecie czynnych cały rok stacji mierzących stan antarktycznej dziury ozonowej.

- Co nowego słyszeć w tej sprawie?

- Warstwa ozonu znacznie się zmniejszyła nad obydwoma półkulami - odparł Pitt z powagą. - Od otwarcia się dziury nad biegunem północnym, przypominająca zmianami kształtu amebę dziura na południu poruszana przez wiatry polarne zgodnie z ruchem wskazówek zegara dotarła nad Chile i Argentynę do czterdziestego piątego równoleżnika. Minęła południową Nową Zelandię na wysokości Christchurch. Rośliny i zwierzęta w tym regionie dostały dotychczas nie notowaną dawkę promieniowania ultrafioletowego.

- Czyli będziemy musieli zacząć się smarować kremem - sardonicznie stwierdził Giordino.

- To najmniejszy problem. Znacznie poważniejsze jest, że nawet nie wielki nadmiar ultrafioletu poważnie niszczy uprawy, i to od ziemniaków po brzoskwinie. Jeżeli poziom ozonu spadnie jeszcze o kilka procent, na świecie może dojść do znaczącego spadku plonów.

- Kreślisz ponurą wizję.

- To nie wszystko. Dodaj do tego rosnącą temperaturę na planecie i wzmaganie się aktywności wulkanicznej, a może się okazać, że w ciągu najbliższych dwustu lat poziom mórz i oceanów podniesie się od trzydziestu do dziewięćdziesięciu metrów. Zmieniamy Ziemię w przerażający sposób, którego jeszcze nie pojmujemy.

- Jest! - gwałtownie wykrzyknął Giordino i wyciągnął rękę. Wylecieli zza grani opadającej stromo ku morzu skały. - Wygląda raczej jak miasteczko frontowe, a nie naukowa stacja badawcza.

Stacja składała się z dziesięciu budynków. Argentyńczycy wybudowali ją na masywnych stalowych ramach, na których opierały się kuliste kopuły. Puste w środku ściany wypełniono warstwą izolacyjną chroniącą od wiatru i niskich temperatur. Umocowane na kopułach szeregi anten do zbierania danych wyglądały jak pozbawione liści drzewa. Giordino próbował złapać kogoś przez radio, Pitt okrążał budynki.

- Cicho jak w grobie - smętnie powiedział Giordino zdejmując słuchawki.

- Nie macha nam też komitet powitalny.

Pitt bez słowa posadził helikopter tuż obok największego budynku, wirnik wzniósł przy tym chmurę drobnych kryształków lodu. Niedaleko stały opuszczone, zasypane śniegiem dwie pary motosań i traktor śnieżny. Nie było śladów stóp, z kominów nie unosił się dym. Brak dymu czy chociaż pary wodnej świadczył o tym, że mieszkańców nie ma albo nie żyją. Stacja wyglądała na opuszczoną. Pitt rozejrzał się i stwierdził, że pokrywający wszystko śnieg nadaje jej upiorny wygląd.

- Weźmy łopaty. Chyba będziemy musieli odkopać wejścia - stwierdził.

Nie potrzeba było wielkiej wyobraźni, by oczekiwać najgorszego. Wysiedli ze śmigłowca i zaczęli brnąć przez śnieg do wejścia głównego budynku. Drzwi były zasypane przez przynajmniej dwa metry puchu. Po dwudziestu minutach odgarnęli go na tyle, by móc wejść.

Giordino skłonił się lekko i powiedział:

- Za tobą.

Pitt nigdy nie wątpił w odwagę Giordina. Mały Włoch nie bał się niczego, jego zachowanie było częścią rutynowej procedury, którą stosowali dziesiątki razy. Pitt prowadził, a Giordino osłaniał mu plecy przed zagrożeniem z boków i z tyłu. Weszli do krótkiego tunelu, który kończył się kolejnymi grubo izolowanymi drzwiami. Po otwarciu ich znaleźli się w długim korytarzu, który wychodził na pomieszczenie będące kombinacją jadalni i klubu. Giordino podszedł do zamocowanego na ścianie termometru.

- Poniżej zera.

- Ktoś nie dopilnował ogrzewania.

Nie musieli iść daleko, by odkryć pierwszego mieszkańca stacji.

Najdziwniejsze w jego wyglądzie było to, że nie sprawiał wrażenia martwego. Klęczał na podłodze z dłońmi na blacie stołu i otwartymi oczami wpatrywał się w Pitta i Giordina, jakby spodziewał się ich przybycia. W jego postawie było coś nienaturalnie groźnego i zwiastującego nieszczęście. Był potężnej postury, prawie łysą czaszką otaczał wianuszek ciemnych włosów na skroniach i potylicy. Jak większość naukowców, spędzających miesiące czy nawet lata na samotnych placówkach, przestał się golić, długa czarna broda była jednak pięknie wyczesana. Niestety została zapaskudzona, kiedy zwymiotował.

Najbardziej przerażający na zamarzniętej, przypominającej marmurową rzeźbę twarzy - na sam widok Pittowi zjeżyły się włosy na karku - był wyraz skrajnego lęku i przedśmiertnego cierpienia.

Oczy mężczyzny były wytrzeszczone, usta wykrzywione w ostatnim krzyku. Bez wątpienia zmarł

w nieludzkich męczarniach i opanowany panicznym strachem. Białe w białe paznokcie białej dłoni były połamane, przy trzech zamarły krople krwi w czerwone kryształki. Pitt nie był lekarzem i nigdy nie zamierzał nim zostać, ale bez trudu mógł określić, że mężczyzna nie zeszytywniał z powodu rigor mortis, lecz zamarł.

Giordino obszedł kontuar i wszedł do kuchni. Wrócił po chwili ze słowami:

- Jest tam dwóch następnych.

- Chyba potwierdzą się nasze najgorsze oczekiwania - powiedział Pitt. - Gdyby ktoś przeżył, włączyłby silniki napędzające generatory prądu i ogrzewania.

Giordino popatrzył w prowadzące do kolejnych budynków korytarze.

- Nie jestem w nastroju do siedzenia tutaj. Proponuję opuścić to miejsce i zawiadomić „Ice Huntera” ze śmigłowca.

Pitt popatrzył na niego karcąco.

- Czyli proponujesz, żebyśmy przekazali piłęczkę kapitanowi Dempseyowi i zrzucili na niego niewdzięczne zadanie powiadomienia Argentyńczyków, że elitarna grupa naukowców, prowadząca ich najważniejszą stację polarną, opuściła w tajemniczych okolicznościach ten padół łoż.

Giordino niewinnie wzruszył ramionami.

- Wydaje się to najdelikatniejszym rozwiązaniem.

- Nigdy byś sobie nie wybaczył, gdybyś zwał nie przeszukując stacji.

- Co na to poradzę, że mam niezwykle zamiłowanie do ludzi, którzy żyją i oddychają?

- Znajdź generatory, naley paliwa do pomocniczych silników, uruchom je i włącz prąd. Potem idź do pomieszczenia komunikacyjnego i zawiadom Dempseya, a ja sprawdzę resztę stacji.

Pitt znalazł pozostałych tam, gdzie poumierali. Wszyscy mieli na twarzach wyryty ten sam wyraz nieopisanego cierpienia. Kilku zmarło w laboratorium i centrum pomiarowym, trzech - wokół służącego do badania warstwy ozonowej spektrofotometru. Pitt naliczył w sumie szesnaście rozrzuconych po całej stacji ciał, w tym cztery kobiety. Wszyscy mieli wytrzeszczone oczy i rozwarte szeroko usta i wszyscy przed śmiercią z wymiotowali. Każdy zmarł w przerażeniu i cierpieniu, zamarł w pozycji, w jakiej dopadła go agonia. Pittowi przypomniały się gipsowe odlewy ludzi, którzy zginęli w Pompejach.

Ciała zamarły w przedziwnych, nienaturalnych pozycjach. Nikt nie leżał na podłodze, jakby normalnie się przewrócił, większość sprawiała wrażenie, że nagle straciła równowagę i rozpaczliwie złapała się czegoś, by nie upaść. Kilka trupów trzymało się kurczowo wykładziny na podłodze, dwa lub trzy ścisnęły skronie. Pitt był tym mocno zaintrygowany i chcąc sprawdzić, czy nie ma na głowach śladów ran albo choroby, spróbował odciągnąć dłonie, zdawało się jednak, że przymocowano je do skroni i uszu na stałe.

Wymiociny sugerowały, że śmierć nastąpiła z powodu ostrej choroby albo zatrutego jedzenia, Pittowi nie wydało się to jednak prawdopodobne, nie ma bowiem schorzenia ani trucizny żywnościowej, które byłyby w stanie zabijać tak szybko. Kiedy szedł w kierunku pomieszczenia nadawczego, zaczęła mu kielkować pewna teoria. Niestety jego myśli przerwał widok siedzącego na biurku trupa, co wyglądało jak monstrualna ceramika.

- Skąd on się tu wziął?

- Ja go posadziłem - odparł Giordino nie podnosząc wzroku znad radia. - Jest tylko jedno krzesło i uznałem, że mnie się bardziej przyda.

- Siedemnasty.

- No to komplet.
- Masz Dempseya?
- Stoi przy telefonie. Chcesz z nim rozmawiać?

Pitt przechylił się nad Giordino i zaczął mówić do słuchawki telefonu satelitarnego, który mógł go połączyć niemal z każdym punktem na Ziemi.

- Tu Pitt. Jesteś tam, kapitanie?
- Dawaj, Pitt. Słucham.
- Czy AI wprowadził cię w sytuację?
- Krótko. Jeśli uważasz, że wszyscy zginęli, natychmiast zawiadamiam władze Argentyny.
- Uznaj, że tak jest. Jeżeli nie pominąłem żadnego w szafie ani pod łóżkiem, to mamy siedemnaście zwłok.
- Siedemnaście. Zrozumiałem. Jesteś w stanie określić przyczynę śmierci?
- Nie. Żadnego z widocznych objawów nie znajdziesz w domowym leksykonie medycznym. Będziemy musieli poczekać na opinię patologa.
- Może zainteresuje cię, że pani Fletcher i Van Fleet wyeliminowali jako przyczynę śmierci pingwinów i fok zakażenie wirusowe i zatrucie.
- Wszyscy na stacji przed śmiercią wymiotowali. Poproś, żeby to wyjaśniono.
- Już notuję. Znaleźliście ślad drugiej grupy turystów?
- Nie. Pewnie w ogóle nie zeszli ze statku.
- Dziwne.
- No to co mamy?

Dempsey ciężko westchnął.

- Wielką łamigłówkę ze zbyt wieloma brakującymi elementami.
- Po drodze minęliśmy kolonię martwych fok. Ustaliłeś zasięg oddziaływania kataklizmu?
- Angielska stacja dwieście kilometrów na południe od ciebie na półwyspie Jason i amerykański krążownik, który stoi przed Bazą D, nie zauważyły nic niezwykłego ani objawów masowej śmierci zwierząt. Jeżeli wliczyć miejsce na Morzu Weddella, gdzie znaleźliśmy stado martwych delfinów, oceniałbym, że przyjmując stację wielorybniczą na Wyspie Seymoura za epicentrum, zniszczenia mieszczą się w kręgu o średnicy dziewięćdziesięciu kilometrów.
- Ruszamy szukać „Polar Queen” - przypomniał Pitt.
- Pamiętaj o paliwie na powrót.
- Na pewno nie zapomnę. Orzeźwiający pływający w lodowatej wodzie zrobię sobie kiedy indziej.

Giordino zamknął konsolę komunikacyjną i ruszyli żwawo do wyjścia. Bliższe prawdy byłoby określenie - pobiegli. Ani Pitt, ani Giordino nie mieli ochoty spędzać ani chwili dłużej w tej lodowej trumnie. Kiedy wzlecieli w powietrze, Giordino zaczął studiować mapę Półwyspu Antarktycznego.

- Dokąd lecimy? - zapytał.
- Właściwie to powinniśmy sprawdzić okolicę określoną przez komputer „Ice Huntera”.

Giordino spojrzał podejrzliwie na Pitta.

- Ale to, co wyliczył komputer, nie bardzo się zgadza z twoją koncepcją, że statek osiadł na brzegu półwyspu albo pobliskiej wyspy.
- Zdaję sobie w pełni sprawę, że elektroniczna mózgowica Dempseya umieściła „Polar Queen” daleko poza Morzem Weddella.

- Czyżbym słyszał ton niezgody?

- Określmy to tak, że komputer jest w stanie zanalizować sytuację jedynie na podstawie otrzymanych danych.

- No to dokąd?

- Sprawdzimy wyspy do znajdującego się na końcu półwyspu Moody Point, potem skręcimy na wschód i polecimy na spotkanie „Ice Huntera”.

Giordino doskonale wiedział, że został zwabiony i złapany na haczyk przez największego cwaniaka mórz podbiegunowych, ale z chęcią połknął przynętę.

- Nie całkiem idziesz za radą komputera.

- Nie w stu procentach.

- Z chęcią dowiedziałbym się co nieco z tego, co ci chodzi po głowie.

- W kolonii fok nie znaleźliśmy ludzkich ciał, wiemy więc, że statek tam nie dotarł. Nadażasz?

- Jak na razie tak.

- Wyobraź sobie „Polar Queen” odpływający ze stacji wielorybniczej.

Nim załoga ma okazję wysadzić turystów, następuje nieszczęście, plaga, kataklizm czy jak to nazwać. Na tych wodach, gdzie kra i góry lodowe pływają jak kostki lodu w ponczu, nie ma mowy, aby kapitan włączył automatycznego pilota. Za duże ryzyko kolizji. Sterowałby sam, prawdopodobnie przy którejś z elektronicznych konsol z prawego skrzydła mostka.

- Jak na razie logiczne. Co dalej?

- Kiedy załoga została zaatakowana, płynęli wzdłuż Wyspy Seymoura.

Weź teraz mapę i przeciągnij dwustukilometrową linię na północ i lekko na wschód, pozakreślaj na niej koła o trzydziestu kilometrach średnicy i powiedz mi, jakie wyspy przecinają kurs.

Zanim Giordino zrobił, co mu kazano, popatrzył uważnie na Pitta.

- Dlaczego komputer nie doszedł do tego samego?

- Ponieważ Dempsey skoncentrował się na wiatrach i prądach. Jako świetny marynarz uznał też, że kapitan nawet umierając chciałby ochronić statek, czyli odwrócił kurs, by „Polar Queen” nie wpadł na skalisty brzeg, ale popłynął ku stosunkowo bezpieczniejszemu otwartemu morzu, gdzie miałby większą szansę ocalenia nawet przy spotkaniu z górami lodowymi.

- Nie przekonuje cię to?

- Przestało po tym, jak zobaczyłem ciała w stacji. Ci biedacy nie mieli czasu na nic. Kapitan „Polar Queen” zmarł we własnych wymiocinach, kiedy płynęli wzdłuż brzegu. Równocześnie zmarli oficerowie i marynarze w maszynie.

Statek albo wpadł na brzeg, albo zderzył się z górą lodową i zatonął, albo wypłynął na południowy Atlantyk i będzie płynął, aż skończy mu się paliwo i stanie się wrakiem dryfującym z dala od szlaków komunikacyjnych.

Giordino nic nie powiedział na te wróżby, sprawiał wręcz wrażenie, jakby się ich spodziewał.

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, żeby zarabiać na życie wróżeniem z ręki?

- Pierwszy raz pięć minut temu.

Giordino westchnął i wyrysował na mapie żądany kurs. Po kilku minutach klepnął nią o zegary, zwracając uwagę Pitta na wyniki obliczeń.

- Jeżeli twoja sławetna intuicja jest coś warta, jedynym miejscem, gdzie „Polar Queen” może wpaść na coś przed wpłynięciem na południowy Atlantyk, jest jedna z tych trzech wysepek, tak maleńkich, że prawie ich nie widać.

- Jak się nazywają?
- Wyspy Niebezpieczeństwa.
- Nazwa brzmi jak z powieści dla młodzieży o piratach.

Giordino zaczął kartkować w księdze nawigacyjnej.

- Radzi się statkom omijać je szerokim hakiem. Wysokie bazaltowe słupy wznoszą się pionowo nad wodę. Jest tu cała lista statków, które się na nie nabiły. - Uniósł wzrok znad mapy i księgi, zmrużył oczy. - Nie jest to najlepsze miejsce do zabawy dla grzecznych dzieci.

7

Morze pomiędzy Wyspą Seymoura a lądem było gładkie jak lustro i tak samo błyszczące. Znajdujące się tuż nad brzegiem skaliste góry zdawały się wznosić prosto z wody, w której odbijał się każdy szczegół ich ośnieżonych stoków. Morze na zachód od wyspy uspokajała armia dryfujących gór lodowych, które pływały po granatowej wodzie jak zamrożone żaglowce sprzed wieków. Nie było widać statku, nieopisanie pięknego krajobrazu nie mącił żaden twór ludzkiej ręki.

Okружили wyspę Dundee, znajdującą się nieco poniżej szpica półwyspu. Tuż przed sobą mieli Moody Point, przypominający skierowany ku wyspie Dundee skrzywiony paluch kostuchy, wskazujący następną ofiarę. Dokładnie na wysokości Moody Point morze przestawało być spokojne. Tak jakby wyszli z ciepłego pokoju na zamieć, wlecieli nad sięgające po horyzont kłębowisko spienionych grzbietów fal, pędzonych z Cieśniny Drake'a. Podniósł się też wiejący w gwałtownych podmuchach wiatr i helikopter zaczął skakać na boki jak pędząca po źle ułożonych torach kolejka dla dzieci.

Pokazały się szczyty Wysp Niebezpieczeństwa, wystające wysoko nad szalejące u ich podstawy morze. Wznosiły się tak stromo, że nawet morski ptak nie mógłby się uchwycić gołych zboczy. Odpierały z uporem wściekle fale łamiące się o nieustępliwą skałę w eksplozjach piany i wodnego pyłu. Bazaltowy twór był tak twardy, że nawet milion lat chłostania przez oszalały ocean nie spowodował widocznej erozji. Wypolerowane ściany były tak gładkie, że nigdzie nie było poziomej płaszczyzny większej niż stolik do kawy.

- W tym domu wariatów żaden statek długo by nie wytrzymał - powiedział Pitt.

- Wygląda na to, że nie ma tu ani kawałka płytkiej wody. Myślę, że na rzut kamieniem od klifu dno opada na sto sążni.

- Według mapy trzy kilometry od skał opada do tysiąca metrów.

Oblecieli pierwszą wyspę w łańcuchu - ohydny, ponury, goły skalny masyw, trwający pośrodku wścieklej kipieli. Na wzburzonej wodzie nie unosiło się nic, co mogłoby pochodzić z rozbitego statku. Przecięli przesmyk pomiędzy wyspą a następną. Patrząc na szalejące spienione grzywy, Pittowi przypominała się rzeka Kolorado, pędząca wiosną po roztopach przez Wielki Kanion. Żaden kapitan na świecie nie byłby na tyle szalony, aby dobrowolnie zbliżyć statek do tego miejsca na odległość mniejszą niż strzał armatni.

- Widzisz coś? - spytał Pitt walcząc o utrzymanie kursu. Szarpiące z nie oczekiwanych kierunków podmuchy w każdej chwili mogły rozbić ich o klify.

- Kipiącą masę płynu, która mogłaby się spodobać jedynie amatorowi kajakarstwa ekstremalnego, poza tym nic.

Pitt skończył zataczać koło i skierował helikopter ku trzeciej, najdalszej wyspie. Była ciemna, odpychająca i nie musiał wysilać wyobraźni, aby zobaczyć na szczycie zwróconą ku górze twarz.

Zmrużone oczka, dwa podobne do rogów występy i skołtuniona broda pod skrzywionymi ironicznie ustami należały jednoznacznie do diabła.

- Dość odrażające - stwierdził Pitt. - Ciekawe, jaką ma nazwę.

- Na mapie poszczególne wysepki nie mają swoich nazw - odparł Giordino.

Chwilę później Pitt zaczął okrążyć atakowaną przez fale jałową skałę. Nagle Giordino zeszywniał i wyteżył wzrok przez przednią szybę.

- Widziałeś? - zapytał.

Pitt odwrócił wzrok od szczególnie efektownie uderzającej o skałę fali i spojrzał za wzrokiem Giordina.

- Nie widzę.

- Nie patrz na wodę. Popatrz za krawędź na wprost.

Pitt zaczął studiować przedziwny kształt, który odchodził od wyspy na podobieństwo zrobionego ludzką ręką falochronu.

- Masz na myśli tę zbitą w kulę masę śniegu?

- To nie śnieg - zdecydowanie powiedział Giordino.

Pitt nagle zrozumiał, co widzi.

- Widzę!

Bryła była gładka, cała biała i miała kształt obciętego na wierzchołku trójkąta. Górna krawędź była czarna, z boku widniał niewyraźny emblemat.

- Komin statku! Czterdzieści metrów przed nim widać maszt radaru!

Znakomicie, kolego!

- Jeżeli to „Polar Queen”, musiał musnąć skałę po drugiej stronie tej ostrogi.

Na szczęście było to jedynie złudzenie. Kiedy przelecieli nad wychodzącym w morze szpicem, stało się jasne, że statek płynie nie naruszony pięćset metrów od wyspy. Było to niewiarygodne, lecz nie został nawet draśnięty.

- Jeszcze cały! - wykrzyknął Giordino.

- Ale nie na długo. - Pitt natychmiast zrozumiał groźbę. „Polar Queen” zataczał szerokie kręgi, ster musiał mieć skręcony na bakburtę. Za góra pół godziny statek zderzy się ze skalistą wyspą, która rozerwie kadłub i wszyscy na pokładzie zostaną wysłani w lodowatą głębinę.

- Na pokładzie leżą ciała - trzeźwo stwierdził Giordino.

Kilka ciał było rozrzuconych na górnym pokładzie, kilka leżało na nieco niższym pokładzie słonecznym na rufie. Statek ciągnął ze sobą przycumowanego do schodni zodiaca, w którym leżały dwa ciała. Było ewidentne, że wszyscy nie żyją, gdyż ciała pokrywała cienka warstwa śniegu i lodu.

- Jeszcze dwa zwroty i pocałuje skałę - oznajmił Giordino.

- Musimy wylądować na pokładzie i spróbować zmienić kurs.

- Nie przy tym wietrze. Jedyłą otwartą przestrzenią jest dach kabin górnego pokładu. To skomplikowane lądowanie i ja bym nie ryzykował.

Kiedy zredukujemy prędkość i zaczniemy osiadać, będziemy bezradni jak spadający liść. Wystarczy nieoczekiwany ciąg w dół i skończy się to nie sympatycznie.

Pitt rozpiął pasy.

- W takim razie ty prowadź autobus, a ja zjadę na linie.

- Mniejszych od ciebie szaleńców trzyma się w pokojach bez klamek.

Będziesz latał jak jojo.

- Masz inny pomysł, jak dostać się na pokład?
- Tak, ale nie jest dozwolony przez „Poradnik damy”.
- Masz na myśli skok na pancernik z przygody z „Vixenem”?
- Kolejna przygoda, przy której miałeś cholerne szczęście.

Pitt nie miał najmniejszej wątpliwości - „Polar Queen” niedługo wbije się na skały. Duża dziura w dnie i zatonię jak kamień, a nie można było wykluczyć szansy, że ktoś przeżył tak jak Maeve i jej podopieczni w jaskini. Zimna kalkulacja nakazywała też odzyskanie ciał i przekazanie ich do badania z nadzieją, że uda się odkryć przyczynę zgonów. Jeżeli istniał choć cień szansy uratowania „Polar Queen”, trzeba spróbować.

Pitt spojrzał na Giordina i słabo się uśmiechnął.

- No to anonsuj nieustraszonego młodzieńca na trapezie.

Pitt miał na sobie ocieplaną bieliznę z grubego nylonu, która optymalnie chroniła przed utratą ciepła przy tutejszych temperaturach. Zdjął wierzchnie ubranie i włożył specjalny, przygotowany na warunki polarne kombinezon nurka. Miał ku temu dwa powody: po pierwsze, ochroni go przed wiatrem, kiedy będzie zwisał z poruszającego się helikoptera; po drugie, jeżeli zeskoczy za wcześnie lub za późno i nie trafi w statek, pozwoli zachować życie w zimnej wodzie, aż Giordino go wyciągnie.

Poszedł do tyłu helikoptera, zapiął uprząż ze specjalnym systemem szybkiego wypinania się i zaciągnął pasek utwardzanego hełmu z zamontowanym wewnątrz radiem. Odwrócił się w kierunku kokpitu i powiedział do maleńkiego, znajdującego się tuż przed jego ustami mikrofonu:

- Dobrze mnie słyszysz?
- Brzegi pasma trochę się rozmywają, ale kiedy wyjdiesz ze strefy zakłóceń powodowanych pracą silnika, powinno być lepiej. Co u ciebie?
- Każde twoje słowo brzmi jak dzwon - zażartował Pitt.
- Ponieważ z najwyższych nadbudówek wystają komin, przedni maszt i masa elektronicznego sprzętu nawigacyjnego, nie mogę ryzykować wysadzania cię na śródkręciu. Musimy spróbować na dziobie albo na rufie.
- Spróbuj na rufowym pokładzie słonecznym. Na dziobie jest za dużo rzeczy.
- Kiedy statek się jeszcze nieco obróci i wiatr będzie wiał trawersem, ruszę od sterburty do bakburty - poinformował Giordino. - Nadlecę od morza i spróbuję wejść za skałę, żeby wykorzystać spokojniejsze warunki od zawietrznej.
- Rozumiem.
- Gotów?

Pitt poprawił zintegrowaną z hełmem maskę i włożył rękawiczki. Wziął do ręki pilota sterującego windą, odwrócił się i otworzył boczny właz. Gdyby nie był odpowiednio ubrany, w kilka sekund zmieniłby się w sopel lodu. Wychylił się i zaczął obserwować „Polar Queen”.

Statek zbliżał się ku nieuniknionej śmierci. Za tym okrążeniem dzieliło go od katastrofy jedynie pięćdziesiąt metrów. Bezlitosne ściany Wysp Niebezpieczeństwa zdawały się przywoływać statek, który wyglądał jak nieostrożny mól podlatujący do lampy. Nie pozostawało wiele czasu. Tym razem jeszcze się udało minąć skałę, ale „Polar Queen” zaczynał ostatnie okrążenie, które niechybnie zakończy się kolizją. Najprawdopodobniej statek i tak był martwy, ale uderzające o nagą skałę fale będą jeszcze musiały poczekać, nim wolno im będzie klasnąć o klif w akordzie pożegnania idącej na dno jednostki.

- Przysmykam przepustnicę - oznajmił Giordino informując o rozpoczęciu manewru.

- Wychodzę - odpowiedział Pitt. Nacisnął przycisk odwijając linę. Kiedy wystarczająco ją poluzował, wyszedł na zewnątrz.

Szarpnął nim poryw wiatru i pociągnął pod helikopter. Łopaty wirnika szczękały rytmicznie kilka metrów wyżej, dźwięk wyrzucanych spalin przebijał się przez hełm i słuchawki. Wirując w lodowatym powietrzu Pitt odczuwał to samo, co przeżywa skoczek na bungee, kiedy guma po rozciągnięciu się zaczyna ciągnąć człowieka w górę. Skoncentrował uwagę na statku, który wyglądał z tej perspektywy jak unosząca się niedaleko dziecinna zabawka. Po chwili jednak nadbudówki statku gwałtownie urosły i wypełniły wizjer hełmu.

- Jeszcze chwila i będziemy nad nim - rozległ się w słuchawkach głos Giordina. - Tylko nie huknij w reling i nie pokrój się na plasterki.

Choć starał się mówić spokojnie, jakby parkował samochód w garażu, w jego głosie było napięcie. Walka o utrzymanie powoli lecącego helikoptera w szalejącym wichrze musiała sprawiać masę kłopotu.

- A ty nie rozkwaś sobie nochala o skałę - odparował Pitt.

Była to ostatnia wymiana uprzejmości, od tej chwili wszystko zależało od wzroku i prawidłowych odruchów. Pitt spuścił się tak, że wisiał piętnaście metrów pod helikopterem. Rozpostarł ramiona i sterował nimi jak lotkami, walcząc z szarpnięciami i siłą bezwładności, które próbowały wprowadzić go w ruch wirowy. Chyba spadł jeszcze kilka metrów, nim Giordino zredukował szybkość.

Giordino miał wrażenie, że „Polar Queen” miele wodę śrubami, jakby wszystko było w najlepszym porządku i znajdował się na przejażdżce po morzach południowych. Przymknął przepustnicę, ile się dało. Jeszcze kawałeczek i helikopterem zawałdnąłby wiatr. Leciał wykorzystując całe doświadczenie zdobyte w trakcie tysięcy godzin w powietrzu - jeżeli ciskanie na boki przez kapryśne prądy powietrzne można nazwać lataniem. Gdyby udało mu się utrzymać kurs, byłby w stanie zrzucić Pitta na środek pokładu słonecznego. Choć po wszystkim mógł przysiąc, że pchały go i szarpały wiatry z przynajmniej sześciu kierunków, wiszący na linie Pitt nie mógł się nadziwić, jak Giordinowi udaje się utrzymać kurs jak po sznurku.

Za statkiem pojawił się złowróżbny i groźny czarny klif. Widok mógł nastraszyć najodważniejszego kapitana żeglugi wielkiej, tym bardziej nastraszył Giordina. Tak samo jak Pitt nie zamierzał trafić w burtę „Polar Queen” i połamać sobie przy tym wszystkich kości, on nie zamierzał zderzyć się czołowo ze skałą.

Lecieli ku zawietrznej stronie wyspy i wiatr odrobinę osłabł. Niewiele, ale wystarczająco, by Giordino ponownie poczuł, że panuje nad śmigłowcem. W tym momencie dolecieli nad statek, nie minęła jednak sekunda, jak białe nadbudówki zniknęły pod helikopterem. Giordino nie miał nawet chwili na myślenie, widział bowiem gnającą ku niemu zmarzniętą skalną ścianę. Mógł tylko mieć nadzieję, że Pitt zdążył się wypiąć, i gwałtownie rzucił śmigłowiec do góry. Skała, mokra od pyłu wodnego z rozbijających się o nią fal, zdawała się przyciągać jak magnes.

Nagle znalazł się powyżej pokrytego lodem szczytu i wichur trafił go ze zmasowaną siłą. Helikopter otrzymał potężne uderzenie w ogon, przekręcił się tak, że przez chwilę łopaty wirnika poruszały się w pionie. Nie bawiąc się w ceregiele Giordino wyprostował maszynę, zawrócił w miejscu i ruszył ku statkowi, wypatrując oczy za Pittem.

Nie wiedział - nie mógł wiedzieć - że przyjaciel zdążył się wypiąć w najlepszym momencie i z

wysokości trzech metrów spadł w sam środek znajdującego się na pokładzie słonecznym otwartego basenu. Choć z góry basen sprawiał wrażenie nie większego od pocztowego znaczka, dla lądującego był ponętny niczym stóg siana. Aby zmniejszyć siłę upadku, Pitt zgiął kolana i wyciągnął w bok ramiona. Plasnął w wodę, wychlapując fontannę na pokład. Chronione butami do nurkowania stopy uderzyły z impetem o dno i Pitt zamarł zgięty pod wodą.

Giordino krążył nad statkiem, z rosnącym niepokojem obserwował statek pod sobą, ale nie widział śladu przyjaciela.

- Gdzie jesteś? Odezwij się! - zawołał do mikrofonu.

Pitt zamachał ramionami i odpowiedział:

- Stoję w basenie.

- Wpadłeś do basenu?

- To był świetny pomysł. Ogrzewanie działa i woda jest ciepła.

- Sugeruję mimo to, żebyś ruszył dupsko i poszedł na mostek. - Giordino był śmiertelnie poważny. - Statek wchodzi właśnie w zakręt i nie daję ci więcej jak osiem minut, nim usłyszysz głośnie drapanie.

Pitt nie potrzebował zachęty. Wydrapał się z basenu i ruszył do zejściówki. Na szczęście mostek był tylko jeden pokład niżej. Zbiegł zejściówką po cztery stopnie, jednym szarpnięciem otworzył sterówkę i wskoczył do środka. Na podłodze leżał martwy oficer, obejmujący rękami podstawę stołu do rozkładania map. Pitt pospiesznie zlustrował konsolę automatycznego systemu nawigacyjnego. Stracił kilka cennych sekund szukając cyfrowego monitora wskazującego kurs. Żółte światelko informowało, że sterowanie jest przełączone z elektronicznego na ręczne. Gorączkowo pobiegł na prawe skrzydło mostka, ale nikogo tam nie zastał. Odwrócił się, przebiegł przez sterówkę i pognął na lewe skrzydło. Po drodze minął dwóch oficerów, białych i zimnych, leżących na pokładzie. Przed konsolą sterowniczą klęczała kolejna pokryta lodem postać, obejmująca zamarzniętymi ramionami jej podstawę. Musiał to być kapitan - gruba kurtka nie miała oznakowań, czapkę jednak zdobiło mnóstwo złotych szamerunków.

- Możesz rzucić kotwicę? - spytał Giordino.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić - odparł z irytacją Pitt. - Poza tym nie wiele by to dało. Przypuszczam, że i pod wodą skała idzie pionowo w dół na Bóg wie jaką głębokość, a sama skała jest zbyt gładka, żeby kotwica chwyciła.

Pitt na jeden rzut oka pojął, dlaczego statek przez prawie dwieście kilometrów utrzymywał kurs na wprost i potem zaczął zataczać koła na bakburcie. Kapitanowi wypadł zza kołnierza złoty medalik na łańcuszku i zawisł nad konsolą. Wiatr bujał nim na boki i za każdym razem uderzał w niewielką dźwignię, będącą elementem elektronicznego systemu sterowania statkiem, którego kapitanowie używają do precyzyjnego dokowania. W końcu medalik przesunął dźwignię ku pozycji BAKBURTA i „Polar Queen” zaczął zacieśniać korkociąg, coraz bardziej podpływając do Wysp Niebezpieczeństwa.

Pitt wziął medalik do ręki, przyjrzał się wygrawerowanemu w nim napisowi i podobnie mężczyzny z drugiej strony. Był to święty Franciszek z Paulo, patron marynarzy i nawigatorów, sławny z cudownych ocalań marynarzy przed śmiercią w otchłaniach morskich. Dirk pomyślał, że choć święty Franciszek nie ocalił kapitana, istnieje szansa uratowania statku.

Gdyby Pitt nie zjawił się na czas, uderzenia drobnego kawałka metalu o niewielką dźwignię spowodowałyby, że statek o wyporności dwóch tysięcy pięciuset ton wraz z pasażerami i załogą -

nieistotne żywą czy martwą - wkrótce zderzyłby się z nieustępliwą skałą i po wsze czasy powędrował na dno zimnego i obojętnego oceanu.

- Lepiej się pospiesz - rozległ się w słuchawkach zaniepokojony głos Giordina.

Pitt sklął się za marudzenie i spojrzął ze strachem na ponurą ścianę, zdającą się sięgać nieba. Była tak równa i gładka od bijącej w nią od tysiącleci wody, że zdawała się wypolerowana przez giganta. Wznoszące się nad powierzchnię morza grzywacze waliły w pionową ścianę nie dalej niż dwieście metrów od statku. Im bardziej „Polar Queen” zbliżał się do klifu, tym mocniej fale go nań spychały. Pitt szacował, że do zderzenia zostało maksimum cztery minuty.

Nie hamowane niczym bezlitosne fale wypływały z głębin i uderzały w skały z siłą średniej bomby. Piana wlatywała w górę i kipiała, mieszając się z granatową wodą niczym w kotle czarownic. Wznosiła się niemal do szczytu poszarpanej skalistej iglicy, zawisała na chwilę w bezruchu i potem spadała z impetem w dół, powodując powstawanie kontr fali. Jedynie ona powstrzymywała „Polar Queen” przed natychmiastowym uderzeniem całym bokiem w stromiznę.

Pitt spróbował odsunąć kapitana od konsoly, ale nie dał rady. Oplatające jej podstawę dłonie nie chciały puścić. Złapał ciało kapitana pod pachy i pociągnął z całej siły. Rozległ się trzask, który oznaczał odrywanie się przymarzniętej do metalu skóry, i kapitan był wolny. Pitt rzucił ciało na bok, znalazł główną dźwignię sterowania i pchnął ją maksymalnie w kierunku oznaczenia BAKBURTA, aby zwiększyć kąt oddalania się od grożącej katastrofą wyspy.

Przez pół minuty nic się nie działo, potem powoli, jak w maksymalnie zwolnionym filmie, dziób zaczął się odwracać od kipieli na granicy wody i skały. Niestety nie dość szybko. Statek nie jest w stanie zawrócić tak jak ciężarówka, potrzebuje niemal kilometra, aby stanąć, i niemal tyle samo, aby zrobić nawrót.

Pittowi przemknęło przez myśl, czy nie włączyć lewej śruby na cofanie i w ten sposób przyspieszyć obrót statku, ale nie był to dobry pomysł. Nie wolno było tracić rozpędu, bo statek nie przebiłby się przez wzburzone fale, poza tym istniało ryzyko, że ruch śruby przysunąłby rufę do skał na tyle, by w nie uderzyła.

- Nie wyrobi się - ostrzegł Giordino. - Wchodzi w przybój. Lepiej skacz, póki możesz.

Pitt nie odpowiedział. Zapoznawał się z panelem sterowniczym. Nagle odkrył dźwignię sterowania pędnikami na dziobie i rufie, potem dźwignię sterowania przepustnicami, dzięki którym można było bezpośrednio z mostka regulować pracę silników. Wstrzymując oddech, przesunął dźwignię sterowania pędnikami i otworzył maksymalnie przepustnice. Reakcja była natychmiastowa. Głęboko pod pokładem, jakby kierowane niewidzialną ręką, pełną mocą ruszyły silniki. Pitt odetchnął, czując pod stopami wibrację. Stał i czekał z nadzieją.

Unoszący się nad statkiem Giordino przyglądał się z rosnącym pesymizmem. Z jego perspektywy statek nie skręcał. Był pewien, że zaraz uderzy w wyspę, a Pittowi nie uda się uciec. Wskoczenie do kipieli wokół tonącego kadłuba zawsze oznacza porażkę w walce z nieprawdopodobną siłą wsysającą wszystko na dno.

- Idę po ciebie - zawiadomił Pitta.

- Trzymaj się z daleka. U ciebie tego nie widać, ale przy skale zawirowania powietrza są mordercze.

- Dalsze czekanie to samobójstwo. Jeśli natychmiast skoczysz, wyciągnę cię.

- A niech to - mruknął Pitt z przerażeniem, kiedy „Polar Queen” został trafiony z boku przez gigantyczny grzywacz, który przetoczył się po pokładzie jak lawina. Przez długie chwile statek

zdawał się jeszcze bardziej zbliżyć do klifu, niemal dotykać szalonej kotłowniny wokół skał. Przystosowany do łamania lodu dziób zanurzył się pod grzbiet grzywacza i kłębiąca się piana zalała pokład po mostek, rozpryskując się i tworząc coś na podobieństwo rozwianej końskiej grzywy. Statek zanurzał się coraz głębiej, jak by postanowił rozpocząć podróż ku odległemu dnu.

8

Fala szła z rykiem głośniejszym od grzmotu i rzuciła Pittem o pokład. Instynktownie wstrzymał oddech, kiedy zalała go lodowata woda. Objął z całej siły podstawę konsoly, aby nie zostać splukany za burtę. Miał wrażenie, że znalazł się pod potężnym wodospadem. Widział przez maskę jedynie kotłowninę piana i pęcherzyków powietrza. Choć chronił go wodoszczelny arktyczny kombinezon, czuł, jakby w ciało wwierały mu się tysiące lodowatych igiełek. Obejmował podstawę konsoly walcząc o życie, niespokojny, że potężna siła zaraz wyrwie mu ramiona z barków.

„Polar Queen” zaczął wypływać i po chwili dziób wychynął spod grzbietu grzywacza. Statkowi udało się odsunąć dziesięć metrów od klifu. Opierał się śmierci, zmagając się z oceanem do gorzkiego końca. Woda spływała strumieniami z mostka i Pitt znów mógł oddychać. Wziął głęboki oddech, spróbował przebić się wzrokiem przez spływającą z czarnej skały ścianę wody. Klif zobaczył tak blisko, że mógłby go opluć. Tak blisko, że piana, powstająca przy uderzaniu fal o skałę, spadała na statek jak oberwanie chmury. Statek trawersował kipiel i dzięki pracującemu na pełnych obrotach pędnikowi rufowemu coraz bardziej się od niej odsuwał.

Dziób znów zanurzył się głęboko i kiedy śruby zaczęły wychodzić na wierzch, mieląc dziko wodę i próbując zwiększyć kąt odejścia statku od pionowej skały, ciężar przedniej części statku wziął na siebie pędnik dziobowy. Niemal niezauważalnie, ale dziób odchodził ku morzu.

- Odchodzi! - zawył z góry Giordino. - Odpada od skały!

- Jeszcze nie koniec wycieczki. - Po raz pierwszy od zalania pokładu Pitt mógł odpowiedzieć. Uważnie obserwował nadchodzącą kolejną grupę grzywaczy.

Morze jeszcze nie skończyło z „Polar Queen”. Gdy potężna chmura wodnego pyłu uderzyła w mostek, Pitt się skulił. Następny grzywacz uderzył w statek niemal równocześnie z poprzednim, który odbił się od skał i wracał na morze. Trafiony z obu stron „Polar Queen” został uniesiony w górę tak wysoko, że niemal widać było stępkę. Podwójne, wirujące szaleńczo śruby wyszły nad wodę rozpryskując krople, co w słońcu wyglądało jak grad iskier wirującego koła ze sztucznych ogni. Przez pełną grozy chwilę kadłub wisiał w powietrzu, spadł z impetem w dół i natychmiast trafił go kolejny grzywacz. Rzuciło dziobem gwałtownie w prawo, ale pędnik skierował go ponownie na właściwy kurs.

Statek raz za razem gwałtownie się przechylał, trafiany z boku przez fale, ale było już jasne, że go nie powstrzymają. Przeszedł przez najgorsze i teraz otrząsał się jak mokry pies. Być może, głodny ocean kiedyś go pożre, ale zapowiadało się na to, że nie nastąpi to prędzej niż za trzydzieści lat. Dziś pokonał brutalne wody.

- Odszedłeś od wyspy! Odszedłeś jak cholera! - wrzeszczał Giordino, jakby nie wierzył własnym oczom.

Pitt opadł ciężko na reling mostka. Był zmęczony. Zdał sobie sprawę z przeszywającego prawe biodro bólu. Przypomniawszy sobie, że gdy rzuciła nim fala, uderzył w podporę reflektora. Choć nie widział uderzonego miejsca, wiedział, że powstaje tam piękny siniak.

Ustawił automatycznego nawigatora na kurs na południe Morza Weddella i odwrócił się, by

popatrzeć na skałę, wznoszącą się nad wodę jak gigantyczna czarna kolumna. Lodowaty front wyspy zdawał się promieniować wściekłością, że wyrwano jej ofiarę. Wkrótce jałowa skała zaczęła maleć w kilwaterze „Polar Queen” i nie minęło wiele czasu, a zmniejszyła się i straciła groźny wygląd.

Pitt spojrzął na unoszący się nad sterówką turkusowy helikopter.

- Jak u ciebie z paliwem? - spytał Giordina.

- Mam dość, żeby dolecieć do „Ice Huntera” z pięciolitrowym zapasem.

- W takim razie lepiej ruszaj.

- Czy pomyślałeś o tym, że za przejście i doprowadzenie do najbliższego portu zaginionego statku

możesz dostać od firmy ubezpieczeniowej kilka milionów dolarów?

Pitt roześmiał się głośno.

- Naprawdę sądzisz, że admirał Sandecker i rząd Stanów Zjednoczonych pozwoli wziąć pieniądze biednemu uczciwemu urzędnikowi?

- Pewnie nie. Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Podaj Dempseyowi moją pozycję i przekaz, że spotkam się z nim, gdzie tylko powie.

- No to na razie. - Giordino odleciał. Chciał na pożegnanie powiedzieć dowcip, jak to Pittowi dobrze, bo ma tylko dla siebie spory jacht, ale się zmytygował. Co to za przyjemność być jedynym żywym na statku śmierci.

Przestał zazdrościć Pittowi, zawrócił i ruszył ku „Ice Hunterowi”.

Pitt zdjął hełm i przyglądał się lecącemu nisko nad błękitnym lodowatym oceanem turkusowemu helikopterowi, aż maszyna zmieniła się w mikroskopijną plamkę na złocistym horyzoncie. Kiedy rozejrzał się po statku, serce ścisnęło mu poczucie samotności. Nie pamiętał, jak długo trwał wpatrując się w pozbawione życia pokłady. Stał jak skamieniały, w głowie miał kompletną pustkę.

Czekał, czy nie pojawi się jakiś odgłos poza pluskiem uderzających o dziób fal i równomiernym dudnieniem maszyn. Podświadomie spodziewał się usłyszeć dźwięki świadczące o obecności ludzi, głosy lub śmiechy, możliwe, że czekał na pojawienie się ruchu czegoś innego niż łopoczących na wietrze proporczyków, na pewno był jednak opanowany złym przeczuciem, co znajdzie we wnętrzu statku. Nie miał wątpliwości - to samo co w argentyńskiej stacji badawczej. Przemoczeni i rozrzućeni na górnym pokładzie martwi pasażerowie i członkowie załogi byli jedynie preludium do tego, co czekało w kwaterach i kabinach poniżej.

W końcu zebrał myśli i wszedł do sterówki. Dał maszyny na pół mocy i wyrysował przybliżony kurs do miejsca spotkania z „Ice Hunterem”. Zaprogramował komputer nawigacyjny, włączył automatyczny system sterowania połączony z radarem, który zapewniał opływanie każdej napotykaną góry lodowej. Upewniwszy się, że statkowi nie grozi niebezpieczeństwo, wyszedł ze sterówki.

W ciałach na pokładzie rozpoznał marynarzy - zmarli w trakcie prac konserwacyjnych. Dwóch malowało grodzie, pozostali coś robili przy szalupach. Ciała ośmiu pasażerów sugerowały, że zmarli w trakcie podziwiania linii brzegowej przy zbliżaniu się do Wyspy Seymoura. Pitt zszedł zejściówką i zajrzał do lazaretu. Było w nim pusto, tak samo pusto było na sali gimnastycznej. Zszedł wyłożonymi dywanem schodami na pokład szalupowy, gdzie znajdowało się sześć apartamentów. Pięć było pustych, w szóstym na łóżku leżała starsza kobieta. Dotknął jej karku - był zimny jak lód. Ruszył na pokład salonowy.

Zaczął się czuć jak Latający Holender, legendarny kapitan statku widma, błędzącego po oceanach od bieguna do bieguna. Brakowało mu jedynie siedzącego na ramieniu albatrosa. Generatory dostarczały prądu i ciepła, z technicznego punktu widzenia wszystko było w porządku. Po zalewanym

wodą mostku ciepłe wewnątrz statku było przyjemną odmianą. Pitt ze zdziwieniem zorientował się, że jest nieco uodporniony na widok martwych ciał. Nie czuł oporów przed sprawdzaniem, czy w którymś kołaczce się życie. Znał tragiczną prawdę.

Choć był na to duchowo przygotowany, w dalszym ciągu trudno mu było pogodzić się z tym, że nie ma wokół niego życia. Fakt, że śmierć przeszła jak podmuch wiatru, przekraczał wszystko, czego doświadczył dotychczas. Było mu nieswojo, że wdziera się w życie statku pamiętającego szczęśliwsze dni. Ciekawiło go, co będą myśleli przyszli pasażerowie i członkowie załogi o przynoszącej nieszczęście jednostce. Nikt nie zechce wejść na pokład, czy tragedia przyciągnie tłumy chcące pofolgować podbarwionej chorobliwą podniętą żądzy poszukiwania przygód?

Nagle zamarł i nadstawił uszu. Skądś dochodził dźwięk fortepianu. Pitt rozpoznał w melodii stary standard jazzowy „Sweet Lorraine”. Tak samo nagle jak się zaczęła, muzyka zamilkła. Zaczął się pocić. Stał i ściągnął kombinezon. Pomyślał z czarnym humorem, że martwi nie obruszą się patrząc, jak wędruje w bieliźnie. Ruszył dalej. W kuchni podłoga wokół pieców i stołów do przygotowywania posiłków była zasłana leżącymi w dwóch, miejscami w trzech warstwach kucharzami, pomocnikami kuchennymi i kelnerami. Wyglądało tu jak w kostnicy, tyle że nie było krwi. Martwe ręce starały się w śmiertelnym odruchu uchwycić czegokolwiek, co zdawało się stabilne, jakby chciały oprzeć się potężnej sile, która wyrzuca je w niebyt. Czując mdłości, Pitt odwrócił się, wsiadł do windy i pojechał do sali restauracyjnej.

Stoły były przygotowane, ale jeszcze nie zastawione. Na nieskazitelnie białych obrusach leżała srebrna zastawa, poprzesuwana z powodu podskoków statku sprzed kilkunastu minut. Śmierć zebrała żniwo tuż przed lunchem. Pitt wziął do ręki kartę i zaczął czytać menu. Granik wielki, antarktyczna ryba lodowa, zębacz (olbrzymi dorsz) i stek cielęcy dla nie lubiących ryb. Odłożył kartę na stół i właśnie zamierzał wyjść, kiedy jego wzrok padł na coś zupełnie nie na miejscu. Przeszedł nad ciałem kelnera i podszedł do stołu, stojącego pod jednym z panoramicznych okien.

Ktoś tu jadł. Pitt przyglądał się noszącym wyraźne ślady jedzenia naczyniom. Ktoś zjadł miseczkę potrawy z owoców morza, pół bułki z masłem i wypił pół szklanki mrożonej herbaty. Wyglądało na to, jakby przed chwilą skończył lunch i poszedł się przejść po pokładzie. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby otworzono restaurację wcześniej dla jednej osoby, ale Pitt nie mógł uwierzyć, że ktoś jadł po kataklizmie.

Próbował wyjaśnić intrygujące odkrycie na przeróżne logiczne sposoby, powoli zaczął go jednak opanowywać lęk. Mimowolnie spoglądał raz za razem za siebie. Wyszedł z restauracji, minął sklepik z pamiątkami i poszedł w kierunku klubu. Przy niewielkim parkiecie do tańca stał fortepian Steinway, wokół ustawiono w podkowie krzesła i fotele. Poza kelnerkami, które upadły na podłogę w trakcie roznoszenia drinków, było osiem ciał - najwyraźniej czterech małżeństw - mniej więcej po siedemdziesiątce, które nim padły na dywan w groteskowych pozach, siedziały wokół dużego stołu. Część zmarłych obejmowała się w przedśmiertnym uścisku i Pitt, badając ich, czuł równocześnie smutek i złość. Opanowany poczuciem bezradności, zaczął przeklinać nieznaną przyczynę tragedii.

Zauważył następne ciało. Kobieta. Siedziała na podłodze w kącie. Głową oparła na kolanach i objęła ją rękami. Była ubrana w modną skórzaną kamizelkę i spodnie z wełny. Obok niej nie zobaczył wymiotów.

Poczuł lodowate dreszcze idące w górę kręgosłupa i gwałtowne kołatanie serca. Starając się zapanować nad sobą, ruszył w kierunku kobiety. Delikatnie dotknął opuszką palca jej policzka - ciepły. Delikatnie potrząsnął kobietę za ramię. Otworzyła oczy. Najpierw patrzyła na niego

z niewiarą, oszołomiona, potem zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Żyje pan... - westchnęła.

- Nawet pani nie wie, jaki jestem szczęśliwy, że panią widzę - powiedział Pitt łagodnie.

Nagle gwałtownie się od niego odsunęła.

- Nie, pan nie może być prawdziwy! Wszyscy nie żyją!

- Proszę się nie bać - zapewnił uspokajająco.

Patrzyła na niego wielkimi brązowymi, zaczerwienionymi od płaczu oczami. Były przepelnione smutkiem. Rysy miała nienagane, na jej bladej twarzy widać było jednak wycieńczenie. Miała Miedziano-rude włosy, wysokie kości policzkowe i pełne, niemal rzeźbione usta niczym modelka. O ile był w stanie ocenić, figurę też miała modelki. Nagie ramiona wyglądały - jak na kobietę - muskularnie. Jej wzrok na chwilę zamarł, potem nieco go spuściła, a Pitt przypomniał sobie, że stoi przed damą w samych gatkach, i poczuł zażenowanie.

- Dlaczego nie jest pan ubrany? - wymamrotała.

Bezsensowne pytanie nie było wynikiem niezdrowej ciekawości, lecz strachu i przebytego urazu psychicznego i Pitt nie zamierzał odpowiadać.

- Lepiej niech pani opowie, kim jest i jak udało się pani przeżyć.

Sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała się przewrócić, szybko się więc schylił, objął ją ramieniem wokół talii i posadził w stojącym obok fotelu. Obszedł kontuar, za którym zgodnie z oczekiwaniem znalazł ciało barmana, wziął z wyłożonej lustrem półki butelkę ekskluzywnego jacka danielsa numer 7 i nalał do szklaneczki sporą miarę.

- Proszę wypić - powiedział przytykając szklanę kobiecie do ust.

- Nie pijam alkoholu.

- Proszę potraktować to jak lekarstwo. Wystarczy kilka łyków.

Udało jej się wypić whisky bez kasłania, kiedy jednak będący dla konesera jak pocałunek lata płyn zapiekł ją w gardle, skrzywiła się z obrzydzeniem. Złapała kilka oddechów i spojrzała w zielone pełne współczucia oczy Pitta.

- Nazywam się Deidre Dorsett - szepnęła nerwowo.

- Proszę dalej. Jest pani pasażerką?

Pokręciła głową.

- Artystką. Śpiewam i gram w klubie.

- To pani grała „Sweet Lorraine”?

- Nazwijmy to reakcją na szok. Szok po zobaczeniu, że wszyscy nie żyją, szok na myśl, że zaraz przyjdzie kolej na mnie. Nie mogę uwierzyć, że żyję.

- Gdzie pani była, kiedy doszło do tragedii?

Z chorobliwą fascynacją wbiła wzrok w leżące obok cztery martwe pary.

- Kobieta w czerwonej sukience i jej mąż, ten siwy, obchodzili z przyjaciółmi pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Poprzedniego wieczora personel kuchenny wyrzeźbił w lodzie serce przebite strzałą, żeby włożyć w nie wazę ze szprycerem z szampana. Kiedy Fred, który jest... znaczy się, był barmanem, otwierał szampana, a Marta, kelnerka, poszła do kuchni po wazę do ponczu, ofiarowałam się iść do lodówki.

- Była pani w lodówce?

Skinęła milcząco głową.

- Pamięta pani, czy zatrzasnęła za sobą drzwi?

- Zamykają się automatycznie.
- Mogła pani sama przynieść rzeźbę z lodu?
- Nie była bardzo duża. Miała mniej więcej średnicę wiadra.
- Co robiła pani dalej?

Zamknęła oczy, przycisnęła do nich dłonie i szepnęła:

- Byłam w środku kilka minut. Kiedy wyszłam, wszyscy na statku nie żyli.
- Ile minut była pani w środku?

Zaczęła kręcić głową i powiedziała przez dłonie:

- Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania?
- Nie chciałbym gadać jak prokurator, ale to naprawdę ważne, żeby pani odpowiedziała.

Opuściła powoli ręce i popatrzyła nie widzącym wzrokiem na stół.

- Nie wiem, nie umiem dokładnie określić. Pamiętam jedynie, że chwilę zajęło mi owinięcie rzeźby w ręczniki, żeby nie odmrozić dłoni.

- Miała pani wielkie szczęście. Klasyczny przypadek znalezienia się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu. Gdyby wyszła pani z lodówki dwie minuty wcześniej, nie żyłaby pani tak samo jak pozostali. Dodatkowo miała pani szczęście, że dotarłem na pokład w tym momencie, kiedy dotarłem.

- Jest pan członkiem załogi? Nie poznaję pana.

Jednocześnie nie miała świadomości, jak mało brakowało, by „Polar Queen” zderzył się z Wyspami Niebezpieczeństwa.

- Przepraszam, powinienem był się przedstawić. Nazywam się Dirk Pitt i jestem uczestnikiem ekspedycji naukowej. Znaleźliśmy pozostawioną własnemu losowi grupę waszych ludzi na Wyspie Seymoura i zaczęliśmy szukać statku, ponieważ nie odpowiadał na wezwania radiowe.

- To grupa, w której była Maeve Fletcher. Też nie żyją, prawda?

- Zmarły dwie osoby z grupy i marynarz, który zawiózł ich na brzeg, ale pani Fletcher i pozostali czują się dobrze.

Przez jej twarz przebiegł szereg min, a z każdej mogłaby być dumna broadwayowska aktorka. Po przerażeniu pojawiła się złość, która powoli przeszła w radość. Kobieta przestała nerwowo mrużyć oczy i wyraźnie jej ulżyło.

- Dzięki Bogu, że Maeve nic się nie stało.

Przez okna klubu wpadło słońce, oświetlając rozpuszczone włosy Deidre Dorsett. Dirk poczuł zapach perfum. Zdawało mu się, że nastrój siedzącej przed nim kobiety diametralnie się zmienia. Nie była podlotkiem, niedawno pewnie skończyła trzydzieści lat i wyczuwało się w niej pewność siebie i silny charakter. Poczul pożądanie. „Nie teraz - pomyślał z niezadowoleniem - nie w tych okolicznościach”. Odwrócił się, żeby nie dostrzegła na jego twarzy fascynacji.

- Dlaczego? - wymamrotała wodząc wokół ręką. - Dlaczego oni wszyscy musieli umrzeć?

Wbijał wzrok w ośmioosobowe towarzystwo na podłodze, które tuż zanim zostało tak okrutnie pozbawione życia, świętowało niezwykłą chwilę.

- Nie jestem do końca pewien - odparł tonem przepelnionym wściekłością i żalem - ale mam pewien pomysł.

sterburcie. Po przeszukaniu reszty „Polar Queen”, co okazało się bezskutecznym przedsięwzięciem, pozwolił sobie na krótką drzemkę. Deidre Dorsett pilnowała przyrządów, gotowa obudzić go w każdej chwili, gdyby statek wszedł na kurs kolizyjny z jednym z licznych łowiących tu dorsza kutrów. Istnieją ludzie, którzy czują się wypoczęci nawet po krótkim śnie, ale Pitt do nich nie należał. Dwadzieścia minut w krainie snów nie wystarczyło, by zregenerować ciało i umysł po dobie stresów i wysiłku. Obudził się wręcz bardziej zmęczony, niż się kładł. Powoli robił się za stary na skakanie z helikopterów i walkę z rozszalałym oceanem. Kiedy miał dwadzieścia lat, był wystarczająco silny, by przeskakiwać wysokie budynki, przy trzydziestce - parterowe. Ile to lat temu skończył trzydziestkę? Biorąc pod uwagę bolące mięśnie i rwące stawy, jakieś osiemdziesiąt.

Pracował już zbyt długo dla NUMY i admirała Sandeckera. Najwyższy czas poszukać sobie czegoś mniej wymagającego i nie tak absorbującego czasowo. Mógłby na przykład pojechać na Tahiti i zająć się wyplataniem kapeluszy z włókna palmowego albo zabrać się za coś rozwijającego umysłowo, na przykład sprzedaż bezpośrednią środków antykoncepcyjnych. Otrząsnął się z głupich, spowodowanych osłabieniem myśli i ustawił automatyczny system kierowania statkiem na STOP.

Przeprowadził krótką rozmowę z kapitanem „Ice Huntera” Dempseyem. Poinformował go, że staje w dryf, i poprosił o przysłanie załogi, która przejęłaby „Polar Queen”, następnie zadzwonił łączem satelitarnym do admirała Sandeckera, żeby poinformować o sytuacji.

Telefonistka kwatery głównej NUMY przełączyła go na prywatny telefon admirała. Choć dzieliło ich trzy czwarte obwodu kuli ziemskiej, strefa czasowa, w której znajdował się Pitt, wyprzedzała Waszyngton jedynie o godzinę.

- Dobry wieczór, admirale.
- Czemu tak późno się zgłaszasz?
- Trochę dużo działo się tu naraz.
- Obiło mi się o uszy, że wspólnie z Giordinem znalazłeś i uratowałeś statek.
- Sprawi mi wielką przyjemność opowiedzenie panu szczegółów.
- Spotkałeś się z „Ice Hunterem”? - Sandecker był jak zwykle skąpy w pochwałach.
- Tak jest. Kapitan Dempsey stoi kilkaset metrów ode mnie. Właśnie wysyła szalupę z załogą, która przejmie statek i zabierze jedyną ocalałą osobę.

- Ile ofiar?
- Na podstawie listy pasażerów z biura intendenta i spisu załogi z kabiny pierwszego oficera można uznać, że na pokładzie były dwieście dwie osoby. Odliczając dwudziestu pasażerów i dwóch członków załogi, którzy żyją, po prowizorycznym przeszukaniu statku doliczyliśmy się wszystkich bez pięciu osób załogi.

- Czyli macie sto osiemdziesiąt ofiar.
- Tak to wygląda.
- Rząd Australii chce rozpocząć intensywne śledztwo w celu wyjaśnienia przyczyn tragedii. Niedaleko od was, na południowym zachodzie, w zatoce Duse, znajduje się angielska stacja badawcza z lądowiskiem. Kazałem kapitanowi Dempseyowi udać się tam i dostarczyć ocalałych na ląd. Armatorzy statku, Ruppert i Saunders, wycarterowali samolot, który odwiezie ich do Sydney.

- A co z ciałami pasażerów i załogi?
- Zostaną w stacji badawczej włożone do lodu i przewiezione do Australii transportem wojskowym. Zaraz po ich dostarczeniu zostanie wszczęte formalne dochodzenie przyczyn tragedii, a ciałami zajmą się patologowie.

- Pomówmy o „Polar Queen”. - Pitt przekazał admirałowi szczegóły odnalezienia statku przez niego i Giordina i opowiedział o tym, jak blisko był rozbicia o skały. Na koniec zapytał: - Co z nim robimy?

- Ruppert i Saunders wysyłają załogę, która zaprowadzi statek do Adelajdy.

Będzie z nimi ekipa inspektorów rządowych, którzy sprawdzą każdy centymetr statku, nim zawinie do portu.

- Powinien pan zażądać nagrody za ocalenie tej jednostki. NUMA może dostać za uratowanie jej od pewnej zagłady ze dwadzieścia milionów dolarów.

- Bez względu na to, czy jesteśmy do tego uprawnieni czy nie, nie zażadam ani centa. - Pitt słyszał w głosie admirała wyraźny ton zadowolenia. - W zamian za to w najbliższych latach wydebię od rządu australijskiego dwa razy tyle na przysługach i pomocy przy programach badawczych, które będziemy prowadzić na ich wodach.

Trudno było oskarżyć admirała o zgrzybiałość.

- Machiavelli powinien się od pana uczyć - westchnął Pitt.

- Z pewnością zainteresuje cię, że skończył się pomór fauny morskiej w waszym rejonie. Rybacy i pomocnicze statki badawcze nie zaobserwowały w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin żadnych niecodziennych zgrupowań martwych ryb i ssaków. Niestety dotarły do nas informacje o ogromnej liczbie martwych ryb i żółwi wyrzuconych na brzeg wysp Fidżi.

- Brzmi to, jakby kataklizm żył własnym życiem.

- Na pewno nie pozostaje w miejscu. Stawka jest wysoka. Jeżeli nie wykluczymy wszelkich możliwych przyczyn i nie zlokalizujemy go szybko, stracimy tyle morskich istot, że do końca świata nie odtworzymy populacji.

- Przynajmniej mamy pewność, że nie chodzi o powtórkę spowodowanego wypływającymi z rzeki Niger truciznami chemicznymi gwałtownego rozmnażania się wiciowców.

- No tak, udało się zamknąć tę fabrykę w Mali. Umieszczone wzdłuż rzeki czujniki nie wykazują wzrostu poziomu syntetycznych aminokwasów i kobaltu, co wywołało wtedy katastrofę.

- Czy geniusze z laboratoriów mają jakieś hipotezy?

- Nasi nie. Mam nadzieję, że na coś wpadli biologowie z „Ice Huntera”.

- Jeśli tak, to trzymają to przede mną w tajemnicy.

- Czy masz w związku z tą sprawą jakiś pomysł? - Sandecker macał delikatnie i ostrożnie. - Coś, co mógłbym rzucić na pożarcie psom ze środków masowego przekazu, których koczuje tu ze dwustu?

W oczach Pitta zamigotał uśmiech. Właśnie dostał informację, żeby nie podawać przez telefon żadnej istotnej informacji. Przekazywane przez satelitę rozmowy były tak zabezpieczone przed podsłuchem jak wiejski sekstelefon. Samo wspomnienie o prasie wystarczyło, by Pitt wiedział, że ma ich unikać jak ognia.

- Węszą za sensacją?

- Brukowce już opisały statek śmierci w trójkącie antarktycznym.

- Mówi pan poważnie?

- Z przyjemnością przefaksuję ci artykuły.

- Obawiam się, że nie spodoba im się moja hipoteza.

- Podzielisz się nią ze mną?

Zapadła cisza.

- Uważam, że możemy mieć do czynienia z roznoszonym przez wiatr nieznanym wirusem - rzekł

wreszcie Pitt.

- Wirusem - mechanicznie powtórzył Sandecker. - Muszę powiedzieć, że to mało oryginalne.

- Rozumiem, że to dziwnie brzmi i jest niewiele bardziej logiczne niż liczenie dziur w izolacji dźwiękowej na suficie, kiedy siedzi się na fotelu dentystycznym.

Jeżeli Sandecker był zdziwiony bełkotem Pitta, nie dał nic po sobie poznać. Westchnął, jakby prowadzili towarzyską pogawędkę.

- Pozostawmy śledztwo specjalistom. Chyba mają lepszy przegląd sytuacji od ciebie.

- Proszę mi wybaczyć, admirale, ale mąci mi się trochę w głowie ze zmęczenia.

- Rzeczywiście mówisz trochę bez ładu i składu. Kiedy Dempsey podeśle ci załogę, natychmiast przejdź na „Ice Huntera” i się wyśpij.

- Dziękuję za wyrozumiałość.

- To jedynie akceptacja zaistniałej sytuacji. Porozmawiamy później.

Pstryk - admirał Sandecker zniknął z łącza.

Deidre Dorsett wyszła na mostek i kiedy zobaczyła stojącą przy relingu „Ice Huntera” Maeve Fletcher, jęła machać ręką jak szalona i krzyczeć. Uwolniona od tortury bycia jedyną żywą na pełnym trupów statku, śmiała się tak głośno, aż pomiędzy statkami zadudniło echo.

Maeve wodziła wzrokiem po pokładzie „Polar Queen”, starając się dojrzeć wykrzykującą jej imię kobietę. W końcu zauważyła machającą postać. Zamarła w bezruchu. Kiedy rozpoznała Deidre, na jej twarzy pojawiła się mina, jaką miewają ci, co spacerują nocą po cmentarzu i zostali nagle klepnięci w ramię.

- Deidre?! - krzyknęła pytająco.

- Czy tak wita się kogoś wracającego z zaświatów?

- Ty żyjesz?

- Maeve, jak się cieszę, że cię widzę!

- Ja też jestem zaskoczona twoim widokiem. - Maeve powoli zaczynała wierzyć własnym oczom.

- Nic ci się nie stało na wyspie?

- Trochę tylko zmarzłam. - Maeve wskazała w kierunku marynarzy z „Ice Huntera”, którzy opuszczali szalupę. - Poproszę, żeby mnie podwieźli, to spotkamy się na trapie.

- Zaczekam. - Deidre uśmiechnęła się do siebie i weszła do sterówki.

Pitt rozmawiał przez krótkofalówkę z Dempseyem. Skinął głową, uśmiechnął się i rozłączył.

- Dempsey mówi, że jedzie do nas Maeve.

Deidre skinęła głową.

- Była zaskoczona moim widokiem.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności - powiedział Pitt zauważając po raz pierwszy, że Deidre jest niemal jego wzrostu - że dwie przyjaciółki są jedynymi członkami załogi, którym udało się przeżyć.

Deidre wzruszyła ramionami.

- Nie bardzo można nas nazwać przyjaciółkami.

Pitt ze zdziwieniem patrzył w jej brązowe oczy, błyszczące we wpadającym przez przednie okno słońcu.

- Nie lubicie się?

- To sprawa pokrewieństwa, panie Pitt - powiedziała chłodno. - Pomijając nazwiska, jesteśmy siostrami.

„Ice Hunter” i „Polar Queen” wpłynęły za osłonę zatoki Duse i rzuciły kotwicę tuż przed angielską stacją badawczą. Morze było niemal nieruchome. Dempsey poinstruował swoich marynarzy, w jakiej odległości mają zakotwiczyć „Polar Queen”, żeby statki nie były narażone na kolizję przy zmianie pływów.

Pitt ledwie stał na nogach, lecz nie posłuchał rozkazu Sandeckera, żeby iść spać. Choć przekazał „Polar Queen” ludziom Dempseya, musiał jeszcze dopilnować stu drobiazgów. Najpierw pomógł wsiąść Deidre Dorsett do szalupy, którą przyплыnęła Maeve, i odesłał panie na „Ice Huntera”, potem większość widnej nocy spędził na przeszukiwaniu statku i liczeniu zmarłych, których nie odkrył w trakcie pierwszej pobieżnej kontroli. Wyłączył ogrzewanie, by ciała zachowały się w dobrym stanie do sekcji. Dopiero kiedy „Polar Queen” zakotwiczył bezpiecznie w zatoce, przekazał dowództwo i wrócił na statek NUMY. W sterówce czekali na niego z gratulacjami Giordino i Dempsey. Giordino natychmiast nalał mu filiżankę gorącej kawy. Pitt popijał parujący płyn i patrzył znad filiżanki na płynącego do statku zodiaca.

Kilka minut temu, ledwie kotwica „Ice Huntera” wbiła się w dno, z samolotu wysiedli przedstawiciele Rupperta i Saundersa. Wsiedli do pontonu, który natychmiast ruszył, i po kilku minutach weszli na opuszczony trap. Wspięli się na mostek, gdzie czekali Dempsey, Pitt i Giordino. Prowadzący grupę mężczyzna przeskakiwał po trzy stopnie i raz-dwa stanął na mostku. Był wysoki, rumiany, z uśmiechem szerokości pół metra.

- Kapitan Dempsey? - zapytał.

Dempsey zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

- To ja.

- Kapitan Ian Ryan, dyrektor działań operacyjnych Rupperta i Saundersa.

- Cieszę się, że mogę gościć pana na pokładzie, kapitanie.

Oczy Ryana były bardzo uważne.

- Przybyłem, aby wraz z moimi oficerami przejąć dowodzenie „Polar Queen”.

- Statek jest pański - spokojnie powiedział Dempsey. - Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, poprosiłbym o odesłanie moich ludzi, kiedy wejdziecie na pokład.

Na ogorzałej twarzy Ryana pojawiła się ulga. Sytuacja mogła okazać się znacznie delikatniejsza. Z prawnego punktu widzenia właścicielem statku był Dempsey, który ratując jednostkę automatycznie przejął dowodzenie po zmarłym kapitanie, a prawo własności po armatorze.

- Rozumiem, że zrzeka się pan dowodzenia na rzecz Rupperta i Saundersa.

- NUMA nie zajmuje się ratownictwem, kapitanie. Nie rościmy sobie praw do „Polar Queen”.

- Dyrekcja spółki poprosiła mnie o przekazanie wyrazów najgłębszej wdzięczności i gratulacji za podjęcie prób ratowania pasażerów i statku.

Dempsey przedstawił Pitta i Giordina.

- To ci dżentelmeni znaleźli wasz statek i zapobiegli jego rozbiciu o Wyspy Niebezpieczeństwa.

Ryan energicznie uściśnął im dłonie. Miał mocny, męski chwyt.

- Godne uwagi, naprawdę godne uwagi osiągnięcie. Zapewniam, że Ruppert i Saunders okaże wdzięczność.

Pitt pokręcił głową.

- Zostaliśmy poinstruowani przez naszego dowódcę, admirała Jamesa Sandeckera, że nie możemy

przyjąć jakiegokolwiek nagrody ani wynagrodzenia za ratunek statku.

Ryan nic nie rozumiał.

- Niczego? Absolutnie niczego?

- Ani centa - odparł Pitt walcząc z opadającymi powiekami.

- Jakie to cholernie przyzwoite - westchnął Ryan. - Coś niesłychanego w annałach ratownictwa morskiego. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że nasza firma ubezpieczeniowa w każdą rocznicę tragedii będzie pić panów zdrowie.

Dempsey wskazał na prowadzący do jego kabiny korytarz.

- Jeżeli już jesteśmy przy temacie drinków, kapitanie Ryan, może się pan napije?

Ryan spojrzał na stojących za nim jego ludzi.

- Czy zaproszenie dotyczy też moich oficerów?

- Jak najbardziej - odparł Dempsey z przyjaznym uśmiechem.

- Ratujecie nasz statek i pasażerów, a na koniec stawiacie drinka. Niech się pan nie obrazi, ale straszni z was jankesów dziwacy.

- Nie bardzo - powiedział Pitt mrugając zamykającymi się oczami. - Po prostu jesteśmy cholernie staroświeccy.

Kiedy Pitt brał prysznic i golił się, jego ruchami kierowały jedynie nawyki. W pewnej chwili osunął się na kolana i zaczął odpływać w sen nawet nie słysząc plusku wody. Zbyt zmęczony, żeby wysuszyć włosy, owinał biodra ręcznikiem, padł na wielkie łóżko - na tym statku nie było wąskich, niewygodnych koi - przyłożył głowę do poduszki i zasnął.

Jego podświadomość nie zarejestrowała pukania do drzwi. Zwykle czujny na najsłabszy obcy dźwięk, Pitt nie tylko się nie obudził, ale nawet nie drgnął, kiedy stukanie rozległo się ponownie. Spał tak głęboko, że nie było najmniejszej zmiany w oddechu. Nie mrugnął nawet powieką, kiedy do kabiny zajrzała Maeve Fletcher.

- Panie Pitt, jest pan tu?

Nie powinna wprawdzie wchodzić, ale ciekawość zwyciężyła. Poruszała się ostrożnie, a niosła dwa kieliszki i butelkę remy martin XO, którą pożyczyła od Giordina. Usprawiedliwiała się przed sobą, że chciała jak najszybciej podziękować za uratowanie życia.

Z zaskoczeniem ujrzała się w wiszącym nad biurkiem lustrze. Jej policzki pałały jak u dziewczyny czekającej na chłopaka, z którym ma iść na zabawę w szkole. Rzadko czuła się podobnie. Zła na siebie, odwróciła się od lustra. Nie mogła uwierzyć, że pcha się nie proszona do pokoju mężczyzny. Ledwie знаła Pitta, właściwie był dla niej kimś obcym, ale Maeve była kobietą przyzwyczajoną do robienia tego, na co ma ochotę.

Jej ojciec wychowywał ją i jej siostry, jakby nie były dziewczynkami, lecz chłopcami. Nie miały lalek ani modnych sukienek i nie chadzały na bale dla młodych dam. Zamiast dać mu mających kontynuować rodzinne imperium synów, żona urodziła trzy córki, ale on zignorował los i wychowywał je tak, aby stały się twardsze od mężczyzn. Mając osiemnaście lat, Maeve umiała kopnąć piłkę dalej niż większość chłopców w klasie i wybrała się w pieszą podróż z Perth do Canberry, mając za towarzysza jedynie udomowionego psa dingo. W nagrodę ojciec zabrał ją ze szkoły i zatrudnił w rodzinnej kopalni, gdzie miała pracować z mężczyznami. Zbuntowała się uznając, że nie jest to życie dla niej. Uciekła do Melbourne, przebiła się przez uniwersytet i zaczęła karierę naukową jako zoolog. Ojciec nigdy nie próbował sprowadzić jej z powrotem na łono rodziny. Wręcz odwrotnie - zanegował jej prawo do udziału w rodzinnym majątku, a gdy w pół roku po zerwaniu

trwającego rok cudownego związku z kolegą ze studiów urodziła bliźniaki, udawał, że córka nie istnieje. Ojciec jej dzieci był synem hodowcy owiec, pięknie opalonym, silnym i o czułych szarych oczach. Nieustannie się śmiali, kochali i walczyli ze sobą, a kiedy się ostatecznie rozstawali, nie powiedziała, że jest w ciąży.

Maeve postawiła butelkę i kieliszki na stole i zaczęła oglądać osobiste drobiazgi Pitta, rzucone byle jak na stertę map i dokumentów. Zajrzała ukradkiem do portfela, wypchanego kartami kredytowymi, biznesowymi i członkowskimi różnych stowarzyszeń. W środku były dwa czekiny blanco i sto dwadzieścia trzy dolary w gotówce. Ku jej zdziwieniu w portfelu nie było zdjęć. Odłożyła go na miejsce i zaczęła oglądać inne rzucone drobiazgi - noszącą ślady długiego używania doxę dla nurków z pomarańczowym cyferblatem i ciężką stalową bransoletką oraz gruby pęk kluczy. Więcej nic nie było.

Trochę mało, żeby rozgryźć właściciela. W jej życiu było kilku mężczyzn, którzy przychodzili i odchodzili, czasem z jej inicjatywy, czasem z własnej, i każdy coś po sobie zostawiał, tu jednak był mężczyzna, który chadzał swoimi ścieżkami i nie pozostawiał po sobie śladów. Weszła do sypialni. Lustro nad umywalką w widocznej stąd łazience było zroszone, a więc mieszkaniec apartamentu niedawno się kąpał. Maeve poczuła delikatny zapach wody po goleniu, co wywołało w dole brzucha łaskotanie.

- Panie Pitt! - zawołała ponownie, ale też niezbyt głośno. - Jest pan tu?

W tym momencie ujrzała go leżącego na łóżku ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, jakby był złożony do trumny. Widząc, że jest zakryty ręcznikiem, odetchnęła z ulgą.

- Przepraszam. Proszę mi wybaczyć wtargnięcie.

Pitt spał jak suseł.

Obejrzała go od stóp do głów. Gęste czarne włosy były jeszcze wilgotne i zmierzwione. Brwi miał czarne, gęste, niemal zrosnięte nad mocnym nosem. Oceniała go na mniej więcej czterdzieści lat, choć ostre rysy, ogorzała cera i nieustępliwa linia szczęki powodowały, że wyglądał starzej. Drobne zmarszczki wokół oczu i ust kierowały się ku górze nadając twarzy wiecznie uśmiechnięty wyraz. Twarz wyrażała siłę, takie twarze przyciągają kobiety. Wyglądał na mężczyznę zdecydowanego i mocnego, kogoś, kto widział dobro i zło i nigdy nie unikał konfrontacji z tym, co przynosi życie.

Był szczupły, ramiona miał szerokie, brzuch płaski, biodra wąskie, mięśnie rąk i nóg wyraźnie zaznaczone, ale nie sztucznie wypracowane. Nie było to ciało potężne, raczej żyłaste, może nawet należało powiedzieć - smukłe. Wyczuwało się w nim napięcie, można je było porównać do czekającej na zwolnienie sprężyny. Do tego dochodziły blizny - Maeve nie umiała sobie wyobrazić ich pochodzenia.

Wyglądał na człowieka ulepionego z innej gliny niż znani jej dotychczas mężczyźni. Żadnego tak naprawdę nie kochała, a spała z nimi bardziej z ciekawości i protestu wobec ojca niż prawdziwego pożądania. Kiedy zaszła w ciążę, odmówiła jej przerwania i urodziła chłopców też głównie na złość ojcu.

Stojąc nad śpiącym, poczuła dziwną przyjemność i poczucie władzy. Podniosła dolny brzeg ręcznika, uśmiechnęła się sama do siebie. Pitt wydał jej się niezwykle atrakcyjny i pożądała go. Pożądała go gorączkowo i bezwstydnie.

- Wygląda na to, że jest w twoim guście, siostrzyczko - dobiegł z za jej pleców cichy, chrapliwy głos.

Zaskoczona, odwróciła się i ujrzała Deidre, opartą niedbale o framugę i palącą papierosa.

- Co tu robisz? - syknęła.

- Chcę cię uchronić przed ugryzieniem większego kęsa, niż mogłabyś połknąć.

- Bardzo śmieszne. - Maeve matczynym ruchem narzuciła na Pitta kołdrę i podłożyła brzegi pod materac. Potem odwróciła się, siłą wypchnęła Deidre do przedpokoju i ostrożnie zamknęła drzwi sypialni. - Co za mną łazisz? Dlaczego nie wróciłaś do Australii z pozostałymi?

- Mogę spytać ciebie o to samo, siostrzyczko.

- Naukowcy ze statku poprosili mnie, żebym została i napisała sprawozdanie o kontakcie z kataklizmem.

- A ja zostałam, ponieważ pomyślałam, że mogłybyśmy dać sobie buzi i się pogodzić.

- Kiedyś bym ci uwierzyła, ale teraz na pewno nie.

- Wtedy była nieco inna sytuacja.

- Jak udało ci się pozostać przez trzy tygodnie nie zauważoną?

- Nie uwierzysz, ale leżałam w łóżku chora na żołądek.

- Bzdura. Masz końskie zdrowie. Nie pamiętam, byś kiedykolwiek na coś chorowała.

Deidre rozejrzała się za popielniczką, lecz nie znalazła, więc otworzyła drzwi i pstryknęła niedopałek przez reling do morza.

- Nie dziwi cię moje cudowne ocalenie?

Maeve spojrzała jej w oczy. Pytanie zdeorientowało ją i zaniepokoiło.

- Opowiadałaś, że byłaś w lodówce.

- W szczęśliwym momencie, nie sądzisz?

- Miałaś nieprawdopodobne szczęście.

- Szczęście nie ma z tym nic wspólnego - zaproponowała Deidre. - A co z tobą? Nie zastanawiałaś się, dlaczego w odpowiednim momencie znalazłaś się w jaskini?

- Co chcesz zasugerować?

- Naprawdę nic nie rozumiesz? - Deidre powiedziała to, jakby strofowała niegrzeczne dziecko. - Pamiętam, jak wypadłaś z domu przysięgając, że nie zamierzasz nigdy widzieć nikogo z nas. Uważasz, że tata ci wybaczył? Wściekł się strasznie, kiedy dowiedział się, że zmieniłaś nazwisko na Fletcher, po naszej prapraprababce. Od kiedy uciekłaś, obserwował każdy twój ruch - od pierwszego dnia na uniwersytecie po zatrudnienie się u Rupperta i Saundersa.

Maeve wpatrywała się w siostrę z przerażeniem i niewiarą, która przeszła w momencie, kiedy zaczęła jej świtać pewna myśl.

- Tak się bał, żebym nikomu nie opowiedziała o jego brudnych interesach?

- Bez względu na to, jak niecodziennych metod tata używał do rozwijania rodzinnego imperium, było to z myślą o dobrze twoim, moim i Boudicki.

- Boudicca! - Maeve niemal splunęła. - Nasza diabelska siostrzyczka!

- Myśl, co chcesz, ale Boudicca zawsze myślała o twoim dobrze.

- Jeśli tak uważasz, jesteś głupsza, niż mogłabym się spodziewać.

- To Boudicca uprosiła ojca, żeby darował ci życie upierając się, bym udała się w tę podróż.

- Darował mi życie? To nie ma sensu.

- Kto według ciebie spowodował, że kapitan wysłał cię na ląd z pierwszą grupą?

- Ty?

- Ja.

- Była moja kolej wyjścia na ląd. Pracujemy w systemie rotacyjnym.

Deidre pokręciła głową.

- Gdyby wszystko odbyło się zgodnie z planem, poszłabyś z drugą grupą, która nigdy nie opuściła statku.

- Jaki miałby być tego powód?

- Zgranie w czasie. Ludzie taty skalkulowali wystąpienie zjawiska w momencie, kiedy pierwsza grupa była bezpieczna w jaskiniach.

Maeve miała wrażenie, że pokład nagle się zakołysał. Krew odpłynęła jej z policzków.

- Niemożliwe, żeby to przewidzieli.

- Nasz tata to sprytny człowiek - powiedziała Deidre, jakby plotkowała z koleżanką przez telefon.

- Gdyby nie dokładne planowanie, skąd miałabym wiedzieć, kiedy zamknąć się w lodówce?

- Skąd miałby wiedzieć, kiedy i gdzie wydarzy się katastrofa?

- Przecież mówię, że nasz tata nie jest głupi. - Deidre szczyrzyła zęby w upiornym uśmiechu.

Maeve zatrzęsała się z wściekłości.

- Jeżeli coś podejrzewał, powinien ostrzec zagrożonych i zapobiec rzezi!

- Tata ma ważniejsze sprawy na głowie niż litowanie się nad garstką znudzonych życiem turystów.

- Przysięgam na Boga, że zapłacicie za to!

- Zdradzisz rodzinę? - Deidre wzruszyła ramionami i sama sobie od powiedziała: - No tak, chybaś to zrobiła.

- Możesz się nawet założyć.

- Ale nie zrobisz tego, jeżeli chcesz zobaczyć swoich drogich synków.

- Sean i Michael są tam, gdzie ojciec nigdy ich nie znajdzie.

- Myśl, co chcesz, ale ukrywanie ich z nauczycielem w Perth nie było najmądrzejsze.

- Błefujesz.

- Twoja ukochana siostrzyczka Boudicca przekonała nauczyciela i jego żonę, jeżeli pamiętam nazwisko, państwo Hollender, żeby pozwolili jej zabrać bliźniaki na piknik.

Kiedy to do Maeve dotarło, zadrżała i poczuła mdłości.

- Macie ich?

- Chłopców? Oczywiście.

- Jeżeli zrobiła coś Hollenderom...

- Nie martw się o nich.

- Co zrobiliście z Seanem i Michaeliem?

- Tata bardzo czule się nimi opiekował na swej prywatnej wyspie. Przekazuje im nawet wiedzę o diamentach. Rozchmurz się. Nic im się nie stanie, chyba że dojdzie do jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Sama najlepiej wiesz, jak to bywa, kiedy dzieci bawią się niedaleko kopalnianych szybów. Pozytywna strona tej sytuacji jest taka, że jeśli staniesz po stronie rodziny, twoi chłopcy będą któregoś dnia niezwykle bogaci i będą mieli władzę.

- Jak tata?! - wykrzyknęła z wściekłością i strachem Maeve. - Wolę, żeby umarli. - Pohamowała impuls, żeby rzucić się na siostrę, i usiadła ciężko w krześle, pobita i złamana.

- Mogliby mieć gorzej - powiedziała Deidre napawając się bezradnością Maeve. - Pobaw się kilka dni z przyjaciółmi z NUMY i trzymaj gębę na kłódkę, to za parę dni polecimy do domu. - Podeszła do drzwi, ale przed wyjściem jeszcze się odwróciła. - Myślę, że jeżeli poprosisz o przebaczenie i okażesz lojalność rodzinie, tata okaże się wspaiałomyślny. - Z tymi słowami

wyszła na pokład i zniknęła.

CZEŚĆ II

SKĄD SIĘ BIORĄ MARZENIA

11

Admirał Sandecker rzadko używał do konferencji wielkiej sali. Korzystali z niej praktycznie tylko odwiedzający NUMĘ kongresmeni i ważni - zarówno krajowi, jak i zagraniczni - naukowcy. Na wewnętrzne spotkania NUMY wolał niewielką salę znajdującą się tuż obok jego gabinetu. Była bardzo komfortowa i idealna do przeprowadzania nieformalnych, poufnych rozmów z dyrektorami działów. Sandecker często wykorzystywał też salę jako jadalnię dyrekcji, gdyż faktycznie można tu było znakomicie odpocząć w miękkich skórzanych fotelach, ustawionych wokół trzymetrowego stołu konferencyjnego, zbudowanego z kawałka burty szkunera, wydobytego z dna jeziora Erie. Wiktoriański kominek i puszysty turkusowy dywan dodawały sali jeszcze większego uroku.

W odróżnieniu od nowoczesnego wystroju pozostałych gabinetów NUMY, wyłożonych po sufit zielonkawym szkłem, ta sala wyglądała jak wyjęta żywcem z tradycyjnego londyńskiego klubu. Ściany i sufity były wyłożone tekowym drewnem o jedwabistej powierzchni, a dookoła w kunsztownych ramach wisiały obrazy przedstawiające działania Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

Była tu pokazana z wszelkimi detalami scena z epickiej bitwy pomiędzy katastrofalnie uzbrojonym „Bonhomme Richardem” pod dowództwem Johna Paula Jonesa a brytyjską fregatą o pięćdziesięciu lufach. Obok sędziwa amerykańska fregata „Constitution” pozbawiała masztów brytyjską fregatę „Java”. Na przeciwnej ścianie niszczyły się pochodzące z wojny domowej pancerniki „Monitor” i „Virginia” (lepiej znany pod nazwą „Merrimac”). Obok siebie wisiały obrazy pokazujące komandora Deweya niszczącego w Zatoce Manilskiej flotę Hiszpanii i startujące z lotniskowca „Enterprise” w trakcie bitwy o Midway bombowce nurkujące. Tylko jeden obraz - nad kominkiem - nie pokazywał bitwy morskiej. Był to portret Sandeckera w skromnym mundurze tuż przed awansem i wyrzuceniem na brzeg. Pod portretem, w szklanej skrzynce, znajdował się model ostatniego dowodzonego przez niego okrętu - krążownika raketowego „Tucson”.

Po przejściu Sandeckera na emeryturę jeden z byłych prezydentów zaproponował mu organizację i poprowadzenie nowej agencji rządowej, mającej się zajmować badaniem mórz i oceanów. Zaczynając w wynajętej hali magazynowej i z niecałym tuzinem ludzi (w tym Pittem i Giordinem), admirał stworzył z NUMY olbrzymią organizację wzbudzającą zazdrość we wszystkich instytutach oceanograficznych świata, zatrudniającą dwa tysiące osób i posiadającą olbrzymi budżet, rzadko kwestionowany i prawie zawsze zatwierdzany przez Kongres.

Sandecker z pasją walczył z wiekiem. Choć niedawno skończył sześćdziesiąt lat, miał hyzja na punkcie joggingu, podnosił ciężary i zajmował się wszystkim, dzięki czemu można się było spocić i przyspieszyć rytm serca. Efekty intensywnych ćwiczeń i dobrej diety były widoczne gołym okiem po szczupłej sylwetce. Był wzrostu minimalnie niższego od średniego, płomiennorude gęste włosy miał obcięte krótko i gładko przyczesane, z przedziałkiem po lewej stronie tak ostrym, jakby zrobionym brzytwą. Nieco kanciaste, wyraziste rysy podkreślane były przez przenikliwie patrzące brązowe oczy

i spiczastą bródkę w takim samym kolorze co włosy.

Jedynym nałogiem Sandeckera były cygara. Uwielbiał palić dziennie dziesięć grubych cygar, wyprodukowanych na specjalne zamówienie wedle jego smaku. Wszedł do sali konferencyjnej w chmurze dymu niczym materializujący się na scenie we mgle magik, podszedł do szczytu stołu i uśmiechnął się życzliwie do siedzących z lewej i prawej dwóch mężczyzn.

- Przepraszam, że kazałem panom tak długo czekać, ale nigdy nie każę pracować w nadgodzinach, jeżeli nie jest to bardzo ważne.

Hiram Yaeger, operator sieci komputerowej NUMY i dysponent największej na świecie biblioteki marynistycznej, przechylił się na krześle do tyłu, aż stanęło na dwóch nogach, i skinął Sandeckerowi głową. Jeżeli należało rozwiązać jakikolwiek problem, admirał zawsze zwracał się najpierw do niego. Choć Yaeger chodził na luzie w workowatych kombinezonach, a długie włosy miał spięte w kucyk, mieszkał z żoną i córkami w najdroższej dzielnicy Waszyngtonu i jeździł robionym na specjalne zamówienie bmw.

- Miałem do wyboru zgodzić się na pańską prośbę albo zabrać żonę na balet - powiedział z błyskiem w oku.

- W obu sytuacjach przegrana - parsknął śmiechem Rudi Gunn, dyrektor wykonawczy i drugi po Bogu w hierarchii NUMY. Jeżeli Dirk Pitt był najlepszy do rozwiązywania problemów praktycznych, Gunn był geniuszem organizacyjnym. Chudy, o szczupłych ramionach i biodrach, śmieszny tak samo często jak pogodny, patrzył na świat zza grubych rogowych okularów jak sowa, która czeka, aż pod jej drzewo przybiegnie mysz.

Sandecker usiadł w fotelu, strząsnął popiół do popielniczki zrobionej ze skorupy uchowca i wygładził leżącą na stole mapę Morza Weddella i Półwyspu Antarktycznego. Zastukał palcem w narysowane na niej kółko, w które wpisane były ponumerowane krzyżyki.

- Zostaliście panowie zapoznani z sytuacją na Morzu Weddella, ostatnim miejscu, w którym doszło do masowych zgonów. Numer jeden oznacza punkt, w którym „Ice Hunter” znalazł martwe delfiny. Dwa - martwe foki u wybrzeży Orkadów Południowych. Trzy - Wyspę Seymoura, gdzie doszło do śmierci ludzi, pingwinów i fok. Cztery to przybliżona pozycja „Polar Queen”, kiedy dotknął go kataklizm.

Yaeger sprawdził obwód kręgu.

- Wygląda na dziewięćdziesiąt kilometrów średnicy.

- Niedobrze - wtrącił Gunn marszcząc czoło. - To dwa razy tyle co poprzednio przy Wyspie Czirikowa obok Aleutów.

- W tamtej katastrofie zginęło trzy tysiące słoni morskich i pięciu marynarzy. - Sandecker wziął ze stołu pilota, skierował go ku znajdującej się na ścianie tablicy z sensorami, przycisnął guzik i zaczekał, aż z sufitu powoli opadnie ekran. Nacisnął inny guzik i kiedy komputer wyświetlił trójwymiarową holograficzną mapę Pacyfiku, zaczął umieszczać w różnych miejscach błękitne, świecące jak neon kule, w których poruszały się drobne figurki ryb i różnych morskich ssaków. W kuli nad Wyspą Seymoura znajdowały się też figurki ludzi.

- Do trzech dni wstecz wszystkie strefy śmierci znajdowały się na Pacyfiku.

Biorąc pod uwagę okolice Wyspy Seymoura, doszedł południowy Atlantyk.

- Osiem katastrof w ciągu czterech miesięcy - stwierdził Gunn. - Chyba występują coraz częściej. Sandecker zapatrzył się w czubek cygara.

- I żadna nie doprowadziła nas do odkrycia przyczyny.

- To co ja mam powiedzieć? - spytał Yaeger - Stworzyłem ze sto symulacji komputerowych i żadna nie wyjaśnia łamigłówek. Żadna znana choroba ani trucizna nie może przenosić się tysiące kilometrów, spadać jak grom z jasnego nieba, zabijać na ograniczonym terenie wszelkie objawy życia zwierzęcego i znikać bez śladu.

- Trzydziestu moich ludzi pracuje nad tym - poinformował Gunn - i jeszcze nie znaleźli śladu niczego, co określałoby źródło.

- Czy mamy wyniki sekcji pięciu rybaków, których Gwardia Narodowa znalazła martwych u wybrzeży Wyspy Czirikowa? - spytał Sandecker.

- Wstępne badania nie wykazały żadnych uszkodzeń tkanek, które mogłyby zostać wywołane jakąkolwiek wdychaną albo połkniętą trucizną ani znaną nauce szybko działającą chorobą. Jak tylko pułkownik Hunt z wojskowego ośrodka medycznego Waltera Reeda skończy pisać raport, każę mu do pana zadzwonić.

- Cholera jasna! - wybuchnął Sandecker. - Coś ich zabiło. Kapitan zginął w sterówce z przyciśniętymi do hełmu dłońmi, a załoga na pokładzie podczas wyrzucania sieci. Ludzie nie padają martwi ot tak, zwłaszcza jeżeli mają po dwadzieścia czy trzydzieści lat! Yaeger skinął głową.

- Może szukamy nie tam, gdzie trzeba. To musi być coś, o czym nawet nie pomyśleliśmy.

Sandecker wpatrywał się tępo w unoszący się z cygara dym. Rzadko wykladał wszystkie karty na stół, zawsze odkrywał je kolejno i bardzo powoli.

- Rozmawiałem tuż przed naszym spotkaniem z Dirkiem.

- Jest coś nowego?

- Od biologów „Ice Huntera” nic, ale ma swoją teorię i choć przyznaje, że jest dość naciągana, nikt nie wpadł na coś podobnego.

- Z chęcią o niej usłyszę - powiedział Yaeger.

- Uważa, że to coś w rodzaju... powiedzmy, zanieczyszczenia.

Gunn popatrzył sceptycznie na Sandeckera.

- O jakim rodzaju zanieczyszczenia nie pomyśleliśmy?

Sandecker zmarszczył się jak patrzący przez lunetkę snajper.

- O hałasie.

- O hałasie - powtórzył Gunn. - Jakim?

- Uważa, że może chodzić o zabójcze fale dźwiękowe, przenoszone na odległość setek, może tysięcy kilometrów przez wodę, które wydostają się na powierzchnię i zabijają wszystko w określonym promieniu. - Sandecker przerwał i czekał na reakcję podwładnych.

Yaeger nie był cynikiem, ale skłonił głowę na bok i roześmiał się.

- Obawiam się, że stary Pitt zbyt szybko wychyla kieliszeczki ulubionej tequili.

Na twarzy Gunna nie pojawiło się zdziwienie. Przez chwilę uważnie się wpatrywał w hologram Pacyfiku i w końcu powiedział:

- Myślę, że coś w tym jest.

Yaeger zmrużył oczy.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Naprawdę. Czarnym charakterem mogą być gwałtowne podwodne zjawiska akustyczne.

- Cieszę się, że tak pan myśli - stwierdził Sandecker. - Kiedy Dirk mi to powiedział, uznałem, że w głowie mu się maści ze zmęczenia. Im bardziej jednak zastanawiam się nad jego teorią, tym bardziej zaczynam w nią wierzyć.

- Mówi się, że samodzielnie uratował „Polar Queen” od rozbicia o skały - rzekł Yaeger.

Gunn skinął głową.

- To prawda. Został zrzucony na pokład z helikoptera i udało mu się skręcić tuż przed zderzeniem.

- Wróćmy jednak do martwych rybaków - poprosił Sandecker. - Kiedy będziemy musieli oddać ciała władzom Alaski?

- Pięć minut po tym jak się dowiedzą, że je mamy - odpowiedział Gunn. - Marynarze z kutra Straży Wybrzeża, którzy odkryli dryfujący w zatoce Alaski statek, bez najmniejszej wątpliwości zaczną o wszystkim opowiadać, jak tylko zacumują w swojej bazie na wyspie Kodiak i zejną na ląd.

- Chociaż ich kapitan kazał im zachować dyskrecję.

- Nie jesteśmy w stanie wojny, admirale. Straż Wybrzeża traktuje się na północnych wodach z wielkim szacunkiem i nie będą chcieli utrzymywać w tajemnicy żadnych informacji na temat ludzi, których mają chronić. Kilka drinków w barze i zaczną opowiadać o wszystkim każdemu, kto tylko zechce słuchać.

Sandecker westchnął.

- Obawiam się, że ma pan rację. Komendant McIntyre nie był zbyt zachwycony prośbą o utrzymanie tajemnicy. Zgodę na wydanie ciał naukowcom NUMY wyraził dopiero na bezpośrednie polecenie sekretarza obrony.

Yaeger rzucił Sandeckerowi znaczące spojrzenie.

- Ciekawe kto przebił się do sekretarza obrony?

Sandecker uśmiechnął się skromnie.

- Gdy wyjaśniłem mu powagę sytuacji, był gotów do daleko idącej współpracy.

- Wybuchnie niezłe piekło, kiedy lokalne związki marynarzy i rybaków oraz rodziny zmarłych dowiedzą się, że ciała znaleziono i przeprowadzono sekcje tydzień przed zgłoszeniem ich znalezienia - przepowiedział Yaeger.

- Zwłaszcza kiedy się dowiedzą, że sekcje zostały przeprowadzone w Waszyngtonie - dodał Gunn.

- Media zbyt szybko zaczęły szaleć z historiami o tajemniczej śmierci załogi statku i ich ulubionej papugi. Kiedy jeszcze macaliśmy w kompletnej ciemności, niepotrzebnie pojawiły się nowe nie wyjaśnione zjawiska.

Gunn wzruszył ramionami.

- Szydło wyszło już z worka. Nie ma szans ukryć katastrofy „Polar Queen”. Wieczorem będzie to wiodąca wiadomość w każdej stacji telewizyjnej na świecie.

Sandecker skinął Yaegerowi głową.

- Hiram, niech pan zakopie się w bibliotece i wydobędzie wszystkie informacje na temat akustyki podwodnej. Proszę znaleźć opisy wszelkich eksperymentów, tak komercyjnych, jak i wojskowych, w których używano przenoszonych przez wodę dźwięków, oraz przyczyn takich zjawisk i ich wpływu na ludzi i faunę podmorską.

- Zabieram się natychmiast do roboty.

Gunn i Yaeger wyszli z sali. Sandecker siedział zgarbiony w fotelu paląc cygaro. Wodził wzrokiem od bitwy morskiej do bitwy morskiej, w końcu zamknął oczy, jakby chciał zebrać myśli.

Umysł mąciła mu niepewność. Po kilku minutach otworzył oczy i wbił wzrok w komputerową mapę Pacyfiku.

- Gdzie uderzy następnym razem? - powiedział głośno. - Kogo zabije?

Pułkownik Leigh Hunt siedział przy biurku w znajdującym się w piwnicy gabinecie - nie lubił formalnych pokoi na wyższych piętrach ośrodka Waltera Reeda - i kontemplował butelką cutty sark. Za oknem mrok opadał na Dystrykt Kolumbia. Latarnie już zostały pozapalane i popołudniowy szczyt słabł. Sekcja ciał pięciu marynarzy wyłowionych z zimnych wód Alaski została zakończona i za chwilę pułkownik miał iść do domu do kota. Zastanawiał się, czy przed wyjściem zadzwonić, czy wypić jeszcze drinka. Postanowił zrobić jedno i drugie.

Jedną ręką naciskał guziki na telefonie, drugą nalewał szkocką do filiżanki po kawie. Po drugim dzwonku odezwał się gruby głos:

- Mam nadzieję, że to pan, pułkowniku.

- Skąd pan wie?

- Tak sądziłem, że lada chwila pan zadzwoni.

- Rozmowa z marynarką wojenną to zawsze przyjemność.

- Z czym pan dzwoni? - spytał Sandecker.

- Po pierwsze, chciałem zapytać, czy jest pan pewien, że te zwłoki znaleziono na kutrze na środku morza?

- Jestem pewien.

- Te dwa morświny i cztery foki, które mi pan przysłał, też?

- A skąd miałbym je wziąć?

- Jeszcze nigdy nie przeprowadzałem sekcji zwierząt morskich.

- Ludzie, morświny i foki to ssaki.

- Ma pan do czynienia z bardzo tajemniczą sprawą, admirale.

- Z jakiego powodu zginęli ludzie i zwierzęta?

Hunt zamilkł, żeby dopić whisky.

- Z klinicznego punktu widzenia śmierć została spowodowana pęknięciem łańcucha kosteczek słuchowych w uchu środkowym, które pamięta pan może z wykładów fizjologii jako młoteczek, kowadełko i strzemiączko. Pękła też podstawa strzemiączka. Musiało to spowodować zawroty głowy oraz niezwykle silne dzwonięcie w uszach, przypominające prawdopodobnie przeraźliwy huk, i zakończyło się pęknięciem dolnej przedniej tętnicy mózdkowej i wylewem do przedniego i środkowego dołu czaszki.

- Czy mógłby to pan przełożyć na ogólnie zrozumiały język?

- Jest panu znane pojęcie „zawał”?

- Średnio.

- Zawał to grudka martwych komórek w narządach albo tkance, która powstała w wyniku zatamowania przepływu krwi, wywołanego na przykład pęcherzykiem powietrza.

- Gdzie doszło do tego zawału u zmarłych?

- Nastąpiło u nich opuchnięcie mózgu, co spowodowało ucisk pnia mózgu.

Stwierdziłem też, że zostały zniszczone przewody półkoliste błędniaka, jakby zostały poddane działaniu gwałtownego ciśnienia. Coś takiego występuje na przykład przy głębokim zejściu pod wodę bez osłony uszu, kiedy znajdująca się pod ciśnieniem woda wchodzi do ucha zewnętrznego i perforuje bębenek.

- Jak doszedł pan do tego wniosku?

- Standardowa procedura przy przeprowadzanych przez nas badaniach zaleca wykonanie magnetorezonansu i tomografii komputerowej, dzięki czemu uzyskuje się zdjęcia rentgenowskie, ale pozbawione zakłócających obraz cieni rzucanych przez części czaszki znajdujące się przed i za badanym miejscem.

Wykonujemy też badania hematologiczne i serologiczne oraz punkcję.

- Jak wyglądały pierwsze objawy?

- Nie umiem się wypowiedzieć co do morświnów i fok, ale u ludzi były identyczne. Pojawiły się nagle i bardzo silne zawroty głowy, utrata równowagi, wymioty, niezwyklej siły napadowy ból głowy i konwulsje. Po nie więcej jak pięciu minutach dochodziło do utraty przytomności i śmierci. Jakby ofiary zostały uderzone z gwałtowną siłą.

- Czy jest pan w stanie określić przyczynę urazu?

Hunt wahał się.

- Bez gwarancji że się nie mylę.

Sandecker nie dał się zbyć.

- Niech pan da wstępną niezobowiązującą hipotezę.

- Ponieważ stawia mnie pan pod ścianą, odważę się zaryzykować i powiem, że pańscy marynarze zginęli - pewnie tak samo morświny i foki - z powodu kontaktu z bardzo intensywnym dźwiękiem.

22 stycznia 2000 roku

Okolice wyspy Howland, południowy Pacyfik

Dla stojącej wzdłuż relingu załogi indonezyjskiego frachtowca „Menta wai”, płynącego z Honolulu do następnego portu przeznaczenia - Jayapury na Nowej Gwinei, widok dziwnego drewnianego pękatego statku był niezwykle. Klasycznego nankińskiego kształtu dżonka spokojnie przecinała metrowe fale, napływające na jej dziób od wschodu. Wyglądała wspaniale - południowo-wschodnia bryza wypełniała jaskrawe kolorowe żagle, lakierowane drewno migotało w złotopomarańczowym wschodzącym słońcu. Na dziobie miała narysowane wielkie oczy, które przy oglądaniu statku od dziobu patrzyły zezem. Był to tradycyjny chiński wzór, wyrażający wiarę, że oczy przebijają się przez mgłę i sztormowe morze.

„Tsu Hsi”, nazwany imieniem ostatniej cesarzowej wdowy, był drugim domem gwiazdora Hollywood Garretta Converse’a, który choć nigdy nie został nominowany do Oscara, był czołowym telewizyjnym bohaterem kina akcji. Dżonka miała dwadzieścia cztery metry długości, sześć szerokości i została zbudowana wyłącznie z cedru i teku. Converse kazał zamontować na niej wszelkie możliwe udogodnienia i najnowocześniejsze urządzenia nawigacyjne. Nie oszczędzano na niczym. Na świecie nie było wielu tak pięknych jachtów. Starając się w dążności do szukania przygód dorównać Errolowi Flynnowi, Converse wyruszył z Newport Beach w podróż dookoła świata i znajdował się właśnie na ostatnim etapie - przez Pacyfik. Mijał w odległości niecałych pięćdziesięciu kilometrów wyspę Howland, do której płynęła w 1937 roku Amelia Earhart, nim zaginęła w tajemniczych okolicznościach.

Kiedy statki się mijaly, Converse wywołał frachtowca przez radio.

- Pozdrowienia z dżonki „Tsu Hsi”. Kim jesteście?

Radiooperator frachtowca odpowiedział natychmiast:

- Frachtowiec „Mentawai” w drodze z Honolulu. Dokąd płyniesz?

- Na Wyspę Bożego Narodzenia, potem do Kalifornii.

- Życzę szczęśliwej drogi!

- Ja wam też - odparł Converse.

Kapitan „Mentawai” patrzył na oddalającą się za jego rufą dżonkę i skinął głową pierwszemu oficerowi.

- Nigdy bym się nie spodziewał zobaczyć tak daleko na Pacyfiku dżonki.

Pierwszy oficer, Chińczyk z pochodzenia, skinął z dezaprobatą głową.

- Pracowałem na dżonce w młodości. Bardzo ryzykują płynąc czymś takim w okolicy nawiedzanej przez tajfuny. Nie są to statki nadające się do pływania po otwartym morzu. Unoszą się zbyt wysoko nad wodę i mają tendencję do gwałtownego kiwania się na boki. Wzburzone morze z łatwością odrywa ich ogromne pióra steru.

- Są albo bardzo odważni, albo szaleni - odparł kapitan, odwracając wzrok od malejącej dżonki.

- Jeśli o mnie chodzi, czuję się znacznie lepiej mając pod stopami stalowy kadłub i czując drżenie maszyn.

Osiemnaście minut później płynący do Sydney z ładunkiem traktorów i sprzętu rolniczego amerykański kontenerowiec „Rio Grande” odebrał wołanie o pomoc. Kabina radiooperatora znajdowała się tuż obok przestronnego mostka i mógł zwrócić się bezpośrednio do pełniącego służbę na porannej wachcie drugiego oficera.

- Sir, przechwyciłem wezwanie o pomoc od indonezyjskiego frachtowca „Mentawai”.

Drugi oficer, George Hudson, podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu, wystukał numer i zaczął na odpowiedź.

- Kapitanie, przejęliśmy wezwanie SOS.

Kiedy zadzwoniono, kapitan Jason Kelsey właśnie miał zamiar połknąć pierwszy kęs śniadania.

- Tak jest, panie Hudson. Już idę. Ustalcie ich pozycję.

Kelsey pochłonął jajka na szynce, jednym haustem opróżnił filiżankę kawy i zszedł krótkim korytarzykiem na mostek. Poszedł prosto do kabiny radiooperatora, który na jego widok uniósł głowę i popatrzył zdziwiony.

- Niezwykła wiadomość, kapitanie. - Podał Kelseyowi notatnik.

Kapitan popatrzył na przejęty komunikat, potem spojrział na radiooperatora.

- To na pewno cały komunikat, jaki nadali?

- Tak, sir. Odebraliśmy go wyraźnie.

Kelsey przeczytał wiadomość na głos.

- Wzywamy wszystkie statki. Frachtowiec „Mentawai”, czterdzieści kilometrów na południo-południowo-zachód od wyspy Howlanda. Przybywajcie natychmiast. Wszyscy umierają. - Podniósł głowę. - Nic więcej? Żadnych współrzędnych?

Radiooperator pokręcił głową.

- Umarli i nie mogłem się z nimi więcej skontaktować.

- W takim razie skorzystajmy z radionamiernika. - Kapitan odwrócił się do drugiego oficera. - Panie Hudson, proszę wziąć kurs na podaną pozycję na południowy zachód od wyspy Howland. Bez dokładnych współrzędnych nie będzie łatwo ich znaleźć, ale jeśli nie zlokalizujemy ich wzrokowo, spróbujemy wykorzystać radar. - Mógł poprosić Hudsona o wykorzystanie komputera do ustalenia kursu, lecz wolał pracować dawnymi metodami.

Hudson zabrał się do pracy z liniałem równoległym i cyrklem, a Kelsey poinformował szefa maszynowni, że „Rio Grande” ma ruszyć całą naprzód. Na mostku zjawił się pierwszy oficer Hank Sherman i ziewając zapinał koszulę.

- Odebraliśmy SOS? - zapytał Kelseya.

Kapitan uśmiechnął się i podał mu notes.

- Wieści szybko się roznoszą po tym statku.

Hudson odwrócił się od stołu z mapami.

- Ustaliłem przybliżoną odległość do „Mentawai” na sześćdziesiąt pięć kilometrów, kurs sto trzydzieści dwa stopnie.

Kelsey podszedł do konsoly nawigacyjnej i wpisał współrzędne. Prawie natychmiast wielki kontenerowiec zaczął zwalniać i odchodzić na sterburtę. Komputerowy system nawigacyjny wprowadzał go na kurs.

- Czy wezwanie odebrały inne statki? - zapytał radiooperatora kapitan.

- Nie, tylko my.

Kelsey wbił wzrok w pokład.

- Powinniśmy dopłynąć za niecałe dwie godziny.

Sherman ze zdziwienia nie mógł oderwać wzroku od wiadomości.

- Jeżeli to nie żart, możliwe, że znajdziemy same trupy.

Odnaleźli „Mentawai” kilka minut po ósmej rano. W odróżnieniu od „Polar Queen”, który w momencie odnalezienia szedł na silnikach, indonezyjski frachtowiec dryfował. Z oddali wyglądał spokojnie i normalnie, z podwójnego komina unosił się dym, nie było jednak widać żywego ducha na pokładzie, a wielokrotne wezwania z mostka „Rio Grande” pozostały bez odpowiedzi.

- Milczą jak zakłęci - ponuro powiedział pierwszy oficer.

- Boże drogi - mruknął Kelsey. - Są otoczeni martwymi rybami.

- Wcale mi się to nie podoba.

- Niech pan zbierze grupę ratunkową i sprawdzi na miejscu, co się stało - zarządził kapitan.

- Tak jest, sir. Już idę.

Drugi oficer lustrował przez lornetkę horyzont.

- Jakies dziesięć kilometrów stąd na bakburcie od dziobu jest statek.

- Zbliża się?

- Nie, sir. Wygląda na to, że się oddala.

- Dziwne. Dlaczego nie idzie na ratunek statkowi w potrzebie? Widzi go pan dobrze?

- Wygląda na elegancki nowoczesny jacht. W stylu tych co cumują w Monako albo w Hongkongu.

Kelsey odwrócił się do radiooperatora.

- Niech pan spróbuje nawiązać kontakt z oddalającym się statkiem.

Po minucie lub dwóch radiooperator pokręcił głową.

- Nawet piśnięcia. Albo wyłączyli radiostację, albo nas ignorują.

„Rio Grande” zwolnił i powoli sunął ku powoli podskakującemu na łagodnej fali frachtowcowi. Byli bardzo blisko i kapitan Kelsey mógł z mostka patrzeć w dół prosto na pokład Indonezyjczyka. Widział dwie nieruchome postacie ludzi i trzecią - chyba psa. Znow krzyknął przez megafon i znow nie było odpowiedzi.

Łódź motorowa z dowodzoną przez Shermana ekipą ratunkową została spuszczonej na wodę i ruszyła w kierunku frachtowca. Po chwili stanęli przy jego burcie. Kiedy rzucali na reling hak, żeby wciągnąć drabinę, łódź drapała i stukała o burtę. Po kilku minutach Sherman był na pokładzie i schylał się nad pierwszymi ciałami, zaraz potem zniknął w łuku obok mostka.

Czterech ludzi poszło za Shermanem, dwóch zostało w łodzi. Odpłynęli kawałek i czekali na znak do powrotu i zabrania towarzyszy. Choć Sherman upewnił się, że leżący na pokładzie marynarze nie żyją, miał nadzieję, że w środku ktoś czeka. Po wejściu na mostek opanowało go wrażenie nierealności. Wszyscy - od kapitana po chłopca okrętowego - nie żyli, leżeli porozrzucani, tam gdzie upadli. Radiooperator siedział w fotelu z wytrzeszczonymi oczami i obejmował kurczowo nadajnik, jakby bał się przewrócić.

Minęło dwadzieścia minut, nim Shermanowi udało się go oderwać od sprzętu i porozumieć z „Rio Grande”.

- Kapitan Kelsey?

- Słucham, panie Sherman. Co się dzieje?

- Wszyscy nie żyją, włącznie z dwoma papugami w kabinie pierwszego inżyniera i psem. To beagle, ale szczerzy zęby, jakby chciał atakować.

- Co było przyczyną? Ma pan jakieś przypuszczenia?

- Najbardziej oczywiste wydaje się zatrucie pokarmowe. Wygląda na to, że przed śmiercią wszyscy wymiotowali.

- Niech pan uważa na trujący gaz.

- Będę miał nos otwarty.

Kelsey przez chwilę milczał, zastanawiając się nad nieoczekiwaną sytuacją.

- Niech pan odeśle łódź - polecił. - Przyślę panu następnych pięciu ludzi, żebyście uruchomili statek. Najbliższy większy port to Apia na Samoa.

Przekażemy statek tamtejszym władzom.

- A co z ciałami załogi? Nie możemy ich przy tej pogodzie zostawić na wierzchu.

- Wsadźcie do lodówki - bez wahania odpowiedział Kelsey. - Musimy je zachować do zbadania przez...

Kapitan nie zdążył dokończyć, bowiem kadłub „Mentawai” zdrzął od wybuchu, który nastąpił głęboko w jego trzewiach. Pokrywy luków ładowni frunęły w powietrze, za nimi wystrzeliły w niebo płomienie i dym. Statek zdawał się unosić nad powierzchnię morza, po sekundzie spadł ciężko na wodę i przechylił się na sterburtę. Dach sterówki został wessany do środka, we wnętrzu frachtowca rozległ się kolejny stłumiony wybuch i niemal równocześnie zgrzyt rozrywanego metalu.

Kelsey patrzył przerażony, jak „Mentawai” przewraca się na bok.

- Statek tonie! - zawołał przez radio. - Uciekajcie!

Sherman leżał rozplaszczony na pokładzie, rzucony wywołanym przez wybuch wstrząsem. Oszołomiony, zdążył się jedynie rozejrzeć, kiedy pokład zaczął stawać dęba. Zsunął się do kąta rozbitej kabiny radiooperatorskiej i usiadł, zdolny jedynie do tępego przyglądania się, jak przez otwarte drzwi na mostek wpływa woda. Zaczerpnął powietrza i spróbował wstać, ale miał to być jego ostatni oddech. Pierwszy oficer „Rio Grande” został zalany ciepłą zieloną wodą.

Kelsey i reszta załogi „Rio Grande” jak sparaliżowani patrzyli na przewracający się do góry dnem „Mentawai” na podobieństwo wielkiego, zardzewiałego żółwia. Obaj marynarze w czekającej łodzi zostali zgnieceni przez kadłub tonącego wraka, pozostali członkowie ekipy ratowniczej złapani w pułapkę wewnątrz kadłuba. Nikomu nie udało się uciec. Z towarzyszeniem bulgotu wdzierającej się do kadłuba wody i syku wypychanego stamtąd powietrza frachtowiec błyskawicznie zniknął pod powierzchnią oceanu, jakby nie mógł się doczekać zostania kolejną nie wyjaśnioną zagadką morza.

Nikt na pokładzie „Rio Grande” nie był w stanie uwierzyć, że wszystko odbyło się w takim tempie. Patrzyli przerażeni na miejsce, gdzie przed chwilą znajdował się statek, nad którym jeszcze unosiły się strużki dymu, i nie docierało do nich, że zamknięci w stalowej trumnie towarzysze pędzą ku wiecznej ciemności na dnie oceanu.

Kelsey nie ruszał się przez kilka minut, smutek i wściekłość wryły mu na twarzy głębokie bruzdy. W głębi umysłu zaczęła kielkować myśl, która w końcu przebiła się przez ogrom przerażenia. Odwrócił się od kipieli i popatrzył przez lornetkę w kierunku znikającego w oddali jachtu. Elegancka łódź poruszała się szybko i była jedynie maleńką plamką na tle błękitnego nieba i lazuruwej wody. Nie zareagowała na wezwanie SOS. Pojawiła się i odpłynęła, a teraz najprawdopodobniej uciekała z miejsca katastrofy.

- Bądź przeklęty, kimkolwiek jesteś - wyrzucił z siebie z wściekłością. - Niech cię piekło pochłonie.

Trzydzieści jeden dni później Ramini Tantoa, mieszkaniec wyspy Cooper na atolu Palmyra, obudził się i jak zwykle poszedł rano popływać. Nim zdążył zrobić dwa kroki od swej kawalerskiej

chatki, z zaskoczeniem zobaczył przed sobą wielką chińską dżonkę, której w jakiś dziwny sposób udało się w nocy wpłynąć przez przesmyk w rafie do laguny. Dżonka stała bokiem na brzegu, lewa burta wbiła się w piasek, o prawą pluskały łagodne falki.

Tantoa zawołał kilka razy „halo!”, ale nikt nie wyszedł na pokład ani mu nie odpowiedział. Dżonka wyglądała na opuszczoną. Żagle były postawione i łopotwały na lekkim wietrze, flaga na dziobie była amerykańska. Lakier na tekowym drewnie błyszczał, jakby jeszcze nie zdążył zmatowieć na słońcu. Obchodząc łódź, Tantoa miał wrażenie, że namalowane na dziobie oczy uważnie go śledzą.

W końcu wziął się w garść; wspiał się po piórze steru i relingu na tylny pokład. Stał zmieszany. Od dziobnicy do rufy statek był pusty. Panował idealny porządek, liny były zbuchtowane i ułożone na miejscu, żagle postawione i napięte. Na pokładzie nie leżało nic niepotrzebnego.

Tantoa zszedł pod pokład i ostrożnie stawiał kroki, niemal spodziewając się znaleźć trupy. Na szczęście nie było śladu nieporządku ani śmierci. Na pokładzie nie było żywej duszy.

Tantoa przekonywał się, że żaden statek nie może przepłynąć z Chin przez pół Pacyfiku bez załogi. Zwyciężyła wyobraźnia i zaczął widzieć duchy. Statek kierowany przez upiory. Przerażony Tantoa wbiegł błyskawicznie na pokład i zeskoczył przez reling na gorący piasek. Musiał opowiedzieć o znalezisku radzie wsi. Pognał plażą i kiedy znalazł się w odległości, którą uznał za bezpieczną, spojrzął przez ramię, czy nie goni go coś przerażającego.

Na piasku wokół dżonki nie było innych śladów poza jego własnymi. Oczy na dziobie patrzyły wrogo. Tantoa ruszył biegiem ku wsi nie oglądając się więcej.

13

Atmosfera w jadalni „Ice Huntera” miała w sobie coś uroczystego, zorganizowane przez załogę i naukowców pożegnalne przyjęcie dla ocalałych kobiet z „Polar Queen” rozwijało się znakomicie.

Roy Van Fleet i Maeve pracowali przez ostatnie trzy doby dzień i noc, ramię w ramię badając zwłoki pingwinów, fok i delfinów i wypełniając notatkami grube zeszyty. Van Fleet polubił Maeve, hamował jednak wszelkie objawy sympatii wobec niej, gdyż obraz żony i trójki dzieci nie zniknął mu z pamięci. Żałował, że nie będą więcej pracować razem z Maeve. Pozostali pracownicy laboratorium przyznawali, że tworzą świetny zespół.

Główny kucharz „Ice Huntera” pękał z dumy z powodu niesamowitej kolacji, na którą wykreował potrawę z dorsza z grzybami w winnym sosie. Wino lało się strumieniami i kapitan Dempsey nie protestował. Jedyne oficerowie na służbie mieli nie pić, przynajmniej do końca swej wachty, gdy już mogli wziąć udział w przyjęciu.

Doktor Moose Greenberg, największy dowcipniś na statku, wygłosił długą mowę pełną banalnych dwuznaczników na temat każdego na pokładzie. Celebrowałby ją dalej, gdyby Dempsey nie dał znaku kucharzowi do podania specjalnie na dzisiejszą okazję upieczonego ciasta. Miało kształt Australii, lukrowe ozdoby symbolizowały co ciekawsze miejsca kontynentu, w tym port w Sydney i wzgórze Ayres Rock.

Maeve była poruszona, w oczach miała łzy. Deidre cała impreza zdawała się nudzić.

Jak przystało kapitanowi, Dempsey siedział u szczytu najdłuższego stołu, Maeve i Deidre usadzono po jego lewej i prawej ręce. Pitt, jako dyrektor Wydziału Programów Specjalnych NUMY, siedział u przeciwległego szczytu stołu. Wyłączył się ze słuchania prowadzonych wokół rozmów i skoncentrował uwagę na obu siostrach.

Pomyślał, że trudno o dwie różniejsze istoty z jednego łona. Maeve była ciepła i nieokiełznana, tryskała życiem jak rozsyłające blask jaskrawe ognisko. Próbował wyobrazić ją sobie jako nieposkromioną siostrę przyjaciela przy myciu samochodu, ubraną w obcisłą bawełnianą koszulkę i obcięte nad kolanami džinsy, prezentującą z radością dziewczęcą talię i szczupłe długie nogi. Przez ostatnie kilka dni wyraźnie się zmieniła. Zaraz po uratowaniu paplała bez przerwy, wymachiwała przy tym żywo i bezpretensjonalnie rękami, teraz jej zachowanie wydawało się dziwnie wymuszone, jakby myślami była gdzie indziej i znajdowała się pod wpływem nieokreślonego stresu.

Miała na sobie krótką czerwoną koktajlową sukienkę, tak dopasowaną, że sprawiała wrażenie, iż została zszyta na jej ciele. Pitt pomyślał najpierw, że pożyczyła sukienkę od którejś z pracujących na statku kobiet, noszącej numer mniejszą garderobę, ale przypomniał sobie, że kiedy płynęła z Deidre na „Ice Huntera” z „Polar Queen”, widział na łodzi jej bagaż. Miała kolczyki z żółtego koralu, pasujące do naszyjnika. Ich oczy spotkały się, ale tylko na chwilę. Właśnie opisywała psa dingo, którego zostawiła w Australii, i natychmiast popatrzyła znów po swych słuchaczach, jakby poznała Pitta.

Deidre była całkiem inna. Promieniowała tajemniczością i zmysłowością, wyczuwał to każdy z obecnych mężczyzn. Pitt bez trudu mógł ją sobie wyobrazić wyciągniętą lubieżnie na pokrytym jedwabnym prześcieradłem łóżku i kiwającą zapraszająco ręką. Odpychał go nieco jej książęcy manieryzm w traktowaniu ludzi. Kiedy znalazł ją na „Polar Queen”, była krucha i skromna, ale się zmieniła. Zrobiła się zimna i daleka, pojawiła się w niej też twardość, której Pitt z początku nie zauważył.

Miała na sobie prostą brązową sukienkę z dzianiny, która kończyła się skromnie tuż nad kolanami, i siedziała na krześle wyprostowana jak królowa na tronie. Wokół szyi miała chustkę, która barwą znakomicie podkreślała wielkie jak u łani oczy i ognistorude włosy, związane skromnie w wielki węzeł. Kiedy domyśliła się, że Pitt ją obserwuje, powoli się odwróciła. Jej twarz nie wyrażała niczego, a oczy stały się zimne i wyrachowane.

Pitt stwierdził, że odbywa się między nimi próba sił. Choć dalej rozmawiała z Dempseyem, nawet nie mrugnęła. Patrzyła nie na niego, ale jakby chciała zajrzeć do wnętrza jego głowy i kiedy nie znalazła tam nic ciekawego, obojętnie przesunęła wzrok na wiszącą za nim reprodukcję. Nawet przez chwilę jej powieki nie zadrżały. Pitt uznał, że należy do kobiet, które lubią w kontakcie z mężczyznami stawiać na swoim. Powoli, bardzo powoli zaczął robić zeza. Komiczną miną zbliżył Deidre z pantałyku. Unosząc wyniosłym ruchem podbródek, odtrąciła Pitta jako kłowna i skoncentrowała się ponownie na rozmowie z sąsiadami.

Choć Pitt czuł na widok Deidre zmysłowe pożądanie, bardziej pociągała go Maeve. Powodem mógł być jej ujmujący uśmiech, ukazujący szparkę między przednimi górnymi zębami, powodem mogła być burza niezwykle jasnych włosów spadających kaskadą na plecy i ramiona. Pitta zastanawiała zmiana w jej zachowaniu. Zniknął częsty uśmiech i chętny śmiech. Pitt czuł, że Maeve jest pod wpływem Deidre, i było dla niego oczywiste - choć nikt inny tego nie zauważał - że siostry niezbyt się kochają.

Zadumał się nad wyborami, przed jakimi obie płcie stają od dawien dawna. Kobiety stają zwykle między Miłym Panem, który zazwyczaj zostaje ojcem ich dzieci, a Szalonym Pędziwiatrem, który oznacza niekonwencjonalny romans i przygodę. Mężczyźni są czasami zmuszani do wyboru pomiędzy Porządną Panną Sąsiadką, która zwykle zostaje matką ich dzieci, a nie odrywającym się od ich ciał Dzikim Wulkanem Seksu.

Pitt wiedział, że nie będzie zmuszony do trudnych decyzji. Najpóźniej jutro po południu statek zacumuje w chilijskim porcie Punta Arenas w Tierra del Fuego, skąd Maeve i Deidre będą miały samolot do Australii. Uznał, że pozwolenie wyobraźni na igraszki to strata czasu. Nie było co robić sobie nadziei, że jeszcze kiedykolwiek ujrzy którąś z sióstr.

Wsunął rękę pod stół i sięgnął do kieszeni, gdzie miał złożony faks. Opanowany ciekawością, porozumiał się z St. Julienem Perlmutterem, bliskim przyjacielem rodziny, który posiadał największą na świecie bibliotekę dotyczącą wraków statków. Perlmutter, znany jako organizator wspaniałych przyjęć i smakosz, miał znakomite kontakty w Waszyngtonie i wiedział o wielu sprawkach różnych ludzi. Pitt zadzwonił do niego i poprosił o sprawdzenie obu sióstr. Perlmutter w godzinę przefaksował raport i obiecał za dwa dni dokładniejszy.

Nie były to zwykłe kobiety ze zwykłej rodziny. Gdyby obecni na statku kawalerowie (pewnie kilku żonatyh też) wiedzieli, że ojciec Deidre i Maeve, Arthur Dorsett, jest głową drugiego na świecie po De Beerze imperium diamentowego i szóstym co do majątku człowiekiem na świecie, pozbyliby się zahamowań i zaczęli zebrać obie damy o rękę.

Bardzo zadziwił go herb korporacji Dorsetta. Zamiast przedstawiać diament albo coś mającego związek z diamentami, logiem Dorsetta był wijący się w wodzie wąż morski.

Do Pitta podszedł oficer dyżurny i cicho powiedział:

- Admirał Sandecker jest przy telefonie satelitarnym i chciałby z panem rozmawiać.
- Dziękuję, odbiorę w kabinie.

Pitt wyszedł, czego nie zauważył nikt poza Giordinem. W kabinie wziął głęboki wdech, zdjął buty i usiadł.

- Admirale, Dirk Pitt.

- Najwyższy czas. Zdążyłbym napisać przemówienie, które mam wygłosić przed komisją budżetową Kongresu.

- Przepraszam, byłem na przyjęciu.

- Na statku NUMY odbywa się przyjęcie?

- Żegnamy panie, które uratowaliśmy z „Polar Queen”.

- Wolę nic nie wiedzieć o żadnych podejrzanych przedsięwzięciach. - Normalnie Sandecker był otwarty jak zwykły człowiek, ale jeżeli na którymś z jego statków działo się coś, co nie było związane bezpośrednio z badaniami naukowymi, robił się dziwny. Pitta bawiło drażnienie admirała.

- Chce nas pan ochronić przed baletami?

- Nazywaj to, jak chcesz, ale załoga ma być tip-top. Nie chcę dostać się do brukowców.

- Czy mógłbym dowiedzieć się, jaki charakter ma pański telefon, admirale? - Pitt wiedział, że Sandecker nigdy nie dzwoni, by kogoś obsztorcować.

- Potrzebuję ciebie i Giordina w Waszyngtonie, i to jak najszybciej. Kiedy moglibyście odlecieć z „Ice Huntera” i dostać się do Punta Arenas?

- Jesteśmy już w zasięgu helikoptera. Możemy startować za godzinę.

- Będzie na was czekał wojskowy samolot.

Pitt pomyślał, że Sandecker nigdy nie spoczywa na laurach.

- W takim razie zobaczymy się jutro po południu.

- Mamy wiele do omówienia.

- Jest coś nowego?

- Niedaleko wyspy Howland znaleziono indonezyjski frachtowiec z martwą załogą.

- Czy ofiary wykazują te same objawy co te z „Polar Queen”?

- Nigdy się tego nie dowiemy. Kiedy na pokład weszła ekipa ratownicza, wybuchł i zatonął.

- To pech.

- A żeby jeszcze dodać wszystkiemu tajemniczości, w tym samym rejonie zginął luksusowy, stylizowany na chińską dżonkę jacht, należący do Garretta Converse’a.

- Legion jego wielbicieli nie będzie szczęśliwy, kiedy się dowie, że zginął w nie wyjaśnionych okolicznościach.

- Przypuszczam, że ten zaginiony zainteresuje media bardziej niż wszyscy, którzy zginęli na „Polar Queen”.

- Jakie są opinie na temat mojej teorii fal dźwiękowych?

- Yaeger właśnie przepuszcza ją przez komputery. Kiedy przyleciecie, będzie miał prawdopodobnie więcej danych, ale muszę powiedzieć, że zarówno on, jak i Rudi Gunn uważają, że coś w tym może być.

- Do zobaczenia, admirałe. - Pitt odłożył słuchawkę. Siedział bez ruchu modląc się, by się okazało, że są na dobrej drodze.

Talerze zostały opróżnione i przyjęcie robiło się coraz głośniejsze, zaczęto się bowiem prześcigać w opowiadaniu dowcipów z brodą. Tak jak w wypadku Pitta, nikt nie zauważył wyjścia Giordina. Kapitan Dempsey opowiadał stary dowcip o farmerze, który wysyła syna marnotrawnego do college’u i każe mu zabrać ze sobą starego psa, Rovera. Dzieciak wpada w mieście na wspaniałą pomysł i doi od ojca pieniądze pod pretekstem, że profesorowie, których poznał, obiecali nauczyć Rovera czytać i pisać. Kiedy doszedł do finału, roześmiano się mniej z puenty, a bardziej z ulgi, że już koniec.

Zadzwoił wiszący na ścianie telefon wewnętrznej sieci. Odebrał pierwszy oficer i bez słowa skinął głową Dempseyowi. Kapitan zauważył gest i podszedł. Chwilę słuchał, potem odwiesił słuchawkę i ruszył ku schodom prowadzącym na tylny pokład.

- Koniec dowcipów?! - zawołał za nim Van Fleet.

- Muszę być przy odlocie helikoptera - odparł Dempsey.

- Nowe zadanie?

- Nie. Pitt i Giordino zostali wezwani przez admirała do Waszyngtonu.

Lecą na ląd, gdzie czeka na nich wojskowy samolot.

Usłyszała to Maeve, podeszła i chwyciła Dempseya za rękę.

- Kiedy odlatają?

Zaskoczył go nieoczekiwanie silny uścisk.

- Myślę, że w tej chwili.

Podeszła Deidre i stanęła z Maeve ramię w ramię.

- Nie jesteś taka ważna, żeby każdy musiał się z tobą żegnać.

Maeve poczuła się, jakby jakieś wielkie łapsko ścisnęło ją za serce. Poczowała falę strachu. Wybiegła z salonu i pognęła na pokład. Kiedy znalazła się na lądowisku, Pitt zdążył unieść helikopter nie więcej niż trzy metry nad pokład. Giordino spojrział w dół, zobaczył ją i pomachał. Pitt miał zajęte ręce, tylko więc się uśmiechnął i skinął głową. Oczekiwał, że w odpowiedzi Maeve się uśmiechnie i zamacha, lecz jej mina wyrażała jedynie strach. Osłoniła dłońmi usta i coś krzyknęła, ale huk wyrzucanych spalin i dudnienie łopat wirnika zagłuszyły jej słowa. Pitt mógł w odpowiedzi jedynie pokręcić w niezrozumieniu głową.

Maeve znów krzyknęła, tym razem z nisko opuszczonymi dłońmi, jakby chciała przekazać mu swą myśl telepatycznie, lecz było za późno. Helikopter wystrzelił pionowo w górę i składając się skosem, odbił od statku. Maeve opadła na kolana, objęła dłońmi głowę i zaczęła chlipać. Turkusowy helikopter odlatywał.

Giordino spojrzął za siebie przez boczne okno, zobaczył opadającą na kolana Maeve i podchodzącego do niej Dempseya.

- Ciekawe po co to było?

- Co? - spytał Pitt.

- Maeve zachowywała się jak grecka płaczka na pogrzebie.

Koncentrując się na przyrządach, Pitt nie zauważył wybuchu rozpaczony Maeve.

- Może nie lubi pożegnań - mruknął czując wyrzuty sumienia.

- Wyglądało na to, że chce nam coś powiedzieć - stwierdził Giordino.

Pitt nie chciał o tym myśleć. Czuł się źle, że nie pożegnał się z Maeve.

Zostawienie jej bez kilku słów i przyjaznego uścisku było brutalne. Naprawdę mu się podobała. Wzbudziła w nim uczucia, jakich nie czuł od czasu, kiedy wiele lat temu stracił kogoś drogiego na północ od Hawajów. Nazywała się Summer i nie było dnia, by nie przypominał sobie jej twarzy i zapachu czerwonego jaśminu.

Nie umiał powiedzieć, czy zainteresowanie jest obopólne. W oczach Maeve pojawiały się różne uczucia, ale ani razu nie zauważył w nich pożądania. Z rozmów, które przeprowadzili, nie wynikało, że chciałyby, aby łączyło ich coś więcej niż przypadkowe spotkania.

Próbował zachować obiektywizm i przekonać się, że nawet gdyby zostali parą, do niczego dobrego by to nie doprowadziło. Było im przeznaczone życie na odmiennych krańcach świata. Zdecydował, że będzie najlepiej, jeżeli pozwoli jej odejść jak miłemu wspomnieniu i przestanie się zastanawiać, co mogłoby być, gdyby gwiazdy stały w szczęśliwszej konstelacji.

- Dziwne - powiedział Giordino wpatrując się w morze, kiedy pojawiły się przed nimi znajdujące się na północ od przylądka Horn wyspy.

- Co „dziwne”?

- To co krzyczała Maeve, kiedy odlatywaliśmy.

- Jak mogłeś przy tym hukusłyszeć, co krzyczała?

- Nie mogłem, ale odczytałem z ruchu ust.

Pitt uśmiechnął się.

- Od kiedy umiesz czytać z ruchu ust?

- Nie żartuję, stary - rzekł Giordino ze śmiertelną powagą. - Wiem, co chciała powiedzieć.

Pitt po tylu latach przyjaźni i wspólnych przygód wiedział, że kiedy Giordino robi się poważny, mówi o istotnych sprawach. Nie można wtedy z nim bezkarnie żartować, wolał więc być ostrożny.

- No to wypluj. Co powiedziała?

Giordino powoli odwrócił się do Pitta, jego czarne oczy były równocześnie smutne i żywe.

- Mogę przysiąc, że powiedziała: „Pomóżcie mi”.

14

Puccaneer, dwusilnikowy odrzutowiec transportowy, łagodnie dotknął pasa i pokołował w kierunku cichego zakątka znajdującej się na południowy wschód od Waszyngtonu bazy lotniczej Andrews. Komfortowo wyposażony samolot, przewożący zwykle wysokich rangą oficerów, latał

niewiele wolniej od większości współczesnych myślicieli.

Kiedy steward w randze sierżanta niósł ich bagaże do czekającego samochodu, Pitt nie mógł wyjść z podziwu, jakie wpływy ma w stolicy admirał Sandecker. Zastanawiał się, którego generała namówił do wynajęcia samolotu NUMIE i jakimi środkami perswazji.

W czasie jazdy Giordino drzemał, Pitt patrzył nie widzącym wzrokiem na niskie budynki Waszyngtonu. Zaczynała się właśnie popołudniowa godzina szczytu i ulice wyjazdowe były zapchane. Na szczęście jechali do centrum.

Pitt klął się, dlaczego był tak głupi i natychmiast nie wrócił na „Ice Huntera”. Jeżeli Giordino dobrze odczytał wiadomość od Maeve, miała kłopoty. Ewentualność, że zostawił ją, kiedy prosiła o pomoc, nie dawała mu spokoju.

Długie ramię Sandeckera jednak i teraz dało znać o sobie. Miejsce melancholii zajęło poczucie winy, czym się zajmuje. Przez wszystkie lata pracy dla NUMY nigdy nie postawił celów prywatnych ponad agencję. Ostateczny cios zadał mu Giordino w czasie lotu do Punta Arenas.

- Jest czas kiedy można się napalać, i czas kiedy nie można. Na morzu giną wagonami ludzie i zwierzęta, i im prędzej powstrzymamy katastrofę, tym więcej pozostanie podatników. O tej dziewczynie na razie zapomnij. Kiedy to świństwo się skończy, weźmiesz sobie rok wolnego i polecisz jej szukać w kangurowni.

Giordino może by i nie dostał katedry na wydziale retoryki w Oksfordzie, ale rzadko mijał się ze zdrowym rozsądkiem. Pitt poddał się i choć niechętnie, usunął Maeve z pamięci. No, może nie do końca. Jej obraz był jak portret, który z każdym dniem staje się piękniejszy.

Wjechali na podjazd wieżowca, błyszczącego od pochłaniających ultrafiolet szyb; tu znajdowała się kwatera główna NUMY. Parking dla gości był zastawiony wozami transmisyjnymi, wysyłającymi tyle mikrofal, że starczyłoby ich na potrzeby sporej opiekalni kurczaków.

- Zjadę do podziemnego garażu - wyjaśnił kierowca. - Sępy spodziewały się panów przyjazdu.
- Jest pan pewien, że w budynku nie szaleje wariat z siekierą?
- Nie, to na cześć panów. Media dostają dygotu w oczekiwaniu na szczegóły o masakrze na jachcie wycieczkowym. Australijczycy próbowali dobrze to ukryć, ale piekło wybuchło, kiedy ci, co przeżyli, dolecieli do Chile.

Rozpływali się o tym, jak ich uratowaliście i uchroniliście statek przed rozbiciem się o skały. Oczywiście dodatkowo podnieca wszystkich, że dwoje z ocalałych to córki króla diamentów Arthura Dorsetta.

- A więc teraz to się nazywa masakra - westchnął Pitt.
- Jakie szczęście dla Indian, że tego nie słyszą - dodał Giordino.

Samochód stanął przed ochroniarzem, czekającym przy niewielkiej wnęcie, za którą była prywatna winda. Podpisali się w księdze wejść, wjechali na czwarte piętro i weszli do olbrzymiego pomieszczenia, królestwa Hirama Yaegera, skąd czarodziej komputera kierował olbrzymią siecią informatyczną NUMY.

Yaeger spojrzął znad wielkiego, mającego kształt podkowy biurka i szeroko się uśmiechnął. Co prawda nie miał dziś na sobie workowatego kombinezonu, ale za to włożył dżinsową kurtkę tak zniszczoną, że można było podejrzewać, iż wleczono go w niej za koniem od Tombstone do Durango. Zerwał się na równe nogi, wyszedł zza biurka i energicznie potrząsnął Pittowi i Giordinowi dłoń.

- Jak to miło widzieć was, dwóch rozrabiaków, z powrotem. Odkąd wyjechaliście na Antarktydę, było tu wesoło jak w rodzinnym grobie.

- Zawsze miło znaleźć się tam, gdzie nie buja i nie trzęsie - stwierdził Pitt.

Yaeger wyszczerzył zęby w uśmiechu do Giordina.

- Wyglądasz jeszcze gorzej niż przed wyjazdem.

- To dlatego że nogi mam jeszcze zimne jak lód - odparł Giordino zwykłym komediowym tonem.

Pitt rozejrzał się po wypełnionej sprzętem komputerowym pracowni. Tu i ówdzie kręcili się technicy.

- Czy admirał i Rudi Gunn są pod ręką?

- Czekają na was w prywatnej sali konferencyjnej. Podejrzewaliśmy, że pójdziecie najpierw tam.

- Zanim zbierzemy się wszyscy, chciałbym cię o coś poprosić.

- O co?

- Chcę poznać wszystko, co masz o węzach morskich.

Yaeger uniósł brew.

- Naprawdę powiedziałaś „o węzach morskich”?

Pitt skinął głową.

- Ciekawią mnie, ale nie mogę powiedzieć dlaczego.

- Może cię to zaskoczy, ale mam górę materiałów o węzach morskich i potworach z jezior.

- Dajmy sobie spokój z legendarnymi stworami krążącymi w Loch Ness i jeziorze Champlain.

Interesują mnie jedynie egzemplarze żyjące w morzu.

Yaeger wzruszył ramionami.

- Ponieważ gros obserwacji dokonano na wodach wewnętrznych, redukuje to materiał o osiemdziesiąt procent. Jutro rano na twoim biurku będzie leżała gruba teczka.

- Dziękuję, Hiram. Jestem wdzięczny jak zawsze.

Giordino popatrzył na zegarek.

- Chodźmy, zanim admirał powiesi nas na najbliższej rei.

Yaeger wskazał pobliskie drzwi.

- Możemy wejść schodami.

Kiedy weszli do sali konferencyjnej, Sandecker i Gunn studiowali na holograficznej mapie ostatni region, w którym wystąpiły tajemnicze zgony. Zobaczywszy wchodzących, odwrócili się i wyszli im naprzeciw. Na kilka minut zbili się w gromadkę i gorączkowo, chaotycznie omawiali rozwój wypadków. Gunn delikatnie zapytał Pitta i Giordina o szczegóły, ale ponieważ obaj byli niezwykle zmęczeni, streścili cały ciąg niezwykłych przypadków w krótkich słowach.

Sandecker wiedział, że nie należy ich popędzać. Pełne raporty będą mogli napisać potem. Wyciągnął rękę w kierunku pustych krzeseł.

- Usiądźcie i zabierzmy się do pracy.

Gunn wskazał na jedną z błękitnych kul, która zdawała się unosić nad stołem.

- Ostatnia strefa śmierci. Indonezyjski frachtowiec „Mentawai” z osiemnastoma ludźmi na pokładzie.

Pitt odwrócił się do admirała.

- Wybuchł po znalezieniu przez inny statek, tak?

- Ten sam. Jak powiedziałem przez telefon, tankowiec, któremu nic się nie stało, zauważył w tym samym rejonie dżonkę aktora Garretta Converse’a.

Wygląda na to, że zarówno dżonka, jak i jej załoga zaginęli.

- Nie ma nic na zdjęciach satelitarnych?

- Jest za dużo chmur i pracujące na podczerwieni kamery nie wychwycą tak małego obiektu jak dżonka.

- Jeszcze jedną rzecz należy rozważyć - powiedział Gunn. - Kapitan amerykańskiego kontenerowca, który znalazł „Mentawai”, zauważył odpływający szybko z miejsca zdarzenia luksusowy jacht. Nie przysięgłby tego w sądzie, ale jest przekonany, że tuż przed przybyciem jego statku, a po wysłaniu przez „Mentawai” SOS, jacht wszedł z nim w kontakt. Uważa też, że załoga jachtu ma coś wspólnego z wybuchami, które zniszczyły frachtowiec i zabiły jego ludzi z ekipy ratunkowej.

- Wygląda na to, że kapitan ma bardzo bujną wyobraźnię - zauważył Yaeger.

- Nie można twierdzić, że widzi duchy. Kapitan Jason Kelsey jest bardzo odpowiedzialnym człowiekiem i w przeszłości wykazywał się zarówno znakomitymi umiejętnościami, jak i godnymi podziwu cechami osobowości.

- Potrafi opisać jacht? - spytał Pitt.

- Kiedy zwrócił na niego uwagę, jacht był już zbyt daleko, ale na szczęście zdążył go zaobserwować drugi oficer. Traf chce, że jest malarzem amatorem i specjalizuje się w malowaniu statków.

- Narysował go?

- Tak, choć przyznaje, że prosi o wyrozumiałość. Jacht odpływał, widział go więc głównie od rufy, zrobił jednak na tyle dokładny szkic, że prawdopodobnie uda nam się dotrzeć do stoczni, która go zbudowała.

Sandecker zapalił jedno ze swych osobistych cygar i skinął na Giordina.

- Al, może zechce pan poprowadzić śledztwo w tym zakresie?

Giordino powoli wyjął z kieszeni cygaro - identyczne jak Sandecker - przetoczył je między palcami i podgrzał koniec płomieniem zapalki.

- Zabiorę się do roboty po prysznicu i zmianie ubrania.

Sposób, w jaki Giordinowi udawało się podkraść cygara, był dla Sandeckera całkowitą tajemnicą. Od lat trwała między nimi zabawa w kotka i myszkę i admirał nie był w stanie dowiedzieć się, jak to Giordino robił, a równocześnie był zbyt dumny, aby zapytać wprost. Najbardziej doprowadzało admirała do rozpaczki to, że każdorazowa inwentaryzacja jego zasobu cygar nie wykazywała braków.

Pitt skrobał coś machinalnie w notesie.

- Hiram, może jesteś w stanie powiedzieć, czy moja teoria zabójczych fal dźwiękowych ma ręce i nogi? - zapytał nie podnosząc głowy.

- Wszystko wskazuje na to, że trafiłeś w dziesiątkę. Akustycy wypracowują jeszcze szczegóły, ale jesteśmy prawie pewni, że mamy do czynienia z zabójcą, który porusza się przez wodę i charakteryzuje się określonymi cechami. Należy zweryfikować wiele zmiennych. Musimy sprawdzić możliwe źródła generowania silnych fal dźwiękowych, zbadać czy i w jaki sposób mogą przenosić się przez wodę, opracować modele skutków uderzenia różnych fal akustycznych w różne cele, a na koniec określić ich oddziaływanie na ludzką i zwierzęcą tkankę.

- Czy znane przypadki fal dźwiękowych, które zabijają?

Yaeger wzruszył ramionami.

- Mamy do czynienia z niezbyt znanymi zjawiskami, ale staramy się logicznie wnioskować. Największą luką w tej teorii jest to, że dźwięki tak intensywne, żeby zabić, nie mogą pochodzić

z tradycyjnego źródła. Nawet gdyby istniał generator tak silnych wibracji, mogłyby zabijać na odległość, jedynie gdyby je skupić tuż przed celem.

- Trudno uwierzyć, żeby po przebyciu pod wodą nie wiadomo jak dużej odległości, kombinacja silnego dźwięku i rezonansu mogła wydostać się na powierzchnię i zabić wszystko w promieniu trzydziestu kilometrów.

- Macie jakąś hipotezę, skąd mogą pochodzić dźwięki? - spytał Sandecker.

- Prawdę mówiąc, tak.

- Czy jedno źródło dźwięku byłoby w stanie dokonać tego typu zniszczeń? - spytał Gunn.

- Nie, i w tym cały dowcip - odparł Yaeger. - Założyliśmy, że po to aby doprowadzić do takiego poziomu zniszczeń, jaki zaobserwowaliśmy, należy poszukać kilku źródeł dźwięków, znajdujących się w różnych miejscach oceanu. - Przerwał i zaczął wertować w leżących przed sobą dokumentach, aż znalazł, czego szukał. Potem wziął pilota i nacisnął szereg przycisków. W czterech odległych od siebie miejscach zapaliły się na holograficznej mapie zielone punkty. - Wykorzystując stworzony przez marynarkę wojenną w czasach zimnej wojny do śledzenia ruchów radzieckich łodzi podwodnych ogólnoswiatowy system hydrofonicznych punktów obserwacyjnych, udało nam się odnaleźć źródła destrukcyjnych fal w czterech miejscach Pacyfiku. - Yaeger przerwał i rozdał wydrukowane mapy. - Numer jeden i jak na razie najsilniejsze źródło znajduje się na wyspie Gladiator, stanowiącej wystający nad poziom oceanu czubek góry należącej do podwodnego pasma gór wulkanicznych, znajdujących się mniej więcej w połowie drogi między Tasmanią a Nową Zelandią. Numer dwa znajduje się dokładnie na północ stamtąd, na Wyspach Komandorskich, znajdujących się na Morzu Beringa u wybrzeży Kamczatki.

- To dość daleko na północ - stwierdził Sandecker.

- Nie mam pojęcia, co Rosjanie mogliby mieć z tym wspólnego.

- Potem przechodzimy na wschód i numer trzy mamy na wyspie Kungit, tuż u wybrzeży kanadyjskiej Kolumbii Brytyjskiej. Ostatnie źródło odkryliśmy na Isla de Pascua, znanej lepiej pod nazwą Wyspy Wielkanocnej.

- Mamy trapez.

Giordino wyprostował się.

- Co?

- Trapez, czworokąt, w którym nie ma równoległych boków.

Pitt podszedł do mapy i stanął wewnątrz trójwymiarowej projekcji.

- Trochę to niezwykle, by wszystkie źródła znajdowały się na wyspach. Jesteś pewien? - spytał Yaegera. - Nie ma żadnej pomyłki? Twoje komputery prawidłowo przetworzyły dane uzyskane z nasłuchów hydrofonicznych?

Yaeger miał minę, jakby Pitt mówiąc walił go pięścią.

- Nasza analiza statystyczna uwzględnia dane uzyskane z sieci nasłuchowej oraz wszelkie warianty rozchodzenia się dźwięku, które mogłyby zostać spowodowane zmiennymi warunkami w oceanie.

- Chylę czoło - stwierdził Pitt z ukłonem i przepaszającym gestem. - Czy poszczególne wyspy są zamieszkane?

Yaeger podał Pittowi niewielki folder.

- Zebraliśmy dane ze zwykłej encyklopedii. Jest tu wszystko o geologii, faunie, mieszkańcach. Wyspa Gladiator jest prywatną własnością, pozostałe trzy są wydierżawione przez zagraniczne

firmy wydobywające minerały.

Można uznać, że to strefy zamknięte.

- W jaki sposób dźwięk może się rozchodzić wodą na tak wielkie dystanse? - spytał Giordino.

- Dźwięki wysokiej częstotliwości są szybko pochłaniane przez znajdującą się w wodzie sól, ale dźwiękom niskiej częstotliwości to nie przeszkadza i znane są przypadki przesyłania infradźwięków na tysiące kilometrów.

Dalszej procedury nie rozumiemy. W jakiś sposób musi dochodzić do wyjścia silnych, niskotonowych, pochodzących z różnych źródeł wibracji na powierzchnię i ich koncentracji pod postacią tak zwanej strefy konwergencji.

Mówimy na to „ogniskowanie”.

- Czyli bawienie się przy ognisku? - zażartował znów Giordino.

- Nie, tak jak zbieranie się światła, które wpadło w soczewkę z różnych źródeł.

Sandecker podniósł pod światło okulary, by sprawdzić, czy nie są brudne.

- Co się stanie, jeśli znajdziemy się na pokładzie statku w strefie konwergencji?

- Gdyby dotarły do niej dźwięki z jednego źródła - wyjaśniał Yaeger - usłyszelibyśmy delikatne buczenie i co najwyżej dostalibyśmy lekkiej migreny.

Przy zebraniu się w jednym miejscu wibracji z czterech źródeł statek zacząłby drżeć i doszłoby do tak silnych uszkodzeń tkanki, że poumieralibyśmy w kilka minut.

- Sądząc po tym, jak wielki jest rozrzut miejsc katastrof, można sądzić, że ta energia wymyka się spod kontroli i może uderzyć wszędzie - powiedział Giordino.

- Może porusza się wzdłuż linii brzegowych? - zasugerował Pitt.

- Próbuje stworzyć model, dzięki któremu potrafilibyśmy określić z góry, gdzie zbiegną się kanały przebiegu wibracji, ale nie jest to takie proste. Jak na razie bierzemy pod uwagę pływy, prądy, głębokość morza i temperaturę wody, czyli podstawowe czynniki, które mogą zmieniać drogę dźwięku w wodzie.

- Ponieważ stworzyliśmy już prowizoryczny obraz, z czym mamy do czynienia, możemy zacząć pracować nad planem, jak położyć temu kres - stwierdził Sandecker.

- Pytanie tylko - wtrącił Pitt - co poza wydobywaniem minerałów łączy te Wyspy?

Giordino wbił wzrok w czubek cygara.

- Tajne badania nad bronią konwencjonalną lub nuklearną?

- Nie - odparł Yaeger.

- No więc co? - zniecierpliwiał się Sandecker.

- Diamenty.

Sandecker podejrzliwie popatrzył na Yaegera.

- Powiedział pan „diamenty”?

- Tak jest. - Yaeger sprawdził coś w aktach. - Kopalnie na wszystkich czterech wyspach należą do Dorsett Consolidated Mining z Sydney albo są eksploatowane przez tą spółkę. Większym producentem diamentów jest na świecie jedynie De Beers.

Pitt poczuł się, jakby ktoś z zaskoczenia uderzył go w brzuch.

- Arthur Dorsett, prezes Dorsett Consolidating Mining, jest przypadkiem ojcem obu pań, które uratowaliśmy z Alem na Antarktydzie - powiedział bardzo cicho.

- Oczywiście! - wykrzyknął Gunn. - Deidre Dorsett. Ale ta druga? Maeve Fletcher?

- To siostra Deidre. Zmieniła nazwisko i przyjęła nowe po prapraprababce.

Tylko Giordino nie tracił humoru.

- Wzięły na siebie masę kłopotów, żeby nas poznać.

Sandecker rzucił mu mordercze spojrzenie i skierował się do Pitta.

- Wygląda mi to na znacznie więcej niż czysty przypadek.

Giordino natychmiast się opanował.

- Bardzo jestem ciekaw, co powie jeden z największych handlarzy diamentów na świecie, kiedy dowie się, że jego metody wydobywcze o mało nie zabiły mu dwóch ukochanych córeczek.

- Może będziemy mieli okazję się dowiedzieć - stwierdził Gunn. - Jeżeli prace wydobywcze Dorsetta są odpowiedzialne za powstawanie śmiertelnych fal dźwiękowych, Dirk i Al mają pretekst, aby iść do niego do domu, zapukać do drzwi i zadać kilka pytań. Ma wszelkie powody, by odegrać rolę wdzięcznego tatusia.

- O ile wiem, jest takim samotnikiem, że odebrałby w tym palmę pierwszeństwa Howardowi Hughesowi - wyjaśnił Sandecker. - Tak samo jak kopalnie De Beersa, jego posiadłości są ściśle chronione przed kradzieżą i wyciekami kamieni na zewnątrz. Dorsett nie pokazuje się publicznie i nie udziela wywiadów. Mamy do czynienia z niezwykle odizolowanym od świata człowiekiem.

Wątpię, by uratowanie życia córek zrobiło na nim wrażenie. Jest tak uparty, że bardziej się nie da.

Yaeger wskazał na unoszące się w powietrzu holograficzne kule.

- Umierają tam ludzie. Musi wysłuchać argumentów, że być może, jest za to odpowiedzialny.

- Arthur Dorsett jest obywatelem obcego państwa i posiada ogromne wpływy - rzekł powoli Sandecker. - Dopóki nie mamy dowodów, musimy domniemywać jego niewinność. Z tego, co wiemy na razie, wynika, że katastrofy są pochodzenia naturalnego. Musimy działać oficjalnymi kanałami i nie chciałbym na razie innych działań. Zaczęę od Departamentu Stanu i ambasady Australii. Niech oni skontaktują się z Arthurem Dorsettem i zażądatają od niego współpracy.

- To może zająć tygodnie - zaproponował Yaeger.

- Dlaczego nie zaoszczędzić czasu? Przetnijmy otaczające jego posiadłość druty i sprawdźmy, czy za śmiercią tylu ofiar nie kryje się jego technologia wydobywcza?

- Nie można wejść na teren jego kopalni i poprosić o pokazanie procesu wydobywczego - stwierdził Pitt.

- Jeżeli Dorsett rzeczywiście jest tak paranoidalny, jak sugerujecie, to nie będzie się bawił w rozmówki z urzędami - potwierdził Giordino.

- Al ma rację - powiedział Yaeger. - Żeby w szybkim tempie powstrzymać zabójstwa, nie możemy czekać na wymianę dyplomatycznych duserów.

Będziemy musieli działać w ukryciu.

- Węszanie wokół kopalni diamentów nie będzie łatwą sprawą - rzekł Pitt. - Są z zasady znakomicie chronione przed rabusiami, którzy chcieliby zarobić parę dolarów na kradzieży. Każda kopalnia jest otoczona siecią zabezpieczeń, a systemy elektroniczne są uzupełniane przez znakomicie wyszkolonych ochroniarzy.

- To co, mamy użyć jednostki sił specjalnych? - spytał Yaeger.

- Nic z tego nie będzie bez zgody prezydenta - stwierdził Sandecker.

- A zgodzi się? - spytał Giordino.

- Jest zbyt wcześnie, żeby do niego iść - odparł admirał. - Nie można tego zrobić, póki nie będziemy mieli jednoznacznego dowodu na zagrożenie bezpieczeństwa państwa.

Pitt przyjrzał się mapie i powiedział powoli:

- Kopalnia na wyspie Kungit wygląda mi na najodpowiedniejszą. Jest praktycznie tuż koło nas.

Dlaczego nie przeprowadzić kilku badań na własną rękę?

Sandecker uważnie mu się przyjrzał.

- Mam nadzieję, że nie łudzisz się, iż nasi sąsiedzi z północy przymkną oko na takie wtargnięcie?

- A czemu nie? W końcu NUMA znalazła dla nich kilka lat temu piękne złoża ropy na Morzu Baffina. Wątpię, czy będą mieć coś przeciwko temu, że bym opłynął wyspę na kajaku i zrobił parę zdjęć.

- Tak sądzisz?

Pitt popatrzył na admirała jak dziecko, które ma nadzieję dostać darmową wejściówkę do cyrku.

- Może przesadziłem, choć niewiele.

Sandecker dumiał i palił.

- Zgoda, wchodź nieuprawniony na teren prywatny, ale pamiętaj, że jak złapią cię ludzie Dorsetta, to nie masz po co dzwonić do domu, bo nikt nie podniesie słuchawki.

15

Była noc. Jadący starym, zarośniętym zielskim pasem startowym znajdującym się na krańcu międzynarodowego lotniska waszyngtońskiego rolls-royce dotoczył się bezgłośnie do antycznego hangaru i stanął. Stateczna stara limuzyna wydawała się tu nie na miejscu niczym elegancka wdowa, którą rzuciło do slumsów. Jedyne światło dochodziło z ciemnej sfatygowanej latarni, której słaba żarówka ledwie wydobywała z ciemności metalizowany lakier i chromowane elementy limuzyny.

Był to model rolls-royce'a „Srebrna Jutrzenka”. Rama opuściła fabrykę w 1955 roku i została wyposażona w seryjną karoserię przez firmę Hoopers i Ska. Przednie zderzaki zwięzły się ku tyłowi i łączyły przed nadkolami z karoserią w całość. Silnik miał sześć cylindrów i górny wałek rozrządu, dzięki czemu samochód jechał tak cicho, jak chodzi zegarek na baterię. Szybkość nigdy nie była w wypadku rolls-royce'a problemem. Na wszelkie pytania o moc, fabryka niezmiennie odpowiadała: „wystarczająca”.

Szofer St. Juliana Perlmuttera, milczek o nazwisku Hugo Mulholand, zaciągnął ręczny hamulec, zgasił silnik i odwrócił się do swojego - wypełniającego niemal całe tylne siedzenie - pracodawcy.

- Zawsze czuję się dziwnie wożąc pana tutaj - powiedział głębokim basem. Oczy jak u bloodhouna idealnie do niego pasowały. Popatrzył na rdzewiejący dach z falistej blachy i ściany, które od lat nie były malowane. - Nie rozumiem, jak można mieszkać w tak okropnej budzie.

Perlmutter ważył sto osiemdziesiąt kilogramów, ale co dziwne, jego ciało nie było sflaczałe. Jak na tak potężnego człowieka, był naprawdę dobrze zbudowany.

Zdjął z wydrążonej laski, w której wnętrzu był koniak, złotą gałkę i zastukał nią w blat z orzechowego drewna, otwierający się z oparcia przedniego siedzenia.

- Ta okropna buda, jak ją nazywasz, kryje zbiór starych samochodów i samolotów wart miliony dolarów. Mało prawdopodobne, żeby przyszli tu bandyci. Zwykle nie kręcą się po nocy po opuszczonych lotniskach, a jest tu dość elektroniki, żeby zabezpieczyć przeciętny bank z Manhattanu. - Perlmutter zrobił przerwę, wystawił laseczkę za okno i wskazał na ledwie widoczny promień czerwonego światła. - Teraz też jesteśmy obserwowani przez kamerę.

Mulholand westchnął, wysiadł, obszedł samochód i otworzył Perlmutterowi drzwi.

- Mam czekać?

- Nie, będziemy jeść kolację. Zabaw się przez kilka godzin i przyjedź po mnie o wpół do dwunastej.

Szofer pomógł Perlmutterowi wysiąść i podszedł z nim do wejścia hangaru. Drzwi były poplamione rdzą i pokryte brudem. Znakomity kamuflaż. Każdy, kto by tędy przypadkiem przechodził, musiał uznać, że to jedynie opuszczony, przeznaczony do rozbiórki budynek. Perlmutter zapukał laseczką. Po kilku sekundach rozległo się ciche trzaśnięcie i drzwi otworzyły się jak za dotknięciem niewidzialnej ręki.

- Miłej kolacji - powiedział Mulholand wsuwając Perlmutterowi pod pachę cylindryczny pakunek i podając aktówkę. Potem odwrócił się i odszedł do samochodu.

Perlmutter natychmiast znalazł się w innym świecie. Nie było tu brudu, kurzu ani pajęczyn, ale jaskrawo oświetlona, odpowiednio wyposażona i nienagannie czysta hala pełna jaskrawych kolorów i chromu. Na wypolerowanej betonowej podłodze stało niemal pięćdziesiąt klasycznych samochodów, dwa samoloty i lokomotywa z przełomu wieków. Wszystkie pojazdy znajdowały się w idealnym stanie. Perlmutter zaczął iść między okazami nieprawdopodobnej kolekcji.

Pitt stał na biegnącej wzdłuż hali na wysokości mniej więcej dziesięciu metrów galerii, z której wchodziło się do jego mieszkania. Wskazał na pakunek pod pachą Perlmuttera.

- Boże chroń przed przynoszącymi prezenty Grekami - powiedział z uśmiechem.

Perlmutter spojrzał w górę i spiorunował go wzrokiem.

- Po pierwsze, nie jestem Grekiem, a po drugie, to oryginalny dom perignon rocznik 1983, którym uświęcimy twój powrót do cywilizacji. Przy puszczam, że jest lepszy od wszystkiego, co masz w piwnicy.

Pitt roześmiał się.

- Świetnie, sprawdzimy go z moim albuquerque z Nowego Meksyku.

Gruet brut bez rocznika.

- Chyba żartujesz. Albuquerque? Gruet?

- Robią lepsze wina musujące od kalifornijskich.

- Od tej rozmowy o winie burczy mi w brzuchu. Spuść windę.

Pitt posłał na dół antyczną windę towarową, zdobioną kutym żelazem. Perlmutter wsiadł.

- Uniesie mnie?

- Instalowałem ją osobiście do wożenia mebli, ale prawdy dowiesz się na górze.

- Przyjemna perspektywa - mruknął Perlmutter.

Winda bez trudu zawiozła go na górę. Przywitali się jak starzy przyjaciele, którymi faktycznie byli.

- Miło znów cię widzieć, Julien.

- Kolacja z moim dziesiątym synem zawsze sprawia mi przyjemność. - Perlmutter powtórzył jeden ze swych stałych dowcipów. Był starym kawalerem, a Pitt jedynym synem senatora George'a Pitta z Kalifornii.

- Jest jeszcze dziesięciu takich jak ja? - spytał Pitt udając zaskoczenie.

Perlmutter poklepał się po brzuchu.

- Nawet nie wiesz, ile panien dało się skusić moim delikatnym manierom i gładkiemu językowi. -

Wciągnął uważnie powietrze. - Czyżbym czuł śledzia?

Pitt skinął głową.

- Będiesz dziś jadł niemieckie wiejskie potrawy. Siekana mielonka z solonym śledziem

i duszoną kwaszoną kapustą, a przed tym zupa z soczewicy z kluseczkami z wątrobianki.

- Powiniennem być zamiast szampana przynieść bawarskie piwo.

- Idź na żywioł. Dlaczego zawsze robić wszystko zgodnie z zasadami?

- Masz rację. Brzmi to obiecująco. Kiedyś uszczęśliwisz swoim kunsztem kulinarnym kobietę, którą weźmiesz za żonę.

- Myślę, że gotowanie nie wyrównuje moich licznych wad.

- Tak a propos pięknych kobiet - co nowego u pani Smith z Kongresu?

- Loren wróciła do Colorado i prowadzi kampanię reelekcyjną. Nie widziałem jej od dwóch miesięcy.

- No to dość plotek - niecierpliwie powiedział Perlmutter. - Otwierajmy szampana i zabierajmy się do pracy.

Pitt przygotował kubełek z lodem i wypili dom perignona przed jedzeniem, które zakończyli gruet bratem. Perlmutter był miło zaskoczony musującym winem z Nowego Meksyku.

- Niezłe, wytrawne i lekkie. Gdzie mogę kupić skrzynkę?

- Gdyby było tylko „niezłe”, nie chciałbyś skrzynki, stary szarlatanie.

Perlmutter wzruszył ramionami.

- Nigdy nie uda mi się ciebie oszukać.

Pitt sprzątał talerze, a Perlmutter poszedł do salonu, otworzył aktówkę i położył na stoliku gruby plik papierów. Kiedy Pitt przyszedł z kuchni, Perlmutter sprawdzał dokumenty, czytał jeszcze raz niektóre notatki.

Pitt usiadł na skórzanej kanapie przy regale, na którym stały modele statków odkrytych przez niego na dnie oceanów.

- No to czego się dowiedziałeś o rodzinie Dorsetta?

- Czy uwierzysz że to jedynie kropla w morzu? - spytał Perlmutter podnosząc teczkę, zawierającą przynajmniej tysiąc stron. - Historia Dorsettów to jak wzięta żywcem z epickiej opowieści legenda królewskiej dynastii.

- Co z obecną głową rodziny, Arthurem Dorsettem?

- Żyje w niezwyklej izolacji od świata. Bardzo rzadko pokazuje się publicznie.

Uparty, stronniczy i pozbawiony najmniejszych skrupułów. Generalnie nie lubiany przez każdego, kto miał z nim nawet pobieżny kontakt.

- Ale śmierzająco bogaty.

- Ohydnie. - Perlmutter powiedział to z miną człowieka, który właśnie połknął pajaka. - Spółka Dorsett Consolidated Mining i sieć sklepów House of Dorsett należą w stu procentach do rodziny. Żadnych akcjonariuszy, żadnych udziałowców ani wspólników. Kontrolują także siostrzaną spółkę o nazwie Pacific Gladiator, która zajmuje się wydobywaniem kamieni szlachetnych.

- Od czego zaczynali?

- Aby się tego dowiedzieć, musimy cofnąć się sto czterdzieści cztery lata. - Perlmutter wyciągnął rękę z kieliszkiem i Pitt go napełnił. - Musimy zacząć epos od opowieści, którą przekazał pewien kapitan klipra, a która została ujawniona po jego śmierci przez córkę. W styczniu 1856 roku, w czasie rejsu z ładunkiem więźniów, w tym kobiet, do australijskiej kolonii karnej przy zatoce Botany, na południe od dzisiejszego Sydney, statek wpadł na Morzu Tasmana w potworny tajfun. Kliper nazywał się „Gladiator” i dowodził nim jeden z najsławniejszych kapitanów tamtej epoki. Charles „Kat” Scaggs.

- Żelazni ludzie na drewnianych statkach.

- Tak to było. W każdym razie Scaggs musiał razem ze swoimi ludźmi pracować jak szalony, żeby uratować statek przed jednym z najgorszych tajfunów stulecia. Kiedy wiatr ucichł, a morze się uspokoiło, „Gladiator” był wrakiem. Maszty zostały połamane i wyrzucone za burtę, nadbudówki zniszczone, kadłub nabierał wody. Szalupy zniknęły albo zostały połamane i kapitan Scaggs wiedział, że jego statek nie pociągnie dłużej niż kilka godzin, kazał więc załodze i więźniom rozebrać co się dało i zrobić tratwę.

- Prawdopodobnie nie pozostawało mu nic innego.

- Dwoje więźniów było przodkami Arthura Dorsetta. Jego praprapradziadem był Jess Dorsett skazany za rozbój, a prapraprababką Betsy Fletcher, którą skazano na dwadzieścia lat pobytu w kolonii karnej za kradzież koca.

Pitt kontemplował bąbelki w kieliszku.

- Najwyraźniej przestępstwo wtedy nie popłacało.

- Większość Amerykanów nie wie, że aż do wojny o niepodległość Anglicy wykorzystywali swoje kolonie w Ameryce do zsyłania przestępców. Wiele rodzin byłoby zaskoczonych, gdyby dowiedziało się, że ich przodkowie Wylądowali na tym kontynencie jako skazańcy.

- Czy rozbitkowie uratowali się na tratwie?

Perlmutter pokręcił głową.

- Następne piętnaście dni były pasmem przerażających wydarzeń.

Sztorm, pragnienie i głód, potem walka między marynarzami i żołnierzami a skazańcami zdziesiątkowały ocalałych. Legenda mówi, że kiedy w końcu tratwa dodryfowała do nie oznakowanej na mapie wyspy rozbijając się o rafy, garstka ocalałych została uratowana od śmierci w paszczy wielkiego rekina ludojada przez węża morskiego, który zabił rekina.

- Co wyjaśniałoby herb Dorsetta. Urodził się w umysłach umierających z głodu ludzi.

- Nic dziwnego. Z dwustu trzydziestu jeden dusz, które przesiadły się ze statku na tratwę, na plażę wyczołgało się jedynie osiem, w tym dwie kobiety, a wszyscy byli bardziej martwi niż żywi.

Pitt popatrzył na Perlmuttera.

- Zginęło więc dwieście dwadzieścia troje. Wstrząsająca liczba.

- Z ocalałej ósemki dwóch - marynarz i skazaniec - zginęło wkrótce w walce o kobietę.

- Powtórka z buntu na „Bounty”.

- Nie do końca. Dwa lata później kapitan Scaggs i ostatni z ocalałych marynarzy, na szczęście cieśla, z resztek rozbitego u wybrzeży wyspy francuskiego słupa, którego cała załoga zginęła, zbudowali statek. Zostawili dawnych więźniów na wyspie i popłynęli przez Morze Tasmana do Australii.

- Scaggs zostawił Dorsetta i Fletcher?

- Miał ku temu powód. Życie na pięknej wyspie było dla nich z pewnością lepsze od piekła kolonii karnej nad zatoką Botany. Ponieważ Scaggs był winien Dorsettowi życie, powiedział władzom kolonii karnej, że wszyscy skazańcy zginęli na tratwie.

- Zbudowali więc sobie nowe życie i zaczęli się rozmnażać.

- Tak jest. Scaggs udzielił Jessowi i Betsy ślubu. Mieli dwóch synów, pozostała para - córkę. Po latach, kiedy stworzyli coś na kształt wspólnoty rodzinnej, na wyspie zaczęły zatrzymywać się statki wielorybnicze, które kupowały od nich jedzenie, i z czasem wyspa stała się znana i została stałym przystankiem wielorybników w ich wielomiesięcznych rejsach.

- Co się stało ze Scaggsem?

- Wrócił na morze jako kapitan nowego klipra, którego armatorem była spółka Carlisle'a i Dunhilla. Po szeregu dalszych rejsów przez Pacyfik przeszedł na emeryturę i w końcu zmarł dwadzieścia lat później w 1876 roku.

- Kiedy pojawiają się diamenty?

- Cierpliwości - powiedział Perlmutter jak nauczyciel. - Jeszcze trochę kontekstu, byś lepiej zrozumiał. Z chemicznego punktu widzenia diament to brat węgla i grafitu. Tak, diamenty, choć spowodowały więcej przestępstw, korupcji i romantycznych wydarzeń niż jakikolwiek inny minerał świata, są jedynie skryzalizowanym węglem. Uważa się, że powstawały trzy miliardy lat temu, na głębokości od stu dwudziestu do dwustu kilometrów w płaszczu Ziemi. Poddawany nieprawdopodobnym ciśnieniom i temperaturom czysty węgiel przebijał się ku powierzchni razem z gazami i płynną lawą przez tak zwane komin. Kiedy mieszanka unosiła się gwałtownie ku powierzchni, węgiel stygł i krystalizował pod postacią przezroczystych i bardzo twardych kryształów. Diamenty są jednymi z niewielu bogactw naturalnych, które wydostały się na powierzchnię z dalekich głębin.

Pitt wbijał wzrok w podłogę, próbując wyobrazić sobie proces tworzenia się diamentu.

- Czy można określić to tak, że tam gdzie taka mieszanka wypływała, powstawało coś przypominającego cienką i długą zatyczkę, która rozszerza się ku powierzchni, a jest w niej dużo diamentów?

- Wyobraź sobie wsadzoną do ziemi wielką marchewkę - to komin kimberlitowy.

Nazywa się tak od miejscowości Kimberley w Afryce Południowej, gdzie w sławnej kopalni Premier Mine znaleziono największy diament świata. W odróżnieniu od czystej lawy, która wystrzela wysoko tworząc wysokie i strome stożki wulkaniczne, mieszanka diamentów i płynnej skały, określana właśnie mianem magmy kimberlitowej, wylewała się spokojniej, szybko stygła i twardniała tworząc tak zwaną tarczę wulkaniczną, czyli rozległe wzniesienia o słabo nachylonych stokach. Wiele z nich zostało zniwelowanych przez erozję, w efekcie której diamenty rozproszyły się po powierzchni w tak zwanych złożach aluwialnych. Niektóre zerodowane kratery wulkanów tarczowych potworzyły jeziora. Oczywiście główna masa skryzalizowanych kamieni pozostała w podziemnych kominach.

- Niech zgadnę. Dorsettowie odkryli na wyspie komin pełen diamentów.

- Wyprzedzasz mnie - z irytacją mruknął Perlmutter.

- Przepraszam.

- Wyrzuceni na brzeg rozbitkowie, nieświadomi co znajdują, odkryli w znajdujących się na obu krańcach wyspy wulkanicznych wzgórzach nie jeden, ale dwa fenomenalnie bogate komin. Jak opisała to w liście do Scaggsa Betsy Fletcher, kamienie znaleźli na gołej ziemi, gdyż zostały wymyte ze skał przez stulecia deszczów i wydały im się „czymś ładnym”. Faktem jest, że surowe diamenty są matowe i mało atrakcyjne, czasami przypominają z wyglądu źle uformowany kawałek mydła. W 1866 roku, po zakończeniu amerykańskiej wojny secesyjnej, na wyspę dotarł statek amerykańskiej marynarki wojennej, prowadzący ekspedycję mającą ustalić istniejące na Pacyfiku możliwości cumowania dużych jednostek. Na pokładzie znajdował się geolog.

Zaciekawiły go kamienie, którymi bawiły się dzieci Dorsettów. Zbadał jeden z nich i z najwyższym zdumieniem stwierdził, że trzyma w ręku dwudziestokaratowy surowy diament. Kuty na cztery nogi Jess Dorsett powiedział mu, że przywiózł kamień z Anglii.

- I tak przypadek spowodował powstanie Dorsett Consolidated Mining.

- Nie od razu. Po śmierci Jessa Betsy posłała obu chłopców - Jessa Juniora i Charlesa, bez wątpienia nazwanego tak po kapitanie Scaggsie, oraz córkę drugiej pary skazańców, Mary Winkelman, do szkół w Anglii. Napisała do Scaggsa list z prośbą o pomoc i dołączyła do niego sakiewkę surowych diamentów na pokrycie kosztów. Scaggs, który był wtedy umierający, przekazał prośbę o pomoc i diamenty swojemu przyjacielowi i byłemu pracodawcy Abnerowi Carlisle'owi, który kazał je oszlifować i wypolerować, a następnie sprzedał na londyńskiej giełdzie za prawie milion funtów, czyli siedem milionów dolarów, oczywiście ówczesnych.

- Spora suma jak na opłacenie edukacji. Dzieciaki musiały mieć raj.

Perlmutter pokręcił głową.

- Tym razem się mylisz. Mieszkali skromnie w Cambridge. Mary uczęszczała do zwykłej szkoły dla dziewcząt pod Londynem. Kiedy Charles uzyskał dyplom, natychmiast ożenił się z Mary i wrócili na wyspę, gdzie doglądali poszukiwań diamentów w nieczynnych wulkanach. Jess Junior został w Anglii i razem z żydowskim handlarzem z Aberdeen, Levim Strouserem, założył House of Dorsett. Londyńska filia, w której szlifowano i sprzedawano diamenty, została wyposażona w okazałe sale do prezentacji diamentów i sprzedaży, na wyższych piętrach w eleganckie biura do prowadzenia sprzedaży hurtowej, a w piwnicach w ogromną pracownię, gdzie cięto i szlifowano diamenty z wyspy Gladiator. Dynastia prosperowała, w czym bardzo pomagał fakt, że pochodzące z rodzinnego szybu diamenty miały rzadki fioletoworóżowy odcień i były najwyższej jakości.

- Zasoby nigdy się nie wyczerpały?

- Do dziś jeszcze nie. Tak samo jak kartel diamentowy, Dorsettowie w sprytny sposób zatrzymywali większość produkcji, aby nie dopuścić do spadku cen.

- Co z przychówkiem?

- Charles i Mary mieli syna, Ansona. Jess Junior nigdy się nie ożenił.

- Anson to dziadek Arthura?

- Tak. Prowadził przedsiębiorstwo przez czterdzieści lat. Był prawdopodobnie najłagodniejszym i najuczciwszym członkiem tej rodziny w całej jej historii. Zadowalało go kierowanie niewielkim, ale dochodowym imperium, nie gnany chciwością jak jego przodkowie, wydawał bardzo wiele pieniędzy na cele dobroczynne. Założył niejedną bibliotekę i niejeden szpital w Australii oraz Nowej Zelandii. Kiedy zmarł w 1910 roku, przekazał firmę synowi Henry'emu i córce Mildred. Mildred zginęła w młodym wieku w wypadku - wypadła za burtę w czasie rejsu rodzinnym jachtem i została pożarta przez rekiny. Krążyła plotka, że została zamordowana przez Henry'ego, ale nigdy nie wszczęto śledztwa. Bardzo pomogły w tym pieniądze Henry'ego.

Pod rządami Henry'ego w rodzinie zapanowały chciwość, zazdrość, okrucieństwo i drapieżne rządy, co trwa po dziś dzień.

- Przypominam sobie artykuł o nim w „Los Angeles Timesie”. Porównano w nim sir Henry'ego Dorsetta do sir Ernesta Oppenheimera z De Beersa.

- Ani jeden, ani drugi nie był święty. Oppenheimer po pokonaniu niezliczonych przeszkód stworzył obejmujące wszystkie kontynenty imperium, które posiada liczne holdingi w przemyśle motoryzacyjnym, papierniczym i materiałów wybuchowych, szereg browarów i poza diamentami wydobywa złoto, platynę, uran i miedź. Największa siła De Beersa to oczywiście diamenty i kartel, który kontroluje ceny diamentów od Londynu przez Nowy Jork po Tokio. Dorsett Consolidated Mining zajmuje się wyłącznie diamentami.

Z wyjątkiem kilku kopalni innych kamieni szlachetnych - rubinów w Birmie, szmaragdów w Kolumbii i szafirów na Cejlonie - rodzina nie inwestowała w nic innego. Wszystkie zyski były natychmiast inwestowane w korporację.

- Skąd pochodzi nazwa De Beers?

- De Beers nazywał się południowoafrykański farmer, który nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, za kilka tysięcy dolarów sprzedał Cecilowi Rhodesowi diamentonosną działkę, dzięki której powstała fortuna i kartel diamentowy.

- Czy Henry Dorsett przystąpił do Oppenheimera i kartelu De Beersa?

- Choć uczestniczył w polityce kontroli cen, Henry był jedynym na świecie właścicielem kopalni diamentów, który mógł sobie pozwolić na samodzielny handel. Podczas gdy osiemdziesiąt pięć procent światowej produkcji przechodziło do agentów i sprzedawców przez kontrolowaną przez De Beersa Centralną Organizację Sprzedaży, Dorsett omijał najważniejsze na świecie giełdy diamentów w Londynie, Antwerpii, Tel Avivie i Nowym Jorku i sprzedawał pewną ilość kamieni w detalu przez House of Dorsett, który obecnie obejmuje około pięciuset sklepów.

- De Beers nie walczy z nim?

Perlmutter pokręcił głową.

- Oppenheimer stworzył kartel, aby zapewnić stabilny rynek i wysokie ceny diamentów. Sir Ernest nie traktował sir Dorsetta jako zagrożenie, gdyż Australijczyk nie próbował rzucić na rynek swoich zapasów.

- Dorsett musi chyba zatrudniać armię robotników, by prowadzić tak wielkie przedsiębiorstwo.

- Tylko w trzech szlifierniach, dwóch warsztatach zajmujących się cięciem i dwóch polniach zatrudnia ponad tysiąc osób. Posiada w Sydney trzydziestopiętrowy budynek, w którym armia artystów tworzy charakterystyczną biżuterię Dorsetta. Większość handlarzy zatrudnia szlifierzy Żydów, Dorsett głównie Chińczyków.

- Henry zmarł w połowie lat siedemdziesiątych, prawda?

Perlmutter uśmiechnął się.

- Historia czasem się powtarza. W wieku sześćdziesięciu ośmiu lat wypadł w Monako z jachtu i utonął. Szeptano, że Arthur go upił i wepchnął do wody.

- Co się mówi o Arthurze?

Perlmutter sprawdził coś w dokumentach i popatrzył znad szkła.

- Gdyby kupujący diamenty ludzie mieli pojęcie o brudnych interesach, jakie w ciągu minionych trzydziestu lat prowadził Arthur Dorsett, do jego śmierci nie kupiono by od Dorsettów ani jednego diamentu.

- Nie wygląda na miłego.

- Niektórzy ludzie są dwulicowi, Arthur jest co najmniej pięciolicowy.

Urodził się na wyspie Gladiator w 1941 roku i jest jedynym dzieckiem Henry'ego i Charlotte Dorsettów. Uczyła go matka i nie był w szkole do osiemnastego roku życia, kiedy został posłany do szkoły górniczej w Golden w stanie Kolorado. Choć przewyższał wszystkich w klasie prawie o pół głowy, nie interesował się sportem i wolał krążyć po starych nieczynnych kopalniach, których jest pełno w Rocky Mountains. Po uzyskaniu dyplomu inżyniera górnictwa przez pięć lat prowadził dla De Beersa prace wydobywcze w Afryce Południowej, po czym wrócił na wyspę i został generalnym nadzorcą rodzinnych kopalni. W czasie częstych podróży do kwatery głównej firmy w Sydney, poznał przemiłą młodą dziewczynę, Irenę Calvert, córkę profesora biologii na uniwersytecie w Melbourne.

Wzięli ślub i urodziła mu trzy córki.

- Maeve, Deidre i...

- Boudicę.

- Dwie celtyckie boginie i legendarna królowa angielska.

- Kobieca triada.

- Maeve ma dwadzieścia siedem lat, Deidre trzydzieści dwa, Boudicca trzydzieści osiem.

- Powiedz coś więcej o ich matce - poprosił Pitt.

- Nie mam wiele do powiedzenia. Zmarła piętnaście lat temu, także w tajemniczych okolicznościach. Minął rok od pogrzebu, kiedy przebywający na wyspie australijski dziennikarz odkrył fakt jej śmierci. Napisał słowo pośmiertne, zanim Arthur zdążył nakłonić redaktora naczelnego do wycofania artykułu, inaczej nikt by do dziś o niczym nie wiedział.

- Admirał Sandecker wie co nieco o Dorsecie i mówi, że nieprawdopodobnie trudno go spotkać.

- To prawda. Nie widuje się go publicznie, nie chadza na przyjęcia, nie ma przyjaciół. Całe jego życie koncentruje się na pracy i biznesie. Ma nawet w siedzibie firmy w Sydney tajny tunel, żeby móc wchodzić i wychodzić niezauważony. Kompletnie odciął wyspę Gladiator od świata. Według niego im mniej wiadomo o kopalniach Dorsettów, tym lepiej.

- Co z firmą? Nie może ukrywać tak wielkich interesów.

- Śmiem się nie zgodzić. Znajdującej się w prywatnych rękach korporacji może ujść na sucho morderstwo. Rządowi krajów, na terenach których prowadzi prace wydobywcze, zajmuje niezwykle wiele czasu ustalenie koniecznego do określenia wymiaru podatku stanu majątkowego spółki. Arthur Dorsett może i jest kolejnym wcieleniem najbardziej legendarnych skąpców, ale nigdy nie wahał się przed wydawaniem grubych pieniędzy na kupowanie lojalności. Jeżeli uważa, że opłaci mu się zrobić z urzędnika państwowego milionera w zamian za wpływy i władzę, robi to.

- Czy jego córki pracują z nim?

- Mówi się, że tata zatrudnia dwie, podczas gdy trzecia...

- Maeve.

- Zgadza się, Maeve odcięła się od rodziny, przepchnęła się samodzielnie przez uniwersytet i została zoologiem morskim. Musiała niechcący odziedziczyć w genach coś po ojcu matki.

- A Deidre i Boudicca?

- Plotkarze plotają, że obie są wcieleniem szatana, jeszcze gorsze od tatusia.

Deidre to rodzinny Machiavelli, intrygantka ze złodziejską żyłką we krwi. Boudicca jest wedle plotek bezwzględna i zimna jak lód z dna lodowca.

Nie interesuje się mężczyznami ani życiem towarzyskim.

Pittowi zamigotały oczy.

- Co jest takiego w diamentach, że mają tak nęcącą moc? Dlaczego mężczyźni i kobiety zabijają za diamenty i dla diamentów? Dlaczego z ich powodu powstawały i upadały narody i mocarstwa?

- Poza pięknem po przerobieniu ich na brylanty, diamenty mają wyjątkowe cechy. Są najtwardszą znaną na Ziemi substancją. Potrzyj diamentem jedwab, a uzyskasz ładunek elektryczny. Wystaw go na działanie słońca, będzie świecił w ciemności nieziemskim światłem. Przyjacielu, diamenty to więcej niż mit. Są najlepszym istniejącym twórcą złudzeń. - Perlmutter przerwał i podniósł butelkę z kubelka. Ze smutkiem wlał sobie do kieliszka ostatnie krople. - Cholera, chyba jest pusta.

Po wyjściu z budynku NUMY Giordino wziął turkusowy samochód agencji i pojechał do mieszkania, które niedawno kupił w Aleksandrii, w kompleksie mieszkalnym niedaleko Potomacu. Mieszkanie mogło pochodzić z sennego koszmaru dekoratora wewnątrz - poszczególne meble nie pasowały do siebie ani do reszty wyposażenia, nic nie odpowiadało podstawowym zasadom gustu i stylu. Każda z kolejnych narzeczonych pozostawiała po sobie coś, co było nie do pogodzenia z gustem następnej. Na szczęście, z każdą do dziś się przyjaźnił. Lubiły jego towarzystwo, lecz żadna za nic nie wyszłaby za niego za męża.

Nie był bałaganiarzem, nieźle gotował, ale rzadko bywał w domu. Jeżeli nie ganiał po świecie z Pittem prowadząc podmorskie ekspedycje, organizował wyprawy poszukiwawcze i było mu dość obojętne, czy celem jest odnalezienie statku, samolotu czy człowieka. Uwielbiał poszukiwanie jako takie. Nie umiał siąść w fotelu i czytać książkę albo oglądać telewizję. Jego umysł nieustająco podróżował i rzadko koncentrował się na będącej u jego boku damie, co niezmiennie frustrowało każdą przedstawicielkę płci pięknej.

Wrzucił brudne ubranie do pralki i wziął prysznic, potem zapakował neseser i pojechał na lotnisko Dullesa, gdzie złapał popołudniowy samolot do Miami. Na miejscu wynajął samochód, pojechał w okolice portu i wynajął pokój w motelu. Następnie sprawdził książkę branżową, spisał nazwiska, adresy i numery telefonów projektantów specjalizujących się w pełnomorskich jachtach motorowych. Zaczął dzwonić.

Pod pierwszymi czterema numerami połączył się z automatyczną sekretarką, za piątym razem miał więcej szczęścia - odebrał człowiek. Giordino nie był zaskoczony, spodziewał się bowiem, że przynajmniej jeden z wyszukanych projektantów będzie pracował do późnych godzin, tworząc dla jakiegoś bogacza plany pływającego drugiego domu.

- Pan Wes Wilbanks?

- Tak, przy telefonie. Czym mogę służyć o tej porze? - W głosie słychać było lekki południowy zaśpiew.

- Nazywam się Albert Giordino i pracuję dla Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Potrzebowałbym pańskiej pomocy przy określeniu producenta pewnego jachtu.

- Cumuje w Miami?

- Nie. W tej chwili może być w każdym punkcie świata.

- Brzmi to dość tajemniczo.

- I jest bardziej tajemnicze, niż się pan spodziewa.

- Będę w biurze jutro około dziesiątej.

- Sprawa jest dość pilna - powiedział Giordino spokojnie, lecz dobitnie.

- Dobrze. Będę gotów za jakąś godzinę. Mógłby pan wpaść? Ma pan adres?

- Mam, ale jestem pierwszy raz w Miami.

Wilbanks opisał, jak do niego dojechać. Ponieważ biuro projektanta było oddalone jedynie o kilka przecznic od motelu, Giordino zjadł w niewielkiej kubańskiej knajpce kolację i kierując się otrzymanymi wskazówkami, trafił na miejsce na piechotę.

Mężczyzna, który mu otworzył, miał trzydzieści parę lat, był wysoki i ubrany w szorty i koszulę w kwiaty. Giordino sięgał mu do ramienia i w trakcie rozmowy musiał podnosić głowę. Przystojną twarz Wilbanka okalały gęste, szesane do tyłu włosy. Siwiał na skroniach. Giordino uznał, że pasuje z wyglądu do środowiska jachciarzy.

- Miło pana poznać, panie Giordino.

- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać.
- Proszę wejść. Kawy? Zaparzyłem ją rano, ale cykoria pozwala długo utrzymywać aromat.
- Z wielką chęcią.

Wilbanks wprowadził go do gabinetu z podłogą z twardego drewna, którego całą jedną ścianę zajmowały regały pełne książek poświęconych projektowaniu jachtów i łodzi. Regały na przeciwległej ścianie wypełniały modele i przekroje jachtów, które - jak przypuszczał Giordino - zbudowano na podstawie planów Wilbanka. Środek pokoju zajmowała staromodna rysownica. Na blacie pod panoramicznym oknem, z którego rozpościerał się widok na cały niemal port, stał komputer.

Giordino wziął filiżankę z kawą i położył na rysownicy szkice, które zrobił drugi oficer z „Rio Grande”.

- To niewiele, ale mam nadzieję, że pomoże mi pan znaleźć producenta.

Wilbanks zaczął studiować rysunki, kładąc przy tym głowę to na lewe, to na prawe ramię. Po kilku minutach potarł podbródek i spojrzał w dal.

- Na pierwszy rzut oka wygląda to na model bazowy i może pochodzić od dowolnego z setek projektantów, wydaje mi się jednak, że ten, kto robił szkic, został nieco wprowadzony w błąd z powodu kąta obserwacji. Uważam, że jacht ma niejeden, lecz dwa kadłuby, które łączą się w jedną nadbudowę nadając wszystkiemu kosmiczny wygląd. Zawsze chciałem zaprojektować coś takiego, ale jeszcze nie znalazłem klienta chętnego do zbudowania sobie jachtu wykraczającego daleko poza konwencjonalną stylistykę.

- Brzmi to tak, jakby mówił pan o maszynie do lotów na Księżyc.

- Coś w tym jest. - Wilbanks włączył komputer. - Pokażę panu, co mam na myśli. - Zaczął grzebać w szufladzie, wyjął dyskietkę i włożył ją do stacji dysków. - To zaprojektowałem dla zabawy i z pełną świadomością, że nigdy nie zdobędę funduszy na budowę.

Na monitorze pojawił się obraz smukłego jachtu, pozbawionego ostrych linii i kątów. Zniknął tradycyjny ostry dziób. Kadłub i zabudowa kokpitu były gładkie i zaokrąglone. Nie było tu nic tradycyjnego. Jacht wyglądał, jakby pochodził z przyszłości, i robił wrażenie. Używając grafiki komputerowej, Wilbanks pokazał wnętrze jachtu, koncentrując się na śmiałym i niezwykle wyposażeniu i umeblowaniu. Projekt wymagał niezwyklej wyobraźni i był bardzo nowoczesny.

- I to wszystko widzi pan na podstawie kilku surowych szkiców? - spytał zdziwiony Giordino.

- Proszę chwilę poczekać, to zaraz pan wszystko zrozumie. - Wilbanks przepuścił szkice przez skaner, który przetworzył je na komputerowy obraz.

Potem nałożył na nie własny projekt i porównał obrazy. Poza drobnymi różnicami rozmiarów i wykończenia były prawie takie same.

- Nic tylko mieć dobre oko - mruknął Giordino.

- Zżera mnie zazdrość, że któremuś z kolegów udało się mnie ubiec.

Sprzedalbym własne dzieci za możliwość zrealizowania tego projektu.

- Mógłby pan określić wymiary i źródło napędu?

- Mojego czy pańskiego?

- Jachtu na szkicach.

- Powiedziałbym, że całkowita długość wynosi mniej więcej trzydzieści metrów, szerokość około dziesięciu. Jeżeli chodzi o napęd, to ja bym dał dwa blitzeny seastormy z turbodoładowaniem, choć tu zastosowano raczej BAD-y 98, które w parze mogą dać dwa tysiące pięćset koni. Przy

podobnej mocy jacht tej wielkości mógłby na spokojnym morzu poruszać się bez trudu z prędkością siedemdziesięciu węzłów albo znacznie więcej, to zależało by jednak od szczegółów dopracowania kadłubów.

- Kto mógłby coś takiego zbudować?

Wilbanks przez chwilę myślał.

- Tej wielkości i budowy jacht musiałby być z włókna szklanego. Mógł by to zrobić Glastec Boats w San Diego albo Heinkelmann w Kilonii.

- Co z Japończykami?

- Nie grają zbyt wielkiej roli w budowie jachtów morskich. Jest trochę dobrych stoczní w Hongkongu, ale budują głównie z drewna. Większość stoczní produkujących z włókna szklanego wykorzystuje sprawdzone konstrukcje.

- W takim razie pańskim zdaniem to Glastec albo Heinkelmann?

- Do nich bym zadzwonił, gdybym miał realizować mój projekt.

- Czy potrafiłby pan coś powiedzieć o projektancie?

- Mógłbym z miejsca wymienić ze dwudziestu, którzy specjalizują się w ekstrawaganckich planach.

Giordino uśmiechnął się szeroko.

- Rad jestem, że trafiłem na dwudziestego pierwszego.

- Gdzie pan mieszka?

- W motelu „Seaside”.

- NUMA nie jest zbyt rozrzutna w wydatkach, co?

- Powinien pan poznać mojego szefa, admirała Sandeckera. On i molierowski Skąpiec od razu by się zakolegowali.

Wilbanks roześmiał się.

- Proszę wpaść jutro rano około dziesiątej. Może będę coś jeszcze miał dla pana.

- Już dziękuję za pomoc.

Giordino uściśnął Wilbanksowi dłoń i przed powrotem do motelu zrobił jeszcze długi spacer nad brzegiem. W łóżku, nim zasnął, czytał powieść o duchach.

Około dziesiątej Giordino wszedł do pracowni Wilbanksa. Projektant oglądał plany, na widok gościa podniósł je i uśmiechnął się.

- Jak pan wczoraj wyszedł, wyczyściłem szkice, które pan zostawił, i na rysowałem na ich podstawie plany. Pomniejszyłem je i przefaksowałem do San Diego i Kilonii. Ze względu na różnicę czasu Heinkelmann odpowiedział tuż przed moim przyjściem do biura, a Glastec dwadzieścia minut temu.

- Znają jacht?

- Obawiam się, że nie mam w tym zakresie dobrych wieści. Ani jeden, ani drugi nie projektował ani nie zbudował tego jachtu.

- No to jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Nie do końca. Dobra wiadomość jest taka, że jeden z inżynierów od Heinkelmann widział jacht jakieś dziewięć miesięcy temu w Monako i dobrze go sobie obejrzał. Mówi, że został zbudowany przez nową francuską stoczníę, o której powstaniu dowiedziałem się dopiero od niego. Jusserand Marine niedaleko Cherbourga.

- W takim razie zafaksujmy do nich z prośbą o plany - stwierdził Giordino odzyskując nadzieję.
- Nie trzeba - zamachał rękami Wilbanks. - Choć nie powiedział pan tego, założyłem, że prawdziwym powodem, dla którego szuka pan producenta, jest chęć poznania nazwiska właściciela.
- Nie zaprzeczam.
- Inżynier Heinkelmanna był na tyle uprzejmy, że bez proszenia dopisał na faksie nazwisko właściciela jachtu. Twierdzi, że zainteresował się tym, gdyż zauważył, iż załoga nie wygląda na miłych marynarzy pływających eleganckim jachtem, ale jak ludzie z mafii.
- Ludzie z mafii?
- Uważa, że ładowali na pokład broń.
- Jak nazywa się właściciel?
- To kobieta, bogata Australijka. Jej rodzina zrobiła majątek na wydobyciu diamentów. Nazywa się Boudicca Dorsett.

17

Pitt leciał właśnie do Ottawy, kiedy na pokład samolotu zadzwonił Giordino z wieścią o tajemniczym jachcie.

- Nie ma wątpliwości? - spytał Pitt.
- Raczej nie. Jest niemal stuprocentowo pewne, że jacht, który uciekał z miejsca katastrofy, należy do rodziny Dorsettów.
- Nitki zaczynają się zbiegać.
- Może cię też zainteresuje, że admirał poprosił marynarke o przeprowadzenie poszukiwań na centralnym i wschodnim Pacyfiku. Zlokalizowano jacht i zaczęto śledzić jego ruchy. Zatrzymał się na krótko na Hawajach i ruszył w dalszą drogę ku twojemu celowi.
- Do wyspy Kungit? No to będę mógł upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.
- Masz od samego rana pompatyczny nastrój.
- Jak ten jacht wygląda?
- Nie jest podobny do niczego, co dotychczas widziałeś. Wygląda kosmicznie.
- Rozejrzę się za nim - obiecał Pitt.
- Wiem, że szkoda strzępić na to języka, ale bądź ostrożny.
- Zadzwonię, kiedy będę potrzebował pieniędzy - roześmiał się Pitt i odłożył słuchawkę. Miło mieć takiego przyjaciela jak Albert Cassius Giordino.

Po wylądowaniu i pożyczeniu samochodu Pitt przejechał rzekę Rideau i ruszył nad jej brzegiem w kierunku Ottawy. Było zimniej niż w lodówce, bez jednego listka na drzewach okolica wyglądała pusto i ponuro. Jedyne kolorystyczny akcent stanowiły rzadkie kępy sosen stojące to tu, to tam na śniegu. Pitt spojrział przez balustradę na płynącą w dole rzekę. Nurt, który niedługo wpadnie do rzeki Ottawy, a potem do ogromnej Zatoki Świętego Wawrzyńca, był skuty lodem. Kanada jest niezwykle pięknym krajem, choć jak na gust Pitta można by posłać surowe zimy dalej na północ.

Na moście przez rzekę Ottawa, tuż przed wjazdem do miasteczka Hull, spojrział na mapę i zapamiętał trasę prowadzącą do trzech wieżowców mieszczących liczne urzędy państwowe. Chciał się dostać do Środowiska Naturalnego Kanady, agencji rządowej, siostrzanej dla waszyngtońskiej Agencji Ochrony Środowiska Stanów Zjednoczonych.

Ochroniarz przy bramie wskazał drogę i kazał wjeżdżać. Pitt zaparkował i wszedł do budynku. Jedno spojrzenie na tablicę informacyjną wystarczyło, wsiadł do windy i ruszył na górę.

W recepcji przywitał go zbliżający się do emerytury pracownik, który spytał z bladym uśmiechem:

- W czym mogę pomóc?
- Nazywam się Pitt. Jestem umówiony z panem Edwardem Poseyem.
- Chwileczkę. - Wykręcił numer, zaanonsował Pitta i skinął głową. - Proszę iść do końca korytarzem. Ostatnie drzwi.

Przy drzwiach czekała na Pitta ładna ruda sekretarka, która natychmiast wprowadziła go do gabinetu Poseya. Z fotela za biurkiem podniósł się niski mężczyzna w okularach i z brodą, przechylił przez biurko i uściśnął wyciągniętą rękę gościa.

- To wielka przyjemność znów cię widzieć, Dirk. Ile to już lat minęło?
- Jedenaście. Widzieliśmy się na wiosnę 1989 roku.
- Aha, program Doodleburg. Spotkaliśmy się na konferencji, na której przedstawiałeś sprawozdanie z odkrycia pola roponośnego niedaleko Ziemi Baffina.
- Potrzebuję przysługi, Ed.

Posey skinął głową w kierunku krzesła.

- Siadaj, siadaj. W czym mogę pomóc?

- Chciałbym dostać pozwolenie na zbadanie prac wydobywczych prowadzonych na wyspie Kungit.

- Masz na myśli wydobycie minerałów prowadzone przez Dorsett Consolidated?

Pitt skinął głową.

- Zgadłeś. NUMA ma powód podejrzewać, że ich technologia wydobywcza ma niszczycielski wpływ na faunę oceaniczną w okolicy Antarktydy.

Posey rzucił mu zaszępiłe spojrzenie.

- Czy ma to związek z australijskim statkiem wycieczkowym i śmiercią pasażerów?

- Jak na tę chwilę związek może być tylko przypadkowy.

- Ale macie podejrzenia?

- Mamy.

- Powinniście porozmawiać z Bogactwami Naturalnymi Kanady.

- Nie sądzę. Jeżeli wasz rząd działa podobnie do mojego, to przeprowadzenie dochodzenia na terenie, który został zgodnie z prawem wydzierżawiony towarzystwu wydobywczemu, wymagałoby uchwały parlamentarnej.

Nawet wtedy Arthur Dorsett mógłby to udaremnić.

- Wygląda na to, że to zaulek bez wyjścia.

- Jest wyjście - powiedział z uśmiechem Pitt. - Pod warunkiem że mi pomożesz.

Posey wyglądał na straconego.

- Nie mogę pozwolić ci węszyć w okolicy kopalni Dorsetta nie mając dowodu na bezprawne niszczenie środowiska.

- Ale możesz mi zlecić zbadanie zachowań łososia kalafioronosego w czasie tarła.

- Tarło łososia już się skończyło, a poza tym nigdy nie słyszałem o łososiu kalafioronosym.

- Ja też nie.

- Nie oszukasz ochrony kopalni. Dorsett zatrudnia najlepszych ludzi, byłych angielskich komandosów i weteranów amerykańskich sił specjalnych.

- Nie muszę wchodzić na teren przez płot. Wszystko, czego potrzebuję, mogę zmierzyć

odpowiednimi przyrządami pływając wokół wyspy.

- W łodzi ratunkowej?

- Myślałem raczej o kajaku w kolorach używanych przez miejscowych.

- Wybij sobie z głowy kajak. Wody wokół wyspy są zdradliwe. Fale idą z Pacyfiku i łomoczą w skalne brzegi z siłą, jakiej sobie nie wyobrażasz.

- Straszysz mnie.

- Jeśli nie dostanie cię morze, dostaną cię ludzie Dorsetta.

- W takim razie wezmę większą łódź i harpun - cynicznie stwierdził Pitt.

- Dlaczego nie wejdiesz na teren z ekipą kanadyjskich specjalistów ochrony środowiska i upewnisz się, czy nie prowadzą czegoś niejasnego?

Pitt pokręcił głową.

- Byłaby to strata czasu. Dorsett zamknąłby kopalnię do naszego odjazdu.

Lepiej zbadać sprawę, kiedy nie są zaalarmowani.

Posey przez kilka sekund patrzył nad ramieniem Pitta w okno i wzruszył ramionami.

- Zgoda. Dam ci zlecenie na zbadanie dla Środowiska Naturalnego Kanady wodorostów wokół wyspy Kungit. Twoim zadaniem będzie sprawdzenie ewentualnych uszkodzeń wodorostów, spowodowanych wpływem wylewanych z kopalni na wyspie chemikaliów. Dobrze brzmi?

- Dziękuję. Jakie dostanę honorarium?

Posey podjął dowcip.

- Przykro mi, ale nie jesteś uwzględniony w budżecie. Może zdołasz mnie przekonać, bym kupił ci w budce na ulicy hamburgera.

- Załatwione.

- Jeszcze coś. Zamierzasz przeprowadzić to sam?

- Jedna osoba nie wygląda tak podejrzanie jak dwie.

- Nie w tym przypadku - ponuro powiedział Posey. - Radzę ci kategorycznie wziąć na przewodnika kogoś z miejscowych Indian. Środowisko Naturalne Kanady przy zapobieganiu zanieczyszczeniu środowiska i ochronie lasów ściśle współpracuje z miejscowymi plemionami. Naukowiec i miejscowy rybak, pracujący wspólnie nad rządowym projektem, powinni uspić wszelkie podejrzenia ochrony Dorsetta.

- Masz na myśli kogoś konkretnego?

- Masona Broadmoora. To bardzo zdolny człowiek. Zatrudniałem go już nieraz.

- Indianin, który nazywa się Mason Broadmoor?

- Pochodzi ze szczepu Haida, zamieszkującego znajdujące się u wybrzeży Kolumbii Brytyjskiej Wyspy Królowej Charlotty. Większość tamtejszych ludzi przed wieloma pokoleniami poprzyjmowała angielskie nazwiska.

Są znakomitymi rybakami i znają wody wokół Kungit.

- Broadmoor też jest rybakiem?

- Nie, jest bardzo twórczym człowiekiem.

- Co tworzy?

Posey wahał się przez chwilę, poprawił leżące na biurku dokumenty i dość głupkowato spojrzął na Pitta.

- Mason Broadmoor rzeźbi słupy totemowe.

Arthur Dorsett - potężny, niepokonany, groźny niczym wypadający na arenę w Sewilli byk, wyszedł - tak jak co dzień - punkt siódma rano z prowadzącej do jego prywatnego apartamentu windy. Kiedy wchodził w drzwi, jego bary muskały framugę i musiał się schylać. Ciało miał zbudowane i owłosione jak zawodowy zapaśnik. Brzydkie, kręcone włosy koloru brudnego piasku okalały jego głowę jak gąszcz jeżyn. Twarz miał rumianą i pałającą tak samo jak czarne oczy, świdrujące otoczenie spod gęstych, krzaczastych brwi. Szedł dziwnym kołyszącym się krokiem, barki podskakiwały mu przy tym i opadały przypominając tłok maszyny parowej.

Skórę miał zgrubiałą i ogorzałą od długich godzin na spalonych słońcem odkrywkach, spędzanych na pracy i poganianiu górników. Ciągle jeszcze mógł nie gorzej od najlepszych robotników rąbać skałę. Olbrzymie wąsiska zwisały obok kącików otwartych nieustannie niczym u moreny ust, ukazujących zęby pożółkłe od wielu lat palenia fajki. Promieniowały z niego lekceważenie i arogancja. Arthur Dorsett był imperatorem i nie kierował się niczym prawem poza swoim własnym.

Unikał publicznego pokazywania się, co nie było łatwe, skoro miał taki majątek i wart czterysta milionów dolarów budynek, który wybudował w Sydney. Zbudowany bez centa bankowego kredytu, podobny do Trump Towers wieżowiec mieścił biura agentów, hurtowników i handlarzy diamentów, pracownie cięcia i szlifowania oraz polernię. Będąc jednym z najważniejszych na świecie producentów diamentów, Arthur Dorsett grał też po cichu ogromną rolę na rynku kamieni kolorowych.

Wszedł zamasyście do wielkiej poczekalni, minął cztery sekretarki nie zauważając ich i ruszył w kierunku umieszczonego w centrum budynku gabinetu. Był pozbawiony okien, Dorsett nie martwił się jednak, że nie ma widoku na rozpościerające się za portem nowoczesne Sydney. Zbyt wielu ludzi, którzy robili z nim interesy, z chęcią wynająłoby snajpera. Otworzył stalowe drzwi i wszedł do surowo, wręcz spartańsko urządzonego pomieszczenia o ścianach grubości dwóch metrów, przypominającego kryptę. Była to centrala dowodzenia kopalniami oraz sala wystawowa, w której zebrano największe i najpiękniejsze brylanty wydobyte w rodzinnych kopalniach i oszlifowane w jego pracowniach. W szklanych gablotach wyłożono na czarnym aksamicie setki niesamowicie pięknych kamieni, których wartość szacowano na miliard dwieście milionów dolarów.

Dorsett do oceny diamentu nie potrzebował suwmiarki, wagi ani lupy. Nie istniał w całej branży nikt, kto miałby lepsze oko. Ze wszystkich nieopisanie pięknych brylantów, wystawionych tylko dla niego, najchętniej oglądał największy, najdoskonalszy i prawdopodobnie najdroższy kamień świata.

Był to nieskazitelny kamień o barwie klasy D, niezwykle blasku, idealnie przejrzysty, mocno odbijający i niezwykle załamujący światło. Spadający prosto z góry promień reflektora wyzwał w klejnocie eksplozję oślepiającego kolistego fioletoworóżowego ognia. Był największym znalezionym na wyspie Gladiator kamieniem i wydobył go na powierzchnię w 1908 roku chiński robotnik. W stanie surowym diament miał tysiąc sto dwadzieścia karatów, szlif zredukował jego ciężar do sześciuset dwudziestu. Został oszlifowany w podwójną rozetę z dziewięćdziesięcioma ośmioma fasetkami. Jeżeli brylanty rzeczywiście podniecają wyobraźnię do marzeń o romantyce i przygodzie, to najbardziej była do tego powołana „Róża Dorsetta”, jak skromnie nazwał kamień. Wartość brylantu była nie do oszacowania. O jego istnieniu wiedziało jedynie kilka osób na świecie i Dorsett z miejsca mógłby wymienić pięćdziesiąt nazwisk ludzi, którzy zamordowaliby za ten kamień bez zmrżenia oka.

Niechętnie odwrócił się i usiadł za biurkiem - monstrem z polerowanej wulkanicznej lawy

z mahoniowymi szufladami. Nacisnął przycisk na konsolce, informując główną sekretarkę, że jest w swoim gabinecie. Natychmiast się odezwała.

- Pańskie córki czekają od godziny.

- Wpuść dzieciaczki - odparł głosem twardym jak kamienie w gablotach.

Rozsiadł się wygodnie, by odebrać paradę i z przyjemnością patrzeć, jak bardzo jego córki się różnią.

Boudicca, pomnikowa gigantka, weszła z pewnością siebie wkraczającej do bezbronnej wsi tygrysicy. Miała na sobie zapinaną na guziki bluzę z dzianiny i pasującą do tego tunikę bez rękawów oraz spodnie w brązowo-beżowe paski, wetknięte w buty do końskiej jazdy z cielecej skóry. Była znacznie wyższa od sióstr, przewyższało ją niewielu mężczyzn. W mało kim widok jej podobnej do Amazonki postaci nie wywoływał strachu. Była nieco niższa od ojca, czarne oczy miała po nim, ale nie były rozgorączkowane tak jak jego, lecz bardziej tajemnicze i nieprzeniknione. Nie miała makijażu, jej rudoblond włosy spadały luźnymi falami aż do bioder. Była bardzo proporcjonalnie zbudowana. Jej mina wyrażała mieszaninę pogardy i złośliwości. Bez trudu dominowała nad wszystkimi, którzy znaleźli się w jej pobliżu - oczywiście z wyjątkiem ojca. Dorsett traktował Boudicę jak syna i z biegiem lat, acz niechętnie, nauczył się akceptować jej ukryte życie, ponieważ jedynym, co tak naprawdę się dla niego liczyło, była jej siła i nieustępliwość.

Deidre niemal wpłynęła do gabinetu, wyprostowana i nonszalancka, elegancka, mimo że miała na sobie prostą bordową sukienkę, skrojoną jak dwurzędowy płaszcz. Choć bez dwóch zdań obdarzona wyjątkową urodą, nie lubiła podkreślać swej kobiecości. Doskonale wiedziała, na co ją stać, rzadko rościła sobie pretensje do tego, co przekraczało jej możliwości. Pomijając delikatne rysy i gibkie ciało, sprawiała wrażenie mężczyzny. Usiadła skromnie obok Boudicki na jednym z trzech krzeseł ustawionych przed biurkiem ojca.

Maeve weszła na końcu, poruszała się wdzięcznie jak trącane delikatną bryzą trzciny na stawie. Miała na sobie biały golf, na tym granatową wełnianą bluzę z suwakiem z przodu i również granatową spódnicę. Jej długie włosy były jasnym światłem, twarz płonęła, oczy rzucały błyskawice. Stała między siostrami, uniosła wysoko podbródek i spojrzała ojcu prosto w oczy. Nie zobaczyła w nich nic poza intrygą i korupcją.

- Oddaj mi chłopców! - Nie była to prośba, lecz żądanie.

- Siadaj, dziewczyno. - Dorsett wyjął z ust fajkę i wskazał nią jak pistoletem.

- Nie! Porwałś mi synów i chcę ich mieć z powrotem albo oddam cię i te dwie dziwki najpierw na pastwę prasy, a potem w ręce policji!

Patrzył bez ruchu, zimno przyjmując wybuch niesubordynacji. Wezwał przez interkom sekretarkę.

- Połącz mnie z Jackiem Fergusonem. - Uśmiechnął się do Maeve. - Pamiętasz Jacka?

- Tego sadystycznego zbira, którego określasz mianem nadzorcy kopalń? Dlaczego pytasz?

- Może cię zainteresuje, że opiekuje się chłopcami.

Złość odpłynęła z twarzy Maeve i została zastąpiona niepokojem.

- Ferguson?

- Trochę dyscypliny jeszcze nigdy żadnym chłopcom nie zaszkodziło.

Maeve zamierzała coś powiedzieć, ale zahuczał interkom i Dorsett uniósł dłoń nakazując ciszę. Skierował usta do mikrofonu.

- Jack, jesteś tam?

- Jestem. - W tle słychać było pracujący ciężki sprzęt.

- Chłopcy są z tobą?

- Tak jest, sir. Kazałem im zbierać urobek, który wypada z wózków.

- Chciałbym, żebyś zaaranżował mały wypadek.

- Nie! - zawyła Maeve. - Boże, oni mają po sześć lat! Nie możesz zamordować własnych wnuków! - Z przerażeniem stwierdziła, że mina Deidre wyraża całkowitą obojętność, a Boudicca wygląda jak granitowy głaz.

- Nie uważam tych bękartów za wnuki! - krzyknął Dorsett.

Maeve opanował chorobliwy strach. Nie miała szansy wygrać. Jej synowie znajdowali się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i jedyną szansą ich uratowania było wyrażenie zgody na wolę ojca. Cierpiała czując własną bezradność. Musiała zyskać na czasie, póki czegoś nie wymyśli. Nie liczyło się nic innego. Gdyby opowiedziała o swojej sytuacji temu człowiekowi z NUMY! Może coś by wymyślił. Niestety, był tysiące kilometrów stąd.

Opadła na puste krzesło, pobita, ale nie pokonana do końca, kipiąca od emocji.

- Czego chcesz? - spytała.

Dorsett rozluźnił się i nacisnął guzik kończąc rozmowę. Głębokie zmarszczki, biegnące od kąćków jego oczu, stały się szersze.

- Powinienem być cię bić, jak byłaś mała.

- Biłeś, kochany tatusiu. Nieraz.

- Koniec sentymentów! - ryknął. - Chcę, żebyś wróciła do Stanów i pracowała z tą ich Agencją Badań Morskich i Podwodnych. Uważnie ich obserwuj.

Dowiedz się, jakimi metodami próbują odkryć przyczynę nie wyjaśnionych zgonów. Kiedy zaczną zbliżać się do rozwiązania, zrób co w twojej mocy, żeby wyprowadzić ich w pole. Sabotuj, morduj, wszystko mi jedno.

Oszukasz mnie, to ci dwaj ulicznicy, których wydałaś na świat, umrą. Spiszysz się jak należy, będą żyć w dostatku.

- Jesteś szalony - jęknęła. - Chcesz zabić krew ze swej krwi, jakby nic to nie znaczyło!

- Wielce się mylisz, siostrzyczko - wtrąciła Boudicca. - Dwadzieścia miliardów dolarów to nie jest nic.

- Jaki szalony plan wymyśliliście?

- Wiedziałybyś, gdybyś nie uciekła - powiedziała Deidre wrogo.

- Tata zamierza doprowadzić do załamania się światowego rynku diamentowego - odparła Boudicca tak nieporuszona, jakby opisywała krój butów.

Maeve patrzyła na ojca.

- To niemożliwe. De Beers i reszta kartelu nigdy nie dopuszczą do drastycznego spadku cen.

Dorsett jakby napęczniał za biurkiem.

- Mimo ich zwykłych manipulacji prawami popytu i podaży, za miesiąc załamanie się rynku będzie faktem, a nastąpi to po zalaniu go kamieniami w cenach, na jakie będzie mogło sobie pozwolić każde dziecko.

- Nawet ty nie możesz rządzić rynkiem.

- Mylisz się, córko. Wyśrubowane ceny brały się zawsze ze sztucznie wywoływanej niskiej podaży. W celu ugruntowania mitu o rzadkości diamentów De Beers wykupywał udziały w nowych kopalniach w Kanadzie, Australii, Afryce i zmniejszał produkcję. Kiedy Rosja otworzyła kopalnie na Syberii i w krótkim czasie zapełniła magazyny tysiącami ton kamieni, De Beers nie mógł pozwolić,

aby dostały się na rynek, podpisał więc z Rosjanami umowę. Dał ich nowemu rządowi kredyty w wysokości miliarda dolarów, które są spłacane diamentami. W efekcie wysokie ceny utrzymały się, co jest po myśli producentów i sprzedawców. Kartel kupił wiele kopalni tylko po to, by je zamknąć. Przykładem jest złożę w Arkansas. Gdyby je eksploatować, mogłaby stamtąd pochodzić ogromna część światowej produkcji, więc De Beers kupił teren i przerobił go na park narodowy, dzięki czemu mogą tam kopać jedynie turyści dla zabawy.

- Używają tych samych metod w stosunku do towarzystw wydobywczych od Tanzanii po Brazylię - stwierdziła Deidre. - Dobrze nas uczyłeś, tato. Znamy wszelkie zakulisowe machinacje kartelu diamentowego.

- Ja ich nie znam - prychnęła Maeve do ojca. - Nigdy nie interesowały mnie diamenty.
- Wielka szkoda, że nie słuchałaś, co tata mówił - powiedziała Boudicca. - Było w twoim interesie słuchać uważniej.

- Co to ma wszystko wspólnego z doprowadzeniem do załamania rynku?
Spadek cen zaszkodzi tak samo Dorsett Consolidated Mining. Jakże możecie odnieść zyski z takiej katastrofy?

- Lepiej będzie, jak się dowiesz po wszystkim. - Dorsett zacisnął poźółkłe zęby na ustniku fajki. - W odróżnieniu od Boudicki i Deidre nie można ufać, że nie zdradzisz.

- Miesiąc. Taki macie plan?
Dorsett oparł się wygodnie, splótł potężne ramiona na piersi i skinął głową.

- Od dwudziestu lat moje załogi pracują na trzy zmiany, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Za miesiąc skompletuję zapas kamieni warty ponad dwadzieścia miliardów dolarów. Z powodu światowej recesji sprzedaż brylantów od pewnego czasu spadła. Ogromne sumy, jakie kartel wydał na reklamę, nie nakręciły sprzedaży. Jeśli wyczucie mnie nie myli, za miesiąc rynek osiągnie dno. Wtedy zamierzam zaatakować.

- Co robisz w kopalniach, że giną ludzie i zwierzęta?
- Rok temu moi inżynierowie wymyślili rewolucyjną metodę wydobywczą.

Żeby przebić się do zawierającej najwięcej diamentów warstwy niebieskiej ziemi, wykorzystują ultradźwięki wysokiej intensywności. Wygląda na to, że skały pod wyspą rezonują i dźwięki przedostają się do wody. Dziwnym trafem fale zbiegają się z innymi falami, pochodzącymi z naszych kopalni niedaleko Syberii, Chile i Kanady. Energie nakładają się na siebie osiągając poziom, który zabija zwierzęta i ludzi. Choć to może nieszczęśliwy zbieg okoliczności, nie mogę pozwolić, aby efekty uboczne pokrzyżowały mi plany.

- Czy ty naprawdę nie rozumiesz?! - wykrzyknęła Maeve. - Nie obchodzi cię fauna i setki martwych ludzi? Ilu musisz jeszcze zabić, nim zaspokoisz swe szaleństwo?

- Skończę, kiedy doprowadzę do załamania się rynku diamentów - zimno odpowiedział Dorsett i odwrócił się do Boudicki. - Gdzie jest jacht?

- Zesłałam z pokładu w Honolulu i posłałam go na wyspę Kungit, a sama poleciałam do domu. Szef ochrony poinformował mnie, że kanadyjska konna robi się podejrzliwa. Latali nad wyspą, robili zdjęcia i zadawali ludziom pytania. Za twoim pozwoleniem, chciałabym wrócić na jacht. Twoi geofizycy przewidują kolejną konwergencję mniej więcej pięćset kilometrów na wschód od Seattle i powinnam tam być, żeby zebrać ewentualne pozostałości i nie dać amerykańskiej Straży Wybrzeża materiału do śledztwa.

- Weź firmowy samolot i wracaj jak najprędzej.

- Wiecie, gdzie zginęli ludzie? - zapytała Maeve nic nie rozumiejąc. - Musicie ostrzec statki, żeby omijały ten rejon!

- Zdradzać światu naszą tajemnicę? To niepraktyczne - odpowiedziała Boudicca. - Poza tym naukowcy taty mogą podać miejsce spotkania się fal jedynie z dużym przybliżeniem.

Maeve wbiła wzrok w siostrę. Usta ściągnęła w napięciu.

- Musicie to wiedzieć dokładnie, inaczej nie wsadzilibyście Deidre na „Polar Queen”, żeby uratowała mi życie.

Boudicca roześmiała się.

- Tak sądzisz?

- Tak mi powiedziała.

- Skłamałam, żeby powstrzymać cię przed wygadaniem się ludziom z NUMY - wyjaśniła Deidre.

- Przepraszam, siostrzyczko, ale inżynierowie taty trochę się pomylili w czasie. Szacowali wystąpienie wypadku trzy godziny wcześniej.

- Trzy godziny wcześniej - wymamrotała Maeve, kiedy dotarła do niej prawda. - Wtedy byłabym na statku.

- I umarłabyś z pozostałymi - powiedziała Deidre, jakby była niezadowolona.

- Chciałaś mnie zabić?!

Ojciec popatrzył na nią, jakby oceniał wydobyty z ziemi kamień.

- Zwróciłaś się przeciwko mnie i swoim siostrze. Nie istniałaś dla nas. Ciągle jeszcze nie istniejesz.

W znajdującej się niedaleko lotniska Shearwater w Kolumbii Brytyjskiej przystani wodolotów unosił się na wodzie truskawkowo-czerwony wodolot ze zrobionym na kadłubie białymi kanciastymi literami napisem: CHINOOK CARGO CARRIERS. Niski, sądząc po minie rzadko się uśmiechający brunet, ubrany w staromodny lotniczy kombinezon, trzymał końcówkę węża w otworze zbiornika paliwa na skrzydle. Spojrzał w dół i zlustrował idącego nabrzeżem mężczyznę z plecakiem i wielką czarną walizką. Przybysz miał na sobie dzinsy i zapinaną na guziki kamizelkę, na głowie zawiadiacko przekrzywiony kapelusz. Kiedy obcy stanął obok samolotu, pilot skinął głową w kierunku kapelusza z szerokim rondem.

- Stetson? - zapytał.

- Nie, to robota Manny'ego Gammage'a z Austin.

Obcy lustrował wodolot. Wyglądał na zbudowany długo przed 1970 rokiem.

- De havilland, prawda?

Pilot potaknął.

- De havilland beaver, jeden z najlepszych samolotów do latania po krzakach, jaki kiedykolwiek zbudowano.

- Stary, ale jary?

- Kanadyjczyk, zbudowany w 1967 roku. Podnosi cztery tony na stu metrach wody. Kochany jako najlepszy wół roboczy Północy. Lata ich jeszcze przynajmniej setka.

- Nieczęsto widuje się teraz silniki w układzie gwiazdzistym.

- Jest pan przyjacielem Eda Poseya? - nagle spytał pilot.

- Tak - odparł Pitt nie przedstawiając się.

- Trochę dziś wietrznie.

- Powiedziałbym, jakieś czterdzieści kilometrów na godzinę.

- Jest pan pilotem?

- Przelatałem kilka godzin.

- Malcolm Stokes.

- Dirk Pitt.

- Rozumiem, że chce pan lecieć do ujścia Black Water.

Pitt skinął głową.

- Ed Posey powiedział mi, że znajdę tam rzeźbiarza słupów totemowych o nazwisku Mason Broadmoor.

- Znam Masona. Jego wieś znajduje się na niższym końcu wyspy Moresby, naprzeciwko Kanału Stewarta Houstona na wyspie Kungit.

- Ile zajmie lot?

- Przez cieśninę Hecate półtorej godziny. Powinniśmy dolecieć na lunch.

- Brzmi nieźle.

Stokes wskazał ręką na czarną walizkę.

- Co pan tam ma? Puzon?

- Hydrofon. Przyrząd do pomiaru podwodnych fal dźwiękowych.

Bez dalszej dyskusji Stokes przestał lać benzynę i odwiesił końcówkę węża na dystrybutor. Pitt zapakował bagaż do wodolotu. Po odcumowaniu i odepchnięciu maszyny stopą od brzegu Stokes ruszył do kokpitu.

- Chce pan lecieć z przodu?

Pitt uśmiechnął się pod nosem. W przedziale bagażowym nie było siedzeń.

- Z chęcią.

Usiadł w fotelu drugiego pilota i zapiął pasy. Stokes uruchomił silnik, zaczął go grać i sprawdzać przyrządy. Cofający się odpływ odsunął wodolot trzy metry od nabrzeża. Po rzuceniu okiem, czy nie zbliżają się inne łodzie albo wodoloty, Stokes pchnął przepustnicę i wzleciał nad Wyspę Campbella. Wziął kurs na zachód. W trakcie nabierania wysokości Pitt jeszcze raz przetrawiał informacje od Hirama Yaegera, które dostał tuż przed odlotem z Waszyngtonu.

Wyspy Królowej Charlotty to grupa około stu pięćdziesięciu wysp, biegnących wzdłuż wybrzeża Kanady na długości ponad stu sześćdziesięciu kilometrów. Powierzchnia wysp wynosi 9584 kilometry kwadratowe, a ludność, składająca się głównie z Indian Haida, którzy zdobyli wyspy w osiemnastym stuleciu - 5890 osób. Indianie Haida robili z miejscowych czerwonych cedrów olbrzymie dłubanki i wielorodzinne, wsparte na palach chaty, wykorzystywali ich drewno także do budowy ogromnych słupów totemowych oraz rzeźbienia masek, skrzyń i naczyń.

Gospodarka wysp opiera się na rybołówstwie oraz wyrębie lasu, częściowo także na wydobyciu miedzi, węgla i rudy żelaza. W 1997 roku zatrudnieni przez Dorsett Consolidated Mining geolodzy odkryli na wyspie Kungit, najbardziej na południe wysuniętej wyspie w łańcuchu, komin kimberlitowy. Próbnym odwiertem przyniósł dziewięćdziesiąt osiem diamentów w pięćdziesięciokilogramowej próbce ziemi. Choć Kungit stanowiła część rezerwatu South Moresby, rząd pozwolił Dorsett Consolidated złożyć wniosek i wydzierżawić wyspę. Dorsett natychmiast rozpoczął intensywne wydobycie i zamknął wyspę dla turystów. Nowojorski dom aukcyjny C. Dirgo & Co. oszacował, że kopalnia może przynieść diamenty wartości dwóch miliardów dolarów.

Stokes przeszkodził Pittowi w dumaniu.

- Teraz, kiedy oddaliliśmy się od ciekawych oczu, może mi pan powie, skąd mam być pewien, że pan to Dirk Pitt z NUMY?

- Jest pan upoważniony, żeby pytać?

Stokes wyjął z kieszeni na piersi skórzany portfelik i otworzył go.

- Kanadyjska Królewska Policja Konna, Wydział Wywiadu Kryminalnego.

- A więc mówię z inspektorem Stokesem.

- Zgadza się.

- Co chciałby pan zobaczyć? Karty kredytowe, prawo jazdy, legitymację NUMY, kartę krwiodawcy?

- Usłyszeć odpowiedź na jedno pytanie dotyczące wraku statku.

- Słucham.

- „Cesarzowa Irlandii”?

Pitt uśmiechnął się i usiadł wygodniej.

- Był to transatlantycki liniowiec firmy Canadian & Pacific, który zatonął w 1914 roku po zderzeniu z węglowcem na Rzece Świętego Wawrzyńca parę kilometrów od miasta Rimouski. Zginęło ponad tysiąc osób, wiele z nich należało do Armii Zbawienia i płynęło do Anglii na

konwent. Statek leży pięćdziesiąt metrów pod wodą, NUMA zbadała go w maju 1989 roku.

- Bardzo dobrze. Musi być pan tym, za kogo się podaje.

- Dlaczego królewska konna? Posey nic nie wspominał o dochodzeniu w sprawie kryminalnej.

- Nic mu do tego. Pańska prośba o możliwość powęszczenia wokół wyspy Kungit przeszła przez moje biurko rutynowo. Jestem członkiem pięcioosobowego zespołu obserwującego kopalnię Dorsetta od dziewięciu miesięcy.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Nielegalna imigracja. Podejrzewamy, że Dorsett przemycił na wyspę Chińczyków do pracy w kopalni.

- Jest pan przedstawicielem kanadyjskiego wymiaru sprawiedliwości, co więc powstrzymuje pana przed wejściem na teren i sprawdzeniem ludziom dokumentów?

- Dorsett kupił sobie dla ochrony działalności wielu urzędników i członków parlamentu. Za każdym razem kiedy próbujemy przeszukać jego nieruchomości, wpadamy na wysoko opłacanych adwokatów, którzy rzucają nam pod nogi kilometry przeszkód. Bez jednoznacznego dowodu nie mamy szans dostać się do środka.

- Czy to dlatego mam dziwne wrażenie, że zostanę wykorzystany?

- Pańskie pojawienie się było bardzo szczęśliwe, panie Pitt. Przynajmniej dla nas.

- Niech zgadnę. Oczekujecie, że dostanę się tam, gdzie wam się nie udało.

- Cóż, jest pan Amerykaninem. Jeżeli zostanie pan złapany na wdarciu się na teren prywatny, będzie można pana najwyżej deportować. Dla nas by się to skończyło skandalem politycznym. Zarówno ja, jak i moi koledzy musimy doczekać do emerytury.

- Oczywiście - sardonicznie skwitował Pitt.

- Z radością posłucham polecenia powrotu na lądowisko w Shearwater.

- Chętnie poleciałbym połowić łososie, ale niestety giną ludzie. Przyleciałem, żeby dowiedzieć się czy i - ewentualnie - jak działania Dorsett Consolidated są za to odpowiedzialne.

- Poinformowano mnie o statkach trafionych przez nieznaną czynnik akustyczny. Wygląda na to, że choć z innych powodów, ale szukamy tego samego.

- Dowcip polega na tym, żeby przyłapać Dorsetta, nim zginą kolejni ludzie.

- Mogę zapytać o pański plan?

- Nie jest zbyt wyrafinowany. Chcę wynająć Masona Broadmoora, żeby zawiózł mnie na wyspę.

Oczywiście jeżeli zechce.

- Na ile znam Masona, będzie zachwycony. Mniej więcej rok temu jego brat łowił w pobliżu wyspy i jedna z łodzi strażniczych Dorsett Consolidated kazała mu odpłynąć. Ponieważ jego rodzina łowi w tym miejscu od pokoleń, odmówił. Dość paskudnie go pobili i spalili mu łódź. Kiedy zaczęliśmy to badać, ludzie Dorsetta zapewniali, że łódź Broadmoora wybuchła i uratowali go z morza.

- Jego słowo przeciwko dwudziestu.

- Ośmiu, ale rozumie pan, o co chodzi.

- Teraz pańska kolej. Jak mam panu pomóc?

Stokes pokazał przez okno na zarośniętą drzewami wyspę, przeciętą w środku wielką brudną blizną.

- Wyspa Kungit. Wycięli pas do lądowania samolotów z ludźmi i sprzętem.

Zasymuluję awarię silnika i wyląduję. Kiedy będę majstrować w silniku, pan uraczy ochronę

opowieściami o swoich podmorskich wyczynach.

Pitt zdziwiony popatrzył na Stokesa.

- Co ma pan nadzieję w ten sposób osiągnąć poza zdenerwowaniem ochroniarzy Dorsetta?

- Mam powody wylądować na wyspie. Po pierwsze, chcę dać możliwość ukrytym w pływakach kamerom zrobienia kilka bliskich ujęć przy lądowaniu i starcie.

- Odnoszę dziwne wrażenie, że nie lubią nieproszonych gości. Na jakiej podstawie uważa pan, że nie zaczną bronić własności prywatnej i strzelać?

- To jest powód numer dwa. Moi zwierzchnicy mają nadzieję, że coś takiego nastąpi. Wtedy będą mogli wpaść na teren kopalni i pozamykać łobuzów.

- Oczywiście.

- Powód trzeci jest taki, że mamy w kopalni tajnego agenta i nadzieję, że zdoła przekazać mi wiadomość, kiedy będę na dole.

- Same przebiegłe intrygi.

- A tak na poważnie, żeby nie doszło do najgorszego, to zanim zaoferują nam papierosa i opaskę na oczy, powiem ludziom Dorsetta, że jestem z kanadyjskiej konnej. Nie będą na tyle głupi, żeby ryzykować najazd policji, szukającej jednego ze swoich najlepszych ludzi.

- Poinformował pan przełożonych, że zamierzamy wdrzeć się na teren kopalni?

Stokes wyglądał na zranionego.

- Każde zniknięcie trafia w odpowiednim czasie do prasy. Nie ma się czym martwić, Dorsett nie lubi dostawać się na łamy prasy.

- Kiedy rozpoczynamy realizować to cudo planowania kanadyjskiej konnej?

Stokes ponownie wskazał palcem na wyspę.

- Powinienem zacząć schodzić za pięć minut.

Pitt nie miał nic do roboty poza podziwianiem widoków. Widział w dole stożek wulkaniczny z centralnie umiejscowionym kominem z niebieskiej ziemi zawierającej diamenty. Nad miejscem wydobywania była zamontowana konstrukcja ze stalowych dźwigarów, z niej zwieszały się setki stalowych lin, na których wyciągano urobek. Pojemniki podciągane były do liny transportowej i przenoszone jak wagoniki kolejki górskiej do budynków, gdzie oddzielano diamenty od bezwartościowej gliny. Odpady odwożono na otaczającą teren kopalni potężną podkowiastą hałdę. Usypany z gliny wał był równocześnie barierą uniemożliwiająca komukolwiek dostanie się do kopalni lub wydostanie się z niej, co Pittowi wydało się dziwne, bowiem jedyną drogą dotarcia na teren kopalni był tunel wychodzący na wąską drogę, która prowadziła do znajdującej się w niewielkiej zatoce przystani. Pitt wiedział z mapy, że zatoka nosi nazwę Rose Harbour. Patrzył, jak od nabrzeża odbija holownik ciągnący za sobą pustą barcę i kieruje się w kierunku kontynentu.

Między hałdą a górą rozrzuconych było kilka budynków z elementów prefabrykowanych, w których musiały się znajdować biura oraz kwatery górników. Na zamkniętym terenie, mającym średnicę dobrych dwóch kilometrów, znajdowało się też lądowisko i hangar. Z powietrza całe przedsięwzięcie wyglądało jak wycięta w wyspie gigantyczna blizna.

- Spory dziób po ospie - powiedział Pitt.

Nie spoglądając nawet w dół, Stokes odrzekł:

- Z tego dzioba po ospie, jak to pan nazwał, biorą się marzenia.

Pilot wypuścił ze zbiornika paliwo i wkrótce głodny potężny czterystu-pięćdziesięciokonny silnik R-985 Pratt i Whitney zaczął kasłać i pluć ogniem. Niemal równocześnie z głośnika rozległo się

ostrzeżenie przed wejściem w obszar powietrzny prywatnej posiadłości.

- Mam zatkaany dopływ paliwa i muszę skorzystać z waszego pasa do lądowania awaryjnego.

Przepraszam za kłopot, ale nic nie poradzę - powiedział Stokes i wyłączył radio.

- Nie lubi pan spadać z nieba nie zapowiedziany? - spytał Pitt.

Stokes koncentrował się na lądowaniu, co przy kaszłym i szarpającym samolotem silniku nie było takie łatwe, nic więc nie odpowiedział. Wypuścił umieszczone w pływakach niewielkie kółka, starał się lecieć równoległe z lądowiskiem. Wodolotem szarpnął podmuch wiatru i Stokes przesadnie skontrolował. Patrząc na nie mającego pełnego panowania nad maszyną Stokesa, Pitt nieco zeszywniał. Policjant umiał unosić się w powietrzu, ale na pewno nie był doświadczonym pilotem. Lądowanie było twarde i mało brakowało, a wodolot by przekoziołkował.

Zanim maszyna dokołowała na wysokość hangaru, otoczyło ich mniej więcej dziesięciu ludzi w granatowych mundurach polowych, trzymających w dłoniach pomalowane na ochronne barwy karabinki automatyczne M-16 z tłumikami. Na jeden z pływaków wszedł wysoki, ponury, mający ze trzydzieści lat mężczyzna w bojowym hełmie. Otworzył luk, wszedł do wodolotu i ruszył w kierunku kokpitu. Pitt kątem oka dostrzegł, że ochroniarz trzyma dłoń na spoczywającym w kaburze dziewięciomilimetrowym automatycznym pistolecie.

- To teren prywatny i wtargnęliście bez pozwolenia - powiedział, idealnie symulując grzeczność.

- Przepraszam, ale zatkał mi się filtr paliwa - tłumaczył Stokes. - Drugi raz w tym miesiącu. Co za cholerstwo sprzedają nam teraz jako benzynę?

- Jak szybko możecie dokonać naprawy i odlecieć?

- Góra w ciągu dwudziestu minut.

- Proszę się pospieszyć - odparł ochroniarz. - Będziecie musieli pozostać przy maszynie.

- Czy mógłbym skorzystać z toalety? - spytał grzecznie Pitt.

Ochroniarz niechętnie skinął głową.

- Jest w hangarze. Jeden z moich ludzi będzie ci towarzyszył.

- Nawet pan nie wie, jaki jestem wdzięczny - powiedział Pitt, jakby umierał. Wyskoczył z wodolotu i ruszył w kierunku hangaru, cały czas czując na piętach opiekuna. W hangarze odwrócił się pytając, w które drzwi wejść. Oczywiście od razu rozpoznał drzwi toalety, miał jednak w ten sposób okazję rzucić okiem na stojący w hangarze samolot.

Gulfstream V, najnowszy produkt w zakresie prywatnych odrzutowców dla bogatych biznesmenów, był imponujący. W odróżnieniu od wcześniejszego learjeta - niezwykle chętnie kupowanego i używanego przez bogatych i sławnych - którego wewnątrz ledwie wystarczało do swobodnego obrócenia się, G V był przestronny, dawał pasażerom mnóstwo miejsca do rozpychania się łokciami, i wystarczająco wysoki, żeby większość mężczyzn mogła stać w nim wyprostowana. Napędzana dwoma silnikami odrzutowymi BMW albo Rolls-Royce'a maszyna mogła lecieć z prędkością nieco ponad dziewięciuset kilometrów na godzinę na wysokościach do jedenastu tysięcy metrów i miała zasięg ponad jedenaście tysięcy pięćset kilometrów.

Pitt pomyślał, że Dorsett nie oszczędza na transporcie - samolot taki kosztował ponad trzydzieści trzy miliony dolarów.

Tuż przed bramą hangaru stała para czarno-niebieskich helikopterów, wyglądających jak przycupnięte, groźne i ponure drapieżniki. Pitt rozpoznał model 530 MD Defender firmy McDonnell Douglas, helikopter wojskowy o szczególnie cichym locie i wykazujący się wielką stabilnością przy wykonywaniu niekonwencjonalnych manewrów. Pod kadłubem miały zamontowane dwa karabiny

maszynowe kalibru 7,62 milimetra, spod kokpitu wystawała antena urządzenia do namierzania ruchomych celów. Bez dwóch zdań były to urządzenia używane przez oddziały zwiadowcze, specjalnie zmodyfikowane do poszukiwania przemytników diamentów i innych niepożądanych gości.

Ochroniarz kazał Pittowi po wyjściu z toalety iść do biura. Mężczyzna za biurkiem był niski, chudy, ustrojony w elegancki garnitur, słodziutki, zimny i sataniczny. Odwrócił wzrok od monitora komputera i wbił go w Pitta. Jego głęboko osadzone oczy pozostały szare i nieprzeniknione. Pitt uznał, że to typ obmierzły i odpychający.

- Nazywam się John Merchant i jestem szefem ochrony tego obiektu - odezwał się z australijskim akcentem. - Czy mógłbym zobaczyć pański dowód tożsamości?

Pitt bez słowa podał mu legitymację NUMY i czekał.

- Dirk Pitt. - Merchant obracał nazwiskiem w ustach jak twardym kamykiem. - Dirk Pitt. Czy to pan jest tym gogusiem, który kilka lat temu znalazł na pustyni Sonora skarb Inków?

- Byłem tylko jednym z wielu członków ekipy.

- Dlaczego przyleciał pan na wyspę Kungit?

- Niech pan lepiej pyta pilota. To on wylądował w waszej drogocennej kopalni. Byłem jedynie pasażerem.

- Malcolm Stokes jest inspektorem Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej.

Jest także pracownikiem Wydziału Wywiadu Kryminalnego. - Merchant pomachał w kierunku komputera. - Mam o nim pełne dane. Pan jest niejasny.

- Jest pan bardzo dokładny i dzięki waszym dobrym kontaktom z rządem kanadyjskim z pewnością wie pan, że przybyłem tu, aby zbadać wpływ zanieczyszczeń chemicznych na miejscową populację wodorostów i ryb.

Może zechce pan rzucić okiem na moje dokumenty.

- Mam już kopie.

Pitt normalnie by uwierzył Merchantowi, ale znał Poseya na tyle, by wiedzieć, że zachowa wszystko w tajemnicy. A więc Merchant kłamał. Była to stara sztuczka, wymyślona przez gestapo, polegająca na daniu do zrozumienia, że przesłuchujący i tak już o wszystkim wie.

- W takim razie dlaczego pan pyta?

- Żeby sprawdzić, czy pan lubi nieścisłości.

- Jestem podejrzany o przestępstwo?

- Moim zadaniem jest przechwytywanie przemytników diamentów kradzionych w naszej kopalni, nim zdążą je dostarczyć do europejskich i bliskowschodnich handlarzy. Ponieważ przybył panie proszony, muszę wyjaśnić pańskie motywy.

Pitt obserwował w szybach stojącej przed nim szafki odbicie stojącego mu za plecami ochroniarza.

- Ponieważ wie pan, kim jestem, i twierdzi, że posiada wiarygodne dokumenty określające cel mojego przybycia na Wyspy Królowej Charlotty, nie może pan twierdzić, że jestem przemytnikiem diamentów. - Pitt wstał. - Miło się z panem rozmawiało, ale nie ma powodu, żebym dłużej marnował tu czas.

- Zostanie pan chwilowo aresztowany - powiedział Merchant obojętnym tonem.

- Nie ma pan do tego prawa.

- Ponieważ wtargnął pan na teren prywatny pod fałszywym pretekstem, mam wszelkie prawo pana zatrzymać.

„Niedobrze” - pomyślał Pitt. Jeżeli Merchant zacząłby grzebać głębiej i odkrył jego powiązanie z siostrami Dorsett i „Polar Queen”, wtedy jego obecności nie wyjaśni nawet najlepsze kłamstwo.

- A co ze Stokesem? Ponieważ wie pan, że jest policjantem, dlaczego nie przekaże mnie pan w jego ręce?

- Przekażę pana jego przełożonym - stwierdził wesoło Merchant - ale dopiero kiedy dokładnie zbadam całą sprawę.

Pitt nie miał wątpliwości, że nie pozwoli mu opuścić wyspy żywemu.

- Czy Stokes odejdzie wolno? - zapytał.

- Natychmiast po tym jak skończy niepotrzebną naprawę swojego samolotu.

To wielka przyjemność obserwować jego nieudolne próby inwigilowania nas.

- To jasne, że zawiadomi odpowiednich ludzi o moim aresztowaniu.

- Przedwczesna konkluzja - sucho stwierdził Merchant.

Na zewnątrz rozległ się kaszlący dźwięk zapalającego silnika. Stokes został jednak zmuszony do odlotu bez swojego pasażera. Pitt zdawał sobie sprawę, że zostały mu jedynie sekundy. Zauważył na biurku popielniczkę pełną niedopałków i założył, że Merchant pali. Uniósł dłonie obronnym gestem.

- Jeśli już mam być zatrzymany wbrew woli, to czy mógłbym zapalić?

- Mógłby pan - powiedział Merchant przesuwając popielniczkę po blacie. - Nawet zapalę z panem.

Pitt przestał palić wiele lat temu, ale zrobił gest, jakby chciał sięgnąć do kieszonki na piersi. Zaciśnął prawą dłoń w pięść i objął ją lewą. Płynnym ruchem, pociągając jedną i popychając drugą ręką, wbił stojącemu za nim ochroniarzowi łokieć w brzuch. Trafiony zgiął się gwałtownie w pół, wydając z siebie głęboki jęk.

Reakcja Merchanta była godna podziwu. Wypracowanym doskonale ruchem wyciągnął dziewiątkę z kabury, równocześnie ją odbezpieczając, zanim jednak skierował muszkę, gdzie zamierzał, przed jego nosem znalazł się wylot lufy karabinka ochroniarza, tyle że w rękach Pitta. Szef ochrony miał wrażenie, że patrzy w tunel bez światła na końcu. Powoli odłożył pistolet na biurko.

- Nie wyjdzie to panu na dobre - syknął jadowicie.

Pitt wziął pistolet i wrzucił go do kieszeni płaszcza.

- Przepraszam, że nie mogę zostać na obiad, ale mój kierowca właśnie odjeżdża.

Z tymi słowami wybiegł z biura i popędził przez hangar. Wrzucił karabinek do kontenera na śmieci, otworzył drzwi, zwolnił i truchtem przebiegł przez kordon strażników. Przyglądali mu się podejrzliwie, ale musieli uznać, że ich dowódca pozwolił gościowi odejść. Nie poruszyli się, kiedy Stokes otworzył przepustnicę i wodolot zaczął się toczyć po pasie startowym. Pitt wskoczył na pływak, pokonując opór pchanego przez śmigło powietrza otworzył luk i wskoczył do przedziału bagażowego. Usiadł w fotelu drugiego pilota.

- Boże drogi! - wykrzyknął zdumiony niebotycznie Stokes. - Skąd pan się wziął?

- Drogi dojazdowe były zapchane - odpowiedział Pitt łapiąc oddech.

- Zmusili mnie, żebym odleciał bez pana.

- Co z pańskim tajnym agentem?

- Nie pokazał się. Wokół samolotu było za dużo ochroniarzy.

- Nie ucieszy pana wiadomość, że szef ochrony Dorsetta, wstrętny mały gnojek, który nazywa się John Merchant, wywęszył, że jest pan gliniarzem z wywiadu kryminalnego.

- No to tyle by było z moim kamuflażem jako pilot nadleśnictwa.

Pitt odsunął boczną szybę, wystawił głowę na zewnątrz i spojrzął za siebie. Ochroniarze kręcili się jak oszalałe mrówki. Nagle zobaczył coś, od czego skurczył mu się żołądek.

- Chyba się wściekł.

- Coś pan powiedział?

Pitt zasunął szybę.

- No, w końcu pobiłem ochroniarza i ukradłem szefowi ochrony pistolet.

- Wystarczy.

- Lecą za nami helikopterem bojowym.

- Cholera! Jest dobre siedemdziesiąt kilometrów na godzinę szybszy od tej ruiny. Załatwią nas długo przed Shearwater.

- Nie mogą zestrzelić nas na oczach świadków. Jak daleko do najbliższej wsi na wyspie Moresby?

- To będzie wieś Masona Broadmoora. Znajduje się u ujścia Black Water, mniej więcej sześćdziesiąt kilometrów stąd, dokładnie na północ. Jeżeli dotrzemy tam pierwsi, będę mógł wylądować między łodziami rybackimi.

Czując, jak do krwi dostaje mu się więcej adrenaliny, Pitt popatrzył płonącymi oczami na Stokesa.

- No to dawaj pan.

20

Pitt i Stokes szybko zrozumieli, że są na przegranej pozycji. Nie mieli wyboru, musieli polecieć na południe, dopiero potem będą mogli skrócić o sto osiemdziesiąt stopni w kierunku wyspy Moresby. McDonnell Douglas ochroniarzy wznieśli się pionowo, skręci na północ i przetnie drogę powolnemu samolotowi, jeszcze nim pościg zdąży się rozkręcić. Prędkościomierz de Havillanda pokazywał maksymalną prędkość trzysta kilometrów na godzinę, ale kiedy przecinali wąski przesmyk oddzielający wyspę od następnej, Stokes miał wrażenie, że lecą szybowcem.

- Gdzie śmigłowiec? - spytał nie podnosząc wzroku znad znajdującej się jedynie sto metrów niżej wody i zbliżających się porośniętych cedrami i sosnami wzgórz.

- Pół kilometra za nami i gwałtownie się zbliża - odpowiedział Pitt.

- Jeden?

- Prawdopodobnie uznali, że załatwienie nas to kaszka z mlekiem i zostawili drugi w domu.

- Biorąc pod uwagę większy ciężar i opór powietrza, jaki stawiają pływaki, mamy podobną moc.

- Ma pan w tym antyku jakąś broń?

- To niezgodne z regulaminem.

- Szkoda, że nie schował pan w pływaku karabinu.

- W odróżnieniu od amerykańskich stróżów porządku publicznego, którzy myślą jedynie o zabieraniu broni, my nie palimy się do machania nią, póki nie pojawi się zagrożenie życia.

Pitt popatrzył na niego nie dowierzając.

- A jak określiliby pan ten burdel?

- Nieprzewidziana komplikacja - ze stoicyzmem odparł Stokes.

- W takim razie nie mamy nic przeciwko dwóm karabinom maszynowym prócz dziewięćmilimetrowego pistoletu automatycznego, który udało mi się ukraść - z rezygnacją stwierdził Pitt. - Kilka lat temu zniszczyłem helikopter wrzucając mu w łopaty wirnika ponton.

Stokes odwrócił się i wybałuszył na Pitta oczy, niezdolny do pojęcia jego spokoju.

- Przepraszam, ale w przedziale bagażowym są tylko kamizelki ratunkowe.

- Ustawiają się po naszej prawej do strzału. Kiedy dam znak, niech pan opuści klapy i przymknie przepustnicę.

- Jeśli opuszczę samolot na tej wysokości, nigdy się nie wzniesiemy.

- Jak nie, to wpadniemy w drzewa z kulą w głowie i spalimy się oblani benzyną.

- Tak na to jeszcze nie patrzyłem.

Pitt przyglądał się zajmującemu pozycję na ich ogonie niebiesko-czarnemu helikopterowi, który zawisł jak obserwujący gołębia jastrząb. Był tak blisko, że Pitt widział twarze pilota i drugiego pilota. Obaj się uśmiechali. Pitt odsunął boczną szybkę, pistolet trzymał jednak tak, by go nie widzieli.

- Żadnego ostrzeżenia przez radio? - nie mógł uwierzyć Stokes. - Nie żądają, byśmy wrócili do kopalni?

- To nie zabawa. Nie zabijaliby inspektora z konnej, gdyby nie mieli rozkazów od kogoś wysoko postawionego w Dorsett Consolidated.

- Nie mogę uwierzyć. Jak mogą sądzić, że ujdzie im to na sucho?

- To pewne jak dwa a dwa cztery, że zaraz zaatakują - spokojnie po wiedział Pitt patrząc na mającego prowadzić ostrzał drugiego pilota. - Uwaga. - Nie patrzył z optymizmem w przyszłość. Ich jedyną nadzieją mogło być to, że 530 MD defender jest wyposażony z myślą o zwalczaniu celów na ziemi, a nie do walki powietrznej.

Stokes trzymał kolumnę sterowniczą między kolanami, jedną rękę położył na manetkach klap, drugą na dźwigni sterowania przepustnicą. Sam był zadziwiony, ile nadziei pokłada w poznanym dwie godziny temu mężczyźnie, ale odpowiedź była prosta. Przez wszystkie lata pracy widział niewielu ludzi, którzy tak by panowali nad teoretycznie beznadziejną sytuacją.

- Teraz! - krzyknął Pitt, równocześnie unosząc pistolet i strzelając.

Stokes maksymalnie opuścił lotki i przymknął przepustnicę. Stary beaver, pozbawiony ciągu silnika i z gwałtownie zwiększonym oporem czołowym, przyhamował, jakby wpadł w chmurę kleju.

Niemal w tym samym momencie rozszczękał się karabin maszynowy i kule zabębniły o skrzydło. Zadudnił też automat Pitta. Stokes szarpnięciem tracącym lotność samolotem pomyślał, że to nie walka, lecz spotkanie cherlawego licealisty z reprezentacją Ameryki w wolnej amerykance. Nagle, z niewiadomego powodu, strzały umilkły. Dziób wodolotu opadał jak kamień i Stokes nieco otworzył przepustnicę, by nie stracić do końca panowania nad maszyną.

Wyrównując i nieco przyspieszając, rzucił szybkie spojrzenie w bok przez okienko. Helikopter odpadł z kursu. Szyba przed drugim pilotem była podziurawiona kulami, on sam leżał bezwładnie zwalony na bok. Stokes był mocno zdziwiony, że beaver reaguje na stery. Jeszcze bardziej zdziwiła go jednak mina Pitta - mocno zdegrustowana.

- Cholera! - mruknął Pitt. - Spudłowałem!

- O czym pan gada? Trafił pan drugiego pilota.

Pitt popatrzył wściekły.

- Celowałem w głowicę wirnika.

- Zgranie w czasie było idealne - pochwalił Stokes. - Skąd pan wiedział, kiedy dać mi sygnał i zacząć strzelać?

- Pilot przestał się uśmiechać.

Stokes dał spokój. Jeszcze nie uciekli tajfunowi. Do wsi Broadmoora mieli jeszcze trzydzieści kilometrów.

- Robią następne podejście - poinformował Pitt.

- Nie ma sensu robić tego samego uniku.

Pitt skinął głową.

- Też tak uważam. Będą się tego spodziewać. Tym razem niech pan zrobi immelmanna.

- Co to jest?

Pitt popatrzył uważnie.

- Nie wie pan? Ile pan przelatał?

- Dwadzieścia jeden godzin.

- No to pięknie. Robi się pólpetłę w górę, w najwyższym punkcie obraca się z pleców na brzuch i leci w przeciwnym kierunku.

- Wątpię, czy do tego dojrzałem.

- Konna nie ma doświadczonych pilotów?

- Żaden nie był akurat wolny. Sądzi pan, że trafi tym razem w coś mogącego poważnie uszkodzić helikopter?

- Tylko jeśli będę miał wielkie szczęście. Zostały mi trzy strzały.

Pilot śmigłowca nie wahał się dłużej. Skoczył do ataku bezpośredniego z góry i nieco z boku bezradnej zdobyczy. Tak znakomicie przeprowadzony atak nie pozostawiał Stokesowi wielkiej swobody manewru.

- Teraz! - wrzasnął Pitt. - Opuść pan nos i rób pętlę!

Ledwie Stokesowi udało się wspiąć na szczyt pętli i zacząć przygotowywać do przewrócenia na brzuch, kiedy w cienką aluminiową powłokę uderzyła seria. Przednia szyba rozprysnęła się na tysiąc kawałków, kule załomotały w przyrządy. Pilot defendera zaczął przenosić ogień od kokpitu na tył. Był to błąd - należało zniszczyć silnik baevera.

Pitt wystrzelił ostatnie trzy naboje i rzucił się na podłogę zwinięty w kulkę, by stanowić jak najmniejszą powierzchnię do trafienia. Było to oczywiście działanie iluzoryczne.

Należy zaznaczyć, że Stokes zakończył immelmanna, co prawda późno, ale wodolot oddalał się od helikoptera. Pitt pokręcił ze zdziwieniem głową i zaczął się obmacywać szukając ran. Poza paroma drobnymi ranami ciętymi twarzy, spowodowanymi fruującymi okruciami pękniętej przedniej szyby, był nietknięty. Baever leciał równo, silnik pracował równomiernie. Był jedyną częścią wodolotu nie posiekaną przez kule. Pitt ostro spojrzał na Stokesa.

- Wszystko w porządku?

Stokes powoli się przekręcił i spojrzał na Pitta zachodzącymi mgłą oczami.

- Skurwiele chyba przestrelili mi emeryturę - mruknął. Zakasłał i z ust wyprysnęło mu kilka kropel krwi, które spłynęły po brodzie na pierś. Opadł do przodu i zawisł nieprzytomny na pasach.

Pitt chwycił koło sterowe drugiego pilota, zarzucił wodolotem o sto osiemdziesiąt stopni i wszedł na kurs na wieś Brodamoora. Dzikim manewrem zdezorientował pilota helikoptera i kule rozprysły się w powietrzu tuż za ogonem wodolotu.

Starł z kącika oka krew i zrobił bilans. Prawie cały wodolot był posiekany kulami, ale przyrządy działały, powierzchnie nośne nie były zniszczone, a wielki silnik terkotał wszystkimi cylindrami.

Co teraz?

Pierwsze co przeleciało mu przez głowę, to spróbować staranować helikopter. Pociągnąć go

w dół ze sobą... mógł jednak tylko pomarzyć o dopadnięciu helikoptera. Defender był w powietrzu znacznie zwinniejszy od niezdarnego, obciążonego wielkimi pływakami beavera. Wodolot miał z nim takie same szanse co kobra z mangustą, a mangusta nigdy nie przegrywa z wolniejszą kobrą. Pokonać ją może dopiero grzechotnik. Przez myśl Pitta przemknęła szalona myśl i cudownym trafem okazała się trafna. Mniej więcej kilometr w przodzie, nieco w dole, Pitt ujrzał skalny występ.

Do występu prowadziła przecinka między wysokimi jodłami. Zanurkował między drzewa, a było tu tak wąsko, że końcami skrzydeł muskał igły w górnych gałęziach. Musiało to wyglądać na desperacki akt samobójczego szaleństwa. Manewr zmylił pilota defendera, który przerwał trzeci atak i leciał nad wodolotem, czekając na pewną katastrofę.

Pitt otworzył maksymalnie przepustnicę i z całej siły trzymał koło sterowe. Wpatrywał się uważnie w majaczący w przodzie skalny występ. Prąd powietrza chlastał przez rozbitą przednią szybę, tak że musiał nieco odwrócić głowę. Na szczęście podmuch zwiewał w bok skapującą z czoła krew i lecące z oczu łzy.

Wodolot leciał przecinką. Pittowi nie wolno się było pomylić, nie wolno było przecenić warunków. Będzie musiał w odpowiednim ułamku sekundy zrobić odpowiedni ruch. Skały zbliżały się do wodolotu, jakby coś popychało je z tyłu. Pitt widział je ze wszystkimi szczegółami - szarobrązowe kanciaste głązy z czarnymi smugami. Nie musiał patrzeć na wysokościomierz, by wiedzieć, że wskazuje zero, ani na prędkościomierz, by wiedzieć, że wskazówka dawno weszła w czerwoną strefę. Staruszek pędził ku zniszczeniu ze wszystkich sił.

- Niżej! - wykrzyknął w huczący przez otwór po wybitej szybie wiatr. - Dwa metry niżej!

Ledwie miał czas wyrównać i już był przy skałach. Pchnął kolumnę sterowniczą dokładnie wykalkulowanym ruchem, wystarczającym jedynie na takie podniesienie dziobu wodolotu, by końce śmigła nie zawadziły o skałę. Rozległ się trzask metalu - pływaki trafiły w skałę i oderwały się zgodnie z planem. Beaver wyprysnął w górę ruchem tak eleganckim jak jastrząb, który wyrwał się z pęt. Pozbawiony ciężaru pękatych pływaków i pchnięty niemal dwukrotnie zwiększoną siłą silnika, antyczny samolot zyskał natychmiast na sterowności i przyspieszył niemal sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Reagował na każdą komendę, pożerał przestrzeń bez śladu poprzedniej ociężałości. Walczył o wysokość.

„Teraz pokażę ci immelmanna” - pomyślał Pitt z szatańskim uśmiechem na ustach. Wzniósł maszynę w półpętli, zrobił pół beczki i ruszył prosto na helikopter.

- Pisz testament, frajerze! - zawył. - Nadlatuje Czerwony Baron!

Pilot helikoptera za późno odczytał intencje Pitta. Nie miał jak zrobić uniku, nie miał gdzie się schować. Ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwał, był atak w wykonaniu dogorywającego wodolotu, który zbliżał się do niego na kursie kolizyjnym, rycząc pędził z prędkością, jakiej nikt by się po takim antyku nie spodziewał. Pilot helikoptera zaczął szarpać maszynę w gwałtownych manewrach, ale kierujący wodolotem dokładnie je przewidywał i dostosowywał kurs. Pilot helikoptera skierował dziób prosto nad nadlatującego beavera, żeby zmieść nadszarpniętego przeciwnika kulami, zanim dojdzie do nieuniknionego zderzenia.

Pitt zauważył ruch śmigłowca, zobaczył wylatujące ogniki i usłyszał grzechot kul o potężny motor. Spod osłony silnika chlusnął olej i spłynął na rury wydechowe, przez co za wodolotem poszła smuga niebieskiego dymu. Pitt podniósł dłoń, żeby osłonić oczy od pryskającego gorącego oleju.

W pamięć zapadł mu na zawsze wyraz oczu pilota defendera, który ujrzał milisekundę przed zderzeniem. Było w nich ponure pogodzenie się z losem.

Śmigło i silnik wodolotu uderzyły helikopter z boku, tuż za kokpitem. W infernie rozpryskującego się metalu odpadł tylny wirnik śmigłowca i pozbawiona pionowej stabilizacji maszyna zaczęła gwałtownie wirować w poziomie. Po kilkakrotnym obróceniu się wpadła w korkociąg i poleciała jak kamień ku odległemu o pięćset metrów gruntowi. Inaczej niż na filmach, nie zapaliła się od razu, lecz jedynie zgmiotła w poskręcanej, tłącą się kupkę śmiecia. Minęły niemal dwie minuty, nim wrak zaczęły lizać języki ognia. Dopiero wtedy wybuchł.

Kawałki śmigła beavera rozprysnęły się na wszystkie strony. Osłona silnika oderwała się i poleciała między drzewa. Silnik stanął tak szybko, jakby ktoś przekręcił kluczyk. Pitt starł olej z oczu, ale i tak widział jedynie czubki drzew. Wodolot zwalniał i zaczął bujać się na boki. Pitt zaciągnął mocniej pasy w oczekiwaniu zderzenia. Przyrządy ciągle jeszcze działały i podjął ostatnią próbę opadnięcia na szczyty drzew.

Niemal mu się udało, niestety koniec prawego skrzydła uderzył w pień siedemdziesięciometrowego cedru i wodolotem rzuciło o dziewięćdziesiąt stopni. Pozbawiona sterowania i nośności maszyna wpakowała się w ścianę drzew. Lewe skrzydło owinęło się o kolejny cedr i zostało oderwane. Czerwony kadłub zakryła kotara sosnowych igieł. W przodzie wyrósł półmetrowej grubości pień jodły. Piasta śmigła trafiła jodłę w sam środek i przewierciła się przez nią na wylot. Impet wyrwał silnik z leża, górna część ściętej jodły spadła na przekrzywiony kadłub i oderwała ogon. Resztką wodolotu opadła na mięciutką jak kompost ziemię i zamarła.

Przez następne kilka minut było cicho jak na cmentarzu. Pitt siedział bez ruchu. Patrzył błędnym wzrokiem przez dziurę, gdzie jeszcze niedawno była przednia szyba. Dotarło do niego, że zniknął silnik, i zastanawiał się, gdzie się mógł podziać. Powoli rozjaśniało mu się w głowie i przechylił się ku Stokesowi.

Policjant zakasłał, po chwili słabo pokręcił głową i okazał pierwsze oznaki powrotu do przytomności. Otworzył oczy i wbił wzrok w zasłaniające przyrządy iglaste gałęzie.

- Jak dostaliśmy się do lasu? - wymamrotał.

- Przespałeś najlepszą część - odpowiedział Pitt masując czule siniaki.

Nie potrzebował ośmiu lat studiów medycznych, by zrozumieć, że Stokes umrze, jeżeli wkrótce nie trafi do szpitala. Jak najszybciej odpiął policjanta, rozpiął mu kombinezon, rozerwał koszulę i zaczął szukać ran. Znalazł jedną, po lewej stronie, tuż obok mostka. Prawie nie krwawiła, a dziura była tak mała, że ledwie ją zauważył. Przemknęło mu przez myśl, że nie może to być kula. Zaczął delikatnie macać i wyczuł pod skórą ostry kawałek metalu. Nic nie rozumiejąc, popatrzył na ramę okna - była poszarpana nie do poznania. A więc coś, prawdopodobnie pocisk z karabinu maszynowego oderwał drzazgę aluminium, która wbiła się Stokesowi w płuco. Centymetr w bok i przebiłaby serce.

Stokes wykasłał krew i wypluł ją za okno.

- Śmieszne - wymamrotał. - Zawsze sądziłem, że zostanę zastrzelony w czasie pościgu na autostradzie albo w ciemnej uliczce.

- Nie masz szczęścia.

- Bardzo źle wygląda?

- Odprysk metalu w płucach. Boli cię?

- Pulsuje.

Pitt wstał sztywno i zaszedł Stokesa od tyłu.

- Trzymaj się, idziemy stąd.

Po dziesięciu minutach otworzył kopniakami pocięte drzwi, delikatnie wyciągnął Stokesa na zewnątrz i ułożył go na ziemi. Nie było to łatwe zadanie, musiał na chwilę usiąść i złapać oddech. Przez twarz Stokesa nieraz przebiegła tężejąca fala, ale jedynie cicho jęczał. Cały czas był na krawędzi utraty przytomności.

Kiedy zamknął oczy, Pitt klasnął go kilka razy w twarz.

- Nie odjeżdżaj, stary. Potrzebuję cię, żebyś wskazywał drogę do wsi Masona Broadmoora.

Stokes otworzył oczy i popatrzył na Pitta, jakby coś sobie przypominał.

- Helikopter Dorsetta - wydyszał między dwoma kaszlnięciami. - Co się stało z tymi skurwielami, którzy do nas strzelali?

Pitt popatrzył na unoszący się nad lasem słup ognia i wyszczerzył złośliwie zęby.

- Poszli na ognisko.

21

Pitt spodziewał się, że w styczniu będzie musiał brnąć na wyspie Kungit przez śnieg, ale jak na razie spadło go bardzo niewiele i większość stopiła ostatnia burza. Ciągnął Stokesa na travois, wólcę używanej do transportu ciężarów przez amerykańskich Indian z równin. Nie mógł Stokesa zostawić, a niesienie go na plecach mogłoby spowodować wylew wewnętrzny, wyrwał więc dwa niezbyt grube suche drzewka, związał je pasami do mocowania towaru, które znalazł w przedziale bagażowym wraka, i umocował na drągach deskę. Na jednym końcu zrobił uprzęż i przywiązał Stokesa do konstrukcji. Zarzucając koniec z uprzężą na plecy, mógł wlec travois za sobą i w miarę bezpiecznie transportować Kanadyjczyka przez las.

Mijała godzina za godziną, słońce zniżyło się i zapadła noc, a Pitt maszerował ustalając kurs według kompasu, który wyrwał z deski rozdzielczej samolotu. Tak samo poruszał się wiele lat temu po Saharze.

Co dziesięć minut pytał:

- Jesteś tam jeszcze?

- Staram się nie sturlać - odpowiadał słabo Stokes.

- Widzę płytki strumień płynący na zachód.

- Doszedłeś do Wolf Creek. Przejdź go i skieruj się na północny zachód.

- Jak daleko do wsi Broadmoora?

Stokes za każdym razem chrapliwie odpowiadał:

- Dwa, może trzy kilometry.

- Rozmawiaj ze mną!

- Gadasz jak moja żona.

- Jesteś żonaty?

- Od dziesięciu lat. Z panią, która dała mi pięcioro dzieci.

Pitt poprawił paski uprzęży, które wcinały mu się w pierś, i przeciągnął Stokesa przez strumień. Po mniej więcej kilometrze przebijania się przez chaszcze wyszedł na zarośniętą ścieżkę. Prowadziła w pożądanym kierunku. Dwa razy zdawało mu się, że zboczył z trasy, ale po kilkunastu metrach pojawiała się znowu. Mimo temperatury w okolicy zera spociał się jak ruda mysz. Nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek. Jeżeli Stokes miał jeszcze oglądać swoją żonę i piątkę dzieci, Pitt musiał iść dalej. Zagadywał policjanta, gorliwie się starając, żeby nie odpłynął w zapaść pourazową. Koncentrując się na stawianiu jednej nogi za drugą, Pitt szedł tępo przed siebie. Odwrócił się, bo

Stokes coś mamrotał.

- Chcesz, żebym stanął?
- Czujesz? - szepnął Stokes ledwo słyszalnie.
- Co?
- Dym.

W końcu Pitt poczuł. Wciągnął powietrze głęboko w płuca. Z niewielkiej odległości płynął ku nim zapach palonego drewna. Pitt był zmęczony, potwornie zmęczony, ale zaparł się w uprzęż i ruszył dalej. Wkrótce usłyszał terkot benzynowego silniczka i trzask tnącego drewno łańcucha. Zapach palonego drewna nasilił się i o pierwszym brzasku Pitt zobaczył unoszący się nad drzewami dym. Serce waliło mu z przemęczenia, lecz nie mógł się poddać tak blisko celu.

Wschodziło słońce, ale było schowane za zasłoną gęstych chmur. Kiedy wszedł na przecinkę, która wychodziła na przystań, mżyło. Stanął i zagapił się na szereg drewnianych chat z dachami z falistej blachy. Z ceglanych kominów unosił się dym. W wielu miejscach stały ozdobione rzeźbionymi figurami zwierząt i ludzi wysokie słupy totemowe. W przystani bujały się na falach liczne łodzie, ich załogi zajęte były konserwacją silników i sieci. Grupa dzieci stała niedaleko chaty bez ścian i przyglądała się mężczyźnie obrabiającemu pień piłą łańcuchową. Dwie kobiety wieszały bieliznę, plotkując przy tym głośno. Jedna z nich zauważyła Pitta, wyciągnęła ku niemu rękę i zaczęła coś wołać.

Kompletnie wycieńczony opadł na kolana. Podeszło do niego kilkanaście osób. Jakiś człowiek - puciołowaty i długowłosy - ukląkł i objął go ramieniem.

- Wszystko w porządku - powiedział z powagą. Trzem mężczyznom stojącym obok kazał zanieść rannego do chaty plemiennej.

Pitt popatrzył na niego uważnie.

- Mason Broadmoor to nie przypadkiem pan?

Mężczyzna obserwował Pitta czarnymi jak węgiel oczami.

- To ja.

- Świetnie - wydyszał Pitt opadając bez sił na ziemię.

Nerwowy dziewczęcy chichot wyrwał go z lekkiego snu. Mimo zmęczenia przespał jedynie cztery godziny. Otworzył oczy, popatrzył przez chwilę na dziewczynkę i zrobił zęza. Wybiegła przestraszona z pokoju wołając mamę.

Znajdował się w przyjemnym pomieszczeniu z niewielkim piecykiem promieniującym cudownym ciepłem. Leżał na łóżku wyłożonym niedźwiedzimi i wilczymi skórami. Uśmiechnął się przypominając sobie Broadmoora, stojącego na środku indiańskiej wsi gdzieś na końcu świata z telefonem satelitarnym w dłoni, wzywającego samolot sanitarny po Stokesa.

Pitt pożyczył potem telefon, żeby zadzwonić do biura Stokesa w Shearwater. Na samo wspomnienie jego nazwiska został natychmiast przełączony do inspektora Pendletona, który wypytał ze szczegółami o niedawne wydarzenia. Pitt zakończył sprawozdanie wskazówkami ułatwiającymi znalezienie miejsca, gdzie się rozbili, żeby policja wysłała ekipę po kamery i wywołała filmy - oczywiście jeżeli sprzęt przeżył zderzenie pływaków ze skałą.

Zanim Pitt skończył miskę rybnej zupy żony Broadmoora, przyleciał wodolot. Lekarz zbadał Stokesa i zapewnił, że policjant ma wszelkie szanse się wykaraskać. Natychmiast po starcie wodolotu Pitt z wdzięcznością przyjął zaoferowane mu łóżko Broadmoorów. Spał jak zabity. Do sypialni weszła żona Broadmoora. Irma Broadmoor była pełną gracji kobietą o pięknej figurze,

mocną, ale prężną, jej twarz zdobiły uważne czarne oczy i stale uśmiechnięte usta.

- Jak się pan czuje, panie Pitt? Spodziewałam się, że będzie pan spał jeszcze co najmniej trzy godziny.

Pitt upewnił się, że ma na sobie spodnie i koszulę, dopiero wtedy odrzucił kołdrę i spuścił stopy na podłogę.

- Przepraszam, że pozbawiłem panią i męża łóżka.

Roześmiała się dźwięcznym i melodyjnym śmiechem.

- Dopiero minęło południe. Spał pan od ósmej rano.

- Jestem niezwykle wdzięczny za gościnność.

- Musi być pan głodny. Mieczonek zupy rybnej to za mało jak dla tak dużego mężczyzny. Co by pan zjadł?

- Puszka fasoli byłaby znakomita.

- Ludzie siedzący na północy wokół ogniska i jedzący fasolę z puszek to mit. Wrzucę na ruszt kilka steków z łososia. Mam nadzieję, że lubi pan łososia.

- Lubię.

- Nim będę gotowa, może pan iść porozmawiać z Masonem. Pracuje na dworze.

Pitt włożył skarpetki i buty, przeczesał palcami włosy i ruszył na spotkanie ze światem. Broadmoor w szopie rzeźbił w leżącym na czterech masywnych kobyłkach pięciometrowym pniu czerwonego cedru. Atakował drewno wklęsłym dłutem i drewnianym pobijakiem. Rzeźba była w tak surowym stanie, że Pitt nie umiał sobie wyobrazić efektu końcowego. Zwierzęce łby były jedynie naszkicowane.

Broadmoor podniósł głowę.

- Dobrze pan spał?

- Nie wiedziałem, że niedźwiedzie skóry są tak miękkie.

- Proszę nikomu nic nie mówić, bo wybiją misie w ciągu roku - rzekł Broadmoor z uśmiechem.

- Ed Posey powiedział mi, że rzeźbisz słupy totemowe. Jeszcze nigdy nie widziałem żadnego w trakcie rzeźbienia.

- Moja rodzina zajmuje się rzeźbieniem od pokoleń. Totemy powstały, ponieważ dawni Indianie północnego zachodu nie mieli języka pisanego i opowieści rodzinne oraz legendy były zachowywane pod postacią rzeźbionych w czerwonym cedrze symboli, głównie zwierzęcych.

- Mają znaczenie religijne?

Broadmoor pokręcił głową.

- Nigdy nie tworzono ich jako wyobrażeń Boga, raczej szanowano jako duchy ochronne.

- Co oznaczają symbole na tym słupie?

- To słup pogrzebowy czy - jak by pan powiedział - obelisk pamiątkowy.

Dla mojego wuja, który odszedł od nas w zeszłym tygodniu. Rzeźbię jego znak rodowy, który składał się z niedźwiedzia i orła, dodam też tradycyjny znak Indian Haida oznaczający zmarłych. Kiedy skończę, zostanie w czasie stypy uroczyście wbity w ziemię przy rogu domu wdowy.

- Jako mistrzowski rzeźbiarz musisz być zajęty na kilka miesięcy na przód.

Broadmoor skromnie wzruszył ramionami.

- Prawie na dwa lata.

- Wiesz, dlaczego tu jestem?

Na tak nieoczekiwane zadane pytanie Broadmoor zamarł z dłutem i pobijakiem w powietrzu. Po

chwili odłożył narzędzia i dał Pittowi znak, żeby poszedł za nim. Doszedł do znajdującej się na skraju przystani wiaty, która wychodziła na wodę, otworzył wejście i wszedł do środka. Wewnątrz mającego kształt litery U pomostu unosiły się na wodzie dwa skutery wodne.

- Jesteś członkiem klubu użytkowników „odrzutowych nart”?

Broadmoor uśmiechnął się.

- Teraz mówi się chyba „ślizgi”.

Pitt obejrzał parę smukłych duo 300 wet-jetów firmy Mastercraft Boats. Były to profesjonalne dwuosobowe skutery wodne i oba jaskrawymi kolorami pomalowano w zwierzęce symbole Indian Haida.

- Wyglądają, jakby mogły latać.

- Na wodzie latają. Podrasowałem trochę silniki i wyciągnąłem dodatkowe piętnaście koni. Ślizgają się nieco ponad dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. - Broadmoor nagle zmienił temat. - Ed Posey powiedział, że chce pan opłynąć wyspę ze sprzętem hydroakustycznym, pomyślałem więc, że ślizgacze mogą się przydać.

- Byłyby idealne, niestety mój sprzęt hydrofoniczny został zniszczony, kiedy spadłem ze Stokesem na ziemię. Pozostało mi zbadać kopalnię osobiście.

- Co ma pan nadzieję odkryć?

- Jaką metodą Dorsett wydobywa diamenty.

Broadmoor podniósł leżący nad samą wodą kamyk i rzucił nim daleko w zieloną głębię.

- Spółka ma niezłą flotę łodzi patrolujących wody wokół wyspy. Są uzbrojone i znamy przypadki atakowania podpływających zbyt blisko wyspy rybaków.

- Wygląda na to, że kanadyjscy urzędnicy nie powiedzieli mi wszystkiego. - Pitt skłął w duchu Poseya.

- Może sądzili, że mając ich zlecenie na prowadzenie badań, będzie pan zabezpieczony przed szyskanami z rąk chroniących wyspy łobuzów?

- Stokes wspomniał, że twój brat został przez nich zaatakowany i spalono mu łódź.

Broadmoor wskazał na słup, który właśnie rzeźbił.

- Powiedział, że zabili też mojego wuja?

- Nie. Przykro mi to słyszeć.

- Znalazłem jego ciało wyniesione osiem kilometrów na morze. Przywiązał się do pustych kanistrów po ropie, ale woda była zimna i zmarł z wyziębienia.

Z jego łodzi znaleźliśmy jedynie kawałek sterówki.

- Sądzicie, że zamordowali go ludzie Dorsetta?

- Wiem, że to zrobili - powiedział Broadmoor ze złością.

- Co na to przedstawiciele prawa?

Indianin pokręcił głową.

- Działalność inspektora Stokesa jest jedynie symboliczna. Kiedy rozesłani po wyspach geologowie odkryli na Kungit wielkie złożo diamentów, Arthur Dorsett użył swoich wpływów i pieniędzy i praktycznie przejął wyspę od rządu na własność. Nieważne, że Haida uważają wyspę za świętą ziemię szczepu - dla moich ludzi jest przestępstwem postawienie tu nogi bez pozwolenia oraz łowienie w odległości mniejszej niż cztery kilometry.

Konni, na których płacimy podatki, żeby nas bronili, mogą nas aresztować.

- Rozumiem teraz, dlaczego szef ochrony kopalni ma tak mało szacunku dla prawa.

- John Merchant, mówią na niego Elegancki John - powiedział Broadmoor z wykrzywioną z nienawiści twarzą. - Całe szczęście, że udało się panu uciec. Miał pan szansę po prostu zniknąć. Wielu ludzi próbowało szukać diamentów na wyspie i wokół niej, ale nikomu się nie udało nic znaleźć i żadnego z nich potem nie widziano.

- Czy Indianie Haida skorzystali w jakimś stopniu z tego diamentowego dobrobytu?

- Jak na razie zostaliśmy oszukani. To, czy skorzystamy z bogactwa związanego z diamentami, stało się bardziej problemem prawniczym niż politycznym. Od lat walczymy o udział, ale prawnicy Dorsetta wystrychnęli nas w sądzie na dudka.

- Nie mogę uwierzyć, żeby kanadyjski rząd pozwalał Arthurowi Dorsettowi sobą rządzić.

- Gospodarka się kręci i póki pieniądze płyną do państwowej kiesy, politycy przymykają oczy na opłacanie urzędników i korupcję. - Przerwał i spojrzał Pittowi w oczy jakby chciał coś z nich odczytać. - Jaki jest pański prawdziwy cel, Pitt? Chce pan doprowadzić do zamknięcia kopalni?

Pitt skinął głową.

- Jeżeli udowodnię, że praca kopalni jest odpowiedzialna za zjawiska akustyczne powodujące masowe giniecie fauny morskiej i ludzką śmierć, to tak.

Broadmoor popatrzył znowu Pittowi w oczy.

- Wezmę pana do kopalni.

- Masz żonę i dzieci. Nie ma sensu ryzykować. Zawieź mnie na wyspę, to coś wymyślę, jak przejść przez hałdę nie będąc zauważony.

- Nie uda się. Ich system zabezpieczeń jest bez zarzutu. Nawet wiewiórka się nie przemknie, co dowodzą liczne truchła zaścielające hałdę razem z setkami innych zwierząt, które zamieszkiwały wyspę, zanim Dorsett splugawił piękną kiedyś okolicę. A jeszcze są specjalnie szkolone owczarki alzackie, które na sto metrów wyczują próbującego wynieść diamenty intruza.

- Słyszałem o tunelu.

- Nie przejdzie pan przez niego bez pomocy.

- A wolałbyś, żeby twoja żona została wdową?

- Nic pan nie rozumie - cierpliwie powiedział Broadmoor. Jego oczy płonęły żądzą zemsty. - Kopalnia kupuje od nas ryby. Raz w tygodniu płynę z sąsiadami na wyspę i dostarczam, co złowiliśmy. W przystani wyładujemy ryby na wózki i przewozimy tunelem do głównego kucharza. Daje nam śniadanie, płaci gotówką - oczywiście jedynie część tego, co połów jest wart - i odpływamy. Ma pan czarne włosy, jeżeli włoży pan strój rybaka i nie będzie podnosił głowy, może ujdzie pan za Haidę. Strażnicy znacznie bardziej koncentrują się na próbach nielegalnego wyniesienia poza kopalnię diamentów niż wwożeniem do środka ryb. Ponieważ tylko coś przywozimy i nic nie wywozimy, jesteśmy poza podejrzeniem.

- Nie ma w kopalni dla waszych ludzi dobrze płatnej pracy?

Broadmoor wzruszył ramionami.

- Stracić możliwość polowania i łowienia to jak stracić wolność. Forsa, którą dostajemy w zamian za zapełnianie im kuchni, ma być przeznaczona na budowę nowej szkoły dla naszych dzieci.

- Jest tylko jeden drobny problem. Elegant John Merchant. Spotkaliśmy się i niezbyt sobie przypadliśmy do gustu. Miał możliwość dokładnie zapamiętać moją twarz.

Broadmoor machnął ręką.

- To nie problem. Nie lubi niszczyć sobie drogich włoskich butów łażeniem po tunelu i kuchni. Przy takiej pogodzie jak teraz rzadko wytyka nos poza swój gabinet.

- Od pomocy kuchennej wiele się nie dowiem. Znasz jakichś górników, którym można zaufać, a którzy mogliby opisać metody wydobywcze?

- Wszyscy robotnicy w kopalni to Chińczycy, sprowadzeni niezgodnie z prawem przez gangsterskie syndykaty. Żaden nie mówi po angielsku. Pańską jedyną nadzieją jest starszy inżynier, który żarliwie nienawidzi Dorsett Consolidated.

- Będziesz mógł się z nim skontaktować?

- Nie wiem nawet, jak się nazywa. Pracuje na grobowej zmianie i zwykle je śniadanie, kiedy przywozimy ryby. Rozmawiałem z nim kilka razy przy kawie. Nie podoba mu się ta kopalnia. W czasie ostatniej rozmowy skarżył się, że przez miniony rok przy pracy zginęło dwudziestu Chińczyków.

- Jeśli mógłbym zostać z nim sam na sam dziesięć minut, może wyjaśniłbym tajemnicę.

- Nie ma gwarancji, że będzie, kiedy przyjedziemy.

- Muszę zaryzykować. Kiedy wieziecie następną dostawę?

- Ostatni z rybaków wróci z morza za kilka godzin. Po południu wrzucimy rybę do lodu i rozdzielimy do skrzynek. Będziemy gotowi wraz ze świtem.

Pitt był ciekaw, czy jest fizycznie i psychicznie gotów do kolejnego ryzykowania życia, kiedy jednak pomyślał o dziesiątkach zmarłych turystów, których widział na „Polar Queen”, zniknęły wszelkie wątpliwości.

22

Sześć łodzi, pomalowanych na jaskrawe kolory i wypakowanych po brzegi skrzynkami ryby w lodzie, wpłynęło do Rose Harbour. Rybacy pchnęli stery, by zmienić kurs, dieslowskie silniki zakaszały wyrzucając wysokimi kominami obłoki spalin. Tuż nad wodą unosiła się mgła, nadając wodzie szarawy odcień. Wschodzące słońce było przeciętą przez horyzont półkulą, wiatr praktycznie zamilkł. Fale zrobiły się tak niskie, że piana powstawała jedynie w kilwaterze i przed dziobami sunących przez zatokę łódek.

Broadmoor podszedł do siedzącego na rufie Pitta i popatrzył na mewy, spadające raz za razem na kilwater łodzi w oczekiwaniu jakiegoś łupu.

- Czas na pański występ, panie Pitt.

Pitt nie mógł nakłonić Broadmoora, by mówił do niego po imieniu. Skinął głową i udawał, że rzeźbi nos w masce, którą dał mu dla kamuflażu Indianin. Pitt był ubrany w żółte spodnie z gumowanego płótna i gruby wełniany sweter zrobiony przez Irmę Broadmoor, wełnianą czapkę głęboko naciągnął na czoło. Ponieważ Indianie nie mają prawie wcale zarostu, dokładnie się ogolił. Drapał maskę tępą stroną noża i nie podnosił głowy. Patrzył kątem oka na wielki basen portowy - nie była to byle przystań, lecz porządna keja dla statków oceanicznych z palami do kotwiczenia większymi od ich łódek. Wzdłuż nabrzeża ułożone były szyny, na których mógł się poruszać wysoki dźwig służący do wyładowywania wielkich statków.

Przy nabrzeżu stał przycumowany jacht o niezwykle opływowych liniach i przypominającej półkulistą kopułę nadbudowie. Podwójny kadłub z włókna szklanego był stworzony do osiągnięcia dużych prędkości i komfortowego pływania. Wyglądał, jakby mógł śmigać po wodzie z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Czegoś takiego Pitt jeszcze w życiu nie widział i opierając się na opisie Giordina, uznał, że właśnie ten jacht zauważono w trakcie ucieczki od „Mentawai”. Pitt poszukał wzrokiem nazwy i portu macierzystego, u wszystkich normalnych jachtów pisanych na rufie,

ale tu nic nie szpeciło perfekcyjnej urody szafirowo-błękitnego kadłuba. Większość właścicieli jest dumna z nazwy swej łodzi i portu macierzystego, ale Pitt domyślał się, dlaczego Arthur Dorsett nie reklamował swego jachtu. Zaciekawiony, wbił wzrok w szczelnie zasłonięte frankami okienka. Pokład był pusty. O tej porze członkowie załogi i pasażerowie z pewnością jeszcze spali. Właśnie zamierzał odwrócić wzrok od jachtu i skierować go na grupę stojących na nabrzeżu umundurowanych strażników, kiedy otworzyły się drzwiczki i na pokład wyszła kobieta.

Zaparło mu dech. Była wysoka jak Amazonka i uderzająco piękna. Potrząsnęła głową, by odrzucić z twarzy burzę długich rudoblond włosów. Miała na sobie krótką tunikę i wyglądała, jakby właśnie wstała z łóżka. Piersi miała spore, ale dziwnie nieproporcjonalne do reszty ciała. Były całkowicie schowane pod tuniką, która tak je ścisnęła, że nie tworzyły dwóch wybrzuszeń, lecz jedno. Rozglądała się srogo i władczo jak obserwująca swój teren tygrysyca. Jej wzrok przemknął po grupce rybackich łodzi i zatrzymał się na Pitcie, wciąż wlepiającym w nią oczy.

Zwykły Pitt, ten, któremu na wielu rzeczach nie zależało, wstałby, zamachał czapką i ukłonił się, teraz miał jednak do odegrania rolę Indianina, gapił się więc dalej zbaraniałym lekko wzrokiem i skinął z szacunkiem głową. Odwróciła się traktując go jak drzewo w lesie. Na pokładzie zjawił się steward w liberii z filiżanką herbaty na srebrnej tacy. Drżąc z porannego chłodu, kobieta wróciła do środka jachtu.

- Robi wrażenie, co? - spytał Broadmoor uśmiechając się na widok przestraszonej miny Pitta.
- Muszę przyznać, że jest niepodobna do żadnej kobiety, jaką kiedykolwiek widziałem.
- Boudicca Dorsett, jedna z trzech córek Arthura. Pokazuje się tu nie oczekiwanie kilka razy w roku na tym wymyślnym jachcie.

A więc to była trzecia siostra. Perlmutter określił ją jako bezwzględną i zimną jak lód z dna lodowca. Teraz, kiedy znał już wszystkie trzy, Pittowi trudno było uwierzyć, że Maeve może być córką tej samej matki co Deidre i Boudicca.

- Pewnie po to by popędzić niewolników i obliczyć urobek?
- Nie. Boudicca jest dyrektorem działu bezpieczeństwa spółki. Podobno jeździ między kopalniami i sprawdza personel oraz systemy zabezpieczające.

- Elegant John Merchant będzie z pewnością bardzo czujny, wiedząc, że przyjechała sprawdzać luki w jego systemie. Na pewno szczególnie się postara zmusić ludzi do czujności.

- W takim razie też będziemy musieli szczególnie uważać - zgodził się Broadmoor. Skinął głową ku stojącym na nabrzeżu ochroniarzom, czekającym na rozpoczęcie kontroli łodzi i rybaków. - Niech pan na nich popatrzy.

Sześciu. Nigdzie nie chodzą w większych grupach, zawsze po dwóch. Ten z medalikiem na szyi jest odpowiedzialny za przystań. Crutcher. Wredny typ.

Pitt pobieżnie rzucił okiem na ochroniarzy, by sprawdzić, czy któryś z nich mógł go widzieć na lotnisku, kiedy uciekał ze Stokesem. Był odpływ i musiał zadrzeć głowę do góry. Szczególnie bał się zostać rozpoznany przez ochroniarza, którego pobił w biurze Merchanta, na szczęście żaden nie wyglądał znajomo.

Paski karabinków mieli zawieszane na szyi, lufy kierowali w kierunku rybaków. Pitt natychmiast zrozumiał, że celem było zastraszenie, nie zastrzeliliby bowiem nikogo na oczach marynarzy ze stojącego tuż obok frachtowca. Crutcher, arogancki młodzieniec, podszedł do skraju nabrzeża, uważnie obserwując cumującego łódź Broadmoora. Indianin rzucił linę tak, że padła na buty Crutchera.

- Witam, przyjacielu - powiedział grzecznie Indianin. - Mógłbyś nas przywiązać?

Crutcher kopnął linę i wpadła z powrotem do łodzi.

- Sam się przywiąż! - warknął.

„Odpad z sił specjalnych” - pomyślał Pitt biorąc linę do ręki. Wdrapał się po drabince i owijając linę wokół pachołka, specjalnie zderzył się z Crutcherem. Ochroniarz zamachnął się nogą i kopnął Pitta w tyłek, potem złapał go za szelki i gwałtownie nim potrząsnął.

- Naucz się manier, ty śmierdzący rybi łbie!

Broadmoor zamarł. Indianie Haida byli pokojowo nastawionymi ludźmi, nigdy nie wywoływali awantur. Był pewien, że Pitt zaraz się wyzwoli i rzuci na ochroniarza, nic takiego jednak nie nastąpiło. Pitt rozluźnił się, potarł ręką tyłek w miejscu, gdzie z pewnością rósł siniak, i wpatrywał się w Crutchera tępym spojrzeniem. Zdjął przeproszającym gestem czapkę, ukazując przy tym gęste czarne włosy, które przed wyjazdem ze wsi wspólnie z Broadmoorem wyprostowali. Wzruszył defensywnie ramionami.

- Nie uważałem. Przepraszam.

- Nie wyglądasz mi znajomo - rzekł Crutcher.

- Jestem dwudziesty raz - spokojnie odparł Pitt. - Widziałem pana. Nazywa się pan Crutcher. Trzy dostawy temu dostałem od pana w brzuch za wolny wyładunek.

Ochroniarz przez chwilę uważnie lustrował Pitta i w końcu się roześmiał.

- Wejdz mi jeszcze raz w drogę, to tak cię kopnę w dupę, że przelecisz na drugą wyspę.

Pitt popatrzył lękliwie i zeskoczył do łodzi. Pozostałe łodzie dobijały właśnie do nabrzeża w wolnych przestrzeniach pomiędzy stojącymi tam już statkami dostawczymi. Gdzie było zbyt mało miejsca, druga łódź przybijała równolegle do tej, która stała przy nabrzeżu. Pitt dołączył do rybaków i zaczęli podawać skrzynki stojącemu na nabrzeżu koledze, który układał je na niskich wózkach, ciągniętych przez nieduży traktor. Skrzynki były ciężkie i po kilku minutach Pitta zaczęły boleć ręce. Wiedział, że strażnicy nabiorą podejrzeń co do jego osoby, jeżeli nie będzie podawał skrzynek z lekkością Haidy, zacisnął więc zęby i pracował dalej.

Dwie godziny później wózki były załadowane. Czterech strażników i rybacy wsiedli na wagoniki, które ruszyły w kierunku kuchni. Zatrzymano ich przy wjeździe do tunelu, kazano wejść do znajdującego się obok małego baraczkę i rozebrać do bielizny. Potem przeszukano ubrania, a ich samych prześwietlono rentgenem. Egzamin zdali wszyscy z wyjątkiem jednego z rybaków, który przez zapomnienie przed wyjazdem wetknął w cholewę długi nóż. Pitta mocno zdziwiło, że zamiast zabrać nóż i przepuścić człowieka, ochroniarze kazali mu wracać do łodzi. Pozostałym pozwolono się ubrać i wsiąść na wagoniki, które ruszyły ku terenowi wydobywania.

- Myślałem, że będą szukać skradzionych diamentów przy wyjeździe - powiedział Pitt.

- Bo i będą. Przy wyjściu przejdziemy jeszcze raz to samo, prześwietlenie teraz jest ostrzeżeniem, że nie uda się wynieść połkniętych diamentów.

Sklepiony beczkowo betonowy tunel miał dziesięć metrów szerokości i pięć wysokości, czyli był wystarczający do transportu ludzi i sprzętu nawet dużymi ciężarówkami. Miał przynajmniej pół kilometra długości, rozświetlały go szeregi jarzeniówek. Mniej więcej w połowie długości odchodziły w bok poprzeczne dużo mniejsze tunele.

- Co to za tunele? - spytał Pitt.

- Należą do systemu bezpieczeństwa. Otaczają teren i są wypełnione czujnikami.

- Strażnicy, broń, systemy zabezpieczające. Tylko żeby zapobiec wyniesieniu paru diamentów?

- Nie tylko. Także by któryś z robotników nie uciekł na kontynent. To część umowy ze skorumpowanymi kanadyjskimi urzędnikami.

Dotarli do końca tunelu. Panowała tu krzątanina. Operator ciągnącego wagony traktora zjechał na asfaltową drogę, prowadzącą dookoła wielkiej dziury w ziemi, która musiała być ujściem komina z diamentami. Dojechał do betonowej rampy i stanął.

Mężczyzna w białym kitlu kucharza i zarzuconym na to obszytym futrem płaszczu otworzył im drzwi do magazynu żywności. Przyjacielsko machnął na przywitanie Broadmoorowi.

- Dobrze, że jesteś, Mason. W sam czas. Zostały nam dwie skrzynki dorsza.

- Przywieźliśmy dość, żeby na waszych robotnikach wyrosła łuska. - Broadmoor odwrócił się do Pitta i powiedział cicho: - Dave Anderson, główny kucharz. Fajny gość, tyle że pije za dużo piwa.

- Otworzyłem wam zamrażalnię. Ciekawe, co dziś przywieźliście. Ostatnim razem łosoś był pomieszany z flądą. Popsuło mi to całkiem plan żywieniowy.

- Mam coś na przeprosiny. Przywiozłem pięćdziesiąt kilo steku z łosia.

- Porządny z ciebie gość, Mason. Gdyby nie ty, kupowałbym mrożonki na kontynencie - stwierdził kucharz szeroko się uśmiechając. - Wstawcie skrzynki i przyjdźcie na śniadanie. Wypiszę czek natychmiast, jak sprawdzę dostawę.

Rybacy załadowali skrzynki do zamrażalni i z wdzięcznością weszli do ciepłej mesy. Przeszli wzdłuż kontuaru, gdzie wydano im po kolei jajka, parówki i naleśniki. Kiedy zaczęli nalewać sobie z wielkiego pojemnika kawę, Pitt rozejrzał się po siedzących przy stołach mężczyznach. Eskortujący ich czterej ochroniarze stali przy drzwiach w chmurze dymu papierosowego i rozmawiali. Salę wypełniało jakichś stu Chińczyków, którzy pracowali na porannej zmianie, tak zwanej grobowej. Przy okrągłym stole w mniejszej sali obok siedziało dziesięciu mężczyzn, jak Pitt podejrzewał - inżynierów i nadzorców.

- Który to ten niezadowolony?

Broadmoor skinął głową ku drzwiom prowadzącym do kuchni.

- Czeka na pana na zewnątrz przy śmietnikach.

Pitt zaskoczony popatrzył na Indianina.

- Jak to zorganizowałeś?

Broadmoor nieznacznie się uśmiechnął.

- Haidowie mają metody porozumiewania się nie wymagające światłowodów.

Pitt nie pytał dalej, nie był na to odpowiedni czas ani miejsce. Uważnie patrząc kątem oka na ochroniarzy przy drzwiach, niby mimochodem skręcił do kuchni. Kiedy szedł między piecami i zlewozmywakami, nikt nawet nie podniósł głowy. Znalazł się na zewnątrz. Od wielkich metalowych kontenerów dolatywał smród gnijących warzyw.

Stał na zimnie i czekał, nie wiedząc czego się spodziewać.

Zza kontenera wyszedł wysoki mężczyzna. Miał na sobie żółty jednoczęściowy kombinezon z nogawkami umazanymi błotem o dziwnym niebieskawym odcieniu, na głowie górniczy hełm, twarz zakrywała mu maska przeciwpylowa. Pod pachą trzymał jakiś tobolek.

- Podobno jest pan zainteresowany działalnością naszej kopalni - zaczął.

- Tak. Nazywam się...

- Nazwiska są nieważne. Jeżeli chce pan opuścić wyspę z rybakami, nie mamy wiele czasu. - Rozwinął węzełek: taki sam żółty kombinezon, jaki miał na sobie, w środku była maska i hełm. - Proszę to włożyć i iść za mną.

Pitt posłuchał bez słowa. Nie obawiał się pułapki. Gdyby go przejrzano, strażnicy mogli go już dawno aresztować. Włożył kombinezon, zapiął suwak, zaciągnął pod brodą pasek hełmu, założył maskę i ruszył za mężczyzną, który, być może, pokaże mu źródło i wyjaśni przyczynę tylu gwałtownych zgonów.

23

Wszedł za tajemniczym inżynierem do nowoczesnego budynku z prefabrykatów, w którym znajdowały się windy zwożące górników głęboko pod ziemię. Dwie większe woziły Chińczyków, mniejszą, umieszczoną nieco z boku, przeznaczono wyłącznie do użytku pracowników na wyższych stanowiskach. Winda była bardzo nowoczesna, poruszała się łagodnie, bezgłośnie, nie sprawiając wrażenia, że opada w głąb ziemi.

- Jak głęboko zjeżdżamy? - spytał Pitt, którego głos tłumiała maska.

- Pięćset metrów.

- Po co nam maski?

- Znajdujemy się w wulkanie. Kiedy ostatnio wybuchł, wyspa wypełniła się skałą pumeksową. Wywołane procesami wydobywczymi drgania wzbudzają unoszenie się pyłu pumeksowego, który może nieźle narozrabiać w płucach.

- Tylko dlatego?

- Nie tylko - ucziwie odpowiedział inżynier. - Nie chcę, żeby zobaczył pan moją twarz. Dzięki temu, jeżeli ochrona czegoś się domyśli, przejdę badanie na wykrywaczu kłamstw, które szef ochrony stosuje tak często jak lekarz badanie moczu.

- Elegant John Merchant - powiedział z uśmiechem Pitt.

- Zna go pan?

- Spotkaliśmy się kiedyś.

Inżynier wzruszył ramionami i przyjął słowa Pitta bez komentarza.

Zbliżali się do końca szybu. Do uszu Pitta dobiegł dziwny buczący dźwięk. Zanim zdążył zapytać co to, winda stanęła i drzwi się rozsunęły. Inżynier zaprowadził go korytarzem do platformy obserwacyjnej, znajdującej się pięćdziesiąt metrów nad olbrzymią jamą wydobywczą. Widoczny na dnie wykopu sprzęt w niczym nie przypominał maszyn, jakich można by się spodziewać w kopalni. Nie było tu wózków z urobkiem ciągniętych po szynach przez małe lokomotywy, maszyn wiertniczych ani śladów po wybuchach, nie było wielkich, przesuwających masy ziemi spychaczy. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest to bardzo drogie, pieczołowicie przemyślane i zorganizowane przedsięwzięcie, prowadzone przez komputery. Jedynym „oczywistym” urządzeniem było ogromne urządzenie transportowe, wielkimi kubłami przenoszące diamentonośną niebieską ziemię na powierzchnię i dalej do hal, gdzie oddzielano od niej kamienie.

Inżynier odwrócił się do Pitta i wbił w niego zielone oczy.

- Mason nie powiedział mi, kim pan jest ani kogo reprezentuje. Nie chcę tego wiedzieć. Dał do zrozumienia jedynie, że próbuje pan znaleźć źródło poruszającego się pod powierzchnią oceanu zabójczego dźwięku.

- To prawda. Tysiące zwierząt różnych gatunków i setki ludzi już zginęły w tajemniczych okolicznościach na morzu i na brzegach.

- Uważa pan, że źródło jest tutaj?

- Mam powody przypuszczać, że kopalnia na wyspie Kungit jest jednym z czterech źródeł.

Inżynier pokiwał głową.

- Pozostałe trzy to Wyspy Komandorskie na Morzu Beringa, Wyspa Wielkanocna i wyspa Gladiator na Morzu Tasmana.

- Jak pan to zgadł?

- Nie zgadywałem. Wiem, że używają tego samego pulsacyjnego sprzętu co my tutaj. - Zakreślił ręką półkole. - Dawniej, żeby iść za diamentami, drążyliśmy szyby, mniej więcej tak jak poszukiwacze złota, którzy szli za żyłą kruszcu, kiedy jednak naukowcy Dorsetta udoskonalili metodę, dzięki której w czasie trzy razy krótszym można wydobyć cztery razy tyle kamieni, szybko porzucono dawne metody.

Pitt przechylił się przez balustradę i przyjrzał temu, co działo się właśnie na dnie zagłębienia. Pojawiły się wielkie zdalnie sterowane maszyny i wbiły w niebieską ziemię długie pręty. Po chwili pojawiła się niezwykła wibracja, która od stóp wspinała się ku głowie Pitta. Spojrzał pytająco na inżyniera.

- Diamentonośna skała i ziemia są rozbijane ultradźwiękami wielkiej mocy. - Inżynier wskazał betonowy sześcian bez okien. - Widzi pan ten budynek?

Elektrownia atomowa. Wytworzenie dziesięciu do dwudziestu impulsów na sekundę, które wnikają w twardą jak skała glinę i rozkruszają ją, wymaga dużo energii.

- Sedno sprawy.

- Jak to?

- Generowany przez wasz sprzęt dźwięk dostaje się do wody. Kiedy przetnie się z impulsami z pozostałych kopalni, potęguje się do poziomu zabijającego na dużych obszarach życie.

- Ciekawa koncepcja, ale brakuje w niej jednego elementu.

- Nie wydaje się panu rozsądna?

Inżynier pokręcił głową.

- Wytwarzana tam na dole energia dźwiękowa nie zabiłaby w odległości trzech kilometrów stąd nawet sardynki. Ultradźwiękowy sprzęt wiertniczy wykorzystuje częstotliwości od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu tysięcy herców, czyli drgań na sekundę. Tak wysokiej częstotliwości dźwięk jest wchłaniany bardzo szybko przez znajdujące się w wodzie morskiej sole.

Pitt wpatrywał się inżynierowi w oczy z nadzieją, że może uda mu się odgadnąć kraj, z jakiego pochodzi, ale z samych oczu i kilku pasm wymykających się spod hełmu siwych włosów nie był w stanie niczego stwierdzić.

- Skąd mam wiedzieć, że mnie pan nie zwodzi?

Pitt nie widział co prawda twarzy inżyniera, domyślał się jednak, że ten właśnie się uśmiechnął.

- Proszę za mną. Pokażę panu rozwiązanie zagadki. - Wsiadł z powrotem do windy, zanim jednak nacisnął guzik, podał Pittowi izolowany akustycznie hełm. - Proszę zamienić hełmy. Niech go pan dobrze ułoży, aby zatkać uszy, bo inaczej dostanie pan zawrotów głowy. Ma wbudowany mikrofon i słuchawki, będziemy więc mogli swobodnie się porozumiewać.

- Dokąd idziemy?

- Do tunelu badawczego, wybitego tuż obok głównego szybu w celu lokalizacji głównego ogniska diamentów.

Drzwi się otworzyły i wyszli na korytarz wyrobiony w wulkanicznej skale i popodpierany potężnymi stemplami. Pitt odruchowo podniósł ręce i zasłonił uszy. Choć dźwięk był mocno stłumiony, czuł w bębenkach nieprzyjemne wibracje.

- Dobrze mnie pan słyszy? - zapytał inżynier.
- Słyszę - odpowiedział Pitt do mikrofonu - ale z za zasłony buczenia.
- Przyzwyczaj się pan.
- Co to jest?

- Proszę iść za mną, za sto metrów pokażę panu brakujący element łamigłówki.

Pitt szedł tuż za inżynierem, aż doszli do kolejnego odchodzącego w bok tunelu, w którym nie było jednak stempli podporowych. Tunel miał przekrój niemal idealnego koła, a jego ściany były tak gładkie, jakby specjalnie polerowane.

- Inkluzja lawowa Thurstone'a. Widziałem takie na Hawajach.

- Niektóre gatunki lawy, na przykład bazaltowa lawa niskiej lepkości jak tutejsza, tworzy czasami cienkie strumienie zwane apofizami, które płyną poziomo i drążą tunele o gładkich ścianach - wyjaśnił inżynier. - Zbliżając się do powierzchni ziemi lawa stygnie, jest jednak dalej wypychana przez ciśnienie ku górze. Zdarza się, że zostaje wypchnięta na powierzchnię, ale miejsce po niej zostaje wypełnione - wtedy powstają komory powietrzne, czyli takie właśnie tunele. Te puste przestrzenie rezonują ultradźwięki wykorzystywane do wydobycia diamentów.

- Co się stanie, jak zdejmę hełm?

Inżynier wzruszył ramionami.

- Niech pan spróbuje, ale efekt na pewno się panu nie spodoba.

Pitt uniósł nieco hełm. Po trzydziestu sekundach stracił orientację i by nie upaść, musiał się oprzeć o ścianę. Naszła go fala mdłości. Inżynier nasunął mu hełm na głowę, objął ramieniem i podtrzymał.

- Zadowolony?

Pitt wziął głęboki wdech. Zawroty głowy i mdłości szybko zniknęły.

- Myślałem, że umieram. Mam teraz jakieś takie pojęcie, co cierpieli przed śmiercią tamci biedacy.

Inżynier zaprowadził go z powrotem do windy.

- Niezbyt to przyjemne. Im głębiej kopujemy, tym robi się gorzej. Kiedy raz zjechałem tu bez hełmu, głowa pękała mi przez tydzień.

W drodze powrotnej na powierzchnię Pitt prawie wrócił do normy, dzwoniło mu tylko trochę w uszach. Wiedział już wszystko. Znał przyczynę i źródło katastrofy. Wiedział, co zrobić, żeby z nią skończyć. Wiedział, jak zakończyć taniec śmierci na oceanie, i podtrzymałoby go to na duchu.

- Zrozumiałem, co chciałem, ale niech pan sprawdzi, czy czegoś nie przekreślam. Znajdujące się w skale komory powietrzne rezonują ultradźwięki o wielkim natężeniu i powodują, że przenikają one skałę, a następnie dostają się do morza, by w którymś miejscu wyjść na powierzchnię z ogromną energią.

- Zgadza się. - Inżynier zdjął hełm i przeciągnął palcami przez rzednące siwe włosy. - Połączenie intensywnego dźwięku z rezonansem daje w efekcie energię wibracyjną zdolną zabijać.

- Dlaczego ryzykuje pan pracą pokazując mi to?

Inżynierowi zapłonęły oczy. Wsunął dłonie głęboko w kieszenie.

- Nie lubię pracować dla ludzi, którym nie można ufać. Tacy ludzie jak Arthur Dorsett generują wokół siebie nieszczęście i tragedię. Jeżeli kiedyś go pan spotka, natychmiast pan to wyczuje. Całe to przedsięwzięcie śmierdzi, tak samo jak jego pozostałe kopalnie. Biedni Chińczycy są eksploatowani, aż padną. Dobrze się ich karmi, ale nie dostają ani grosza i muszą harować do upadłego osiemnaście

godzin na dobę. W ostatnim roku zginęło co najmniej dwudziestu, ponieważ byli zbyt wycieńczeni, żeby zejść z drogi maszynom. Po co kopać diamenty dwadzieścia cztery godziny na dobę, jeżeli na świecie jest nadwyżka tych cholernych kamieni? De Beers może i kieruje ohydny monopol, ale nie robi tego ot tak sobie. Członkowie monopolu wstrzymują produkcję, by utrzymać ceny na wysokim poziomie. Moim zdaniem Dorsett zamierza zniszczyć rynek. Rok zajęło mi zrozumienie, co się dzieje na tej diabelskiej wyspie. Ktoś taki jak pan, kto pojmuję, co Dorsett powoduje swoim działaniem, będzie mógł teraz coś zrobić, żeby go powstrzymać, zanim zabije kolejne kilkaset niewinnych osób.

- Co powstrzymuje pana przed zawieszeniem rękawic na kołku?

- Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Każdy naukowiec i kierujący pracami inżynier podpisał kontrakt. Nie będzie efektów, nie będzie pieniędzy.

W razie czego adwokaci Dorsetta zrobią taką zasłonę dymną, że nie przetnie się jej nawet laserem. Co gorsza, jeżeli policja konna dowiedziałyby się o rzezi wśród Chińczyków i że było to ukrywane, Dorsett udałby głupiego i założy się, że pozwałby nas do sądu oskarżając o zorganizowanie przeciwko niemu spisku. Wieść niesie, że wszyscy mają opuścić wyspę za miesiąc. Mamy polecenie zamknąć kopalnię tydzień przedtem. Dopiero wtedy dostaniemy pensje i zostaniemy puszczeni do domów.

- Dlaczego nie wsiądzie pan na łódź i nie odpłynie?

- Zastanawiałem się nad tym z kolegami, a główny inżynier tak nawet zrobił. Wiemy z listów od jego żony, że nie pojawił się w domu i nikt go więcej nie widział.

- Dorsett nie waha się przed niczym.

- Działa tak samo jak każdy kartel narkotykowy z Ameryki Południowej.

- Dlaczego macie zamykać kopalnię, jeżeli zasoby się nie wyczerpały?

- Nie mam pojęcia. Dorsett wyznaczył terminy bez wyjaśnienia. Prawdopodobnie ma plany, których nie chce ujawniać sile najmniejszej.

- Skąd ma pewność, że jak znajdziecie się na kontynencie, nikt nie zacznie mówić?

- Nie jest tajemnicą, że jeżeli którykolwiek z nas coś powie, wszyscy trafimy za kratki.

- A Chińczycy?

Inżynier popatrzył na Pitta pozbawionymi wyrazu oczami.

- Podejrzewam, że zostaną w kopalni.

- Zostaną zasypani?

- Znając Dorsetta, nawet nie mrugnie okiem wydając ochroniarzom rozkaz likwidacji.

- Widział go pan kiedyś?

- Raz, i to wystarczy. Jego córka, Kastratorka, jest nie lepsza od niego.

- Boudicca. - Pitt uśmiechnął się. - Nazywacie ją Kastratorka?

- Silna jak tur. Widziałem, jak jedną ręką podniosła dobrze zbudowanego mężczyznę.

Zanim Pitt zdążył zadać kolejne pytanie, winda dotarła na powierzchnię. Inżynier wysiadł i stanął, patrząc na przejeżdżającą furgonetkę. Dał znak Pittowi, by poszedł za nim. Skręcili za róg budynku, w którym znajdowała się jadalnia, i weszli między kontenery.

Inżynier wskazał na kombinezon Pitta.

- Należy do inżyniera, który leży z grypą. Muszę go odnieść, zanim zauważy jego brak i zacznie się zastanawiać, co się stało.

- Świetnie, pewnie się zaraziłem od jego maski - mruknął Pitt.

- Pańscy Indianie musieli wrócić do łodzi - powiedział inżynier wskazując na rampę załadunkową. Traktorek i wagoniki zniknęły. - Furgonetka, która właśnie przejeżdżała, wozi ludzi w tę i z powrotem. Powinna tu być za parę minut. Niech pan ją zatrzyma i poprosi kierowcę o przewiezienie przez tunel.

Pitt popatrzył na inżyniera z powątpiewaniem.

- Sądzi pan, że nie zacznie pytać, dlaczego odłączyłem się od Indian?

Inżynier wyjął z kieszeni notes i pióro, napisał coś, wyrwał kartkę i podał ją Pittowi.

- Proszę mu to dać. Zagwarantuje to panu wolny przejazd. Muszę wracać do pracy, zanim mięśniaki Eleganckiego Johna zaczną zadawać pytania.

Pitt uściśnął mu dłoń.

- Jestem panu bardzo wdzięczny za pomoc. Dużo pan zaryzykował, przekazując tajemnice Dorsett Consolidated obcej osobie.

- Jeżeli uchroni to niewinnych ludzi od śmierci, każde ryzyko było tego warte.

- Życzę panu szczęścia.

- Ja panu też. - Inżynier ruszył przed siebie, po chwili jednak stanął i odwrócił się. - Jeszcze jedno, tylko dla ciekawości. Wczoraj helikopter Dorsetta poleciał za wodolotem. Nie wrócił.

- Wiem. Wpadł na wzgórze i spalił się.

- Skąd pan to wie?

- Leciałem tym wodolotem.

Inżynier zmrużył oczy.

- A co z Malcolmem Stokesem?

Do Pitta dotarło, że inżynier był tym tajnym agentem, którego wspomniał Stokes.

- Ma w płucu odprysk metalu, ale dożyje do emerytury.

- Cieszę się. To dobry człowiek i ma miłą rodzinę.

- Żonę i piątkę dzieci. Powiedział mi o tym, jak spadliśmy na ziemię.

- A więc uszedł pan cało tylko po to, żeby znów wskoczyć w lwią paszczę.

- Nie za mądre, co?

Inżynier uśmiechnął się.

- Chyba nie. - Odwrócił się i ruszył w kierunku budynku z windami, w którym po chwili zniknął.

Pięć minut później pojawiła się furgonetka i Pitt zatrzymał ją machając rękami. Kierowca w mundurze ochroniarza patrzył podejrzliwie.

- Co tu robisz?

Pitt bez słowa podał mu złożoną kartkę. Kierowca przeczytał ją, rzucił na podłogę i skinął głową.

- Dobra, wsiadaj. Zawiozę cię do baraku przeszukań na końcu tunelu.

Kiedy kierowca ruszył, Pitt usiadł za nim. Po chwili ostrożnie się schylił i podniósł zgniecioną notatkę. Było na niej napisane:

Ten rybak Haida był w kiblu, kiedy zostawili go jego ludzie. Proszę dostarczyć go do przystani, nim odpłyną. C. Cussler, główny sztygar.

Kierowca stanął przed budynkiem przeszukań, gdzie drugi raz tego dnia sprawdzono Pitta od stóp do głów za pomocą rentgena. Po dokonaniu badania i zakreśleniu wszystkich punktów na liście, lekarz skinął głową i powstrzymał ziewnięcie.

- Nie masz diamentów, dryblasie.

- Komu one potrzebne? - obojętnie mruknął Pitt. - Nie można się nimi najeść. To przekleństwo białego człowieka. Indianie nie zabijają za diamenty.

- Spóźniłeś się, co? Twoi ludzie przechodzili tędy dwadzieścia minut temu.

- Zasnąłem - powiedział Pitt ubierając się szybko.

Ruszył przed siebie biegiem i wkrótce był przy nabrzeżu. Pięćdziesiąt metrów od wody zaczął zwalniać. Patrzył ze zdziwieniem i niewiarą. Łodzie Indian odpłynęły dobre pięć kilometrów od brzegu. Był sam i nie miał dokąd pójść.

Frachtowiec, stojący po przeciwnej od jachtu Dorsetta stronie basenu portowego, kończył wyładunek. Pitt obiegł zdejmowane ze statku na drewnianych paletach kontenery i spróbował wmieszać się pomiędzy sprzęt i ludzi. Kierował się na trap frachtowca, zamierzał spróbować wejść na pokład. Doszedł do trapu, postawił na nim nogę i chwycił dłonią poręcz, a wtedy tuż za jego plecami rozległ się spokojny głos:

- Zaczekaj, rybaku. Nie zdążyłeś na łódź, co?

Pitt powoli się odwrócił i choć serce waliło mu jak oszalałe, zamarł. Przed nim stał oparty o wielką skrzynię sadysta Crutcher i palił ogryzek cygara. Obok niego stał jeden z jego ludzi i wodził w górę i w dół postaci Pitta lufą karabinka szturmowego M-16. Był to ten, którego Pitt pobił w biurze Merchanta. Serce Pitta jeszcze przyspieszyło, bowiem zza tej dwójki wyszedł sam Elegant John Merchant i wbił w Pitta tak zimny wzrok, jak umieją to robić tylko ci, którzy uwielbiają mieć w swoich rękach czyjś los.

- Proszę, proszę. Strasznie pan uparty, panie Pitt.

- Poznałem typa od razu, jak zobaczyłem go w furgonetce - pochwalił się ochroniarz. Wyszczерzył zęby w wilczym grymasie, zrobił krok w przód i wbił Pittowi lufę prosto w brzuch. - To mały rewanż za uderzenie mnie, kiedy byłem nieprzygotowany.

Pitt zgął się przeszyty gwałtownym bólem. Lufa wbiła się w ciało, na szczęście nie rozerwała skóry ani nie doszła do żadnego wewnętrznego organu. Podniósł głowę i patrząc na uśmiechniętego złośliwie ochroniarza, syknął przez zaciśnięte zęby:

- Maniery, powiedziałbym, z chlewu.

Ochroniarz ponownie się zamachnął, ale Merchant go powstrzymał.

- Starczy, Elmo. Zabawisz się nim później. Najpierw wyjaśnimy, dlaczego tak się do nas pcha. - Popatrzył na Pitta przepaszająco. - Musi pan wybaczyć Elmo, odruchowo bije tych, którym nie ufa.

Pitt rozpaczliwie zastanawiał się nad sposobem ucieczki. Nie widział żadnego poza skokiem do lodowatej wody, gdzie by zamarzył na śmierć, choć raczej zostałby posiekany na rybią karmę przez karabinek Elmo.

- Musi pan mieć bujną wyobraźnię, jeżeli uważa pan, że stanowią jakiegokolwiek zagrożenie - mruknął do Merchanta grając na czas.

Elegant John najspokojniej w świecie wyjął ze złotej papierošnicy papierosa i zapalił.

- Od naszego ostatniego spotkania przeprowadziłem drobne śledztwo na pański temat, panie Pitt. Powiedzenie, że jest pan zagrożeniem, to poważne niedocenienie pana. Nie wtargnął pan na prywatny teren pana Dorsetta, żeby badać ryby i wodorosty. Przybył pan w nieco innych, znacznie mniej przyjaznych celach. Mam nadzieję, że zdecyduje się pan po dobroci opowiedzieć szczegółowo o swoich zamiarach i zrezygnuje ze swego teatralnego oporu.

- Bardzo mi przykro, ale będę musiał pana zawieść - powiedział Pitt między dwoma głębokimi

oddechami. - Obawiam się, że nie starczy panu czasu na dokładne przesłuchanie.

Merchant niełatwo było zwieść, znakomicie jednak wiedział, że nie ma przed sobą byle przemytnika. Na widok pozbawionych cienia strachu oczu Pitta gdzieś na dnie jego duszy pojawił się cień niepokoju. Poczul go nawet dość wyraźnie.

- Przyznaję, że oczekiwałem od pana czegoś więcej niż taniego blefu.

Pitt spojrzal w góre, jakby wypatrywał czegoś na niebie.

- W każdej chwili powinien się pojawić szwadron myśliwców z lotniskowca „Nimitz”, uzbrojonych w rakiety powietrze ziemia.

- Urzędnik byle jakiej amerykańskiej agencji rządowej ma mieć możliwości zaatakowania kanadyjskiej ziemi? Wątpię.

- Co do mnie ma pan rację, ale mój szef, admirał Sandecker, jest upoważniony do wydania takiego rozkazu.

Przez ułamek sekundy Pitt miał wrażenie, że Merchant to kupi. Jego mina wskazywała na wahanie, zaraz jednak wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu, zrobił krok do przodu i uderzył Pitta grzbietem odzianej w rękawiczkę dłoni w usta. Pitt zatoczył się do tyłu, czując jak z warg tryska mu krew.

- Korzystam z okazji - powiedział Merchant oschle. Ze znudzoną miną starł z rękawiczki kroplę krwi. - Koniec bajek. Będzie się pan odzywał jedynie zapytany. - Odwrócił się do Crutchera i Elmo. - Zawieźcie go do mojego biura. Tam porozmawiamy sobie dalej.

Crutcher położył Pittowi dłoń na twarzy i pchnął z taką siłą, że Pitt zataczając się zrobił kilka kroków po kamiennym nabrzeżu.

- Myślę, że lepiej się przespacerujemy, szefie. Naszemu mądrali przyda się mała nauczka na zmiękczenie.

- Stać! - dobiegł nagle ostry głos z pokładu jachtu. Boudicca Dorsett stała oparta o reling i obserwowała odgrywający się niżej dramat. Miała na sobie wełniany golf, rozpinaną bluzę i krótką plisowaną spódnice, na nogach białe pończochy oraz buty do końskiej jazdy z cielecej skóry. Strząsnęła włosy na plecy i wskazała palcem w kierunku trapu łączącego jacht z nabrzeżem.

- Przyprowadźcie intruza na pokład.

Merchant i Crutcher wymienili niespokojne spojrzenia i pchnęli Pitta w kierunku jachtu. Elmo kłut go boleśnie lufą w okolicę nerek, wpychając na pokład, a potem do salonu.

Boudicca stała przy biurku, które zostało zrobione z wyrzuconego na brzeg przez morze drewna i płyty włoskiego marmuru. Jej spódnica wyglądała jak kula - rozszerzała się do połowy uda, a wokół kolan znów była ciasna. Boudicca była w ruchach wybitnie męska, otaczała ją jednak nie tylko aura bogactwa i blasku - promieniowała też zmysłowością. Było jednoznaczne, że uwielbia poniżać mężczyzn i na widok otwarcie ją lustrującego Pitta zmarszczyła gniewnie czoło.

Pitt podziwiał jej teatralne zdolności. Większość mężczyzn byłaby już dobrze przestraszona. Merchant, Crutcher i Elmo nie mogli oderwać od niej oczu, Pitt nie zamierzał jednak tańczyć jak mu zagrają. Ignorował ewidentny urok Boudicki i zmuszał się do wodzenia wzrokiem po luksusowym wyposażeniu salonu.

- Ładnie tu pani ma - powiedział niby mimochodem.

- Nie odzywaj się nie proszony przy pani Dorsett! - warknął Elmo unosząc lufę karabinka, żeby znów dźgnąć Pitta.

Pitt błyskawicznie się odwrócił, jedną ręką pchnął zbliżającą się lufę na bok, drugą, zaciśniętą

w pięść, wbił Elmo tuż nad kroczem. Ochroniarz głucho jęknął, zgiął się wpół wypuszczając z ręki karabinek i łapiąc się za bolesne miejsce.

Pitt podniósł broń z grubego dywanu, nim ktokolwiek zdążył zareagować, i spokojnie podał ją zaskoczonemu Merchantowi.

- Męczy mnie powoli bycie celem szaleństw tej sadystycznej małpy. Niech go pan trochę pilnuje.
- Odwrócił się do Boudicki. - Wiem, że jest dość wcześnie, ale chętnie bym się czegoś napił. Ma pani na pokładzie tej pływającej willi tequilę?

Boudicca nie straciła zimnej krwi, przyglądała się Pittowi z jeszcze większą uwagą.

- Kto to jest? - spytała Merchanta. - Skąd się wziął?

- Przeszedł przez linie ochronne udając rybaka. Jest amerykańskim agentem.

- Dlaczego węszy wokół kopalni?

- Właśnie prowadziłem go do mojego biura, żeby uzyskać odpowiedź, kiedy wezwała nas pani na pokład - odpowiedział Merchant.

Boudicca wyprostowała się. Była znacznie wyższa od stojących przed nią mężczyzn. Jej głos stał się naraz niezwykle zmysłowy i głęboki, ale patrzące na Pitta oczy były w dalszym ciągu zimne jak stal.

- Nazwisko i powód przybycia na wyspę, proszę.

Merchant zaczął:

- Nazywa się...

- Chcę, żeby on odpowiedział - przerwała.

- A więc Boudicca Dorsett to pani - powiedział Pitt, jakby nie usłyszał pytania. Bez drgnienia oka odwzajemniał spojrzenie. - Teraz znam was wszystkie trzy.

Nie od razu zrozumiała.

- Wszystkie trzy?

- Przemiłe córeczki Arthura Dorsetta.

W jej oczach zamigotała wściekłość, że się z nią igra. Zrobiła dwa kroki do przodu, chwyciła Pitta za ramiona i pchnęła na ścianę. Stali tak, prawie stykając się nosami. Przyszpilala go wzrokiem. Jej czarne oczy nie wyrażały niczego. Nic nie mówiła, jedynie przyciskała go coraz mocniej do ściany i ciągnęła do góry, aż jego stopy oderwały się od dywanu.

Pitt bronił się napinając ciało i naprężając bicepsy. Miał wrażenie, że wokół ramion zaciska mu się imadło. Nigdy by się nie spodziewał, że ktoś może być tak silny, nie wspominając o tym, że mogłaby to być kobieta. Zdawało mu się, że Boudicca miażdży mu mięśnie na papkę. Zacisnął zęby i krwawiące usta, żeby opanować ból. Kiedy w końcu go puściła i cofnęła się, miał zdrętwiałe i zbielełe ręce.

- Jeśli nie chcesz, żebym złapała cię za gardło, powiesz mi, kim jesteś i dlaczego węszysz po naszej kopalni.

Pitt przez kilka chwil nic nie mówił, czekając aż ból minie i wróci mu czucie w rękach. Ciągle jeszcze był zadziwiony nieludzką siłą tej kobiety.

- To tak traktuje się tego, kto uratował pani siostry od pewnej śmierci? - odezwał się wreszcie.

Oczy Boudicki rozszerzyły się pytająco.

- O czym ty gadasz? Skąd znasz moje siostry?

- Nazywam się Dirk Pitt. Moi przyjaciele i ja uratowaliśmy na Antarktydzie Maeve od zamarznięcia na śmierć, a Deidre od utonięcia.

- Ty?! - Słowa wydobywały się z jej ust jak kipiąca para. – To ty jesteś tym z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych?

- W samej rzeczy. - Pitt podszedł do pokrytego miedzią barku i wziął serwetkę, którą starł sobie krew z ust. Merchant i Crutcher patrzyli na niego, jakby był koniem, na którego postawili ostatnie pieniądze i właśnie odmówił uczestnictwa w gonitwie.

Merchant patrzył głupio na Boudicę.

- Na pewno kłamie.

- Mógłbym opisać pani siostry? - obojętnie spytał Pitt. - Maeve jest wysoka, ma jasne włosy i niewiarygodnie błękitne oczy. Ideał plażowej piękności - przerwał, by wskazać na wiszący na ścianie portret młodej blondynki w staromodnej sukni z naszyjnikiem zakończonym diamentem wielkości przepiórczego jaja. - To ona.

- Grubo się pan myli - odpowiedziała Boudicca. - To jest akurat portret mojej prapraprababki.

- To nie ma nic do rzeczy - powiedział Pitt z pozorną obojętnością, nie chcąc odrywać oczu od tak przypominającego Maeve wizerunku. - Deidre ma brązowe oczy i rude włosy, porusza się jak modelka.

- Musi być tym, za kogo się podaje - zdecydowała Boudicca po długiej przerwie.

- Ale nie wyjaśnia to jego obecności tutaj - upierał się Merchant.

- Powiedziałem już panu, kiedy widzieliśmy się poprzednim razem, że przyjechałem, aby zbadać wpływ wylewanych z kopalni do morza trucizn i chemikaliów na faunę i florę morską.

Merchant uniósł kąciki ust.

- Pomysłowa historia, tyle że nieprawdziwa.

Pitt nie mógł pozwolić sobie na najmniejszą nieuwagę. Był otoczony przez groźnych ludzi, chytrych i przebiegłych. Zdawał sobie sprawę, że nie minie dużo czasu, a Boudicca przejrzy jego grę. Było to nieuniknione. Miała dość informacji, by stworzyć sobie obraz sytuacji. Uznał, że łatwiej zapanuje nad sytuacją mówiąc prawdę.

- Jak pani chce. Jestem tutaj, ponieważ ultradźwięki, używane przez was do wydobywania diamentów, powodują rezonans struktur geologicznych, który roznosi się na duże odległości po oceanie. W określonych warunkach wytworzone w efekcie tego rezonansu wibracje łączą się z wibracjami wysyłanymi z innych waszych kopalni umieszczonych wokół Pacyfiku i zabijają na dużych obszarach wszelkie życie. Oczywiście nie mówię niczego, o czym by pani już nie wiedziała.

Wytrącił Boudicę na chwilę z równowagi. Wbiła w niego wzrok, jakby właśnie wysiadł z UFO.

- Jest pan niezły w wymyślaniu ciekawych historyjek - powiedziała po chwili z wahaniem w głosie. - Powinien pan iść do filmu.

- Zastanawiałem się nad tym, ale nie mam talentu Jamesa Woodsa ani wyglądu Mela Gibsona. - Na oszklonej półce za barem zauważył butelkę srebrnej tequili herradura, sięgnął po nią i nalał sobie wysoki kieliszek. Rozejrzał się i po sekundzie znalazł solniczkę i cytrynę. Nie zwracając uwagi na Boudicę i ochroniarzy, polizał dłoń między nasadami kciuka i palca wskazującego i posypał to miejsce solą. Wypił jednym haustem tequilę, zlizął sól i zagryzł cytrynę.

- Znakomicie, teraz jestem gotów przeżyć pozostałe atrakcje dzisiejszego dnia. Jak już mówiłem, wie pani znacznie więcej ode mnie o okropnościach - jak to się mówi - kataklizmu dźwiękowego niż ja, pani Dorsett. Właśnie to o mało nie zabiło pani siostr, nie sądzę więc, że mówię coś dla pani nowego.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. - Zwróciła się do Merchanta i Crutchera. - Ten człowiek

jest niebezpieczny. Stanowi zagrożenie dla Dorsett Consolidated Mining. Zabierzcie go z mojego jachtu i zróbcie, co uważacie za konieczne, żeby nie nachodził nas ponownie.

Pitt spróbował złapać się ostatniej deski ratunku.

- Aktor Garret Converse i jego chińska żonka „Tsu Hsi”. David Copperfield mógłby pozazdrościć sposobu, w jaki doprowadziła pani do zniknięcia zarówno jego, jak i żalogi.

Zareagowała zgodnie z jego oczekiwaniami. Cała jej siła i arogancja nagle przysły. Boudicca wyglądała na zagubioną, Pitt postanowił więc pójść za ciosem.

- Z pewnością nie zapomniała pani „Mentawai”. To była prosta robota, lecz źle ustawiła pani zapalniki i zatopiła statek razem z ekipą ratowniczą z „Rio Grande”, która badała wyglądający na porzucony statek. Niestety pani jacht został zauważony w trakcie ucieczki z miejsca zbrodni i zidentyfikowany.

- Bardzo ciekawa bajka. - W głosie Boudicci było szyderstwo, przeczył mu jednak widoczny w oczach niepokój. - Jest pan znakomitym oratorem, panie Pitt. Skończył pan, czy jeszcze coś usłyszymy?

- Zakończenie jeszcze nie zostało napisane, ale sądzę, że nie rozminę się z prawdą mówiąc, że wkrótce Dorsett Consolidated Mining będzie jedynie wspomnieniem.

Posunął się o krok za daleko. Boudicca traciła panowanie nad sobą. Znow zakipiała w niej złość i podeszła bardzo blisko Pitta. Wiało od niej lodem.

- Mojego ojca nie powstrzyma żaden rząd ani instytucja. Na pewno nie w ciągu najbliższych dwudziestu siedmiu dni, ale wtedy zamkniemy kopalnię z własnej woli.

- Dlaczego nie zrobicie tego teraz, aby zaoszczędzić życie niewinnych ludzi?

- Ani chwili wcześniej niż będziemy gotowi.

- Do czego?

- Niestety nie będzie pan mógł zapytać o to Maeve.

- Nie rozumiem.

- Deidre powiedziała mi, że zaprzyjaźniła się ze swym zbawcą.

- Przecież ona jest w Australii.

Boudicca pokręciła głową.

- Maeve jest w Waszyngtonie i pracuje jako agentka naszego ojca, przekazując mu wszystko, co NUMA wie o zabójczych wibracjach. Należy mieć zaufanego człowieka w szeregach przeciwnika.

- Źle ją oceniłem - burknął Pitt. - Sprawiała, że uwierzyłem, iż jej życiowym celem jest ochrona fauny morskiej.

- Jej wszelkie opory moralne zniknęły, kiedy dowiedziała się, że tata ma jako zabezpieczenie jej dwóch synów.

- Jako zakładników? - Sprawa zaczynała się wyjaśniać. Do Pitta powoli docierało, że machinacje Arthura Dorsetta nie wynikały jedynie z chciwości.

Był bezlitosnym podrzynaczem gardeł, drapieżnikiem, dla którego nic nie znaczyło używać członków własnej rodziny jako fantów.

Boudicca nie odpowiedziała Pittowi, za to skinęła głową Johnowi Merchantowi.

- Jest do waszej dyspozycji.

- Zanim pochowamy go razem z innymi - powiedział Crutcher z rozmarzeniem - nakłonimy go do ujawnienia wszelkich detali, o których mógł zapomnieć.

- Tak więc będę torturowany, a potem zastrzelony - rzekł nonszalancko Pitt nalewając sobie

kolejny kieliszek tequili. Udając zimną krew, gorączkowo wymyślał i natychmiast uznawał za bezsensowne kolejne plany ucieczki.

- Przypluwając tu sam się pan skazał - stwierdziła Boudicca. - Jeżeli NUMA by rzeczywiście podejrzewała, że nasze metody wydobywcze są odpowiedzialne za wysyłanie śmiertelnych fal przez ocean, nie musiał by pan węszyć na terenie wyspy. Prawda jest niestety taka, że wyjaśnił pan zagadkę w ciągu ostatnich paru godzin i musi przekazać informacje swoim zwierzchnikom w Waszyngtonie. Gratulacje, panie Pitt. Dotarcie do kopalni było majstersztykiem, ale nie udało się to panu bez pomocy. Kiedy pan Merchant zmotywuje pana do ujawnienia szczegółów, dotrzemy do pańskich pomocników.

Pitt pomyślał, że został nieźle przyszpilony.

- Proszę przekazać ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia siostrom - powiedział jednak jak najspokojniej.

- O ile je znam, z pewnością już o panu zapomniały.

- Deidre być może, ale Maeve raczej nie. Teraz, kiedy znam już wszystkie trzy siostry, wiem, że jest z was najuczciwsza.

Pitt był zaskoczony nienawiścią, jaką ziała Boudicca.

- Maeve jest wyrodkiem! Nigdy nie była naprawdę związana z rodziną!

- Nic dziwnego. - Pitt uśmiechnął się ironicznie, złośliwie i wyzywająco.

Boudicca wstała i spojrzała na niego z góry. Śmiejące się, migoczące zielone oczy Pitta doprowadzały ją do szału.

- Kiedy będziemy zamykać kopalnię, Maeve i jej bękarty znikną z powierzchni ziemi. - Wbiła wzrok w Merchanta. - Zabieraj tego śmiecia z mojego jachtu! Nie chcę go więcej widzieć!

- Już nigdy go pani nie zobaczy, pani Dorsett - zapewnił Merchant kiwając na Crutchera, żeby wypchnął Pitta z salonu. - Obiecuję, że męczy panią swym widokiem po raz ostatni.

Prowadząc Pitta między sobą i ubezpieczani od tyłu przez Elmo, Merchant i Crutcher wyszli na nabrzeże i ruszyli do stojącej nie opodal furgonetki. Mijali wyładowane właśnie z frachtowca kontenery, kiedy głośnie prychnięcie poruszających dźwigiem silników zagłuszyło tępe uderzenie za plecami Pitta. Zorientował się, że coś się dzieje, dopiero gdy Crutcher zwijając się poleciał na ziemię. Pitt instynktownie skulił się i odwrócił - akurat w momencie kiedy Merchant przewrócił oczami i padł jak wór. Kilka kroków wcześniej na ziemię padł Elmo. Nie żył.

Od śmiertelnego uderzenia w kark Elmo do utraty przytomności przez Johna Merchanta minęło nie więcej niż dziesięć sekund. Nad nieprzytomnymi stał Mason Broadmoor z solidnym stalowym kluczem w rękach. Chwycił Pitta za ramię i rzucił:

- Skacz!

- Gdzie?

- Do wody, głupku!

Pitta nie trzeba było popędzać. Pięć kroków rozbiegu i lecieli w powietrzu. Wylądowali w wodzie tuż przed burtą frachtowca. Lodowata woda poraziła Pittowi końcówkę każdego nerwu, zaraz jednak zaczęła robić swoje adrenalina i odzyskał zdolność ruchu. Płynęli jak na zawodach.

- I co teraz? - jęknął Pitt, wydechając chmurę pary i starając się strząsnąć lodowatą wodę z włosów i twarzy.

- Skutery - odpowiedział Broadmoor wydmuchując wodę z nosa. - Ściągnęliśmy je z łodzi i schowaliśmy pod pirsem.

- Były na łodzi? Nic nie zauważyłem.

- W skrytce, którą osobiście zrobiłem - powiedział uśmiechając się Broadmoor. - Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie zwiewać przed szeryfem. - Był już przy umocowanym pod wodą do betonowego słupa skuterze. - Umie pan jeździć skuterm wodnym?

- Jakbym się na nim urodził - odparł Pitt wskakując na skuter i łapiąc kierownicę.

- Jeżeli popłyniemy tak, żeby między nami a nabrzeżem mieć statek, powinniśmy przynajmniej przez pół kilometra być osłonięci od ich ognia.

Wcisnęli startery i podrasowane silniki ryknęły. Broadmoor z przodu, Pitt nie więcej niż metr za nim wyprysnęli jak wystrzeleni z armaty. Zawrócili niemal o sto osiemdziesiąt stopni i okrążyli dziób frachtowca, kryjąc się za jego kadłubem. Silniki reagowały na każdy ruch manetkami. Pitt nie oglądał się, przekręcił rączkę gazu do oporu i podświadomie czekał, aż woda wokół niego zakipi od kul. Udało im się jednak; byli daleko poza zasięgiem strzału, zanim ludzie Merchanta spostrzegli ucieczkę.

Drugi raz w ciągu kilku dni Pitt uciekał z kopalni Dorsetta na wyspę Moresby. Woda śmigała migocząc niebieskozielono, jasne kolory skuterów i namalowane na nich symbole Indian Haida migotały w jaskrawym słońcu. Od kontaktu z niebezpieczeństwem Pitt miał wyostrzone zmysły, jego reakcje były szybsze. Z powietrza przesmyk między wyspami wyglądał jak rzeczka, teraz jednak zapraszające bezpieczeństwo drzew i skalistych wzgórz wyspy Moresby wyglądały jak daleka plamka na horyzoncie. Pitt był zaskoczony stabilnością wet-jeta i ciągiem jego silnika, który mruczając jak niedźwiedź pchał skuter przez niskie fale bez śladu podskakiwania. Szybki i znakomicie reagujący stabilizator dawał poczucie znakomitego panowania nad maszyną, która naprawdę była silna. Pitt szacował, że mkną po wodzie z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Wrażenie było takie, jakby jechało się klasowym motocyklem, tyle że po wodzie. Przeskoczył przez kilwater Broadmoora i podjechał do niego tak, że płynęli równolegle.

- Jak nas dogonią, zrobią z nas rąbankę! - krzyknął.

- Nie ma strachu! - odkrzyknął Broadmoor. - Jesteśmy szybsi od ich łodzi patrolowych!

Pitt odwrócił się i popatrzył za siebie na szybko malejącą wyspę. Zaklął, zobaczył bowiem, że nad otaczającą kopalnię hałdę wznosi się helikopter.

- Ale śmigłowcowi nie uciekniemy - poinformował Broadmoora.

W odróżnieniu od ponurego Pitta Broadmoor promieniał entuzjazmem jak chłopiec rozgrzewający się przed pierwszymi w życiu zawodami. Pałał podnieceniem. Spojrzał do tyłu na odległy jeszcze helikopter.

- Nie mają szansy - powiedział uśmiechając się. - Płyn za mną.

Doganiali łodzi z wracającymi do domu rybakami, ale Broadmoor skręcił ostro i zatoczył wokół nich szeroki łuk. Brzeg był kilkaset metrów przed nimi, helikopter zmniejszył dystans do mniej więcej kilometra. Pitt widział bijące o pionowy brzeg fale i kiedy Broadmoor skierował się prosto na przybój, przeszło mu przez myśl, czy nie zamierza zabawić się w kamikaze. Pitt odwrócił uwagę od prześladowców i postanowił oddać swój los w ręce indiańskiego rzeźbiarza totemów. Ruszył kilwaterem pędzącego przed nim skutera. Wpadli w kipiela utworzoną przez kłębiące się pod klifem grzywacze.

Pitt czekał, kiedy wjadą na atakowaną przez fale pionową skałę. Chwycił mocniej rączki, wbił stopy w zagłębienia i skoncentrował się na utrzymaniu się na skuterze. Huk fal przypominał grzmoty, widać było jedynie zasłonę piany i pyłu wodnego. Przez myśl przemknęło mu wspomnienie „Polar

Queen”, dryfującego bezradnie ku gołej skale, tym razem jednak był nie na oceanicznym liniowcu, ale na mikroskopijnym kawałku metalu. Nachodziło go coraz silniejsze przekonanie, że Broadmoor jest chory umysłowo.

Indianin objechał wielką skałę i Pitt pognął za nim. Manewr wymagał znakomitej koncentracji, umiejętności balansowania ciałem i regulacji mocy silnika, inaczej alboby został zmieciony ze skutera, albo stracił linię, którą zakreślał Broadmoor. Wyskoczyli jak rakiety nad grzbiet olbrzymiego grzywacza i spadli na wodę w dolinę dzielącą go od następnej fali.

Helikopter był prawie nad nimi, lecz pilot zamiast strzelać, przyglądał się z fascynacją na samobójcze manewry na wodzie. Nagle zdał sobie sprawę, że sam jest w niebezpieczeństwie i unosząc maszynę niemal pionowo, ledwie uniknął zderzenia z klifem. Zrobił ostry nawrót, żeby wziąć skutery na muszkę, ale nim to zrobił, stracił je na dziesięć decydujących sekund z oczu. Kiedy znów nadleciał nad wodę, jego łup zniknął.

Wewnętrzny głos mówił Pittowi, że jeszcze kilkaset metrów, a rozbiją się o klif i na tym sprawa się zakończy. Mógł odbić w bok i spróbować kluczyć przed helikopterem, lecz nie zmieniał kursu. Całe jego życie przebiegało przed nim jak film... Nagle zrozumiał.

Na linii wodnej była w skale przypominająca ucho igielne szparka, nie szersza niż dwa metry. Broadmoor wjechał w wąziutki otwór i zniknął. Pitt ze złymi przeczuciami wjechał za Indianinem. Mógłby przysiąc, że końce rączek kierownicy drasnęły ściany tunelu, natychmiast jednak znalazł się w potężnej, wysokiej grocie, której sklepienie wznosiło się daleko w górę w kształcie odwróconej litery V. Broadmoor zwolnił i podpłynął do wystającej z wody skały, zeskoczył ze skutera, szybko ściągnął płaszcz i zaczął go wypychać leżącymi na skale suchymi wodorostami. Pitt natychmiast zrozumiał fortel. Też zatrzymał skuter i zaczął robić to co Indianin.

Wypchane płaszcze wrzucili do wody u wyjścia jaskini. Prąd wyciągnął „trupcy” na zewnątrz i natychmiast zostały porwane przez kipieli u podstawy klifu.

- Myślisz, że dali się oszukać?

- Stuprocentowo. Klif jest skośny i z powietrza nie można zauważyć wejścia do groty. - Broadmoor nastawił ucha i zaczął się przysłuchiwać szukającemu ich helikopterowi. - Daję im dziesięć minut, potem odlecają donieść Elegantowi Merchantowi - oczywiście jeżeli już odzyskał przytomność - że roztrzaskaliśmy sobie mózgi o skały.

Broadmoor nie pomylił się, odbijający się echem o ściany groty klekot łopat helikoptera po kilkunastu minutach zaczął słabnąć i wkrótce zamilkł. Broadmoor sprawdził stan paliwa i z zadowoleniem skinął głową.

- Jeżeli popłyniemy powoli i ostrożnie, powinniśmy dopłynąć do wsi.

- Proponuję zaczekać do zapadnięcia zmroku. Nie warto pokazywać się zbyt wcześnie, nie wiadomo, czy pilot nie ma specjalnych rozkazów.

Dotrzesz do domu po ciemku?

- W opasce na oczach i kaftanie bezpieczeństwa. Wyruszmy o północy, to będziemy w łózkach tuż po trzeciej.

Przez następne kilkanaście minut, zmęczeni ucieczką i otarciem się o śmierć, siedzieli w milczeniu, słuchając jedynie odbijającego się echem huku fal na zewnątrz. W końcu Broadmoor sięgnął do skrytki w swoim skuterze, wyciągnął owinięty płótnem dwulitrowy gąsiorek. Odkorkował i podał butlę Pittowi.

- Wino jeżynowe. Sam robiłem.

Pitt pociągnął długi łyk i skrzywił się.

- Chciałeś powiedzieć „nalewka jeżynowa”?

- Przyznaję, że ma trochę kopa. - Indianin uśmiechnął się, kiedy Pitt oddawał mu gasior. -

Dowiedziałeś się w kopalni, czego chciałeś?

- Tak, twój inżynier zawiózł mnie do źródła problemu.

- To dobrze. W takim razie gra była warta świeczki.

- Ale zapłacicie za to wysoką cenę. Nie sprzedacie w kopalni więcej ryb.

- I tak czułem się jak dziwka, biorąc od Dorsetta pieniądze - odparł Broadmoor z niesmakiem.

- Na pocieszenie powiem ci, że Boudicca Dorsett twierdzi, że jej ojciec zamierza zamknąć kopalnię za miesiąc.

- Jeżeli to prawda, moi ludzie bardzo się ucieszą - powiedział Broadmoor podając Pittowi butlę.

- Ta wiadomość zasługuje na kolejną rundę.

- Jestem twoim dłużnikiem i nie wiem, czy kiedykolwiek będę się w stanie zrewanżować - cicho powiedział Pitt. - Dużo ryzykowałeś, pomagając mi uciec.

- Za możliwość rozwalenia Merchantowi i Crutcherowi łbów, było warto.

Jeszcze nigdy nie czułem się tak dobrze. To ja powinienem podziękować.

Pitt uściśnął Broadmoorowi dłoń.

- Będzie mi brakowało twojego poczucia humoru.

- Wracasz do domu?

- Do Waszyngtonu z informacjami.

- Jak na człowieka z kontynentu jesteś w porządku, przyjacielu. Jeżeli byś kiedyś potrzebował drugiego domu, zawsze będziesz mile widziany w mojej wsi.

- Nigdy nic nie wiadomo - odpowiedział Pitt ciepło. - Może któregoś dnia skorzystam z oferty.

Opuścili grotę długo po zmroku, by nie ryzykować ewentualnego odkrycia przez łodzie patrolowe Dorsetta, Broadmoor zawiesił sobie na plecach łańcuszek słabo świecących żaróweczek, Pitt mógł więc płynąć za nim po ciemku. Wzmocniony „winem” z jeżyn Pitt płynął za Indianinem przez wzburzone fale i omijał za nim skały, nie mogąc wyjść z podziwu, z jaką łatwością Broadmoor odnajduje drogę.

Gotował się ze złości na myśl, że Maeve została zmuszona przez ojca do szpiegowania. Czuł w sercu klucie, jakie nie prześladowało go od lat. Przypomniawszy sobie kobietę, którą znał kiedyś, i jego emocje zakipiwały. Nagle zrozumiał, że można tak samo kochać dwie kobiety - jedną martwą, drugą żywą.

Gnany i rozrywany konfliktem pomiędzy miłością a nienawiścią oraz determinacją, żeby powstrzymać Arthura Dorsetta bez względu na koszty i konsekwencje, zacisnął dłonie na rączkach skutera, aż zbieleły mu kostki i zaczęły w świetle księżyca niemal świecić. Dumął i gnał dalej w kilwatterze Broadmoora.

Prawie całe popołudnie wiatr dał z tą samą siłą z północnego wschodu. Był rzeński, ale siły wystarczało mu jedynie na rzadkie spienienie grzbietu którejś z okolicznych metrowych fal. Wiatr przyniósł ze sobą deszcz, który tworzył gęstą zasłonę i ograniczył widoczność do pięciu kilometrów oraz powodował, że powierzchnia morza wyglądała, jakby tuż pod powierzchnią śmigały miliony śledzi. Większość marynarzy uznałaby tę pogodę za okropną, ale dla Anglików takich jak kapitan Ian

Briscoe, którzy spędzili dzieciństwo na łazieniu po pokładach tnących wody Morza Północnego statków, było to jak powrót do domu.

W odróżnieniu od młodszych oficerów, którzy woleli przebywać w osłoniętych od wiatru i wody pomieszczeniach, kapitan Briscoe stał na skrzydle mostka, jakby chciał napompować do krwi więcej tlenu, i wpatrywał się w punkt przed dziobem, jakby oczekiwał na pojawienie się statku widma, którego nie zauważono na radarze. Spojrzał na instrumenty i stwierdził, że barometr nie wykazuje zmian, a temperatura wynosi kilka stopni powyżej zera. W płaszczu z gumowanej tkaniny nie miał powodów narzekać na pogodę, jedyną niedogodnością były krople wody, którym udawało się przebić przez idealnie przystrzyżoną brodę i skapnąć na szyję.

Po dwutygodniowym postoju w Vancouver, gdzie uczestniczyli w ćwiczeniach morskich razem z marynarką wojenną Kanady, okręt Briscoe'a, niszczyciel typu 42, HMS „Bridlington”, wracał właśnie do Anglii przez Hongkong, w którym zatrzymywała się każda przekraczająca Pacyfik brytyjska jednostka. Choć dziewięćdziesięciodziewięcioletnia dzierżawa już się skończyła i kolonia Korony Brytyjskiej została w 1996 roku zwrócona Chinom, sprawą honorową było pokazywanie od czasu do czasu Krzyża Świętego Jerzego i przypominania nowym właścicielom, kto założył finansową Mekkę Azji.

Przez drzwi sterówki wychylił głowę porucznik Samuel Angus.

- Czy mógłby pan zrezygnować na kilka minut z walki z żywiołami i wejść do nas, sir?

- Dlaczego nie wyjdiesz na zewnątrz, chłopcze? - ryknął Briscoe przekrzykując wiatr. -

Mamałyga. Na tym polega problem z wami młodymi. Nie lubicie złej pogody.

- Panie kapitanie, proszę. Mamy na radarze zbliżający się helikopter.

Briscoe przeszedł przez skrzydło mostka i wszedł do sterówki.

- Nie widzę w tym nic dziwnego. Po co mnie pan wzywa do rutynowej sprawy? Przeleciały już nad nami dziesiątki samolotów.

- Ale helikopter? Stąd do kontynentu amerykańskiego jest ponad dwa tysiące kilometrów i nie ma ani jednego okrętu wojennego od nas do Hawajów!

- Musiał się zgubić. Proszę nawiązać z nim kontakt i zapytać, czy chce, byśmy podali mu pozycję.

- Już sobie pozwoliłem na nawiązanie kontaktu, kapitanie. Mówi tylko po rosyjsku.

- Kogo mamy, kto go zrozumie?

- Chirurga porucznika Rudolpha. Mówi płynnie po rosyjsku.

- Proszę go zawołać na mostek.

Trzy minuty później do siedzącego na wysokim krześle kapitańskim i wyglądającego w deszcz Briscoe'a podszedł niski blondyn.

- Posłał pan po mnie, kapitanie?

Briscoe skinął krótko głową.

- Kręci się niedaleko nas rosyjski helikopter, prawdopodobnie zaginiony z powodu burzy. Proszę porozmawiać z nim przez radio i zapytać, co tu robi.

Porucznik Angus podał lekarzowi słuchawki i wetknął zwisającą z nich wtyczkę w gniazdko na konsolce.

- Częstotliwość jest ustawiona, musi pan jedynie mówić.

Rudolph założył słuchawki i zaczął mówić. Briscoe i Angus czekali cierpliwie, podczas gdy lekarz zdawał się prowadzić konwersację z nie odpowiadającym na żadne pytanie partnerem. W końcu zwrócił się do dowódcy.

- Jest niezwykle zdenerwowany, prawie kompletnie rozkojarzony. Jedyne, co udało mi się z niego wydusić, to że pracuje we flocie wielorybniczej.

- Czyli po prostu robi swoje.

Rudolph pokręcił głową.

- Bez przerwy powtarza „oni nie żyją” i pyta, czy mamy lądowisko dla helikoptera. Jeśli tak, chciałby wejść na nasz pokład.

- To niemożliwe - burknął Briscoe. - Proszę mu przekazać, że Marynarka Królewska nie pozwala lądować obcym jednostkom na okrętach Jej Królewskiej Mości.

Rudolph przekazał, równocześnie jednak nad niszczycielem rozległ się warkot silnika i śmigłowiec zmaterializował się nad ich głowami. Był pół kilometra od dziobu na wysokości góra dwudziestu metrów nad poziomem morza.

- Wygląda, jakby był na skraju hysterii. Przysięga, że wyląduje, nawet jak go zestrzelimy.

- Cholera! - Briscoe był wściekły. - Akurat potrzebny mi na pokładzie terrorysta, który chce rozwalić statek!

- Niezbyt prawdopodobne, żeby w tym rejonie znalazł się terrorysta, kapitanie - powiedział Angus.

- Tak, tak, a zimna wojna skończyła się ponad dziesięć lat temu. Słyszałem o tym.

- Jeżeli się nie mylę, to pilot jest przestraszony, jakby zobaczył samą śmierć - wtrącił Rudolph. - Nie czuję w tym, co mówi, żadnej groźby.

Briscoe stał przez kilka minut nic nie mówiąc, potem przełączył dźwignię na interkomie.

- Radar? Macie oczy i uszy otwarte?

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiedziano z głośnika.

- Czy w okolicy są jakieś jednostki?

- Widzę jedną dużą i cztery mniejsze na kursie dwa-siedem-dwa, pięćdziesiąt pięć kilometrów od nas.

Briscoe przerwał kontakt i nacisnął inny przycisk.

- Radio?

- Panie kapitanie?

- Spróbujcie nawiązać kontakt z rosyjskim wielorybniczym zespołem łowczym, który znajduje się pięćdziesiąt kilometrów od nas. Jeżeli będziecie potrzebowali tłumacza, mogę wam podesłać naszego doktora.

- Trzydzieści słów po rosyjsku, jakie znam, powinny wystarczyć - wesoło odpowiedział radiooperator.

Briscoe popatrzył na Rudolpha.

- Dobrze, proszę dać mu zezwolenie na lądowanie.

Rudolph przekazał słowa dowódcy i zaczęli się przyglądać nadlatującemu od dziobu helikopterowi, który po chwili zawisł nad lądowiskiem, gotów do opuszczenia się na pokład. Briscoe miał doświadczenie w lataniu; według niego pilot źle prowadził maszynę, nie myślał o korygowaniu kursu na porywy wiatru.

- Lata jak psychiczny - parsknął kapitan niszczyciela. Odwrócił się do Angusa i powiedział: - Proszę przygotować dla naszego gościa uzbrojony komitet powitalny. - Po chwili dodał: - Jeżeli zadrapie mi statek, zestrzelcie go.

Angus miło się uśmiechnął i zamachał za plecami dowódcy do Rudolpha, równocześnie kazał

stojącemu przy konsolocie sternikowi zredukować prędkość. Ich zachowanie nie kryło w sobie niesubordynacji. Briscoe był lubiany przez każdego członka załogi jako stary wilk morski, który dbał o swoich ludzi i dowodził znakomitym okrętem. Mieli całkowitą świadomość, że niewiele jednostek Marynarki Królewskiej ma dowódcę, który woli służbę na morzu od parad.

Rosjanin przyleciał helikopterem Ka-32, cywilną wersją rosyjskiej maszyny marynarki wojennej, używanym do lekkich transportów i zwiadu. Ten egzemplarz sprawiał wrażenie, że gwałtownie potrzebuje konserwacji. Farba na kadłubie była wyblakła i łuszczyła się, spod osłon silnika kapał olej.

Na wysokości trzech metrów pilot zbyt szybko i za gwałtownie zredukował obroty; maszyna spadła ciężko na pokład, odbiła się w górę, zatoczyła na boki i znów opadła ciężko na koła, by wreszcie zamrzeć jak zbity pies. Ucichły silniki, wirnik zamarł.

Pilot odsunął boczne drzwi, wbił wzrok w olbrzymią kopułę kryjącą pod sobą radar „Bridlingtona”, potem przeniósł wzrok na oczekujących go pięciu żołnierzy ściskających w rękach karabinki automatyczne. Zeskoczył na pokład i głupkowato na nich patrzył. Po chwili został chwycony twardo za ramiona i pchnięty w otwarty luk. Marynarze przeprowadzili intruza trzy pokłady w dół i weszli w korytarzyk prowadzący do kwater oficerskich.

Pierwszy oficer, porucznik komandor Roger Avondale, zdążył już dołączyć do komitetu powitalnego i stał obok porucznika Angusa. Chirurg porucznik Rudolph czekał przy dowódcy gotowy do tłumaczenia. Spojrzał Rosjaninowi w oczy i ujrzał w jego rozszerzonych źrenicach przerażenie pomieszane ze zmęczeniem. Briscoe skinął na lekarza.

- Proszę go zapytać, na jakiej podstawie sądzi, że może wchodzić na pokład okrętu wojennego, kiedy tylko mu się zechce?

- Może go pan też zapytać, dlaczego leciał sam - dodał Avondale. - Nieprawdopodobne, żeby samotnie szukał wielorybów.

Rudolph i pilot rozpoczęli szybką wymianę ognia, która trwała ze trzy minuty. W końcu lekarz odwrócił się do dowódcy i powiedział:

- Nazywa się Fiodor Gromykin. Jest pierwszym pilotem eskadry helikopterów szukających wielorybów dla statków z Nikołajewsk. Twierdzi, że razem z drugim pilotem i obserwatorem szukali wielorybów dla statków łowczych.

- Statków łowczych? - spytał Angus.

- To szybkie, zwrotne statki o długości do sześćdziesięciu pięciu metrów, z których wystrzeliwuje się ku wielorybom harpuni z materiałem wybuchowym - wyjaśnił Briscoe. - Po trafieniu pompują do ciał wielorybów powietrze, żeby utrzymywały się na powierzchni, znakują radionadajnikami i zostawiają, ruszając na dalsze łowy. Potem wracają i przerzucają złowione sztuki na statki przetwórcze.

- Kilka lat temu piłem w Odessie z kapitanem takiego statku fabryki - powiedział Avondale. - Zaprosił mnie na pokład. Statek był ogromny, miał prawie dwieście metrów długości, był całkowicie samowystarczalny, wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt przetwórczy, laboratoria, a nawet własny szpital. Mogli na linach wciągnąć na pokład stutonowego płetwala błękitnego, ściągnąć z niego skórę tak jak obiera się banana i ugotować resztę w jednym kawałku w obrotowym bębnie. Tran oddziela się natychmiast i wypływa do góry, reszta opada na dno i jest przerabiana na mączkę. Cała operacja nie zajmuje nawet pół godziny.

- Dziw bierze, że jest jeszcze co łowić - mruknął Angus.

- Posłuchajmy, co ma do powiedzenia - niecierpliwie przerwał Briscoe.

- Ponieważ nie udało mu się zlokalizować stada, wrócił na macierzysty statek, „Aleksandra Korczakowa”. Przysięga, że po wylądowaniu okazało się, że załoga nie żyje. Martwe były też załogi statków towarzyszących.

- A co z jego drugim pilotem i obserwatorem?

- Mówi, że spanikował i odleciał bez nich.

- Dokąd chciał lecieć?

Rudolph zapytał Rosjanina.

- Jak najdalej od zmarłych.

- Proszę zapytać, co ich zabiło.

Po krótkiej wymianie zdań Rudolph wzruszył ramionami.

- Nie wie. Jedyne co wie, to że wszyscy mieli na twarzach wyraz cierpienia i zmarli we własnych wymiotach.

- Wspaniała opowieść - stwierdził Avondale.

- Gdyby nie wyglądał, jakby naprawdę ujrzał masowy grób, powiedziałbym, że ten człowiek jest patologicznym kłamcą - uznał Briscoe.

Avondale popatrzył na dowódcę.

- Mamy mu uwierzyć, kapitanie? - spytał.

Briscoe przez chwilę się zastanowił, potem skinął głową.

- Proszę przyspieszyć o dziesięć węzłów i zawiadomić dowództwo Floty Pacyfiku. Proszę zapoznać ich z sytuacją i poinformować, że zmieniamy kurs, aby sprawdzić słowa pilota.

Zanim zaczęto wykonywać polecenia, odezwał się znajomy głos.

- Panie kapitanie, tu radar.

- Mów, radar - powiedział Briscoe.

- Kazał pan obserwować grupę statków.

- Tak, co z nimi?

- Nie poruszają się, ale już znikają z ekranu.

- Czy wasz sprzęt działa?

- Jak najbardziej.

Briscoe zachmurzył się nic nie rozumiejąc.

- Co macie na myśli mówiąc „znikają”?

- Moim zdaniem, panie kapitanie, wygląda na to, że toną.

Kiedy „Bridlington” przybył do miejsca, gdzie ostatni raz zlokalizowano rosyjski zespół łowczy, nie ujrano nic na wodzie. Briscoe zarządził poszukiwania i po kilkakrotnym przepłynięciu wszerz i wzdłuż sektora odkryto wielką plamę oleju, otoczoną rozrzuconymi resztkami. Rosyjski pilot stał na pokładzie, w którymś momencie wskazał na coś w wodzie i zaczął wrzeszczeć z przerażenia.

- Co on bełkocze?! - wrzasnął Avondale do Rudolpha.

- Mówi, że jego statek zniknął, jego przyjaciele zniknęli, zniknęli jego drugi pilot i obserwator.

- Co to za rzecz, którą pokazuje?

Rudolph wyjrzał za burtę i wyjaśnił:

- Kamizelka ratunkowa z nadrukiem ALEKSANDER KORCZAKOW.

- Widzę ciało - powiedział Angus, przeszukujący powierzchnię wody przy pomocy lornetki. - Mamy więc razem cztery ciała, ale nie na długo.

Dookoła krążą rekiny.

- Dajcie im parę salw z działek - rozkazał Briscoe. - Chcę mieć te ciała, żeby można je było zbadać. Spuście szalupy i niech zbiorą wszystko, co się da. Ktoś na pewno zechce mieć każdy najmniejszy dowód.

Sprężone czterdziestomilimetrowe działka zaczęły strzelać w rekiny. Avondale odwrócił się do Angusa.

- Jeśli ktoś zapytałby mnie o zdanie, to sprawa jest bardzo dziwna. Co pan o tym sądzi?

Angus popatrzył uważnie na pierwszego oficera.

- Wygląda na to, że wieloryby, wybijane bezkarnie przez dwieście lat, zaczęły się wreszcie odgryzać.

26

Pitt po raz pierwszy od niemal dwóch miesięcy siedział za biurkiem w swoim gabinecie. Patrząc w przestrzeń i nieobecny duchem bawił się nożem dla nurków, którego używał do rozcinania listów. Nic nie mówił, czekał na reakcję siedzącego naprzeciwko admirała Sandeckera.

Przyleciał do Waszyngtonu rano i choć była niedziela, udał się natychmiast do pustego budynku NUMY, gdzie spędził sześć godzin na sporządzaniu szczegółowego raportu z wydarzeń na wyspie Kungit i wyrażając sugestie, w jaki sposób można by zlikwidować podwodne zjawiska akustyczne. Po pełnych wydarzeń minionych dniach pisanie raportu wydawało się nudne. Oznaczało też, że sprawa zostanie przekazana innym, bardziej kwalifikowanym umysłom, które złączą opracowywać problem i sposoby jego rozwiązania.

Okręcił się na krześle i wyjrzał przez okno na Potomac. Próbował przywołać obraz Maeve, jak widział ją ostatni raz stojącą na pokładzie „Ice Huntera” z twarzą wykrzywioną strachem i rozpaczą. Był na siebie wściekły, że ją zostawił. Z pewnością Deidre właśnie wtedy powiedziała jej o porwaniu synów. Maeve wyciągnęła rękę do jedyne go mężczyzny, któremu mogła zaufać, a on nie zauważył, w jakiej jest potrzebie. Tego elementu Pitt nie włączył do raportu.

Sandecker zamknął raport i położył teczkę na biurku.

- Kawał doskonałej roboty. Cud, że nie zginąłeś.

- Pomogło mi paru znakomitych ludzi - poważnie odparł Pitt.

- Zrobiłeś w tej sprawie wszystko, co mogłeś. Wydaję tobie i Giordinowi polecenie służbowe wzięcia dziesięciu dni urlopu. Jedź do domu i popracuj nad swoimi samochodami.

- Nie powiem nie - odparł Pitt masując siniaki na ramionach.

- Sądząc po tym, jak mało brakowało, by cię mieli, Dorsett i jego córki grają ostro.

- Z wyjątkiem Maeve - spokojnie powiedział Pitt. - Jest wyrodkiem.

- Jak przypuszczam, wiesz, że pracuje dla NUMY w sekcji biologii z Van Fleetem.

- Nad skutkami oddziaływania infradźwięków na faunę morską. Wiem.

Sandecker uważnie przyjrzał się Pittowi, zdawał się patrzeć na każdą linię na jego ogorzałej, choć jeszcze młodzieńczej twarzy.

- Możemy jej ufać? Gdyby chciała, mogłaby przekazywać ojcu dane o tym, co odkryliśmy.

- Maeve jest zupełnie inna niż jej siostry.

Czując niechęć Pitta do dyskusowania na temat Maeve, Sandecker zmienił temat.

- Wracając do sióstr, to czy Boudicca Dorsett dała jakąkolwiek wskazówkę, dlaczego jej ojciec zamierza za kilka tygodni zamknąć kopalnię?

- Nie.

Sandecker w zadumie obracał cygaro w palcach.

- Ponieważ żadna z kopalni Dorsetta nie znajduje się na terytorium Stanów Zjednoczonych, nie mamy możliwości natychmiastowego przerwania jego działalności i zapobieżenia dalszym tragediom.

- Wystarczy zamknąć jedną z czterech kopalni, a siła zabójczych fal znacznie się zmniejszy.

- Ponieważ prezydent tego nie chce, nie mogę wysłać nalotu bombowego.

- Musi istnieć jakieś międzynarodowe prawo zakazujące mordowania na oceanach.

Sandecker pokręcił głową.

- Nie ma żadnego, które można by zastosować do tej sytuacji. Na korzyść Dorsetta gra dodatkowo brak międzynarodowej organizacji egzekwującej prawo. Wyspa Gladiator jest jego prywatną własnością, a nakłonienie Rosjan do zamknięcia kopalni na Syberii zajęłoby przynajmniej rok. To samo z Chile. Dopóki Dorsett płaci wysoko postawionym urzędnikom państwowym, jego kopalnie nie zostaną zamknięte.

- Są jeszcze Kanadyjczycy. Jeżeli się dało, policja konna mogłaby wpaść nawet jutro na wyspę Kungit i zamknąć kopalnię z powodu zatrudniania nielegalnych imigrantów.

- Co ich więc powstrzymuje?

Pitt streścił opinię Stokesa o biurokratach i parlamentarzystach, których Dorsett ma w kieszeni.

- To samo - skorumpowani urzędnicy i pokrętni prawnicy.

- Pieniądz robi pieniądz - ciężko westchnął Sandecker. - Dorsett ma za dużo pieniędzy i jest za dobrze zorganizowany, żeby zlikwidować go zwykłymi metodami. To niezwykle przypadek niezniszczalnego monstrum.

- Takie defetystyczne nastawienie wcale nie jest do pana podobne, admirale.

Nie mogę uwierzyć, że poddaje pan partię Arthurowi Dorsettowi.

Oczy Sandeckera zamigotały jak u zamierzającej atakować żmiji.

- A kto coś powiedział o poddawaniu się?

Pitt lubił docinać swojemu szefowi. Oczywiście ani przez chwilę nie wątpił, że Sandecker podejmie walkę.

- Co pan zamierza?

- Ponieważ nie mogę rozkazać dokonania zbrojnego ataku na własność prywatną, w czasie którego mogłyby zginąć setki cywilów, ani zrzucić na spadochronach jednostki sił specjalnych, które zajęłyby kopalnie, jestem zmuszony zrobić jedyną rzecz, jaka mi pozostaje.

- A to jest?

- Upublicznić sprawę - rzekł Sandecker bez mrugnięcia okiem. - Jutro z samego rana zwołam konferencję prasową i powiem całemu światu, że Arthur Dorsett jest największą kanalią od czasów Atylli. Ujawnię przyczynę masowych zgonów i wskażę go jako winnego. Następnie potrząsnę sumieniami kongresmenów i Departamentu Stanu, żeby zwrócili się do rządów Kanady, Chile i Rosji z prośbą o zamknięcie znajdujących się na ich terenach kopalni. Potem usiądziemy i będziemy obserwować, jak ruletka się kręci.

Pitt popatrzył na Sandeckera z uwielbieniem i uśmiechnął się. Admirał zamierzał pływać po wzburzonym morzu nie zwracając uwagi na śmigające wokół torpedy.

- Podejmuje się pan cholernej roboty.

- Przepraszam, puściłem wodze fantazji. Wiesz tak samo jak ja, że nie będzie żadnej konferencji

prasowej. Bez jednoznacznych dowodów nie uzyskałbym nic poza wycieczką do szpitala dla wariatów. Tacy jak Dorsett są niczym hydra, której ciągle odrastają obcięte głowy. Nie da się takich ludzi zniszczyć prostymi środkami, ponieważ są stworzeni przez opierający się na chciwości system, który kreuje władzę. Najgorsze w takich jak on jest to, że ani nie wiedzą, co zrobić ze swoim majątkiem, ani go nikomu nie chcą oddać. - Sandecker zapalił cygaro. Zaciągnął się i z zimną wściekłością powiedział: - Jeszcze nie wiem jak, ale przysięgam na konstytucję, że go ukamienuję.

Maeve robiła dobrą minę do złej gry. Na początku płakała za każdym razem, kiedy była sama w niewielkim domku w stylu kolonialnym, który wynajęli dla niej ludzie ojca. Na samą myśl o tym, co może się dzieć z jej chłopcami na wyspie Gladiator, skręcało ją z bólu. Chciała gnać dzieciom na pomoc, porwać je i ukryć w bezpiecznym miejscu, ale była bezradna. Widywała synów w snach i byli w nich razem, ale nocne marzenia zamieniały się przy przebudzeniu w majaki. Nie było najmniejszej nadziei skutecznego wystąpienia przeciwko potędze ojca. Nikogo dotychczas nie zauważyła, była jednak pewna, że ludzie ojca pilnie ją obserwują.

Roy Van Fleet i jego żona Robin, którzy wzięli Maeve pod swoje skrzydła, poprosili, żeby poszła z nimi na przyjęcie organizowane przez bogatego właściciela firmy wydobywającej z dna morza surowce naturalne. Nie miała ochoty iść, ale Robin naciskała, nie przyjmowała odmowy do wiadomości i zupełnie nie zdając sobie sprawy, co Maeve naprawdę przeżywa, upierała się, że musi mieć trochę rozrywki.

- Przyjdzie masa szych ze stolicy i polityków - stwierdziła kolokwialnie. - Nie możemy tego przepuścić.

Po zrobieniu makijażu i ciasnym związaniu włosów w kok Maeve włożyła brązową jedwabną sukienkę pokrytą haftem, a na staniku perłami, sięgającą kilka centymetrów nad kolana. Nosila ją kiedyś w Sydney z wrażeniem, że jest ekstrawagancko modna i może zaimponować, teraz jednak nie była tego aż tak pewna. Czula opory przed eksponowaniem na waszyngtońskim przyjęciu gołych nóg.

- Cholera z tym - pocieszała się stojąc przed lustrem. - I tak nikt mnie nie zna.

Wyjrzała na zewnątrz. Chodniki pokrywała cienka warstwa śniegu, ale ulica była sprzątnięta. Było zimno, ale nie lodowato, jak bywało zimą w Waszyngtonie. Nalała sobie duży kieliszek wódki z lodem, włożyła sięgający kostek czarny płaszcz i zaczęła czekać na Van Fleetów.

Pitt pokazał przy wejściu do klubu zaproszenie pożyczone od admirała i wszedł w przepiękne drzwi, w których wyrzeźbiono podobizny sławnych golfistów. Oddał w szatni płaszcz i został skierowany do ogromnej sali balowej wyłożonej boazerią z drewna orzechowego. Z okazji przyjęcia jeden z najslawniejszych waszyngtońskich architektów wewnątrz udekorował salę tworząc zadziwiającą iluzję podwodnego świata. Z sufitu zwisały sprytnie zrobione ryby z papieru, a ukryte reflektory świeciły migoczącym zielononiebieskim światłem, dając przyjemny dla oka efekt znajdowania się pod wodą.

Gospodarz, prezes Deep Abyss Engineering, jego żona i przedstawiciele firmy stali w szeregu witając gości. Pitt ominął szereg zgrabnym zwodem, ruszając prosto ku znajdującemu się w półcieniu końcowi baru, gdzie zamówił tequilę z lodem i cytryną. Potem odwrócił się ku sali, oparł plecami o bar i zaczął lustrować obecnych.

Musiało przyjść ze dwieście osób. Orkiestra grała składankę tematów filmowych. Pitt rozpoznał kilku kongresmenów i czterech albo pięciu senatorów - wszyscy brali udział w pracach komisji zajmujących się oceanami i ochroną środowiska. Widoczna była ewolucja mody - choć większość

mężczyzn była ubrana w tradycyjne czarne smokingi, zamiast czarnych jedwabnych pasów smokingowych przeważały jaskrawo-kolorowe. Tak samo dużo było jaskrawych muszek i białych smokingów. Pitt preferował tradycyjny strój. Ubrał się w smoking z czarną kamizelką i grubym złotym łańcuchem na brzuchu. Na końcu łańcucha miał złoty zegarek, który kiedyś należał do jego dziadka, inżyniera kolejowego na linii do Santa Fe.

Kobiety - głównie żony, jedynie garść kochanek - też były elegancko ubrane, niektóre w długie suknie, niektóre w krótsze z wyszywanymi cekinami lub brokatem żakietami. Na pierwszy rzut oka można było odróżnić małżeństwa od kochanków: pierwsi stali obok siebie jak dobrzy przyjaciele, drudzy ciągle się dotykali.

Pitt na przyjęciach zwykle podpierał ściany. Nie sprawiało mu przyjemności bratanie się na siłę i prowadzenie miłej konwersacji. Przyjęcia szybko go nudziły i rzadko zostawał dłużej niż godzinę, nim decydował się wracać do mieszkania w hangarze, ale dziś było inaczej. Dziś wyszedł na poszukiwania - Sandecker powiedział mu, że Maeve przyjdzie z Van Fleetami. Jego wzrok wędrował między stołami i po zatłoczonym parkiecie, ale nie znajdował Maeve.

Albo zmieniła w ostatniej chwili zdanie, albo jeszcze nie przyjechała. Pitt nie lubił ściągać na siebie uwagi piękności otoczonych wielbicielami, tak samo i tym razem wybrał trzydziestoparoletnią kobietę o pospolitej powierzchowności, ważącą przynajmniej tyle co on. Siedziała sama przy stole i niezwykle ją zaskoczyło, kiedy podszedł do niej i poprosił do tańca przystojny obcy. Pitt często stwierdzał, że kobiety ignorowane przez mężczyzn, którzy tracą głowę dla okładkowych piękności, są często najciekawsze i najinteligentniejsze. Ta okazała się wysoko postawioną urzędniczką Departamentu Stanu i uraczyła go szeregiem plotek dotyczących spraw zagranicznych. Zatańczył z jeszcze dwiema nieznanymi, które przez innych mogłyby zostać uznane za mało atrakcyjne - pierwsza była prywatną sekretarką gospodarza, druga asystentką przewodniczącego Komisji do Spraw Oceanów. Po spełnieniu towarzyskich obowiązków wrócił do baru po kolejną tequilę.

W tym momencie weszła Maeve.

Pitt tylko na nią spojrział, a ujrzał unoszącą się nad nią aurę. Przestrzeń wokół Maeve zdawała się drzeć jak rozgrzane powietrze, wszyscy dookoła sprawiali wrażenie wyblakłych, jakby otulonych gęstą mgłą.

Kiedy przeszła procedurę powitalną i zaczęła się rozglądać po sali, Pitt wrócił na ziemię. Blond włosy, zwinięte w kok, odsłaniały twarz i podkreślały wspaniałe kości policzkowe. Dłoń położyła między piersiami. Krótka sukienka odsłaniała długie, kształtne nogi i podkreślała idealną figurę. Z budzącym się pożądaniem stwierdził, że wygląda majestatycznie. Nie było dla niej innego określenia. Miała w sobie grację antylopy, która zaraz rzuci się do ucieczki.

- Śliczne młode cacuszko - powiedział barman przypatrując się Maeve.

- Nie pozostaje nic innego jak przytaknąć.

Ruszyła z Van Fleetami do stołu, gdzie usiedli i złożyli zamówienie u kelnera. Maeve ledwie zdążyła usiąść, kiedy zaczęli nadbiegać mężczyźni - młodzi i wystarczająco starzy, by mogła być ich wnuczką - z prośbą o taniec. Każdemu grzecznie odmawiała. Pitta bawiło, że nie wzruszają jej żadne argumenty. Po kilku minutach kawalerowie zrezygnowali i dali spokój, obrażeni jak chłopcy. Van Fleetowie przeprosili i poszli tańczyć. Maeve została sama.

- Wybredna - stwierdził barman.

- Najwyższy czas wystawić pierwszą drużynę - powiedział Pitt odstawiając na bar pustą szklaneczkę.

Ruszył prosto przez pełen tańczących par parkiet, nie zbaczając nawet na centymetr w lewo lub w prawo. Wpadł na korpulentnego mężczyznę, w którym rozpoznał senatora z Nevady. Grubas chciał coś powiedzieć, lecz zaraz zamknął usta, gdy Pitt spiorunował go wzrokiem.

Maeve z nudów obserwowała towarzystwo i niejasno zdała sobie sprawę, że w jej kierunku idzie mężczyzna. Z początku nie zwróciła na niego uwagi, uznając że to jedynie kolejny obcy, który chce ją zaprosić do tańca. W innych okolicznościach byłaby mile połączona zainteresowaniem, ale teraz myślami przebywała dwadzieścia tysięcy kilometrów stąd. Dopiero kiedy intruz stanął przy stoliku, położył dłonie płasko na błękitnym obrusie i nachylił się do niej, poznała go. Jej twarz natychmiast rozjaśniła nieopisana radość.

- Dirk! Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę - wydyszała.

- Przyszedłem poprosić o wybaczenie za opuszczenie „Ice Huntera” bez pożegnania.

Była mile zaskoczona jego słowami. Myślała, że jest mu obojętna, ale widziała teraz w jego oczach co innego.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo cię potrzebowałam - powiedziała tak cicho, że jej słowa ledwie przebijały się przez muzykę.

Obszedł stół i usiadł obok niej.

- Teraz już wiem.

- Nie możesz wiedzieć, w jakiej jestem sytuacji.

Pitt wziął dłoń Maeve w swoją. Po raz pierwszy dotknął ją jak mężczyzna kobietę.

- Miałem miłą pogawędkę z Boudicą i o wszystkim mi powiedziała - stwierdził z sardonicznym uśmiechem.

Maeve zdawała się kurczyć.

- Ty? Z Boudicą? Jak to możliwe?

Wstał i delikatnie pociągnął ją w górę.

- Zatańczmy, potem ci opowiem.

Dla Maeve było to jak czary. Trzymał ją w ramionach i przytulał, a jej ciało wtulało się w niego i reagowało na każdy ruch. Kiedy poczuł jej perfumy, zamknął na chwilę oczy. Na zapach jego płynu po goleniu przeleciała przez nią drżąca fala. Przytuleni tańczyli do „Moon River” Henry’ego Manciniego.

- „Rozbitków dwoje co chcą zbadać świat, bo świata tyle do zbadania jest”... - Maeve zaczęła cicho nucić. Nagle zeszywniała i nieco odepchnęła Pitta. - Wiesz o moich synach?

- Jak się nazywają?

- Sean i Michael.

- Twój ojciec przetrzymuje Seana i Michaela na wyspie Gladiator, dzięki czemu jesteś zmuszona do przekazywania mu informacji, które NUMA zdobywa na temat rzeźni na morzu.

Maeve popatrzyła na niego zdezorientowana, zanim jednak zdążyła zadać kolejne pytanie, ponownie ją przytulił. Po kilku chwilach poczuł, że jej ciało wiotczeje. Zaczęła płakać.

- Tak mi wstyd. Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić.

- Myśl tylko o obecnej chwili - powiedział czule. - Reszta pójdzie sama.

Ulga i radość z bycia z Pittem pozwoliła jej na chwilę zapomnieć o problemach i ponownie zaczęła nucić.

Muzyka ścichła i zamilkła. Maeve oparła plecy o obejmującą ją ramię Pitta i uśmiechnęła się przez łzy.

- Ta piosenka jest o tobie.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Co?

- Jesteś ucieleśnieniem Huckelberry Finna. Płyniesz wiecznie rzeką, nie wiedząc co będzie za następnym zakrętem.

- Obawiam się, że mam ze starym dobrym Huckiem niewiele wspólnego.

Orkiestra zrobiła sobie przerwę, tańczące pary wróciły do stolików, a oni dalej kręcili się spleceni po parkiecie. Nie zauważali zdziwionych spojrzeń. Maeve chciała powiedzieć: - Chciałabym stąd wyjść - ale jakoś jej się nie udało, bo powiedziała:

- Chcę ciebie.

Natychmiast zalała ją fala zażenowania. Rumieniec pokrył jej twarz i dekolt, pogłębiając opaleniznę. Przerażona zastanawiała się, co Pitt sobie o niej myśli, on jednak szeroko się uśmiechnął.

- Pożegnaj się grzecznie z Van Fleetami. Pójdę po samochód i spotkamy się na zewnątrz. Mam nadzieję, że jesteś ciepło ubrana.

Kiedy powiedziała Van Fleetom, że wychodzi z Pittem, wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Z walącym sercem przebiegła przez salę, odebrała w szatni płaszcz i wybiegła na schody przed klubem. Pitt stał przy niskim czerwonym samochodzie i dawał napiwek parkingowemu. Samochód sprawiał wrażenie, jakby jego miejsce było na torze wyścigowym. Poza dwoma kubelkowymi siedzeniami nie było w nim tapicerki, niska zaokrąglona szybka nie mogła chronić przed wiatrem. Nie było zderzaków, a przednie koła okrywało coś przypominającego błotniki motocykla. Opona zapasowa była umieszczona na zewnątrz karoserii, po stronie pasażera, pomiędzy błotnikiem a drzwiami.

- Tym teraz jeździsz? - spytała.

- Aha.

- Co to jest?

- JX2 allard - odparł Pitt otwierając Maeve maleńkie aluminiowe drzwiczki.

- Wygląda dość staro.

- Został zbudowany w Anglii w 1952 roku, czyli przynajmniej dwadzieścia pięć lat przed twoim urodzeniem. Allardy wyposażone w wielkie amerykańskie ośmiocylindrowe silniki w układzie V panowały na torach wyścigowych, dopóki nie pojawiły się mercedesy 300 coup AAeAR.

Maeve wsunęła się do spartańskiej kabiny, kiedy usiadła, jej nogi leżały niemal całe na podłodze. Zauważyła, że na desce rozdzielczej nie ma prędkościomierza, jedynie cztery wskaźniki pracy silnika i obrotomierz.

- Dowiesz nas tam, dokąd chcemy? - spytała lekko przestraszona.

- Nie jest może zbyt komfortowy, ale niewiele mu brakuje, by dogonić dźwięk - odparł z uśmiechem.

- Nie ma nawet płóciennego dachu.

- Nigdy nim nie jeżdżę, kiedy pada. - Podał Maeve jedwabną chustkę. - Owiąż włosy. Bez dachu mocno wieje. I nie zapomnij zapiąć pasa - siedzenie pasażera ma dziwny zwyczaj otwierać się nieoczekiwanie na ostrych zakrętach w lewo.

Pitt ułożył swe długie ciało za kierownicą, a Maeve zawiązała chustkę. Przekręcił kluczyk, wcisnął sprzęgło i wrzucił jedynekę. Samochód nie ryknął z rur wydechowych, nie zapiszczały katowane opony. Wyjechali z bramy klubu cicho i łagodnie, jakby byli uczestnikami orszaku

pogrzebowego.

- Jak przekazujesz informacje NUMY ojcu? - zapytał niby mimochodem Pitt.

Maeve milczała, nie mogła spojrzeć mu w oczy. Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

- Jeden z jego ludzi przychodzi do mnie do domu przebrany za dostawcę pizzy.

- Niezbyt wyrafinowane, ale skuteczne - stwierdził Pitt patrząc na stojącego niedaleko wyjazdu z klubu nowego czterodrzwiowego cadillaca STS.

Siedziało w nim trzech mężczyzn - dwóch z przodu, jeden z tyłu. Zobaczył we wstecznym lusterku, że cadillac zapala światła i rusza za nimi w należytej odległości.

- Jesteś pod obserwacją?

- Zostałam ostrzeżona, że uważnie się mnie pilnuje, ale jak na razie nikogo nie zauważyłam.

- Nie jesteś zbyt spostrzegawcza. Jedźcie za nami samochód.

Chwyliła Pitta za ramię.

- Ten samochód wygląda na szybki. Dlaczego nie przyciśniesz gazu, by im uciec?

- Przyspieszyć i uciec? - Popatrzył na Maeve, której oczy pałały z podniecenia.

- To cadillac STS z ponad trzystukonnym silnikiem, który może go rozpędzić do dwustu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ten staruszek co prawda też ma silnik cadillaca, dwa cztero-gardzielowe gaźniki i przekładnię Iskenderiana, ale...

- Nic mi to nie mówi.

- Oznacza to, że był bardzo szybki czterdzieści lat temu. Jest w dalszym ciągu szybki, ale nie przekroczy dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę, i to z wiatrem. Wniosek jest taki, że jeśli chodzi o moc i maksymalną prędkość, jesteśmy słabsi.

- Musi być jakaś możliwość zgubienia ich.

- Jest, ale nie wiem, czy ci się spodoba.

Pitt zaczął, aż wjadą na wzgórze, i tuż za szczytem wcisnął gaz do deski. Nie widząc ich, kierowca cadillaca nie wiedział, że ma zareagować. Pchnięty z mocą czerwony samochodzik skoczył gwałtownie do przodu. Oświetlane reflektorami drzewa wzdłuż drogi, wyciągające nad asfalt gołe gałęzie, rozmazały się w smugi. Nie przyzwyczajona do samochodu Maeve miała wrażenie, że spada z wysoka.

Pitt patrzył w małe boczne lusterko. Oceniał, że nim kierowca cadillaca wspiał się na wzgórze i zauważył, co się stało, zyskali jakieś sto pięćdziesiąt metrów, czyli mieli mniej więcej siedemset pięćdziesiąt przewagi. Biorąc pod uwagę możliwości cadillaca, Pitt oceniał, że dogoni ich za jakieś cztery, może pięć minut.

Droga była prosta, okolica przypominała wiejski teren. Tuż za Waszyngtonem Wirginia sili się na szpan i zaraz za miastem są wszędzie stadniny. O tej porze nie ma tu ruchu - jak na razie Pitt wyprzedził dwa wolne samochody. Cadillac zbliżał się z każdym kilometrem. Pitt trzymał kierownicę lekko i swobodnie, ponieważ nie mieli się czego bać. Ludzie w cadillacu nie jechali za nimi, żeby zrobić im krzywdę, nie była to walka na śmierć i życie. Kiedy strzałka obrotomierza weszła w czerwoną strefę, Pitt poczuł uniesienie. Był zachwycony widokiem rozpościerającej się przed nim prostej wstęgi szosy, szumem wiatru w uszach i głębokim, gardłowym dudnieniem wydobywającym się z podwójnych rur wydechowych allarda.

Na chwilę odwrócił wzrok od jezdni i popatrzył na Maeve. Pęd wciskał ją w siedzenie, ale głowę wysunęła w górę, jakby chciała oddychać powietrzem wpadającym z góry. Miała półprzymknięte oczy i rozchylone lekko usta. Wyglądała, jakby przeżywała seksualne uniesienie.

Nieważne, co to było - zagrożenie, orgia dźwięków silnika czy prędkość - nie była pierwszą kobietą, którą podniecała przygoda. Bez względu na to, czego pożaływały takie kobiety, prawdziwy mężczyzna powinien im to dać.

Nim dotrą do miasta, Pittowi nie pozostawało wiele więcej jak naciskać pedał gazu i trzymać się namalowanej na środku jezdni przerywanej linii. Nie mając prędkościomierza mógł jedynie szacować prędkość za pomocą wskazań obrotomierza. Mogli jechać sto dziewięćdziesiąt, może dwieście na godzinę. Stary wóz dawał z siebie naprawdę wszystko.

Maeve odwróciła się za siebie.

- Doganiają nas! - przekrzyczyła huk.

Pitt rzucił znów okiem w boczne lusterko. Goniący byli za nimi sto metrów. Kierowca nie był ciamajdą, refleks miał nie gorszy od Pitta. Pitt skoncentrował się ponownie na jezdni.

Wjeżdżali w dzielnicę willową. Mógł tu próbować zgubić cadillaca, ale było to zbyt niebezpieczne. Pitt nie chciał ryzykować przejechania rodziny, która wyszła na wieczorny spacer z psem. Nie zamierzał spowodować wypadku z uczestnictwem niewinnych ludzi.

Wiedział, że najwyżej za dwie minuty będzie musiał zwolnić i włączyć się do gęstniejącego ruchu, na razie jednak ulica przed nimi była pusta i trzymał prędkość. Za ostrym zakrętem minęli żółty znak informujący, że na odchodzącej na następnym skrzyżowaniu na zachód przecznicy są prowadzone roboty drogowe. Pitt pamiętał, że droga ta ma szereg ostrych zakrętów. Biegła pięć kilometrów przez otwarty teren i kończyła się wjazdem na przechodzącą obok siedziby CIA autostradę.

Zdjął nogę z gazu i wcisnął hamulec. Szarpnął kierownicą w lewo, wpadł w poślizg. Opony zostawiały na asfalcie szerokie ślady. Zanim allard stanął, tylne koła zawirowały i skoczyli w przecznicę, nie oświetloną najmniejszym światełkiem.

Pitt musiał się maksymalnie koncentrować, tym bardziej że staromodne reflektory nie rozświetlały szosy tak daleko jak nowoczesne halogeny. Wyczuwał zbliżające się zakręty szóstym zmysłem. Prawie wcale nie używał hamulca, wchodził w zakręty z poślizgiem i prostował wóz tuż przed następnym zakrętem.

Allard był w swoim żywiole. Cięższy cadillac był jak na limuzynę twardo resorowany, ale jego zawieszenie nie miało się co równać z zawieszeniem skonstruowanego do wyścigów lżejszego samochodu w przodzie. Pitt kochał swojego allarda, miał ogromne wycucie jego balansu, wręcz chlubił się jego prostotą i wielkim silnikiem. Usta wykrzywił mu diaboliczny uśmiech. Wcisnął samochód w kolejne zakręty nie dotykając niemal hamulca i redukując biegi jedynie w naprawdę wymagających sytuacjach. Kierowca cadillaca walczył co sił, ale gwałtownie tracił dystans.

W przodzie migwały ustawione na barierkach żółte światła. Na poboczu kładziono rury i zerwano nawierzchnię, by zrobić wykopy, na szczęście droga nie była zablokowana, jedynie zwężona. Przez kilkaset metrów drogę pokrywał żwir, ale Pitt nie uniósł opartej o pedał gazu nogi. Cieszył się wręcz, mogąc wzbudzić jak największą chmurę kurzu, wiedząc, że spowolni ona prześladowców.

Po kilku dalszych minutach podniecającego slalomu przez zakręty Maeve wyciągnęła przed siebie rękę.

- Widzę reflektory.

- Autostrada. Tu zgubimy ich na dobre.

Skrzyżowanie było puste. Pitt ostro hamując zjechał w lewo, pozostawiając na asfalcie smugi spalonej gumi.

- Nie pomyliłeś się?! - przekrzyczyła piszczące opony Maeve.

- Patrz i ucz się - powiedział Pitt przekręcając kierownicę w prawo, łagodnie hamując i skręcając w przeciwnym kierunku. Wjechał na autostradę, nim cadillac się pojawił, i przyspieszył ku miastu.

- Po co to było?

- To się nazywa „czerwony śledź”. Jeżeli są tak sprytni, jak sądzę, pojedą za śladami opon.

Przytuliła się do jego ramienia.

- Co planujesz na finał?

- Ponieważ omamiłem cię magicznymi sztuczkami, zamierzam uwieść cię urokiem osobistym.

Chytrze na niego popatrzyła.

- Skąd wiesz, że nie przestraszyłeś mnie na tyle, że odechciało mi się intymności?

- Umiem zajrzeć w twój umysł i wiem, że to nieprawda.

Maeve roześmiała się.

- Umiesz czytać w myślach?

Pitt dwornie wzruszył ramionami i powiedział:

- To dar natury. Mam w żyłach cygańską krew.

- Ty i Cygan?

- Zgodnie z moim drzewem genealogicznym, moi przodkowie ze strony ojca, którzy wyemigrowali w siedemnastym wieku z Hiszpanii do Anglii, byli Cyganami.

- A teraz czytasz z dłoni i przepowiadasz przyszłość.

- Moje talenta obróciły się ku czemu innemu, zwłaszcza przy pełni księżyca.

Popatrzyła zaskoczona, ale podjęła rękawicę.

- A cóż to się dzieje, kiedy nadchodzi pełnia?

- Wychodzę w noc kraść kury.

27

Kiedy Pitt jechał nie oświetloną polną drogą ku skrajowi międzynarodowego lotniska waszyngtońskiego, Maeve wpatrywała się zdziwiona w ciemność przed nimi. Zbliżali się do czegoś, co wyglądało na stary, porzucony hangar. W najbliższej odległości nie było widać żadnych innych budynków. Jej niepokój wzrósł i odruchowo skuliła się w fotelu allarda, Pitt zatrzymał się bowiem pod zawieszoną na wysokim maszcie słabą latarnią.

- Dokąd mnie przywiozłeś?

Popatrzył na nią rozbawiony.

- Do siebie do domu. Nie widać?

Na jej twarzy pojawił się wyraz, jakby ugryzła coś bardzo niesmacznego.

- Mieszkasz w tym rozpadającym się baraku?

- To, co widzisz, jest zabytkiem. Budynek został postawiony w 1936 roku jako główny hangar dawno nie istniejącej linii lotniczej. - Pitt wyjął z kieszeni pilota i wpisał kod. Po kilku sekundach zaczęły się podnosić szerokie garażowe drzwi, za którymi widać było jedynie ciemność. Dla większego efektu zgasił reflektory samochodu i wjechał w kruczoczną i przerażającą jaskinię. Zamknął zdalnym sterowaniem drzwi i siedział bez ruchu i słowa.

- Co ty na to? – spytał.

- W każdej chwili mogę nie wytrzymać i zacząć krzyczeć o pomoc - odparła Maeve, coraz mniej

rozumiejąc sytuację.

- Przepraszam. - Pitt wstukał kolejny kod i wewnątrz eksplodowało jaskrawym światłem rozmieszczonych przemysłnie na suficie halogenowych reflektorów.

Na widok bezcennych okazów sztuki transportowej Maeve opadła szczęka. Nie była w stanie uwierzyć, że naprawdę ma przed sobą migoczącą kolorami i chromem kolekcję dawnych samochodów, samoloty i starą amerykańską lokomotywę. Rozpoznała dwa modele rolls-royce'a, daimlera, nie знаła jednak american packarda, pierce arrowsa, stutze'a, corda i innych samochodów europejskich, wśród których był hispano-suiza, bugatti, isotta fraschini, talbot lago i delahaye. Z sufitu zwisały stary ford trimotor i messerschmitt 262, który uczestniczył w drugiej wojnie światowej. Zbiór był zachwycający. Tylko jeden obiekt nie pasował do reszty - stara żeliwna wanna z zamocowanym silnikiem zaburtowym, stojąca na sześciokątnym podeście.

- To wszystko twoje?

- Miałem do wyboru to albo żonę i dzieci.

Kokieteryjnie skłoniła na bok głowę i popatrzyła na niego.

- Nie jesteś zbyt stary. Po prostu jeszcze nie znalazłeś odpowiedniej kobiety.

- Podejrzewam, że masz rację.

- Brak szczęścia w miłości?

- Stare rodzinne przekleństwo Pittów.

Wskazała na granatową lokomotywę.

- Tu mieszkasz?

Roześmiał się.

- Do mojego mieszkania wchodzi się tymi schodami albo, jeśli nie ma się ochoty, można wjechać windą.

- Przyda mi się trochę gimnastyki.

Wskazał drogę zdobionymi żeliwnymi kręconymi schodami. Drzwi na górze prowadziły ze schodów do pomieszczenia będącego połączeniem salonu i gabinetu, wypełnionego pod sufit regałami pełnymi marynistycznych książek i modelami statków, które Pitt odkrył i uratował pracując dla NUMY. Drzwi w jednej ścianie prowadziły do dużej sypialni, urządzonej jak kabina kapitana na starym żaglowcu. Było tam nawet koło sterownicze. Drzwi w przeciwległej ścianie prowadziły do kuchni i jadalni. Dla Maeve mieszkanie promieniowało miłą męską atmosferą.

- A więc to tu Huckelberry Finn przeniósł się po przeprowadzce z barki mieszkalnej na rzece - stwierdziła zdejmując buty i siadając z podwiniętymi nogami na skórzanej kanapie.

- Prawie cały czas jestem na morzu. Nie mieszkam tu tak często, jak bym chciał. - Zdjął płaszcz i poluzował krawat. - Drinka?

- Odrobina brandy byłaby bardzo miła.

- Zastanów się. Zabrałem cię z przyjęcia, nim zdążyłaś coś zjeść. Może coś przygotuję?

- Brandy starczy. Mogę się najeść jutro.

Nalał Maeve kieliszek remy martin i usiadł obok niej na kanapie. Pragnęła go całym ciałem, chciała rzucić mu się w ramiona, wtulić w niego, ale wszystko w niej wirowało. Kiedy zobaczyła przed oczami obraz trzymany brutalną ręką Johna Fergusona synów, opanowało ją poczucie winy. Nie mogła zapomnieć. Ścisnęło jej klatkę piersiową, miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Zabolało ją, zatęskniła za dziećmi.

Nie mogła pozwolić sobie teraz na namiętność. Chciało jej się wyć z desperacji. Odstawiła

kieliszek z koniakiem na stolik i zaczęła niepohamowanie łkać. Pitt mocno ją objął.

- Chodzi o dzieci? - spytał.

Skinęła głową pomiędzy dwoma chlipnięciami.

- Przepraszam, nie chciałam cię zwodzić.

Pitt w odróżnieniu od większości mężczyzn nie widział w kobietach wielkiej tajemnicy i nigdy nie był zakłopotany, kiedy zaczynały płakać. Traktował zbyt emocjonalne czasem zachowanie kobiet nie z niechęcią, lecz ze zrozumieniem. Zawsze uważał, że jeżeli dojdzie u kobiety do konfliktu pomiędzy troską o dzieci a jej popędem płciowym, instynkt macierzyński zwycięży.

Maeve nie pojmowała, jak mężczyzna może być tak wyrozumiały. Dla niej było to nie do pomyślenia. Naprawdę był zupełnie inny od wszystkich mężczyzn, jakich spotkała w życiu.

- Czuję się tak zagubiona i tak się boję. Nigdy w życiu nie czułam się bardziej bezradna.

Wstał z kanapy, po chwili wrócił z pudełkiem chusteczek higienicznych.

- Przepraszam, że tylko papierowe, ale już od jakiegoś czasu przestałem nosić tradycyjne.

- Chcesz powiedzieć, że nie jesteś rozczarowany?

Z uśmiechem patrzył na nią, jak wyciera oczy i nos.

- Prawda jest taka, że mam ukryty cel.

Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Nie chcesz iść ze mną do łóżka?

- Nie byłbym mężczyzną, gdybym nie chciał, ale nie po to cię tu przywiozłem.

- Nie rozumiem.

- Potrzebuję twojej pomocy do realizacji pewnego planu.

- Jakiego?

Popatrzył, jakby był zdziwiony, że jeszcze się nie domyśliła.

- Polegającego na dostaniu się na wyspę Gladiator, zabraniiu twoich chłopców i ucieczce.

Maeve nieskoordynowanie zamachała rękami.

- Zrobisz to? Zaryzykujesz dla mnie życie?

- I dla twoich chłopców.

- Dlaczego?

Chciał powiedzieć, że jest piękna, kochana i czuje do niej coś, czego dawno nie czuł, ale przecież nie mógł się zachować jak zadurzony nastolatek. Wierny odpowiednim formom, zrobił unik.

- Dlaczego? Ponieważ admirał Sandecker dał mi dziesięć dni wolnego, a nienawidzę siedzieć beczynnie.

Na jej zalaną łzami twarz wrócił uśmiech. Przytuliła się do Pitta i powiedziała:

- Nie wyszło ci to kłamstwo.

- Dlaczego kobiety zawsze mnie rozgryzają? - zapytał i pocałował ją.

CZEŚĆ III

DIAMENTY. WIELKA ILUZJA

30 stycznia 2000 roku Wyspa Gladiator, Morze Tasmana

28

Dom Dorsettów znajdował się mniej więcej w środku wyspy, w połowie drogi pomiędzy wygasłymi wulkanami. Frontowe okna wychodziły na lagunę, która z powodu intensywnych prac wydobywczych od lat była ruchliwym portem. Praktycznie od dnia, kiedy Charles i Mary Dorsettowie wrócili po ślubie z Anglii, nieustająco kopano w obu wulkanicznych szczytach. Choć uważali się za twórców rodzinnego imperium, tak naprawdę powstało ono w dniu, kiedy Betsy Fletcher znalazła niecodzienne kamienie i dała je dzieciom do zabawy.

Pierwszy dom, zbudowany z drewnianych belek i pokryty dachem z palmowych liści, został zburzony przez Ansona Dorsetta, który zaprojektował i zbudował stojącą obecnie rezydencję. Choć budynek był wielokrotnie modernizowany, z zewnątrz niewiele się zmienił od dziewiętnastego wieku - parterowy masyw miał w środku duży dziedziniec, stąd wchodziło się bezpośrednio do pokoi, których było trzydzieści. Dom umeblowano angielskimi antykami z czasów kolonialnych. Jedyne widocznymi na pierwszy rzut oka nowoczesnymi elementami były wznosząca się na środku wspianiale utrzymanego ogrodu antena satelitarna oraz nowoczesny basen na dziedzińcu.

Arthur Dorsett odwiesił słuchawkę, wyszedł z gabinetu i ruszył w kierunku basenu, obok którego przeciągała się na leżaku ubrana w skąpe bikini Deidre, ciesząc gładką skórę tropikalnym słońcem.

- Lepiej nie pokazuj się w takim stroju zarządcom - burknął.

Powoli uniosła głowę i popatrzyła na swe niemal gołe ciało.

- Dlaczego? Przecież mam biustonosz.

- A potem się dziwią, że ktoś je zgwałcił.

- Z pewnością nie chciałbyś, bym chodziła w zgrzebnym worku - powiedziała wyzywająco.

- Właśnie rozmawiałem z Waszyngtonem. Twoja siostra zniknęła.

Deidre, wyraźnie zaskoczona, wyprostowała się i osłoniła dłonią oczy.

- Informacja jest pewna? Sama wybierałam do jej pilnowania najlepszych detektywów, dawnych agentów Secret Service.

- To pewne. Spartaczyli robotę i zgubili ją po szaleńczej gonitwie wiejskimi drogami.

- Maeve nie jest wystarczająco sprytna, żeby zgubić zawodowców.

- Miała pomoc.

Deidre ze złością skrzywiła usta.

- Niech zgadnę: pomagał jej Dirk Pitt.

Dorsett skinął głową.

- Ten człowiek jest wszędzie. Boudicca miała go w rękach na wyspie Kungit, ale prześlizgnął się jej przez palce.

- Czulałam, że jest niebezpieczny, od momentu kiedy uratował Maeve i powinnam zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo, gdy udaremnił zniszczenie „Polar Queen”, po tym jak ustawiłam kurs na kolizję ze skałami i czekałam, aż zabierze mnie z pokładu nasz helikopter. Myślałam, że da nam

spokój.

Nigdy bym nie przypuszczała, że może pojawić się bez ostrzeżenia w naszej kopalni.

Dorsett podszedł do niskiej ładnej Chinki, stojącej przy wspierającej podcienia kolumnie. Była ubrana w długą jedwabną suknię z sięgającymi wysoko rozcięciami po bokach.

- Przynieś mi ginu - zażądał. - W porządnej szklance i nie żałuj. Nie lubię byle jakich drinków.

Deidre uniosła w górę pustą szklankę.

- Dla mnie jeszcze jeden rum collins.

Dziewczyna pospieszyła robić drinki. Deidre przyłapała ojca, jak przygląda się tyłkowi Chinki, i przewróciła oczami.

- Tato, daj sobie spokój z ciągnięciem do łóżka służby. Od kogoś z twoim majątkiem i twoją pozycją świat oczekuje czegoś więcej.

- Istnieje kilka spraw, które nie mają nic wspólnego z pozycją - odparł ponuro.

- Co zrobimy w sprawie Maeve? Najwyraźniej nakłoniła Pitta i jego przyjaciół z NUMY, żeby pomogli jej odzyskać bliźniaki.

Dorsett oderwał wzrok od odchodzącej Chinki.

- Może i jest w stanie dokonać różnych rzeczy, ale wyspa Gladiator nie będzie dla niego tak łatwym orzechem do zgryzienia jak kopalnia na Kungit.

- Maeve zna wyspę lepiej od nas. Może wymyślić jakiś sposób, żeby tu się dostać.

- Nawet jeśli uda im się dostać na brzeg - podniósł palec i wskazał na podwórze - nigdy nie dotrą bliżej niż dwieście metrów od domu.

Deidre diabolicznie się uśmiechnęła.

- Szykujesz im ciepłe powitanie, prawda?

- Nie, kochana. Nie tutaj, nawet nie na wyspie.

- Masz plan. - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Skinął głową.

- Maeve zdradzi im tyle, że bez wątpienia domyślą się, jak ominąć system zabezpieczeń, niestety - oczywiście dla nich - nie będą mieli okazji sprawdzić tego w praktyce.

- Nie rozumiem.

- Odetniemy im drogę, nim dotrą do wyspy.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś przewidujący, tato. - Wstała i objęła ojca.

Z przyjemnością wdychała jego zapach. Już jako mała dziewczynka lubiła zapach jego sprowadzanej z Niemiec, pachnącej piżmem wody kolońskiej, która kojarzyła się ze skórzanymi portfelami, atmosferą sal konferencyjnych i wełną drogich garniturów.

Choć niechętnie, odsunął ją, zły na siebie, że poczuł pożądanie do własnej córki.

- Chciałbym, żebyś skoordynowała wszystko w czasie. Boudicca jak zwykle zechce wszystko przyspieszać.

- Założę się o moje udziały w Dorsett Consolidated, że wiesz, gdzie ich szukać. Jaki mamy plan?

- Podejrzewam, że pan Pitt i Maeve już opuścili Waszyngton.

Popatrzyła na niego uważnie, mrużąc oczy od słońca.

- Tak szybko?

- Ponieważ od dwóch dni nie widziano jej w domu ani Pitta w biurze NUMY, jest jednoznaczne, że są w drodze na wyspę.

- Gdzie zastawimy na nich pułapkę? - W jej oczach błysnęła myśliwska kocia żądza. - Na lotnisku

czy w hotelu? W Honolulu, Auckland czy Sydney?

Pokręcił głową...

- W żadnym z tych miejsc. Nie będą ułatwiać nam życia lecąc samolotem pasażerskim i zatrzymując się w zacisznych hotelach. Wezmą samolocik NUMY i wykorzystają na kwatery bazę agencji.

- Nie wiedziałam, że Amerykanie mają w Australii albo Nowej Zelandii bazę badań oceanograficznych.

- Nie mam na myśli stałej bazy, lecz statek badawczy - „Ocean Anglera”, który na zachód od Nowej Zelandii, w Rowie Bounty, prowadzi badania głębin morskich. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Pitt i Maeve dotrą do Wellington i wejdą na pokład stojącego tam statku NUMY jutro rano.

Deidre z zachwytem wbijała wzrok w ojca.

- Skąd wiesz?

- Mam w NUMIE swoje źródło, któremu dobrze płacę, żeby być na bieżąco informowanym o każdym odkryciu kamieni szlachetnych na dnie morskim.

- A więc Boudicca i jej ludzie muszą wejść na statek i spowodować jego zniknięcie.

- Nierozsądne - powiedział krótko. - Boudicca dowiedziała się, że Pitt w jakiś sposób odkrył, iż nasz jacht miał kontakt z usuniętym przez nią wrakiem.

Jeżeli pošlemy statek NUMY na dno, od razu będą wiedzieli, że za tym stoimy. Musimy zająć się Pittem znacznie delikatniej.

- Dwadzieścia cztery godziny to niezbyt wiele czasu.

- Wylecisz po obiedzie, dotrzesz do Wellington na kolację. John Merchant będzie na ciebie czekał w naszym magazynie za miastem.

- Zdawało mi się, że doznał na wyspie Kungit pęknięcia czaszki.

- Mikroskopijnego, ale wystarczy, żeby palił się do zemsty. Sam zażądał, bym pozwolił mu uczestniczyć w polowaniu.

- A ty i Boudicca?

- Przyplłyniemy jachtem. Powinniśmy być na miejscu około północy, zostanie nam dziesięć godzin na przygotowanie...

- A więc będziemy zmuszeni pojmać ich za dnia.

Dorsett chwycił Deidre za ramiona tak mocno, aż skrzywiła się z bólu.

- Liczę na ciebie, córko, że pokonasz wszelkie przeszkody.

- Zaufanie Maeve było błędem - powiedziała z wyrzutem Deidre. - Powinieneś był się domyślić, że przy pierwszej okazji spróbuje przyjść po gówniarzy.

- Informacje, których dostarczyła nam, nim zniknęła, były użyteczne - powiedział ze złością.

Arthur Dorsett nie lubił przyznawać się do błędów.

- Gdyby zginęła na Wyspie Seymoura, nie mielibyśmy tych kłopotów.

- Wina nie leży tylko po jej stronie. Maeve nie wiedziała, że Pitt zamierza wtargnąć na Kungit. Zarzucił sieć, ale nic, czego się dowiedział, nie może nam zaszkodzić.

Mimo niepowodzenia Dorsett nie był zaniepokojony. Kopalnie znajdowały się na wyspach, których izolacja stanowiła wystarczającą barierę dla jakiegokolwiek zorganizowanego protestu. Ochrona była tak szczelna, że dziennikarze nie mieli szans zbliżyć się do żadnej z kopalń bliżej niż na kilkadziesiąt kilometrów, prawnicy spędzali dni na tłumieniu w zarodku opozycji jurystycznej,

a rzecznicy prasowi zajmowali się bagatelizowaniem informacji o zniknięciach i zgonach na Pacyfiku sprowadzając je do poziomu plotek zmyślanych przez obrońców środowiska oraz przerzucając winę za nie na kogo się dało, na przykład prowadząc tajne badania armię amerykańską.

- Za dwadzieścia trzy dni, kiedy zamkniemy kopalnie - ciągnął Dorsett - każda burza, jaką wywoła admirał Sandecker, umrze śmiercią naturalną.

- Nie możemy dopuścić do tego, by pomyślano, że zamykamy je, ponieważ uznajemy się za winnych. Dostalibyśmy górę pozwów od obrońców środowiska i rodzin zabitych.

- Nie martw się. Udowodnienie, że to nasze metody wydobywcze powodują śmiertelne podwodne zjawiska dźwiękowe, jest niemożliwością.

Trzeba by miesiącami prowadzić badania naukowe, a za trzy tygodnie naukowcy nie będą mieli czego badać. Wszystko jest tak zaplanowane, że z terenów wydobywczych znikną dowody. „Katakлизм akustyczny”, jak upierają się to zjawisko nazywać, stanie się tematem nieaktualnym.

Wróciła Chinka z drinkami na tacy. Podała je i usunęła się w cień bezgłośnie jak duch.

- Teraz, kiedy ich matka nas zdradziła, co zamierzasz z Seanem i Michaeliem?

- Zajmę się tym, by więcej ich nie ujrzała.

- Jaka szkoda - powiedziała Deidre tocząc lodowatą szklanką po czole.

Dorsett wypił gin jak wodę. Opuścił szklankę i popatrzył na córkę.

- Szkoda? Kogo szkoda? Maeve czy bliźniaków?

- Nie mówię o nich.

- A o kim?

Deidre sardonicznie się uśmiechała.

- O milionach kobiet na świecie, które dowiedzą się, że ich brylanty są bezwartościowe jak szkło.

- No tak, odbierzemy kamieniom romantyzm - stwierdził Dorsett ze śmiechem. - To na pewno.

29

Obserwując miasto przez okienko samolotu NUMY, Pitt stwierdził, że trudno było zlokalizować je w piękniejszym miejscu. Wellington znajduje się nad wielką zatoką, wypełnioną labiryntem wysp, od lądu otacza je pasmo gór, których najwyższym szczytem jest Góra Wiktorii, i soczysta, żywa zieleń. Jest tu jeden z najpiękniejszych portów na świecie. Pitt po raz czwarty w ciągu dziesięciu lat przylatywał do stolicy Nowej Zelandii i pamiętał, że rzadkością są tu dni bez gwałtownego deszczu i porywistego wiatru.

Admirał Sandecker z wielkimi oporami zgodził się na misję Pitta, twierdząc że ma złe przeczucia. Uważał Arthura Dorsetta za człowieka niezwykle groźnego, chciwego socjopatę, gotowego zabijać bez mrugnięcia okiem. Dał Pittowi i Giordinowi samolot NUMY i pozwolił im wykorzystać na bazę statek badawczy, zastrzegł jednak ostro, że przy próbie ratowania porwanych dzieci nie wolno ryzykować życia marynarzy NUMY. Pitt zgodził się bez oporów, wiedział bowiem, że kiedy „Ocean Angler” stanie w bezpiecznej odległości od wyspy Gladiator, jedynymi, którzy będą ryzykować, będzie ich trójka. Zamierzał dostać się do laguny miniaturową łodzią podwodną, wylądować na wyspie, pomóc Maeve odzyskać synów i wrócić jak najprędzej na „Ocean Anglera”. Plan nie był wyrafinowany - kiedy dostaną się na brzeg, wszystko będzie zależało od Maeve.

Popatrzył na pilotującego gulfstreama Giordina. Krzepki Włoch był spokojny, jakby leżał na plaży pod palmą. Przyjaźnili się od dnia, kiedy spotkali się w podstawówce i zaczęli naparzać. Grali

razem w futbol - Giordino w młynie, Pitt jako kapitan obrony - najpierw w szkole średniej, potem w akademii lotniczej. Dzięki wpływom ojca - George Pitt był najstarszym senatorem Kalifornii - mogli trzymać się razem, uczyć się w tej samej szkole lotniczej, potem przelatać dwie tury w jednym szwadronie taktycznym w Wietnamie. Różnili się bardzo w sprawach kobiet: Giordino wolał krótkie romanse, Pitt preferował trwałe związki.

Wstał, przeszedł do kabiny i zaczął się przyglądać Maeve. Nie spała w czasie długiego i wycieńczającego lotu z Waszyngtonu, na jej zapadniętej twarzy widać było wielkie zmęczenie. Choć miała zamknięte oczy, sposób, w jaki kręciła się na wąskiej kanapce, wskazywał, że nie śpi. Delikatnie potrząsnął jej ramieniem.

- Zaraz będziemy lądować.

Otworzyła powoli oczy.

- Nie śpię.

- Jak się czujesz? - zapytał delikatnie, choć z lekkim niepokojem.

Usiadła i dziarsko kiwnęła głową.

- Gotowa i chętna do czynu.

Giordino skierował dziób w dół i łagodnie opadali, aż koła dotknęły pasa. Pokołował do miejsca dla prywatnych maszyn oraz samolotów lądujących tranzytem. Nie było widać znajomej kombinacji turkusu i bieli.

- Widziałeś samochód NUMY?! - krzyknął w tył do Pitta.

- Pewnie się spóźnią. Może my jesteśmy za wcześnie.

- Przylecieliśmy kwadrans przed czasem.

Podjechał pikap z pracownikiem obsługi naziemnej i kazał im wjechać między dwie podobne maszyny. Giordino zatrzymał się skrzydło w skrzydło za stojącymi z lewa i prawa samolotami i zajął się procedurą wyłączenia silników.

Pitt otworzył drzwi, wysunął schodki i zszedł na płytę. Maeve zeszła tuż za nim i zaczęła chodzić przeciągając zeszywniałe po długim locie mięśnie i stawy. Rozejrzała się szukając wzrokiem mającego ich odebrać samochodu.

- Zdawało mi się, że ktoś miał po nas wyjechać - powiedziała między dwoma ziewnięciami.

- Na pewno są w drodze.

Giordino podał torby, zamknął samolot. Z nieba spadł gwałtowny deszcz, skryli się więc we trójkę pod skrzydłem. Tak samo szybko jak się pojawił, deszcz odszedł nad zatokę i przez gęste skłębione chmury przebiło się słońce. Kilka minut później, rozpryskując kałuże, pojawiła się ośmiomiejscowa furgonetka z napisem WAHADŁOWIEC LOTNISKOWY na boku. Kierowca zatrzymał się nie opodal, wysiadł i podbiegł truchtem. Był szczupły, miły i wystrojony jak kowboj.

- Któryś z panów to Dirk Pitt?

- Ja - powiedział Pitt.

- Carl Marvin. Przepraszam za spóźnienie, ale w busie, którego wozimy na „Ocean Anglerze”, wysiadł akumulator i musiałem zdobyć transport w zarządzie lotniska. Mam nadzieję, że nie mieliście przez to kłopotów.

- Nie - kwaśno rzekł Giordino. - W wolnej chwili kontemplowaliśmy tajfun.

Kierowca nie zauważył sarkazmu.

- Mam nadzieję, że długo nie czekaliście.

- Nie dłużej niż dziesięć minut - powiedział Pitt.

Marvin zapakował ich torby na tył furgonetki i jak tylko usiedli, ruszył.

- Do nabrzeża, gdzie cumuje statek, to tylko kawałeczek - powiedział kordialnie. - Usiądźcie wygodnie i rozglądajcie się.

Pitt i Maeve siedzieli obok siebie trzymając się za ręczki jak nastolatki i cicho szeptali. Giordino usiadł przed nimi, tuż za kierowcą. Spędzał czas na studiowaniu lotniczego zdjęcia wyspy Gladiator, które admirał Sandecker pożyczył z Pentagonu.

Czas szybko mijał i wkrótce zjechali z głównej drogi do portu, rzeczywiście znajdującego się blisko miasta. Wzdłuż długich pirsów, odchodzących pod kątem prostym od nabrzeża, na którym znajdowały się ogromne magazyny, cumowały szeregi frachtowców pochodzących głównie z Azji. Nie zwracali uwagi na zygzakowaty kurs, jaki kreślił kierowca objeżdżając budynki i dźwigi. Po każdym zakręcie patrzył w lusterku wstecznym na swoich pasażerów.

- Jeszcze tylko objedziemy ten magazyn i będziemy przy „Ocean Anglerze”. - Wskazał ręką przed siebie.

- Będziemy mogli natychmiast odpłynąć?

- Załoga czeka w gotowości.

Giordino zamyślony patrzył na potylicę kierowcy.

- Co robisz na statku? - spytał.

- Ja? - zapytał Marvin nie odwracając się. - Jestem fotografem.

- Jak ci się pływa z kapitanem Dempseyem?

- Świetny facet. Jest bardzo wyrozumiały dla naukowców.

Giordino uniósł głowę i zobaczył, że Marvin obserwuje go w lusterku.

Uśmiechnął się. Kierowca wreszcie odwrócił wzrok i skoncentrował się na drodze. Giordino za osłoną fotela napisał coś na rachunku za paliwo, które brali w Honolulu w drodze do Wellington. Zwinął papierek w rulonik i niby mimochodem rzucił go przez ramię na kolana Pitta.

Pitt nie przysłuchiwał się rozmowie Giordina z kierowcą, ponieważ rozmawiał z Maeve. Odwinął dyskretnie papierek i przeczytał: FACET JEST PODSTAWIONY.

Nachylił się Giordinowi do ucha i nie kierując wzroku ku kierowcy zapytał:

- Skąd ten pomysł?

Giordino bardzo cicho powiedział:

- Nie jest z „Ocean Anglera”.

- Bo?

- Dał się wpuścić w maliny i przyznał, że kapitanem jest Jack Dempsey.

- Jack Dempsey jest kapitanem „Ice Huntera”, a „Ocean Anglera” Joe Ross.

- Jeszcze jedno. Przed wyjazdem na Antarktydę robiliśmy z Rudim Gunem harmonogram programów badawczych i rozdzielaliśmy do nich ludzi, tak?

- No i?

- Koleś przed nami nie tylko ma teksański akcent, ale twierdzi, że jest na „Ocean Anglerze” fotografem. Rozumiesz już?

- Aha - mruknął Pitt. - Nie mają ekipy zdjęciowej. Na pokładzie jest tylko kilku techników obsługi sonaru i zespół geofizyków.

- A ten cwaniak zawiezie nas prosto do piekła - stwierdził Giordino wyglądając przez okno. Bramę wjazdową wielkiego magazynu przed nimi przecinał napis: DORSETT CONSOLIDATED MINING LTD.

Potwierdzając ich obawy, kierowca skręcił prosto do magazynu i wjechał między dwóch strażników w mundurach ochroniarzy Dorsetta, którzy natychmiast wbiegli do środka. Jeden z nich przerzucił dźwignię uruchamiającą zamykanie drzwi hali.

- Powiedziałbym, że już to się stało - stwierdził Pitt.

- Jaki plan? - spytał Giordino.

Nie było czasu na długie debaty. Furgonetka wjeżdżała coraz głębiej do magazynu.

- Załatwiał go i spadamy.

Dwa szybkie kroki i Giordino trzymał kierowcę za gardło. Jednym szarpnięciem wyciągnął go z kierownicy, otworzył drzwi i wyrzucił „Carla Marvina” z samochodu. Jakby powtarzali to wiele razy, Pitt wskoczył za kierownicę i wdepnął pedał gazu do podłogi. Furgonetka skoczyła do przodu, wjechała w grupę uzbrojonych ludzi, którzy rozprysnęli się na boki jak liście w tornadzie. Wyrosły przed nimi dwie palety kartonowych pudeł z japońskim sprzętem gospodarstwa domowego. Pitt miał minę, jakby ich nie widział. Po chwili, jak odłamki ze szrapnela, na boki rozprysnęły się tostery, miksery i maszynki do parzenia kawy. Pitt poślizgiem wjechał w szeroki korytarz zastawiony po bokach wysoko spiętrzonymi skrzynkami z różnym towarem i skierował się ku wielkim stalowym drzwiom. Złapał mocniej kierownicę i skulił się. Z ogłuszającym łomotem, wyrывая drzwi z zawiasów, toyota wyprysnęła na zewnątrz. Pitt gwałtownie skręcił kierownicę, by ominąć dźwig rozładunkowy.

Wokół było pusto. Nie stały tu ładujące ani rozładowujące towar statki, gdyż naprawiano nabrzeże. Robotnicy zrobili sobie właśnie przerwę - siedzieli jeden obok drugiego na grubej drewnianej belce barykadującej dochodzącą do nabrzeża drogę i jedli kanapki. Pitt prawie położył się na klaksonie i gwałtownie obracał kierownicą, żeby nie potrącić żadnego z robotników, którzy na widok pędzącego ku nim samochodu zamarli w bezruchu. Pittowi prawie udało się objechać barykadę, niestety róg tylnego zderzaka musnął pionową podpórkę belki i samochód porwał konstrukcję za sobą. Robotnicy zostali rozrzućeni dookoła, jakby spadli na ziemię na oderwanym od wiatraka skrzydle.

- Przepraszam! - wrzasnął Pitt przez okno.

Właśnie doszedł do wniosku, że podstawiony kierowca kluczył z nimi po terenie portu. Żałował, że nie przyglądał się uważniej drodze, nie miał bowiem pojęcia, jak wyjechać na prowadzącą do miasta autostradę.

Drogę przed nimi zastawiała właśnie ciężarówka z naczepą i Pitt jak szalony zaczął szarpać kierownicą, by ją ominąć. Udało mu się to nie do końca - zahaczył bokiem o przód ciężarówki. Rozległ się trzask gnieczonego i rozrywanego metalu, zaraz potem grzechot tłuczonego szkła i furgonetka, z powgniataną i zniszczoną prawą stroną, zabujała się jak szalona. Pitt kilkoma ruchami kierownicy wyprostował wpadający w poślizg pojazd. Widząc tryskające na spękaną przednią szybę krople wody, ze złością zdzielił pięścią kierownicę. Impet uderzenia spowodował wyrwanie się chłodnicy z zamocowań i obluźował prowadzące do silnika przewody wodne. Nie był to jeszcze koniec problemów. Prawa przednia opona pękła, a zawieszenie zostało skrzywione.

- Musisz walić we wszystko co na drodze? - spytał zirytowany Giordino.

Siedział na podłodze po lewej, mniej zniszczonej stronie furgonetki i obejmował potężnymi ramionami Maeve.

- Przepraszam za niewygody - rzucił Pitt. - Ktoś jest ranny?

- Mam dość siniaków, żeby wygrać sprawę o uszkodzenie ciała - poskarżyła się Maeve.

Giordino potarł puchnące miejsce na głowie i powiedział ze smutkiem:

- Niezły kawał drania ten twój stary. Wiedział, że przyjeżdżamy, i zrobił nam niespodziankę.

- Ktoś w NUMIE musi być na jego liście płac. - Pitt rzucił Maeve krótkie spojrzenie. - Mam nadzieję, że nie ty.

- Nie ja - zdecydowanie powiedziała Maeve.

Giordino przeszedł na tył samochodu i wyjrzał, by sprawdzić, co z pościgiem. Zza ciężarówki wyjechały dwie czarne furgonetki.

- Mamy na karku psy - stwierdził.

- Czarne charaktery?

- Nie lubię przynosić złych wieści, ale nie mają białych kapeluszy.

- To się ma nazywać wiarygodnym rozpoznaniem?

- Na drzwiach samochodów jest logo Dorsetta.

- No to chyba masz rację.

- Jeżeli podjadą bliżej, mogę poprosić, by pokazali prawo jazdy.

- Dziękuję. Mam wsteczne lusterko.

- Nie sądzisz, że dość narozwalaliśmy, by znalazło się tu parę radiowozów?

Dlaczego nie patrolują portu? Bardzo by nam pasowało, gdyby zechcieli cię aresztować za nieostrożną jazdę.

- O ile znam tatusia, dobrze zapłacił, żeby wzięli sobie dziś wolne - wtrąciła Maeve.

Pozbawiony chłodzenia silnik gwałtownie się grzał i spod maski wydobywały się kłęby pary. Przednie koła rozjeżdżały się każde w swoją stronę i Pitt praktycznie stracił panowanie nad porozbijanym pojazdem. Nagle mieli przed sobą wąską alejkę między magazynami. Pitt wjechał w nią, zaraz się jednak okazało, że nie był to szczęśliwy wybór. Alejka wychodziła na opuszczone nabrzeże, prowadziła donikąd.

- Koniec trasy - westchnął Pitt.

Giordino odwrócił się i popatrzył do tyłu.

- Łobuzy o tym wiedzą. Zatrzymali się, żeby nacieszyć się triumfem.

- Maeve?

Podeszła do przodu samochodu.

- Tak?

- Ile czasu możesz wstrzymać oddech?

- Nie wiem. Może minutę.

- Al? Co robią?

- Podchodzą z obrzydliwymi pałami w rękach.

- A więc chcą wziąć nas żywcem. Świetnie, bando, siadajcie i mocno się złapcie.

- Co zamierzasz? - spytała Maeve.

- Zamierzamy, miłości mojego życia. Zamierzamy popływać. Al, otwieraj okna. Chcę, żebyśmy poszli na dno jak kamień.

- Mam nadzieję, że woda jest ciepła - powiedział Giordino opuszczając szyby. - Nienawidzę zimnej wody.

- Maeve, weź kilka głębokich oddechów, potem wypuść powietrze i wciągnij go jak najwięcej, kiedy wyskoczmy nad nabrzeże i będziemy lecieć do wody - poinstruował Pitt.

- Założę się, że przepłynę pod wodą dalej od ciebie!

- Będziesz miała okazję to udowodnić - rzekł z podziwem. - Nie trać czasu i nie czekaj, aż utworzy się bąbel powietrza pod sufitem, by pooddychać.

Natychmiast jak woda przestanie się wlewać do samochodu, wypływaj z prawej strony i płyn pod pirsy.

Pitt sięgnął za fotel kierowcy, otworzył swój neseser, wyjął owinięty w ortalion pakunek i wetknął go sobie z przodu w spodnie, co dało komiczny pseudoerotyczny efekt.

- Co to ma być? - spytała Maeve.

- Sprzęt na czarną godzinę. Nie wychodzę bez niego z domu.

- Zaraz do nas dojdą - oznajmił Giordino.

Pitt szybko włożył skórzaną kurtkę, zapiał suwak pod samą szyję i chwycił kierownicę.

- No to hop! Spróbujemy dostać jak najwyższe noty z latania.

Wcisnął mocno pedał gazu i wrzucił dźwignię automatycznej skrzyni biegów na LOW. Poobijana furgonetka skoczyła do przodu, prawa przednia opona zaplaskała porozrywaną gumą, z chłodnicy para buchnęła tak gęstą chmurą, że niemal zakryła widok z przodu. Pitt rozpędzał samochód. Wzdłuż krawędzi nabrzeża nie było barierki, jedynie niska belka służąca za krawężnik. Kiedy przednie koła uderzyły w nią, osłabione zawieszenie zostało oderwane. Tylne koła wirowały jak szalone, buksując po betonie i wyrzucając to, co zostało z toyoty, za nabrzeże.

Furgonetka leciała niczym na zwolnionym filmie. Minęło kilka długich sekund, nim cięższy przód przeważył, metalowe pudło klasnęło w wodę rozbryzgując wielką fontannę i zaraz zanurkowało. Pitt usłyszał jeszcze głośny syk nagle schłodzonego silnika, wtedy impet uderzenia wepchnął przednią szybę do środka, a przez otwarte prawe drzwi zaczęła wpływać woda.

Furgonetka bujnęła się raz na fali, zamarła i zaczęła zapadać w głębinę. Ochroniarze Dorsetta, którzy jak jeden mąż podbiegli do skraju nabrzeża, zobaczyli jedynie chmurę kotłujących się bąbelków powietrza i plamę oleju. Fale rozeszły się na boki i rozbiły o podtrzymujące pirsy pale. Czekano na pojawienie się głów, ale nic nie wskazywało, że w zielonej kipieli pozostał ślad życia.

Pitt wiedział, że jeżeli port może przyjmować duże frachtowce, woda musi mieć przynajmniej piętnaście metrów głębokości. Furgonetka zapadła się podwoziem w brudne dno, wzbijając chmurę szlamu. Odepchnął się od kierownicy i popłynął na tył samochodu sprawdzić, czy Maeve i Giordinowi nic się nie stało i bezpiecznie wypłynęli przez okna. Kiedy z zadowoleniem stwierdził, że ich nie ma, wysunął się na zewnątrz i odepchnął nogami od karoserii, zanurzając się w chmurę mułu. Kiedy wpłynął w czystszej wodę, stwierdził, że widoczność jest lepsza, choć woda nieco chłodniejsza niż się spodziewał. Przyплыw naniósł czystą wodę z oceanu, więc bez większych trudności widać było pale podpierające pirs. Dobra widoczność sięgała dwudziestu metrów.

Zobaczył niewyraźne kontury Maeve i Giordina. Byli oddaleni mniej więcej czterdzieści metrów i płynęli ostro przed siebie. Spojrzał w górę, ale ponieważ niebo pokrywały chmury, na powierzchni widać było jedynie słabe migotania. Nagle woda pociemniała, co oznaczało, że wpłynął pod pirs. Na chwilę stracił towarzyszy z oczu. Płuca zaczynały sygnalizować, że brakuje im tlenu, ruszył więc niemal pionowo w górę, pozwalając się nieść naturalnej wyporności. Prawą rękę wyciągnął nad głowę, aby ochronić ją przed niespodziewanym spotkaniem z czymś twardym albo ostrym. Wypłynął na powierzchnię wśród śmieci, kilka razy wciągnął powietrze i natychmiast się rozejrzał, by stwierdzić, że Maeve i Giordino są niedaleko. Podpłynął do nich. Na sam widok uśmiechu Maeve wzrósł jego szacunek do tej kobiety.

- Czapki z głów - szepnęła, zdając sobie sprawę, że może zostać usłyszana przez stojących

w gorze ludzi. - A już chciałam się zakładać, że utonąłeś próbując mnie przetrzymać.

- W starym ciele jeszcze jest trochę pary.

- Nie sądzę, żeby nas zauważyli - powiedział Giordino. - Zanim wypłynąłem z chmury mułu, już byłem pod pirsem.

Pitt wskazał w kierunku głównego portu.

- Miejmy nadzieję, że uda nam się przepłynąć pod pirsem, aż znajdziemy miejsce, gdzie można bezpiecznie wyjść z wody.

- Co sądzicie o wejściu na pokład najbliższego statku? - spytał Giordino.

Maeve skrzywiła się. Jej długie włosy unosiły się na wodzie jak pasma złota.

- Jeżeli ludzie ojca nas wytropią, nie zawahają się zmusić załogi, by nas wydała.

- Nie sądzisz, że załoga nas ochroni, aż dostaniemy się pod opiekę miejscowych władz? - spytał Giordino.

Pitt potrząsnął głową, rozpryskując wokół chmurę kropli.

- Gdybyś był kapitanem statku albo oficerem dyżurnym portu, komu byś uwierzył - trójce ledwo żywych mokrych szczurów czy przedstawicielowi Arthura Dorsetta?

- No tak - zgodził się Giordino.

- Jak by tu dotrzeć do „Ocean Anglera”?

- Tam będą się nas spodziewać przede wszystkim - powiedziała Maeve.

- Ale jeśli znajdziemy się na pokładzie, ludzie Dorsetta musieliby stoczyć niezłą walkę, żeby nas stamtąd ściągnąć.

- Jest tylko jeden drobiazg - rzekł Giordino cicho. - Nie mamy pojęcia, gdzie „Ocean Anglera” szukać.

Pitt popatrzył na przyjaciela.

- Nie lubię, kiedy jesteś pesymistycznie nastawiony.

- Czy ma turkusowy kadłub i białe nadbudówki jak „Ice Hunter”? - spytała Maeve.

- Wszystkie statki NUMY są pomalowane tak samo.

- W takim razie go widziałam. Cumuje przy pirsie szesnastym.

- Poddaję się. Gdzie jest pirs szesnasty?

- Czwartą stąd na północ - odparł Pitt.

- Skąd wiesz?

- Po znakach na magazynach. Zanim zjechaliśmy na pirs dwudziesty, minęliśmy dziewiętnasty.

- Świetnie, mamy więc kierunek i znamy miejsce przeznaczenia, no to ruszajmy - zdecydował Giordino. - Jeśli mają trochę oleju w głowie, lada chwila poślą na dół nurków.

- Nie zbliżajcie się zbyt blisko do pali - ostrzegł Pitt. - Tuż pod powierzchnią są obrośnięte ostrymi jak brzytwa muszlami.

- Czy dlatego pływasz w kurtce? - spytała Maeve.

- Nigdy nie wiadomo, kogo się gdzie spotka - krótko odparł Pitt.

Trudno było ocenić, jaka odległość dzieli ich od statku NUMY. Oszczędzając siły, popłynęli więc powoli żabką, nie wypływając ani razu spod pirsu. Dopłynęli do nasady pirsu dwudziestego, potem przy samym nabrzeżu skierowali się do pirsu dziewiętnastego i dalej do szesnastego. Minęła przynajmniej godzina, nim Maeve ujrzała w wodzie turkusowy poblask.

- Udało się!

- Jeszcze nie czas liczyć wygraną - ostudził ją Pitt. - Może tu być pełno ludzi twojego ojca.

Burta statku była oddalona dwa metry od pali Pitt podpłynął pod prowadzący na statek trap. Wyciągnął ręce w górę, chwycił się metalowej poprzeczki wzmacniającej konstrukcję pirsu i wyciągnął się z wody. Opierając stopy o liczne występy, wspiał się na skraj pirsu, ostrożnie wystawił głowę...

Było pusto, jedynie przy wjeździe na pirs parkowała furgonetka Dorsetta. Na kilkusetmetrowej otwartej przestrzeni pomiędzy stertą kontenerów a parkującymi przed zacumowanym równolegle do „Ocean Anglera” statku zauważył czterech ludzi. Zanurzył się w wodę i przekazał wieści Giordinowi i Maeve.

- Nasi przyjaciele pilnują wjazdu na pirs, ale są jakieś osiemdziesiąt metrów stąd, czyli za daleko, aby powstrzymać nas przed wejściem na pokład.

Dalsze rozmowy były zbyteczne. Pitt wciągnął oboje na belkę, na której stał, potem, na jego znak, wspięli się na krawędź nabrzeża, obiegli obwiązany cumą pachołek i prowadzeni przez Maeve wbiegli na prowadzący na pokład trap.

Ledwie dotarli na górę, instynkt Pitta zaczął odrabiać zaległości. Popułnił wielką, nieodwracalną pomyłkę, a zrozumiał to w momencie, kiedy zobaczył, że pilnujący pirsu strażnicy ruszyli w kierunku statku wolnym krokiem, jakby szli na spacer. Nie krzyczeli, nie byli zaskoczeni, zachowywali się, jakby oczekiwali, że ich ofiary znajdą się na statku. Rozglądając się po opuszczonych pokładach, zrozumiał, że coś jest źle, bardzo źle. Na takim statku ktoś ciągle coś robi na pokładzie. Badawcze łodzie podwodne, sonar, dźwig do opuszczania sprzętu pod wodę - wszystko było zabezpieczone, a nie pamiętał, żeby inżynierowie i naukowcy nie starali się wykorzystać każdej chwili do pogrzebienia w swoim cennym sprzęcie. Kiedy otworzyły się drzwi na mostek i na pokład wyszła znajoma postać, Pitt wiedział, że stała się rzecz nie do pomyślenia.

- Miło znów pana widzieć, panie Pitt - fałszywie powiedział John Merchant. - Nigdy się pan nie poddaje, co?

30

W pierwszej chwili Pitt jakby dostał obuchem. Niełatwo było się pogodzić z faktem - bez trudu dali się złapać w komplecie, Maeve dostała się w łapy ojca, a jego i Giordina najprawdopodobniej czekała śmierć.

W okrutny sposób stało się oczywiste, że dzięki informacji od agenta wewnątrz NUMY ludzie Dorsetta zjawili się na „Ocean Anglerze”, podeszli podstępem kapitana oraz załogę i zawładnęli statkiem na tyle wcześniej, by zdążyć zorganizować pułapkę, w którą Pitt i pozostali wpadli jak dzieci. Było - niestety dopiero teraz - oczywiste, niezwykle jasne, że Arthur Dorsett wymyślił coś niecodziennego na wypadek, gdyby Pittowi i Giordinowi udało się wejść na pokład „Ocean Anglera”. Pitt uważał, że powinien był to przewidzieć i odpowiednio zmodyfikować plan działania, jednak nie docenił szcwanego króla diamentów. Pittowi nie przeszło przez głowę, że można zaatakować i przejąć stojący o rzut kamieniem od wielkiego miasta statek.

Kiedy ujrzał wychodzącą z kryjówek armię - uzbrojoną w policyjne pałki i strzelające gumowymi pociskami karabiny - zdał sobie sprawę, że nie ma już nadziei. Zaraz jednak się zmiętył - nadzieja zawsze istniała, zwłaszcza jeżeli miało się u boku Giordina. Popatrzył na przyjaciela, żeby sprawdzić, jak przyjął przeraźliwy wstrząs: Giordino wyglądał, jakby siedział na nudnym wykładzie, nie okazywał wzruszenia. Wpatrywał się w Merchanta, jakby brał miarę na trumnę, i Pitt ze zdziwieniem stwierdził, że jego spojrzenie niewiele różni się od tego, jakim sam był obserwowany.

Pitt objął Maeve ramieniem. Dziewczyna wyraźnie się łamała. Błękitne oczy były puste, wytrzeszczone i martwe jak u kogoś, kto widzi koniec świata. Schyliła głowę, opuściła ramiona i objęła twarz dłońmi. Nie bała się o siebie, ale o to co jej ojciec - mając dowód zdrady - zrobi bliźniakom.

- Co zrobiliście załodze? - Pitt zauważył z satysfakcją bandaż na potylicy Merchanta.

- Piątka, która pozostała na pokładzie, została poproszona o niewychodzenie z kabin.

- Piątka?

- Tak. Reszta skorzystała z zaproszenia od pana Dorsetta na przyjęcie w najlepszym hotelu w Wellington. Zorganizowane ku czci dzielnych badaczy głębin morskich czy coś w tym rodzaju. Jako firma wydobywająca surowce naturalne, Dorsett Consolidated jest zainteresowana odkryciami na dnie oceanów.

- Dobrze się przygotowaliście - stwierdził zimno Pitt. - Kto z NUMY powiedział wam, że przylatujemy?

- Jakiś geolog, nie pamiętam nazwiska, który na bieżąco informuje pana Dorsetta o waszych badaniach podwodnych. Jest jednym z wielu ludzi z firm i rządów całego świata, zaopatrujących nas w tajne informacje gospodarcze i polityczne.

- Macie rozległą sieć szpiegowską.

- I bardzo sprawną. Śledzimy was od momentu, kiedy wystartowaliście z Waszyngtonu.

Otoczający ich strażnicy stali bez ruchu.

- Tak bez kajdanek? - spytał Pitt.

- Moi ludzie mają rozkaz, by przy próbie ucieczki pana lub pańskiego przyjaciela strzelać jedynie do panny Dorsett. - Zęby Merchanta aż zamigotały w słońcu.

- Nie ja go, oczywiście, wydałem. To rozkaz pani Boudicki Dorsett.

- Słodziutka istotka - zjadliwie powiedział Pitt. - Założę się, że w dzieciństwie torturowała lalki.

- Ma ciekawe plany w związku z panem, panie Pitt.

- Jak głowa?

- Nie jest na tyle kontuzjowana, bym nie mógł przelecieć przez ocean i pana powitać.

- To rzeczywiście niezwykła niespodzianka. Dokąd teraz się udamy?

- Lada chwila przybędzie pan Dorsett. Zostaniecie przetransportowani na jego jacht.

- Zdawało mi się, że jego pływająca willa znajduje się na wyspie Kungit.

- Znajdowała się kilka dni temu - rzekł z uśmiechem Merchant, zdjął okulary i zaczął je polerować ściereczką. - Jacht pana Dorsetta ma cztery diesle z turbodoładowaniem. Uzyskują moc osiemnastu tysięcy koni i są w stanie doprowadzić tę osiemdziesięcotonową jednostkę do prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Sami niedługo stwierdzicie, że pan Dorsett ma niecodzienny gust.

- Zaprawdę, wierzę, iż jego osobowość jest tak interesująca jak spis adresów w notesie mnicha z klasztoru - wtrącił Giordino. - Co poza liczeniem diamentów jest w stanie go uradować?

Merchant miał w oczach błysk, zaraz jednak wziął się w garść i znów miał twarz obojętną, jakby wymodelowaną przez kosmetyczkę.

- Humor, panowie, kosztuje. Panna Dorsett potwierdzi z pewnością, że jej ojcu brakuje nieco poczucia humoru. Śmiem twierdzić, że jutro o tej samej porze i wy nie będziecie się mieli z czego śmiać.

Pitt spodziewał się, że jeden z najbogatszych ludzi świata, ojciec trzech pięknych córek, będzie

w miarę przystojny i kulturalny, ale w salonie jachtu czekał na niego troll z germańskiej sagi, który tylko co wyczołgał się z jaskini.

Był o głowę wyższy od Pitta, klatkę piersiową miał dwa razy szerszą od niego. Nie mógł czuć się wygodnie za biurkiem. Pitt zrozumiał, po kim Boudicca ma czarne puste oczy. Twarz Dorsetta była poorana głębokimi zmarszczkami, a twarda, pokiereszowana skóra na dłoniach świadczyła, że nie bał się ich zabrudzić. Do długich, nierównych wąsów były przyklejane resztki obiadu. Tym jednak, co kompletnie nie pasowało do kogoś o tak wielkim znaczeniu, były zęby - poszczerbione i pożółkłe jak klawisze starego pianina. Obrzydliwy widok powinny zasłaniać wargi, ale usta nie zamykały się - nawet kiedy nie mówił.

Dorsett stał przed biurkiem, po jego lewej ręce stała Boudicca - w dzinsach i męskiej koszuli, którą choć zawiązała na dole w supeł, zapięła pod szyję; po prawej siedziała w obitym jedwabiem krzesle Deidre - w białym golfie, prostej bluzie i skromnej spódnicy. Król diamentów splótł ramiona na piersi, przysiadł na biurku i uśmiechał się jak stara czarownica. Ponurymi oczami uważnie lustrował Pitta i Giordina, badał ich od czubka głowy po stopy. Po chwili odwrócił się do stojącego za Maeve Merchanta, który obejmował rękojeść automatycznej dziewiątki skrytej za pazuchą.

- Dobra robota, John - powiedział rozpromieniony. - Przewidziałeś każdy ich ruch. - Uniósł brew i wbił wzrok w dwóch mokrych i ubłoconych mężczyzn, potem w Maeve, której mokre splątane włosy przykleiły się do czoła i policzków, w końcu odrażająco się uśmiechnął i skinął Merchantowi głową. - Nie wszystko poszło, jak myślałeś? Wyglądają, jakby wpadli w bagno.

- Próbowali walczyć z nieuniknionym uciekając do wody - impertynencko stwierdził Merchant. W jego oczach migotały pewność siebie i zadufanie. - Ale i tak wpadli mi w ręce.

- Były jakieś problemy z ochroną portu?

- Negocjacje i przekazanie gratyfikacji trwały bardzo krótko. Kiedy pański jacht dobił do „Ocean Anglera”, piątka zatrzymanych marynarzy została zwolniona. Jestem pewien, że jeżeli NUMA złoży formalną skargę, zostanie przez miejscowe władze potraktowana z odpowiednią biurokratyczną obojętnością.

Kraj jest winien Dorsett Consolidated wdzięczność za wkład w rozwój gospodarki.

- Należy się panu i pańskim ludziom pochwała. Wszyscy, którzy zasłużyli się w tej akcji, otrzymają odpowiednią premię.

- Jest pan bardzo szczodry.

- Teraz proszę zostawić nas samych.

Merchant popatrzył na Pitta i Giordina z niedowierzaniem.

- To ludzie, których powinno się pilnie strzec - spróbował zaprotestować. - Nie radziłbym z nimi igrać.

- Uważa pan, że spróbują przejąć jacht? - roześmiał się Dorsett. - Dwóch bezbronnych ludzi przeciwko kilkunastu uzbrojonym? A może obawia się pan, że wyskoczą za burtę i popłyną do brzegu? - Dorsett wskazał za okno w kierunku przylądka Farewell, malejącego szybko za jachtem wysuniętego najdalej na północ krańca Wyspy Południowej Nowej Zelandii. - Czterdzieści kilometrów rojący się od rekinów wodami? Nie sądzę.

- Moim zadaniem jest ochrona pana i pańskich spraw - odparł Merchant, wyjął rękę zza pazuchy, zapiał marynarkę i ruszył w kierunku wyjścia.

- Nie traktuję tego jak zabawy.

- Pańska działalność jest wielce ceniona - powiedział Dorsett, nagle szorstki i zniecierpliwiony.

Kiedy Merchant wyszedł, Maeve skoczyła na ojca.

- Masz mi natychmiast powiedzieć, że Seanowi i Michaelowi nic nie jest, a twój zwyrodniały nadzorca nic im nie zrobił!

Boudicca bez słowa zrobiła krok do przodu, wyciągnęła rękę gestem, który początkowo wydał się Pittowi czuły, okazał się jednak zamachem, i uderzyła siostrę grzbietem dłoni w twarz. Cios był tak silny, że gdyby Pitt nie chwycił Maeve, z pewnością upadłaby na ziemię. Giordino stanął między dwoma kobietami. O połowę niższy od potężnej Boudicki, aby spojrzeć jej w twarz, musiał unosić głowę jak przed wysokościewcem. Scena była tym bardziej absurdalna, że aby patrzeć jej w oczy, musiał ominąć wzrokiem ogromne piersi.

- To na powitanie - powiedziała Boudicca do siostry.

Pitt znał ten wyraz oczu Giordina. Niski Włoch był bystrym obserwatorem twarzy i charakterów. Po chwili patrzenia na Boudicce ujrzał w niej coś, czego Pitt dotychczas nie dostrzegł. Zaraz coś powie i choć może tego pożałuje, uznał, że warto. Omiótł wzrokiem Boudicce od góry do dołu i stwierdził:

- Może się o coś założymy?

- Założymy? O co?

- O to że nie golisz nóg ani pach.

Na chwilę zapadła cisza, głównie ze zdziwienia, nagle jednak twarz Boudicki wykrzywiła wściekłość, olbrzymka zacisnęła dłoń w pięść i zamachnęła się. Giordino stał zadowolony i czekał nie zamierzając zrobić uniku.

Został trafiony z całej siły, ciosem mocniejszym chyba niż z ręki mistrza olimpijskiego w boksie. Pięść wylądowała prosto na jego szczęce. Uderzenie było niesamowite, niszczyielskie, trudno się spodziewać podobnego haka po kobiecie. Ponieważ Boudicca uderzała wściekła, niejeden mężczyzna zostałby nie tylko znokautowany, ale nie odzyskał przez dobę przytomności. Głowa Giordina odskoczyła do tyłu, cofnął się o krok, otrząsnął się krótko i na kosztowny dywan wypłuł zęb. Nie minęła sekunda, jak wbrew logice zrobił krok do przodu i stanął pod potężnym biustem Boudicki. Nie było w jego wzroku urazy ani mściwości, patrzył na nią całkiem obojętnie.

- Jeżeli masz choć krztynę przyzwoitości i poczucia fair play, pozwolisz mi oddać.

Boudicca stała zdezorientowana, pocierając bolącą dłoń. Nieopanowaną wściekłość powoli zastępowała zimna uraza. Jej zmijowate oczy wypełniły się śmiertelnym zimnem.

- Jesteś głupcem - powiedziała lodowato.

Jej dłonie wystrzeliły do przodu i zacisnęły się na szyi Giordina, a on stał z opuszczonymi ramionami, przyciśnięte do boków dłonie zaciskał w pięści i nawet nie drgnął, by jej przeszkodzić. Z twarzy odpłynęły mu kolory, oczy wyszły z orbit, w dalszym ciągu jednak nie podejmował najmniejszej próby obrony. Patrzył jej prosto w oczy bez śladu złości.

Pitt doskonale pamiętał, jak silna jest Boudicca - ciągle jeszcze miał dowodzące tego siniaki na ramionach. Właśnie miał ruszyć do przodu, by kopnąć Boudicce w kolano i przerwać tę tak nietypową dla Giordina demonstrację pasywności, kiedy Arthur Dorsett krzyknął:

- Puść go! Nie brudź sobie rąk szcurem!

Giordino wciąż stał jak pomnik w parku. Boudicca puściła go, cofnęła się i zaczęła masować obtarte kostki dłoni.

- Następnym razem nie będzie ci kto miał uratować śmierdzącego dupska.

- Myślałaś kiedyś o przejściu na zawodowstwo? - chrapliwie wycharczał Giordino, delikatnie

dotykając przebarwiających się miejsc na szyi. - Znam klub, do którego chętnie przyjmują wszelkich dziwaków.

Pitt położył Giordinowi dłoń na ramieniu.

- Zanim umówisz się na rewanż, posłuchajmy, co ma do powiedzenia pan Dorsett.

- Jest pan rozsądniejszy od swojego przyjaciela - pochwalił Pitta Dorsett.

- Jedynie w zakresie unikania bólu i kontaktu z kryminalistami.

- Tak mnie pan ocenia? Jako kryminalistę?

- Biorąc pod uwagę, że jest pan odpowiedzialny za zamordowanie setek ludzi - jednoznacznie tak.

Dorsett wzruszył obojętnie ramionami i usiadł za biurkiem.

- Choć godne pożałowania, było to niezbędne.

Pitta opanowała gwałtowna wściekłość.

- Nie znam usprawiedliwienia dla zabijania z zimną krwią niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci.

- Dlaczego tak się pan przejmuje kilkoma trupami, kiedy w krajach trzeciego świata codziennie z powodu głodu, chorób i wojny umierają miliony?

- Tak mnie wychowano. Moja matka zawsze mnie uczyła, że życie to dar.

- Życie to towar, nic więcej - zakpił Dorsett. - Ludzie są jak narzędzia, które kiedy się starzeją, należy wyrzucić. Żal mi takich jak pan, spętanych moralnością i zasadami. Jesteście skazani na pogoń za mirażem, za wizją idealnego świata, jakiego nigdy nie było i nie będzie.

Pitt zrozumiał, że ma do czynienia z szaleńcem.

- Pan też umrze w pogoni za mirażem.

Dorsett uśmiechnął się bez śladu wesołości.

- Myli się pan, panie Pitt. Będę go trzymał w dłoniach, zanim nadejdzie na mnie czas.

- Pańska życiowa filozofia jest chora i spaczona.

- Jak na razie znakomicie mi służy.

- Nie rozumiem, dlaczego pan kontynuuje powodujące śmierć wydobywanie za pomocą ultradźwięków?

- Chcę zdobyć więcej diamentów, to oczywiste. - Dorsett patrzył na Pitta, jakby obserwował wydobyty z ziemi szczególnie ciekawy okaz. - Za kilka tygodni uszczęśliwię miliony kobiet, dając im możliwość kupienia najpiękniejszych kamieni świata za cenę, na jaką stać nawet żebraka.

- Nie wygląda pan na dobroczyńcę.

- Diamenty nie są niczym innym jak kawałkami węgla. Ich jedyne praktyczne przeznaczenie bierze się stąd, że są najtwardszym znanym minerałem, co powoduje, że są niezbędne do obróbki metalu i wierceń w skale. Wie pan, że słowo „diament” pochodzi z greckiego adhmas i oznacza „najtwardsze żelazo”?

Grecy, a po nich Rzymianie nosili diamenty dla ochrony przed dzikimi bestiami i wrogami. Ówczesne kobiety nie zachwycały się diamentami jak dzisiejsze. Poza odstręczaniem złych duchów używano wtedy diamentów do badania wierności małżeńskiej. Jeśli chodzi o urodę, to tę samą migotliwość ma kryształ górski. - Dorsett opowiadał o diamentach obojętnie, jedynie pulsująca na jego szyi żyłka świadczyła o zaangażowaniu w temat. Mówił, jakby uważał, że wzniósł się na poziom nieosiągalny dla zwykłego śmiertelnika. - Czy zdaje pan sobie sprawę, że pierwszy pierścionek zaręczynowy z diamentem został wręczony Marii Burgundzkiej w 1477 roku przez arcyksięcia Franciszka Austriackiego, a wiara, że „żyła miłości” biegnie prosto z mózgu do dużego palca lewej

ręki, pochodzi ze starożytnego Egiptu?

Pitt słuchał niemal rozbawiony.

- Panie Dorsett, wiem, że w magazynach w Afryce Południowej, Rosji i Australii przetrzymuje się masę surowych kamieni, by sztucznie zawyżyć wartość będących w obiegu. Wiem, że ceny ustala kierowany przez De Beersa kartel, właściwie monopol, nie wyobrażam więc sobie, w jaki sposób jeden człowiek mógłby rzucić wyzwanie syndykatowi i spowodować na rynku diamentów nagły, drastyczny spadek cen?

- Bo kartel zadziała po mojej myśli - pogardliwie stwierdził Dorsett. - Dotychczas za każdym razem, kiedy któryś producent diamentów albo jakiś kraj próbował ominąć kartel i sprzedawać kamienie na wolnym rynku, gwałtownie obniżali ceny. Wolny strzelec nie był w stanie rywalizować i nie mogąc wygrać, poddawał się ich regułom. Liczę, że to samo zrobią i tym razem.

Zanim zorientują się, że rzuciłem na rynek miliony kamieni, zbijam cenę z każdego dolara do dwóch centów i nie zamierzam zarobić, będzie za późno. Rynek zostanie zniszczony.

- Jaki sens w dominowaniu na osłabionym rynku?

- Nie zamierzam dominować na rynku, zamierzam go zniszczyć.

Pitt zauważył, że Dorsett nie patrzy na niego, lecz wbija wzrok w punkt za jego plecami. Jakby miał wizję, którą jedynie on jest w stanie dojrzeć.

- Jeżeli dobrze rozumiem, chce pan poderżnąć sobie gardło.

- Tak to wygląda, prawda? - Dorsett wyciągnął w stronę Pitta palec. - Chciałem, żeby właśnie tak wszyscy myśleli, z moimi najbliższymi współpracownikami i córkami włącznie. Prawda jest jednak inna. Zamierzam za robić sporo pieniędzy.

- Jak? - spytał Pitt z rosnącym zainteresowaniem.

Dorsett satanicznie się uśmiechnął ukazując zniszczone zęby.

- Odpowiedź leży nie w diamentach, ale w kamieniach szlachetnych.

- Boże, rozumiem po co to wszystko! - wykrzyknęła Maeve, jakby odkryła Amerykę. - Zamierzasz zawładnąć rynkiem kamieni szlachetnych!

Powiedziawszy to, zaczęła drżeć. Pitt zdjął z siebie przemoczoną kurtkę i zarzucił ją Maeve na ramiona. Dorsett skinął głową.

- Tak jest, córko. Przez minione dwadzieścia lat twój mądry stary ojciec wydobywał nieustannie diamenty i po cichu skupował udziały w wiodących kopalniach kamieni szlachetnych na całym świecie. Dzięki odpowiednim manewrom udało się to ukryć i mam teraz w ręku osiemdziesiąt procent tego rynku.

- Mówiąc o kamieniach szlachetnych ma pan na myśli rubiny i szmaragdy? - zapytał Pitt.

- Tak, ale i wiele innych, takich jak szafir, topaz, turmalin, ametyst. Większość z nich jest rzadsza od diamentu. Złoża tsaworytu, czyli zielonego granatu, czerwonego berylu, czyli czerwonego szmaragdu, albo meksykańskiego opalu ognistego są coraz trudniejsze do odkrycia. Niektóre kamienie szlachetne są tak cenne, że znikają w rękach zbieraczy, nim trafią do jubilerów.

- Dlaczego więc inne kamienie szlachetne nie osiągnęły cen porównywalnych do diamentu?

- Ponieważ kartel diamentowy spychał je w cień. - Dorsett mówił jak fanatyk. - Przez dziesięciolecia De Beers wydawał ogromne sumy na badania i kształtowanie rynku. Wydano miliony dolarów na stworzeniu mitu, że diamenty mają nieprzemijalną wartość. Ponieważ wydobywanie rosło, De Beers chcąc utrzymać ceny musiał wytworzyć rosnący popyt i stworzono wabiącą wyobraźnię mężczyzny iluzję, by okazywał miłość zakupem diamentu, a przebiegła kampania reklamowa

osiągnęła szczyt sloganem „Diamenty są wieczne”.

- Dorsett zaczął chodzić po salonie i wymachiwać rękami. - Ponieważ kamienie szlachetne są produkowane przez tysiące niezależnych firm, rywalizujących każda z każdą, nie powstała wspólna organizacja promocyjna. Ceny malały z powodu braku zainteresowania i zamierzam to zmienić po załamaniu się rynku diamentów.

- Postanowił pan wskoczyć w sprawę po uszy.

- Nie tylko będę produkował kamienie szlachetne, ale będę je też szlifował i sprzedawał w mojej sieci sprzedaży detalicznej House of Dorsett.

Może szafiry, szmaragdy i rubiny nie są wieczne, ale kiedy dokonam swego, każda nosząca je kobieta będzie się czuła jak bogini. Słowo „klejnot” uzyska nowe znaczenie. Już sławny renesansowy złotnik Benvenuto Cellini przewidział, że rubiny i szmaragdy będą wspanialsze od diamentów.

Pomysł był zaprawdę oszałamiający i Pitt ostrożnie sformułował następne pytanie.

- Przez dziesięciolecia kobiety przyjmowały jako fakt, że diament jest oznaką zalotów i związku do końca życia. Naprawdę sądzi pan, że uda się przenieść ich preferencje na inne kamienie szlachetne?

- A dlaczego by nie? - Dorsett był zaskoczony wątpliwościami Pitta. - Związek pomiędzy zaręczynami a pierścieniem z diamentem został ugruntowany nie wcześniej jak pod koniec dziewiętnastego wieku. Trzeba tylko zmienić obowiązujące w społeczeństwie nastawienie. Zatrudniłem jedną z najlepszych na świecie agencji reklamowych, posiadającą przedstawicielstwa w trzydziestu krajach świata, która jest gotowa do rozpoczęcia kampanii reklamowej na mój znak, a dam go w momencie zniszczenia kartelu diamentowego.

Kiedy wykończę kartel i rozwinie się kampania, kamienie szlachetne będą najcenniejszym surowcem jubilerów, a diamenty zejść na drugi plan.

Wzrok Pitta wędrował pomiędzy Boudicą, Deidre a Maeve.

- Jak większość mężczyzn, niezbyt się orientuję w tym, o czym myślą i co czują kobiety, ale podejrzewam, że niełatwo będzie udowodnić, że diamenty nie są „najlepszym przyjacielem dziewczyny”.

Dorsett sucho się roześmiał.

- Błyskotki kupują mężczyźni i nie tylko lubią imponować kobietom, ale mają większe wycucie obowiązujących wartości. Wystarczy uświadomić im, że rubiny i szmaragdy są pięćdziesiąt razy rzadsze od diamentów, to zaczną je kupować.

- Naprawdę? Szmaragd naprawdę jest pięćdziesiąt razy rzadszy od diamentu?

Dorsett poważnie skinął głową.

- A będzie jeszcze rzadszy, ponieważ niedługo złoża szmaragdów się wyczerpią. Już dziś czerwony szmaragd, który występuje w jednej czy dwóch kopalniach w Utah, jest milion razy rzadszy od diamentu.

- Zawładnięcie jednym rynkiem poprzez zniszczenie innego. Wątpię, by kierowała panem jedynie chęć zysku.

- Tu nie chodzi o „Jedynie zysk”, drogi panie. Chodzi o niespotykane dotychczas zyski. Mówimy o dziesiątkach miliardów dolarów.

Pitt nie bardzo chciał uwierzyć w sumę.

- Nie osiągnie pan tego zysku podwojeniem cen.

- Należy oczekiwać raczej czterokrotnego ich wzrostu. Oczywiście nie nastąpi to od razu, będzie

trwało całe lata.

Pitt zrobił kilka kroków, aż stanął przed wielkim Dorsettem. Uważnie mu się przyglądał.

- Proszę pana, nie interesują mnie pańskie zabawy w króla Midasa. Niech pan robi, na co ma ochotę z rynkiem diamentów, ale niech pan przerwie wydobywanie kamieni za pomocą ultradźwięków. Proszę zadzwonić do dyrektorów kopalni i kazać przerwać prace. Proszę zrobić to natychmiast, zanim jeszcze ktoś zginie.

Po tych słowach zapadła złowróżbna cisza. Wszystkie oczy skierowały się na Dorsetta, oczekiwano wybuchu gniewu z powodu rzuconego mu wyzwania. Król diamentów przez długie sekundy wbijał wzrok w Pitta, potem odwrócił się do Maeve.

- Twój przyjaciel jest niecierpliwy. Nie zna mnie i mojego zdecydowania. - Skierował wzrok ponownie na Pitta. - Atak na kartel diamentowy jest wyznaczony na dwudziesty drugi lutego. To za dwadzieścia jeden dni. Aby się udał, potrzebuję każdego grama, każdego karata z moich kopalni. Już są opłacone artykuły i reklamy prasowe, wykupiony jest czas antenowy. Nie może być i nie będzie żadnej zmiany planów. Jeżeli ma przy tym zginąć trochę spójności, to trudno.

„Obłąd” - inne określenie nie nasuwało się Pittowi na widok chorobliwego, szatańskiego wyrazu czarnych oczu Dorsetta. Obłąd, całkowita obojętność i brak skrupułów. Człowiek ten był pozbawiony śladu sumienia. Pitt na sam jego widok dostawał gęsiej skórki. Zastanawiał się, za ile zgonów ten potwór był odpowiedzialny. Ilu ludzi miał na sumieniu, jeszcze zanim zaczął stosować do wydobywania ultradźwięki - tych, którzy stanęli mu na drodze do sławy i pieniędzy? Aż się zimno robiło na myśl, że jest socjopatą na miarę najgorszych masowych morderców.

- Zapłaci pan za swoje zbrodnie, Dorsett - powiedział Pitt spokojnie i zimno. - Zapłaci pan za cierpienia i spowodowaną przez siebie śmierć.

- Kto będzie aniołem zemsty? Pan? Pan Giordino? Nie wierzę, by nie bo zesłało was, by wyrównać rachunki. To zbyt odległa możliwość. Pewne jest jedynie to, panie Pitt, że nie zobaczy pan planowanych przeze mnie wydarzeń na własne oczy.

- Pozbycie się świadków strzałem w głowę i wyrzucenie ciał za burtę to pańska stała metoda?

- Strzelić panu i panu Giordinowi w głowę? - W głosie Arthura Dorsetta nie było najmniejszej emocji. - Nic tak niedelikatnego i doczesnego, choć przyznam - łaskawego. Wyrzucenie za burtę? Powiedzmy, że coś w tym jest, na pewno jednak gwarantuję panu i pańskiemu przyjacielowi powolną i okrutną śmierć.

31

Po trzydziestu godzinach gnania po oceanie z niespotykaną dla statku prędkością, potężne silniki przycichły do zgłuszonego pomruku, a jacht zaczął zwalniać i dryfować pomiędzy łagodnymi falami. Nowa Zelandia dawno zniknęła w kilwaterze, na północy i zachodzie kłębiły się ciemne chmury, przecinane od czasu do czasu przez błyskawice, czemu towarzyszyło głuche przewalanie się dalekich jeszcze grzmotów. Na południu i wschodzie niebo było czyste i błękitne.

Pitt i Giordino spędzili noc i pół następnego dnia w komórce za maszynownią. Ledwie mieli miejsce siedzieć z podciągniętymi pod brodę kolanami. Pitt większość czasu czuwał, jego pobudzony umysł rejestrował każdą zmianę w pracy silników i aktywności morza. Nie myśląc ani przez chwilę o poddaniu się, Giordino wyważył drzwi z zawiasów, ale niewiele osiągnął - stojący na zewnątrz strażnicy natychmiast wetknęli mu w brzuch lufy automatycznych karabinków. Zrezygnowany zasnął, jeszcze nim wstawiono drzwi na miejsce.

Pitt przesadzał, obwiniając tylko i wyłącznie siebie za to, że znaleźli się w tak krytycznej sytuacji, nie popełnił bowiem wielkiego błędu. Mógł, być może, przewidzieć ruchy Eleganta Johna, ale trudno było się domyślić, jak fanatycznie zależało Merchantowi na dostarczeniu Maeve w ręce jej ojca. On i Giordino byli dodatkową, nie planowaną zdobyczą. Arthur Dorsett nie traktował ich jako wielkiej przeszkody przy realizacji swego chorego zamiaru zebrania niewyobrażalnego bogactwa.

Było coś niesamowitego sposobie doprowadzenia do skutku tak skomplikowanego planu pojmania Maeve i wyeliminowania ludzi z NUMY. Pitt dziwił się, dlaczego pozostawia się go i Giordina przy życiu. Kiedy zniszczone drzwi otworzyły się i w progu stanął John Merchant, na widok swej nemezis odruchowo spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia po jedenastej.

- Czas wejść na pokład - radośnie oznajmił Merchant.

- Zmieniamy łódzie?

- Można tak powiedzieć.

- Mam nadzieję, że na nowej obsługa będzie lepsza - wtrącił Giordino.

- Zajmie się pan bagażem?

Merchant zbył go wzruszeniem ramion.

- Proszę się pospieszyć, panowie. Pan Dorsett nie lubi czekać.

Zostali pod eskortą zaprowadzeni na tylny pokład, otoczeni przez dużą grupę ochroniarzy uzbrojonych w różne rodzaje broni stworzone do ranienia, ale nie do zabijania. Słońce zachodziło i spadły pierwsze krople deszczu, niesione bryzą idącą przed nadciągającymi chmurami.

Dorsett siedział przy zasłoniętym baldachimem stole, zastawionym srebrnymi tacami i miskami pełnymi smakowicie wyglądających potraw. Tuż za nim stało dwóch lokai w liberii, jeden gotów w każdej chwili dolewać wina, drugi - zmieniać talerze. Siedzące po bokach ojca Boudicca i Deidre nawet nie podniosły głów znad jedzenia, kiedy wprowadzono Pitta i Giordina. Pitt rozejrzał się szukając Maeve, ale nigdzie jej nie było.

- Bardzo żałuję, lecz musicie nas panowie opuścić - powiedział Dorsett pomiędzy dwoma kęsami grzanki z kawiozem. - Jaka szkoda, że nie możecie zostać na przekąskę.

- Nie należy jeść kawioru - zwrócił mu uwagę Pitt. - Rybacy niemal wybili jesiota.

Dorsett wzruszył apatycznie ramionami.

- No to co? Kosztuje tylko trochę więcej.

Pitt odwrócił się i popatrzył na pusty ocean. Zbierało się na sztorm.

- Powiedziano nam, że mamy się przesiąść.

- I tak będzie.

- Gdzie nasza łódź?

- Przy burcie.

- Aha. Rozumiem. Zamierza pan wydać nas na pastwę morza.

Dorsett wytarł chusteczką usta - z elegancją mechanika samochodowego wycierającego pobrudzone smarem ręce.

- Przepraszam za podstawienie tak małej jednostki, w dodatku bez silnika, ale innej nie mam pod ręką.

- Dziękuję za sadystyczny odruch. Musi panu sprawiać wielką przyjemność sama myśl, że będziemy cierpieć.

Giordino patrzył na umocowane na pokładzie dwie potężne motorówki.

- Jesteśmy porażeni pańską wielkodusznością.

- Powinniście być wdzięczni, że dostajecie szansę.

- Wyrzuceni na nie uczęszczanym morzu w miejscu, gdzie zaraz przejdzie sztorm. Powinien pan przynajmniej spisać nasze testamenty.

- Uważam rozmowę za skończoną. Żegnam. Miłej podróży, panowie. - Dorsett skinął Johnowi Merchantowi. - Proszę wskazać tym śmieciom drogę.

Merchant pokazał otwartą w relingu bramkę.

- Co, bez konfetti i serpentyn? - spytał Giordino.

Pitt podszedł do skraju pokładu i zapatrzył się w wodę. Obok jachtu podskakiwała na falach niewielka łódź - miała trzy metry długości i dwa szerokości. Po obu stronach znajdowały się pływaki z neoprenu, środkowa część w kształcie litery V była zrobiona z włókna szklanego. Wyglądało to dość solidnie, lecz było maleńkie. Z tyłu było miejsce na silnik, ale go usunięto - ze środkowej konsoly jeszcze zwisały kable. Łódź była pusta - poza leżącą na dnie, owiniętą kurtką Pitta bryłą.

Pitta opanowała wściekłość. Złapał Merchanta za kołnierz i odciągnął go na bok jak słomianego stracha na wróble. Zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać, był przy stole Dorsetta.

- Tylko nie to! Nie Maeve!

Dorsett uśmiechnął się, ale nie było w jego minie wesołości.

- Przyjęła nazwisko przodków, może więc pocierpieć jak oni.

- Ty skurwielu! - wyrzucił z siebie Pitt ze zwierzęcą wściekłością. - Ty parchu z nieprawego łóża! - Więcej nie zdążył powiedzieć, jeden z ochroniarzy wbił mu bowiem z całej siły tuż nad nerką lufę karabinka.

Ciało przeszył mu paraliżujący ból, ale gniew pozwolił utrzymać się na nogach. Skoczył szczupakiem do przodu, złapał obiema rękami obrus i szarpnął w górę. Na wszystkie strony rozprysnęły się kieliszki, noże, widelce, łyżki, wypełnione eleganckimi potrawami tace i talerze. Zanim cokolwiek zdążyło spaść z klekotem na pokład, Pitt skoczył na Dorsetta. Nie miał zamiaru go dusić ani bić, doskonale wiedział, że ma czas tylko na jedno uderzenie i musi być skuteczne. Wyprostował palce wskazujące i w tym samym ułamku sekundy, kiedy położyły się na nim ręce ochroniarzy, uderzył. Oszalała Boudicca z piekielnym zamachem chciała zdzielić go w kark, ale trafiła w ramię. Jeden z palców Pitta ześlizgnął się po skroni Dorsetta, lecz drugi doszedł celu. Powietrze przeszył zwierzęcy wrzask i równocześnie spadł na Pitta grad ciosów. Nie było na jego ciele miejsca, które nie zostało trafione, na szczęście po chwili otoczyła go ciemność.

Kiedy się budził, myślał, że jest w bezdennej jamie w głębi ziemi, w najlepszym wypadku w głębokiej jaskini bez światła. Rozpaczliwie próbował odnaleźć drogę na zewnątrz, ale nie mógł wyjść z labiryntu. Rozkojarzone myśli kłamały, że już zawsze będzie krążył zagubiony w sennych majakach, skazany na wieczną wędrówkę czarnymi korytarzami. Nagle ujrzał przed sobą promyk światła. Sięgnął ku niemu ręką i zauważył, że rośnie w kłębowisko pędzących po niebie sztormowych chmur.

- Chwalmy Pana, Łazarz, wrócił z martwych. - Głos Giordina zdawał się płynąć z oddali, w dodatku był zagłuszany hukami setek pędzących samochodów. - Choć sądząc po pogodzie, tylko po to by umrzeć ponownie.

Natychmiast po tym jak odzyskał świadomość, zażyczył sobie powrotu do czarnego labiryntu. Każdy centymetr ciała pulsował potwornym bólem. Miał wrażenie, że od czubka głowy po kolana nie ma ani jednej całej kosteczki. Spróbował usiąść, ale zatrzymał się w połowie ruchu i jęknął, jakby miał zaraz umrzeć. Maeve dotknęła delikatnie jego policzka i objęła go ramieniem.

- Będzie cię mniej boleć, jeżeli nie będziesz się ruszał.

Popatrzył jej w twarz. Błękitne rozszerzone oczy były wypełnione troską i czułością. Rozpostarła nad nim czarowną sieć miłości, która objęła go niczym babie lato i spowodowała, że cierpienie odpłynęło jak splukane wodą.

- Narozrabiałem, co? - mruknął.

Powoli pokręciła głową, blond włosy okleiły przy tym policzki.

- Nie, nie myśl tak. Nie byłbyś tutaj, gdybyś nie robił tego dla mnie.

- Zanim wrzucili nas na tę skorupkę, ludzie Merchanta trochę cię obstukali - rzekł Giordino. -

Wyglądasz jak worek treningowy Los Angeles Dodgers.

Pitt z wysiłkiem usiadł.

- A Dorsett?

- Podejrzewam, że wybiłeś mu oko i będzie teraz chodził jak pirat z klapką. Brakuje mu jeszcze tylko blizny po cięciu szablą i haka zamiast dłoni.

- Boudicca i Deidre zanosły go do salonu, kiedy cię bili - dodała Maeve. - Gdyby Merchant prędzej się zorientował, jak poważnie raniłeś ojca, nie wiem, co by się stało.

Pitt zlustrował napuchłymi, półprzymkniętymi oczami pusty i groźny ocean.

- Odpłynęli?

- Tak, uciekli przed sztormem, lecz przedtem próbowali nas przejechać.

Na szczęście pływaki są z neoprenu, a bez silnika odbiliśmy się od nich jak piłka. O włos byśmy kapotażowali.

Pitt znów skoncentrował wzrok na Maeve.

- A więc mamy dryfować jak twoja prapraprababka Betsy Fletcher.

Popatrzyła zdziwiona.

- Skąd wiesz? Nigdy o niej nie opowiadałam.

- Zawsze sprawdzam kobiety, z którymi chcę spędzić resztę życia.

- A będzie bardzo krótkie - powiedział Giordino wskazując na północny zachód. - Jeśli nie nakłamali mi w wieczorówce na lekcjach meteorologii, jesteśmy na trasie czegoś, co nazywa się w tych regionach tajfunem, albo jeśli jesteśmy bliżej Oceanu Indyjskiego - cyklonem.

Sam widok ciemnych chmur i błyskawic oraz łomot grzmotów wystarczały, by stracić resztki odwagi. Pitt przyglądał się oceanowi i wsłuchiwał w rosnący świst wiatru. Granica między życiem a śmiercią zbiegła się do grubości kartki papieru. Słońce zniknęło, woda zszarzała. Mała łódka lada chwila mogła zostać wessana przez kipiela.

Pitt przestał się wahać.

- Pierwsze zadanie to wyrzucenie kotwicy, która będzie się wlec za nami. - Zwrócił się do Maeve: - Będziemy potrzebowali mojej kurtki, trochę liny i mnóstwa rzeczy do obciążenia kurtki.

Bez słowa ściągnęła z siebie kurtkę i podała mu ją, podczas gdy Giordino zaczął grzebać w skrytce pod ławeczką. Wyciągnął zardzewiałe hak od bosaka, do którego były przywiązane dwa kawałki nylonowej liny - pięcio- i trzymetrowy. Pitt rozpiął kurtkę i wrzucił do środka buty, które pozdejmowali, hak, pordzewiałe narzędzia i stare części silnika, też znalezione w skrytce. Zapiął kurtkę, obwiązał rękawami, by nic nie wypadło, i przywiązał do pakunku krótszą linę. Wyrzucił tak powstałą kotwicę za burtę i kiedy zanurzyła się pod wodę, przywiązał drugi koniec liny do miejsca, gdzie normalnie zamontowany był silnik.

- Połóżcie się na dnie - poinstruował obwiązując drugą liną konsolę na środku łódki. - Czeka

nas trochę niespokojnej jazdy. Owińcie się liną wokół pasa i zawiążcie tak końce, żebyśmy na wypadek wypadnięcia do wody nie stracili łódki.

Po raz ostatni spojrzął nad pływakami na szalejące fale, napływające jedna za drugą od horyzontu. Ocean był jednocześnie groźny i piękny. Przez purpurowo-czarne chmury raz za razem przebijała się błyskawica, a grzmoty przetaczały się, jakby niedaleko w górze wisiał tysiąc bębnow. Zostali bezlitośnie zaatakowani. Nie minęło dziesięć minut, jak trafiła ich pełna moc skłębionych grzywaczy, połączonych z gwałtowną nawałnicą, która odebrała jakąkolwiek widoczność i zmieniła powierzchnię wody w gotującą się kipieli piany. Ciskane wyjąłym niczym tysiąc wiedzdm wichrem krople uderzały w skórę jak kulki grochu.

Nad grzbiety fal pryskała na trzy metry piana. Grzywacze urosły do siedmiu metrów, łamały się każdy w swoją stronę i rzucały łódeczką we wszystkie kierunki. Wiatr coraz bardziej nasilał gwałtowne ataki, ocean podwajał wysiłki zatopienia łupiny i jej godnych pożałowania pasażerów. Łódka skakała na boki i wirowała, była wynoszona na szczyty grzywaczy i wrzucana w doliny między nimi. Nie było widać granicy między wodą a powietrzem.

Szczęśliwym trafem kotwica się trzymała. Robiła swoje, wleczony ciężar zabezpieczał łódkę przed przewróceniem się, a pasażerów przed wyrzuceniem w morderczą głębinę, z której nie było powrotu. Szare fale łamały się nad nimi, wypełniały łódkę pianą, przez co środek dna trochę się zanurzył i zwiększyli stabilność. Wirowanie oraz gwałtowne skoki w górę i w dół powodowały, że pasażerowie czuli się jak w środku miksera. Może się to wydać dziwne, ale rozmiar łódeczki okazał się pomocą. Dzięki neoprenowym pływakom unosiła się jak korek, konstrukcja była w stanie wytrzymać każde uderzenie, a dopóki mieli kotwicę, nie mogli się wywrócić. Była jak smagane wichrem palmy, które uginają się i wytrzymują wszystko.

Następne dwadzieścia cztery minuty trwały niczym dwadzieścia cztery godziny. Walczyli o życie i Pitt ledwo mógł uwierzyć, że jeszcze nie zostali pokonani. Brak słów na opisanie ich położenia. Nie kończące się szeregi fal wlewały się do łodzi. Ledwie zdążyli wykastać wodę, byli unoszeni w górę i atakowani przez następny grzywacz. Nie było potrzeby wylewać wody, jej ciężar wręcz pomagał uchronić się od wywrotki. Na grzbietach fal walczyli, by nie zostać splukanymi za burtę, w następnej sekundzie, kiedy łódka spadała w dolinę, musieli martwić się o to, by nie pofrunąć w powietrze.

Mężczyźni wbijali stopy w boczne ścianki, Maeve siedziała między nimi, obejmowana przez każdego ramieniem. Gdyby któreś wypadło za burtę, nie miałyby szansy na ratunek. Nikt nie przeżyłby sam w szalejącym oceanie. Ulewa ograniczała widoczność do dwóch metrów i natychmiast straciliby go z oczu.

Przy następnej błyskawicy Pitt popatrzył na Maeve. Wyglądała na przekonaną, że znajduje się w piekle, dodatkowo musiała cierpieć na chorobę morską. Miał ochotę wesprzeć ją słowem, ale nie przekrzyczałby wichru. Klął Dorsetta w żywy kamień. Jakim przekleństwem było mieć ojca i siostry tak pełnych nienawiści, by kraść komuś dzieci i próbować go zabić tylko za to, że jest dobry, uprzejmy i nie chce uczestniczyć w ich kryminalnych działaniach! Było to potworne i niesprawiedliwe. Raz za razem powtarzał sobie, że dopóki żyje, Maeve nie może zginąć. Objął ją mocniej i czule uściskał. Potem popatrzył na Giordina. Na twarzy przyjaciela odzwierciedlał się stoicki spokój. Jego nonszalancja mimo panujących warunków przywróciła Pittowi nieco pewności siebie. Giordino zdawał się demonstrować, że co będzie, to będzie. Jego wytrzymałość była nieskończona. Pitt wiedział, że nawet jeżeli Al straci przytomność, nawet jeżeli umrze, nie puści łódki ani Maeve. Nigdy nie podda się morzu.

Jakby myśleli o tym samym, Giordino podniósł głowę i popatrzył na Pitta. Włoch myślał w tym momencie, że są dwa rodzaje ludzi - jedni patrzą diabłu w oczy i umierają z przerażenia widząc, że po nich przyszedł, drudzy grzęzną w rezygnacji i traktują go jak wyzwolenie z nieszczęsnej sytuacji. Pitt nie należał ani do jednych, ani do drugich - umiał patrzeć diabłu prosto w oczy i pluć mu w twarz.

Dla Giordina jego przyjaciel wyglądał tak, jakby mógł wytrzymać wieczność. Włoch dawno przestał się zachwycać hartem ducha Pitta i jego zamiłowaniem do trudnych sytuacji, wiedział bowiem, że rozkwita przy katastrofach i klęskach. Obojętny na szalejące żywioły nie wyglądał na kogoś, kto czeka na koniec i uważa, że nie może nic zdziałać przeciwko furii oceanu. Wpatrywał się w ulewę i siekącą po twarzy pianę, jakby był daleko stąd. Jakby siedział w suchym mieszkaniu w hangarze - jego umysł koncentrował się na czymś innym, opuścił ciało i udał w przestrzeń.

Minęła nie kończąca się noc męczarni i nadszedł poranek. Byli odrętwiali z zimna i otępiali od nieustającego zalewania wodą. Chłód wżerał się w głąb ciała jak tysiąc igieł. Świt przyniósł ulgę o tyle, że nie musieli słuchać łamiących się fal na ślepo. Kiedy przez skłębione chmury przebiły się pierwsze promienie świtu, jeszcze kołatało w nich życie. Tęsknili za nadejściem dnia, ale kiedy nadszedł, okrutny ocean oświetliło nieprzyjemne zszarzałe światło, które powodowało, że wszystko wyglądało jak ze starego czarno-białego filmu.

Mimo bezlitosnego wichru było gorąco i duszno, a nad wodą unosił się solny opar, który prawie uniemożliwiał oddychanie. Subiektywnie przeżyty czas miał się nijak do wskazań zegarków. Niedługo po tym jak ocean rozpoczął kolejną rundę ciskania nimi na wszystkie strony, Maeve przyłożyła czoło do pływaka i zaczęła się modlić o to, by ujrzeć synów i nie umierać, pozostawiając im jedynie mgliste wspomnienie, że matka jest gdzieś w zimnym oceanie. Niemal mdlała na myśl, jaki los zgotuje im wtedy jej ojciec. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiego przerażenia. Zapadała się w głąbie lęku jak przysypywana lawiną, wkrótce jednak uświadomiła sobie, że uścisk trzymających ją ramion nie osłabł ani na chwilę. Samokontrola obu mężczyzn zdawała się niezwykła, ich siła zdawała się spływać przez ramiona do jej wnętrza. Pojawiła się w niej iskierka nadziei i choć na początku była niemal niewidoczna, powoli się rozrastała, aż Maeve zaczęła ufać, że pod ochroną Pitta i Giordina może uda jej się dotrzeć do następnego świtu wśród żywych.

Pitt nie był aż takim optymistą. Zdawał sobie sprawę, że zarówno jego, jak i Giordina zasoby są na wyczerpaniu. Najgorszymi przeciwnikami były teraz zmęczenie i wyziębienie organizmu. Coś będzie musiało się skończyć - sztorm albo ich nieustępliwość. Nieustająca walka o pozostanie na powierzchni zabrała im wszystkie siły. Walczyli z przeważającym wrogiem i wycieńczenie było bliskie. Choć to rozumiał, nie zamierzał się z tym godzić. Czepiał się życia, sięgał do ostatnich rezerw i stawiał czoło kolejnym falom, ale czas umierania nadchodził wielkimi krokami.

32

Pitt, Maeve i Giordino jednak nie zginęli.

Wczesnym popołudniem wiatr zaczął słabnąć, wkrótce potem wzburzone morze uspokajać się. Tajfun zszedł z północno-zachodniego kursu i skręcił na południowy wschód ku Antarktydzie. Prędkość wiatru wyraźnie spadła - z ponad stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę do góra sześćdziesięciu, ocean przestał szaleć, odległości między grzbietami a dolinami fal zmniejszyły się do trzech metrów. Deszcz osłabł do mżawki, która wkrótce przeszła w unoszącą się nad wodą mgłę. W górze, nim znów zapadła ciemność, nie wiadomo skąd zmaterializowała się mewa i zaczęła krążyć

nad łódeczką skrzecząc, jakby nie mogła wyjść ze zdziwienia, że taka łupinka jeszcze unosi się na wodzie.

Po kolejnej godzinie niebo było wolne od chmur, wiatr tak osłabł, że nie byłby w stanie pchnąć do przodu nawet najmniejszej żaglóweczki. Dziękiemu oceanowi i okrutnemu wichrowi nie udało się ściągnąć łódki i jej pasażerów w głębiny, a ponieważ sztorm nie zdołał ich zniszczyć, natura nagradzała teraz łagodnością. Można było odnieść wrażenie, że sztorm był jedynie złym snem, który znikł po przebudzeniu, wszyscy troje zdawali sobie jednak sprawę, że niestety wygrali dopiero pierwszą bitwę w wojnie z żywiołami.

Maeve wydawało się to mistyczne. Uważała, że gdyby ich przeznaczeniem była śmierć, nigdy nie przeżyliby sztormu. Z niemal religijnym przekonaniem uznała, że natura musiała mieć jakiś cel pozostawiając ich przy życiu.

Między zmęczonymi i poobijanymi, kulącymi się w łódce ludźmi nie padło ani jedno słowo. Podniesieni na duchu znalezieniem się w spokojnej strefie za odchodzącą nawałnicą i wycieńczeniu do granic wytrzymałości, popadli w stan całkowitej obojętności wobec świata i pozasypiali. Do rana na oceanie utrzymywały się łagodne fale, potem powierzchnia wody stała się gładka jak ogrodowy staw. Mgła zniknęła i widoczność sięgała horyzontu. Morze uspokoiło się, by to, czego nie udało mu się osiągnąć gwałtownością, osiągnąć cierpliwością. Trójka pasażerów powoli się rozbudziła i ujrzała nad sobą oczekiwane z utęsknieniem przez minione czterdzieści osiem godzin słońce. Paliło bezlitośnie.

Kiedy Pitt spróbował usiąść, jego ciało przeszła fala bólu. Stłuczenia spowodowane szarpaniem łódką nałożyły się na rany, które odniósł z rąk ludzi Merchanta. Mrużąc oczy przed oślepiającymi refleksami słońca na wodzie, uniósł bardzo powoli tułów do pionu. Teoretycznie jedyne co pozostawało, to leżeć na dnie i czekać - ale na co? Czekać na pojawienie się statku, który podpłynie i ich uratuje? Bez najmniejszej wątpliwości dryfowali w martwym komunikacyjnie regionie, daleko od uczęszczanych tras, tam gdzie statki rzadko się pojawiają.

Arthur Dorsett sprytnie wybrał miejsce, gdzie ich wysadzić - tak by jeśli jakimś cudem przeżyją tajfun, swoje zrobiły głód i pragnienie. Pitt nie zamierzał pozwolić im umrzeć z głodu - nie po tym co przeszli. Poprzysiągł zemstę, postanowił żyć choćby tylko po to, by zabić Arthura Dorsetta. Mało kto zasłużył bardziej na śmierć. Pitt przysiągł sobie, że jeżeli jeszcze raz spotka Dorsetta, przymknie oko na swój kodeks moralno-etyczny. Nie zapomni też o Boudicce i Deidre. Wszyscy zapłacą za złe potraktowanie Maeve.

- Jak tu spokojnie... - odezwała się w tym momencie Maeve. Tulila się do Pitta i czuł, jak drży. - Mam wrażenie, jakby sztorm dalej szalał w mojej głowie.

Pitt starł z oczu skorupę soli i choć nie było to wielkie pocieszenie, zauważył, że opuchlizna wokół nich się cofa. Spojrzał Maeve w oczy - były mętne ze zmęczenia i zasnute snem. Kiedy zauważyła, że się jej przygląda - jej oczy zalśniły.

- Wenus powstająca z morskiej piany - powiedział miękko.

Usiadła i potrząsnęła pozlepianymi od soli włosami.

- Nie czuję się jak Wenus - powiedziała z uśmiechem. - I wcale nie jestem do niej podobna.

Podciągnęła sweter i zaczęła obmacywać czerwone pręgi wokół talii, porobione przez linę, którą byli zabezpieczeni. Giordino otworzył oko.

- Jeśli się nie uciszycie i nie dacie człowiekowi spać, zawołam kierownika hotelu i złożę zażalenie.

- Właśnie wybieramy się popływać w basenie, potem chcemy zjeść śniadanie na werandzie - powiedziała Maeve wesoło. - Przyłączysz się?

- Wolę zawołać obsługę - powoli rzekł Giordino, którego wyraźnie męczyło mówienie.

- Ponieważ wszyscy mamy znakomity nastrój, proponuję, żebyśmy zajęli się zapewnieniem sobie bytu - uznał Pitt.

- Jakie mamy szansę, by nas uratowano? - spytała Maeve.

- Żadne. Możesz się założyć, że twój tatuś wyrzucił nas w najmniej uczęszczanym miejscu oceanu. Admirał Sandecker i banda z NUMY nie mają pojęcia, co się z nami dzieje. Gdyby się nawet domyślili, nie wiedzą, gdzie szukać. Jeżeli zamierzamy dożyć późnego wieku, musimy uratować się sami.

Pierwszym zadaniem było wyciągnięcie kotwicy i wyjęcie z kurtki butów i pozostałych przedmiotów. Następnie rozpoczęli inwentaryzację wszystkiego na pokładzie, niezależnie, czy wydawało się przydatne czy nie do czekającej ich drogi. Na koniec Pitt wyjął ze spodni paczuszkę, którą wetknął tam chwilę przedtem, nim autobus wyskoczył za krawędź nabrzeża.

- Co znalazłeś? - spytał Giordino.

- Niewiele. Trzy różnej wielkości klucze, śrubokręt, starą pompę paliwową, cztery świece zapłonowe, garść śrub i nakrętek, parę szmat, drewniane wiosło, nylonowy pokrowiec na łódź i zabaweczkę do rozweselania załogi.

- To znaczy?

Giordino podniósł niewielką pompkę.

- Do pompowania pływaków.

- Jak długie jest wiosło?

- Ma jakiś metr.

- Słabo się nada na maszt.

- Tak, ale jeżeli przywiążemy je do konsoly, może posłużyć za tyczkę do umocowania pokrowca, który rozepniemy do ochrony przed słońcem.

- Nie zapominajmy, że pokrowiec przyda się do łapania wody, kiedy znów zacnie padać - dodała Maeve.

Pitt popatrzył na nią.

- Masz przy sobie coś, co mogłoby się nam przydać?

Pokręciła głową.

- Tylko ubranie. Siostra Frankensteina wyrzuciła mnie nawet bez szminki.

- Ciekawe, o kim ona mówi - mruknął pod nosem Giordino.

Pitt otworzył wodoodporny pakuneczek i wyjął z niego szwajcarski nóż oficerski, stary harcerski kompas, pudełeczko zapalek, zestaw pierwszej pomocy wielkości paczki papierosów i kieszonkowy automatyczny mauzer kalibru dwadzieścia pięć z zapasowym magazynkiem.

Maeve wbiła wzrok w pistolecik.

- Mogłeś zabić Johna Merchanta i mojego ojca!

- Przy tylu ochroniarzach powiedziałbym, że Pickett miał większe szanse w Gettysburgu.

- A ja myślałam, że jesteś tak dobrze wyposażony - powiedziała Maeve z chytrym uśmiechem. - Zawsze nosisz ze sobą taki niezbędnik?

- Od harcerstwa.

- Kogo zamierzasz zastrzelić w tym pustkowiu?

- Nie kogo, ale co. Na przykład jakiegoś ptaka, jeżeli podleci wystarczająco blisko.
- Zastrzełiłbyś bezbronnego ptaka?
- Tylko dlatego że mam dziwną niechęć do umierania z głodu.

Giordino dopompował powietrza do pływaków, potem zabrał się za mocowanie baldachimu, Pitt w tym czasie sprawdził dokładnie łódź. Przebadał każdy centymetr neoprenowych pływaków, czy nie mają dziur ani przetarć, potem każdy załamek kadłuba z włókna szklanego. Zanurkował na zewnątrz i sprawdził łódź od spodu. Inspekcja dała zadowalające wyniki - nie znalazł oznak zniszczenia. Łódka wyglądała na czteroletnią i najprawdopodobniej używano jej do wychodzenia na brzeg, kiedy jacht Dorsetta stawał tam, gdzie nie było portu. Z ulgą stwierdził, w jak dobrym jest stanie. Jediną poważną wadą był brak silnika.

Wróciwszy na pokład, do wieczora wynajdywał każdemu zadania, głównie po to by odwrócić uwagę od sytuacji, w jakiej się znaleźli, i rosnącego pragnienia. Choć nie łudził się co do ich perspektyw, nie zamierzał pozwolić załodze na popadnięcie w depresję. Kiedyś przemaszerował z Giordinem bez wody siedem dni po Saharze - tam jednak upał był suchy, tutaj wysysała z nich życie tropikalna wilgoć.

Giordino zarzucił pokrowiec na postawione pionowo wiosło, jego rogi poprzywiązywał kawałkami liny do pływaków. Jeden z brzegów baldachimu podwinął tak, że w wypadku deszczu woda spływałaby do skrzynki po lodzie, którą Maeve znalazła pod ławeczką i w miarę możliwości oczyściła. Potem zajęła się jakim takim uporządkowaniem wnętrza łódki, by maksymalnie uprzyjemnić przebywanie w niej. Pitt rozplatał kawałek liny na pojedyncze włókna i powiązał je uzyskując kilkanaście metrów żyłki rybackiej.

Jedynym źródłem pożywienia w promieniu przynajmniej dwóch tysięcy kilometrów były ryby i wiedzieli, że albo zaczną je łapać, albo umrą z głodu. Z kolca w sprzączce paska zrobił haczyk i przywiązał go do żyłki, drugi jej koniec przywiązał do znalezionej przez Giordina klucza maszynowego, dzięki czemu mógł trzymać żyłkę dwoma rękami. Problem polegał teraz tylko na tym, jak złapać rybę. Nie mieli robaków, muszek, chleba ani sera. Pitt wychylił się na zewnątrz łodzi, osłonił oczy dłonią i wbił wzrok w wodę.

W cieniu pod nimi zebrali się ciekawscy przybysze. Pasażerowie statków napędzanych potężnymi silnikami - które albo wypluwają z hukiem spaliny, albo są poruszone przez turkoczące głośno śruby - często narzekają, że w oceanie nie widać życia, dla tych jednak, którzy płyną blisko powierzchni i w dodatku bezgłośnie, szybko otwiera się okno, przez które widać mieszkańców wód, znacznie liczniejszych i różnorodniej szych od mieszkańców lądów.

Pod łodzią gnały i wirowały ławice śledziopodobnych rybek, nie większych od ludzkiego palca. Zauważył sierpiki, obok nich pływały delfiny, które łatwo pomylić z morświnem, i ich większych kuzynów, koryfeny z wydłużonymi łbami i bardzo długą płetwą grzbietową, zwisającą w dół kolorowego migoczącego korpusu. Zataczały koła dwie wielkie makrele, raz za razem atakujące mniejsze ryby. Był też niewielki rekin młot - jeden z najdziwniejszych mieszkańców oceanu, którego głowa jest w przedniej części spłaszczona i rozrośnięta na boki, co wygląda, jakby wbił łeb w środek deski. Co dziwniejsze, oczy tego dziwadła znajdują się na zewnętrznych brzegach łba.

- Co weźmiesz na przynętę? - spytała Maeve.
- Siebie - odparł Pitt. - Użyję jako przysmaku siebie.
- Nie rozumiem.
- To patrz i ucz się.

Maeve z przerażeniem patrzyła na Pitta, który podwinął nogawkę, wziął nóż, ze spokojem wyciął sobie kawałek ciała z łydki i nabił go na zaimprovizowany haczyk. Zrobił to z taką oczywistością, że Giordino zorientował się dopiero na widok krwi na dnie łódki.

- Przyjemne? - spytał.

- Masz pod ręką śrubokręt? - odpowiedział pytaniem na pytanie Pitt.

Giordino uniósł go w górę.

- Chcesz, żebym ci coś odkręcił?

- Pod nami jest niewielki rekin - wyjaśnił Pitt. - Chcę go zwabić na powierzchnię. Kiedy go złapię, wbij mu śrubokręt dokładnie w szczyt łba.

Jeżeli będziemy mieli szczęście, trafisz jego mózg wielkości grochu.

Maeve wolała nie uczestniczyć w polowaniu.

- Nie zamierzasz chyba wciągać na pokład żywego rekina? - zapytała.

- Nie będzie to potrzebne jedynie, jeżeli będziemy mieć szczęście - odparł Pitt odrywając pasek podkoszulka i obwiązując nim łydkę.

Maeve poczołgała się na rufę i skuliła za konsolę sterowniczą, zadowolona, że może usunąć się z drogi.

- Tylko nie wystaw mu nic do odgryzienia - poprosiła na koniec.

Kiedy Giordino ukląkł obok, Pitt zaczął ostrożnie zanurzać przynętę.

Zbliżyły się makrele, ale szarpnął kilka razy żyłką, żeby je przegonić. Do przodu skoczyło kilka niewielkich rybek-czyszcicieli, zdążyły jednak ledwie skubnąć mięso, zbliżał się bowiem rekin, który poczuł krew. Przy każdym podpłynięciu rekina Pitt skracał żyłkę. Giordino klęczał z uniesionym śrubokrętem i wzrokiem wbitym w wodę. W końcu rekin był tak blisko, że niemal całą długością dotknął pływaka. Szarość grzbietu przechodziła ku brzuchowi w biel, płetwa grzbietowa wystawała mu z wody niczym peryskop łodzi podwodnej. Śrubokręt zatoczył łuk i wbił się w twarde łeb. W każdym innym przypadku ostrze ledwie by zadrapało twardą czaszkę, ale Giordino wbił narzędzie po rączkę. Pitt wychylił się szybko na zewnątrz, objął rekina tuż za skrzelami i przytrzymał. Giordino uderzył ponownie. Obejmując półtorametrowego rekina jak dziecko, Pitt wyciągnął go z wody i padając na plecy, pociągnął rybę za sobą. Drugą ręką trzymał płetwę, nogami obejmował ogon bestii.

Okrutne szczęki kłapały, ale gryzły jedynie powietrze. Maeve kuliła się za konsolę i widząc, że szereg ostrych jak odłamki szkła kłów znajduje się kilkanaście centymetrów od jej łydki, zaczęła wrzeszczeć jak szalona. Jakby mocowali się z aligatorem, Giordino rzucił się całym ciałem na bestię z głębin i przycisnął ją do dna łodzi. Ostra jak papier ścierny skóra tarła mu przedramiona do krwi.

Choć ciężko ranny, rekin był jeszcze niezwykle silny. Na zmianę to był uległy, to rzucał się ze zdwojoną energią. W końcu, po mniej więcej dziesięciu minutach ciężkiej walki, młot nie wytrzymał i zamarł. Pitt i Giordino stoczyli się z niego i zaczęli łapać oddech. Szarpanina odnowiła rany Pitta i czuł się, jakby pływał w jeziorze bólu.

- Musisz go pociąć - wydyszał do przyjaciela. - Ja jestem słaby jak kociak.

- Odpoczywaj - odparł Giordino. W jego głosie była cierpliwość, wręcz ciepło. - Po batach, jakie oberwałeś na jachcie i od sztormu, dziw, że nie dostałeś zapaści.

Choć ostrza scyzoryka Pitta były wyostrzone jak brzytwa, Giordino, aby przeciąć skórę na brzuchu rekina, musiał trzymać nóż oburącz i wkładać w cięcie sporą siłę. Pod fachowym kierownictwem Maeve wyciął wątrobę i przeciął żołądek, w którym znalazł nadtrawioną koryfenę

i kilka śledzi. Potem Maeve pokazała mu, jak najefektywniej odcinać skórę od mięsa.

- Powinniśmy zjeść wątrobę natychmiast - poradziła. - Bardzo szybko zaczyna się psuć, a jest najbardziej pożywną częścią rekina.

- A co z resztą? - spytał Giordino obmywając dłonie i nóż w wodzie. - Długo nie potrwa, a też się popsuje.

- Mamy cały ocean soli. Potnij mięso na paski i rozłóż je na pływakach.

Kiedy wyschnie, weźmiemy sól, która skryształizowała się na baldachimie, i wetrzemy ją w mięso.

- W dzieciństwie nienawidziłem wątróbki - powiedział Giordino lekko zieleniejąc na samą myśl o posiłku. - Chyba nie jestem aż na tyle głodny, żeby jeść ją na surowo.

- Zmusz się. Nie jemy dla przyjemności, ale żeby utrzymać siły. Żołądki mamy na razie zabezpieczone, prawdziwym problemem będzie teraz brak wody.

Noc przyniosła dziwną ciszę. Wzeszedł księżyc i wiszące nad wodą pół oświetlonej tarczy odbijało się srebrnym pasem aż po północny horyzont. Zwykły w tutejszych szerokościach geograficznych nocny chłód osłabił nieco ich pragnienie i odwrócił myśli ku czemu innemu. Fale rytmicznie uderzały w łódkę i Maeve popadła w odrętwienie, w którym zaczęły nachodzić ją wspomnienia szczęśliwych dni z dziećmi. Giordino wyobrażał sobie, że jest w swoim mieszkaniu w Waszyngtonie, siedzi na kanapie obejmując piękną kobietę, w dłoni trzyma chłodną butelkę piwa, nogi opiera na stoliku do kawy i ogląda w telewizji stare filmy.

Pitt, który niemal całe popołudnie odpoczywał, obudził się jeszcze za dnia, wystarczająco wypoczęty, by określić kurs oraz dokonać prognoz meteorologicznych na podstawie obserwacji chmur, fal i zachodu słońca. Po zmroku zaczął studiować gwiazdy i próbował ustalić choć przybliżoną pozycję. Używając w drodze z Wellington kompasu, wiedział, że jacht przez trzydzieści godzin bez dwudziestu minut utrzymywał kurs dwieście czterdzieści na południowy zachód, a pamiętając słowa Johna Merchanta, że jest w stanie płynąć sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, można było oszacować, że zostali wysadzeni trzy tysiące sześćset kilometrów od Wellington. Jeżeli obliczenia były prawidłowe, zostali wyrzuceni na środku południowej części Morza Tasmana, pomiędzy Tasmanią a Nową Zelandią.

Następną łamigłówką było, jak daleko zostali zniesieni przez sztorm. Tego nie dało się nijak oszacować. Wiedział jedynie, że sztorm wiał z północnego zachodu, przez dwie doby mógł ich więc zepchnąć dość daleko na południowy wschód, daleko od jakiegokolwiek lądu. Pitt wiedział z doświadczenia, że w tej części Oceanu Indyjskiego prądy morskie płyną, a wiatry wieją głównie na wschód i nieco na południe, i jeżeli znajdowali się między czterdziestym a pięćdziesiątym równoleżnikiem, zostaną zniesieni na puste przestrzenie południowego Atlantyku, które praktycznie nie pływają statki. Najbliższym lądem byłby południowy kraniec Ameryki Południowej, znajdujący się jakieś trzysta tysięcy kilometrów dalej.

Popatrzył w górę na Krzyż Południa, konstelację, której nie widać powyżej trzydziestego stopnia szerokości północnej, czyli równoleżnika przebiegającego przez Afrykę Północną i Florydę. Znane od starożytności pięć gwiazd już od czasów najdawniejszych podróży Polinezyjczyków wskazywały na Pacyfiku drogę marynarzom i lotnikom. Wokół rozpościerały się miliony kilometrów pustki, przetykanej jedynie punkcikami wysp, będących szczytami wielkich gór wznoszących się z dna oceanu.

Niezależnie od woli przetrwania, kalkulując wszelkie szczęśliwe wydarzenia, jakie mogły im się

przytrafić, wszystko wskazywało na to, że chyba już nigdy nie postawią stopy na suchej ziemi.

Hiram Yaeger płynął głęboko w otchłani oceanu. Woda przemykała smugami, jakby znajdował się w naddźwiękowym odrzutowcu lecącym przez granatowe chmury. Unosił się nad krawędziami bezdennych otchłani, szybował przez doliny między potężnymi pasmami górskimi, które wznosiły się z czarnej głębinie aż po lśniąca od słońca powierzchnię. Podmorski krajobraz był jednocześnie groźny i piękny. Widoki niewiele odbiegały od tych, jakie można oglądać podczas lotu przez próżnię kosmosu.

Była niedziela i pracował sam na dziewiątym piętrze pustego budynku NUMY. Po dziewięciu godzinach wpatrywania się w monitor opadł plecami na oparcie fotela i dał odpocząć zmęczonym oczom. Postawił już kropkę nad i przy programie, który stworzył wykorzystując algorytm syntetyzowania obrazu, mającym trójwymiarowo przedstawiać rozprzestrzenianie się fal dźwiękowych w oceanie. Za pomocą unikatowej grafiki komputerowej stworzył obraz świata, po którym dotychczas podróżowało niewiele osób. Nad komputerową symulacją dramatycznego roznoszenia się fal akustycznych w wodzie Yaeger i jego ludzie pracowali cały tydzień. Używając niezwykle specjalistycznego sprzętu i olbrzymiej bazy danych o czynnikach mogących modyfikować roznoszenie się infradźwięków w Pacyfiku, stworzyli niemal doskonały model, dzięki któremu z fotograficznym realizmem można było przedstawić drogę rozprzestrzeniania się wibracji i ustalić miejsca, gdzie dojdzie do ich konwergencji.

Obrazy podwodnego świata następowały po sobie z taką prędkością, że powstawało wrażenie szybkiego ruchu przez trójwymiarowe mapy, które stworzono w trakcie trzydziestoletnich badań oceanograficznych. W programie Yaegera tworzenie obrazów komputerowych zostało wzniesione na poziom sztuki.

Popatrzył na szereg żółtych, pomarańczowych i czerwonych światełek - im bliżej czerwieni, tym bliżej strefy konwergencji. Cyfrowy wskaźnik podawał szerokość i długość geograficzną. W dowolnym momencie można było włączyć tak zwany projektor strefy konwergencji, który tworzył obraz wybranej strefy nad powierzchnią wody. Po skalkulowaniu przez komputer wszystkich znanych kursów statków, na ekranie widać było, czy w określonym czasie pojawi się w zagrożonym miejscu jakaś jednostka.

Zamigotało krańcowe prawe czerwone światełko, co oznaczało, że Yaeger „dotarł” do miejsca konwergencji, uruchomił więc opcję pokazania, co znajduje się w tym miejscu nad wodą. Wbrew oczekiwaniom ekranu nie wypełniły puste przestrzenie oceanu, lecz zarośnięte bujną roślinnością wzgórza. Chcąc sprawdzić, czy nie popełnił błędu, przeprowadził procedurę od nowa, rozpoczynając od wpisania dokładnych pozycji czterech kopalni Dorsett Consolidated. Nie mógł uwierzyć w otrzymany rezultat. Trzydzieści razy powtarzał wszystko od nowa, ustalając miejsce, gdzie spotkają się wysyłane w ocean śmiertelne wibracje.

W końcu musiał się pogodzić z tym, co widział. Opadł wyzuty z sił na fotel i kręcąc głową, powtarzał jedynie:

- O Boże! O Boże!

Admirał Sandecker musiał się zmuszać w niedzielę do odpoczynku. Będąc nie tylko pracoholikiem, lecz hiperpracoholikiem, co rano biegał dziesięć kilometrów, po obiedzie zaś, aby pozbyć się nadmiaru energii, robił pół godziny lekkiej gimnastyki. Spał po cztery godziny na dobę,

a jego dni były tak wyczerpujące, że większość mężczyzn podobny tryb życia wypaliłby w krótkim czasie. Rozwiódł się wiele lat temu, jego córka mieszkała z mężem i trójką dzieci na drugim końcu świata - w Hongkongu - ale nie narzekał na samotność. Ponieważ był w oczach starszych samotnych waszyngtońskich pań idealną partią, zarzucano go zaproszeniami na obiady i przyjęcia dla elity. Choć bardzo lubił towarzystwo dam, jego prawdziwą miłością, jego pasją była NUMA. Agencja była jego rodziną - nie tylko ją spłodził, lecz także doprowadził do jej rozwoju i uzyskania statusu instytucji szanowanej na całym świecie.

W niedzielę pływał wzdłuż brzegów Potomacu na starej łodzi wielorybniczej, którą odkupił od marynarki wojennej i przebudował. Kiedy skręcił kołem sterowym, by ominąć kawał dryfującego po wodzie drewna, wygięty łukowato dziób łagodnie zmienił kurs na mętnej brunatnej rzece. Ośmiometrowy kuter miał za sobą bujną przeszłość i Sandeckerowi prawie kompletnie udało się ją odtworzyć. Został zbudowany w 1936 roku w niewielkiej stoczni w Portsmouth w stanie Maine, skąd przewieziono go do Newport News w stanie Wirginia, gdzie został załadowany na świeżo zwodowany lotniskowiec „Enterprise”. W czasie licznych bitew drugiej wojny światowej służył admirałowi „Bykowi” Halseyowi jako prywatna łódź do wychodzenia na brzeg. W 1958 roku, kiedy wycofano „Enterprise” ze służby i zezłomowano, starzejący się kuter został rzucony na pastwę losu i zapomniany w magazynach portu marynarki wojennej w Nowym Jorku. Tam Sandecker go odnalazł. Odkupił łódź i z miłością odrestaurował, aż wyglądała jak w dniu, kiedy opuściła stocznię w Maine.

Słuchając perkotania starego czterocylindrowego diesla, Sandecker dumał nad wydarzeniami minionego tygodnia i przemyślał, co należało zrobić w nadchodzącym. Największym zmartwieniem był wywoływany przez Arthura Dorsetta, niszczący Pacyfik kataklizm akustyczny. Kolejnym - niewiele mniejszym - było niespodziewane porwanie i zniknięcie Pitta i Giordina. Bardzo martwiło admirała, że w obu sprawach nie posunięto się ani o krok ku rozwiązaniu problemu.

Członkowie Kongresu, do których udało mu się dotrzeć, odmówili podjęcia drastycznych kroków przeciwko Arthurowi Dorsettowi, nim jego wina zostanie jednoznacznie udowodniona. Ich zdaniem nie było dość poszlak, by wiązać Dorsetta z masową śmiercią, a opłacani poplecznicy robili wszystko, by powyższą opinię utrzymać. „Typowe” - pomyślał Sandecker. Biurokraci zawsze zaczynają działać, kiedy jest za późno. Pozostała jedna nadzieja: przekonać prezydenta do działania, ale bez wsparcia dwóch lub więcej znaczących kongresmenów na to też nie było szansy.

Prószył śnieg, pokrywając białą powłoką bezlistne drzewa i zamrożoną trawę. W tak zimne dni jak dzisiejszy łódź Sandeckera płynęła po rzece sama. Popołudniowe niebo było błękitne jak lód. Sandecker podniósł kołnierz grubej wełnianej kurtki, zaciągnął na uszy wełnianą czapkę i skierował kuter w kierunku pirsu na marylandzkim brzegu, gdzie miał miejsce postoju. Niedaleko celu ujrzał, że ktoś wysiada ze stojącego na nabrzeżu luksusowego japońskiego samochodu terenowego i rusza w kierunku wody. Nawet z odległości pięciuset metrów bez trudności rozpoznał charakterystyczny spieszny chód Rudiego Gunna.

Sandecker przeciął prąd i zwolnił obroty, ile tylko mógł. Kiedy podpływał do portu, z daleka widział ponury wyraz twarzy Gunna. Powstrzymał wspinający się chłodno po ciele lęk i rzucił odbijacze. Cisnął Gunnowi linę, który zgrabnie ją złapał i przyciągnął kuter do pirsu. Na koniec obłożył dziobową, potem rufową liną polery na nabrzeżu.

Admirał wyjął ze schowka pokrowiec i Gunn pomógł mu zarzucić go na kuter. Dotąd nie odezwali się ani słowem. Gunn przyglądał się z sympatią kutrowi.

- Jeżeli kiedykolwiek zechce pan go sprzedać, jestem pierwszy w kolejce.

Sandecker wiedział, że coś jest nie tak.

- Nie przyjechał pan chyba po to, by zachwycać się moim kutrem.

Gunn podszedł do krawędzi pirsu i poważnym wzrokiem zapatrzył się w ciemną rzekę.

- Ostatni raport w sprawie porwania Pitta i Giordina z „Ocean Anglera” nie jest dobry.

- Słucham.

- Dziesięć godzin po tym jak straciliśmy z oczu jacht Dorsetta...

- Satelita rozpoznawczy zgubił go?

- Nasza sieć wywiadowcza nie traktuje południowej półkuli jako ośrodka aktywności, który trzeba stale obserwować - odparł kwaśno Gunn. - Budżety są, jakie są, a po orbicie, z której widać ocean na południe od Australii, nie krąży żaden satelita robiący dokładne zdjęcia.

- Powinienem być wziąć to pod uwagę - mruknął niezadowolony Sandecker.

- Proszę kontynuować.

- Narodowa Agencja Bezpieczeństwa przejęła prowadzoną przez telefon satelitarny rozmowę pomiędzy Arthurem Dorsettem a jego głównym nadzorcą na wyspie Gladiator, Jackiem Fergusonem. Przekazano w niej, że Dirk, Al i Maeve Fletcher zostali wysadzeni na oceanie w maleńkiej łódce na południe od pięćdziesiątego równoleżnika, mniej więcej w miejscu gdzie Morze Tasmana łączy się z Oceanem Indyjskim. Nie podano dokładnej pozycji.

Dorsett zakończył rozmowę informacją, że wraca na swoją wyspę.

- Postawił własną córkę w sytuacji mogącej zagrozić życiu? - Sandecker nie był w stanie tego zrozumieć. - Jest pan pewien, że informacja jest rzetelna?

- Nie może być mowy o jakiegokolwiek pomyłce.

- Morderstwo z zimną krwią - mruczał dalej Sandecker. - To oznacza, że zostali wyrzuceni na skraj Ryczących Czterdziestek. Prawie ciągle wieją tam sztormowe szkwały.

- Gorzej - dodał Gunn. - Dorsett wyrzucił ich w miejscu, gdzie zaraz miał przejść tajfun.

- Kiedy?

- Są na oceanie czterdzieści osiem godzin.

Sandecker pokręcił głową.

- Jeżeli nawet przeżyli, niezwykle trudno będzie ich znaleźć.

- Raczej niemożliwe, biorąc pod uwagę, że ani nasza, ani australijska marynarka nie mają żadnego wolnego statku czy samolotu, które można by skierować do poszukiwań.

- Wierzy pan w to?

Gunn pokręcił głową.

- To bzdura.

- Jakie są szanse, by znaleziono ich przypadkiem?

- Są daleko od uczęszczanych tras żeglugowych, przepływają tamtędy sporadycznie frachtowce zaopatrujące stacje badawcze na Antarktydzie albo statki wielorybnicze. Ocean pomiędzy Australią a Antarktydą to pustynia.

Mają niewielkie szanse.

Było w Rudim Gunnie zmęczenie, niezwykle dla niego pesymizm. Gdyby ich zespół był drużyną piłkarską, Sandecker byłby trenerem, Pitt kapitanem obrony, Giordino agresywnym przechwytyjącym, a Gunn siedzącym wysoko na trybunach analitykiem, określającym kogo należy w danej chwili posłać do boju. Był niezastąpiony, zawsze pełen pomysłów i Sandeckera zaskakiwał jego depresyjny stan.

- Nie daje im pan zbyt wiele szans na przeżycie.

- Dryfująca na maleńkiej łódce trójka ludzi, atakowana przez szaleńcze wiatry i piętrzące się na wysokość kamienicy fale. Gdyby jakimś cudem mieli przeżyć tajfun, zaczęła się walka z głodem i pragnieniem. Dirk i Al nieraz uciekali w przeszłości spod kosy, ale obawiam się, że tym razem siły natury wypowiedziały im najpoważniejszą wojnę.

- O ile znam Dirka, plunął burzy w twarz i żyje - stwierdził twardo Sandecker.

- Wcale się nie zdziwię, jeżeli przewiosłuje aż do San Francisco. - Wsunął dłonie głęboko w kieszenie kurtki. - Proszę zaalarmować wszystkie statki NUMY znajdujące się w promieniu pięciu tysięcy kilometrów i posłać je w rejon, gdzie zostali wyrzuceni.

- Wybacz pan, admirale, ale to chyba musztarda po obiedzie.

- Nie poddam się w takiej chwili! - Oczy admirała błysnęły determinacją.

- Zażądam przeprowadzenia szeroko zakrojonych poszukiwań i jeżeli mi się odmówi, klnę się na Boga, że sprawię, by marynarka i lotnictwo pożałowały, że istnieją!

Yaeger wyszedł admirała w jego ulubionej restauracji, znajdującej się na południe od Waszyngtonu, nieco na uboczu knajpce, specjalizującej się w węgorku i stekach, gdzie jadł posępną kolację z Gunnem. Kiedy w kieszeni admirała zapiszczał telefon komórkowy, Sandecker splukał kęs fileta łykiem wina i przyłożył słuchawkę do ucha.

- Sandecker, słucham.

- Tu Hiram Yaeger, admirale. Przepraszam że przeszkadzam.

- Nie musi pan przeproszać, Hiram. Wiem, że nie dzwoniłby pan do mnie, gdyby sprawa nie była poważna.

- Czy mógłby pan przyjechać do centrum komputerowego?

- To zbyt ważne na rozmowę przez telefon?

- Tak, admirale. Rozmowa bezprzewodowa nie jest wystarczająco bezpieczna.

Nie chcę, by zabrzmiało to zbyt dramatycznie, ale muszę jak najszybciej coś panu przekazać.

- Będę w centrum za pół godziny z Rudim Gunnem. - Sandecker wsunął telefon z powrotem do kieszeni i kontynuował kolację.

- Złe wieści?

- Jeżeli dobrze odczytałem między wierszami, Hiram ma nowe dane dotyczące kataklizmu akustycznego. Chce je nam przedstawić w centrum komputerowym.

- Oby okazały się optymistyczne.

- Sądząc po tonie głosu, wątpię. Podejrzewam, że odkrył coś, o czym wolelibyśmy nie wiedzieć.

Yaeger siedział w niedbalej pozycji i kontemlował pojawiające się na olbrzymim ekranie obrazy. Przywitał Sandeckera i Gunna nie wstając z fotela.

- Co ma pan dla nas? - spytał Sandecker nie marnując czasu na wstępny.

Yaeger skinął głową w kierunku ekranu.

- Dopracowaliśmy metodę określania miejsca, w którym dojdzie do konwergencji wysyłanej z kopalń Dorsetta energii akustycznej.

- Dobra robota, Hiram - pochwalił Gunn przysuwając sobie krzesło i wbijając wzrok w ekran. - Ustaliliś, gdzie nastąpi następny kataklizm?

- Tak, pozwólcie mi jednak na początek wyjaśnić metodę. - Wpisał kilka komend. - Prędkość rozprzestrzeniania się dźwięku w wodzie morskiej zależy od temperatury wody i ciśnienia, czyli głębokości. Ogólnie mówiąc, im głębiej, tym dźwięk szybciej się porusza. Jest jeszcze mnóstwo

innych zmiennych modyfikujących, mających związek z czynnikami atmosferycznymi, porami roku, mechanizmem tworzenia się strefy konwergencji i formowaniem szkodliwych fal, ale nie będą komplikował i przedstawię jedynie wyniki.

Na ekranie pojawiła się mapa Pacyfiku - z miejsc, gdzie znajdowały się kopalnie Dorsetta, wychodziła zielona linia.

- Zaczęliśmy śledzić przebieg fal „od tyłu”, czyli od miejsc gdzie nastąpiły kataklizmy. Na początek wzięliśmy do analizy najtrudniejsze miejsce, Wyspę Seymoura, ponieważ znajduje się na południowym Atlantyku, na Morzu Weddella, za krańcem Półwyspu Antarktycznego i musieliśmy założyć, że rozprzestrzeniające się w głębinie oceanu fale dźwiękowe zostały odbite od podmorskich gór. Udało nam się stworzyć wzór fuksem, bowiem zachowanie się dźwięków było nietypowe. Mając wzorcowy algorytm, obliczyliśmy parametry dla znacznie prostszego przypadku - tego, który zabił załogę „Mentawai”.

- U wybrzeży wyspy Howland, niemal na samym środku Pacyfiku - skomentował Sandecker.

- Ta konwergencja była znacznie łatwiejsza do obliczenia niż na Wyspie Seymoura - powiedział Yaeger wstukując dane, co spowodowało zmianę na mapie. Z czterech kopalni wybiegły niebieskie linie, które spotkały się niedaleko wyspy Howland. Następnie dodał cztery czerwone linie. - To konwergencja, która zniszczyła rosyjski zespół łowczy na północny wschód od Hawajów.

- Gdzie nastąpi kolejna konwergencja? - spytał Gunn.

- Jeżeli przez najbliższe trzy dni nie zmienią się warunki pogodowe, mniej więcej tutaj.

Linie - tym razem żółte - przecięły się dziewięćset kilometrów na południe od Wyspy Wielkanocnej.

- Niewielkie ryzyko, żeby w tym rejonie znalazł się jakiś statek, ale i tak wydam ostrzeżenie, aby go omijać - powiedział Sandecker.

Gunn podszedł do mapy i zaczął ją uważnie lustrować.

- Jaki jest margines błędu?

- Plus minus dwanaście kilometrów.

- A zakres strefy śmierci?

- Szacujemy średnicę pomiędzy czterdzieści a dziewięćdziesiąt kilometrów, co będzie zależało od energii, jaką zachowają fale po przebyciu tak wielkich odległości.

- Liczba zwierząt, które zginą, musi być nie do oszacowania.

- Z jakim wyprzedzeniem jest pan w stanie przewidzieć wystąpienie konwergencji? - spytał Sandecker.

- Trudno jest dokładnie przewidywać panujące na oceanie warunki - ostrożnie powiedział Yaeger. - Nie mogę gwarantować rzetelnych przepowiedni na więcej niż trzydzieści dni do przodu. Potem to zgadywanka.

- Czy poza tym, który nam pan pokazał, przewiduje pan jeszcze dalsze kataklizmy?

- Tak. Nastąpi za siedemnaście dni. - Yaeger popatrzył na kalendarz ze zdjęciem siedzącej na komputerze pięknej dziewczyny w obcisłej sukience.

- Dwudziestego drugiego lutego.

- To niedługo.

Yaeger popatrzył na admirała. Jego twarz wyglądała jak lodowiec podbiegunowy.

- Najgorsze zachowałem na koniec. - Jego palce zaczęły poruszać się po klawiaturze. - Panowie, dwudziestego drugiego lutego czeka nas coś niezwykle niemiłego.

Nie byli przygotowani na obraz, który pojawił się na ekranie. To, co Sandecker i Gunn zobaczyli, było nie do pomyślenia. Przez chwilę wpatrywali się jak zauroczeni w przecinające ekran cztery purpurowe linie i miejsce, gdzie się przecinały. Dopiero po chwili dotarło do nich z pełną świadomością, że nie mają nad wydarzeniem kontroli, nie znają sposobu powstrzymania tak potwornej katastrofy.

- Czy jest jakaś możliwość pomyłki? - zapytał Gunn.

- Sprawdziłem obliczenia trzydzieści razy - cicho odparł Yaeger. - Szukałem słabych punktów, błędów, zmiennych, które by dowiodły, że się mylę.

Cokolwiek bym robił, wynik był za każdym razem taki sam.

- Boże! - szepnął Sandecker. - Dlaczego ze wszystkich miejsc na oceanie musi to być akurat tam?

- Jeżeli nie nastąpią żadne gwałtowne zmiany w oceanie ani atmosferze, epicentrum strefy konwergencji znajdzie się mniej więcej piętnaście kilometrów od Honolulu - powiedział Yaeger ze smutkiem.

34

Obecny prezydent, w odróżnieniu od swojego poprzednika, podejmował decyzje szybko, sprawnie i bez wahania. Niechętnie uczestniczył w posiedzeniach komisji doradczych, które trwały bez końca i niewiele wносиły, szczególnie nie lubił biegających za nim asystentów, lamentujących lub wznoszących zachwyty w związku z najnowszymi wynikami badań dotyczących jego popularności. Zamierzał w ciągu czterech lat dokonać jak najwięcej i zajmował się tylko konkretami. Gdyby poniósł porażkę, nawet najlepsza retoryka czy pełne słodkich słówek mowy zrzucające winę na opozycję nie pomogłyby mu w ponownym wyborze. Partyjni bossowie rwali sobie włosy z głowy i błagali go, by starał się o stworzenie lepszego obrazu siebie, ale nie zamierzał ich słuchać i rządził mając na myśli przede wszystkim dobro narodu i nie przejmując się, komu nadeptuje na odcisk.

Prośba Sandeckera o spotkanie z prezydentem nie zrobiła najmniejszego wrażenia na szefie biura obsługi Białego Domu, Wilburze Huttonie. Był uodporniony na podobne prośby, chyba że chodziło o wiceprezydenta albo przewodniczących frakcji parlamentarnych Kongresu. Nawet członkowie rządu mieli problemy ze spotkaniem się z prezydentem w cztery oczy. Swe zadanie jako cerber Hutton spełniał nadgorliwie. Niełatwo było go zastraszyć, zwłaszcza że miał posturę zapaśnika. Rzednące blond włosy strzygł na jeża, co nadawało jego głowie wygląd pomalowanego na czerwono jaja. Wodniste błękitne oczy były nieustająco wbite w rozmówcę i nigdy nie poruszały się na bok. Dyplom zrobił na uniwersytecie stanowym w Arizonie, doktoryzował się z ekonomii w Stanford i był znany z dość obcesowego traktowania każdego absolwenta ekskluzywnej uczelni.

W odróżnieniu od wielu wysoko postawionych urzędników Białego Domu, do pracowników Pentagonu odnosił się z szacunkiem. Służba w piechocie podczas wojny w Zatoce Perskiej - zgłosił się ochotniczo i miał na koncie wpisane do akt kilka bohaterskich czynów - spowodowała, że żywił sympatię do wojska. Generałowie i admirałowie mogli liczyć u niego na znacznie większe względy niż politykerzy w wytwornych garniturach.

- Jim, jak to miło cię znów widzieć - pozdrowił Sandeckera, mimo że admirał pojawił się nie zapowiedziany. - Twoja prośba o spotkanie z prezydentem brzmiała nagłąco, ale obawiam się, że nie ma wolnej chwili. Niepotrzebnie się fatygowaleś.

Sandecker uśmiechnął się i zaraz spoważniał.

- Sprawa, z którą przychodzę, jest zbyt delikatna, by omawiać ją przez telefon, Will. Nie ma

czasu na zachowanie obowiązującej procedury służbowej.

Im mniej ludzi będzie wiedziało o niebezpieczeństwie, tym lepiej.

Hutton wskazał Sandeckerowi krzesło, potem podszedł do drzwi i pieczołowicie je zamknął.

- Przepraszam, ale słyszę podobne historie dość często.

- Takiej jeszcze nie słyszałeś. Za szesnaście dni zginie każdy mieszkaniec Honolulu i większość mieszkańców wyspy Oahu.

Sandecker czuł, jak wzrok Huttona wwierca mu się w potylicę.

- Jim, nie wygłupiaj się. Co to za żarty?

- Moi naukowcy i analitycy danych odkryli przyczynę kataklizmu zabijającego na Pacyfiku ludzi i zwierzęta. - Sandecker otworzył aktówkę i wyjął teczkę. - Tutaj jest raport omawiający wyniki naszych badań. Zjawisko określamy mianem kataklizmu akustycznego, ponieważ zgony są powodowane wysokiej intensywności infradźwiękami, które koncentrują się poprzez załamanie w wodzie. Następnie fala dźwiękowa przenosi się drogą podwodną, skupia, wychodzi nad powierzchnię i zabija wszelkie przejawy życia w promieniu do dziewięćdziesięciu kilometrów.

Hutton przez kilka chwil nic nie mówił, przeszło mu przez głowę, czy admirał przypadkiem lekko nie sfiksował, zaraz jednak odrzucił tę myśl, znał bowiem Sandeckera jako poważnego, konkretnego człowieka, w pełni poświęcającego się swojemu zadaniu. Otworzył teczkę z raportem i przejrzał. Admirał czekał w milczeniu. Kiedy Hutton skończył, uważnie popatrzył na Sandeckera.

- Jesteście tego pewni?

- W stu procentach.

- We wszystkim istnieje ryzyko pomyłki.

- Tutaj nie ma pomyłki. Można dyskutować jedynie o pięcioprocentowym prawdopodobieństwie, że konwergencja nastąpi w bezpiecznej odległości od wyspy.

- Obiło mi się o uszy, że rozmawiałeś na ten temat z senatorami Raymondem i Ybarrą, ale nie chcieli cię poprzeć w żądaniu akcji wojskowej przeciwko własności Dorsett Consolidated.

- Nie udało mi się przekonać ich o powadze sytuacji.

- Przyszedłeś więc do prezydenta.

- Gdybym mógł dzięki temu uratować dwa miliony ludzi, poszedłbym do Pana Boga.

Hutton wbił wzrok w Sandeckera, przekrzywił nieco głowę na bok. Jego oczy nic nie zdradzały. Przez kilka sekund postukiwał ołówkiem w blat biurka, potem skinął głową i wstał, przekonany, że nie może zignorować admirała.

- Zaczekaj chwilę - powiedział i wyszedł drzwiami prowadzącymi do Ovalnego Gabinetu. Wrócił po dobrych dziesięciu minutach i wskazał admirałowi kierunek. - Tędy, Jim. Prezydent cię oczekuje.

- Dziękuję, Will. Masz u mnie przysługę.

Kiedy admirał wszedł do Ovalnego Gabinetu, prezydent z gracją wstał z za starego biurka Roosevelta, obszedł je i wyciągnął do niego rękę.

- Admirale, jestem zaszczycony.

- To ja dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić chwilę czasu, panie prezydencie.

- Will powiedział, że ma pan pilną sprawę mającą związek ze zgonami na „Polar Queen”.

- I wieloma innymi.

- Powiedz prezydentowi to co mnie - zachęcił Hutton podając swojemu szefowi otrzymany od Sandeckera raport. Prezydent zaczął przeglądać dokument, admirał omówił zagrożenie.

Sandecker przedstawił sytuację strzelając ze wszystkich luf. Był przekonujący i energiczny. Z emfazą poparł kompetencje swoich ludzi z NUMY, ich osady i wnioski. Po przedstawieniu zagrożeń, dla uzyskania większego wrażenia zawiesił na chwilę głos, potem ciągnął dalej prosząc o użycie wojska w celu powstrzymania prac wydobywczych Arthura Dorsetta.

Prezydent słuchał uważnie ani razu nie przerywając, potem jeszcze przez kilka minut czytał raport i dopiero potem podniósł głowę.

- Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, admirale, że nie mogę ot tak niszczyć znajdującej się na terenie obcego kraju własności prywatnej?

- Nie wspominając o ludzkim życiu - dodał Hutton.

- Jeżeli doprowadzimy do wstrzymania prac choć w jednej kopalni Dorsetta i wykluczmy tylko jedno źródło infradźwięków, może uda nam się wystarczająco osłabić konwergencję, by uratować od okrutnej śmierci dwa miliony mężczyzn, kobiet i dzieci mieszkających w Honolulu i okolicach miasta.

- Musi pan przyznać, admirale, że energia dźwiękowa nie jest zagrożeniem, do przeciwdziałania któremu nasz rząd byłby przygotowany. To dla mnie coś całkowicie nowego. Muszę dać trochę czasu moim doradcom z Narodowej Rady Naukowej, by sprawdzili wyniki badań NUMY.

- Konwergencja nastąpi za szesnaście dni - ponuro powiedział Sandecker.

- Odezwę się za cztery.

- To pozostawi nam wystarczający margines na konieczne działania - dodał Hutton.

Prezydent wyciągnął rękę.

- Dziękuję, że zwrócił mi pan uwagę na tę sprawę, admirale - powiedział oficjalnym żargonem. - Obiecuję, zajmę się pańskim raportem z całą uwagą.

- Dziękuję, panie prezydencie. Nie śmiałybym prosić o więcej.

Wyprowadzając Sandeckera z Owalnego Gabinetu, Hutton mruknął:

- Nie martw się, Jim. Osobiście dopilnuję, by twoje ostrzeżenie dotarło dokąd trzeba.

Sandecker przyjrzał mu się bardzo wnikliwie.

- Radzę ci dopilnować, żeby nie machnął na to ręką, bo w Honolulu nie będzie miał kto na niego głosować.

35

Cztery dni bez wody. Bezlitosny upał i ogromna wilgotność wysysały z nich ostatnie krople wilgoci. Pitt nie zamierzał pozwolić im myśleć jedynie o otaczającej pustce, gdyż w krótkim czasie mogło to pozbawić człowieka resztki energii i chęci kreatywnego myślenia. Monotonne pluskanie fal o kadłub - dopóki się nie uodpornili - doprowadzało ich niemal do szaleństwa. Kluczem do przetrwania była uczciwość wobec siebie samego. Pitt przebadał wiele katastrof morskich i doskonale wiedział, że wielu marynarzy ginęło jedynie z powodu obojętności i braku nadziei. Zmuszał więc Maeve i Giordina do działania, pozwalał im spać jedynie w nocy, każąc w dzień utrzymywać aktywność.

Metoda poszturchiwania dawała efekty. Poza spełnianiem obowiązków pokładowego rzeźnika Maeve zrobiła z jedwabnej chustki i liny sieć, która wyrzucona za burtę pozwoliła łapać plankton i inne drobne żyjątka morskie. Po kilku godzinach połowu podzieliła złowione dobra na trzy kupki, serwując „sałatkę z owoców morza”.

Giordino najtwardszym ostrzem scyzoryka ponacinał w zrobionym z kolca sprzączki haczyku na

ryby zębki i przejął obowiązki dyżurnego wędkarza, przekazując efekty swej działalności Maeve, która wykorzystywała wiedzę zoologiczną do czyszczenia i rozbierania ryb. Większość rozbitków wrzuciłoby haczyk do wody i biernie czekało, Giordina niezwykle jednak bawiło nęcenie. Nabił na haczyk kawałki wyjęte z wnętrzości rekina, które w szczególny sposób wabią ryby, wrzucił go do wody, poczekał, aż żyłka się rozwinię, i zaczął ją ściągać jak łapiący cielaka na łąso kowboj - owijając wokół łokcia, a potem we wcięciu między kciukiem a palcem wskazującym. Raz za razem szarpał żyłką, by przynęta poruszała się jak żywa. Najwyraźniej ruchomy obiad był dla ryb podniecający, wkrótce bowiem złapał pierwszą. Wyciągnął niewielkiego tuńczyka, dziesięć minut później na pokładzie wylądowało bonito.

Annały morskie są pełne opowieści o marynarzach, którzy umarli otoczeni rybami, ponieważ zabrakło im umiejętności ich łowienia. Nie dotyczyło to Giordina. Wystarczyło, by odkrył, jak je łowić, natychmiast udoskonalił metodę w sposób naukowy i wyciągał rybę za rybą z wprawą doświadczanego fachowca. Mając sieć, w kilka godzin zapełniłby łódkę po wręby. Woda wokół i poniżej łódki wyglądała jak akwarium - postanowiły ich eskortować ryby wszelkich kształtów i w najrozmaitszych, głównie migoczących, jaskrawych kolorach. Najmniejsze, skrzące się kolorami rybki wabiły większe, te zaś ściągały rekiny, które niestety miały dziwny, męczący nawyk walenia łbem w łódkę. Groźni ci, choć równocześnie elegancy podwodni mordercy sunęli obok łódki w różnych kierunkach, a ich trójkątne płetwy cięły wodę jak rzeźnicke topory. Przed każdym płynęła chmara legendarnych ryb-pilotów. Wpływając pod łódkę, rekiny przewracały się na bok i szczyrzyły zęby; kiedy łódką zjeżdżała w dolinę pomiędzy dwoma falami, podpływały pod grzbiet fali, dzięki czemu mogły martwymi jak kostki lodu ślepiami obserwować potencjalne ofiary z góry. Pitt przypomniał sobie obraz Winsłowa Homera, którego reprodukcja wisiała w klasie w jego podstawówce - nazywał się „Golfsztróm”. Przedstawiał otoczonego przez rekiny Murzyna na pozbawionym masztów słupie, w dalszym tle widać było trąbę powietrzną. Tak Homer wyobrażał sobie walkę człowieka z żywiołami.

Jedli starą metodą rozbitków i dawnych marynarzy, polegającą na tak długim zuciu surowego mięsa, aż wyssało się całą wilgoć, na zmianę z zuciem wysuszonego przez słońce rekiniego mięsa. Rano poszerzyli jadłospis o dwie latające ryby, które wskoczyły w nocy do łodzi. Z powodu oleistego posmaku surowe rybnie mięso nie miałoby szans zdobyć nagrody na konkursie dla smakoszy o podobnych gustach co ich, ale znakomicie łagodziło cierpienia z głodu i pragnienia. Zwłaszcza że ich skurczone żołądki były zapełnione już po kilku kęsach.

Brak wody w organizmie łagodziły krótkie kąpiele, na które decydowali się co kilka godzin, kiedy znikaly rekiny. Kąpiel pozwalała na spłukanie z ciała krystalizującej się na skórze soli, a położenie się potem w cieniu baldachimu na mokrych ubraniach ochładzało i też zmniejszało cierpienie wynikające z odwodnienia i żaru.

Przyroda nie utrudniała Pittowi nawigacji. Charakterystyczne dla Ryczących Czterdziestek zachodnie wiatry pchały ich prosto na wschód, prądy wspomagały wiatr spychając ich w tym samym kierunku. W celu ustalenia przybliżonej pozycji Pitt z dwóch deseczek odłupanych z wiosła zrobił składany krzyż do obserwacji słońca i gwiazd.

Jest to przyrząd do określania szerokości geograficznej, stosowany przez starożytnych marynarzy. Przyrząd składa się z drewnianej listwy z podziałką, na którą nakłada się przesuwne ramię, tworzące z podłużną listwą kąt prosty. Aby dokonać pomiaru wysokości ciała niebieskiego, należy listwę jednym końcem zbliżyć do oka i tak długo przesuwac wzdłuż niej ruchome aż górny jego kraniec

zetknie się ze środkiem namierzanego ciała niebieskiego, dolny kraniec zaś - z linią horyzontu. Znając długość ruchomego ramienia i odległość od oka do miejsca skrzyżowania, określenie wysokości namierzanego ciała niebieskiego sprowadza się do prostego rachunku trygonometrycznego. Ustalenie długości geograficznej, czyli jak daleko zniosło ich na wschód, było zupełnie inną parą kaloszy.

Nocne niebo pokrywały błyszczące punkciki gwiazd tworząc rozciągający się od zachodu na wschód niebiański kompas. Po kilku nocach ustalania pozycji Pitt był w stanie skonstruować prostą tabelę logową, którą zapisał na będącym baldachimem pokrowcu znalezionym szczęśliwie przez Maeve kawałkiem ołówka. Podstawową trudnością było to, że w porównaniu z niebem północnej półkuli nie za dobrze znał gwiazdy i konstelacje dalekiego Południa i działał nieco po omacku.

Leciutka łódka była podatna na każde pchnięcie wiatru i nieraz sunęła po wodzie, jakby miała żagle. Wyrzucił przywiązany do liny but na wysokości dziobu, policzył sekundy, aż but przepłył do rufy, i wyciągnął go z wody. Znając czas i długość łodzi, obliczenie prędkości nie było problemem - okazało się, że posuwają się na wschód z prędkością mniej więcej trzech kilometrów na godzinę. Postawienie minimasztu z wiosła i wykorzystanie pokrowca jako żagla zwiększało ich prędkość do pięciu kilometrów na godzinę, czyli osiągnęli tempo niezbyt szybkiego spaceru.

- A więc dryfujemy sobie jak kawał drewna po oceanie życia - mruknął przez pokryte solą wargi Giordino. - Teraz tylko musimy wymyślić sposób na sterowanie tym urządzeniem.

- Już się robi - powiedział Pitt i pomagając sobie śrubokrętem zaczął wyciągać z zawiasów siedzenie, służące jako pokrywa schowka. Po minucie trzymał w ręku czworokątną płaską deskę wielkości drzwiczek do małej szafki.

- Zwala z nóg, nie?

- Jak chcesz to przymocować? - spytała Maeve, powoli uodporniająca się na nieustającą inwencję Pitta.

- Odkręcę zawiasy z pozostałych siedzeń i połączę w całość z połówkami zawiasów pokrywy. Potem przymocuję wolną część do wspornika, na którym trzymał się silnik, dzięki czemu pokrywa będzie mogła poruszać się w lewo i prawo. Na koniec przymocujemy do górnej krawędzi dwie linki i uzyskamy klasyczny ster. To się nazywa robieniem ze świata miejsca łatwiejszego do życia.

- Doskonała robota - powiedział ze stoickim spokojem Giordino. - Artystyczna kreatywność, elementarna logika, lenistwo, seksapil... wszystko w tym jest.

Pitt popatrzył na Maeve.

- Kocham w Alu tę teatralność - wyjaśnił z uśmiechem.

- No to jak mamy odrobinę panowania nad statkiem, Wielki Nawigatorze, dokąd się udamy? - spytał Giordino.

- Decyzję pozostawimy chyba damie. Zna się na tych wodach trochę lepiej od nas.

- Jeżeli popłyniemy prosto na północ, może uda nam się dotrzeć do Tasmanii - zaproponowała Maeve.

Pitt pokręcił głową i wskazał na pseudożagiel.

- Nie jesteśmy odpowiednio otaklowani, by pływać na bajdewindach, poza tym przy tak płaskim dnie płynęlibyśmy pięć razy szybciej na wschód niż na północ. Jakąś szansą jest dotarcie do Nowej Zelandii, ale mocno w to wątpię. Moim zdaniem powinniśmy iść na kompromis i zdecydować się na odrobinę północne odchylenie od kursu wschodniego. Wierząc mojemu wiernemu kompasowi, powiedzmy na siedemdziesiąt pięć stopni.

- Im bardziej na północ, tym lepiej - odparła Maeve obejmując się ramionami z zimna. - Tak

daleko na południe noce są dość chłodne.

- Są na tym kursie jakieś wyspy? - spytał Giordino.

- Niewiele. Na południe od Nowej Zelandii jest kilka wysp, ale są rzadkie i rozrzucone daleko od siebie. Możemy przepłynąć między nimi nawet ich nie zauważając, zwłaszcza w nocy.

- Mogą być naszą jedyną szansą. - Pitt wyciągnął kompas i zaczął obserwować igłę. - Pamiętasz mniej więcej ich położenie?

- Wyspa Stewart znajduje się tuż poniżej Wyspy Południowej, potem idą Snares, wyspy Auckland i dziewięćset kilometrów dalej na południe - Macquarie.

- Wyspa Stewart jest jedyną, której nazwa brzmi mi znajomo - stwierdził z zamyśleniem Pitt.

- Macquarie by ci się nie spodobała. - Maeve wzdrygnęła się z zimna.

- Są tam tylko pingwiny i często pada śnieg.

- Muszą ją opływać zimne prądy od Antarktydy.

- Mińmy choć jedną, to mamy pusty ocean aż do Ameryki Południowej - powiedział ze zniechęceniem Giordino.

Pitt osłonił dłonią oczy i zaczął lustrować niebo.

- Jeżeli nie wykończą nas zimne noce, umrzemy z odwodnienia na długo nim dopłyniemy gdziekolwiek. Najlepszym wyjściem będzie chyba skierować się ku wyspom na południe od Nowej Zelandii z nadzieją, że wpadniemy na którąś z nich. Nazwijmy to inwestowaniem w różne możliwości, by zmniejszyć ryzyko totalnej wpadki.

- No to ruszajmy ku Macquarie - powiedział Giordino.

- To chyba najrozsądniejsze - zgodził się Pitt.

Przy pomocy Giordina Pitt postawił żagiel i ustawili kurs na siedemdziesiąt pięć stopni. Prymitywny ster działał tak dobrze, że udało im się nawet skrócić na północ do sześćdziesięciu stopni. Podniesieni na duchu tym, że w jakimś stopniu mogą decydować o swoim przeznaczeniu, poczuli lekki przypływ optymizmu. Humory poprawiły się jeszcze bardziej, kiedy Giordino zaanonsował:

- Zaraz wejdziemy w szkwał.

Z zachodu pojawiły się burzowe chmury i przesuwały z taką prędkością, jakby jakiś gigant rozwijał nad rozbitkami czarny dywan. Nie minęło pięć minut, jak łódkę zrosiły pierwsze krople. Zaczęły się zagęszczać, aż deszcz zmienił się w gwałtowną nawałnicę.

- Otwórzcie każdą skrytkę i wszystko, co może służyć jako pojemnik! - zawołał Pitt opuszczając nylonowy żagielek. - Al, złap za brzeg żagla, to nachylimy go za burtą, żeby deszcz splukał sól. Będziemy mogli wlewać po nim wodę do pojemnika po lodzie.

Deszcz padał dalej i wystawiali ku niemu twarze, niczym domagające się jedzenia pisklęta rozdziawiali usta, by się napić. Zapach i smak słodkiej wody działał na ich gardła jak balsam. Nie mogli wyobrazić sobie niczego przyjemniejszego.

Wiatr dał i przez najbliższe dziesięć minut hulali w oślepiającym potopie. Pływaki dudniły jak bębny. Wkrótce napełnili wodą pojemnik po lodzie, zaczęło im nawet chlupotać pod nogami. Życiodajny szkwał urwał się tak samo nagle, jak zaczął. Zdjęli ubrania i aby nie uronić ani kropli, wyżełi wodę do ust, potem przenieśli wodę z dna łódki do wszystkiego, co mogło zostać wykorzystane jako pojemnik. Zdobycie wody spowodowało, że humory osiągnęły dawno niespotykany poziom.

- Ile waszym zdaniem nałapaliśmy? - spytała Maeve.

- Dziesięć, może dwanaście litrów - oszacował Giordino.

- Możemy zwiększyć ilość dodając trzy litry wody morskiej - stwierdził Pitt.

Maeve popatrzyła na niego, jakby się wygłupiał.

- Źle nam życzysz? Picie słonej wody nie jest najlepsze przy pragnieniu.

- W gorące, parne dni w tropikach ludzie mogą wypić tyle wody, aż wycieknie im uszami, a i tak dalej czują pragnienie. Ciało przyjmuje wtedy więcej płynu, niż potrzebuje. Po wypoceniu rzeki wody organizm potrzebuje soli. Nasze języki może się i wzdragają przed smakiem morskiej wody, ale uwierz, że zmieszana w odpowiedniej proporcji ze słodką gasi pragnienie i w niczym nie szkodzi.

Napojeni, po zjedzeniu paru kawałków surowej ryby, poczuli się niemal jak ludzie. Maeve znalazła pod konsolą trochę zaschniętego brudu, zmieszała go z wyciśniętym z ryby olejem i uzyskała w ten sposób namiastkę kremu. Ze śmiechem doniosła o wynalazku, ochrzciła go mianem „Skórny pancerz madame Fletcher” i oznajmiła, że ma czynnik ochronny sześć. Teraz podstawowym problemem stały się otarcia na nogach i poślądkach, spowodowane ruchem łódki. Zaimprovizowany krem nieco złagodził rany, ale nie był w stanie zapobiec pogarszaniu się otarć.

Po południu pojawiła się silna bryza, która wzburzyła ocean i pchnęła ich między nadchodzące w niemożliwy do przewidzenia sposób fale. Pitt ściągnął żagiel, ponownie sprokurował i wyrzucił za burtę kotwicę z kurtki.

Poruszali się nie mając najmniejszego wpływu na kierunek ruchu - jakby zjeżdżali wewnątrz poskręcanej oblodzonej rynny. Wicher dał do dziesiątej rano następnego dnia. Natychmiast po tym jak ocean się uspokoił, wróciły ryby. Można było odnieść wrażenie, że burza poprzewracała im we łbach, kotłowały się bowiem jak szalone tuż pod powierzchnią i waliły jak zwariowane łbami w łódkę. Nienazarte większe ryby miały ucztę jak mało kiedy. Przez mniej więcej godzinę woda wokół łódki była czerwona, dopiero potem nie kończąca się nigdy walka, w której zawsze wygrywają rekiny, nieco się uspokoiła.

Niezmiernie zmęczona rzucaniem łódki Maeve natychmiast zasnęła. Śniła o synach. Giordino też zrobił sobie sjęstę, jego marzenia dotyczyły jednak suto zastawionego bufetu. Pitt nie marzył. Zagryzł zęby i podniósł żagiel. Za pomocą składanego krzyża ustalił wysokość słońca i za pomocą kompasu skorygował kurs. Siedząc najwygodniej jak się dało, sterował ruchami przywiązanych do steru linek na północny wschód.

Jak to mu się zwykle zdarzało, kiedy morze było spokojne, problemy przeżycia i radzenia sobie z oceanem odpływały i zaczynał myśleć o czymś innym. Po rozważeniu różnych aspektów sytuacji, w jakiej się znaleźli, jego myśli niezmiernie wracały do Arthura Dorsetta. Z rozmysłem wzniecał w sobie złość. Nikomu nie wolno bezkarnie wyrządzać niewinnym ludziom takich potworności! Było to dla niego tak ważne jak jeszcze nigdy dotąd. Niemal widział kiwające się twarze i ironicznie lypiące gały Dorsetta i jego dwóch córeczek.

W umyśle Pitta nie było miejsca na wspomnianie cierpień minionych pięciu dni, rozpamiętywanie przedśmiertnych tortur, jakie sprawiała im przyroda, ani nic innego - wypełniała go pierwotna obsesja zemsty. Nie rozróżniał pomiędzy zemstą a egzekucją. Nie wolno było pozwolić Dorsettowi kontynuować tego co robił, zwłaszcza po tylu spowodowanych przez niego zgonach. Musi zostać pociągnięty do odpowiedzialności.

Umysł Pitta nie koncentrował się jednak tylko na jednej sprawie, lecz na dwóch. Dorsetta zabije potem - najpierw uratuje synów Maeve.

Sterował małą łódeczką przez cały ósmy dzień podróży. Przy zachodzie słońca obowiązki sternika przejął Giordino, a Pitt i Maeve zjedli kolację złożoną z kombinacji surowej i suszonej ryby. Nad horyzont niczym bursztynowa kula wzeszedł księżyc w pełni. Im był wyżej, tym bardziej jednak malał i białiał. Spłukali smak ryby kilkoma łykami wody, Maeve usiadła oparta plecami o pierś Pitta, który objął ją ramionami i zapatrzyła się w srebrny pasek odbijającego się w wodzie księżycowego światła. Mruczała pod nosem słowa „Moon River”.

- „Rozbitków dwoje co chcą zbadać świat”...

Przerwała, popatrzyła na twarz Pitta i zaczęła po kolei uważnie lustrować twardą linię szczęki, ciemne gęste brwi i zielone oczy, które migotały przy każdym błysku światła. Jego nos był jak na mężczyznę kształtny, ale nie dało się nie zauważyć, że musiał być nieraz łamany. Linie wokół oczu i lekkie wygięcie warg nadawały mu wesoły i wiecznie uśmiechnięty wyraz - wygląd człowieka nie stanowiącego zagrożenia, z którym zarówno mężczyzna, jak i kobieta może czuć się dobrze i bezpiecznie. Jego twarz była mieszanką twardości i wrażliwości, i to w takich proporcjach, które niezwykle pociągały Maeve.

Siedziała bez słowa, zahipnotyzowana jego bliskością. Kiedy spojrzał w dół i zauważył, z jaką fascynacją go obserwuje, nie odwróciła wzroku.

- Nie jesteś zwykłym człowiekiem - powiedziała nie wiedząc dlaczego.

Popatrzył zdziwiony.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- To co mówisz, to co robisz. Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś, kto byłby tak pogodzony z życiem.

Uśmiechnął się, wyraźnie mile połączony.

- Jeszcze nigdy kobieta nie powiedziała mi nic podobnego.

- Pewnie znałeś ich wiele? - spytała z dziewczęcą ciekawością.

- Wiele?

- Kobiet.

- Nie bardzo. Zawsze chciałem być rozpustnikiem jak Al, ale nigdy nie miałem czasu.

- Byłeś żonaty?

- Nie.

- Z kimś blisko związany?

- Może raz.

- Co się stało?

- Zginęła.

Maeve widziała, że Pitt jeszcze nie przekroczył mostu prowadzącego z brzegu „smutek” na brzeg „rzewne wspomnienia”. Pożałowała, że zadała pytanie, i zrobiło jej się głupio. Pchało ją ku niemu i chciała zapaść w jego myśli. Domyślała się, że był mężczyzną, który szuka czegoś więcej niż przelotnego kontaktu fizycznego, i zdawała sobie sprawę, że nie interesuje go przelotny flirt.

- Nazywała się Summer - mówił dalej. - To było dawno temu. Miała szare oczy i rude włosy, ale była podobna do ciebie.

- Schlebiasz mi.

Chciał zapytać ją o synów, ale powstrzymał się, uznał bowiem, że popsuje to magię chwili. Dwoje ludzi, samych - no, prawie samych - księżyc, gwiazdy i czarny nieskończony ocean. Bez gruntu pod nogami, otoczeni tysiącami kilometrów nicości. Jak łatwo było zapomnieć, gdzie się znajdują, i wyobrazić sobie, że żeglują po zatoce u wybrzeży pięknej tropikalnej wyspy.

- Jesteś też niezwykle podobna do swojej prapraprababki.

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

- Skąd wiesz, jak wyglądała?

- Na jachcie jest obraz Betsy Fletcher.

- Muszę ci kiedyś o niej opowiedzieć - stwierdziła Maeve wtulając się w jego ramiona jak kotka.

- Nie ma potrzeby - powiedział z uśmiechem. - Mam wrażenie, że znam ją nie gorzej niż ty.

Odważna kobieta, zesłana za kradzież do kolonii karnej w zatoce Botany, jedna z nielicznych rozbitków, którzy przeżyli epopeję tratwy „Gladiatora”. Pomogła uratować życie kapitanowi Katowi Scaggsowi i skazanemu za rozboje Jessowi Dorsettowi, który został jej mężem i twoim praprapradziadkiem. Po wylądowaniu na wyspie znanej teraz pod nazwą wyspy Gladiator, Betsy odkryła jedno z największych na świecie złóż diamentów i założyła rodzinną dynastię. W moim hangarze mam szczegółowe akta Dorsettów, zaczynając od Betsy i Jessa, a kończąc na tobie i twoich gadzich siostrach.

Maeve usiadła wyprostowana, w jej błękitnych oczach zaigrała wściekłość.

- Badałeś moje życie, szczerze, i to prawdopodobnie przy pomocy CIA!

Pitt pokręcił głową.

- Nie twoje życie, lecz historię rodziny jako handlarzy diamentów. Moja wiedza pochodzi od bardzo eleganckiego starszego pana, który byłby oburzony, gdyby wiedział, że określasz go mianem agenta CIA.

- Nie wiesz nawet po części tyle, ile ci się wydaje - powiedziała wyniośle. - Mój ojciec jest bardzo skrytym człowiekiem i tacy sami byli jego przodkowie.

- Tak mi się też wydawało - odparł ugodowo. - Jest w waszej historii ktoś, kto mnie niezwykle intryguje.

- Jeśli nie ja, to kto?

- Potwór w waszej lagunie.

Odpowiedź kompletnie ją zaskoczyła.

- Masz na myśli Bazyla?

- Kogo?

- Bazyl nie jest potworem, tylko węzem morskim. To drobna różnica. Widziałam go trzy razy na własne oczy.

Pitt wybuchł śmiechem.

- Bazyl? Nazywacie go Bazyl?

- Przestałbyś się śmiać, gdybyś zobaczył jego szczęki.

Pitt pokręcił głową.

- Nie jestem w stanie uwierzyć, że zoolog z uniwersyteckim wykształceniem mówi o węzach morskich, jakby naprawdę istniały.

- Na początek powiedzmy sobie, że nazwa „wąż” jest błędna, bowiem nie są to takie węże jak lądowe.

- Istnieje wiele przedziwnych opowieści turystów, twierdzących, że widzieli dziwne stwory w jeziorach, głównie w Loch Ness i Lake Champlain, ale nie słyszałem o dokonanych na morzu obserwacjach, które byłyby młodsze niż dziewiętnasty wiek.

- Dokonane na morzu obserwacje nie są tak rozdmuchiwane jak dawniej.

Zepchnęły je z pierwszych stron wojny, katastrofy i masowe morderstwa.

- Przecież brukowców nic nie powstrzyma.

- Dzisiejsze trasy statków są stałe i niezmiennie - cierpliwie wyjaśniała Maeve - dawniej pływano po mało uczęszczanych wodach. Wiele obserwacji dokonywano ze statków wielorybicznych, które nie pływały najkrótszymi trasami pomiędzy portami. Statki napędzane wiatrem są ciche, dzięki czemu mogły się zbliżyć do węża, dzisiejsze diesle słychać na kilometry. To, że węże są wielkie, nie oznacza, że nie mogą być strachliwymi, lubiącymi samotność, niestrudżonymi podróżnikami po oceanach, w dodatku obawiającymi się schwywania.

- Jeżeli nie są wężami, to czym? Pozostałościami po dinozaurach?

- Jak pan chce, panie Sceptyku - powiedziała poważnie, z cieniem prowokacyjnej dumy w głosie.

- Piszę tezy do pracy doktorskiej z kryptozoologii, czyli nauki o legendarnych stworach. Po odrzuceniu niepewnych obserwacji, mistyfikacji i opisów z drugiej ręki, istnieje czterysta sześćdziesiąt siedem udokumentowanych obserwacji. Mam je spisane w komputerze na uniwersytecie i pokatalogowane - według warunków widoczności, warunków pogodowych, regionów świata, cech charakterystycznych węży, czyli koloru, rozmiaru i budowy. Dzięki grafice komputerowej jestem w stanie prześledzić wstecz ich ewolucję. Gdybym miała odpowiedzieć na twoje pytanie, powiedziałabym, że prawdopodobnie ewoluowały z dinozaurów tak jak krokodyle i aligatory, pod żadnym warunkiem nie są to jednak relikty. Plezjozaur, o którym sądzi się, że przeżył do dziś pod postacią węża morskiego, nigdy nie osiągał długości szesnastu metrów, a to dla węża nie jest aż tak dużo. Bazyl, na przykład, jest znacznie dłuższy.

- Zgoda, wstrzymam się od ostatecznej oceny, aż przekonasz mnie, że naprawdę istnieją.

- Jest sześć podstawowych gatunków. Większość obserwacji dotyczy stworów o długiej szyi z jednym garbem i łbem oraz szczękami przypominającymi wielkiego psa. Łeb drugiego gatunku jest porównywany do końskiego - i to z grzywą - i ma wybałuszone oczy. Czasami opisuje się, że ma pod dolną szczęką kozią bródkę.

- Wąż z kozią bródką - cynicznie stwierdził Pitt.

- Jest następnie odmiana o śliskim ciele, podobna do węgorza. Następna przypomina wydrę, jeszcze inna charakteryzuje się wielkimi trójkątnymi płetwami grzbietowymi. Najczęściej opisywana odmiana ma liczne wypustki na grzbiecie, jakby garby, jajowaty łeb i psią mordę. Zazwyczaj opisuje się ją jako czarną na grzbiecie i białą na brzuchu. Niektóre mają płetwy jak u foki albo żółwia, inne nie, niektóre mają bardzo długie ogony, inne krótki kikut na końcu tułowia, u niektórych widziano futro, u innych gładką skórę. Kolory przechodzą od czerni przez brąz po żółtoszary, ale większość obserwatorów jest zgodna co do tego, że brzuszne partie są białe. W odróżnieniu od prawdziwych węży wodnych i lądowych, które poruszają się zwijając ciało na boki, węże morskie poruszają się falując ciałem w pionie. Wszystko wskazuje na to, że odżywiają się rybami.

Pokazują się zwykle przy spokojnym morzu i widywano je wszędzie poza okolicami podbiegunowymi.

- Skąd wiesz, że to wszystko nie są błędy obserwacyjne? Mogły to być wylegujące się rekiny, kłęby wodorostów, morświny, wręcz olbrzymie kałamarnice.

- W większości przypadków obserwacji dokonała więcej niż jedna osoba.

Głos świadków to kapitanowie o dużej renomie. Jednym z nich był na przykład kapitan Arthur Rostron.

- Znam to nazwisko. Był kapitanem „Karpatii”, statku, który uratował rozbitków z „Titanica”.

- Zaobserwował stwora, który cierpiał, jakby był ranny.

- Ale wiadomo przecież, że świadkowie mogą być całkowicie uczciwi, a mimo to się mylić.

Dopóki naukowcy nie dostaną do ręki węża morskiego lub przynajmniej jego kawałka, by móc przeprowadzić badania, nie ma na istnienie takich dziwolągów jednoznacznego dowodu.

- Dlaczego w morzach nie mogłyby żyć dwudziestopięciometrowe gady, przetrwałe z mezozoiku? Ocean nie jest przejrzystym oknem, nie możemy zajrzeć w głąb wód i widzieć po horyzont jak na lądzie. Kto wie, ile nieznanych jeszcze nauce zwierząt kryje się w oceanach?

- Aż się boję zapytać - powiedział Pitt z błyskiem w oku - do jakiego gatunku należy Bazyl.

- Sklasyfikowałam go jako megawęgorza. Ma cylindryczny korpus o długości trzydziestu metrów, kończący się spiczastym ogonem. Łeb ma lekko stępiony jak zwykły węgorz, ale szeroki psi pysk wypełniony ostrymi kłami.

Jest błękitnawy, z białym brzuchem, czarne jak węgle ślepia są wielkości spodka pod filiżankę. Porusza się zwijając ciało w poziomie jak zwykle węże i węgorze. Dwa razy widziałam, jak unosił przednią część ciała dobre dziesięć metrów pionowo nad wodę.

- Kiedy widziałas go pierwszy raz?

- Miałam dziesięć lat. Płynęłam z Deidre po lagunie łódką, którą dostałyśmy od matki, i nagle doznałam dziwnego wrażenia, że jestem obserwowana.

Po kręgosłupie przeleciał mi zimny dreszcz. Deidre zachowywała się jakby nigdy nic. Powoli odwróciłam się i jakieś dwadzieścia metrów za nami, mniej więcej trzy metry nad wodę wystawał łeb. Stwór miał błyszczące czarne ślepia, którymi uważnie nas obserwował.

- Jakiej grubości miał szyję?

- Średnicy około dwóch metrów. Tata zwykle określa to: „Jak duża beczka wina”.

- Też go widział?

- Każdy członek rodziny widział Bazyla nieraz. Zwykle pokazuje się, kiedy ktoś ma umrzeć.

- Opowiadaj dalej.

- Stwór wyglądał jak smok z bajek dla dzieci. Strach mnie sparaliżował i nie mogłam ani się poruszyć, ani wydać z siebie głosu. Deidre bez ruchu wpatrywała się w wodę przed dziobem, całą uwagę koncentrowała, by w odpowiednim momencie kazać mi halsować, bo mogłybyśmy wpaść na rafę.

- Poruszył się?

- Nie. Obserwował nas bez ruchu i nie zamierzał nic robić łódce. W końcu odpłynęłyśmy.

- Deidre nie widziała go?

- Tamtym razem nie, ale potem widziała go dwa razy.

- Jak zareagował ojciec, kiedy mu opowiedziałas o spotkaniu?

- Roześmiał się i powiedział: „No to w końcu poznałaś Bazyla”.

- Powiedziałaś, że wąż pokazuje się, kiedy ktoś umiera.

- To taka legenda rodzinna, ale jest w niej nieco prawdy. Widziała Bazyla załoga statku

wielorybniczego, kiedy grzebano Betsy Fletcher, widziano go, kiedy umarła moja ciocia babcia Mildred i mama - obie w nienaturalnych okolicznościach.

- Przypadek czy przeznaczenie?

Maeve wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Jedyne co wiem na pewno, to że mamę zabił ojciec.

- Tak jak dziadek Henry jest podejrzany o zabicie swojej siostry Mildred.

- O tym też wiesz?

- To ogólnie znane sprawy.

Zapatrzyła się w czarny ocean i powiodła wzrokiem do horyzontu, gdzie woda stykała się z gwiazdami. Zajrzał jej w oczy księżyc - Pitt odniósł wrażenie, że poczerniały i posmutniały.

- Ostatnie trzy pokolenia Dorsettów nie żyły wedle wymagań prawości.

- Twoja matka miała na imię Irena.

Maeve skinęła głową.

- Jak zmarła?

- W końcu na pewno i tak by umarła, ze złamanym sercem z powodu tego, co wyczyniał z nią mąż, którego rozpaczliwie kochała, ale podczas spaceru z moim ojcem obsunęła jej się noga i spadła z klifu we wzburzone morze. - Na twarzy Maeve pojawił się wyraz nienawiści. - Zepchnął ją. Ojciec zepchnął ją ze skały i jest to tak pewne jak to, że na niebie są gwiazdy.

Pitt mocno ją objął. Drżała.

- Opowiedz o siostrach - poprosił zmieniając temat.

Z twarzy Maeve zniknął nienawistny cień i jej rysy znów złagodniały.

- Nie ma wiele do opowiadania. Nigdy nie byłam z nimi blisko związana.

Deidre ma charakter żmiji. Jeżeli miałam cokolwiek, co chciała mieć, kradła mi to i twierdziła, że rzecz zawsze do niej należała. Z nas trzech była ulubioną córeczką tatusia. Przenosił na nią najwięcej uczuć, bo jest najbardziej z nas podobna do niego. Deidre żyje w świecie fantazji kreowanym przez jej własne kłamstwa. Nawet gdy nie ma powodu kłamać, nie powie prawdy.

- Była kiedyś mężatką?

- Raz, wyszła za zawodowego piłkarza, któremu wydawało się, że będzie mógł dalej żyć własnym życiem i dodatkowo obracać się w eleganckim towarzystwie. Niestety kiedy zażądał rozwodu i odprawy w wysokości budżetu Australii, nieszczęśliwie wypadł za burtę jednego z należących do rodziny jachtów. Nigdy nie odnaleziono jego ciała.

- Najwyraźniej nie warto przyjmować od Dorsettów zaproszeń na żagle - kostycznie stwierdził Pitt.

- Przeraza mnie sama myśl o wszystkich ludziach, których tata wyeliminował, ponieważ stali mu na drodze albo tak mu się wydawało.

- A Boudicca?

- Nigdy właściwie jej nie poznałam. Jest jedenaście lat starsza ode mnie.

Tuż po tym jak się urodziłam, tata wysłał ją do ekskluzywnej szkoły z internatem.

Brzmi to może dziwnie, że siostra jest dla mnie kimś obcym, ale spotkałam ją pierwszy raz, kiedy miałam prawie dziesięć lat. Jedyne co o niej wiem, to że pasjonują ją młodzi przystojni mężczyźni. Tacie niezbyt się to podoba, ale nie robi nic, by powstrzymać ją przed sypianiem z kim się da.

- Dziwna kobieta.

- Widziałam raz, jak sponiewierała ojca, kiedy pijany uderzył matkę.

- Dziwne, że taką nienawiścią darzą jedynego łagodnego i miłego członka rodziny.

- Kiedy uciekłam z wyspy, na której po śmierci matki byliśmy praktycznie więzione, tata nie był w stanie pogodzić się z moją niezależnością.

Złościło go, że zarabiam na studia i nie zamierzam korzystać z pieniędzy Dorsettów. Potem, kiedy mieszkałam z kolegą ze studiów i dowiedziałam się, że jestem w ciąży, zdecydowałam się urodzić, choć z góry wiedziałam, że będę mieć bliźniaki. Ponieważ nie chciałam wyjść za ojca dzieci za męża, tata i siostry załatwiły tak sprawę z adwokatami, że odebrano mi wszelkie prawa do udziału w majątku Dorsettów. Brzmi to nieprawdopodobnie i nie wiem, jak to dokładnie wyjaśnić. Potem zmieniłam nazwisko na nazwisko prapraprababki i zaczęłam prowadzić własne życie, szczęśliwa, że oderwałam się od zwariowanej rodziny.

Pitt podziwiał, jak uparcie walczyła ze sprawami, na które nie miała wpływu. Równocześnie jej współczuł i czuł respekt wobec jej hartu ducha. Była naprawdę wspaniałą kobietą. Popatrzył w jej szczere jak u dziecka oczy i poprzysiągł sobie, że poruszy niebo i ziemię, by ją ochronić.

Otworzył usta, aby coś powiedzieć, w tym jednak momencie spostrzegł kątem oka sunący ku nim grzbiet ogromnej fali. Potężny grzywacz zakrył horyzont. Kiedy ujrzał za pierwszą falą trzy takie same, gardło ścisnął mu lodowaty strach.

Krzyknął ostrzegawczo do Giordina i pociągnął Maeve na dno. Spieniony grzywacz spadł na łódkę, otoczył ją chmurą piany i wodnego pyłu, przetoczył się przez pokład i wepchnął pod wodę tylny róg prawego pływaka. Dziób wyskoczył w powietrze, łódka obróciła się o ćwierć obrotu i zaczęła spadać w dolinę między falami bokiem ku drugiej ścianie wody.

Wyrosła nad nimi druga fala, najpierw sięgnęła gwiazd, a potem spadła na nich z siłą pociągu towarowego. Łódka została wepchnięta pod wodę. Aby nie poddać się oszalałemu nagle oceanowi, Pitt miał tylko jeden pomysł - zamknąć usta, przycisnąć się jak najmocniej do pływaka i czekać. Nie wolno było dać się splukać z pokładu. Każdy bukmacher postawiłby na to, że za burtą miało się większą szansę na zostanie ofiarą rekinów niż na utonięcie.

Łódce jakimś cudem udało się wydostać na powierzchnię, natychmiast jednak uderzyły dwie ostatnie fale. Zawirowały nią jak bąkiem, zalały skłębioną pianą. Bezradni pasażerowie zostali wepchnięci w ścianę wody i ponownie przytopieni. Po chwili wynurzyli się, ześlizgnęli po gładkim zboczku ostatniej fali, za którą ocean był płaski jak stół. Skłębione grzywacze odpłynęły i zniknęły w ciemności.

- Kolejny popis temperamentu, co? - wybełkotał Giordino plując wodą, nie puszcżając uchwytu wokół konsoly. - Co takiego zrobiliśmy, że ocean się wściekł?

Pitt puścił Maeve i podniósł ją, aż usiadła.

- Wszystko w porządku?

Kasłała przez kilka sekund, potem wzięła głęboki wdech.

- Chyba... chyba żyję. Co to było?

- Podejrzewam, że fala wywołana aktywnością sejsmiczną na dnie. Nie trzeba dużego wstrząsu, by wywołać na powierzchni krótką serię gwałtownych fal.

Maeve zsunęła z oczu mokre strąki włosów.

- Jak to dobrze, że nie wywróciły łodzi ani nikt nie wypadł za burtę.

- Co ze sterem? - spytał Giordina Pitt.

- Jeszcze wisi. Maszycik z wiosła też przeżył, ale żagiel jest w kilku miejscach przerwany.

- Jedzenie i woda również są w porządku - na ochotnika zgłosiła Maeve.

- No to przeżyliśmy falki niemal nietknięci - powiedział Giordino, jak by jeszcze nie był w stanie w to uwierzyć.

- Wątpię - stwierdził z napięciem w głosie Pitt.

Maeve rozejrzała się po łodzi.

- Nie widzę niczego, czego nie dałoby się bez trudu naprawić.

- Ani ja - dodał Giordino po sprawdzeniu stanu pływaków.

- To spójrzcie w dół.

W jasnym świetle księżycyca widać było na twarzy Pitta napięcie. Schylili głowy, spojrzeli tam, gdzie pokazywał palcem, i nagle też pojęli, że szansa na ratunek zniknęła.

Wzdłuż kadłuba, od dzioba do rufy, przez całą konstrukcję z włókna szklanego bieгло pęknięcie i już wpływała przez nie do środka woda.

37

Rudi Gunn nie lubił pocić się ani szukać szczególnych podniet. Uważał, że chcąc utrzymać młodość i odpowiednią sylwetkę należy zdać się na umysł, kilka ścisłych zasad dotyczących jedzenia i przemianę materii. Raz lub dwa razy w tygodniu, kiedy miał - tak jak dziś - odpowiedni nastrój, jeździł w przerwie obiadowej na rowerze razem z Sandeckerem, który oczywiście biegł. Codzienna dawka admirała wynosiła dziesięć kilometrów, którą przebiegał po ścieżkach parku Potomac. Nie było powodu, by ich wspólne ćwiczenia odbywały się w ciszy - podczas gdy jeden biegł, a drugi jechał na rowerze, omawiali sprawy NUMY, jakby byli w gabinecie któregoś z nich.

- Jaki jest rekord przetrwania na morzu? - spytał Sandecker poprawiając na czole opaskę przeciwpotną.

- Steve Callahan, żeglarz, przeżył siedemdziesiąt sześć dni po zatonięciu jego słupa niedaleko Wysp Kanaryjskich i jest to rekord na pontonie.

Rekord świata według Księgi Rekordów Guinnessa ma Pun Lim, chiński steward, który w czasie drugiej wojny światowej dryfował na tratwie po storpedowaniu jego statku na południowym Atlantyku. Przeżył sto trzydzieści trzy dni, nim wyłowili go brazylijscy rybacy.

- Czy któryś z nich płynął przy dziesięciu stopniach w skali Beauforta?

Gunn pokręcił głową.

- Ani Callahan, ani Pun Lim nie mieli do czynienia ze sztormami o podobnej sile co ten, który spadł na Dirka, Ala i panią Fletcher.

- Lada dzień będą dwa tygodnie, odkąd Dorsett ich wyrzucił - powiedział Sandecker między dwoma oddechami. - Jeżeli wytrzymali sztorm, muszą cierpieć z pragnienia i od słońca.

- Pitt ma nieskończone rezerwy - powiedział stanowczo Gunn. - Dodając Giordina, nie byłbym zaskoczony, gdyby okazało się, że dopłynęli do Tahiti i odpoczywają na trawce.

Sandecker zszedł na bok, by przepuścić kobietę, która biegła z naprzeciwka pchając przed sobą wózek z dziecakiem. Kiedy wrócił do biegu, mruknął;

- Dirk zawsze mawiał: „Morze niechętnie ujawnia swoje tajemnice”.

- Wiele spraw by się rozwiązało, gdyby do działań NUMY dołączyły australijskie i nowozelandzkie jednostki poszukiwawcze.

- Arthur Dorsett ma długie ręce. Dostałem tyle usprawiedliwień, że właśnie są niezwykle zajęci pilnymi innymi sprawami, że mógłbym sobie nimi wytapetować ściany - powiedział ze złością admirał.

- Nie da się zaprzeczyć, ma niezwykle wpływy. Pieniądze Dorsetta idą zarówno do kieszeni kongresmenów Stanów Zjednoczonych, jak i parlamentarzystów w Europie i Japonii. Zadziwiające, jakie nazwiska są na jego liście płac.

Twarz Sandeckera spurpurowiała, ale nie z wysiłku, tylko poczucia bezradności. Nie umiał opanować złości i oburzenia. Zatrzymał się, oparł dłonie o kolana i zapatrzył się w ziemię.

- Gdybym miał zamknąć NUMĘ za możliwość złapania Dorsetta za gardło, nie zastanawiałbym się przez sekundę.

- Jestem pewien, że wielu chętnie by to uczyniło. Muszą być tysiące nie ufających mu, nie lubiących go czy wręcz nienawidzących ludzi. A żaden nie zdradził.

- Nic dziwnego. Kogo nie usuwał aranżując nieszczęśliwe wypadki, tego kupował zapełniając mu skrytkę depozytową w Szwajcarii diamentami.

- Cóż, to przekonujące argumenty.

- Nigdy nie kupi nimi prezydenta.

- Ale prezydent może zostać zmanipulowany złą radą.

- Na pewno nie, jeżeli w grę wchodzi życie miliona ludzi.

- Jeszcze nie ma od niego wiadomości? Powiedział, że zgłosi się w ciągu czterech dni, a dziś mamy szósty.

- Zdawał sobie doskonale sprawę z konieczności pośpiechu.

Nim skończył zdanie, przerwał im dźwięk klaksonu zbliżającego się samochodu w kolorach NUMY. Kierowca stanął przy krawężniku, wychylił się przez okno i zaczął krzyczeć.

- Admirale, telefon z Białego Domu!

Sandecker odwrócił się do Gunna i słabo uśmiechnął.

- Musiał nas słyszeć.

Sandecker podszedł do samochodu i kierowca podał mu telefon z informacją:

- Sir, Wilbur Hutton na bezpiecznej linii.

- Will?

- Witam, Jim. Obawiam się, że mam dla ciebie złe wieści.

Sandecker zeszywniał.

- Słucham.

- Po dokładnym rozważeniu sprawy prezydent postanowił nie podejmować żadnych działań w związku z kataklizmem akustycznym.

- Dlaczego? Czy nie rozumie, jakie będą konsekwencje następnej konwergencji?

- Eksperci z Narodowej Rady Naukowej nie przyjęli twojej teorii. Szaleńcze przechyliły wyniki sekcji przeprowadzonych przez wybitnych patologów w australijskim Centrum Badań Chorób w Melbourne, z których jednoznacznie wynika, że zgony pasażerów i załogi statku wycieczkowego są spowodowane rzadkimi bakteriami, podobnymi do tych, które wywołują chorobę legionistów.

- To nie do wiary! - parsknął Sandecker.

- Wiem tylko tyle, ile mi powiedziano - przyznał Hutton. - Australijczycy podejrzewają, że odpowiedzialna za nieszczęście była zarażona woda w kaloryferach w kabinach.

- Nie interesuje mnie, co mówią jacyś patologowie! To szaleństwo, że prezydent zignorował ostrzeżenie! Boże, Will, błagam, proszę, rób, co chcesz, ale przekonaj go, żeby zrobił coś w celu zamknięcia kopalni Dorsetta, nim będzie za późno!

- Przykro mi, Jim, ale prezydent ma związane ręce. Żaden z doradzających mu naukowców nie

uważa, by istniały uzasadnione powody ryzykowania międzynarodowego incydentu. Tym bardziej w roku wyborów.

- To chore! - rozpaczliwie wyrzucił z siebie Sandecker. - Jeżeli moi ludzie mają rację, nie będzie mógł kandydować nawet na etat czyszciciela klozetów!

- To już twoje prywatne zdanie - zimno stwierdził Hutton. - Dodam, że Arthur Dorsett wyraził zgodę na otwarcie kopalń dla międzynarodowej komisji ekspertów.

- Kiedy może zostać zebrana?

- Takie rzeczy zajmują trochę czasu. Za dwa, może trzy tygodnie.

- Do tego czasu wyspa Oahu będzie zasłana trupami.

- Nie wiem czy to dobrze, czy źle, ale w zakresie wiary w to jesteś w mniejszości.

Sandecker mełł w ustach przekleństwo.

- Tak, dziękuję, Will. Wiem, że robiłeś, co mogłeś.

- Zawiadom mnie, jeżeli uzyskasz nowe informacje. Jestem zawsze do twojej dyspozycji, Jim.

- Dziękuję.

- Do widzenia.

Sandecker oddał telefon kierowcy i odwrócił się do Gunna.

- Jesteśmy ugotowani.

- Prezydent zignorował zagrożenie?

Sandecker pokręcił kilka razy głową.

- Dorsett kupił australijskich patologów. Napisali sfałszowany raport z którego wynika, że powodem śmierci ludzi z „Polar Queen” jest zakażona woda z kaloryferów.

- Nie możemy się poddać! Musimy znaleźć jakiś inny sposób powstrzymania na czas szaleństwa Dorsetta!

- Kiedy ma się wątpliwości - stwierdził Sandecker z nowym błyskiem w oku - należy zwrócić się do kogoś mądrzejszego. - Poprosił kierowcę o telefon i wystukał numer. - Może on coś wymyśli.

Admirał Sandecker schylił się, położył piłkę od golfa na grzybku i wyprostował się. Był w klubie golfowym „Camelback” w Arizonie, mijala druga po południu i jeszcze pięć godzin temu biegał z Rudim Gunnem w Waszyngtonie. Po wylądowaniu na lotnisku Scottsdale pożyczył od starego przyjaciela, emerytowanego oficera marynarki wojennej samochód i pojechał prosto na pole golfowe. Stycznie na pustyni bywały chłodne, włożył więc długie spodnie i kaszmirowy sweter z długimi rękawami. W klubie były dwa pola, grał na polu o nazwie „Indiański zakręt”.

Spojrzał przed siebie na trzysta sześćdziesiąt pięć metrów trawy, wziął dwa próbne zamachy i z elegancją uderzył. Piłka zgrabnym łukiem uniosła się w powietrze, zboczyła nieco w prawo, spadła na ziemię i zatrzymała się sto dziewięćdziesiąt metrów dalej.

- Ładne uderzenie, admirale - powiedział doktor Sanford Adgate Ames. - Popełniłem błąd namawiając pana na przyjacielską partyjkę. Nie podejrzewałem, że starzy marynarze mogą podchodzić poważnie do sportu ziemnego.

Ames wyglądał jak stary badacz pustyni, podkreślała to nieporządna siwa broda, zasłaniająca mu usta i sięgająca piersi. Jego oczy skrywały się za ciemnoniebieskimi okularami.

- Starzy marynarze robią dużo dziwnych rzeczy - odparł Sandecker.

Poproszenie doktora Sanforda Adgate'a Amesa o przyjazd do Waszyngtonu na konferencję na szczycie byłoby tak samo skuteczne jak poproszenie Boga o posłanie na biegun pustynnego wiatru i stopienie czapy lodowej. Ames nienawidził Nowego Jorku i Waszyngtonu z jednakową pasją

i niezmiennie odmawiał przyjazdu do obu miast. Nie było takiej nagrody ani okazji towarzyskiej, która wyrwałaby go z pustelni na górze Camelback w Arizonie.

Sandecker pilnie potrzebował porozmawiać z Amesem, zagryzł więc zęby i poprosił go o spotkanie. „Mistrz dźwięku” - tak bowiem nazywali Amesa koledzy naukowcy - wyraził zgodę, ale pod jednym warunkiem: że Sandecker przywiezie kije, dyskusja odbędzie się bowiem na polu golfowym.

Ames był niezwykle szanowanym naukowcem i nic w tym dziwnego - w sprawach dźwięku był kimś, kim niegdyś w sprawach czasu i światła Einstein. Nie owijał nigdy nic w bawełnę, był egocentryczny jak mało kto, błyskotliwy i napisał ponad trzysta prac dotyczących niemal każdego aspektu akustyki oceanograficznej. W ciągu czterdziestu pięciu lat badań zajmował się zarówno podwodnym radarem, technikami badań sonarowych, jak i rozchodzeniem się dźwięku w wodzie i jego podpowierzchniowym odbiciem. Kiedyś był zaufanym doradcą Departamentu Obrony, został jednak zmuszony do rezygnacji z powodu gwałtownej niechęci wobec badań akustycznych, mających mierzyć ocieplanie się atmosfery kuli ziemskiej. Jego ostre ataki na prowadzone przez marynarkę podwodne próbné wybuchy jądrowe były powodem tarć z Pentagonem. Przedstawiciele najlepszych uniwersytetów wycierali jego progi z nadzieją, że uda im się namówić go do objęcia katedry, ale wszystkim odmawiał, woląc prowadzić badania z czwórką studentów, których opłacał z własnej kieszeni.

- Co pan powie na dolara za dołek, admirale? Czy woli pan stawiać ostrzej?

- Jak pan chce, doktorze.

Ames podszedł do piłki, spojrział w dal, jakby celował z karabinu, i zamachnął się. Był grubo po sześćdziesiątce, ale Sandecker zauważył, że jego zamach sięga niewiele bliżej niż u znacznie młodszych i sprawniejszych graczy. Piłka pofrunęła w górę i spadła na szykanę z piasku tuż za linią dwustu metrów.

- Jak łatwo spaść z wysokiego konia - stwierdził filozoficznie Ames.

Sandeckera nie było tak łatwo zwieść, wiedział, że miał zostać oszukany. Ames miał w Waszyngtonie opinię znakomitego gracza i ci, którzy dali się wywieść w pole, potwierdzali jak jeden mąż, że gdyby nie został fizykiem, bez trudu mógłby zostać zawodowym graczem. Wsiedli w wózek golfowy i ruszyli ku piłkom. Ames kierował.

- W czym mogę pomóc, admirale?

- Czy słyszał pan o staraniach NUMY mających na celu określenie źródła i zlikwidowanie zjawiska określanego jako „kataklizm akustyczny”?

- Obiło mi się o uszy parę plotek.

- Co pan o tym sądzi?

- Dość naciągana sprawa.

- Narodowa Rada Naukowa przy prezydencie zgadza się z panem w tym zakresie.

- Nie powiem, bym miał o to do nich pretensje.

- Nie wierzy pan, że wibracje mogłyby przenosić się tysiące kilometrów wodą, wydostawać na powierzchnię i zabijać?

- Fale dźwiękowe niskiej częstotliwości i o wysokim natężeniu z czterech niezależnych źródeł, które spotykają się w jednym miejscu i zabijają w strefie konwergencji wszelkie przejawy życia? Nie jest to hipoteza, którą bym reprezentował chcąc zachować wśród kolegów dobrą opinię.

- Do cholery z hipotezami! Zginęło już ponad sto osób! Pułkownik Leigh Hunt, jeden

z najlepszych patologów w naszym kraju, jednoznacznie stwierdził, że śmierć została spowodowana falami dźwiękowymi o dużym natężeniu.

- Słyszałem co innego o wynikach sekcji w Australii.

- Stary z pana oszust, doktorze - stwierdził z uśmiechem Sandecker. - Badał pan sprawę.

- Jestem zainteresowany wszystkim, gdzie pada słowo „dźwięk”.

Dojechali do piłki Sandeckera. Admirał wziął drewniany kij numer trzy i wybita przez niego piłka znów upadła w piasek, dwadzieścia metrów przed trawą.

- Widzę, że lubi pan pełzać po piasku - bez ogródek stwierdził Ames.

- Nawet nie wie pan jak bardzo.

Stanęli przy piłce Ames. Fizyk wziął metalowy kij numer trzy. W czasie gry pracowało nie jego ciało, ale umysł. Nie robił próbnych zamachów ani innych zbędnych ruchów - podchodził do piłki i natychmiast uderzał. Teraz było tak samo. W górę wleciała fontanna piachu, piłka jedynie furknęła i wylądowała na trawie, nie dalej niż dziesięć metrów od dołka.

Sandecker potrzebował do wyjścia z piachu dwóch dodatkowych uderzeń i dwóch następnych do wbicia piłki do dołka. Po pierwszym dołku Ames miał więc trzy uderzenia przewagi. Kiedy jechali do miejsca, skąd należało rozpocząć następne uderzenie, Sandecker spróbował bardziej szczegółowo opowiedzieć o tym, co wiedziała NUMA. Następnym ośmiu dołkom towarzyszyła zażarta dyskusja, w czasie której fizyk bezlitośnie odpytywał Sandeckera i raz za razem kwestionował możliwość śmierci spowodowanej akustycznymi wibracjami.

Przy dziewiątym dołku Ames jednym uderzeniem dotarł do strefy krótko strzyżonej darni tuż wokół dołka i z rozbawieniem przyglądał się Sandeckerowi, który przeliczył się z nachyleniem terenu i przerzucił piłkę w wysoką trawę.

- Byłby z pana niezły gracz, admirale, gdyby częściej pan grywał.

- Pięć razy w roku wystarczy. Nie mam wrażenia, bym ganiając sześć godzin za plastikową piłeczką dokonywał czegoś istotnego.

- No nie wiem. Na sporo ze swych najlepszych pomysłów wpadłem w trakcie golfa.

Kiedy Sandecker w końcu wbił piłkę do dołka, wrócili do wózka. Ames wyjął z przenośnej lodówki dietetyczną colę i podał puszkę admirałowi.

- Czego tak naprawdę pan ode mnie oczekuje?

Sandecker wbił w niego wzrok.

- Mam gdzieś, co myślą sobie naukowcy w wieży z kości słoniowej.

Faktem jest, że na oceanie giną ludzie. Jeżeli nie powstrzymam Dorsetta, zginą następni i to w liczbie, o której boję się myśleć. Jest pan najlepszym specjalistą w tym zakresie w kraju i mam nadzieję, że da mi pan wskazówkę, jak nie dopuścić do jatki.

- A więc jestem ostatnią instancją apelacyjną. - Trudno było powiedzieć, by delikatna zmiana w tonie głosu Ames nadała mu śmiertelnej powagi, ale na pewno nie żartował. - Chce pan dostać ode mnie rozwiązanie swego problemu.

- Problemu nas wszystkich.

- Tak. Ma pan chyba rację. - Podniósł puszkę z colą na wysokość oczu i oglądał ją z uwagą. - Dobrze mnie pan określił, admirale. Jestem starym oszustem. Zanim wystartował pan z Waszyngtonu, przygotowałem szkic. Nie jest to nic skończonego i szansa, że zadziała, wynosi nie więcej niż pół na pół, ale nie udało mi się wymyślić nic lepszego, co nie wymagałoby kilku miesięcy badań.

Sandecker patrzył na fizyka starając się ukryć podniecenie, jego oczy świeciły odzyskaną na

nowo nadzieją.

- Opracował pan plan zniszczenia kopalń Dorsetta?

Ames pokręcił głową.

- Nie zajmuję się niczym, co ma związek z przemocą. Mówię o metodzie mogącej zneutralizować działanie konwergencji akustycznej.

- To możliwe?

- Mówiąc w uproszczeniu, fale dźwiękowe można odbijać.

- To trywialne.

- Ponieważ pańscy naukowcy wiedzą, że wszystkie cztery fale dźwiękowe mają się przeciąć przed wyspą Oahu, i umieją określić przybliżony czas zjawiska, zakładam, że są też w stanie ustalić miejsce, gdzie dojdzie do konwergencji.

- Wiemy to dość dokładnie, fakt.

- Więc ma pan rozwiązanie.

- To wszystko? - Tak nagle jak nadzieja się pojawiła, tak samo nagle zniknęła. - Chyba czegoś nie dosłyszałem.

Ames wzruszył ramionami.

- Prawo Occama, admirale. Nie należy niepotrzebnie mnożyć bytów.

- Należy wybierać najprostsze rozwiązanie.

- Dokładnie o to chodzi. Radzę panu zbudować odbijacz, który przypominałby antenę satelitarną, zanurzyć go w oceanie w miejscu, gdzie ma nastąpić konwergencja, i odbić falę wibracyjną od Honolulu.

Sandecker starał się zachować nieruchomą twarz, ale serce tak mu waliło, jakby przebiegł ze sto kilometrów. Rozwiązanie było proste jak koło. Wykonanie pomysłu okaże się z pewnością nieco bardziej skomplikowane, ale ratunek istniał!

- Jeżeli uda nam się zbudować reflektor, dokąd radzi pan skierować fale?

Na twarz Amesa wypłynął chytry uśmiech.

- Pierwszą myślą powinien być oczywiście nie zamieszkaną rejon oceanu, najlepiej niedaleko Antarktydy, ponieważ jednak energia fal maleje wraz z przebytą odległością, dlaczego nie skierować ich z powrotem do źródła?

- Na wyspę Gladiator. - Sandecker musiał się powstrzymać, by nie powiedzieć tego z nadmierną złośliwością.

Ames skinął głową.

- Takie samo dobre miejsce jak każde inne. Wibracje nie będą aż tak intensywne, by zabić człowieka, ale niech spryciarze nauczą się szacunku dla Boga i dobrze ich rozbolą łby.

38

„Koniec wycieczki” - ze zgryzotą myślał Pitt. Dotarli tak daleko, jak był w stanie dotrzeć zwykły człowiek, ale teraz miał nastąpić koniec ich dzielnych prób oraz niespełnionych losów, miłości i radości. Skończą jako pokarm dla ryb, a żalosne resztki ich ciał opadną tysiące sążni, aż osiadą na dnie oceanu. Maeve nigdy nie ujrzy synów, jego opłaczą rodzice i przyjaciele z NUMY. Jedynym wesołym akcentem będzie ludny pogrzeb Giordina - przyjdzie masa lamentujących kobiet, z których każda mogłaby zostać miss piękności.

Łódeczka niosła ich tak długo w tak ciężkich warunkach, a teraz dosłownie rozchodziła się

w szwach. Pęknięcie zwiększało się z każdym uderzeniem fali. Pływaki utrzymują całość na wodzie, ale kiedy kadłub ostatecznie pęknie, pasażerowie zostaną wyrzuceni w bezlitosną głębię i choć będą mogli trzymać się pływających na wodzie kawałków, wkrótce zostaną ofiarami rekinów. Na razie ocean był dość spokojny, fale były nie wyższe niż metr, gdyby jednak nagle zmieniła się pogoda, a powierzchnia wody wzburzyła, śmierć w krótkim czasie zajrzy im w oczy. Starucha z kosą weźmie ich w objęcia bez wahania. Pitt skulił się na rufie przy sterze i słuchał stałego od pewnego czasu skrobania i pluskania czerpaka. Obolałymi i opuchniętymi oczami lustrował horyzont i przyglądał się słońcu, które przemieniło się niedawno ze złoto-pomarańczowej porannej kuli w jaskrawożółtą południową. Obserwował z protestującą przeciwko rozsądkowi nadzieją zobaczenia na ograniczonym jedynie horyzontem bezkresie kawałka lądu, ale oczywiście było, że robi to nadaremno. Statki, samoloty ani wyspy nie biorą się znikąd. Poza kilkoma chmurkami, płynącymi jakieś dwadzieścia kilometrów na południowy wschód, było pusto jak na Marsie, a łódka ginęła na oceanie jak niewidoczna kropka.

Ryb mieli dość, by otworzyć restaurację, głód nie był problemem. Wody mieli tyle, by starczyło na sześć, może nawet siedem dni. Poważnym problemem było zmęczenie i niedospanie, spowodowane nieustanną walką o utrzymanie łódki na wodzie. Każda kolejna godzina niosła cierpienia. Nie mając miski ani butelki, byli zmuszeni wylewać wodę za burtę rękami, dopiero po jakimś czasie Pitt wpadł na pomysł zrobienia czerpaka z wodoszczelnego pokrowca, w którym przemycał pistolet i pozostałe drobiazgi. Po przymocowaniu dwóch kluczy powstało coś na kształt szufelki, którą można było naraz wylać ponad litr wody.

Na początku Maeve zażądała równego udziału, pracowali więc w czterogodzinnych zmianach. Starła się jak mogła, walczyła ze sztywnością łokci, barków i nadgarstków oraz bólem mięśni, duch był silny, ale ciało okazało się mdłe - nie posiadała naturalnej siły mężczyzny. Wkrótce jedynym wyznacznikiem długości pracy była wytrzymałość. Maeve pracowała trzy godziny, potem zastąpił ją Pitt, który wytrzymał pięć. Wachtę przejął Giordino i poddał się dopiero po ośmiu godzinach.

Pęknięcie powiększało się i woda nie wsączała się, lecz zaczęła wlewać fontanną. Ocean torował sobie drogę szybciej, niż mogli się go pozbyć. Nie mieli widoków na polepszenie sytuacji. Powoli zaczęli tracić nieugiętość.

„Cholerny Dorsett! - krzyczał w myśli Pitt. - Przeklęta Boudicca, przeklęta Deidre!” To, co z nimi zrobiono, było kompletnie pozbawione logiki, niczemu nie służyło. Ani on, ani Maeve nie byli realnym zagrożeniem realizacji fanatycznych marzeń Dorsetta o stworzeniu imperium. Sami nigdy nie byłiby w stanie go przyhamować, nie mówiąc już o powstrzymaniu. Wyrzucenie ich na ocean było aktem czystego sadyzmu.

Maeve zadrzała przez sen, coś sama do siebie zamruczała, podniosła głowę, rozejrzała się półprzytomnie i zapytała:

- Moja kolej?

- Nie wcześniej niż za pięć godzin - skłamał z uśmiechem. - Śpij dalej.

Giordino przerwał na chwilę wylewać wodę i spojrzał w jego kierunku.

Zakłuło go serce na myśl, że już niedługo Maeve będzie po kawałku rozrywana przez czyhające w głębinach mordercze maszyny. Z ponurym wyrazem twarzy wrócił do pracy, wylewając za burtę tysiące i dziesiątki tysięcy litrów wody.

Tylko Bóg wiedział, jak Giordinowi udaje się nie przestać. Całe ciało musiało go rwać z bólu. Jego żelazna siła woli przekraczała ludzkie pojęcie. Pitt był mocniejszy od większości mężczyzn, ale

obserwując przyjaciela czuł się jak dziecko podpatrujące mistrza olimpijskiego w podnoszeniu ciężarów. Kiedy kompletnie wycieńczony odkładał czerpak, Giordino natychmiast go przejmował i machał jakby nigdy nic. Było oczywiste, że Włoch nigdy się nie podda - prawdopodobnie umrze trzymając za gardło rekina młota.

Niebezpieczeństwo wyostrzało zmysły Pitta. Podejmując ostatnią próbę, zdjął żagiel, rozłożył nylon płasko na wodzie, przeciągnął płachtę pod kadłub i podwiązał ją. Przyciśnięty od spodu materiał zatkał nieco pęknięcie i zwolnił napływ wody, ale była to metoda, która mogła jedynie o kilka godzin odsunąć śmierć. Pitt szacował, że jeżeli warunki się nie zmieniają, załoga załamie się, a kadłub pęknie tuż po świcie. Popatrzył na zegarek i stwierdził, że do wschodu słońca zostało cztery i pół godziny. Złapał Giordina za nadgarstek i wyjął mu z ręki czerpak.

- Moja kolej - powiedział spokojnie. Giordino nie zaprotestował. Skinął głową i opadł plecami na pływak, zbyt zmęczony aby zasnąć.

Płachta nylonu na tyle powstrzymywała wodę, że Pittowi w walce z oceanem udało się zremisować. Wylewał wodę do południa. Poruszał się jak automat, stracił wszelkie poczucie czasu, ledwie zauważał przesuwanie się po niebie brutalnego słońca, nie mówiąc już o reagowaniu na smagające promienie. Pracował jak robot o oślepionych zmysłach, nie czując bólu w plecach i ramionach, powtarzał ruch za ruchem jak w narkotycznym zamroczeniu.

Maeve w końcu wyrwała się z letargu. Usiadła i zaczęła tępo wpatrywać w horyzont za plecami Pitta.

- Nie uważasz, że palmy są miłe? - wymamrotała cicho.

- Nawet bardzo. - Niepewnie się uśmiechnął, przekonany, że przemęczona dziewczyna ma halucynacje. - Szkoda, że nie stoimy pod nimi. Ludzie powinni ginąć od spadających orzechów kokosowych.

- Widziałam kiedyś na Fidżi - dodała Maeve potrząsając głową, by rozkleiły jej się włosy - jak orzech kokosowy przebił przednią szybę samochodu.

W oczach Pitta Maeve wyglądała jak zagubiona mała dziewczynka, wędrująca bez celu po lesie, która straciła wszelką nadzieję odnalezienia drogi do domu. Chciałby móc coś zrobić albo powiedzieć, co by ją uspokoiło, ale w ich sytuacji nie było niczego, co mógłby uczynić zwykły człowiek. Całkowita bezsilność leżała mu na duszy jak czarny całun.

- Nie uważasz, że powinieneś sterować bardziej na sterburtę? - spytała Maeve.

- Na sterburtę?

Patrzyła przed siebie jak w transie.

- No tak, chyba nie chcesz minąć wyspy.

Pitt powoli odwrócił się i spojrzał przez ramię. Po prawie szesnastu dniach ustalania pozycji według słońca i bycia oślepianym przez blask na wodzie, miał tak osłabiony wzrok, że był w stanie patrzeć w dal nie więcej niż przez kilka sekund. Spróbował popatrzeć na horyzont przed burtą, ale zobaczył jedynie zielononiebieskie fale. Odwrócił się ku Maeve.

- Nie jesteśmy w stanie kierować łódki tam, gdzie chcemy - wyjaśnił. - Zdjąłem żagiel i podłożyłem go pod dno, by osłabić wlewanie się wody.

- Proszę cię, jest tak blisko. Nie możemy dobić do brzegu i przejść się choć przez kilka minut po twardym gruncie?

Powiedziała to tak spokojnie i rozsądnie, że Pitt poczuł mrowienie w kręgosłupie. Czyżby naprawdę coś widziała? Rozsądek mówił, że umysł Maeve szwankuje, ale stale żarząca się głębi

iskierka nadziei i rozpacz kazały mu podnieść się do klęku i zaprzec w pływak. W tym momencie łódka wspięła się na grzbiet fali i ujrzał przez kilka sekund horyzont.

Nad wodą nie było palmowych pióropuszy.

Objął Maeve ramieniem. Pamiętał ją niedawną - odporną i pełną werwy. Teraz zmaląła i zrobiła się krucha, ale jej oczy pałały żarem, którego nie było tam jeszcze przed chwilą. Zauważył, że nie patrzy w dal, ale w górę. Dopiero wtedy zauważył ptaka unoszącego się swobodnie na bryzie. Oslonił dłońmi oczy i popatrzył na skrzydlatego przybysza. Jego skrzydła rozpościerały się na szerokość metra, ubarwiony był na zielono z plamkami brązu. Górna część dzioba w połowie ostro zginała się w dół i przechodziła w ostry szpic. Dla Pitta ptak był brzydkim kuzynem kolorowych papug.

- Też go widzisz, prawda? - zapytała podniecona Maeve. - Nestor kea, taki sam doprowadził moich przodków do wyspy Gladiator. Marynarze, którzy rozbijali się dawniej na południowych wodach, przysięgali, że te ptaki wskazują drogę do bezpiecznych portów.

Teraz i Giordino popatrzył w górę, potraktował jednak papugę bardziej jak posiłek niż wysłannika niebios, mającego zawieść ich na suchy ląd.

- Poproś Polly, żeby poleciała nam jakąś dobrą restaurację - mruknął ledwo żywy. - Najlepiej taką, gdzie nie podaje się ryb.

Pitt nie zareagował na specyficzny dowcip Giordina. Przyglądał się ruchom ptaka. Papuga unosiła się, jakby szybowiała dla odpoczynku, i nie krążyła nerwowo nad łódką. Po chwili, może złapawszy drugi oddech, poleciała na południowy wschód. Pitt natychmiast wziął do ręki kompas, by określić wybrany przez ptaka kurs, i patrzył za pierzastym gościem, aż zniknął w oddali.

Papugi nie są ptakami morskimi jak mewy czy petrele, które mogą pokonywać dalekie dystanse nad otwartym oceanem. Oczywiście istniała możliwość, że ten się zagubił, ale było to mało prawdopodobne - nie próbował wylądować na jedynym stałym obiekcie w okolicy. Oznaczało to, że nie jest zmęczony lotem ku dalekiemu, nieokreślonymu celowi. Ptak dokładnie wiedział, gdzie się znajduje i dokąd leci, i frunął według planu. Możliwe - tylko możliwe - że był w połowie drogi między dwoma wyspami. Pitt był pewien, że z wysokości, na jakiej unosiła się papuga, widać było coś, czego nie widzieli z tonącej łódeczki.

Z trudem dowlókl się do konsoly na środku i stanął, obejmując ją obydwojma rękami, by nie wylecieć za burtę. Znow wbił zmęczony wzrok w horyzont na południowym wschodzie.

Aż nazbyt często widywał w ostatnich dniach sunące po horyzoncie chmury, które sprawiały wrażenie wznoszącego się nad wodę lądu. Miał już dość oglądania białych, zasłaniających styk wody z niebem kłębow, dających fałszywą nadzieję nierównych kształtów i szarych kolorów, które błyskawicznie się zmieniały i - pchane wiatrem - odpływały na zachód. Tym razem było inaczej. Chmury poruszały się, ale jedna chyba stała w miejscu.

Wznosiła się nad wodę nieśmiało i nie sprawiała wrażenia stałej materii. Nie było na niej roślinności, ponieważ nie była to wyspa. Chmura była jednak oparem gorącego powietrza, unoszącym się znad spalonego słońcem piasku, kondensującym się w chłodniejszym wyżej powietrzu.

Choć widział, że wyspa znajduje się góra pięć godzin od nich, Pitt zdusił w sobie radosne podniecenie. Nawet gdyby ponownie postawili żagiel, można się było jedynie modlić o dopłynięcie do wyspy, natychmiast bowiem zaczęłaby się wlewać do łodzi woda. Nadzieje Pitta urosły jednak, kiedy stwierdził, że nie mają przed sobą potężnego szczytu wulkanicznej góry, która wyniosła się nad wodę po milionach lat aktywności, by zarosnąć soczystą zielenią, ale niewielką płaską skałę

z kilkoma chimerycznymi drzewkami, którym udało się jakoś przeżyć tak daleko na południe. Ponieważ wysepka była znacznie mniejsza, niż początkowo zakładał, oznaczało to, że jest znacznie bliżej. Widział drzewka, które musiały rosnąć w niewielkich powierzchniach piasku, wypełniającego zagłębienia skały. Wyspa była nie dalej niż osiem kilometrów od nich, czubki drzew wyglądały jak unoszący się nad horyzontem zniszczony, poszarpany dywan.

Pitt zrobił namiar na wyspę i stwierdził, że kurs pokrywa się dokładnie z kursem ptaka, który przed chwilą ich odwiedził. Następnie sprawdził kierunek wiatru i dryfu i ustalił, że prąd poniesie ich wokół północnego krańca skały. Będą musieli popłynąć kursem na południowy wschód i spróbować halsować na sterburtę. Dokładnie tak jak przepowiedziała Maeve.

- Dziewczyna dostaje pierwszą nagrodę - oświadczył Pitt. - Mamy przed sobą ląd.

Maeve i Giordino wstali z wysiłkiem, chwycili Pitta i zapatrzyli się w odległy ratunek.

- To nie omamy - z szerokim uśmiechem powiedział Giordino.

- Powiedziałam, że kea zaprowadzi nas do bezpiecznego portu - szepnęła Maeve Pittowi w ucho, ten jednak nie mógł sobie pozwolić na dumę.

- Jeszcze nie dopłynęliśmy. Jeżeli zamierzamy tam dotrzeć, musimy postawić żagiel i zacząć wylewać wodę jak szaleni.

Giordino trzeźwo oszacował dzielącą ich od wyspy odległość i od razu ochłodziło to jego entuzjazm.

- Czarno to widzę - przepowiedział. - Rozlecimy się w połowie drogi.

39

Żagiel został podniesiony, każdy kawałek liny, który dało się wygospodarować, został wykorzystany do powiązania kadłuba. Maeve usiadła przy sterze, Giordino jak szalony wylewał wodę czerpakiem, a Pitt pomagał mu gołymi rękami. Przełamana łódka skierowała dziób prosto na niedużą, niską, oddaloną o kilka kilometrów wysepkę. Już z daleka widać było, że Pitt prawidłowo obrał kurs.

Otępiające zmęczenie i wszechogarniające wycieńczenie opadły z Pitta i Giordina jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Znajdowali się w stanie, gdzie definicje stresu i cierpienia traciły zwykłe fizjologiczne znaczenie. Nie liczyło się, że ich organizmy odcierpią potem katusze, ku wyspie niosła ich czysta determinacja i odmowa pogodzenia się z porażką. Uświadamiali sobie rozrywający ramiona i plecy ból, ale mózg nie akceptował czegoś tak abstrakcyjnego. Zachowywali się, jakby torturowani byli nie oni, lecz ktoś inny.

Wiatr wypełnił żagiel i pchnął łupinę ku samotnemu skalnemu wyrostkowi, ale bezduszny ocean nie zamierzał wypuścić ich z uścisku. Przeszkadzał im prąd, który rozwidlał się i zataczał krąg wokół wyspy z dala od brzegu, grożąc wyrzuceniem ich z powrotem na nieskończoną nicość Pacyfiku.

- Żeby tylko nas nie zniosło - ze strachem powiedziała Maeve.

Energicznie wylewając wodę, Pitt nie odwracał wzroku od zbliżającej się wyspy. Choć na początku widzieli jedną wyspę, po dopłynięciu bliżej okazało się, że są dwie. Dwie skały rozdzielał przesmyk szerokości mniej więcej stu metrów. Pittowi zdawało się, że widzi poruszający wodę między wysepkami prąd pływowy. Kiedy w żagiel uderzył mocniejszy wiatr, łódź została pchnięta nieco ostrzej w poprzek nieprzyjaznego prądu. Był to ewidentny plus. Kolejnym optymistycznym elementem było to, że w tak zimnych wodach jak tutaj nie miały szans zagnieździć się korale, nie będzie więc rafy, o którą rozbiliby się w przybrzeżnej kipieli.

Walczyli z wlewającą się wodą i z każdym metrem, który zbliżał ich do wyspy, coraz głośniejszy słychać było tępe grzmienie. Bez trudu poznali jedyny w swym rodzaju dźwięk - fal walących o klif. Fale nasilały się i ściągały łódkę coraz bliżej skał. Optymistyczne oczekiwanie, że zaraz postawią nogę na suchej plaży, zmieniło się w lęk przed zmiążdżeniem o klif.

Zamiast bezpiecznego portu Pitt widział przed dziobem parę odpychających, wyrastających prosto z wody skał, smaganych przez masywne grzywacze. Nie było znanego z mórz tropikalnych atolu z zapraszającą białą plażą, machających przyjaźnie tubylców, soczystej zieleni i innych niebiańskich rozkoszy znanych z opowieści o Bali. Nie było człowieka, dymu, śladu ludzkiej ręki, za to widzieli puste, smagane wiatrem wypustki lawy, porośnięte jedynie w kilku miejscach kępami zielska bez kwiatów i dziwacznych drzewami, które rosły wbrew rozsądkowi, Pitt nie był w stanie uwierzyć, że po raz trzeci w krótkim czasie będzie walczył z nieustępliwymi skałami i falami. Przypomniawszy sobie jak na filmie uratowanie „Polar Queen” przed rozbiciem i ucieczką z wyspy Kungit z Masonem Broadmoorem. Wtedy miał do pomocy siłę mechaniczną, teraz walczył mając do dyspozycji tonącą skorupkę i żagiel wielkości obrusa. Przypomniawszy sobie, że czytał gdzieś, iż podstawowym zadaniem dobrego żeglarza przy pływaniu po trudnym morzu jest zabezpieczenie stabilności łodzi. Dobry żeglarz nie powinien pozwolić jednostce nabierać wody, gdyż ma to zły wpływ na jej pławność. Żałował, że ten, kto to napisał, nie siedzi teraz obok niego.

- Dopóki nie zobaczysz kawałka plaży, na której można by wylądować, steruj na przesmyk między wyspami! - zawołał do Maeve.

Śliczna twarz dziewczyny, pocięta zmarszczkami i spieczona słońcem, była poważna i napięta. Maeve bez słowa potaknęła, mocniej chwyciła ster i zebrała resztkę sił, by jak najlepiej wykonać zadanie.

Poszarpane ściany, wznoszące się nad łoskoczącą kipiela, z każdą minutą były coraz groźniejsze. Woda wpływała do łodzi z alarmującą prędkością. Giordino nie zwracał uwagi na wznoszący się niedaleko klif i koncentrował się na utrzymaniu łódki na powierzchni. Przerwanie czerpania wody miałyby katastrofalne skutki. Dziesięć sekund nieprzerwanego wlewania się wody i zatoniłoby pięćset metrów od brzegu. Nie mieliby wtedy szansy - gdyby nie dostały ich rekiny, ich los przypieczętowałyby skały i przybój. Czerpał więc nieustannie dalej, składając swój los w ręce Pitta i Maeve.

Kiedy wynosiło ich na grzbiet fali i bieg łodzi się spowalniał, Pitt obserwował kadencję fal i kalkulował łamanie się grzywaczy przed i za nimi, by dopasować optymalnie prędkość. Okres fali skrócił się do dziewięciu sekund i poruszały się z liniową prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Biły w skałę skosem, co powodowało ostre odbicie i kontrfalę. Pitt nie potrzebował wiedzy starego kapitana kliprów, by wiedzieć, że przy tak ograniczonej powierzchni żagla mieli niewielkie szansę trafić w przesmyk między wyspami. Gdyby to się jednak udało, czekało ich przebicie się przez kipiela powstałą w efekcie spotkania się u wejścia do przesmyku odbitych od bliskich brzegów kontrfal.

Poczuł siłę następnej fali, która przepłynęła pod dnem, zdawało mu się, że umie już oceniać ich wielkość po drzeniach kadłuba. Nieszczęsna łódeczka przeżywała katusze, do jakich w najmniejszym stopniu nie była przygotowana. Pitt, wbrew zaleceniom pływania po wzburzonym morzu, nie miał odwagi wyrzucić kotwicy, uważał bowiem, że wtedy nie tylko stracą impet, który mógłby przepchnąć ich przez przybój, ale łódź zostanie rozerwana. Odwrócił się do Maeve.

- Spróbuj płynąć tam, gdzie woda jest najciemniejsza!

- Robię, co mogę - odparła dzielnie.

Ryk rozbijających się grzywaczy był nieprzerwany, wręcz monotony i wkrótce nie tylko słyszeli, ale widzieli strzelające wysoko w niebo rozbryzgi. Byli praktycznie pozbawieni kontroli nad łódką, morze pchało ich tam, dokąd zechciało. Przybój był coraz potężniejszy i nie wiadomo było do końca, czy przesmyk pomiędzy skałami nie jest pułapką, oszukańczym tworem złośliwych syren, mamiących do wejścia w zacisze, które okaże się zagładą. Było już jednak za późno, by się wycofać. Nie mieli powrotu i musieli przejść przez to, co szykował im los.

Wyspy i spieniony kocioł przy ich brzegach skryły się za przewalającymi się jedna za drugą falami. Powiał świeży wiatr i pchnął ich w szczelinę, która pozostała jedyną nadzieją. Morze było bardzo niespokojne - tak samo Pitt, który oceniał wysokość fal przy wejściu do przesmyku na dziesięć metrów. Maeve walczyła ze sterem, by nie zeszli z kursu, ale łódź przestała reagować. Byli w samym środku kipieli.

- Trzymajcie się! - wrzasnął Pitt.

Rzucił okiem za rufę, by zorientować się w pozycji. Wiedział, że fale są najszybsze tuż zanim się załamią. Grzbiety grzywaczy nadchodziły jeden za drugim jak konwój ciężarówek. Łódź spadła w dolinę między falami, na szczęście ta, która właśnie ich minęła, załamała się nieoczekiwanie i dzięki temu znaleźli się na grzbiecie następnej, która pchnęła ich z ogromną siłą do przodu. Wiatr zerwał z grzywacza pianę i rozwiął ją we wszystkie kierunki. Łódka zsunęła się z grzbietu fali niejako cofając się, zaraz jednak trafiła ją następna, przynajmniej ośmiometrowa, która złamała się nad ich głowami i zwała na pokład. Ponieważ siła spadła prostopadle do płaszczyzny łódki i była równomiernie rozłożona, nie zmienili kursu, nie zanurzyli się pod wodę ani nie przewrócili, za to znaleźli się niczym pod prasą, mieli wrażenie, że są ściągani pod wodę niczym uwięzieni w oszalącej windzie. Wydawało im się, że są pod wodą kilka minut, ale nie mogło to trwać więcej niż kilka sekund. Pitt nawet na ułamek sekundy nie zamknął oczu - choć zza zasłony wody Maeve wydawała się rozmazana i surrealistyczna, jej otoczona unoszącymi się włosami twarz była niezwykle pogodna. Kiedy wyszli na powierzchnię, w słońcu jej twarz stała się nagle odległa. Przetoczyły się przez nich jeszcze trzy lub cztery niszczycielskie bałwany i znaleźli się w spokojniejszej strefie. Pitt wypluwając wodę, której się opił, gwałtownie się rozejrzał; z jego czarnych poskręcanych włosów prysnęły na wszystkie strony chmury kropel.

- Najgorsze za nami! - wrzasnął ucieszony. - Trafiliśmy w przesmyk!

U wejścia do przesmyku fale miały nie więcej niż dwa metry. Jakimś cudem łódka pozostała jeszcze w jednym kawałku. Największym uszkodzeniem było zerwanie masztu i żagla, które jednak unosiły się niedaleko na wodzie, przywiązane do pływaka liną. Kadłub był całkowicie pęknięty, połówki trzymały się jedynie na pospiesznie powiązanych między pływakami linach. Giordino przestał wylewać wodę dopiero, kiedy sięgnęła mu pach. Łapał ciężko powietrze. Był nieobecny duchem, całkowicie otumaniony z wysiłku.

- Co teraz? - wymamrotał.

Pitt zanim odpowiedział, zanurzył twarz w wodzie i popatrzył na dno kanałku. Widoczność była znakomita i choć z braku maski miał nieco zamazany obraz, widział nie więcej niż dziesięć metrów w dole skałę i piasek. Wokół pływały chmury jaskrawokolorowych rybek, nie zwracały jednak uwagi na unoszący się na powierzchni dziwaczny twór.

- Nie ma rekinów - oznajmił z zadowoleniem.

- Rzadko przepływają przez przybój - powiedziała Maeve gwałtownie kaszłąc. W pozycji

póллеżącej obejmowała czule jeden z pływaków.

Prąd w przesmyku znośił ich ku północnej wysepce. Trzydzieści metrów dzieliło ich od stałego gruntu. Pitt popatrzył na Maeve i powiedział:

- Założę się, że świetnie pływasz.

- Mówisz z kangurem - odparła spokojnie. - Przypomnij mi kiedyś, żebyś pokazała ci medale.

- Al jest załatwiony. Dociągniesz go do brzegu?

- To drobiazg, który z chęcią zrobię dla tego, kto uratował nas przed rekinia paszczą.

Pitt wskazał na najbliższy punkt brzegu. Nie było tam piasku, ale skała schodziła płasko do wody.

- Wygląda na to, że tamtędy będzie można wygodnie wyjść.

- A ty? - Obydwoma rękami odsunęła do tyłu włosy i wycisnęła z nich wodę. - Chcesz, żebyś wróciła po ciebie?

Pokręcił głową.

- Nie. Sobie wyznaczyłem honorowe zadanie.

- Jakie?

- Club Med jeszcze nie wybudował tu hotelu i przydadzą nam się zapasy, które zebraliśmy. Chcę przywlec na brzeg to, co zostało z łódki.

Pomógł jej zepchnąć Giordina do wody, gdzie natychmiast złapała go pod brodą chwytem ratowniczym i popłynęła silnymi ruchami do brzegu. Pitt patrzył za nimi - Giordino szeroko się uśmiechnął i pomachał ręką w pożegnalnym geście. „Cóż za kawał łobuza” - pomyślał Pitt. Włoch tylko udawał wykończonego, by przejechać się na cudzy koszt. Pitt porozplątywał kawałki liny i powiązał je na nowo, by mieć jak najdłuższy kawałek. Jeden koniec przywiązał do ledwie wystającej spod wody łódki, drugim obwiązał się w pasie i ruszył do brzegu. Opór wraka był tak duży, że Dirk nie był w stanie ciągnąć go za sobą - podpływał więc trzy metry, podciągał łódkę i znów podpływał. Trochę pomagał mu prąd, ale zadanie było niewdzięczne. Po dwudziestu metrach poczuł pod nogami grunt i długo nie potrało, jak z wrakiem znalazł się na brzegu. Był niezmiernie wdzięczny, że Maeve i Giordino weszli po kolana do wody i mu pomogli.

- Szybko się zregenerowałeś - mruknął do Giordina.

- Moja zdolność w tym zakresie zaskakuje lekarzy na całym świecie.

- Wydaje mi się, że zrobił mnie w konia - powiedziała Maeve udając złość.

- Na odrodzenie ducha nie ma nic lepszego od dotyku Matki Ziemi.

Pitt usiadł. Był zbyt zmęczony, aby tańczyć z radości, że udało im się wydostać z wody. Zanim wstał, ukląkł i przez chwilę musiał przytrzymać się ziemi, by nie upaść. Bujanie się przez ponad dwa tygodnie na wodzie zakłóciło mu zmysł równowagi. Świat wirował i wyspa kołysała się, jakby płynęła na falach. Maeve nie była w stanie ustać i natychmiast usiadła, Giordino zaś wbił niemal stopy w skałę i objął obydwoma rękami drzewo z grubymi liśćmi. Po kilku minutach Pitt stanął i zrobił na drżących nogach kilka niepewnych kroków. Ponieważ nie chodził, odkąd złapano ich w Wellington, mięśnie i stawy nóg miał odrętwiałe i sztywne. Dopiero po przekuśtykaniu w tę i z powrotem dwudziestu metrów wróciła prawidłowa koordynacja. Wciągnęli łódkę dalej na brzeg i odpoczęli kilka godzin, potem zjedli trochę suszonej ryby popijając posiłek deszczówką, którą znaleźli w skalnych zagłębieniach. Kiedy odzyskali energię, zaczęli badać wyspę. Było na niej naprawdę niewiele. Zarówno wyspa, na której byli, jak i jej sąsiadka po drugiej stronie przesmyku wyglądały na czubki wulkanicznych masywów, które wznosiły się z dna oceanu, rosły przez niezliczone tysiąclecia, aż wychynęły nad wodę, a potem zostały zerodowane do postaci dzisiejszych

niskich wysepek. Gdyby woda była idealnie przezroczysta i było widać dno oceanu, wysepki przypominałyby może potężne iglice z Doliny Monument w Arizonie.

Giordino zmierzył krokami odległość od brzegu do brzegu i oznajmił, że ich raj ma sto trzydzieści metrów szerokości. Najwyższym punktem wyspy był spłaszczony wierzchołek wystający nie więcej niż dziesięć metrów nad wodę i patrząc z góry widać było, że ma ona kształt wygiętej w łuk łzy, długa oś rozciąga się na linii północ-południe, a wybrzuszenie jest od zachodu. Całość mogła mieć w najdłuższym miejscu maksymalnie kilometr. Otoczona naturalnymi wałami skalnymi wyspa sprawiała wrażenie odpierającej nieustanne ataki fortecy.

Nie opodal w wybitym przez morze w skale zagłębieniu odkryli resztki roztrzaskanej łodzi. Musiały ją tam wrzucić sztormowe fale. Była to kiedyś porządnej wielkości żaglówka, uderzenie o skały oderwało jednak kil i pół kadłuba. Pitt uznał, że musiał to być piękny jacht. Wszystko na pokładzie było kiedyś pomalowane na błękitno, spody - na pomarańczowo. Choć brakowało masztów, nadbudówka wyglądała na nietkniętą. Cała trójka ostrożnie się zbliżyła i nim zajrzała do środka - obejrzała jacht dokładnie z zewnątrz.

- Znakomity morski jacht - stwierdził Pitt. - Dwanaście metrów, porządnie zbudowany, teko wykadłub.

- Kecz bermudzki - dodała Maeve przeciągając dłonią po wyblakłym od słońca pokładzie. - Kolega ze studiów miał coś podobnego. Pływaliśmy nim po przybrzeżnych wysepkach i żeglowało się znakomicie.

Giordino popatrzył na odpadającą farbę i uszczelnienia pomiędzy klepkami.

- Sądząc po stanie, jest tu dwadzieścia, może trzydzieści lat.

- Mam nadzieję, że ktokolwiek został wyrzucony na to opuszczone przez Boga miejsce, został uratowany - cicho powiedziała Maeve.

Pitt zakreślił dłonią krąg.

- Żaden zdrowy na umyśle marynarz nie zboczyłby z drogi na te wyspy.

Maeve pstryknęła palcami. Coś jej się przypomniało.

- Te wyspy nazywają się Cyce.

Pitt i Giordino popatrzyli na siebie, jakby nie mogli uwierzyć, czy się nie przesłyszeli.

- Powiedziałaś „Cyce”? - zapytał Giordino.

- Jest stara australijska legenda o dwóch wyspach, które wyglądają jak kobiece piersi. Mówi też, że znikają i pojawiają się jak Latający Holender.

- Nie chcę kwestionować australijskich mitów, ale te skały są w tym miejscu przynajmniej milion lat - stwierdził stanowczo Pitt.

- A w dodatku kształtem nie przypominają piersi, jakie spotykałem w życiu - dodał Giordino.

Popatrzyła na obu nadąsana.

- Powtarzam tylko to, co słyszałam o legendarnych wyspach na Morzu Tasmana.

Zaproszony gestem przez Giordina Pitt wspiał się na przewrócony na bok kadłub i wślizgnął się do kabiny.

- Jest pusty! - zawołał po chwili ze środka. - Zabrano wszystko, co nie zostało zamocowane na stałe. Sprawdźcie rufę, czy jest jakaś nazwa.

Maeve obesła jacht i popatrzyła na słabo czytelne wyblakłe litery.

- „Dancing Dorothy”. Nazywał się „Dancing Dorothy”.

Pitt wyszedł z kokpitu.

- Zarządzam poszukiwania wyniesionych z jachtu przedmiotów. Załoga mogła zostawić coś, co nam się przyda.

Zbadanie brzegu zajęło niewiele więcej ponad pół godziny, potem zaczęli sprawdzać wnętrze wyspy. Rozdzielili się i poruszali niezależnie, by przeszukać jak największy obszar. Maeve jako pierwsza zauważyła siekierę, wbita w groteskowo powykrzywiane drzewo. Giordino wyciągnął siekierę i uniósł ją wysoko w górę.

- To na pewno się przyda.

- Dziwne drzewo - powiedział Pitt lustrując pień. - Ciekawe jak się nazywa.

- Mirt tasmański - odpowiedziała natychmiast Maeve. - Właściwie to odmiana buku. Osiąga wysokość do sześćdziesięciu metrów, ale tutaj ma za mało ziemi, aby rozwinąć odpowiednie korzenie. Dlatego wszystkie tutejsze drzewa wyglądają jak skarłale.

Szukali dalej. Kilka minut później Pitt natknął się na zawietrznej stronie wyspy na płytki jar, który kończył się płaskim występem skalnym. Po chwili wypatrzył oparty o skałę mosiężny harpun. Kilka metrów dalej natrafili na chatę z pni, obok której stał maszt. Domek miał trzy na cztery metry. Dach z przetykanych gałęziami belek był nie tknięty przez żywioły - nieznanymi budowniczy solidnie go skonstruował.

Na zewnątrz leżały różne dobra: akumulator i skorodowane resztki radiotelefonu, radionamiernik, odbiornik komunikatów pogodowych i sygnałów czasu, sterta zardzewiałych puszek po jedzeniu, sprawny bączek z motorkiem zaburtowym, wyposażony w różnorodny sprzęt nawigacyjny, talerze i sztuce, kilka garnków i patelni, kuchenka gazowa i wiele innych rzeczy z rozbitego jachtu. Wokół piecyka leżały porozrzucone rybie ości.

- Poprzedni turyści pozostawili po sobie spory bałagan - stwierdził Giordino klękając, aby sprawdzić benzynowy generator do ładowania akumulatora, który dostarczał prąd rozrzuconym wokół przyrządom nawigacyjnym i nadajnikowi.

- Może są w chacie - mruknęła Maeve.

Pitt uśmiechnął się.

- Wejdiesz i sprawdzisz?

Pokręciła głową.

- Ja na pewno nie. Wchodzenie do ciemnych strasznych miejsc to męska robota.

Pitt pomyślał, że kobiety to naprawdę dziwne istoty. Po niebezpieczeństwach, jakie zniosła przez minione tygodnie, bała się wejść do chaty. Schylił się i wszedł do środka.

40

Po kilkunastu dniach przebywania w jaskrawym słońcu potrzebował kilku minut, by oczy zaadaptowały się do ciemności. Poza promieniami słońca, które wpadały przez futrynę bez drzwi, chata była oświetlana światłem wpadającym przez szpary w liściach. Powietrze było ciężkie i duszne od zapachu brudu i gnijącego drewna. W cieniach nie kryły się duchy ani upiory, Pitt wkrótce jednak stwierdził, że patrzy w puste oczodoły leżącego przed nim kościotrupa.

Szkielet leżał na plecach na przyniesionej z jachtu koi. Po resztkach gęstych brwi Pitt stwierdził, że szkielet był kiedyś mężczyzną. Zmarły przed śmiercią stracił prawie wszystkie zęby - w gołej szczęce były tylko trzy. Najwyraźniej nie zostały mu wybite, wypadły same. Dolna część ciała tkwiła w zwietrzałych szortach, stopy - w marynarskich butach na gumowej podeszwie. Kości były całkowicie pozbawione ciała - usunęły go mieszkające w ciemnej wilgoci żyjątka. Jedynymi

pozostałościami, dzięki którym można by ewentualnie zidentyfikować mężczyznę, była leżąca obok czaszki szopa rudych włosów. Skrzyżowane na klatce piersiowej ręce ścisnęły oprawną w skórę książkę logową.

Wystarczyło rozejrzeć się po chacie, by stwierdzić, że lokator prowadził porządne gospodarstwo, wykorzystując wyposażenie swego wyrzuconego na ląd jachtu. Żagle „Dancing Dorothy” pokrywały sufit, by do środka nie wpadał deszcz ani wiatr. Na stole leżały wydane przez Admiralicję Brytyjską mapy, księgi pilotażu, tabele pływów, spis nawigacyjnych znaków świetlnych i radiowych oraz almanach morski. Obok stał regał z instrukcjami obchodzenia się z elektronicznym i mechanicznym osprzętem jachtu. Elegancko wykończona mahoniowa skrzyneczka skrywała chronometr, a na stoliku przy koi stał sekstant. Obok stolika zamocowano dwa kompasy - ręczny i stacjonarny, wymontowany z jachtu. O mały składany stolik do jedzenia stało oparte koło sterownicze, do szprychy którego były przywiązane okulary. Pitt nachylił się nad szkieletem, delikatnie wyjął książkę logową i wyszedł na zewnątrz.

- Co znalazłeś? - spytała Maeve.

- Niech zgadnę - powiedział Giordino. - Kufer pełen pirackich skarbów.

Pitt pokręcił głową.

- Nic z tych rzeczy. Znalazłem kapitana „Dancing Dorothy”. Nie został uratowany.

- Nie żyje? - zapytała Maeve.

- Zmarł, zanim się urodziłaś.

Giordino podszedł do wejścia i zajrzał do środka.

- Ciekawe dlaczego zboczył tak daleko od szlaków?

Pitt podniósł książkę logową i otworzył ją.

- Odpowiedzi powinny być tutaj.

Maeve wbiła wzrok w książkę.

- Będiesz w stanie cokolwiek przeczytać?

- Jest w dobrym stanie, a pismo wyraźne. - Usiadł na skale i przejrzał kilka stron. - Nazywał się

Rodney York i był jednym z dwunastu uczestników sponsorowanych przez londyńską gazetę regat samotników dookoła świata, które zaczęły się w angielskim Portsmouth. Pierwsza nagroda wynosiła dwadzieścia tysięcy funtów. York wypłynął z Portsmouth dwudziestego czwartego kwietnia 1962 roku.

- Biedak zaginął na czterdzieści lat.

- Siedemdziesiątego dziewiątego dnia na morzu spał, kiedy „Dancing Dorothy” wpadła na wyspy, które nazywa... - Pitt zawiesił głos, popatrzył na Maeve i uśmiechnął się - ...Nieszczęściami.

- Pewnie nie był znawcą australijskiego folkloru - stwierdził Giordino.

- Na pewno sam sobie wymyślił tą nazwę - stanowczo powiedziała Maeve.

- Po opłynięciu Przylądka Dobrej Nadziei nieźle mu szło na Oceanie Indyjskim. Postanowił płynąć w rejon Ryczących Czterdziestek, by najkrótszą drogą dotrzeć Pacyfikiem do Ameryki Południowej i Cieśniny Magellana.

Uważał, że w momencie kiedy popsuł mu się generator i stracił kontakt ze światem, prowadził w regatach.

- Wyjaśnia to kilka spraw - stwierdził Giordino zaglądając Pittowi przez ramię. - Na przykład to, dlaczego płynął tędy i nie mógł wezwać pomocy.

Sprawdziłem generator. Napędzający go dwutakt jest w kiepskim stanie, York wyraźnie

próbował go naprawić, lecz mu się nie udało. Też spróbuję, ale wątpię, bym coś osiągnął.

Pitt wzruszył ramionami.

- To tyle jeżeliby chodziło o wykorzystanie jego radia.

- O czym pisał po zostaniu rozbitkiem? - chciała wiedzieć Maeve.

- Robinsonem Cruzoem nie był. Większość jedzenia stracił, kiedy jacht zderzył się ze skałą i przewrócił. Gdy sztorm wyrzucił resztę wraku na ląd, zebrał trochę konserw, ale szybko się skończyły. Próbował łowić ryby, lecz to, co złapał, ledwie starczyło, by nie umrzeć z głodu. Niewiele pomogły kraby, które znajdował na skałach, i kilka ptaków, które udało mu się złapać.

W końcu organizm zaczął odmawiać posłuszeństwa. Zdołał przetrwać na tym pryszczu sto trzydzieści sześć dni. Ostatni zapis brzmi:

„Nie mogę stać ani się poruszać. Jestem za słaby, by cokolwiek zrobić poza położeniem się i czekaniem na śmierć. Jak bardzo tęsknię za widokiem wschodu słońca nad zatoką Falmouth w Kornwalii. Niestety nie jest mi pisane więcej go ujrzeć.

Jeżeli ktoś znajdzie tę księgę i listy, które napisałem do żony i trzech córek, niech je im przekaże. Proszę je o wybaczenie za cierpienia, które musiały z mojego powodu znosić. To, że przegrałem, nie wynikało z mojej winy, lecz nieszczęśliwego losu. Nie mam siły pisać dalej. Szkoda, że musiałem poddać się tak wcześnie”.

- Tak się martwił, że zostanie szybko odnaleziony - stwierdził Giordino.

- Trudno uwierzyć, że leży tu tyle lat i nie znalazł go ktoś ciekawski ani ekipa badawcza, która przyplęnęła poustawiać na wyspie przyrządy.

- Ryzyko związane z przybiciem do tej wyspy skutecznie redukuje ciekawość, naukową czy prywatną.

Maeve otwarcie płakała. Policzki miała całe mokre.

- Żona i dzieci tyle czasu nie wiedziały, jak zginął.

- Ostatnim kontaktem z lądem, jaki miał, był widok światła latarni morskiej na południowo-wschodnim przylądku Tasmanii. - Pitt wrócił na chwilę do chaty i wyszedł z mapą morską południowej części Morza Tasmanskiego.

Położył ją płasko na skale i przez kilkanaście sekund uważnie studiował.

- Rozumiem, dlaczego określił te skały Nieszczęściami. Tak są nazwane na mapie admiralicji.

- O ile pomyliłeś się w swoich szacunkach co do pozycji? - spytał Giordino.

Pitt wziął wyjęty z szuflady w chacie cyrkiel i porównał rzeczywistą pozycję z oszacowaną za pomocą składanego krzyża.

- Wyznaczyłem naszą pozycję sto dwadzieścia mil za daleko na południowy zachód.

- Nieźle, biorąc pod uwagę, że niedokładnie znałeś miejsce, gdzie wyrzucił nas Dorsett.

- No tak. Nie muszę umierać ze wstydu.

- Gdzie dokładnie jesteśmy? - spytała Maeve, wsparta na kolanach i dłoniach przed mapą.

Pitt stuknął palcem w punkcik na bezkresie błękitu.

- Tutaj. Mniej więcej dziewięćset sześćdziesiąt pięć kilometrów na południowy zachód od Invercargill w Nowej Zelandii.

- Na mapie to niedaleko.

Giordino zdjął z nadgarstka zegarek i pocierając o koszulę, wyczyścił szkiełko.

- Biorąc pod uwagę, że przez czterdzieści lat nikt tu nie wpadł, żeby znaleźć biednego Rodneya, trochę to zbyt daleko od świata.

- Spójrz na to od pozytywnej strony - powiedział Pitt z zaraźliwym uśmiechem. - Wyobraź sobie, że do maszyny w Las Vegas wrzuciłeś trzydzieści osiem dolarów ćwierćdolarówkami i nie wygrałeś. Rachunek prawdopodobieństwa mówi, że wygrasz przy którejś z dwóch następnych ćwierćdolarówek.

- To kiepska analogia.

- Dlaczego?

Giordino z melancholią popatrzył do wnętrza chaty.

- Ponieważ nie wiem, skąd mielibyśmy wziąć dwie ćwierćdolarówki.

41

- Za dziewięć dni zaczyna się odliczanie - powiedział Sandecker patrząc na nie ogolonych mężczyzn i zmęczone kobiety, siedzących wokół stołu w jego ulubionej sali konferencyjnej. Pomieszczenie, które do niedawna było czystym i niemal dziewiczym miejscem spotkań admirała i jego najbliższych współpracowników, wyglądało teraz jak centrum dowodzenia oblężonego miasta. Do wyłożonych tekowym drewnem ścian były bez ładu i składu przypinane zdjęcia, mapy morskie i pospiesznie rysowane szkice, turkusowy dywan był zaśmiecony kawałkami papieru, a antyczny blat zastawiony filiżankami z kawą, telefonami i pełnymi ogryzków po cygarach Sandeckera popielniczkami. Martwą naturę uzupełniały stosy zapisanych notesów. Sandecker był jedynym palącym w towarzystwie, lecz klimatyzację nastawiono na maksimum, by poradziła sobie z kłębamii dymu.

- Czas jest przeciwko nam - powiedział doktor Sanford Adgate Ames. - Jest fizyczną niemożliwością zbudowanie reflektora i umieszczenie go na miejscu przed terminem.

Fizyk i jego studenci, którzy nie ruszyli się z Arizony, rozmawiali z ludźmi Sandeckera w Waszyngtonie, jakby siedzieli z nimi w pokoju. Tak samo było w drugą stronę. Dzięki wideoholografii głos i obraz były przenoszone światłowodami. Kombinacja fal elektromagnetycznych z komputerem powodowała, że znikła bariera czasu i przestrzeni.

- Zgadza się - przyznał Sandecker. - Chyba że uda nam się wykorzystać jakiś istniejący reflektor.

Ames zdjął okulary i uniósł je pod światło, jakby sprawdzał, czy nie ma na nich żadnej plamki. Zadowolony wynikiem badania, włożył je z powrotem na nos.

- Jeżeli moje obliczenia są prawidłowe, potrzebny jest dwuwarstwowy reflektor paraboliczny o wielkości boiska baseballowego lub większy. Nie wyobrażam sobie, że mógłby pan coś takiego wytrząsnąć z rękawa.

Sandecker popatrzył przez stół na Rudiego Gunna, który odwzajemnił spojrzenie zza grubych szkielek, kryjących zaczerwienione ze zmęczenia oczy.

- Ma pan jakiś pomysł, Rudi?

- Sprawdziłem różne możliwości. Doktor Ames ma rację, nie istnieje możliwość zbudowania na czas reflektora. Jediną naszą szansą jest znalezienie istniejącego i zawiezenie go na Hawaje.

- Będziemy musieli rozebrać go, przewieźć w kawałkach i złożyć na miejscu - powiedział Hiram Yaeger odwracając się od notebooka, połączonego z jego biblioteką na dziesiątym piętrze. - Żaden istniejący samolot ani helikopter nie przeniesie czegoś tak dużego w jednym kawałku.

- Jeżeli to, czego potrzebujemy, znajdziemy w Stanach, będziemy mogli przewieźć statkiem - stwierdził Sandecker.

- Na jaki statek zmieści się coś tak dużego? - spytał Gunn.

- Tankowiec albo lotniskowiec - odparł Sandecker.

Gunn natychmiast podchwycił pomysł.

- Lotniskowiec byłby w zupełności wystarczający do przewiezienia reflektora o wymiarach określonych przez doktora Amesę.

- Prędkości, jakie uzyskują nasze najnowsze lotniskowce o napędzie atomowym, są ciągle jeszcze utajnione, ale Pentagon zasugerował, że mogą pruć ocean z prędkością ponad dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

To wystarczy, aby przepłynąć na czas z San Francisco do Honolulu.

- Siedemdziesiąt dwie godziny od wypłynięcia do dotarcia na miejsce.

Sandecker popatrzył na kalendarz na biurku, w którym miał zakreślone krytyczne daty.

- Zostaje nam pięć dni na znalezienie reflektora, dostarczenie go do San Francisco i umieszczenie w strefie konwergencji.

- Na styk, nawet gdyby miał już pan reflektor - poważnie powiedział Ames.

- Na jaką głębokość trzeba go będzie zanurzyć? - spytał Yaeger obraz Amesę.

Jakby pod wpływem czarów, obok Amesę pojawiła się młoda kobieta i podała mu kalkulator. Wcisnął kilka klawiszy, sprawdził obliczenia i podniósł głowę.

- Biorąc pod uwagę nakładanie się stref konwergencji, uważam, że powinniście umieścić środek reflektora na głębokości stu siedemdziesięciu metrów.

- Problemem będzie prąd - zareagował na to Gunn. - Utrzymanie reflektora w miejscu przez wystarczający czas też będzie koszmarem.

- Niech zajmą się tym nasi najlepsi inżynierowie - rozkazał Sandecker. - Niech wymyślą system wiązań, który ustabilizuje reflektor.

- Skąd pewność, że uda się skierować fale dźwiękowe z powrotem na wyspę Gladiator? - spytał Amesę Yaeger.

Fizyk kręcił koniec wąsa.

- Jeżeli warunki, które wpłynęły na sposób rozprzestrzenienia się pierwotnych fal, takie jak zasolenie, temperatura wody i prędkość fali, pozostaną nie zmienione, odbita energia powinna odbyć taką samą drogę z powrotem.

Sandecker odwrócił się do Yaegera.

- Ilu jest na Gladiatorze ludzi?

Yaeger sprawdził w komputerze.

- Raporty sporządzone na podstawie zdjęć satelitarnych sugerują że sześciuset pięćdziesięciu, głównie górników.

- Niewolnicy z Chin - mruknął Gunn.

- Czy grożą tym ludziom jakieś trwałe uszkodzenia? - spytał Amesę Sandecker.

Inny student natychmiast podał fizykowi kartkę papieru. Amesę popatrzył na nią i podniósł wzrok.

- Jeżeli nasza analiza jest trafna, energia odbitych wibracji będzie po przybyciu do wyspy Gladiator wynosić dwadzieścia osiem procent tego co w miejscu konwergencji przy Honolulu. To zbyt mało, by zniszczyć lub poważnie uszkodzić ludzki organizm.

- Czy umie pan określić reakcję na wibracje o tym nasileniu?

- Bóle i zawroty głowy, lekkie mdłości.

- Drobną różnicą z tym co się stanie, jeżeli nie umieścimy reflektora tam gdzie trzeba i na czas - powiedział Gunn wpatrując się w mapę na ścianie.

Sandecker w zamyśleniu stukał palcami w blat.

- I w ten sposób wracamy do punktu wyjścia.

Niedaleko Sandeckera siedziała elegancka, ubrana w konserwatywną granatową garsonkę czterdziestolatka i wpatrywała się w jeden z obrazów na ścianie: pokazujący sławny lotniskowiec z drugiej wojny światowej „Enterprise” w trakcie bitwy o Midway. Nazywała się Molly Faraday i była kiedyś analitykiem Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, a przeszła do NUMY po żarliwych prośbach Sandeckera, który dał jej stanowisko koordynatora działu wywiadu. Miała jasnobrązowe włosy i ciemnobrązowe oczy i we wszystkim była pierwsza klasa. Przeniosła wzrok z obrazu na Sandeckera.

- Myślę, że mam rozwiązanie pańskich problemów - powiedziała obojętnym tonem.

Admirał skinął głową.

- Ring wolny, Molly.

- Wczoraj lotniskowiec „Roosevelt” stał w Pearl Harbor, gdzie brał na pokład zapasy i naprawiał jedną z wind transportowych, by dołączyć do Dziesiątej Floty stojącej u wybrzeży Indonezji.

Gunn popatrzył na Molly z zaciekawionym.

- Wiesz to na pewno?

Molly słodko się uśmiechnęła.

- Czasami wsadzam nos do biur Połączonego Sztabu.

- Wiem, co ma pani na myśli - stwierdził Sandecker - ale bez reflektora nie wiem, jak stojący w Pearl Harbor lotniskowiec ma rozwiązać nasz problem.

- Lotniskowiec to dodatkowa nagroda. Chciałam wspomnieć o centrum zbierania informacji satelitarnych, znajdującym się na hawajskiej wyspie Lanai.

- Nie słyszałem, by na Lanai znajdowała się jakaś instalacja satelitarna - stwierdził Yaeger. - Spędzałem tam z żoną miodowy miesiąc, objechaliśmy wyspę wzdłuż i wszerz i nie zauważyłem śladu urządzeń do odbioru satelitarnego.

- Zarówno reflektor, jak i budynki znajdują się w kraterze wygasłego wulkanu Palawai. Ani tamtejsi mieszkańcy, którzy od dawna dziwią się, co się dzieje w wulkanie, ani turyści nie mają możliwości podejścia wystarczająco blisko, by zaspokoić ciekawość.

- Poza zbieraniem informacji od przelatujących w górze satelitów jaki był cel urządzenia? - spytał Ames.

- Przelatujących sowieckich satelitów - poprawiła Molly. - Traf chciał, że byli sowieccy dowódcy wojskowi mieli szczęśliwy dla nas, choć całkowicie nieracjonalny nawyk kierowania satelitów szpiegowskich, które przeleciały nad kontynentem amerykańskim, nad Hawaje. Naszym zadaniem było trafienie ich przekaźników silną wiązką mikrofal, co zakłócało zrobione zdjęcia. Jak ustaliło CIA, Rosjanie nigdy nie odkryli, dlaczego przekazy z ich satelitów szpiegowskich były zamazane. W czasie kiedy komunistyczny rząd się rozpadł, nowsze techniki komunikacji satelitarnej spowodowały, że urządzenie w Palawai stało się zbędne. Ze względu na rozmiary, w kolejnych latach używano anteny do komunikacji z sondami kosmicznymi. Obecnie, z powodu przestarzałej techniki, stacja nie jest używana i choć strzeżona - to praktycznie pusta.

Yaeger natychmiast przeszedł do sedna.

- Jaka jest średnica reflektora?

Molly zasłoniła na chwilę twarz rękami, by lepiej to sobie przypomnieć.

- O ile dobrze pamiętam, około osiemdziesięciu metrów.
- To więcej niż potrzebujemy - powiedział Ames.
- Uważa pani, że NSA pożyczycy go nam? - spytał Sandecker.
- Najprawdopodobniej dopłaca, byśmy go zabrali.
- Będziecie musieli rozebrać reflektor i przewieźć go do Pearl Harbor w kawałkach drogą powietrzną - stwierdził Ames. - Zakładając, że uda wam się pożyczyć lotniskowiec i wykorzystać go do akcji.

Sandecker popatrzył na Molly.

- Zrobię co będę mógł w Departamencie Marynarki, jeżeli pani zadziała w Narodowej Agencji Bezpieczeństwa.

- Zabieram się natychmiast do pracy - zapewniła Molly.

Rękę podniósł łysiejący mężczyzna w okularach, siedzący blisko szczytu stołu. Sandecker skinął mu głową i uśmiechnął się.

- Był pan jak na razie cichutki, Charles. Coś musi panu chodzić po głowie.

Doktor Charlie Bakewell, naczelny geolog podwodny NUMY, wyjął z ust gumę, owinał ją w paperek i rzucił do kosza. Skinął hologramowi doktora Amesa.

- O ile dobrze rozumiem całą sprawę, doktorze Ames, energia wytwarzanych w kopalniach ultradźwięków nie jest w stanie niszczyć trwale tkanki, wywołuje jednak rezonans w znajdujących się pod nimi komorach powietrznych, co powoduje powstanie wibracji niskiej częstotliwości, które mogą przenosić się na dalekie dystanse. Kiedy te wibracje spotkają się na oceanie, ich łączna intensywność niszczy tkankę.

- Jak na razie nie ma błędu.

- Czy więc jeżeli odbije się nakładające się na siebie fale z powrotem przez ocean, z energii, która dotrze do wyspy Gladiator, część nie zostanie od niej ponownie odbita?

Ames skinął głową.

- Owszem. Ponieważ jednak wyspa będzie trafiona w części podwodnej i wibracje, które do niej dotrą, zostaną rozproszone w różne kierunki, ryzyko wtórnego zagrożenia praktycznie znika.

- Martwi mnie moment uderzenia fali w wyspę - rzekł niby mimochodem Bakewell. - Przejrzałem raporty geologiczne, które prowadzono na Gladiatorze mniej więcej pięćdziesiąt lat temu. Wulkany po obu stronach wyspy nie są wygasłe, lecz jedynie uspione. Nie działają od mniej więcej siedmiuset lat. Oczywiście ostatniego wybuchu nie obserwowali świadkowie, jest datowany na podstawie badania lawy. Od tamtego momentu w życiu wulkanów następowały po sobie okresy pasywności i aktywności sejsmicznej o niewielkiej sile.

- Do czego pan dąży, Charlie? - spytał Sandecker.

- Do tego, że uderzenie fali akustycznej w nasadę wyspy może moim zdaniem wyzwolić katastrofę sejsmiczną.

- Wybuch wulkanu?

Bakewell skinął głową.

- Co, pańskim zdaniem, nastąpi? - spytał Sandecker.

- Nie ma możliwości dokładnego przewidzenia poziomu aktywności sejsmicznej, znam jednak wulkanologa, który założyłby się z panem pięć do jednego, że dojdzie do wybuchu.

- Dwadzieścia procent - powiedział Ames, jego holograficzne oczy wpatrywały się uważnie w Sandeckera. - Obawiam się, admirale, że teoria doktora Bakewella umieszcza pański projekt

w kategorii „nieuzasadnione ryzyko”.

Sandecker nawet przez sekundę nie zwlekał z odpowiedzią.

- Przykro mi, doktorze Ames, ale życie ponad miliona mieszkańców Honolulu plus dziesiątków tysięcy turystów i żołnierzy, stacjonujących w bazach wokół wyspy Oahu, ma pierwszeństwo przed życiem sześciuset pięćdziesięciu górników.

- Nie możemy ostrzec dyrekcji Dorsett Consolidated Mining, by ewakuowali wyspę? - spytał Yaeger.

- Musimy spróbować - powiedział Sandecker - ale znając Arthura Dorsetta, wzruszy na to jedynie ramionami uznając ostrzeżenie za czczą groźbę.

- To może odbić fale dokądś indziej? - spytał Bakewell.

Ames pokręcił głową.

- Odchylenie fal niesie w sobie ryzyko, że zachowają pełną energię i uderzą w Jokohamę, Szanghaj, Manilę, Sydney, Auckland albo jeszcze inne duże miasto nadmorskie.

Zapadła na chwilę cisza i wszyscy - wraz ze znajdującym się trzy tysiące dwieście kilometrów na zachód Amesem - skierowali wzrok na Sandeckera. Admirał bawił się nie zapalonym cygarem. Nikt nie wiedział, że wcale nie myśli o wyspie Gladiator - myślał ze smutkiem i złością o Arthurze Dorsecie, który wyrzucił jego najlepszych ludzi na rozszalałym oceanie. W końcu nienawiść zwyciężyła.

Spojrzał na hologram Amesa.

- Doktorze, proszę dokonać obliczeń w celu skierowania wibracji na wyspę Gladiator. Jeżeli nie powstrzymamy Dorsett Consolidated, i to w krótkim czasie, nie zrobi tego nikt inny.

42

Prywatna winda Artura Dorsetta w centrum handlu diamentami poruszała się bezgłośnie. Jedynym dowodem na to, że się wznosi, było zmienianie się zapalonych nad drzwiami cyferek. Kiedy kabina łagodnie stanęła, wysiadł z niej Gabe Strouser. Na końcu korytarzyka czekał na niego w otwartych drzwiach Arthur Dorsett.

Strouserowi spotkanie z chodzącym własnymi drogami królem diamentów nie było w smak. Znali się od dziecka. Bliskie związki między Strouserami a Dorsettami utrzymywały się przez ponad sto lat, póki Arthur nie zerwał kontaktów z firmą Strouser i Synowie. Rozstanie nie odbyło się w przyjaźni - Dorsett kazał swoim adwokatom zdawkowo poinformować Gabe'a Strousera, że rezygnuje z dalszych usług jego rodziny. Topór spadł nie w trakcie osobistego spotkania, lecz przez telefon. Obraza mocno dotknęła Strousera i nigdy nie wybaczył jej Dorsettowi.

Aby ochronić byt swej szanowanej starej firmy, Strouser zaoferował swe usługi kartelowi południowoafrykańskiemu, w końcu nawet przeniósł siedzibę firmy z Sydney do Nowego Jorku. Z biegiem czasu awansował na kierownicze stanowisko. Ponieważ z powodu amerykańskiej ustawy antytrustowej kartel nie miał prawa prowadzić interesów na terenie Stanów Zjednoczonych, działał pod płaszczykiem szanowanej firmy w handlu diamentami, czyli właśnie „Strousera i Synów”, która była ich amerykańską tajną filią.

Zgodził się na spotkanie z Dorsettem tylko dlatego, że pozostali członkowie zarządu spanikowali z powodu plotek, iż Dorsett Consolidated Mining zamierza zniszczyć rynek diamentów zarzuceniem go lawiną tanich kamieni. Jeżeli katastrofa miała zostać powstrzymana, musieli działać szybko i zdecydowanie. Z powodu niezwykłego zaangażowania w służbę diamentom, Strouser był jedynym

członkiem kartelu, któremu pozostali mogli zaufać, że być może, wyperswadowuje Dorsettowi chęć zniszczenia dotychczasowego systemu cen.

Arthur Dorsett zrobił krok do przodu i energicznie potrząsnął dłonią Strousera.

- Tyle lat, Gabe, tyle lat.

- Dziękuję, że zechciałeś się ze mną spotkać, Arthurze. - Strouser mówił protekcyjnie, ale z ukrytą awersją. - Jeśli pamiętam, twoi adwokaci zabronili mi kontaktować się z tobą.

Dorsett obojętnie wzruszył ramionami.

- Było, minęło. Zapomnijmy o tym i pogadajmy przy lunchu o dawnych sprawach. - Wskazał na stół, ustawiony pod zasłoniętym kuloodpornym szkłem sklepieniem, skąd widać było wspaniałą panoramę portu Sydney.

W odróżnieniu od topornego, ordynarnego diamentowego potentata, Strouser - tuż po sześćdziesiątce - był zadziwiająco atrakcyjnym mężczyzną. Jego wąską, opaloną twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi i nosem wymodelowanym tak, że mogłaby mu go pozazdrościć większość męskich gwiazd Hollywoodu, otaczały gęste siwe włosy. Był kilka centymetrów niższy od niezdarne Dorsetta, sylwetkę miał szczupłą i atletyczną. Usta zazwyczaj układały mu się w przyjacielski uśmiech, dodatkowej żywości dodawały twarzy bielutkie zęby. Przyglądał się Dorsettowi uważnie, a jego błękitno-zielone oczy przypominały ślepie kota, gotowego w każdej chwili uskoczyć przed atakiem psa sąsiada. Garnitur miał najwyższej jakości - doskonale skrojony z najlepszej wełny - konserwatywny w kroju, choć tak wykończony, by wyglądał modnie. Krawat miał z drogiego jedwabiu, buty włoskie, dopiero co wypolerowane na najwyższy połysk, spinki do mankietów - wbrew oczekiwaniom - nie diamentowe, lecz z opalami.

Był zaskoczony przyjaznym powitaniem. Dorsett zdawał się grać rolę w jakiejś kiepskiej sztuce. Strouser oczekiwał ostrej konfrontacji, nie spodziewał się pobłażania. Usiadł dopiero, kiedy Dorsett dał znak lokajowi, który ze srebrnego kubelka wyjął butelkę szampana i napełnił mu kieliszek. Z rozbawieniem zauważył, że Dorsett pije prosto z butelki piwo.

- Kiedy mądrale z kartelu powiedzieli, że chcą przysłać na rozmowy swojego przedstawiciela, nigdy bym nie pomyślał, że możesz to być ty.

- Ze względu na nasze wcześniejsze kontakty, członkowie zarządu pomyśleli, że będę w stanie cię zrozumieć. Poprosili mnie, bym sprawdził krążące w branży plotki o tym, że w celu opanowania rynku zamierzasz sprzedawać diamenty po cenach dumpingowych. Nie przemysłowe, oszlifowane brylanty wysokiej jakości.

- Gdzie to słyszałeś?

- Kierujesz imperium, w którym są zatrudnione tysiące osób. Przecieki ze strony niezadowolonych pracowników to w tej sytuacji norma.

- Zarządę dochodzenie w tej sprawie. Nie zamierzam godzić się na trzymanie w swoich szeregach zdrajców i jeszcze im za to płacić.

- Jeżeli w tym, co słyszeliśmy, jest choć ziarno prawdy, to rynek diamentów musi liczyć się z potężnym kryzysem. Moja misja polega na złożeniu ci poważnej oferty, byś nie włączał swoich kamieni do obiegu.

- Diamenty nie są rzadkością, Gabe, i nigdy nie były. Wiesz, że nie możecie mnie kupić. Dziesięć karteli nie byłoby w stanie powstrzymać mnie przed wprowadzeniem kamieni na rynek.

- Było głupstwem z twojej strony, że działałeś poza Centralną Organizacją Sprzedaży, Arthurze. Straciłeś na tym miliony.

- Inwestycje długoterminowe nigdy nie przynoszą szybkich zysków.

- A więc to prawda? - niby mimochodem zapytał Strouser. - Zbierałeś je na dzień, w którym uda ci się szybko dużo zarobić.

Dorsett popatrzył na niego z uśmiechem, ukazując pożółkłe zęby.

- Oczywiście, że to prawda, z wyjątkiem stwierdzenia o szybkim zarobku.

- Muszę przyznać, że jesteś szczery.

- Nie mam nic do ukrycia. Teraz już nie.

- Nie możesz się zachowywać, jakby nie istniała międzynarodowa sieć sprzedaży. Takie zachowanie przynosi każdemu straty.

- Łatwo to mówić tobie i twoim koleżkom z kartelu, mającym kontrolę nad światową produkcją diamentów.

- Jaki w tym sens, by z powodu kaprysu eksploatować rynek? - spytał Strouser. - Po co systematycznie podrzywać sobie nawzajem gardła? Po co niszczyć ustabilizowany i dobrze prosperujący przemysł?

Dorsett podniósł dłoń, by przerwać. Skinął na lokaja, który podał z wózka homara. Potem wbił wzrok w Strousera.

- To nie kaprys. Mam w magazynach na całym świecie ponad sto metrów sześciennych diamentów, kolejne dziesięć ton czeka na transport z kopalń.

Za kilka dni, kiedy pięćdziesiąt procent będzie oszlifowane, zamierzam rozpocząć przez sieć sklepów House of Dorsett sprzedaż detaliczną w średniej cenie dziesięciu dolarów za karat. Surowe kamienie będę sprzedawał pośrednikom po pięćdziesiąt centów za karat. Kiedy skończę, rynek załamie się i diamenty stracą blask luksusu i wartość inwestycyjną.

Strouser nic nie rozumiał. Przybył wyobrażając sobie, że strategia Dorsetta polega na chwilowym obniżeniu cen, by w krótkim czasie sprzedać większą partię diamentów i osiągnąć szybki zysk, teraz widział jednak zakres planu.

- Pozbawisz sensu bytu tysiące pośredników i hurtowników, ze sobą włącznie.

Co możesz zyskać zakładając sobie na szyję stryczek i odpychając stołek?

Dorsett, który jeszcze nie tknął sałatki, jedynie pił piwo, machnął na lokaja, żeby przyniósł mu następne.

- Moja pozycja jest taka, jaką kartel zajmował sto lat temu. Kontrolował wtedy osiemdziesiąt procent światowej produkcji diamentów, ja dziś kontroluję osiemdziesiąt procent produkcji kamieni szlachetnych.

Strouser miał wrażenie, jakby huśtał się na trapezie.

- Nie sądziłem, że jesteś właścicielem tylu kopalń kamieni szlachetnych.

- Nikt tego nie wie. Jesteś pierwszą osobą spoza rodziny, której o tym mówię. Sprawa zajęła wiele czasu i wymagała mnóstwa skomplikowanych zabiegów, z wykorzystaniem kilkunastu fasadowych korporacji włącznie.

Wkupiłem się w każdą znaczącą kopalnię kamieni szlachetnych na świecie.

Kiedy doprowadzę do spadku wartości diamentu, zamierzam zacząć handel kamieniami szlachetnymi po zaniżonych cenach, które stopniowo będę podnosił.

Kiedy osiągną odpowiedni poziom, handel zacznie przynosić zyski i rozpocznę ekspansję.

- Zawsze byłeś artystą handlu, ale nawet ty nie jesteś w stanie zniszczyć czegoś, co budowano sto lat.

- W odróżnieniu od kartelu, nie zamierzam dyktować cen w handlu detalicznym.

Moje sklepy będą uczciwie między sobą rywalizować.

- Chcesz rozpocząć walkę, której nikt nie jest w stanie wygrać. Zanim uda ci się doprowadzić do załamania rynku diamentów, kartel cię złamie.

Użyjemy wszelkich międzynarodowych manewrów finansowych i politycznych, by cię powstrzymać.

- Słowa na wiatr, przyjacielu! - gorączkowo wyrzucił z siebie Dorsett. - Minęły już czasy, kiedy kupcy musieli czołgać się w waszych eleganckich kantorach w Londynie i Johannesburgu. Minęły czasy lizania butów, aby zostać zarejestrowanym jako licencjonowany sprzedawca i móc handlować tym, co będziecie łaskawi dać. Nie trzeba przemykać się już zaułkami, by ominąć wasz system sprzedaży surowych kamieni. Międzynarodowa policja i wasza ochrona nie będzie więcej prowadzić pozorowanych bitew z ludźmi, których określaliście mianem przestępców, ponieważ chcieli włączyć się w wykreowany przez was wielki „nielegalny” czarny rynek handlu diamentami.

Nie będzie już więcej ograniczeń w zaspokajaniu ogromnego popytu.

Robiliście idiotów z całych rządów, nakłaniając je do ustanawiania praw, pozwalających obracać diamentami jedynie przez wasze kanały. Praw, które zabraniały sprzedać legalnie diament, jeśli ktoś znalazł go na własnym podwórku.

Iluzja, że diamenty są czymś bardzo wartościowym, za kilka dni zniknie.

- Nie pójdzie ci tak łatwo. - Strouser starał się zachować spokój. - Nie na darmo przeznaczaliśmy setki milionów dolarów na reklamę i promocję romantyki diamentu.

- Uważasz, że nie wziąłem tego pod uwagę i nie przygotowałem się? - Dorsett wybuchnął śmiechem. - Budżet mojej kampanii reklamowej, mającej za zadanie uświadomienie ludziom wartości kamieni szlachetnych, może bez wstydu zostać porównany do waszego. Zajęliście się promocją kamyka do pierścionka, ja zajmę się promowaniem całej palety, całego świata różnorodnych kamieni nadających się do wszelkiej biżuterii. Moja kampania opiera się na hasle „Uszlachetnij ją miłością”. Reklama to jednak tylko połowa, Gabe. Zamierzam równocześnie przedstawić nieokrzęsanej tłuszczy prawdę, jak rzadkie są kolorowe kamienie szlachetne w porównaniu z tanim wszechobecnym diamentem. W efekcie odsunę nabywców od diamentu. Strouser wstał i rzucił serwetkę na stół.

- Planujesz coś, co może zniszczyć życie i podstawy egzystencji tysięcy ludzi. Trzeba cię powstrzymać przed zniszczeniem rynku.

- Nie bądź głupcem. - Dorsett wyszczerzył zęby. - Dołącz do mnie.

Zrezygnuj z diamentów i zwiąż swe losy z kamieniami szlachetnymi. Wykorzystaj okazję, Gabe. Kolor to przyszłość.

Strouser starał się ze wszystkich sił powstrzymać wybuch wściekłości.

- Moja rodzina od dziesięciu pokoleń handluje diamentami. Dla mnie samego diamenty to jak pokarm i powietrze i nie zamierzam być tym, kto wypnie się na tradycję. Masz brudne ręce, Arthurze, nawet jeżeli są dobrze wymanikiowane. Osobiście zamierzam zwalczać cię gdzie tylko się da, póki nie stracisz znaczenia na rynku.

- Walka jest spóźniona - powiedział zimno Dorsett. - Wystarczy, by kamienie szlachetne przejęły rynek, szaleństwo diamentu zniknie.

- Zrobię co w mojej mocy, by do tego nie doszło.

- Co zamierzasz począć po wyjściu stąd?

- Zaalarmować członków zarządu informując ich o twoich planach, by mogli podjąć niezbędne kroki. Jeszcze nie jest za późno, by cię powstrzymać.

- Jestem innego zdania - powiedział Dorsett nie wstając.

Do Strousera nie dotarło znaczenie tych słów i odwrócił się, by wyjść.

- Nie chcesz słuchać głosu rozsądku, to nie mam nic więcej do powiedzenia, Arthurze. Do widzenia.

- Zanim wyjdiesz, chciałbym dać ci prezent, Gabe.

- Nie chcę od ciebie niczego!

- To zechcesz - powiedział z nieżyczliwym śmiechem Dorsett. - Chociaż, jeśli tak się zastanowić, może i nie. - Skinął ręką i dodał: - Boudicca!

Olbrzymka pojawiła się jak duch za Strouserem i przycisnęła mu ramiona do boków. Przestraszony handlarz diamentów spróbował się wyszarpnąć, zaraz jednak przestał walczyć i oszołomiony, wbił wzrok w Dorsetta.

- Co to ma znaczyć? Żądam, żebyś mnie puścił wolno!

Dorsett popatrzył na niego i rozbijającym gestem rozłożył ramiona.

- Odmówiłeś zjedzenia ze mną lunchu, Gabe. Nie mogę pozwolić na to, byś wyszedł głodny. Mógłbyś sobie pomyśleć, że jestem niegościnnie.

- Jeżeli uważasz, że możesz mnie zastraszyć, to oszalałeś.

- Nie zamierzam cię straszyć - powiedział Dorsett z sadystycznym rozbawieniem. - Zamierzam cię nakarmić.

Strouser wyglądał na zagubionego. Pokręcił zde gustowany głową i zaczął nierówną walkę, by wyrwać się z objęć olbrzymki. Na skinienie głową Dorsetta Boudicca zaciągnęła Strousera z powrotem do stołu, położyła mu dłoń pod brodę i odchyliła jego głowę do tyłu. Dorsett wyciągnął długi lejek i wetknął plastikową końcówkę Strouserowi w usta. Mina żydowskiego handlarza zmieniła się z wściekłej najpierw na zaszokowaną, potem na przerażoną. Oboje nie zwracali uwagi na jego zduszone krzyki, jedynie Boudicca wzmocniła chwyt wokół jego tułowia.

- Gotowe, tato - powiedziała, patrząc z radosnym okrucieństwem w oczach.

- Ponieważ diamenty to dla ciebie jak pokarm i powietrze, przyjacielu, z chęcią parę przekąsisz. - Dorsett podniósł stojący na stole pojemnik w kształcie dzbanka do kawy i nachylił go nad lejkiem. Z dzióbka zamiast płynu poleciał strumień nieskazitelnie czystych jednokaratowych diamentów, które natychmiast wypełniły ofierze usta i gardło. Dorsett zatkał Strou serowi nos i przyglądał się, jak walczy. Strouser szarpał się jak wściekły i próbował kopać wokół, ale ramiona miał tak przyciśnięte do tułowia, jakby owijał go pyton. Przerażony, próbował połykać diamenty, lecz było ich zbyt wiele. Zaczął rozpaczliwie łapać powietrze, tylko jednak się krztusił. Szarpnięcia ciałem szybko słabły, jeszcze kilka chwil i zwiotczał. Udusił się.

Otwarte oczy zamarły w przedśmiertnym wytrzeszczu, z kącików ust wypadło kilka błyszczących kamieni, przeturlało się z cichym stukiem po stole i spadło na podłogę.

Dwa dni na łądzie i czuli się jak zmartwychwstali. Obozowisko zostało posprzątane i uporządkowane, a każdy przedmiot zanotowany. Nawet po tym jak pochowali Rodneya Yorka w niewielkim wypełnionym piaskiem zagłębieniu, Maeve nie chciała wejść do jego chaty. Ze znalezionych żagli zbudowali coś na kształt namiotu i zaczęli prowadzić codzienną rutynową

egzystencję.

Dla Giordina największą radością była skrzynka z narzędziami. Natychmiast zabrał się za radio i generator, ale po sześciu godzinach poddał się sfrustrowany.

- Za dużo zniszczonych i skorodowanych części, a akumulator po tylu latach nadaje się do użytku tak samo jak skamieniała kupa dinozaura. Bez generatora nie naładujemy radiotelefonu, radionamiernika ani odbiornika komunikatów satelitarnych, czyli też są bezużyteczne.

- Czy można z tego, co mamy, zrobić części zamienne? - spytał Pitt.

Giordino pokręcił głową.

- Tego generatora nie naprawi nawet naczelny inżynier General Electrics, a nawet gdyby mu się udało, wysiłek byłby zbyt wielki, ponieważ kompletnie zniszczony jest napędzający go silnik. Pęknięty jest karter. York musiał tego nie zauważyć i dopuścić do wylania się oleju oraz zatarcia silnika.

Spalił łożyska i zapiekł tłoki. Uruchomienie go jest możliwe, ale pod warunkiem, że miałoby się dostęp do sklepu z częściami.

Pierwszym zadaniem, jakie postawił sobie Pitt, było znalezienie trzech wzdłużnie usłojonych kawałków drewna - znalazł to, co potrzebował, i odłupał z boku koi, na której zmarł Rodney York. Następnie za pomocą tekturek z okładek książek, które czytał York, zrobił dla każdego z nich szablon kształtu czoła na wysokości brwi. Każdy kawałek drewna obrabiał podobnie: na początku robił zagłębienie, odpowiadające krzywiznie przeniesionej z szablonu, następnie w połowie długości drewna robił poprzeczne stożkowate żłobienia. Potem od strony, w której została wycięta wnęka na czoło, rogi, zgodnie z rozstawem oczu dwa zagłębienia, ścinał zewnętrzną część klocka tak, że szczyty obu zagłębień były bardzo blisko drugiej strony i w cienkiej ściance robił szparki, przez które można było wyglądać na zewnątrz. Na koniec smarował wyrób olejem, po obu końcach robił dziurki i przewlekał sznurek.

- Proszę bardzo, panie i panowie - oznajmił rozdając obrobione klocki.

- Fantastyczne gogle przeciwsłoneczne pułkownika Tadeusza Pitta, skonstruowane według tajemnej metody umierającego Eskimosa, którą zdradził tuż przedtem, nim popłynął na grzbiecie białego niedźwiedzia na Ocean Antarktyczny.

Maeve założyła swoje na głowę i zawiązała sznurek.

- Cwane, naprawdę zmniejszają ilość słońca.

- Niezłe cwaniaki z tych nie szkolonych tubylców - powiedział Giordino.

- Mógłbyś poszerzyć trochę szparki? Czuję się, jakbym patrzył przez szparę pod drzwiami.

Pitt uśmiechnął się i podał Giordinowi nóż.

- Można dopasowywać gogle do osobistego gustu.

- Jeżeli już mówimy o gustach, to zapraszam - oznajmiła Maeve, kucając obok niewielkiego ogniska, które rozpałała zapałkami z zestawu Pitta. - Dzisiejsze menu to pieczona makrela z sercakami, które znalazłam w piasku poniżej linii przyływu.

- I to akurat wtedy, kiedy mój żołądek przyzwyczał się do surowej ryby? - zażartował Giordino.

Maeve podała parującą rybę i małże na talerzach Yorka.

- Jutro, jeżeli w naszej drużynie jest strzelec, będzie w menu coś skrzydlatego.

- Chcesz mordować niewinne ptaszki? - spytał Giordino udając przerażenie.

- Na skałach zauważyłam przynajmniej dwadzieścia fregat - odparła, wskazując na północny brzeg. - Jeżeli weźmiesz jakąś zasłonę, podejść wystarczająco blisko, by można było je trafić z pistoleciku Pitta.

- Pieczony drób! To brzmi radośnie dla mojego skurczonego żołądka.

Jeżeli nie przyniosę nic jutro na kolację, będziesz mogła powiesić mnie za kciuki - obiecał Pitt.

- Czy poza okularami masz jeszcze w kapeluszu jakieś sztuczki? - spytała Maeve.

Pitt położył się plecami na piasku i zaplótł dłonie na karku.

- Cieszę się, że poruszasz ten temat. Po intensywnym namyśle doszedłem do wniosku, że powinniśmy przenieść się do odpowiedniejszego klimatu.

Maeve popatrzyła na niego bardzo sceptycznie.

- Przenieść się? - przeniosła wzrok na Giordina, szukając u niego wsparcia, spojrzeniem wyrażał jednak jedynie „Nigdy nie wiadomo, co cię czeka z jego strony” i dalej pogryzał makrele. - Mamy dwie tak zniszczone łodzie, że żadna nie przepłynie ogrodowego stawu. Czym twoim zdaniem mamy wyruszyć w luksusową podróż donikąd?

- Panno Fletcher, zbudujemy trzecią łódź.

- Zbudujemy łódź, tak? - mało brakowało, by wybuchła śmiechem.

W przeciwieństwie do Maeve, Giordino był skupiony i poważny.

- Myślisz, że mamy szansę naprawić łódź Yorka?

- Nie. Kadłub jest zbyt zniszczony, by można go było zreperować środkami, jakie posiadamy. York był doświadczonym żeglarzem i najwyraźniej też nie widział szansy doprowadzenia jachtu do stanu używalności. Możemy jednak wykorzystać pokład i nadbudówki.

- Dlaczego nie spróbujemy utrzymać się na wyspie? - zapytała Maeve. - Stać nas na znacznie więcej niż biednego Rodneya. Nasz potencjał przeżycia jest znacznie większy od jego. Możemy nałapać dość ryb i małży, by przeżyć, aż ktoś nas znajdzie.

- Problem polega na tym, że nie przeżyjemy mając tylko to, co złowimy - odparł Pitt. - Jeżeli wziąć za wskazówkę bezzębne szczęki Rodneya, to zmarł na szkorbut. Brak witaminy C i kilkunastu innych składników, których nie jestem w stanie wymienić z pamięci, osłabił jego organizm, aż nie był w stanie dalej funkcjonować. Przy takim stanie fizycznym, w jakim się znajdował, śmierć przychodzi szybko. Jeżeli zdecydujemy się tu zostać, to nim do brzegu dobieje jakiś statek, na wyspie będą leżały trzy dodatkowe szkielety.

Mocno wierzę w to, że najlepiej będzie, jeśli zrobimy co się da, by stąd uciekać, dopóki jesteśmy w dobrej formie.

- Dirk ma rację - powiedział Giordino do Maeve. - Naszą jedyną szansą ujrzenia światła wielkiego miasta jest opuszczenie wyspy.

- Ale zbudować łódź? - nie chciała uwierzyć Maeve. - Z czego?

Stała pewnie, z gracją, ramiona i nogi miała opalone, całe ciało jędrne i młode, głowę skłoniła na bok jak czujny ryś. Pitt był urzeczony jak za ich pierwszym spotkaniem na pokładzie „Ice Huntera”.

- Pływak, pokład jachtu Yorka, kilka belek i będziemy mieli statek gotów do oceanicznych podróży.

- Chętnie to zobaczę - dalej wątpiła Maeve.

- Jak sobie życzysz - beztrąsko rzucił Pitt. Zaczął rysować na piasku. - Pomysł jest taki, by zamocować pływaki pod pokładem jachtu Yorka. Potem dla stabilności dodamy zrobione z pni tutejszych drzew dwa zewnętrzne pływaki i uzyskamy trimaran.

- Dla mnie wygląda to na wykonalne - powiedział Giordino.

- Będziemy potrzebowali stu trzydziestu metrów kwadratowych żagla - ciągnął Pitt. - Mamy

maszty i ster.

Giordino wskazał na namiot.

- Stare dakronowe żagle Yorka są po czterdziestu latach kruche i rozwłókniają się. Pierwsza sztywna bryza poszarpie je na strzępy.

- Zastanawiałem się nad tym. Polinezyjscy żeglarze tkali żagle z palmowych liści i nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyśmy zrobić tak samo.

Mamy wystarczającą ilość lin Yorka, by owantować jacht i przymocować zewnętrzne pływaki.

- Ile czasu zajmie nam budowa? - zapytała Maeve, u której zainteresowanie zastępowało wątpliwości.

- Myślę, że jak zabierzemy się porządnie do roboty, będziemy mogli odbić za trzy dni.

- Tak szybko?

- Konstrukcja nie jest nadmiernie skomplikowana, a dzięki Rodneyowi Yorkowi mamy wszystkie niezbędne narzędzia.

- Popłyniemy dalej na wschód czy skierujemy się na północny wschód ku Invercargill? - spytał Giordino.

Pitt pokręcił głową.

- Ani tu, ani tu. Mając przyrządy nawigacyjne Rodneya i mapy admiralicji, nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyśmy popłynąć na wyspę Gladiator.

Maeve patrzyła na niego, jakby oszalał, ręce zwisały jej bezradnie wzdłuż ciała.

- To najbardziej zwariowana rzecz, jaką powiedziałaś od dawna.

- Możliwe - zgodził się ze spokojem - ale uznałem, że nic w tym dziwnego.

Skończymy to, po co wypłynęliśmy. Uratujemy twoich synów.

- Mnie się podoba - rzekł bez wahania Giordino. - Mam rewanz u King Konga, czy jak tam określa się twoja siostrzyczka w wolnych chwilach, kiedy nie zgniata samochodów na złomowisku.

- Jestem wam niezwykle zobowiązana, ale...

- Żadnych ale - zastrzegł Pitt. - Sprawa jest więc postanowiona. Zabieramy się za budowę mieszańca, płyniemy na Gladiatora, zabieramy chłopców i uciekamy do najbliższego bezpiecznego portu.

- Uciekamy do bezpiecznego portu!! Nie rozumiecie?! - W jej głosie było błaganie, rozpacz. - Dziewięćdziesiąt procent wyspy jest otoczone pionowymi klifami i niemożliwymi do pokonania przepaściami. Jedynym miejscem, gdzie można wyjść na brzeg, jest otaczająca lagunę plaża, oczywiście pilnie strzeżona. Nikt nie przejdzie przez rafę cały i zdrowy bez pozwolenia ochrony. Ojciec stworzył taki system zabezpieczeń, że nie przebije się przez niego dobrze uzbrojona średnia armia. Jeżeli spróbujesz, zginiesz.

- Nie widzę tu niczego, czym należałoby się niepokoić - odparł Pitt. - Wpadamy z Alem na wyspy i znikamy z taką samą finezją, z jaką zjawiamy się w damskich sypialniach i wypadamy z nich. Wszystko polega na odpowiednim doborze czasu i miejsca.

- I oczywiście dobrej pracy nadgarstkiem - dodał Giordino.

- Łodzie patrolowe taty zobaczą nas na długo przedtem, nim uda nam się wpłynąć do laguny.

Pitt wzruszył ramionami.

- Nie martw się. Znam znakomicie działający sposób na omijanie natrętnych łodzi patrolowych i jeszcze nigdy mnie nie zawiódł.

- Mogę zapytać jaki?

- Oczywiście. Zjawiać się tam, gdzie się nie spodziewają.

- Słońce ponadpalało wam mózgi. - Pokręciła z niewiarą głową. - Sądzicie, że tata zaprosi nas na herbatę?

W tym momencie Maeve poczuła się winna. To przecież przez nią ci dwaj niezwykli mężczyźni, którzy postanowili uratować jej synów, cierpieli i narażali się w potworny sposób. Zalała ją fala wątplenia, które natychmiast przemieniło się w rezygnację. Podeszła, uklękła między nimi i objęła obu ramionami.

- Dziękuję wam - wymamrotała słabo. - Czym sobie zasłużyłam, by spotkać tak wspaniałych ludzi jak wy?

- Mamy nawyk pomagania dziewczynom w potrzebie - powiedział Giordino, zobaczywszy jednak łzy w oczach Maeve, odwrócił się zażenowany.

Pitt pocałował ją w czoło.

- To nie jest niemożliwe. Uwierz mi.

- Gdybym spotkała cię w czasie, który wydaje mi się odległy o sto lat... - szepnęła. Wyglądało na to, że chce powiedzieć coś jeszcze, zamiast tego wstała i odeszła szybko na bok, by pobyć chwilę sama.

- Mogę o coś zapytać? - zwrócił się Giordino do Pitta.

- O co chcesz.

- Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, by podzielić się ze mną informacją, jak po dotarciu na wyspę wejdziemy na nią i z niej uciekniemy?

- Wejdziemy za pomocą latawca i haka, który znalazłem w rzeczach Yorka.

- A jak uciekniemy? - pytał dalej Giordino, który ni w ząb nie zrozumiał pierwszej odpowiedzi, ale wolał nie drażnić tematu.

Pitt wrzucił do ogniska suchą gałąź i przyjrzał się wzbudzonym iskrom.

- Tą częścią planu - odparł spokojnie jak wędkarz, który czeka stoicko, aż spławik zniknie pod powierzchnią - tą częścią planu będę się martwił, kiedy przyjdzie co do czego.

44

Łódź, którą mieli uciec z wyspy, została zbudowana na płaskim fragmencie skały, znajdującym się w niewielkim, chronionym przed wiatrem zagłębieniu trzydzieści metrów od wody. Odcinek wyłożyli podwójnym szeregiem bali, co wyglądało trochę jak tory kolejowe i po nich zamierzali zepchnąć swój dziwaczny twór na stosunkowo spokojną wodę w przesmyku między wysepkami. Praca nie wymagała nadmiernego, wycieńczającego wysiłku. Stwierdzili wkrótce, że są w lepszej kondycji niż w dniu przybycia na wyspę, i najlepiej będzie pracować całą noc, kiedy jest chłodniej, a wypoczywać kilka godzin w upale dnia. Praca szła sprawnie i nie było poważniejszych kryzysów. Im bliżej końca, tym mniej czuli zmęczenie.

Maeve poświęciła się tkaniu żagli z liści. Pitt zdecydował, że dla uproszczenia postawią maszty, które York uratował ze swego kecza, i postawią na grot-maszcie żagiel gafłowy, a na bezanie - bermudzki. Maeve najpierw robiła większy żagiel grotmasztu. Pierwsze godziny spędziła na eksperymentach, późnym popołudniem wypracowała już jednak praktyczną metodę i robiła metr kwadratowy w pół godziny. Trzeciego dnia zesłała do dwudziestu minut. Ponieważ plecionka, którą robiła, była gęsta i zwarta, Pitt poprosił ją, by dodatkowo uplotła trzeci żagiel - trójkątny sztaksel do postawienia przed grotmasztem.

Pitt i Giordino zdjęli nadbudówkę kecza i zamontowali ją nad przednią częścią sterówki. Skrócona w ten sposób część jachtu została nałożona na pływaki ich maleńkiej łódeczki, która stała się w ten sposób głównym kadłubem. Następnym zadaniem było skrócenie wysokich aluminiowych masztów, by pasowały do skróconego kadłuba, w dodatku nie posiadającego głębokiego kilu. Ponieważ do neoprenowych pływaków nie można było przymocować podwiewi dla want, mające utrzymywać maszty wanty i sztagi. Zostały przeciągnięte pod spodem i przymocowane do znajdujących się tam ściągaczy. W końcu łódź wyglądała jak postawiony na pontonie jacht.

Następnego dnia, a raczej nocy, Pitt przekonstrował ster. Ponieważ mieli teraz płynąć wyżej na wodzie, zamocował długi rumpel, znacznie efektywniejszy przy sterowaniu trimaranem. Kiedy ster był na miejscu i działał, Pitt zabrał się za czterdziestoletni silnik zaburtowy. Wyczyścił karburator i przewody paliwowe, potem zabrał się za iskrownik.

Giordino w tym czasie robił zewnętrzne pływaki. Ściał i zaczął ociosywać dwa drzewa, których pnie zginały się przy czubku nieco w bok. Następnie ułożył pnie wzdłuż łodzi tak, by zagięte końce wskazywały ku dziobowi i nieco ku kadłubowi. Pływaki przymocował do belek, które przechodziły po pokładzie niedaleko dziobu i tuż za kokpitem. Po wszystkim był z siebie bardzo zadowolony, tym bardziej że kiedy pchnął barkiem pływaki i poszarpał nimi, okazało się, że są nieruchome i nie poddają się atakom.

Kiedy o świcie siedzieli przy ognisku, chroniąc się przed chłodem, panującym o tej porze na tych szerokościach geograficznych, Pitt ponownie zaczął studiować mapy. W południe dokonał sekstantem kilku pomiarów wysokości słońca, potem, w nocy, zrobił to samo dla paru gwiazd. Za pomocą danych z almanachu morskiego i tabel ćwiczył ustalanie pozycji, aż jego obliczenia zgadzały się dokładnie z podaną na mapach szerokością i długością geograficzną. Niestety.

- Myślisz, że uda ci się trafić w wyspę Gladiator na nosa? - spytała Maeve przedostatniego dnia przy kolacji.

- Jeżeli nie na nosa, to na brodę - wesoło odpowiedział Pitt. - Przypomniałaś mi poza tym, że potrzebuję szczegółowej mapy wyspy.

- Jak szczegółowej?

- Zawierającej każdy budynek, każdą ścieżkę i do tego w odpowiedniej skali.

- Narysuję ci mapę z pamięci jak najlepiej umiem - obiecała.

Giordino żuł chude udko fregaty, którą Pittowi udało się zastrzelić z miniaturowego pistoleciku.

- Ile mamy do przepłynięcia?

- W prostej linii czterysta siedemdziesiąt osiem kilometrów.

- To bliżej niż do Invercargill.

- W tym cała uroda tej wycieczki.

- Ile dni nam to zajmie? - spytała Maeve.

- Nie umiem powiedzieć. Najtrudniejsza będzie pierwsza część podróży, dopóki bowiem nie wpadniemy w strefę przyjaznych prądów i wschodniej bryzy znad Nowej Zelandii, będziemy musieli halsować na wiatr. Bez kilu, który tnie wodę i powstrzymuje przed bocznym znosem, trimarany słabo nadają się do pływania na wiatr. Wszystko okaże się po wodowaniu - bez rejsu próbnego nie mamy pojęcia, jak to urządzenie pływa. Może się zdarzyć, że w ogóle nie będzie chciał halsować i wiatr zepchnie nas w kierunku Ameryki Południowej.

- Niezbyt przyjemna perspektywa - stwierdziła Maeve, drżąc na samą myśl o czekających ich w takim wypadku dziewięćdziesięciu dniach żeglugi. - Kiedy o tym myślę, niewiele mi brakuje, by

zachować się jak Rodney York i zostać na wyspie.

Przedostatni dzień pobytu na wyspie był wypełniony gorączkową aktywnością. Prowadzili ostatnie przygotowania, do których należało sporządzenie przez Pitta tajemniczego latawca. Złożył go i wsadził do nadbudówki razem ze stu pięćdziesięcioma metrami cienkiej nylonowej linki, którą znaleźli w jachcie Yorka i która zachowała elastyczność i wytrzymałość. Załadowali przerzedzające się zapasy żywności, instrumenty nawigacyjne, mapy i książki. Kiedy po czterech dziesięcioleciach i prawie czterdziestu pociągnięciach za linkę, po których Pittowi niemal odpadła ręka, silnik kaszłacz ożył, na wyspie rozległy się radosne okrzyki.

- Udało się! - wykrzyknęła z zachwytem Maeve.

Pitt rozłożył ręce w geście skromności.

- Dziecinnie łatwe zadanie dla kogoś, kto odnawia stare samochody.

Problem polegał właściwie jedynie na zatkanym przewodzie paliwowym i zanieczyszczonym karburatorze.

- Dobra robota, koleś - pogratulował Giordino. - Przy podpływaniu pod wyspę silnik będzie jak znalazł.

- Mieliśmy szczęście, że kanistry były szczelne i po tylu latach ich zawartość nie wywietrzała. Benzyna nieco się wytrąciła, będziemy więc musieli uważać na filtr paliwa. Nie zamierzam płukać co pół godziny karburatora.

- Ile York zostawił paliwa?

- Na sześć, może siedem godzin.

Potem, z pomocą Giordina, Pitt zamontował silnik. Na koniec umocowali kompas - tuż przed rumplem. Po zamocowaniu utkanych przez Maeve żagli do masztów, gafla i bomów za pomocą zmijki, wystarczył do ich podniesienia i opuszczenia jeden fał na żagiel. Cofnęli się i zaczęli oglądać swój wyrób. Łódź wyglądała rzetelnie, ale nikt nie mógłby określić jej mianem ładnej. Była kanciasta i ohydna, dziwności dodawały zewnętrzne pływaki. Pitt wątpił, czy kiedykolwiek po morzach i oceanach poruszało się podobne dziwactwo.

- Niekoniecznie powiedziałbym o naszej piękności „szczipła i elegancka” - zadumał się Giordino.

- Ta łódka nie miałaby raczej szans na start w Pucharze Ameryki - zgodził się Pitt.

- Mężczyźni nie umieją nigdy dostrzec wewnętrznego piękna - powiedziała z emfazą Maeve. - Musi mieć nazwę. Nie będzie dobrze pływać, jeżeli nie zostanie ochrzczona. Co wy na to, by nazwać ją: „Nigdy nie mów Śmierć”?

- Może nazwa by i pasowała, ale na pewno nie do zabobonów marynarzy.

Aby łódź przynosiła szczęście, nazwą musi być kobiece imię.

- Co sądzicie o „Wspaniałej Maeve”? - zaproponował Giordino.

- Bo ja wiem - powiedział Pitt. - Staromodne, ale ciekawe. Jestem za.

Maeve roześmiała się.

- Jestem mile połączona, lecz skromność dyktowałaby coś innego, na przykład „Dancing Dorothy II”.

- A więc głosowanie wypadło dwa do jednego - poważnie powiedział Giordino. - Nadajemy łódce nazwę „Wspaniała Maeve”.

Maeve nie miała wyjścia, wzięła znaną gdzieś butelkę po rumie którą wyrzucił Rodney York, i napełniła ją morską wodą.

- Chrzczę cię imieniem „Wspaniała Maeve” - powiedziała śmiejąc się i rozbiła butelkę o jedną z belek wspierających zewnętrzne pływaki. - Obyś płynęła po morzach i oceanach z prędkością syreny.

- No to do gimnastyki! - zarządził Pitt podając im liny, przywiązane do części dziobowej kadłuba.

Wszyscy troje obwiązali się nimi wokół pasa, wbili stopy w piach i zaczęli ciągnąć. Powoli, opornie, łódź sunęła po balach, które poukładali na ziemi. Ponieważ już pojawiały się u nich pierwsze objawy osłabienia z powodu nieodpowiedniego odżywiania, szybko się zmęczyli. Maeve wkrótce padła na kolana i z walącym sercem zaczęła walczyć o powietrze. Pitt i Giordino pociągnęli ciężar jeszcze dziesięć metrów, rzucili liny i zrobili to samo co Maeve. Łódź stała na trzeciej od końca parze belek. Stała poziomo, ale za metr znajdzie się na przedostatniej parze, opadającej w dół ku wodzie.

Minęło kilka minut. Ćwiartka słońca zapadła już za horyzont a morze było pozbawione najmniejszej zmarszczki. Pitt odwiązał linę, którą był przepasany, i rzucił ją na pokład.

- Uważam, że nie ma powodu dłużej powstrzymywać nieuniknionego - stwierdził wchodząc do kokpitu. Opuścił silnik w leże i pociągnął za linkę.

Tym razem zaskoczył za drugim pociągnięciem. - Możecie dać naszemu luksusowemu jachtowi ostatni cios, który zrzuci go w przepaść?

- Zużyłem już wszystkie hormony - powiedział Giordino - może więc powiedz, co będę z tego miał?

- Duży gin z tonikiem w domu.

- Obiecanki cacanki. Sadyzm w najgorszym wydaniu. - Giordino objął Maeve w pasie, podniósł ją, aż stanęła, i powiedział: - Wstań, moja pani. Czas na pożegnanie z tym skalistym piekłem.

Stanęli za łodzią, napięli ramiona, oparli dłonie o rufę i zaczęli pchać resztkami sił. „Wspaniała Maeve” poruszyła się z oporem, potem jednak ruszyła, przednia część bowiem opadła w dół, a tylna uniosła się w powietrze. Na dwie sekundy ruch pozornie zamarł, potem trimaran z pluskiem zanurzył się dziobem pod falę, wpłynął cały na wodę i wypoziomował. Teraz było jasne, dlaczego Pitt zapalił silnik - mógł dzięki temu natychmiast przeciwdziałać prądowi w przesmyku. Zawrócił i przybił tam, skąd zepchnięto go do wody. Kiedy dziób łagodnie uderzył w brzeg, Giordino, trzymający Maeve za nadgarstki, łagodnie spuścił ją na dach nadbudówki. Potem skoczył sam i wylądował miękko tuż obok niej.

- Tyle by było w części rozrywkowej - stwierdził Pitt.

- Będziemy podnosić moje żagle? - spytała Maeve podkreślając dumę ze swego dzieła.

- Jeszcze nie teraz. Wypłyniemy na silniku z za zawietrznej strony wyspy, gdyż morze jest tam spokojniejsze i tam sprawdzimy żagle.

Giordino pomógł przejść Maeve na tył i zejść do kokpitu. Usiedli na moment, by odpocząć, Pitt sterował przesmykiem ku falom opłukującym obie wysepki od północy. To, że wypłynęli na pełne morze, poznali po pojawieniu się rekinów.

- Patrzcie - powiedział Giordino. - Przyjaciele wrócili. Założę się, że brakowało im naszego towarzystwa.

Maeve wychyliła się przez burtę i zaczęła obserwować poruszające się tuż pod powierzchnią szare kontury.

- To inny gatunek. Rekin ostonosy.

- Taki z nierównymi zębami, jakie mogłyby się spodobać jedynie ortodontom?

- Tak jest.

- Dlaczego one mnie przesładują? - spytał Giordino. - Nigdy nie zamawiam w restauracji rekina. Pół godziny później Pitt wydał pierwszy rozkaz.

- Dobrze, sprawdźmy żagle i zobaczmy, co za łódkę zmajstrowaliśmy.

Giordino rozwinął utkane maty, które Maeve pieczołowicie zrefowała, i podniósł grot. Maeve podniosła bezan. Żagle wypełniły się wiatrem, Pitt oparł się na rumplu i wszedł na lewy hals, kierując się na północny zachód przy ostrym bajdewindzie z zachodu.

Każdy żeglarz na widok „Wspaniałej Maeve” zacząłby się skręcać ze śmiechu. Konstruktorzy jachtów zaczęliby pogwizdywać hymn Klubu Myszki Miki, ale dziwacznie wyglądający twór śmiał się ostatni. Zewnętrzne pływaki weszły w wodę i nadały stabilność, łódź zadziwiająco dobrze reagowała na ster i trzymała kurs bez bocznego znosu. Jeżeli pojawiał się jakiś problem, można go było szybko usunąć przesunięciem którejs liny. W sumie zachowywała się na wodzie, jakby była dla niej urodzona.

Pitt ostatni raz spojrział na Nieszczęścia. Potem popatrzył na owinięty w dakron pakunek, w którym znajdowały się listy Rodneya Yorcka i jego książka logowa. Postanowił, że jeżeli uda mu się przeżyć najbliższe dni, przekaże testament rodzinie Yorcka, z pewnością będą bowiem chcieli zorganizować wyprawę, przywieźć jego doczesne resztki do domu i pochować niedaleko zatoki Falmouth w jego ukochanej Kornwalii.

45

Na dziewiątym piętrze postmodernistycznej piramidy ze szkła i stali, znajdującej się na przedmieściach Paryża, przy bardzo długim konferencyjnym stole z hebanu siedziało czternastu mężczyzn. Nienagannie ubrani, bardzo bogaci, dysponujący ogromną władzą, nie uśmiechający się członkowie zarządu Wielostronnej Rady Handlowej (dla wtajemniczonych zwanej się po prostu Fundacją) - instytucji, której celem było stworzenie ogólnoswiatowego rządu gospodarczego, podawali sobie ręce i wymieniali się - jak zwykle przed zabraniem się do pracy - najnowszymi ploteczkami. Zwykle spotykali się trzy razy do roku, dzisiejsze spotkanie zostało jednak zwołane w trybie nadzwyczajnym i miało być poświęcone omówieniu nieoczekiwanego zagrożenia ich interesów.

Grono składało się z przedstawicieli ogromnych międzynarodowych korporacji i wysoko postawionych członków rządów. Tylko jeden spośród nich - członek kierownictwa południowoafrykańskiego kartelu - zajmował się handlem diamentami ozdobnymi. Dwóch następnych - belgijski przemysłowiec z Antwerpii i magnat budowlany z New Delhi - było pośrednikami Fundacji, zajmującymi się nielegalnym przepływem diamentów przemysłowych do Islamskiego Bloku Fundamentalistycznego. Sprzedawano im po cichu miliony drobnych diamentów, koniecznych do maszyn i przyrządów do konstrukcji bomby atomowej. Diamenty ozdobne służyły do finansowania niepokojów w Turcji, Europie Zachodniej, Ameryce Łacińskiej, kilku krajach Azji Południowej i innych miejscach zapalnych, gdzie wywrotowe organizacje działały z korzyścią dla interesów Fundacji, wśród których był handel bronią.

Wszyscy obecni byli znakomicie znani publicznie, wszyscy byli sławni w swoich dziedzinach, ale członkostwo każdego w Fundacji było tajemnicą, znaną jedynie im samym i najbardziej zaufanym współpracownikom. Latali nieustająco po świecie, tkając swą sieć w najdziwniejszych miejscach i gromadząc niesłychane zyski.

Z wielką uwagą słuchali wybranego przez siebie przewodniczącego, niemieckiego miliardera, prezesa jednego z największych na świecie banków, który przedstawiał grożący rynkowi diamentów kryzys. Był potężny, łysy i mówił powoli, ale płynnie po angielsku, czyli w języku zrozumiałym dla wszystkich obecnych.

- Panowie, z powodu Arthura Dorsetta czeka nas kryzys w bardzo ważnej sferze naszych interesów. Analiza jego działań, której dokonały nasze służby wywiadowcze, sugeruje, że rynek diamentów czekają niepewne czasy. Nie wolno mieć złudzeń, że jeżeli Dorsett rzuci na rynek dziesiątki ton diamentów i zacznie je sprzedawać w cenie ziemniaków, a doniesiono nam, że zamierza tak zrobić, to ten zakres działalności Fundacji całkowicie się załamie.

- Kiedy to może nastąpić? - spytał szejk z bogatego w ropę kraju nad Morzem Czerwonym.

- Mam wiadomości z dobrego źródła, że osiemdziesiąt procent zasobów Dorsetta znajdzie się w jego sieci sprzedaży detalicznej za niecały tydzień.

- Ile mamy do stracenia? - spytał Japończyk, prezes olbrzymiego koncernu elektronicznego.

- Trzyście miliardów franków szwajcarskich.

- Boże drogi! - Francuz, właściciel jednego z największych na świecie domów mody damskiej, walnął pięścią w stół. - Ten australijski neandertalczyk ma możliwość zrobić coś takiego?

Przewodniczący skinął głową.

- Wszystko wskazuje na to, że ma wystarczające zapasy, by mu się udało.

- Nigdy nie powinno się było pozwolić Dorsettowi działać poza kartelem - powiedział były amerykański sekretarz stanu.

- Niestety niestety już się stało - powiedział członek zarządu kartelu diamentowego. - Świat kamieni szlachetnych już nigdy nie będzie taki sam jak dotychczas.

- Nie ma sposobu na powstrzymanie Dorsetta, nim diamenty dotrą do jego sklepów? - spytał Japończyk.

- Wysłałem do niego emisariusza, by przedłożył mu propozycję kupienia części kamieni w zamian za powstrzymanie się od wprowadzenia pozostałych do obiegu.

- I co?

- Jeszcze nie mam od niego informacji.

- Kogo pan posłał? - spytał przewodniczący.

- Gabe'a Strousera z firmy Strouser i Synowie, szanowanego agenta handlu diamentami.

- To dobry fachowiec i twardy negocjator - powiedział Belg. - Robiliśmy razem wiele interesów. Jeżeli ktokolwiek jest w stanie przywołać Dorsetta do rozsądku, to on.

Włoch, posiadacz floty kontenerowców, wzruszył obojętnie ramionami.

- O ile dobrze pamiętam, na początku lat osiemdziesiątych sprzedaż diamentów bardzo spadła. Amerykę i Japonię nawiedziło kilka recesji i popyt spadł, powodując przeładowanie rynku towarami. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych gospodarka stanęła na nogi, ceny wystrzeliły na niebotyczne poziomy. Czy możliwe jest, by historia się powtórzyła?

- Rozumiem pańskie rozumowanie, ale tym razem wieje naprawdę lodowaty wiatr i każdy, kogo egzystencja jest zależna od diamentów, zamarźnie - odparł przewodniczący splatając ramiona na piersi. - Wiemy, że Dorsett zainwestował sto milionów dolarów w promocję i reklamę w krajach, gdzie kupuje się gros diamentów. Jeżeli rzeczywiście zacznie sprzedawać towar za ułamek wartości, opinia o wartości diamentów odejdzie w przeszłość, opinia publiczna stwierdzi bowiem, że są niewiele droższe od szkiełek.

Francuz ciężko westchnął.

- Moje modelki poszukałyby sobie wtedy nowych obiektów do inwestycji.

Zamiast diamenty, będę musiał kupować im sportowe samochody.

- Jaki jest sens tej dziwacznej strategii Dorsetta? - spytał dyrektor jednej z największych azjatyckich linii lotniczych. - Nie można przecież powiedzieć, że jest głupi.

- A czy głupia jest hiena, kiedy czeka, aż lew, który zjadł jedynie połowę tego, co upolował, zaśnie? - odparował Niemiec. - Moi agenci w światowej sieci banków dowiedzieli się, że Dorsett wykupił siedemdziesiąt, może nawet osiemdziesiąt procent udziałów we wszystkich liczących się kopalniach kamieni szlachetnych.

Na te słowa rozległ się szmer zainteresowania. Wszyscy obecni zrozumieli plan Arthura Dorsetta.

- Diabolicznie proste - mruknął Japończyk. - Zniszczy wartość diamentów, a potem doprowadzi do niebotycznego poziomu cenę rubinów i szmaragdów.

Rosyjski przedsiębiorca, który zbił fortunę na wykupieniu za bezcen zamkniętych syberyjskich kopalni aluminium i miedzi i ponownym ich otwarciu z wykorzystaniem zachodnich technologii, patrzył z powątpiewaniem.

- Dla mnie wygląda to jakby, jak to się mówi na Zachodzie, Dorsett okradał Piotra, by zapłacić Pawłowi. Czy to możliwe, by zarobił na kamieniach szlachetnych więcej, niż straci na diamentach?

Przewodniczący skinął na Japończyka, który wyjaśnił:

- Na prośbę pana przewodniczącego moi specjaliści przeprowadzili analizę.

Choć wygląda to nieprawdopodobnie, Arthur Dorsett, House of Dorsett oraz spółka Dorsett Consolidated Mining są w stanie zarobić na tej operacji minimum dwadzieścia miliardów dolarów. Prawdopodobnie będzie to dwadzieścia cztery miliardy, co jednak zależy od tempa rozwoju gospodarczego.

- Boże drogi! - westchnął Anglik, właściciel imperium prasowego. - Nie jestem sobie nawet w stanie wyobrazić, co bym zrobił mając dwadzieścia cztery miliardy.

Niemiec roześmiał się.

- Ja bym wykupił pańskie firmy.

- Wyprowadziłbym się na moją farmę w Devonshire za znacznie mniej.

Odezwał się Amerykanin, były sekretarz stanu i głowa jednej z najbogatszych rodzin w Ameryce, członek założyciel Fundacji:

- Czy wiemy, gdzie obecnie znajdują się należące do Dorsetta diamenty?

- Ponieważ sprzedaż ma się rozpocząć za kilka dni - powiedział Południowoafrykańczyk - podejrzewam, że te kamienie, które nie są w trakcie obróbki, są w drodze do sklepów.

Przewodniczący popatrzył między włoskim potentatem armatorem a azjatyckim potentatem lotniczym.

- Czy któryś z panów wie coś o stosowanych przez Dorsetta systemach transportu?

- Wątpię, by przewoził diamenty morzem - powiedział Włoch. - Kiedy statek dotrze do portu, trzeba jeszcze zorganizować transport w głąb kraju.

- Gdybym był Dorsettem, przewoziłbym kamienie samolotami - zgodził się Azjata. - Samolotami można dotrzeć do prawie wszystkich miast świata.

- Może zatrzymalibyśmy jeden lub dwa - powiedział Belg - ale nie znając planu lotów, nie mielibyśmy szans poważnie mu zaszkodzić.

Azjata pokręcił głową.

- Sądzę, że już przejście jednego transportu byłoby sukcesem. Najprawdopodobniej wyczarterował w Australii całą flotę samolotów. Obawiam się, że zamykamy bramę, kiedy krowy już uciekły.

Przewodniczący zwrócił się do Południowoafrykańczyka z kartelu diamentowego.

- Wygląda na to, że maskarada się skończyła. Sztucznie stworzona wartość diamentu jednak nie okazała się wieczna.

Zamiast okazać niepokój, Południowoafrykańczyk uśmiechnął się.

- Przeanalizowaliśmy sprawę w gronie zarządu i doszliśmy do wniosku, że mamy do czynienia jedynie z drobnym niepowodzeniem. Diamenty są wieczne, panowie. Zapamiętajcie moje słowa - ich cena wróci do normy, kiedy szafiry, szmaragdy i rubiny zaczną blaknąć. Kartel wypełni swoje zobowiązania względem Fundacji za pomocą innych minerałów. Nie będziemy siedzieć, beczynnie czekając na odtworzenie się rynku.

Weszła sekretarka przewodniczącego i coś po cichu do niego powiedziała. Skinął głową i popatrzył w kierunku Południowoafrykańczyka.

- Właśnie otrzymałem informację, że pański emisariusz, wysłany na rozmowy z Arthurem Dorsettem, przysłał paczką jego odpowiedź.

- Dziwne, że Strouser nie skontaktował się ze mną osobiście.

- Poprosiłem o przyniesienie tej paczki - mówił dalej przewodniczący. - Pomyślałem, że wszyscy z niepokojem czekamy na rozwikłanie zagadki, czy Pan Strouser odniósł sukces w trakcie negocjacji z Arthurem Dorsettem.

Po chwili sekretarka wróciła, niosąc obwiązane czerwoną i zieloną wstążką sześciokątne pudełko. Przewodniczący wskazał dłonią na Południowoafrykańczyka, sekretarka podeszła i postawiła pudełko przed nim. Do wstążki była przymocowana koperta. Specjalista do spraw diamentów wyjął z niej kartkę i głośno przeczytał:

Są na świecie gips, kwarc i fenakit,

Mamy piasek, brukowce, malachit,

Ale w gębie Strouser

Tani teraz, cholera,

Kamień dziś bez wartości jak sam kit.

Południowoafrykańczyk przerwał i popatrzył z grobową miną na pudełko.

- To mi nie brzmi na słowa Strousera. Nie jest żartownisiem.

- Poza tym nie słyszałem, by pisał limeryki - dodał francuski dyktator mody.

- Niech pan nie czeka, proszę otworzyć pudełko! - ponaglał Hindus.

Wstążka została odwiązana, pokrywka podniesiona i Południowoafrykańczyk zajrzał do środka. Gwałtownie zbladł i skoczył na równe nogi tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedział, poleciało z trzaskiem do tyłu. Zataczając się, podbiegł do okna, otworzył je i zwymiotował. Zaskoczeni, siedzący wokół stołu mężczyźni podeszli do pudełka. Kilku zareagowało podobnie jak Południowoafrykańczyk, inni zamierali w przerażeniu, kilku - ci, którzy w drodze do bogactwa zlecali brutalne morderstwa - patrzyło ponuro i pozornie bez emocji na zakrwawioną głowę Gabe'a Strousera, jego groteskowo rozszerzone oczy i wypchane diamentami usta.

- Wygląda na to, że wysiłki Strousera nie przyniosły efektu - powiedział Japończyk walcząc z zatykającą mu gardło gulą.

Po kilku minutach, których potrzebowano na otrząśnięcie się z szoku, przewodniczący wezwał

szeffa ochrony Fundacji i kazał mu pozbyć się głowy. Potem popatrzył po obecnych, którzy powoli wracali na miejsca.

- Rozumiem, że zostanie w tej sprawie zachowana dyskrecja.

- A co z tym rzeźnikiem Dorsettem? - burknął Rosjanin, czerwony ze złości. - Nie może mu ująć na sucho mordowanie przedstawicieli Fundacji.

- Zgadzam się - przyznał Hindus. - Zemsta musi stać się sprawą priorytetową.

- Zbyt gwałtowne działania nie byłyby rozsądne - przerwał przewodniczący. - Nie byłoby mądre ściągnięcie na siebie uwagi aktami zemsty. Jedna próba wykonania na nim egzekucji nie uda się i nasza działalność zostanie ujawniona. Uważam, że lepszym sposobem będzie podejście Arthura Dorsetta z innej strony.

- Pan przewodniczący ma rację - powiedział Holender powoli, ale dobrym angielskim. - Lepszym kierunkiem akcji będzie powstrzymanie Dorsetta i ruszenie do ataku, kiedy się odkryje. Ktoś o jego charakterze nie uniknie w najbliższej przyszłości poważnego błędu.

- Co pan proponuje?

- Stanąc z boku i przetrzymać go.

Przewodniczący zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem. Zdawało mi się, że proponował pan zachowania ofensywne.

- Sprzedaż diamentów spowoduje, że pozbędzie się zapasów - wyjaśnił Holender. - Zanim zdoła podnieść cenę kamieni szlachetnych i zacząć zarabiać, minie przynajmniej rok. My będziemy dalej pilnować diamentów, trzymać zapasy i wykupimy resztę udziałów w produkcji kamieni szlachetnych.

Zacniemy z nim rywalizować. Mam informacje od moich szpiegów, że Dorsett skoncentrował się na kamieniach bardziej znanych opinii publicznej i pominął kamienie najrzadsze.

- Może dać nam pan przykłady rzadkich kamieni?

- Przychodzą mi na myśl aleksandryt, tsavoryt i czerwony beryl.

Przewodniczący popatrzył na pozostałych obecnych.

- Panowie, wasza opinia?

Angielski wydawca pochylił się do przodu. Ścisnął z całej siły pięści.

- Cholernie dobry pomysł. Mamy więc sposób pokonania Dorsetta jego własną bronią i dodatkowego podniesienia wartości diamentów ku naszej korzyści.

- Czyli zgadzamy się? - spytał przewodniczący z uśmiechem, który miał niewiele wspólnego z wesołością.

Podniosły się wszystkie ręce i czternaście głosów powiedziało „tak”.

CZEŚĆ IV

KATASTROFA W RAJU

16 lutego 2000 roku Honolulu, Hawaje

46

Płowowłosa sierżant w wyblakłych szortach i kolorowej hawajskiej koszuli popijał z puszki piwo i oglądał film z kasety. Leżał rozwalony na kanapie, którą zwędził z jednego z dwóch luksusowych hoteli na hawajskiej wyspie Lanai, kiedy zaczęto je remontować. Oglądał „Dyliżans” z Johnem Wayne’em, choć raczej należałoby powiedzieć - przeżywał, miał bowiem na głowie kupiony w Honolulu hełm do tworzenia rzeczywistości wirtualnej, dzięki któremu mógł „wchodzić” w ekran telewizora i „uczestniczyć” wraz z aktorami w filmie. Leżał właśnie obok Johna Wayne’a na dachu dyliżansu w trakcie niesamowitej sceny pościgu i strzelał do ścigających ich Indian, kiedy akcję przerwało głośnie buczenie. Niechętnie zdjął z głowy hełm i popatrzył na monitory, pokazujące obraz z najważniejszych miejsc tajnego urzędnika wojskowego, którego strzegł. Na monitorze numer trzy widać było samochód, zbliżający się do bramy głównej prowadzącą wśród krzewów ananasa polną drogą. Przedpołudniowe słońce odbijało się od przedniego zderzaka samochodu, za nim unosiły się kłęby kurzu.

Po kilku miesiącach niewesołej służby sierżant doprowadził codzienną rutynę do mistrzostwa. W ciągu trzech minut, jakie samochód potrzebował na dojechanie od bramy wjazdowej do budynku, przebrał się w doskonale uprasowany mundur i zajął stanowisko obok drugiej bramy, zamykającej tunel prowadzący do wnętrza wygasłego wulkanu. Kiedy samochód podjechał, sierżant stwierdził, że pochodzi ze sztabu marynarki. Nachylił się do otwartej szyby kierowcy i powiedział:

- Jesteście w strefie strzeżonej. Macie zezwolenie na wjazd?

Kierowca - ubrany w biel marynarki - wskazał ruchem kciuka za siebie.

- Komandor Gunn ma niezbędne dokumenty.

Biegły w znajomości przepisów i procedur marynarki Gunn nawet nie próbował marnować cennego czasu na zdobycie zezwolenia na demontaż ogromnej anteny satelitarnej, umieszczonej w środku wulkanu Palawai na wyspie Lanai. Przebicie się przez biurokratyczne ścieżki i dowiedzenie się która agencja rządowa jest dysponentem anteny, a następnie walka z odpowiedzialnym departamentem zajęłoby miesiące. Następną przeszkodą - wątpliwe, czy do pokonania - byłoby znalezienie urzędnika, który wzięłby na siebie odpowiedzialność za zgodę na rozebranie anteny i czasowe wypożyczenie go NUMIE.

Gunn postanowił ominąć bezsensowną drogę służbową kazać przygotować w drukarni NUMY sfałszowany dokument w trzech kopiach, zezwalający na przeniesienie anteny na hawajską wyspę Oahu w celu przeprowadzenia tam tajnej operacji badawczej. Następnie dokument został podpisany przez szereg pracowników drukarni, którzy na tę okazję zostali obdarowani fikcyjnymi tytułami. To, co normalnie by zajęło grubo ponad pół roku i w końcu się nie udało, zajęło niecałe półtorej godziny, z czego większość zabrał skład.

Kiedy Gunn - ubrany w mundur komandora marynarki - pokazał autoryzację do rozebrania i zabrania anteny, sierżant dyżurny opuszczonego obiektu okazał się niezwykle chętny do współpracy.

Stał się jeszcze chętniejszy na widok Molly Faraday, siedzącej na tylnym siedzeniu obok Gunna. Jeżeli przeszło mu przez myśl zadzwonić do oficera nadzorującego obiekt, chęć odeszła mu na widok kolumny ciężarówek niskopodwoziowych i ruchomego dźwigu, które wkrótce się pojawiły. Zezwolenie na przeprowadzenie operacji o takim zasięgu musiało pochodzić ze szczytu drabiny służbowej.

- Świetnie mieć czasem towarzystwo - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Siedzieć tu nie mając do kogo gęby otworzyć to dość nudne.

- Ilu was jest? - spytała słodko Molly uśmiechając się przez okno.

- Trzech, proszę pani. Po jednym na każdą ośmiogodzinną zmianę.

- Co robicie po służbie?

- Głównie leżymy na plaży i próbujemy poderwać samotne panienki.

Molly roześmiała się.

- Jak często wolno wam opuszczać wyspę?

- Raz w miesiącu. Siedzimy pięć dni w Honolulu, potem wracamy tutaj.

- Kiedy ostatni raz był tu ktoś z zewnątrz?

Jeżeli sierżant zauważył, że jest przesłuchiwany, nie okazał tego.

- Mniej więcej cztery miesiące temu przyjechał gość z papierami z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa i rozglądał się po obiekcie. Po dwudziestu minutach stracił zainteresowanie i pojechał sobie. Od tego czasu jesteście pierwsi.

- Powinniśmy być gotowi z rozebraniem anteny i załadowaniem jej na samochody późnym popołudniem - stwierdził Gunn.

- Czy mógłbym się dowiedzieć, gdzie zostanie zamontowana?

- Co powiedziałby pan, gdyby okazało się, że idzie na złom?

- Wcale by mnie to nie zaskoczyło - odparł sierżant. - Ponieważ przez kilka lat nie konserwowano anteny, zaczyna wyglądać jak ofiara żywiołów. Gunn był rozbawiony, jak spragniony porozmawiania z kimś marynarz pomaga im mimowolnie w kradzieży. Ponaglił jednak:

- Chcielibyśmy przejechać, sierżancie, i zabrać się do pracy.

Sierżant zsalutował i nacisnął guzik otwierający bramę. Kiedy kolumna ruszyła w głąb tunelu, zaczął machać do kierowców ciężarówek. Wkrótce ostatnia ciężarówka zniknęła mu z oczu. Zamknął bramę, wrócił do wartowni, przebrał się z powrotem w szorty i kolorową koszulę, a następnie włączył magnetowid. Założył hełm i cofnął taśmę do momentu pogoni, położył się na dachu dyliżansu obok Johna Wayne'a i zaczął strzelać do Indian.

- No to jak na razie nieźle - powiedział Gunn do Molly.

- Szkoda, że powiedziałaś temu chłopakowi, że zamierzasz oddać antenę na złom.

- Powiedziałem: „gdyby”.

- Jeżeli zostaniemy przyłapani, że sfałszowaliśmy dokumenty rządowe, pomalowaliśmy samochód, żeby wyglądał na sztabowy, i kradniemy własność marynarki... - Molly pokręciła głową - ...to powiesz nas na pomniku Waszyngtona.

- Chętnie się na to zgodzę, jeżeli dzięki temu uratujemy dwa miliony ludzi przed okropną śmiercią - odparł Gunn bez wyrzutów sumienia.

- Co będzie po odbiciu fali wibracyjnych? Zwrócimy antenę i zamontujemy ją z powrotem?

- Myślę, że nie możemy jej zatrzymać - odpowiedział patrząc na Molly jakby zaskoczyło go, że zadała takie pytanie. - Chyba że wydarzy się wypadek i spadnie na dno oceanu.

Sandeckerowi nie poszło nawet w dziesięć procentach tak gładko. Choć zawsze uważał, że dzięki kumplom można w marynarce załatwić wszystko, nie udało mu się przekonać nikogo na koniecznym poziomie kompetencji do wydania rozkazu wypożyczenia mu lotniskowca „Roosevelt” wraz z załogą. Ktoś gdzieś w łańcuchu pomiędzy prezydentem a głównodowodzącym operacjami Floty Pacyfiku postawił zdecydowane weto.

Chodził po znajdującym się w Pearl Harbor gabinecie admirała Johna Overmeyera z gwałtownością niedźwiedzia, któremu właśnie zabrano młode do zoo.

- Cholera, John! Kiedy wychodziłem od admirała Baxtera z Połączonego Sztabu, zapewnił mnie, że zgoda na użycie „Roosevelta” do umieszczenia w morzu reflektora akustycznego jest pewna. Teraz ty mi mówisz, że nie mogę dostać okrętu.

Overmeyer, który z wyglądu i energii przypominał farmera z Indiany, Uniósł ręce w obronnym geście.

- Nie rzucaj się na mnie, Jim. Mogę ci pokazać rozkazy.

- Kto je podpisał?

- Admirał George Cassidy, oficer dowodzący Dystryktu Marynarki Wojennej San Francisco.

- Jakim sposobem może mieć jakikolwiek związek z tą sprawą biurokrata, który nadaje się najwyżej do zarządzania promami?

- Cassidy nie zarządza promami - słabo zaprotestował Overmeyer. - Jest dowódcą całego Pacyficznego Dowództwa Logistycznego.

- Ale nie jest twoim zwierzchnikiem.

- Nie bezpośrednio, jeśli jednak zechce być wredny, może z natychmiastowym skutkiem skreślić wszystkie dostawy dla każdego mojego statku znajdującego się między Pearl Harbor a Singapurem.

- Nie gadaj, John. Nie ośmieliłby się tego zrobić. Gdyby spróbował sabotować dostawy na twoje statki, szybko zakończyłby karierę w marynarce.

- Myśl, jak uważasz, ale nie zmienia to sytuacji, że nie mogę dać ci „Rossevelta”.

- Nawet na marne siedemdziesiąt dwie godziny?

- Nawet na siedemdziesiąt dwie sekundy.

Sandecker nagle przestał chodzić po gabinecie, usiadł na krześle i popatrzył Overmeyerowi w oczy.

- Mów uczciwie, John. Kto mi założył kajdanki?

Najwyraźniej zaskoczony Overmeyer nie był w stanie wytrzymać spojrzenia i odwrócił wzrok.

- Nie mogę powiedzieć.

- Ale mgła zaczyna się przejaśniać. Czy George Cassidy wie, że został wykorzystany jako czarny charakter?

- O ile jestem zorientowany, to nie - szczerze odparł Overmeyer.

- W takim razie kto w Pentagonie rzuca mi kłody pod nogi?

- Nie słyszałeś tego ode mnie.

- Służyliśmy razem na „Iowie” i wiesz, że nigdy nie zdradzam sekretów.

- Tak, zawsze wierzyłem twemu słowu - bez wahania powiedział Overmeyer i tym razem odwzajemnił spojrzenie Sandeckera. - Nie mam jednoznacznych dowodów, ale znajomy z Centrum Testowego Broni Morskiej zasugerował, że był to sam prezydent, do którego dotarło, że prosiłeś starych kumpli w Pentagonie o pożyczanie lotniskowca. Mój znajomy dał też do zrozumienia, że kilku bliskich prezydentowi naukowców uważa, iż teoria o kataklizmie akustycznym to wytwór chorej

fantazji.

- Czy w żadnym akademickim łbie nie mieści się, że zginęło już od tego sporo ludzi i nie wiadomo ile egzemplarzy fauny morskiej?

- Najwyraźniej nie.

Sandecker oklapł i wypuścił głośno powietrze.

- Cios w plecy z rąk Wilbura Huttona i prezydenckiej Narodowej Rady naukowej.

- Przykro mi, Jim, ale krąży plotka, że zrobił się z ciebie fanatyczny ekscentryk. Bardzo prawdopodobne, że prezydent chce cię zmusić do rezygnacji z kierowania NUMĄ i dać na twoje miejsce jakiegoś swojego partyjnego koleśia.

Sandecker poczuł, jakby nad głową uniósł mu się topór kata.

- No to co? Moja kariera się nie liczy. Czy nikogo nie przekonam? Czy nie mam szans przekonać cię, admirale, że zarówno ty, jak i każdy człowiek pod twoim dowództwem, który znajduje się na wyspie Oahu, za trzy dni będziecie martwi?

Overmeyer popatrzył na Sandeckera z ogromnym smutkiem w oczach. Dla mężczyzny jest czymś strasznym, oglądać jak ktoś się załamuje, zwłaszcza przyjaciel.

- Jim, jeżeli mam być uczciwy, przerażasz mnie. Chciałbym wierzyć twoim sądom, ale zbyt wielu mądrych ludzi uważa, że szansa wystąpienia kataklizmu akustycznego jest tak duża jak szansa na koniec świata.

- Jeżeli nie dasz mi „Roosevelta” - obojętnym tonem powiedział Sandecker - twój świat skończy się w sobotę o ósmej rano.

Overmeyer ponuro pokręcił głową.

- Przykro mi, Jim, ale mam związane ręce. Bez względu na to, czy wierzyłbym w twoją przepowiednię, czy nie, doskonale wiesz, że nie mogę złamać rozkazu otrzymanego od dowódcy.

- Ponieważ nie przekonam cię, lepiej już sobie pójdę. - Sandecker wstał, ruszył ku drzwiom, jeszcze jednak się wrócił. - Masz w Pearl Harbor rodzinę?

- Żonę i dwie wnuczki, które przyjechały w odwiedziny.

- Obym się mylił, ale na twoim miejscu wysłałbym je z wyspy póki jeszcze czas.

Do północy gigantyczna antena była rozebrana dopiero do połowy. Wnętrze wulkanu zalewało jaskrawe światło, a wokół aż huczało od odgłosów agregatów prądotwórczych, uderzeń metalu o metal i przekleństw pracujących ludzi. Pracowano z gorączkowym pośpiechem. Spoceni mężczyźni i kobiety z NUMY odbijali niezliczone zardzewiałe nity, doprowadzone do tego stanu przez brak konserwacji. Nikt nie myślał o śnie ani jedzeniu, wokół krążyły ogromne ilości kawy, czarnej jak otaczający wyspę ocean.

Po wyjęciu z ramy pierwszego kawałka wzmocnianego stałą szklanego włókna, przejął go dźwиг i przeniósł na czekającą ciężarówkę. Po położeniu na pierwszym kawałku pięciu następnych i odpowiednim ich przymocowaniu, ciężarówka wyjechała z wulkanu i ruszyła ku znajdującemu się na zachodnim brzegu wyspy portowi Kaumalapau, gdzie cumował statek, który miał zawieźć antenę do Pearl Harbor.

Rudi Gunn stał bez koszuli, spocony z powodu wysokiej wilgotności dusznego nocnego powietrza, i kierował grupą mężczyzn, pracowicie starających się odłączyć centralną część anteny od podstawy. Raz po raz spoglądał na plany podobnych anten, używanych gdzie indziej do śledzenia ruchu sond kosmicznych. Plany przekazał mu Hiram Yaeger, który włamał się do komputera firmy projektującej i konstruującej anteny.

Molly, przebrana w wygodną bluzę i szorty w kolorze khaki, siedziała niedaleko w niewielkim namiociku. Zajmowała się utrzymaniem komunikacji i rozwiązywaniem wszelkich problemów, które pojawiały się w trakcie rozmontowywania i transportu do czekającego statku. Wyszła z namiotu i podała Gunnowi butelkę zimnego piwa.

- Wygląda mi, że przydałoby ci się coś na przepłukanie gardła.

Gunn z wdzięcznością podziękował i przetoczył butelkę po czole.

- Odkąd przyjechaliśmy, musiałem wlać w siebie z dwadzieścia litrów płynu.

- Szkoda, że nie ma tu Pitta i Giordina - powiedziała smutno. - Brakuje mi ich.

Gunn tępo zapatrzył się w ziemię.

- Wszystkim ich brakuje. Admirałowi o mało nie pęknie serce.

Molly zmieniła temat.

- Jak sytuacja?

Wyciągnął brodę w kierunku rozebranej do połowy anteny.

- Walczy z nami na każdym kroku. Teraz pójdzie trochę szybciej, bo już wiemy, jak się do niej dostać.

- To okropne, że to wszystko może okazać się daremne - stwierdziła po przyjrzeniu się w zamyśleniu ekipie trzydziestu mężczyzn i czterech kobiet, walczących o oddzielenie od siebie kolejnych kawałków anteny, których wysiłek uratowania tak wielu ludzkich istnień zdawał się coraz bardziej bezcelowy.

- Nie spisuj jeszcze Sandeckera na straty - powiedział Gunn. - Co prawda Biały Dom zablokował mu możliwość skorzystania z „Roosevelta”, ale założę się o romantyczną kolację przy świecach i dyskretnej muzyce, że lada chwila znajdzie coś w zamian.

- Zakład stoi - powiedziała z ledwie widocznym uśmiechem. - Jestem gotowa wręcz się oddać.

Spojrzał zdziwiony.

- Słucham?

- Przepraszam, to tylko freudowska czynność pomyłkowa - roześmiała się. - Chciałam oczywiście powiedzieć, że jestem gotowa wręcz się poddać.

O czwartej rano Molly odebrała telefon od Sandeckera. W głosie admirała nie było śladu zmęczenia.

- Kiedy planujecie skończyć?

- Rudi uważa, że ostatnią część załadujemy na pokład „Lanikai”...

- Na co?

- Na „Lanikai”, frachtowiec, który wyczarterowałam do transportu anteny do Pearl Harbor.

- Zapomnijcie o Pearl Harbor. Kiedy skończycie?

- Za pięć godzin.

- Robi się ciasno z czasem. Niech pani przypomni Rudiemu, że zostało niecałe sześćdziesiąt godzin.

- Jeżeli nie do Pearl Harbor, to dokąd mamy płynąć?

- Weźcie kurs na zatokę Halawa na wyspie Molokai - odparł Sandecker. - Znalazłem inną platformę do transportu i zanurzenia anteny.

- Inny lotniskowiec?

- Coś znacznie lepszego.

- Zatoka Halawa jest stąd nie więcej jak sto kilometrów. Jak pan to załatwił?

- Ci, którzy nie oczekują przypadkowych prezentów, pokonują los.

- Strasznie pan tajemniczy, admirale.

- Proszę powiedzieć Rudiemu, żeby jak najszybciej się związał i dotarł do Molokai nie później niż na dziesiątą rano.

W momencie kiedy wyłączyła telefon, do namiotu wszedł Gunn.

- Rozmontowujemy ostatni fragment - rzekł nieładnie zmęczony. - Lada chwila nas tu nie będzie.

- Dzwonił admirał. Kazał zawieźć antenę do zatoki Halawa.

- Na Molokai? - Oczy Gunna zwęziły się pytająco.

- Więcej nie powiedział.

- Jak sądzisz, co za statek zdobył?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Lepiej niech wygram nasz zakład, bo inaczej będziemy musieli zamknąć teatrzyk.

47

Nie było widać księżyca, ale ocean świecił niebieskozieloną fosforescencją, a gwiazdy w górze wypełniały niebo jak nie kończące się światła wielkiego miasta. Wiatr zmienił kierunek i szedł teraz z południa, pchając „Wspaniałą Maeve” ostro na północny zachód. Zielonożółty żagiel z liści wypełnił się wiatrem jak wytatuowana kobieca pierś i łódź skakała po falach niczym ścigający się z mułem rasowy koń. Pitt nigdy by nie pomyślał, że tak dziwnie wyglądający jacht jest w stanie znakomicie płynąć. Oczywiście nie miał szans na zdobycie żadnej nagrody, ale po zamknięciu oczu Pitt bez trudu wyobrażał sobie, że jest na klasowej jednostce i płynie dookoła świata niczym się nie przejmując.

Fale przestały być groźne, chmury nie kryły w sobie tego zagrożenia co jeszcze niedawno, noce nie były aż tak chłodne. Ocean doświadczył ich wystarczająco swym okrucieństwem i surowością, teraz jednak pogoda pomagała, nie zmieniała się raz za razem i pozostawała łagodna.

Niektórych ludzi męczy oglądanie oceanu z tropikalnej plaży albo pasażerskiego statku, Pitt jednak do nich nie należał. Jego niespokojna dusza i dusza kapryśnego oceanu stanowiły jedność, uzupełniały się w zmiennych nastrojach. Maeve i Giordino nie mieli już wrażeń, że walczą o życie. Przyjemne i ciepłe chwile, dotychczas usuwane w cień przez przeciwności losu, były coraz częstsze. Niewzruszony optymizm Pitta, jego zaraźliwy śmiech, nieustająca nadzieja i siła charakteru dawały wsparcie i pomagały spojrzeć w twarz najgorszym wyzwaniom przyrody. Bez względu na sytuację, nie pojawiała się w nim choćby ziarno depresji, bez względu na to, jak był zmęczony mierząc sekstantem wysokość gwiazd albo zaniepokojony zbliżaniem się nagłej zmiany wiatru, zawsze się uśmiechał. Kiedy Maeve stwierdziła, że jest zakochana, jej niezależna dusza postanowiła z tym walczyć, kiedy jednak zaakceptowała nieuniknioność faktu, poddała się uczuciu bezgranicznie. Ciągle łapała się na tym, że obserwuje każdy jego ruch, każdą zmianę wyrazu twarzy podczas ustalania pozycji. Dotknęła jego ramienia.

- Gdzie jesteśmy?

- O świcie ustalę ostatecznie kurs i będę znał odległość dzielącą nas od Gladiatora.

- Dlaczego nie odpoczniesz? Nie spałeś od odbicia z Nieszczęść więcej niż dwie godziny.

- Obiecuję, że kiedy rozpoczniemy ostatni etap, zrobię sobie długą sjęstę - odparł patrząc na kompas.

- Al też nie śpi - powiedziała wskazując na Giordina, badającego wciąż stan zewnętrznych

pływaków i lin, którymi była powiązana łódź.

- Jeżeli wiatr się utrzyma, a moja nawigacja jest jako tako przyzwoita, powinniśmy zobaczyć twoją wyspę pojutrze rano.

Popatrzyła na morze gwiazd nad ich głowami.

- Jakie piękne dziś niebo...

- Jak pewna kobieta, którą znam - powiedział patrząc na kompas, potem na żagle, na końcu na nią.

- Promieniejąca istota o szczerych błękitnych oczach i włosach jak strumień złotych monet. Jest niewinna, inteligentna i została stworzona do miłości i dla życia.

- Wygląda na dość pociągającą osobę.

- To jeszcze nie wszystko. Tak się składa, że jej ojciec jest jednym z najbogatszych ludzi w Układzie Słonecznym.

Przytuliła się do niego, z przyjemnością czując kryjącą się w nim siłę. Musnęła wargami zmarszczki wokół jego oczu i krawędź jego szczęki.

- Podoba ci się, co?

- Podoba? Jest jedyną dziewczyną w tej części Pacyfiku, za którą szaleję.

- Ale w tej części Pacyfiku ja jestem jedyną dziewczyną.

Pocałował ją delikatnie w czoło.

- W takim razie jest twoim obowiązkiem spełnić moje najskrytsze fantazje.

- Biorę cię za słowo na czas, kiedy będziemy sami - powiedziała namiętnie.

- Na razie musisz jednak cierpieć.

- Mógłbym poprosić Ala, żeby poszedł popływać - stwierdził uśmiechając się.

Odsunęła się do tyłu i roześmiała.

- Daleko by nie dopłynął. - Maeve poczuła, jak przepływa przez nią fala radości, że nie stoi między nimi inna kobieta. - Jesteś niezwykłym mężczyzną - szepnęła. - Mężczyzną, o jakim marzy każda kobieta.

Roześmiał się.

- Nieprawda, rzadko zdarza mi się zwalić piękną płeć z nóg.

- Może uważają, że jesteś dla nich nieosiągalny?

- Nie groziłoby im to, gdyby grały uczciwie - powiedział wesoło.

- Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o to, że twoją prawdziwą kochanką jest morze. Widziałam to w twoich oczach w czasie sztormu. Nie zachowywałeś się, jakbyś walczył z oceanem, ale z nim pieścił. Żadna kobieta nie jest w stanie rywalizować z taką miłością.

- Ty też kochasz morze i znajdujące się w nim życie.

Maeve wzięła głęboki wdech.

- Tak, nie żałuję, że poświęciłam się oceanowi.

Giordino przerwał im intymną rozmowę informacją, że jeden z pływaków traci powietrze.

- Podaj pompkę - natychmiast zarządził. - Jeżeli znajdę dziurę, spróbuję ją załatać.

- No i jak podoba ci się nasza „Wspaniała Maeve”? - spytał Pitt.

- Jak dama na konkursie tańca - odparł Giordino. - Jest gibka i zwinna, wszystkie jej stawy pracują znakomicie.

- Będzie się trzymać, aż dobijemy do brzegu i oddam ją do Smithsonian, aby wystawiano ją tam jako najdziwniejszą jednostkę, która utrzymała się na wodzie.

- Wystarczy, że wpadniemy w następny sztorm, by twój plan się nie zrealizował - powiedział

Giordino. Przerwał i rozejrzał się wokół, omiatając wzrokiem czarny horyzont, na którym gwiazdy wpadały w wodę. Nagle zeszywniał. - Widzę światło na bakburcie.

Pitt i Maeve wstali i wbili wzrok w kierunku, w którym wskazywał Giordino. Zobaczyli zielonkawe światelko, informujące, że widzą statek od sterburty, a także białe światła na topach masztów. Wyglądało na to, że mijają ich w kilwatterze idąc na północny wschód.

- Statek - przyznał Pitt. - Mniej więcej pięć kilometrów od nas.

- Nie widział nas - ze strachem powiedziała Maeve. - Nie mamy światła.

Giordino zniknął w kokpicie i zaraz zjawił się ponownie.

- Ostatnia flara Rodneya Yorcka - powiedział unosząc powoli przedmiot w górę.

Pitt przyjrzał się Maeve i zapytał:

- Chcesz zostać uratowana?

Spuściła wzrok na czarny ocean przetaczający się pod ich łodzią i powoli pokręciła głową.

- Decyzja nie należy do mnie.

- Al, twoja opinia? Kusi cię dobre jedzenie i czyste łóżko?

Giordino wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nawet w dziesięciu procentach nie tyle co perspektywa drugiej rundy z Dorsettami.

Pitt objął Maeve ramieniem.

- Popieram go.

- Dwa dni - mruknęła Maeve. - Nie mogę uwierzyć, że zobaczę chłopców.

Pitt przez chwilę nic nie mówił, jedynie myślał o Nieznanym, które ich oczekiwało. Potem powiedział łagodnie:

- Zobaczysz ich i weźmiesz w ramiona. Obiecuję.

Ani razu nie pomyśleli o odstępianiu od swego celu. Umysły Pitta i Giordina działały jak jeden. Wkroczyli w strefę, gdzie nie przejmowali się własnym życiem. Byli tak opanowani żądzą dostania się na wyspę Gladiator, że ani jeden, ani drugi nie zamierzali tracić czasu na patrzenie, jak maleje, a potem znika mijający ich statek.

48

Kiedy zajmujący się przewozem towarów między wyspami frachtowiec, na którym była załadowana rozłożona antena, wpłynął do zatoki Halawa na wyspie Molokai, wszyscy wyszli na pokład i z fascynacją wbili wzrok w niecodzienny statek w porcie. Mająca dwieście dwadzieścia osiem metrów jednostka, pokryta lasem dźwigów i mająca na środku kadłuba dwudziestotrzypiętrową wieżę, wyglądała, jakby zaplanowała ją i zbudowała banda pijanych inżynierów, spastycznych spawaczy i nafciarzy z Oklahomy. Nad rufą wisiało na dźwigarach wielkie ładowisko helikopterów, wyglądające jakby powieszono je tam przypadkiem i wbrew zamysłowi konstruktora. Wysoka nadbudówka z mostkiem znajdowała się w tylnej części, nadawało to statkowi nieco wyglądu tankowca, ale tu podobieństwa się kończyły. Śródkręcie zajmowały liczne maszyny, tak ustawione i ściśnięte, że wyglądało tu jak na śmietniku. Wieżę otaczała płatanina stalowych schodków, rusztowań, drabinek i rur, dochodzących do samej góry i sięgających nieba niczym rampa startowa rakiet kosmicznych. Wysoki pokład dziobowy nie miał luków ładunkowych, jedynie z przodu szereg świetlików. Farba na całym statku była wyblakła, z przebijającymi spod spodu pasmami rdzy. Kadłub był granatowy, nadbudówki białe. Maszyny, z których prawie kompletnie pozłaziła farba, były kiedyś pomalowane całą paletą szarości, żółci i pomarańcza.

- Teraz, kiedy ujrzałem coś takiego, mogę w spokoju umrzeć - westchnął Gunn.

Molly stała obok niego na skrzydle mostka i patrzyła ze strachem.

- Skąd admirałowi udało się wyczarować „Glomar Explorera”?

- Nawet nie zamierzam próbować zgadywać - mruknął Gunn patrząc jak dziecko, które widzi pierwszy raz w życiu samolot.

Z mostka wychylił się kapitan „Lanikai”.

- Komandorze Gunn, admirał Sandecker przy telefonie.

Gunn uniósł dłoń, wszedł na mostek i wziął słuchawkę.

- Spóźniliście się godzinę - było pierwszym co Gunn usłyszał.

- Przepraszam, admirale, ale antena nie była w najlepszym stanie. Kazałem w trakcie demontażu dokonywać napraw i prac konserwacyjnych, żeby składanie poszło szybciej i sprawniej.

- To rozsądne - przyznał Sandecker. - Proszę poprosić kapitana o zacumowanie burta w burtę. Zaczniemy przenosić części anteny natychmiast po tym, jak rzuci kotwicę.

- Czy to co widzę to sławny „Glomar Explorer” Howarda Hughesa?

- Tak, tyle że po kilku przeróbkach. Proszę spuścić szalupę i wejść do mnie na pokład. Czekam w kajucie kapitana. Proszę przyprowadzić panią Faraday.

- Zaraz u pana będziemy.

Budowa statku została zaproponowana przez zastępcę ministra obrony Davida Packarda (przedtem współwłaściciela firmy Hewlett-Packard). „Glomar Explorer” miał być udoskonaleniem zaprojektowanego przez Willarda Bascoma oceanograficznego statku badawczego „Alcoa Seaprobe”, został zbudowany w kooperacji między CIA, korporacją Global Marine i Howardem Hughesem, formalnie zaś jego firmą produkcji narzędzi, przemianowaną w Korporację Summa.

Prace konstrukcyjne prowadzono w Sun Shipbuilding & Dock Company w ich dokach w Chester w stanie Pensylwania i od początku olbrzymi statek był otoczony aurą tajemniczości, czemu pomagało udzielanie na jego temat mających wprowadzić w błąd informacji. Jednostkę zwodowano po czterdziestu jeden miesiącach późną jesienią 1972 roku, co dla tak nowatorskiego projektu było godnym szacunku wyczynem.

Sławę statek zdobył wydobyciem z Pacyfiku, z głębokości pięciu kilometrów, radzieckiej łodzi podwodnej klasy golf. Wbrew wiadomościom prasowym, łódź podniesiono w kawałkach, ale kompletną, co było ogromnym osiągnięciem wywiadowczym, dzięki któremu uzyskano ogromną wiedzę o radzieckiej technologii wojennych okrętów podwodnych. Po przebłysku sławy nie wiadziiano, co dalej robić z „Explorere”, został więc przejęty przez rząd amerykański i przeznaczony przez marynarkę do „zamrożenia”. W ten sposób spędził ponad dwadzieścia lat w zakamarkach zatoki Suisan na północny wschód od San Francisco.

Kiedy Gunn i Molly weszli na pokład olbrzyma, poczuli się jak w środku elektrowni. Oglądane z bliska nagromadzenie maszynierii robiło ogromne wrażenie. Nie było śladu szczelnej ochrony, którą otaczano statek od momentu rozpoczęcia budowy i w trakcie pierwszych rejsów. U szczytu trapu przywitał ich samotny drugi oficer.

- Żadnej ochrony? - spytała Molly.

Oficer uśmiechnął się i wskazał schodki prowadzące na pokład poniżej sterówki.

- Ponieważ operacja nie jest poświęcona kradzieży z dna morskiego cudzych łodzi podwodnych, nie ma statusu tajnej i nie potrzeba wprowadzać środków ochronnych.

- Zdawało mi się, że „Explorer” był „zamrożony”.

- Jeszcze pięć miesięcy temu tak było, wtedy został wydzierżawiony firmie Deep Abyss Engineering w celu prowadzenia dwieście kilometrów na południe od Hawajów wydobywania z dna morskiego miedzi i manganu.

- Zaczęliście już prace?

- Jeszcze nie. Jak na dzisiejsze wymagania, podzespoły statku - zwłaszcza elektroniczne - są przestarzałe i wymagają przeróbki. W tej chwili naprawiamy silniki. Jak tylko skończymy, ruszamy.

Gunn i Molly wymienili spojrzenia, nie wyrazili jednak głośno niepokoju. Jakby nastroszeni na jedną falę, zastanawiali się nad tym samym - w jaki sposób statek, który stał dwadzieścia lat bez ruchu, zawiezie ich na czas na miejsce, gdzie mają zapobiec katastrofie.

Oficer otworzył drzwi do dużej, eleganckiej kabiny.

- Ten apartament był zarezerwowany dla Howarda Hughesa, na wypadek gdyby się kiedykolwiek zjawił na statku, ale o ile mi wiadomo, nigdy to nie nastąpiło.

Wyszedł im naprzeciw Sandecker i przywitał się.

- Kawał dobrej roboty. Gratuluję wam obydwójgu. Rozumiem, że demontaż okazał się znacznie trudniejszy, niż przewidywaliśmy.

- Największym wrogiem była korozja - przyznał Gunn. - Zapieczone złączenia hamowały nas na każdym kroku.

- Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam tylu przekleństw - przyznała Molly. - Może mi pan uwierzyć, że inżynierowie sobie nie żalowali.

- Czy antena spełni nasze wymagania?

- Powinna, jeżeli ocean nie za bardzo się wzburzy i nie rozerwie jej na łączeniach - powiedział Gunn.

Sandecker odwrócił się i przedstawił niskiego, krępego mężczyznę tuż po czterdziestce.

- Kapitan James Quick - moi współpracownicy Molly Faraday i komandor Rudi Gunn.

- Witam na pokładzie - rzekł Quick ściskając im dłonie. - Ilu będzie z panem ludzi?

- Wliczając mnie i panią Faraday, nasza grupa liczy trzydziestu jeden mężczyzn i pięć kobiet - odpowiedział Gunn. - Mam nadzieję, że taka liczba nie sprawi panu kłopotów.

Quick machnął ręką.

- Najmniejszych. Mamy więcej pustych kabin, niż zdążyliśmy policzyć, i jedzenie na dwa miesiące.

- Pański drugi oficer powiedział, że macie problemy z silnikami.

- Mają kupę roboty - stwierdził Sandecker. - Kapitan nie wie, kiedy będziemy mogli wyruszyć.

- A więc kolejna gra z typu spieszmy się, żeby poczekać?

- To był zupełnie nieprzewidywalny przypadek, Rudi. Przykro mi.

Quick włożył czapkę i ruszył ku drzwiom.

- Zbiorę operatorów dźwigu i każę im zacząć przenosić antenę.

Gunn poszedł za nim.

- Pójdę z panem i pokieruję operacją z „Lanakai”.

Kiedy zostali sami, Molly popatrzyła na Sandeckera z podziwem.

- Jak udało się panu przekonać rząd, by pożyczył „Glomar Explorera”?

- Ominąłem Waszyngton i zrobiłem Deep Abyss Engineering propozycję nie do odrzucenia.

Molly wbijała w niego zdziwiony wzrok.

- Kupił pan „Glomar Explorera”?

- Wyczarterowałem go. Kosztowało mnie to rękę i pół nogi.

- Znajdą się na to pieniądze w budżecie NUMY?

- Warunki wymagały szybkiego dobitcia interesu. Nie mogłem się zanadto targować mając do uratowania tylu ludzi. Jeżeli okaże się, że mieliśmy rację, wyduszę pieniądze z Kongresu. Dla bezpieczeństwa wywalczyłem klauzulę płatności po skutecznym wykonaniu zadania.

- Znalezienie „Explorera” po tym, jak marynarka odmówiła pożyczania „Roosevelta”, to jak trafienie na żyłę złota.

- Co los daje, los odbiera. - Sandecker powoli pokręcił głową. - „Explorer” jest na Molokai z powodu awarii łożyska wału napędzania śruby, która przytrafiła się w trasie z Kalifornii. Jeszcze nie wiemy, czy uda się uruchomić statek na czas.

Potężne borny ładownicze na sterburcie, przeznaczone do przenoszenia ciężkich maszyn, obrócono nad ładownie „Lanakai”. Opuszczono umocowane do grubych lin haki, do których podwieszano fragmenty anteny, a następnie w ściśle określonej kolejności przenoszono na pokład „Explorera”.

Transport zakończono w ciągu dwóch godzin, wszystkie fragmenty anteny zostały pewnie przymocowane do pokładu. „Lanakai” podniósł kotwicę, zagwizdał na pożegnanie i wziął kurs na otwarte morze. Jego rola była zakończona. Kiedy przepływał obok, Gunn i Molly pomachali załodze.

Członkom ekipy NUMY przydzielano kajuty i zostali ugoszczeni znakomitą posiłkiem z bogato zaopatrzonej spiżarni „Explorera”. Potem poszli spać w luksusowych kabinach, których nie używano od dnia, kiedy Wyciągano z dna oceanu radziecką łódź podwodną. Molly wzięła na siebie rolę mamuski i obesła wszystkich, by upewnić się, że w trakcie demontażu anteny nikt nie został ranny. Gunn poszedł do kwater zarezerwowanych dawniej dla ekscentrycznego Howarda Hughesa. Sandecker, kapitan Quick i mężczyzna, którego przedstawiono mu jako inżyniera Jasona Tofta, pierwszego mechanika, siedzieli wokół stoliczka do gry w karty.

- Brandy? - spytał Quick.

- Tak, poproszę.

Sandecker siedział w chmurze cygarowego dymu i leniwie popijał złoty płyn z kieliszka. Nie wyglądał na szczęśliwego wczasowicza.

- Pan Toft właśnie nas zawiadomił, że nie będzie mógł naprawić silnika, dopóki nie otrzyma części z kontynentu.

Gunn wiedział, że admirał kipi w środku, choć na zewnątrz wyglądał jak kubełek lodu. Popatrzył na Tofta.

- Kiedy spodziewa się pan tych części?

- Właśnie lecą z Los Angeles - odparł Toft, mężczyzna gruby i krótkonogi. - Powinny wylądować za cztery godziny. Nasz helikopter czeka na lotnisku Hilo na największej wyspie Hawajów i przyleci z częściami prosto tutaj.

- Na czym dokładnie polega problem? - spytał Gunn.

- Mamy popsute łożyska wału napędzania śruby - wyjaśnił Toft. - Z niewiadomego powodu, prawdopodobnie dlatego że konstrukcję nadzorowała CIA, wał nie został odpowiednio wyważony. W drodze z San Francisco drgania doprowadziły do pęknięcia przewodów smarujących i do łożysk nie docierał olej. Drgania, zmęczenie materiału, przeciążenia, można to różnie nazwać, spowodowały, że lewy wał zatarł się sto mil przed Molokai. Choć ze zmniejszoną prędkością, płynęliśmy na prawej śrubie, dopóki nie spaliły się łożyska prawego wału.

- Jak pan zapewne wie, sprawa może rozegrać się o minuty.

- Doskonale rozumiem pański problem, admiralu. Moi ludzie będą pracować jak szaleni, ale są tylko ludźmi. Muszę poza tym ostrzec, że problemy nie kończą się na łożyskach wałów. Silniki co prawda nie były eksploatowane, statek przepłynął w swoim życiu ze Wschodniego Wybrzeża na środek Pacyfiku i z powrotem do Kalifornii, ale z powodu braku konserwacji przez dwadzieścia lat, są w złym stanie. Nawet jeżeli uruchomimy jedną śrubę, nie dam gwarancji, że nie staniemy ponownie przed wyjściem z portu.

- Czy dysponuje pan koniecznymi do naprawy narzędziami? - naciskał Sandecker.

- Zdjęliśmy już łożyska prawego wału i przygotowaliśmy go do wymiany części. Nie powinno to zająć wiele czasu. Oczywiście, lewy wał może zostać naprawiony jedynie w warunkach stoczni.

- Dlaczego wasza firma nie naprawiła „Explorera” w San Francisco, kiedy go przejęliście? - zapytał Gunn.

- Niech pan zapyta księgowych - wzruszył ramionami Quick. - Razem z panem Toftem zalecaliśmy remont przed wypłynięciem z Hawajów, ale dyrekcja nie chciała o tym słyszeć. Pozwolono nam popłynąć do stoczni jedynie po to, by usunąć część starych urządzeń dźwigowych i zainstalować urządzenia bagrujące. Natychmiastowa konserwacja pozostałych urządzeń byłaby ich zdaniem marnotrawieniem pieniędzy i w razie czego będziemy mogli naprawiać awarie mechaniczne na wodzie albo w Honolulu, do którego, jak widać, nie udało nam się dotrzeć. Na dodatek nie mamy dość załogi. Pierwotnie statek obsługiwały sto siedemdziesiąt dwie osoby, ja mam na pokładzie sześćdziesięcioro mężczyzn i kobiet, głównie marynarzy, operatorów dźwigów i sprzętu oraz mechaników. Dwunastu to geologowie, inżynierowie i elektronicy. W odróżnieniu od pana, komandorze Gunn, mamy szkielet załogi.

- Przykro mi, kapitanie - stwierdził Gunn. - Współczuję.

- Kiedy będziemy mogli ruszyć? - spytał Tofta Sandecker, próbując nie okazywać zmęczenia, które nagromadziło się w nim w ciągu minionych kilku tygodni.

- Za trzydzieści sześć godzin, może więcej.

Wszyscy popatrzyli na Sandeckera i zapadła cisza. Admirał wbił w inżyniera wzrok tak zimny jak u masowego mordercy.

- Powiem panu jeszcze raz, i to szczerze: jeżeli za trzydzieści pięć godzin nie będziemy na miejscu konwergencji z anteną w wodzie, zginie więcej ludzi, niż ma mieszkańców niejedno małe państwo. To nie jest fantazja zrodzona w chorym mózgu ani hollywoodzki scenariusz. To wydarzy się naprawdę i nie zamierzam patrzeć na morze trupów mówiąc sobie, że mógłbym temu zapobiec, gdybym dał z siebie wszystko. Nieważne, jakich czarów będzie to wymagać, musimy mieć antenę w wodzie, i to odpowiednio ustawioną, pojutrze o ósmej rano.

- Nie mogę obiecywać rzeczy niemożliwych - ponuro odparł Toft - jeżeli jednak nie zdążymy, nie będzie to wina moich ludzi, którzy kiedy zaczną, zapracują się na śmierć. - Wypił brandy i wyszedł, ciężko zamykając za sobą drzwi.

- Obawiam się, że obraził pan mojego pierwszego mechanika - powiedział Quick. - Nie uważa pan, że zrzucanie na niego winy, gdyby miało się nam nie udać, to lekka przesada?

Sandecker zamyślony patrzył na drzwi, które przed chwilą zamknął za sobą Toft.

- Stawka jest zbyt wysoka, kapitanie. Nie zamierzałem zrzucić odpowiedzialności na pana Tofta, ale czy nam się to podoba, czy nie, właśnie on trzyma w swych rękach los mieszkańców wyspy Oahu.

Następnego popołudnia o wpół do czwartej do sterówki wszedł wymizerowany, oblepiony

brudem Toft i oświadczył:

- Łożyska w prawym wale zostały wymienione. Możemy ruszać, ale maksymalną prędkością będzie pięć węzłów.

Sandecker uścisnął inżynierowi rękę.

- Niech Bóg pana błogosławi!

- Jak daleko jesteśmy od miejsca konwergencji? - spytał Quick.

- Osiemdziesiąt mil morskich - bez wahania odpowiedział Gunn, który kilkanaście razy przebiegał kurs i trasę w głowie.

- Na styk - westchnął kapitan. - Przy pięciu węzłach, osiemdziesiąt mil zajmie szesnaście godzin, jeśli więc ruszymy natychmiast, będziemy na miejscu kilka minut przed ósmą rano.

- Ósma zero zero - powiedział Gunn głosem niewiele głośniejszym od szeptu. - Dokładnie o tej godzinie Yaeger przewidział konwergencję.

- Na styk - powtórzył jak echo Sandecker - ale pan Toft umożliwił nam podjęcie walki.

Gunn wyglądał, jakby nagle postarzał się o kilka lat.

- Mam nadzieję, admirale, iż zdaje pan sobie sprawę z tego, że jeżeli znajdziemy się w strefie konwergencji, ryzykujemy śmierć?

Sandecker popatrzył po obecnych bez mrugnięcia okiem.

- Wiem. Bardzo ryzykujemy.

49

Tuż po północy Pitt dokonał ostatniego pomiaru gwiazd i wykorzystując światło księżyca, wyznaczył pozycję. Jeżeli się nie pomylił, powinni ujrzeć wyspę Gladiator za kilka godzin. Kazał Maeve i Giordinowi patrzeć do przodu, sam skorzystał z luksusu godzinnego snu. Kiedy Maeve delikatnie nim potrząsnęła, miał wrażenie, że nawet nie zdążył zasnąć.

- Twoja nawigacja była bez zarzutu - powiedziała z podnieceniem w głosie.

- Widać wyspę.

- Wspaniała nawigacyjna robota, przyjacielu - pogratulował Giordino. - Przebiłeś szacowany przez siebie czas przybycia.

- Dotarliśmy w ostatniej chwili - powiedziała Maeve ze śmiechem. - Z żagla zaczynają wypadać liście.

Pitt patrzył w noc, ale widział jedynie odbicie nieba i gwiazd w wodzie. Chciał właśnie otworzyć usta, by powiedzieć, że nic nie widzi, kiedy przez zachodni horyzont przebiegło światło, po którym pojawiła się czerwona poświata.

- Macie na wyspie latarnię morską? - spytał Maeve.

- Niewielką, na skraju południowego wulkanu.

- Choć raz twoja rodzina zrobiła coś dla ludzkości.

Maeve roześmiała się.

- Kiedy pradziadek ją budował, nie myślał o zagubionych żeglarzach. Postawił latarnię, by ostrzegać statki przed przybijaniem do wyspy.

- Dużo ich rozbilo się o wyspę?

- Kiedy byłam mała, tata często mówił o rozbitych na klifach statkach.

- Dużo ludzi uratował?

Maeve pokręciła głową.

- Nigdy nie było mowy o ratowaniu kogokolwiek. Zawsze twierdził, że kto nieproszony stawia stopę na Gladiatorze, to tak jakby umówił się na randkę z szatanem.

- To znaczy?

- To znaczy, że ranni byli mordowani, a ci, co się uratowali, wysyłani dożywotnio do pracy w kopalni. Nikt nie uciekł, aby opowiedzieć światu, co się dzieje na wyspie.

- Tobie się udało uciec.

- Byłoby lepiej, gdyby udało się zbiec któremuś z górników. Nikt nigdy nie wierzył w to, co mówiłam o mojej rodzinie. Kiedy próbowałam przedstawić sytuację władzom, tata przekupywał urzędników.

- A co z pracującymi teraz w kopalniach Chińczykami? Ilu opuściło wyspę w jednym kawałku?

W minie Maeve nie było śladu optymizmu.

- Praktycznie każdy umiera z powodu wysokiej temperatury w głębi kopalni.

- Wysokiej temperatury? - Pitt był wyraźnie zdziwiony. - Skąd się bierze?

- Para wodna przedostaje się przez pęknięcia w skale.

Giordino popatrzył na Pitta z zadumą.

- Idealne miejsce do organizacji związku zawodowego - powiedział.

- Dobijemy do brzegu za mniej więcej trzy godziny. Jeszcze jest czas na zmianę planu, omińcie wyspy i wzięcie kursu na Australię.

- To niezwykle niewdzięczna, bezlitosna kraina - westchnął Giordino. - Nie warto tam się udawać nie mając uzasadnionego powodu.

- Oto głos prawdziwego Amerykanina - powiedział z uśmiechem Pitt. Popatrzył na księżyc, jakby go szacował. - Myślę, że jest wystarczająco widno jak dla nas.

- Ciągle jeszcze nie wyjaśniłeś, jak zamierzasz wejść na wyspę nie będąc zauważonym przez ludzi taty.

- Najpierw opowiedz mi o otaczających wyspę klifach.

Popatrzyła na niego kątem oka, wzruszyła w końcu ramionami.

- Nie ma wiele do opowiadania. Klify otaczają całą wyspę z wyjątkiem laguny. Zachodni brzeg jest zazwyczaj atakowany przez wielkie fale, wschodni jest nieco spokojniejszy, ale też niebezpieczny.

- Czy na wschodnim brzegu są jakieś małe zatoczki z piaszczystymi plażami albo wycięte w klifie kominy?

- Pamiętam dwie. Jedna ma dobre warunki do wplynięcia, ale bardzo małą plażę, druga jest ciaśniejsza, ale ma szerszy pas piasku. Jeżeli zamierzasz wplynąć w którąkolwiek, od razu wybij to sobie z głowy. Urwiska nad nimi idą pionowo na sto metrów. Żaden kwalifikowany alpinista, nawet dysponując najnowocześniejszym sprzętem, nie marzyłby nawet o wejściu tamtędy nocą.

- Mogłabyś wskazać nam drogę do mniejszej zatoczki z szerszą plażą?

- Nie słyszałeś? Możesz tak samo spróbować wejść na Mount Everest dysponując wyłącznie grabiami. Poza tym patrole sprawdzają urwisko co godzina.

- W nocy też?

- Tata nie pozostawia przemytnikom diamentów najmniejszej furtki - powiedziała tonem, jakby mówiła do tępego ucznia.

- Jak duże są patrole?

- Dwóch ludzi i obchodzą w trakcie zmiany całą wyspę. Po godzinie idzie za nimi następna

dwójka.

- Czy mogą widzieć z góry urwiska plażę w dole?

- Nie. Stromizna jest za duża. - Patrzyła na Pitta oczami okrągłymi ze zdziwienia. - Dlaczego tyle pytasz o wschodnią stronę? Jediną drogą dostania się na wyspę jest laguna.

Pitt wymienił się z Giordinem szelmowskimi uśmieszkami.

- Ma ciało kobiety, ale umysł sceptyka - powiedział Pitt.

- Nie przejmuj się - odparł Giordino. - Mnie kobiety też nigdy nie wierzą.

Pitt przyglądał się skałom, przy których wydarzyło się tyle nieszczęść, skałom, przy których ci, co się o nie rozbili i ocaleli, zaczęli żałować, że nie utonęli, by uniknąć niewolniczej pracy w kopalni Dorsetta. Kiedy klify wychynęły z ciemności, pasażerowie „Wspaniałej Maeve” zamarli i zamilkli. Pitt widział plecy Maeve, wychylonej przez dziób do przodu, wypatrującej mogących wystawać z wody skał. Popatrzył na Giordina - twarz przyjaciela błysnęła białą, kiedy skłonił powoli głowę, potwierdzając, że jest gotów do zapalenia silnika.

Światło księżycy było lepsze, niż śmiał mieć nadzieję - wystarczająco jasne, by oświetlić pionowe skały, i wystarczająco słabe, by uchronić „Wspaniałą Maeve” przed czujnymi oczami na szczycie urwiska. Tak jakby księżyc nie był wystarczająco pomocny, zaczęło ich wspierać morze uspokajając swoją powierzchnię. Na domiar szczęścia zaczęła wiać wschodnia bryza, bez której plany Pitta nie miały szans realizacji. Skierował trimaran na kurs równoległy do brzegu. Siedemdziesiąt metrów dalej z ciemności wyrastała fosforyzująca pozioma linia skłębionej piany, której ruchowi towarzyszyło głębokie dudnienie walącej o klify wody.

Dopóki nie opłynęli krańca wyspy a wulkan nie zasłonił ich przed promieniem światła z latarni morskiej, Pitt czuł się jak więzień ze starego filmu, który próbuje uciec przez mur, ścigany przez reflektory. Nie wiadomo dlaczego, ścichli do szeptu - jakby można ich było słyszeć przez fale przyboju.

- Jak daleko jeszcze? - spytał Pitt.

- Jeśli dobrze pamiętam, to od latarni jest kilometr - odpowiedziała nie odwracając głowy.

Po skręceniu na północ łódź wyraźnie straciła szybkość i Pitt miał trudności z utrzymywaniem kursu. Podniósł rękę i dał Giordinowi znak, by uruchomił silnik. Najpierw na chwilę stanęło mu serce, potem ruszyło z kopyta - Al ciągnął za linkę dziesięć, potem dwadzieścia razy, a silnik nie chciał zapalić.

Giordino zrobił przerwę, pomasował zmęczone ramię, popatrzył groźnie na antyczny silniczek i zaczął do niego przemawiać.

- Nie zapalisz za następnym razem, rzucę się na ciebie i sponiewieram każdy spaw w twoim karburatorze. - Zacisnął rękę na uchwycie i z całej siły pociągnął. Silnik zakasłał, kilka razy prychnął i przeszedł do równomiernej pracy. - Oto kolejne potwierdzenie prawa Giordina - powiedział krępy Włoch łapiąc oddech. - W głębi duszy każdy wytwór mechaniki boi się iść na złom.

Teraz Pitt mógł spuścić żagle i wyjąć z kokpitu latawiec. Do linki latawca, tuż pod nim, przywiązał znaleziony w chacie Yorka hak. Potem usiadł i zaczął czekać wiedząc, że ma tylko jedną szansę, by to, co zamierzał, udało się.

- Skręć na bakburtę - ostrzegła Maeve wskazując ręką w lewo. - Pięćdziesiąt metrów przed nami wystaje z wody skała.

- Skręcam na bakburtę - potwierdził Giordino przesuwając rumpel i skręcając dwadzieścia stopni w kierunku brzegu. Uważnie przyglądał się spienionej wodzie, opływającej wystające nad

wodę czarne skały, nim znalazły się za nimi.

- Maeve, widzisz coś? - spytał Pitt.

- Jeszcze nie jestem pewna. Nigdy nie musiałam szukać tej cholernej zatoczki po nocy.

Pitt obserwował przybój. Fale rosły i zbijały się gęściej.

- Dopływamy do końca wyspy. Jeszcze trzydzieści metrów i wypłyniemy na otwartą wodę.

- Nie, nie, chyba widzę przesmyk. Tak, jest! To zatoka z większą plażą!

- Jak daleko?

- Sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt metrów - odparła wyciągając dłoń w kierunku klifu.

Teraz Pitt też zobaczył zatoczkę. Było to niewielkie pionowe pęknięcie w skalnej ścianie, którego wewnątrz znikало w ciemności. Polizał palec i wystawił go na wiatr.

- Dziesięć minut - wymamrotał. - Potrzebuję dziesięciu minut. - Odwrócił się do Giordina. - Al, możesz utrzymać nas w miejscu dwadzieścia metrów od wejścia do zatoki?

- Przy tym prądzie nie będzie to łatwe.

- Rób, co możesz. - Pitt odwrócił się do Maeve. - Weź rumpel i skieruj dziób prosto na przybój. Skoordynuj się z Alem, by nie znosiło nas na boki. - Rozłożył latawiec. Dakronowa powierzchnia miała prawie dwa i pół metra wysokości. Uniósł konstrukcję nad burtą łodzi i z zadowoleniem czuł, że bryza wrywa mu płachtę z ręki. Latawiec zaczął się wznosić w ciemne niebo i Pitt równomiernie popuszczał linkę.

Maeve nagle zrozumiała geniusz jego planu.

- Chodzi o hak. Chcesz, żeby zaczepił się na górze klifu i wejdziemy po linie.

- O to właśnie chodzi - przyznał skupiając wzrok na niewyraźnym konturze latawca, słabo widocznego w świetle księżyca.

Zręcznie manipulując przepustnicą i dźwignią DO PRZODU/DO TYŁU, Giordino wykonał zadanie utrzymania jachtu w miejscu po mistrzowsku. Nie odzywał się ani nie odrywał wzroku od wody, by choć przez chwilę spojrzeć, co robi Pitt. Pitt modlił się o stały wiatr, dostał jednak więcej, niż prosił. Wiejąca w kierunku klifu bryza, napotkawszy przeszkodę, zmieniała kierunek na wznoszący, a po dotarciu do skraju urwiska znów wiała poziomo. Wiatr był taki, że Pitt o mało nie wypuścił latawca. Co prawda przerobił rękaw kurtki na rękawicę ochronną, żeby linka nie przecięła mu dłoni, ale mało brakowało, by wyrwało mu ręce z barków. Ścisnął zęby i wisiał całym ciałem na linie, a przez głowę przelatywały mu wizje wszelkich możliwych katastrof, które zaraz mogą się wydarzyć: może się zmienić wiatr i latawiec uderzy w klif, nim doleci na górę, Giordino straci panowanie nad jachtem, hak nie zahaczy się o skałę i spadnie, pojawi się patrol i ich odkryje.

Musiał się jednak zając konkretami, odrzucił więc myśli o porażce. Przy tak ciemnej nocy, nawet mając do pomocy księżyc, nie było szansy zobaczyć, kiedy latawiec - a więc i hak - będą na szczycie. Poczł, jak przez ręce przelatuje mu supeł, oznaczający, że w górze jest już sto metrów linki. Trudno mu było sobie wyobrazić, że nie puści linki, nim przeleci mu przez ręce kolejne dwadzieścia metrów, na szczęście latawiec stracił wiatr wznoszący, linka przestała przelatywać przez dłonie - musiał spaść na szczycie urwiska na skały. Pitt kilka razy pociągnął i kiedy stwierdził, że hak na górze trzyma, spadł mu kamień z serca. Za pierwszym razem złapał skałę.

- Al, wpływaj. Ruszamy na górę.

Giordino tylko na to czekał. Walka o utrzymanie trimaranu w miejscu nie była łatwa. Szczęśliwy, że może już to zrobić, pchnął dźwignię na DO PRZODU, otworzył przepustnicę i precyzyjnie „Wspaniałą Maeve” między skałami do schronienia pod klifem.

Maeve wróciła na dziób i znów zaczęła kierować Giordina przez ciemną wodę, która im bliżej ściany, tym wydawała się spokojniejsza.

- Widzę plażę - powiedziała w końcu. - Piętnaście metrów przed nami, na prawo jest pasek piasku.

Nie minęła minuta, jak dziób i zewnętrzne pływaki dotknęły plaży i wsunęły się na piasek. Pitt popatrzył na Maeve. Klif zakrywał księżyc, więc widział jej kontury niewyraźnie.

- Jesteś w domu - powiedział krótko.

Potrząsnęła głową. Wąskim przesmykiem między skałami popatrzyła na niebo i gwiazdy, które zdawały się oddalone od nich o lata świetlne.

- Jeszcze nie.

Pitt cały czas trzymał w ręku linkę. Drugą zarzucił Maeve kurtkę na ramiona.

- Wchodźmy, nim pojawi się patrol.

- Powinienem iść pierwszy - powiedział Giordino. - Jestem najsilniejszy.

- Niepotrzebnie o tym mówisz - odparł Pitt uśmiechając się pod nosem.

- Myślę, że i tak teraz byłaby twoja kolej.

- No tak, chcesz się zemścić za to, że musiałem przyglądać się niczym bezradny ślimak, jak ten terrorysta przecina ci linkę, kiedy pływałeś w tej dziurze w Andach, co?

- Musiałem wejść po ścianie mając tylko dwa śrubokręty.

- Opowiedz o tym jeszcze raz. Słucham tego zawsze z przyjemnością.

- W drogę, krytyku, i miej oczy otwarte na patrole.

Giordino skinął głową, chwycił linkę i pociągnął sprawdzając wytrzymałość.

- Nie trzaśnie?

- Miejmy nadzieję, cóż nam pozostaje?

Giordino kwaśno na niego spojrzał i zaczął się wspinać. Szybko zniknął w ciemności. Pitt trzymał linkę, żeby nie bujała się na boki.

- Znajdź kilka kamieni i przywiąż jacht - kazał Maeve. - Jeżeli dojdzie co do czego, może się zdarzyć, że będziemy musieli skorzystać z niego do ucieczki.

Maeve popatrzyła na niego z niewiarą.

- A jak inaczej moglibyśmy uciekać?

- Jestem leniwym człowiekiem. Mam nadzieję, że uda nam się ukraść któryś z jachtów twojego tatusia, może helikopter.

- Ukryłeś gdzieś wojsko, o czym nic nie wiem?

- Masz przed sobą jego połowę.

Rozmowa zamarła, choć bowiem nic nie widzieli, wbijali wzrok w skałę nad sobą, spekulując jak Giordino sobie radzi. Jediną informacją, że się porusza, były drgania linki.

Po półgodzinie Giordino zatrzymał się na złapanie oddechu. Ramiona bolały go, jakby dźgały je tabuny diabłów. Biorąc pod uwagę nierówności skały, wspinał się całkiem sprawnie. Bez linki wejście nie byłoby możliwe. Nawet mając odpowiedni sprzęt, to biorąc pod uwagę konieczność posuwania się metr za metrem, szukania uchwytów dla palców, wbijania haków i wiązania lin, wspinaczka zajęłaby przynajmniej sześć godzin. Odpoczął nie więcej niż minutę i już ruszał dalej. Był zmęczony, ale parł w górę silnymi pociągnięciami rąk, odpychał się nogami od ściany, by minąć przewieszki, wykorzystywał każdy występ, by podeprzeć się nogami. Cienka linka Yorka wkrótce przetarła mu skórę do krwi. Była na granicy utrzymywania jego ciężaru, ale Pitt nie miał wyboru -

czegoś grubszego, a więc i cięższego latawiec nie wyciągnąłby w górę. Giordino zrobił kolejny przystanek i popatrzył na odcinający się od gwieździstego nieba skraj urwiska. Pięć metrów.

Oceniał, że zostało mu jeszcze pięć metrów. Płuca pracowały bolesnymi rybnymi oddechami, klatkę piersiową i ramiona miał całe poobijane od uderzeń o wystające skały. Jego ogromna siła była niemal całkowicie wyczerpana, ostatnie kilka metrów wspinał się głównie mocą woli. Trudny do zniszczenia, twardy niemal jak skała, na którą się wspinał, Giordino nie chciał ustać w ruchu, ponieważ obawiał się, że wtedy nie ruszy ponownie. Nagle przed oczami miał skraj klifu - jeszcze jedno pociągnięcie i leżał płasko na ziemi, słuchając walenia serca, dysząc jakby miał zamiast płuc kowalskie miechy, wypuszczając z siebie i wdychając jak najwięcej powietrza.

Przez następne trzy minuty nie poruszył się, czując ulgę, że tortura nareszcie się skończyła. Obserwował najbliższe otoczenie i stwierdził, że leży w poprzek biegnącej skrajem klifu ścieżki. Kilka kroków dalej ciemno piętrzyła się niegościnna ściana drzew i krzewów. Nie widząc żadnego ruchu ani światła, przeciągnął dłonią wzdłuż liny i stwierdził, że hak jest wbity pomiędzy wystające skały.

Zwariowany pomysł Pitta okazał się nad wyraz skuteczny.

Zadowolony z tego, że hak nie zamierza się urwać, Giordino wstał. Odwiązał latawiec i schował go w krzakach, potem wrócił do skraju klifu i dwa razy energicznie pociągnął za znikającą w dole linkę.

Daleko w dole Pitt powiedział do Maeve:

- Twoja kolej.

- Nie wiem, czy sobie poradzę - odpowiedziała nerwowo. - Boję się trochę wysokości.

Pitt zrobił pętlę, zarzucił ją Maeve wokół ramion, ściągnął w dół i zacisnął wokół pasa.

- Trzymaj się mocno linki, odchylaj tułów do tyłu i podpieraj się nogami, jakbyś wchodziła. Al będzie cię wciągał. - Dał znak Giordinowi trzema szarpnięciami. Maeve poczuła, jak linka się naprężyła, potem zaciska wokół jej pasa. Zamknęła oczy i zaczęła wspinać się po pionowej skale jak mucha.

Giordino, zbyt słaby, by wciągać Maeve rękami, znalazł w skale zagłębienie tak ukształtowane, by nie uszkodziło linki, kiedy będzie się przez nie prześlizgiwać, włożył ją tam i zarzucił sobie na ramię. Nachylił się do przodu i ruszył przed siebie, wciągając Maeve w górę. Była na górze po piętnastu minutach, wychynęła nad krawędź z zaciśniętymi oczami.

- Witamy na szczycie Matterhornu - ciepło przywitał ją Giordino.

- Dzięki Bogu, że to już za mną - jęknęła z wdzięcznością, otwierając oczy po raz pierwszy od momentu uniesienia się nad plażę. - Wątpię, czy byłabym w stanie kiedykolwiek to powtórzyć.

Odwiązał ją.

- Będę wciągał Dirka, a ty się rozglądaj. Na północ widać dobrze na dużą odległość, ale na południe ścieżkę pięćdziesiąt metrów stąd skrywają skały.

- Pamiętam to miejsce. W środku jest kolisty placzyk, który skały otaczają jak naturalną warownię. W dzieciństwie bawiłyśmy się tu z Deidre udając, że mamy królestwo. Miejsce nazywa się Zamek i jest w nim ławka dla strażników i telefon.

- Musimy wciągnąć Dirka, nim nadejdzie patrol - powiedział Giordino, ostrożnie rzucając linę w dół.

Pitt miał wrażenie, że zostanie wciągnięty na górę w czasie, który nie wystarczyłby do usmażenia jajka, niecałe dziesięć metrów od krawędzi Giordino przestał go jednak ciągnąć. Nie było słowa

ostrzeżenia, panowała całkowita cisza. Mogło to oznaczać tylko jedno - nie zmieścili się w czasie i pojawił się patrol. Nie mając możliwości sprawdzenia, co dzieje się na górze, Pitt wcisnął się w niewielkie zagłębienie i zamarł, przysłuchując się nocnym odgłosom.

Maeve zauważyła promień latarki w momencie, kiedy strażnicy wychodzili zza Zamku, i natychmiast zaalarmowała Giordina. Zawiązał linę wokół drzewa, żeby Pitt nie obsunął się w dół, rzucił na nią garść liści i piachu, nie zdążył jednak zakamuflować haka.

- Co z Dirkiem? - zaszepotała Maeve. - Nie zdziwi się i nie zawoła?

- Domyśli się, co się stało, i będzie siedział cichutko jak myszka - bez wahania odpowiedział Giordino. Pchnął Maeve w krzaki za ścieżką. - Siedź cicho, aż przejdą.

Po setkach zrobionych w minionych czterech miesiącach rund wokół wyspy, w czasie których nie było niczego niecodziennego, dwuosobowy patrol powinien być nieuważny i pobieżny. Rutynowa beczynność zawsze prowadzi do nudy i obojętności. Strażnicy powinni byli przejść, widząc te same co zawsze skały i te same zakręty ścieżki, słysząc ten sam oddalony odgłos bijącego daleko w dół o skały przyboju, ci byli jednak doskonale wyszkoleni i wysoko opłacani. Fakt - byli znudzeni, ale nie uśpieni w czujności.

Widząc, że strażnicy uważnie obserwują każdy centymetr ścieżki przed sobą, Giordinowi mocniej zabiło serce. Nie mógł wiedzieć, że Dorsett płaci dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za odciętą dłoń złapanego przemytnika. Nie wiadomo, co działo się z resztą ciała, ale nikogo to zbytnio nie interesowało.

Strażnicy zauważyli coś i stanęli przed Giordinem i Maeve.

- Zobacz, coś tu jest, czego nie zauważył poprzedni patrol albo czego nie było godzinę temu.

- Co widzisz?

- Wygląda jak hak z bosaka. - Pierwszy strażnik ukląkł i odrzucił pośpiesznie zrobiony kamuflaż.

- Proszę, proszę, odchodzi od niego linka, która opada w dół klifu.

- To pierwsza próba wejścia urwiskiem od trzech lat, kiedy złapaliśmy tych kanadyjskich przemytników.

Obawiając się podejść zbyt blisko skraju urwiska, strażnik poświecił latarką w dół, ale oczywiście nic nie zobaczył. Drugi wyjął nóż i zaczął się szykować do przecięcia linki.

- Jeżeli ktoś jest w połowie drogi, będzie bardzo niezadowolony - powiedział.

Maeve widząc, że Giordino wychodzi na ścieżkę, o mało się nie zakrzuszyła.

- Nie macie nic lepszego do roboty niż łaźnić po nocy? - zapytał strażników.

Pierwszy strażnik zamarł z uniesionym nożem. Drugi zawirował wokół własnej osi i skierował lufę M-16 prosto w pierś Giordina.

- Stań grzecznie albo zrobię ci dziurkę.

Giordino zrobił, co mu kazano, napiął jednak mięśnie nóg, by skoczyć. Z przerażeniem krążyło mu po głowie, że jeszcze kilka sekund, a Pitt spadłby ze skały i roztrzaskał się o plażę i skłębioną wodę. Nie wiadomo dlaczego, strażnik zbladł i opuścił broń. Jego kolega popatrzył na niego uważnie.

- Co ci się stało?

Powiedziawszy to, też zamarł i zaczął patrzeć Giordinowi za plecy. Po chwili w promieniu jego latarki pojawiła się Maeve. Na jej twarzy nie było strachu, raczej złość.

- Odłóżcie te idiotyczne karabinki i zachowujcie się jak należy! - wrzasnęła na nich.

Strażnik z latarką skierował światło na Maeve. Stał zaskoczony, dopiero po dłuższej chwili wymamrotał:

- Pani Dorsett.

- Fletcher - poprawiła. - Maeve Fletcher.

- Powiedziano nam, że pani utonęła.

- Wyglądam na pływające po morzu zwłoki? - Maeve, w złachmanionych szortach i bluzce, nie wiedziała, jakie wywarła wrażenie na strażnikach, wiedziała jednak na pewno, że nie wygląda na córkę króla diamentów.

- Czy mógłbym wiedzieć, co pani tu robi o tej porze? - zapytał jeden ze strażników grzecznie, ale stanowczo.

- Postanowiłam pójść ze znajomym na spacer.

Strażnik z nożem nie uwierzył.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział chwytając ponownie linkę, by ją przeciąć - ale coś tu śmierdzi.

Maeve podeszła do drugiego strażnika i gwałtownie uderzyła go grzbietem dłoni w twarz. Pokaz władzy zaskoczył obu ochroniarzy i na chwilę się zawahali. Giordino natychmiast to wykorzystał - skoczył na bliższego sobie strażnika niczym sprężyna, płynnym ruchem odsunął w bok lufę i głową walnął go w sam środek tułowia. Strażnik wydał z siebie charkot, zgiął się wpół i uderzył plecami o ziemię. Giordino, pozbawiony oparcia, spadł na niego jak wór. W tym samym ułamku sekundy Maeve rzuciła się na strażnika, który klęczał przy lince, ten zdążył się jednak zamachnąć, trafić ją pięścią w skroń i zatrzymać. Rzucił nóż na ziemię, chwycił karabinek, położył palec na spuście i skierował lufę prosto na Giordina.

Giordino wiedział, że to koniec. Splątany z drugim strażnikiem, nie miał czasu na najmniejszy ruch. Wiedział, że nie ma szans dopaść stojącego przed nim strażnika, zanim ten wystrzeli. Mógł jedynie napiąć ciało i czekać uderzenia kuli.

Strażnik jednak nie wystrzelił.

Nad krawędź klifu wysunęła się ręka, złapała karabinek strażnika i wytrąciła mu go z dłoni. Zanim zdążył się zorientować, został podcięty i wyrzucony za krawędź. Poleciał wysokim łukiem w górę, potem w dół. Wrzask przerażenia odbijał się w czarnej otchłani, aż przygłuchł i w końcu zamarł jak przykryty wiekiem trumny.

Nad krawędzią ukazała się oświetlona leżącą na ziemi latarką głowa Pitta. Oślepiiony, zamrugał i wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

- Myślę, że można to nazwać uniesieniem się w ferworze dyskusji.

50

Maeve czule objęła Pitta ramieniem.

- Nie mogłeś zjawić się w lepszym momencie. Dlaczego nie zdmuchnąłeś go swoim pistolecikiem? - spytał Giordino.

Pitt wyjął pistolet z tylnej kieszeni i popatrzył na broń.

- Zaczekałem minutę po tym, jak zaświecili latarką i nie zauważyli mnie w szczelinie, w którą się wcisnąłem, i podciągnąłem się do krawędzi, by sprawdzić, co tu się dzieje. Kiedy zobaczyłem, że jeszcze sekunda, a cię zastrzeli, wolałem nie marnować czasu na wyciąganie broni i zrobiłem to, co mogłem najszybciej.

- Dobrze że zdążył - powiedziała Maeve do Giordina. - Inaczej już by cię z nami nie było.

Giordino nie należał do tych, którzy okazują ckliwe sentymenty.

- Następnym razem się zrewanżuję. - Popatrzył na leżącego na ziemi strażnika, skulonego w pozycji płodowej i ściskającego brzuch. Podniósł jego M-16 i sprawdził magazynek.

- Niezłe uzupełnienie arsenału.

- Co z nim zrobimy? - spytała Maeve. - Zrzucimy na dół?

- Ależ nie, nie zrobimy nic tak drastycznego - odparł Pitt. Odruchowo popatrzył w prawo i w lewo na ścieżkę. - Co nam teraz może zrobić? Zakneblujemy go, zwiążemy i niech znajdą go koledzy. Kiedy nie zjawi się w najbliższym punkcie kontrolnym, na pewno po niego wyjdą.

- Następny patrol będzie najwcześniej za pięćdziesiąt minut - stwierdził Giordino wciągając szybko linkę. - Mamy trochę czasu na działanie.

Kilka minut później przerażony i rozebrany do bielizny strażnik wisiał - na nylonowej lince - dziesięć metrów poniżej krawędzi klifu. Owinęli go nią ciasno jak kokonem.

Maeve ruszyła przodem i poszli za nią ścieżką. Giordino trzymał pistolecik Pitta, Pitt - przebrany w mundur strażnika - karabinek M-16. Nie mieli już tak silnego wrażenia, że są bezradni i widoczni. Pitt zdawał sobie sprawę, że wokół kopalni i na brzegach wyspy musi być jeszcze przynajmniej setka strażników, ale nie był to najpoważniejszy problem. Nie mieli już powrotu do „Wspaniałej Maeve”; musieli znaleźć inny środek transportu, a dotychczas wolał nie myśleć o tym wariantcie, nie miał bowiem zielonego pojęcia, jak go przeprowadzić. Teraz nie był jednak czas na zastanawianie się nad tym - najważniejsze było znaleźć i wykraść chłopców z rąk ich szalonego dziadka.

Po przejściu mniej więcej pięciuset metrów Maeve uniosła dłoń i wskazała gęste krzaki.

- Tędy przetniemy wyspę - powiedziała. - Trzydzieści metrów stąd jest droga. Jeżeli będziemy ostrożni i nie damy się zobaczyć, dotrzemy do siedzib robotników.

- W jakiej jesteście pozycji względem wulkanów? - spytał Pitt.

- Mniej więcej w połowie odległości między nimi, po przeciwnej stronie wyspy niż laguna.

- Jak sądzisz, gdzie trzymają chłopców?

- Nie wiem. Najpierw pomyślałam, że w rezydencji, ale ojcu mogłoby też spodobać się trzymać ich pod strażą w budynku ochrony albo jeszcze gorzej - pod okiem Jacka Fergusona.

- Nie byłoby najlepszym pomysłem wędrować po wyspie jak szukający dobrej restauracji turyści.

- Złote słowa - przyznał Giordino. - Znajdźmy kogoś, kto może znać odpowiedź, i wykręmy mu rękę.

Pitt z grymasem poprawił kurtkę munduru i strzepnął z ramion kurz.

- Jeżeli jest na wyspie, znam odpowiedniego kandydata.

Dwadzieścia minut później, po przejściu kilkunastu ostrych zakrętów wijącej się jak wąż drogi, dotarli do budynku, w którym mieszkali inżynierowie i ochrona kopalni. Nie wychodząc z półmroku krzewów, dotarli do skraju terenu, na którym trzymano robotników z Chin. Baraki były oświetlone jaskrawymi reflektorami i otoczone wysokim płotem pod napięciem, zwieńczonym zwojami drutu kolczastego. Terenu tak dokładnie strzegły urządzenia elektroniczne, że nie było strażników.

Po kolejnych kilkuset metrach Maeve stanęła i wskazała gestem, żeby schowali się za żywopłotem. W jedną stronę droga prowadziła do wielkiej, sklepionej wysoko bramy posiadłości Dorsettów, w drugą - rozwidlała się. Jedno z rozwidleń biegło w bok i schodziło ku znajdującemu się w centrum laguny portowi, którego baseny i magazyny sprawiały niesamowite wrażenie w upiornie żółtym świetle próżniowych lamp sodowych. Pitt przez minutę studiował stojącą w porcie jednostkę - był to bez wątpienia futurystyczny jacht Dorsettów. Z wielką przyjemnością zauważył na górnym pokładzie helikopter.

- Czy wyspa ma pas do lądowania samolotów?

Maeve pokręciła głową.

- Tata nie chciał budować pasa startowego, ponieważ woli transport morski. Kiedy wraca z Australii, używa helikoptera. Dlaczego pytasz?

- Eliminuję warianty. Ptaszek, którym uciekniemy, stoi na jachcie.

- Spryciarz z ciebie. O wszystkim myślisz.

- Właśnie przeżyłem orgię inspiracji. Ilu ludzi pilnuje jachtu?

- Jeden - przy monitorach systemu zabezpieczającego port.

- Gdzie załoga?

- Kiedy cumują na wyspie, tata upiera się, żeby członkowie załogi mieszkali w kwaterach na brzegu.

Drugie rozwidlenie prowadziło do kopalni. Przy samych wulkanach panowała gorączkowa aktywność, ale centralna część terenu Dorsett Consolidated Mining była jak wymarła. Basen, w którym stał jacht, też wydawał się wymarły. Wyglądało na to, że kto nie musi pracować - śpi, co zresztą nie było niczym niezwykłym o czwartej nad ranem.

- Gdzie jest dom szefa ochrony? - spytał Pitt.

- Inżynierowie i obsługa mieszkają w zespole budynków najbliższej laguny.

Dom Merchanta znajduje się w południowo-zachodnim rogu terenu przeznaczonego dla ochrony. Jest pomalowany na szaro.

- Widzę go. - Pitt przeciągnął po czole rękawem, by zetrzeć pot. - Można tam dotrzeć inaczej niż drogą?

- Z tyłu jest ścieżka.

- Ruszajmy. Nie mamy zbyt wiele czasu do świtu.

Starali się trzymać w cieniu żywopłotu i szpaleru porządnie przyciętych drzew, ciągnących się wzdłuż betonowej drogi. Latarnie stały co pięćdziesiąt metrów, czyli tak jak w większości miast. Z wyjątkiem szelestu traw i liści pod ich stopami, poruszali się cicho w kierunku budynku w rogu kompleksu.

Kiedy doszli do kępy krzewów rosnących obok tylnych drzwi, Pitt przystawił usta do ucha Maeve.

- Byłaś kiedyś w środku?

- Raz albo dwa razy w dzieciństwie, kiedy ojciec kazał mi zanieść wiadomość ówczesnemu szefowi ochrony.

- Jesteś w stanie określić, czy dom ma alarm?

Maeve pokręciła głową.

- Nie wyobrażam sobie, kto miałby się tu włamywać.

- Mieszka tu jakiś służący?

- Służący mieszkają gdzie indziej.

- Mam nadzieję, że kuchnia jest dobrze zaopatrzona - mruknął Giordino.

- Snucie się po ciemku na pusty żołądek to żadna przyjemność. Chciałbym wyraźnie zaznaczyć - na bardzo pusty żołądek.

- Będiesz mógł pierwszy zajrzeć do lodówki - obiecał Pitt.

Wyszedł z cienia, podszedł do drzwi i zajrzał do środka przez znajdującą się w górnej części szybkę. Zobaczył prowadzący na schody i oświetlony słabą żarówką korytarz. Zaciekawiony

wyciągnął rękę i przekręcił gałkę. I Kiedy zamek się otworzył, rozległ się cichy trzask. Pitt wziął głęboki wdech i jak najostrożniej pchnął drzwi. Otworzyły się bezgłośnie, pchnął je dalej i wszedł. Z miejsca, w którym stał, można było wejść prosto do kuchni. Miała ona jeszcze jedne drzwi - przesuwne - wychodzące na korytarz bliżej schodów. Pitt zasunął drzwi i zapalił światło w kuchni. Na ten sygnał do środka weszli Giordino i Maeve.

- Dzięki, Panie - wyszeptał Giordino na widok wspaniale urządzonej kuchni, obwieszanej luksusowymi przyrządami nadającymi się do przygotowania najbardziej ekskluzywnych posiłków.

- Ciepłe powietrze - wyszeptała Maeve. - Od tygodni nie czułam ciepłego powietrza.

- Już czuję jajka i szynkę - dodał Giordino.

- Najpierw praca, potem przyjemność - spokojnie przerwał mu Pitt.

Zgasił światło, uniósł broń, odsunął przesuwne drzwi i stanął w nich nasłuchując. Schylił głowę na bok, ale słyszał jedynie poszum wentylatora. Przycisnął się do ściany i ruszył korytarzem. Szedł w mętym świetle, dotarł do pokrytych dywanem schodów. Zaczął na nie wchodzić, ostrożnie badając stopą każdy stopień. Po prawej i lewej u szczytu schodów były drzwi zamknięte. Spróbował prawych. Pomieszczenie, które ujrzał, było wyposażone we wszelkie atrybuty nowoczesnego biura - komputer, telefony, szafki na akta. Biurko było porządnie utrzymane - tak samo jak kuchnia. Pitt uśmiechnął się do siebie, po mieszkańcu tego domu nie spodziewał się bowiem niczego innego. Pewny swego podszedł do drugich drzwi, otworzył potężnym kopniakiem i zapalił światło.

Patrzyła na niego piękna Azjatka. Miała nie więcej niż osiemnaście lat, jej długie czarne włosy spadały z łóżka dotykając podłogi. Przeżrana, z wytrzeszczonymi oczami, patrzyła na postać w drzwiach. Otworzyła usta, jakby chciała krzyknąć, ale wydała z siebie jedynie stłumiony charkot.

Mężczyzna obok niej był wysokiej klasy specjalistą. Leżał na boku z zamkniętymi oczami i nie odwrócił się nawet o centymetr, by spojrzeć w kierunku intruza. Gdyby nie próbował być aż tak nieruchomy, Pitt nie zauważyłby ruchu, tym razem jednak miał szczęście. Nacisnął spust, posyłając dwie kule w poduszkę. Dźwięk wystrzałów został zduszony przez tłumik i był nie głośniejszy niż klepięcie w komara, ale mężczyzna na łóżku gwałtownie się wyprostował, wyciągnął spod poduszki krwawiącą, przestreloną dłoń i wbił w nią wzrok.

Dziewczyna zaczęła drzeć się wniebogłosy, ale nikogo to nie zainteresowało. Obaj mężczyźni czekali, aż przestanie.

- Witam - wesoło powiedział Pitt. - Przepraszam, że przeszkadzam.

John Merchant był nieco oślepiiony wpadającym z korytarza światłem i choć uważnie się przyglądał, jeszcze nie rozpoznawał intruza.

- Moi ludzie słyszeli krzyk i zaraz się zjawią - powiedział spokojnie.

- Wątpię. Sądzę, że trochę babskiego krzyku z pańskiej sypialni nikogo nie dziwi.

- Kim jesteś? Czego chcesz?

- Jaką pan ma krótką pamięć.

Merchant przymrużył oczy i kiedy poznał przybysza, opadła mu szczeka. Na twarz wypłynął mu wyraz krańcowej niewiary.

- To niemożliwe! To nie ty! Dirk Pitt...

Jak na zawołanie, do sypialni weszli Giordino i Maeve. Stanęli za Pittem bez słowa, jedynie przyglądali się dwójce w łóżku, jakby czekali, jak rozwinię się oglądana sztuka.

- To musi być sen - wybełkotał Merchant.

- Krwawi pan w snach? - spytał Pitt wsuwając rękę pod poduszkę Merchanta.

Wyjął stamtąd automatyczną dziewiątkę i podał pistolet Giordinowi.

Uważał, że obrzydliwy kurdupel w łóżku powinien już się pogodzić z sytuacją, ale Merchant był zbyt zaskoczony widokiem trzech osób, które uważał za martwe, by normalnie myśleć.

- Widziałem na własne oczy, jak odplywacie, potem musieliście wpaść w sztorm. Jak mogliście przeżyć?

- Zostaliśmy połknięci przez wieloryba - wyjaśnił Giordino zaciągając zasłony. - Niestety podrażniłszy mu żołądek i może się pan domyślić, jaki był skutek.

- Poszaleliście. Oddajcie broń. Nigdy nie wydostaniecie się żywi z wyspy.

Pitt przystawił Merchantowi lufę do czoła.

- Jedyne co mnie interesuje z pańskich mądrości, to miejsce pobytu synów pani Fletcher. Gdzie ich trzymacie?

W oczach Merchanta pojawił się błysk oporu.

- Nic wam nie powiem.

- No to umrzesz - spokojnie stwierdził Pitt.

- Niezwykłe słowa w ustach inżyniera marynarki i oceanografa, który stawia kobiety i dzieci na piedestale oraz jest szanowany za dotrzymywanie słowa i odpowiedzialność.

- Gratuluję dobrego wykonania pracy domowej.

- Nie zabijesz mnie - rzekł Merchant odzyskując panowanie nad sobą. - Nie jesteś zabójcą, nie masz serca do zabijania.

Pitt obojętnie wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że jeden z twoich ludzi, którego pół godziny temu zrzuciłem z klifu, mógłby się nie zgodzić z tą opinią.

Merchant obojętnie wpatrywał się w Pitta, niepewny czy uwierzyć.

- Nie wiem, co pan Dorsett zrobił z wnukami.

Pitt przeniósł lufę z głowy Merchanta na jego kolano.

- Maeve, licz do trzech.

- Raz - zaczęła spokojnie, jakby liczyła kostki cukru w herbacie - dwa, trzy...

Pitt nacisnął spust i kula przeszła kolano Merchanta. Jego kochanka znów zaczęła wrzeszczeć, Giordino musiał zatkać jej usta dłonią.

- Możemy prosić o odrobinę spokoju? Tynk pęka.

W Merchancie nastąpiła diametralna zmiana. Ohydna zjadliwość została zastąpiona postawą pełną bólu i przerażenia. Skrzywił usta jak płaczliwy dzieciak.

- Moje kolano! Rozwaliłeś mi kolano! - wychrypiął.

Pitt przyłożył mu lufę do łokcia.

- Spiesz się. Jeżeli nie chcesz być niesprawny w dwóch miejscach, proponuję, byś powiedział, czego chcę, i to prawdę, bo jak nie, będziesz miał problemy z myciem zębów.

- Synowie pani Fletcher pracują w kopalni. Są trzymani z robotnikami.

Pitt odwrócił się ku Maeve.

- Twoja kolej.

Maeve popatrzyła Merchantowi w oczy.

- Kłamie. Chłopców pilnuje Jack Ferguson, główny nadzorca. Nie spuszcza ich z oka.

- Gdzie go można znaleźć? - spytał Giordino.

- Mieszka w domku za rezydencją, żeby ojciec mógł go mieć w każdej chwili pod ręką -

odpowiedziała Maeve.

Pitt uśmiechnął się zimno do Merchanta.

- Przepraszam, John, zła odpowiedź. To cię będzie kosztowało łokieć.

- Nie! Proszę... nie... - wydusił Merchant przez zaciśnięte usta. - Wygrałeś.

Kiedy chłopcy nie pracują, są trzymani w domu Fergusona.

Maeve podeszła blisko Merchanta, oszalała i rozwścieczona wizją tego co przeżywają jej synowie. Straciła na chwilę samokontrolę i kilka razy uderzyła go z całej siły w twarz.

- Sześćioletni chłopcy zmuszani do pracy w kopalni! Co z ciebie za sadystyczny potwór!

Kiedy Giordino odciągnął ją na środek pokoju, zaczęła niepohamowanie płakać.

Twarc Pitta była przepełniona smutkiem i złością. Przesunął wylot lufy na wysokość oka Merchanta.

- Jeszcze jedno pytanie, John. Gdzie śpi pilot helikoptera?

- Jest w lazarecie ze złamaną ręką. Zapomnij o zmuszeniu go do odlecenia z tobą z wyspy.

Pitt uśmiechnął się i popatrzył na Giordina.

- Ktoś go potrzebuje? - Rozejrzył się. Jego wzrok w końcu padł na szafę. - Zostawimy go tutaj.

- Chcesz nas zabić? - powoli spytał Merchant.

- Wolałbym strzelać do skunksów. Zwiążemy cię i twoją przyjaciółeczkę, zakneblujemy i schowamy do szafy.

Jak bardzo Merchant się bał, widać było po drganiu kącika ust.

- Udusimy się!

- Mogę was zastrzelić. Jak wolisz?

Merchant więcej się nie odzywał, nie bronił się, kiedy wiązano go i dziewczynę porwanymi na kawałki prześcieradłami i bezceremonialnie wepchnięto do szafy. Giordino przysunął do szafy połowę mebli z pokoju, by nie otwarto jej od wewnątrz.

- No to wiemy, czego nam trzeba - stwierdził Pitt. - Ruszajmy do szlacheznego domostwa.

- Powiedziałeś, że będę mógł obrobić lodówkę - zaprotestował Giordino. - Dłużej nie wytrzymam bez jedzenia.

- Nie czas najedzenie. Będiesz mógł nazreć się potem.

Giordino ze smutkiem pokręcił głową i wetknął dziewiątkę Merchanta za pasek.

- Dlaczego mam wrażenie, że zorganizowano spisek, bym nie uzupełnił cukru we krwi?

51

Dochodziła siódma rano. Niebo było błękitne, widoczność doskonała po horyzont, a niskie fale płynęły niczym nieme diabełki ku nieznanym brzegom, o które się rozbijają. Dzień niczym się nie różnił od innych dni na tropikalnych wodach Hawajów - było ciepło, powietrze wypełniała wyraźnie wyczuwalna wilgoć i bryza, znana pod nazwą pasatu. Była sobota, a w sobotę na plażach Waikiki i nawietrznej stronie wyspy pierwsze budzą się wyruszające na poranny połów ptaki. Wkrótce przybędą za nimi tysiące mieszkańców i turystów, którzy zaplanowali sobie długie godziny pływania przy otoczonym rafami brzegu i opalania się na gorącym piasku. Ludzie będą uśpieni relaksującą atmosferą i nikt nie będzie zdawał sobie sprawy z tego, że może to być ich dzień ostatni.

„Glomar Explorer”, napędzany tylko jedną z dwóch potężnych bliźniaczych śrub, parł uparcie w kierunku miejsca konwergencji, ku któremu już gnały wysłane z czterech miejsc śmiertelne wibracje. Statek miał przypląć na miejsce pół godziny później, ale pierwszy mechanik popędzał

swoich ludzi poza granicę wytrzymałości. Klął i błagał próbujący wyrwać się z zamocowań silnik, kierujący moc tylko na jeden wał, i wydusił ze statku dodatkowe pół węzła. Przysiągł sobie, że doprowadzi statek na miejsce tak, by mieli kilka minut rezerwy, i z pomocą Boga dokonał tego.

Stojący na prawym skrzydle mostka Sandecker patrzył przez lornetkę na cywilną wersję helikoptera typu Navy SH-60B Sea Hawk z oznaczeniami NUMY, który nadleciał nad statek od dziobu, zatoczył nad nim koło i osiadł na lądowisku na rufie. Z maszyny wyskoczyło dwóch ludzi, którzy natychmiast pobiegli do głównej nadbudówki statku. Minutę później stali obok Sandeckera.

- Zrzut się udał? - z niepokojem spytał admirał.

Doktor Sanford Adgate Ames skinął głową z uśmiechem.

- Cztery zestawy zdalnie sterowanych czujników akustycznych zostały umieszczone pod powierzchnią wody w żądanych miejscach, trzydzieści kilometrów od strefy konwergencji.

- Wrzuciliśmy je dokładnie w przewidziane tory przejścia wibracji - dodał Gunn, który prowadził akcję z Amesem.

- Są nastawione na przekazanie danych o zbliżaniu się i intensywności dźwięków?

Ames skinął głową.

- Dane będą przekazywane z modemów pod wodą przez pływające na powierzchni nadajniki do satelity, stamtąd dotrą tutaj, do procesora pokładowego i terminalu analitycznego „Explorera”. Działa to podobnie jak akustyczny system lokalizacji łodzi podwodnych.

- Na szczęście pogoda i prąd działają dziś na naszą korzyść - powiedział Gunn. - Biorąc wszystko pod uwagę, fale wibracyjne powinny spotkać się w przewidywanym miejscu.

- Ile czasu po sygnale wystąpi konwergencja?

- Dźwięk porusza się w wodzie z prędkością tysiąca pięciuset metrów na sekundę - odparł Ames.

- Sądzę, że antena zostanie trafiona dwadzieścia sekund po minięciu czujników przez fale.

- Dwadzieścia sekund. To bardzo mało, by przygotować się psychicznie na Nieznane.

- Ponieważ jeszcze nikt nie przeżył konwergencji bezpośrednio i nie mamy opisu jej przebiegu, mogę jedynie w przybliżeniu szacować, że do momentu odesłania fal ku wyspie Gladiator, zjawisko potrwa mniej więcej cztery i pół minuty. Każdy, kto nie zdąży schować się do wygłuszonej kabiny, umrze w męczarniach.

Sandecker odwrócił się i wskazał na oddalone jedynie o piętnaście kilometrów jaskrawozielone wzgórza wyspy Oahu.

- Czy coś dotrze do ludzi na brzegu?

- Mogą poczuć krótki i nagły ból głowy, ale nie powinni ponieść trwałych szkód.

Sandecker wyglądał przez okno na sięgające nieba nagromadzenie maszynierii na śródkręciu. Z bomów ładunkowych i dźwigów zwisały kilometry lin i przewodów hydraulicznych. Kilkuosobowe mieszane zespoły, porozwieszane na ławeczkach podobnych do tych, na jakich myje się w wieżowcach okna, montowały antenę wbijając niezliczone nity. Rama anteny wisiała na największym bomie ładowniczym, mniejsze dźwigi unosiły poszczególne kawałki i wsuwały je w ramę, do której je następnie nitowano. Dzięki przezorności Rudiego Gunna, który kazał przy demontażu czyścić i oliwić elementy, składanie szło bardzo sprawnie. Operacja szła jak po sznurku - do zamontowania zostały jeszcze tylko dwa elementy.

Admirał spojrział na klejnot Pacyfiku. Bez trudu rozpoznawał szczegóły Diamond Head, hotele wzdłuż plaży Waikiki, wieżowiec Aloha Tower w Honolulu, znikający w zdających się tu wiecznie unosić chmurach szczyt góry Tantalus, lądujące na lotnisku odrzutowce, urządzenia Pearl Harbor. Nie

było marginesu na pomyłkę. Jeżeli operacja się nie uda, przepiękna wyspa zostanie jednym wielkim pobjowiskiem. Na koniec popatrzył na mężczyznę studiującego wskazania komputerowego systemu nawigacji statkiem.

- Kapitanie Quick...

Dowódca „Glomar Explorera” podniósł głowę.

- Tak, admirale?

- Ile zostało do celu?

Quick uśmiechnął się. Admirał pytał go o to dopiero dwudziesty raz od wypłynięcia z zatoki Halawa.

- Za niecałe pięćset metrów i dwadzieścia minut przyszpilimy statek w miejscu, na które pańscy ludzie zaprogramowali system nawigacyjny GPS.

- Zostanie nam czterdzieści minut do zanurzenia reflektora.

- Dzięki inżynierowi Toftowi i jego ludziom, inaczej nigdy nie zdążylibyśmy na czas.

- To prawda. Dużo mu zawdzięczamy.

Mijały długie minuty i każdy w sterówce patrzył jednym okiem na zegar, a drugim na czerwone cyfry systemu GPS. Kiedy w końcu na wskaźniku ukazał się szereg zer, wiadomo było, że statek znalazł się nad miejscem, gdzie miało dojść do konwergencji i wybuchu fal wibracyjnych o nieznanej dotychczas intensywności. Następnym zadaniem było utrzymanie statku w miejscu. Kapitan Quick koncentrował się na wpisywaniu współrzędnych do automatycznego nawigatora, który będzie równocześnie mierzył zmiany stanu morza i sterował pędnikami strumieniowymi na dziobie i rufie. W niesamowicie krótkim czasie „Glomar Explorer” zajął pozycję i został zaprogramowany na opieranie się prądowi i wiatrowi nie odchodząc od żądanej pozycji na więcej niż metr.

Pracowały też inne istotne systemy. Krzątano się gorączkowo. Grupy inżynierów i techników, elektroników i innych naukowców pracowały równocześnie, by umieścić reflektor dokładnie na drodze fal dźwiękowych. Pracujący na platformach nad pokładem zespół NUMY wykonał ostatecznie połączenia i podwiesił antenę na haku do opuszczenia jej w wodę.

Daleko w dole do życia obudził się jeden z najdziwniejszych systemów statku: Księżycowy Basen. Mianem tym określano mającą tysiąc trzysta sześćdziesiąt siedem metrów kwadratowych, zajmującą dwie sekcje w śródkręciu „wyrwę” w statku, która powstawała przez rozsuniecie się części pokładu i dna. Było to serce systemu badania dna morskiego, który umożliwił podniesienie radzieckiej łodzi podwodnej. Po napełnieniu się Księżycowego Basenu wodą spuszczano wtedy specjalny rękaw, który mógł mieć do kilku kilometrów długości - wystarczająco dużo by opaść na dno oceanu i zacząć zbierać próbki albo wydobywać minerały. Tamtędy miała zostać spuszczone antena.

System dźwigów „Glomar Explorera” został skonstruowany do podnoszenia z dna morskiego ciężkich przedmiotów, w celu zapewnienia sprawnego spuszczenia anteny do wody trzeba było to i owo poprzestawiać. Szybko poradzono sobie z problemami natury technicznej. Każdy planowany ruch został precyzyjnie skoordynowany i przeprowadzony.

Operator bomu ładowniczego napiął linę, na której miano opuszczać antenę, aż wielki talerz zawisł swobodnie w powietrzu. Ekipa NUMY dała sygnał, że antena jest kompletna, i operator zaczął ją opuszczać przez Księżycowy Basen. Była tak duża, że trzeba ją było opuszczać po przekątnej czworokątnego otworu, a i tak pozostawało po bokach jedynie kilka centymetrów luzu. Zanurzenie następowało dziesięć metrów na minutę, zamocowanie lin pozycjonujących antenę

i zabezpieczających ją na głębokości i w miejscu gwarantującym odbicie wibracji do wyspy Gladiator potrwało czternaście minut.

- Sześć minut i dziesięć sekund do konwergencji - rozległ się głos kapitana Quicka w głośniku. - Załoga proszona jest o udanie się do maszynowni na rufie i zajęcie miejsc zgodnie z instrukcją. Proszę wykonać polecenie natychmiast. Natychmiast, powiedziałem! Nie iść, bieć!

Wszyscy rzucili, co mieli w rękę, i jak jeden mąż ruszyli w kierunku znajdującej się w głębinach statku maszynowni. Dwudziestu marynarzy wyłożyło ją wszystkim, co mogło izolować akustycznie. Wykorzystywali ręczniki, prześcieradła, koce i materace, poduchy z foteli i wszelkie możliwe śmieci, zakrywając luki, obkładając ściany i sufit, by maksymalnie wygłuszyć mający zaatakować dźwięk.

- To chyba najgorsza część operacji - powiedział Sandecker do Amesa w drodze pod pokład. - Wiem, o czym pan myśli - odpowiedział fizyk zbiegając w dół po dwa stopnie naraz. - Boi się pan błędu w obliczeniach i możliwości, że możemy stać nie na tym miejscu, gdzie nastąpi konwergencja. Martwi pana, że nie dowiemy się, czy uratowaliśmy ludzi, jeżeli nie przeżyjemy. Czynniki niepewności jest naprawdę przerażający.

Doszli do maszynowni, którą wybrano ze względu na wodoszczelne drzwi i brak przechodzących przez pomieszczenie rur mogących przenosić dźwięk. W wejściu stało dwóch oficerów, którzy liczyli głowy i rozdawali osłony na uszy.

- Admirale Sandecker, doktorze Ames, proszę założyć osłony, zająć miejsce i nie ruszać się - wydali instrukcję.

Sandecker i Ames dołączyli do siedzących w kącie ludzi z NUMY i usiedli niedaleko Rudiego Gunna i Molly Faraday. Wszyscy skupili się ciasnym wianuszkim wokół systemu monitorującego, połączonego z modemami alarmowymi i innymi podwodnymi czujnikami. Jedyne admirał, Ames i Gunn mieli prawo być bez osłon uszu, by móc konferować do ostatniej chwili.

Wkrótce zapadła niemila cisza. Nie mając możliwości słyszeć, nikt nic nie mówił. Kapitan Quick wstał tak, by widziano go z każdego miejsca maszynowni. Podniósł dwa palce - jeszcze dwie minuty. Operator bomu ładunkowego, który miał najdalszą drogę do pokonania, przybył ostatni. Kapitan, zadowolony, że wszyscy są na miejscu, kazał ryglować drzwi. Następnie przyciśnięto do nich kilka materaców. Quick podniósł palec i napięcie zaczęło rosnać, aż przydusiło obecnych niczym ołowiany płaszcz. Stano, nikt nie siedział - nie było dość miejsca.

Gunn obliczył, że dla dziewięćdziesięciosześcioosobowej załogi jest w maszynowni powietrza na piętnaście minut i dopiero po tym czasie powinny zacząć się pojawiać pierwsze objawy niedotlenienia, jednak już teraz atmosfera była gęsta. Obrzydliwe szpony mogła pokazać klaustrofobia, a histeria była ostatnią potrzebną rzeczą. Machnął Molly na odwagę i zaczął obserwować zegar. Marynarze „Glomar Explorera” wpatrywali się w swego kapitana - jakby byli orkiestrą, czekającą aż uniesie batutę.

Quick w końcu uniósł ręce i zacisnął dłonie w pięści. Nadeszła chwila prawdy. Wszystko zależało teraz od tego, czy Hiram Yaeger nie pomylił się w obliczeniach. Statek stał tam, gdzie miał stać, reflektor był w miejscu wskazanym przez Yaegera i potwierdzonym przez zespół doktora Amesa. Wszystko było dograne do najdrobniejszego szczegółu i nic poza nieoczekiwaną zmianą temperatury oceanu albo nagłym wybuchem sejsmicznym na dnie nie mogło przeszkodzić. Nikt z NUMY nie dopuszczał na myśl konsekwencji pomyłki.

Minęło pięć sekund, potem dziesięć. Sandecker zaczął czuć na karku mrowienie porażki, nagle

jednak znajdujące się trzydzieści kilometrów od nich sensory zaczęły rejestrować nadchodzenie wibracji po obliczonych torach.

- Boże drogi! - wykrzyknął Ames. - Skończyła się skala! Intensywność jest znacznie większa, niż szacowałem!

- Dwadzieścia sekund! Odliczam! - warknął Sandecker. - Zakładać osłony na uszy!

Pierwszym objawem konwergencji było słabe drżenie statku, które bardzo szybko się nasilało. Obłożone materacami luki wibrowały, a wydawany przez nie dźwięk łączył się z wwiercającym się w osłony uszu głębokim pomrukiem. Pojawiły się zawroty głowy i lekka utrata orientacji, nikt jednak nie zaczął wymiotować ani panikować. Przyjmowano objawy ze stoickim spokojem. Sandecker i Ames przyglądali się sobie, obaj przepełnieni poczuciem wykonanego zadania.

Po pięciu długich minutach było po wszystkim. Wibracja zniknęła, pozostawiając po sobie nienaturalną ciszę. Pierwszy otrząsnął się z odrętwienia Gunn. Zerwał z głowy osłonę uszu, zamachał rękami i wrzasnął do kapitana Quicka:

- Drzwi! Niech pan każe otworzyć drzwi i wpuści trochę powietrza!

Kapitan zrozumiał. Odsunięto materace, odryglowano i otwarto drzwi.

Choć powietrze, które wpadło, pachniało olejem silnikowym, zdejmujący powoli słuchawki ludzie przyjęli je z radością. Czując ulgę, że już po wszystkim, zaczęli krzyczeć i śmiać się jak kibice po wygraniu meczu piłki nożnej. Potem powoli, w wyznaczonej kolejności, zaczęli opuszczać maszynownię i wychodzić na pokład. Reakcja Sandeckera była niezwykła. Pobiegł do sterówki w tempie, który dałby mu rekord świata, złapał lornetkę i pobiegł na skrzydło mostka. Ze strachem skierował szkła na odległą o piętnaście kilometrów wyspę.

Samochody jeździły, tłumy spragnionych słońca ludzi łąziły po plaży. Dopiero wtedy wypuścił powietrze i opadł na reling, całkowicie wyczerpany z radości.

- Triumf na całej linii, admirale! - Ames ścisnął mu mocno dłoń. - Udowodnił pan, że najlepsze umysły kraju się pomyliły.

- Miałem do pomocy pański, doktorze - odpowiedział Sandecker, jak by z ramion spadł mu wielki ciężar. - Nie działałbym nic bez pana i pańskich pomocników.

Wycieńczeni Gunn i Molly objęli Sandeckera, co przy innej okazji byłoby nie do pomyślenia.

- Udało się panu! - wykrzyknął Gunn. - Uratował pan dzięki swojemu uporowi dwa miliony ludzi!

- Nam się udało - poprawił Sandecker. - Od początku do końca była to praca zespołowa.

Gunn posmutniał.

- Szkoda, że nie było Dirka.

Sandecker ponuro skinął głową.

- To jego pomysł był impulsem umożliwiającym zaplanowanie całej akcji.

Ames przyglądał się przyrządom, które zamontował w trakcie podróży z Molokai.

- Ustawienie reflektora było idealne. Odbiliśmy energię dokładnie tak, jak chcieliśmy.

- Gdzie jest teraz? - spytała Molly.

- Połączone energie z czterech źródeł pędzą przez ocean ku wyspie Gladiator szybciej od samolotu. Podstawa wyspy powinna zostać trafiona za siedemdziesiąt dziewięć minut.

- Chciałabym zobaczyć jego minę.

- Czyją? - niewinnie spytał Ames.

- Arthura Dorsetta - odparła Molly. - W momencie kiedy jego prywatna wyspa zadrży w posadach.

Pitt, Giordino i Maeve siedzieli skuleni w krzakach obok wielkiej, sklepionej łukowo bramy w otaczającym posiadłość Dorsettów wysokim murze z wulkanicznej lawy. Wyłożony ceglami podjazd wiódł za bramą wokół wielkiego, dobrze utrzymanego trawnika, a blisko domu przechodził pod stykającym się z budynkiem dachem, mającym chronić przed słońcem wysiadających i wsiadających do samochodu ludzi. Podjazd i dom były jaskrawo oświetlone strategicznie ustawionymi reflektorami. Wejście zasłaniała gruba żelazna krata, która wyglądała jak żywcem wzięta ze średniowiecznego zamczyska. Brama miała nie mniej niż pięć metrów głębokości i znajdował się w niej posterunek ochrony.

- Jest jakaś inna droga do środka? - cicho spytał Pitt.

- To jedyne wejście - odszepnęła.

- Nie ma rur kanalizacyjnych ani biegnącego wzdłuż muru wąwozu?

- Przy tylu próbach ucieczki stąd w młodości, gdyby była jakaś możliwość, dawno bym ją znalazła.

- Czujniki?

- U szczytu muru lasery i czujniki temperaturowe, umieszczone w nieregularnych odstępach od ziemi. Wszystko większe od kota wywoła alarm w stróżówce.

Włączają się wtedy automatycznie naprowadzane kamery telewizyjne.

- Ilu strażników?

- Dwóch w nocy, w dzień czterech.

- Psy?

Pokręciła głową.

- Ojciec nienawidzi zwierząt. Pamiętam, jak zdeptał ptaka ze złamanym skrzydłem, którego chciałam wyleczyć. Nigdy mu nie wybaczę.

- Stary Art tworzy wokół siebie miłą atmosferę - stwierdził Giordino. - Oddaje się też kanibalizmowi?

- Jak zdążyliście się zorientować, jest zdolny do wszystkiego - powiedziała Maeve.

Pitt w zadumie przyglądał się bramie, zwłaszcza temu co robią strażnicy. Wyglądało na to, że wystarczy im siedzenie w zamknięciu i pilnowanie monitorów. W końcu wstał, poprawił mundur i zwrócił się do Giordina.

- Wchodzę. Nic nie rób, póki nie otworzę bramy.

Zarzucił karabinek na ramię i wyjął z kieszeni scyzoryk. Otworzył małe ostrze, zaciął się w kciuk i rozmazał sobie krew na twarzy. Kiedy doszedł do bramy, opadł na kolana i obiema dłońmi chwycił kratę bramy. Zaczął jęczeć, jakby był ranny.

- Pomocy! Pomóżcie mi!

Zza uchylonych drzwi wychynęła twarz i natychmiast zniknęła. Kilka sekund później ze stróżówki wybiegli obaj ochroniarze i otworzyli bramę. Pitt padł pierwszemu w ramiona całym ciężarem.

- Co się stało? - pytał strażnik. - Kto ci to zrobił?

- Banda żółtków przebiła tunel pod płotem. Wracalem z portu i rzucili się na mnie od tyłu. Zanim uciekłem, chyba dwóch zabiłem.

- Najlepiej będzie, jak zawiadomimy dyżurnego oficera w głównym budynku - rzucił jeden ze strażników.

- Najpierw wprowadź mnie do środka! Chyba mam pękniętą czaszkę.

Strażnicy postawili Pitta na nogi i objęli go ramionami. Na pół go prowadzili, na pół wlekli. Pitt powoli przenosił ręce, aż miał oba karki we wnętrzach łokci. Kiedy ścisnęli się, by przejść przez drzwi, gwałtownie się cofnął i napinając każdy mięsień, pociągnął ich ku sobie. Łomot walących o siebie czaszek przypominał grzmot. Natychmiast padli na ziemię, nieprzytomni na minimum dwie godziny.

Bezpieczni przed odkryciem, Giordino i Maeve wbiegli do środka i weszli do stróżówki, gdzie czekał na nich Pitt. Giordino podniósł obu strażników, jakby byli wiązkami siana, i posadził ich w krzesłach przed monitorami.

- Niech wyglądają, jakby zasnęli w trakcie filmu.

Pitt szybko rozejrzał się po konsolach, powłączał alarmy, Giordino w tym czasie wiązał strażników ich własnymi krawatami i paskami. Potem Pitt spojrzał na Maeve.

- Gdzie jest kwatery Fergusona?

- W kępie drzew za domem są dwa domki gościnne. Mieszka w jednym z nich.

- Nie wiesz w którym?

Wzruszyła ramionami.

- Jestem tu po raz pierwszy od ucieczki przed pójściem na uniwersytet.

Jeżeli dobrze pamiętam, w tym bliżej głównego budynku.

- Czas powtórzyć ćwiczenie włamywania się. Miejmy nadzieję, że nie straciliśmy wprawy.

Wolnym, spokojnym krokiem ruszyli podjazdem. Byli zbyt zmęczeni złym odżywianiem i przeżyciami minionych tygodni, by biec. W końcu doszli do domku, który zdaniem Maeve był kwatery Jacka Fergusona, głównego nadzorca kopalni na Gladiatorze.

Kiedy stanęli przy drzwiach wejściowych, na wschodzie zaczynało świtać. Byli spóźnieni. Za dnia nie mieli szans pozostać nie odkrytymi. Jeżeli chcieli znaleźć chłopców, dotrzeć do jachtu i uciec helikopterem Dorsetta, musieli się spieszyć.

Nie było czasu na skradanie się. Pitt podszedł do frontowych drzwi, wybił je kopniakiem i wszedł do środka. Szybkie omiecenie pokoju zabraną strażnikom na klifie latarką powiedziało wszystko, co chciał wiedzieć. Byli w domu Fergusona - na biurku leżała sarta zaadresowanej na jego nazwisko korespondencji i kalendarz z notatkami. W szafie Pitt znalazł uprasowane spodnie i męski płaszcz.

- Nie ma nikogo w domu. Jack Ferguson wyjechał. Nie ma walizek i połowa półek w szafie jest pusta.

- Musi tu być - powiedziała z niewiarą Maeve.

- Jeżeli wierzyć wpisom w kalendarzu, jest w trakcie objazdu pozostałych kopalni.

Maeve rozglądała się po pokoju nadaremno, jedynie rosła jej rozpacz.

- Nie ma moich chłopców! Spóźniliśmy się! Boże, spóźniliśmy się. Oni nie żyją!

Pitt objął ją i przytulił.

- Żyjają tak jak ty i ja.

- Ale John Merchant...

- Nigdy nie wierz mężczyźnie o oczach jak szklane paciorki - powiedział stojący w otwartych drzwiach Giordino.

- Nie ma co marnować tu czasu - uznał Pitt. - Chłopcy są w głównym budynku i zawsze tam byli.

- Nie mogłeś wiedzieć, że Merchant kłamie! - powiedziała wyzywająco Maeve.

Uśmiechnął się.

- On nie kłamał. To ty mu poddałaś, że chłopcy są z Fergusonem, i tylko potaknął. Uznał, że będziemy wystarczająco głupi, by to kupić. Może i byliśmy głupi, ale jedynie przez chwilę.

- Wiedziałaś?

- Przecież nawet nie trzeba wspominać, że twój ojciec nie pozwoliłby zrobić wnukom krzywdy. Grozi, ale założę się o dychę przeciw stówie, że zamknął ich w twoim dawnym pokoju, gdzie bawią się wśród zabawek, które sprawił im kochający dziadzio.

Maeve popatrzyła zdezorientowana.

- Nie zmuszał ich do pracy w kopalni?

- Prawdopodobnie nie. Przykręcił śrubę twojemu instynktowi macierzyńskiemu, abys cierpiała. Chciał, byś umarła wierząc, że zrobił z twoich chłopców niewolników, oddając ich pod opiekę sadystycznemu nadzorcy, który każe im zaharować się na śmierć. Spójrz faktom w oczy. Boudicca i Deidre nie mają dzieci, twoi synowie są jego jedynymi wnukami. Uznał, że gdyby udało mu się ciebie usunąć, wychowa ich na swoją modłę. Dla ciebie to na pewno perspektywa gorsza niż mieliby zginąć.

Maeve popatrzyła długim spojrzeniem na Pitta, jej mina dowodziła, że niewiara zmienia się w zrozumienie.

- Taka jestem głupia?

- Wspaniały tytuł na piosenkę - wtrącił Giordino. - Muszę wam popsuć nastrój, ale mieszkańcy zaczynają się budzić. - Wskazał dłonią w kierunku zapalonych w oknach głównego budynku świateł.

- Ojciec zawsze wstaje przed świtem. Nigdy nie pozwalał nam spać po wzejściu słońca.

- Co ja bym dał, żeby dołączyć z nimi do śniadania - mruknął Giordino.

- Nie chcę się powtarzać, ale musimy znaleźć sposób zabrania chłopców bez alarmowania mieszkańców.

- Wszystkie pokoje z wyjątkiem jednego wychodzą na dziedziniec. Gabinet taty ma drugie wejście na kort do squasha.

- Co to jest kort do squasha? - spytał Giordino.

- Kort, na którym gra się w squasha - wyjaśnił Pitt i zwrócił się do Maeve: - Gdzie jest twój dawny pokój?

- Trzeba przejść przez ogród i minąć basen. Wschodnie skrzydło, drugie drzwi.

- Świetnie. Idźcie po chłopców.

- A ty?

- Ja pożyczę sobie telefon twojego tatusia i przeprowadzę na jego koszt rozmowę międzynarodową.

53

Atmosfera na pokładzie „Glomar Explorera” była rozluźniona, wręcz rozrywkowa. Zebrani w ogromnej sali klubowej ludzie NUMY i załoga statku świętowali sukces odparcia kataklizmu akustycznego. Admirał Sandecker i doktor Ames siedzieli naprzeciw siebie popijając szampana z butelki, którą kapitan Quick wyciągnął z przeznaczonego na specjalne okazje prywatnego zapasu.

Po naradzie postanowili wyciągnąć antenę z wody, na wypadek gdyby nie udało im się położyć kresu działalności Dorsett Consolidated i trzeba było ponownie zatrzymać wibracje. Podniesiono antenę, zasunięto dno pod Księżycowym Basenem i wypompowano z kadłuba wodę. W ciągu godziny

historyczny statek ruszył ku Molokai.

Sandecker wstał, oficer łącznościowy przekazał mu bowiem, że ma ważny telefon od głównego geologa NUMY, Charlesa Bakewella. Poszedł do spokojniejszego miejsca klubu i wyjął z kieszeni telefon satelitarny.

- Tak, Charlie?

- Rozumiem, że należy pogratulować.

- Mało brakowało. Ledwie ustawiliśmy statek i spuściliśmy reflektor, a już mieliśmy konwergencję. Gdzie pan jest?

- W Auckland, w Obserwatorium Wulkanicznym imienia Josepha Mamona.

Mam dla pana dane przygotowane przez tutejszych geofizyków. Ostatnia analiza efektów uderzenia fali dźwiękowej w wyspę Gladiator nie jest optymistyczna.

- Są w stanie przewidzieć skutki?

- Przykro mi, ale będą gorsze, niż początkowo przewidywałem. Wulkany na wyspie, które jak się dowiedziałem, nazywają się na cześć rozbitków z „Gladiatora” Góra Scaggsa i Góra Winkelmana, należą do łańcucha potencjalnie czynnych wulkanów, otaczającego Pacyfik i zwanego „Kręgiem ognia”. Łańcuch leży niedaleko płyty tektonicznej dość podobnej do tej, która przedziela na pół Uskok Świętego Andrzeja w Kalifornii. Gros aktywności wulkanicznej i trzęsień ziemi bierze się z ruchów tych właśnie płyt tektonicznych. Badania wykazują, że ostatni okres aktywności obu wulkanów miał miejsce między latami 1225 a 1275 i wybuchły wtedy równocześnie.

- O ile dobrze pamiętam, powiedział pan, że szansa wybuchu z powodu uderzenia odbitych wibracji jest jak jeden do pięciu.

- Po konsultacji z tutejszymi ekspertami oceniałbym to jak jeden do jednego.

- Nie mogę uwierzyć, by poruszający się ku wyspie dźwięk mógł uaktywnić wulkan.

- Sam nie, ale musimy brać pod uwagę, że działania wydobywcze Dorsetta uwrażliwiły wulkany na wstrząsy. Nawet niewielka aktywność tektoniczna może uaktywnić góry Scaggsa i Winkelmana, lata wydobywania diamentów spowodowały bowiem znaczne zwięźnienie warstwy skał, powstrzymujących zmagazynowane w ziemi gazy przed wypłynięciem na wierzch.

Krótko mówiąc, nie brakuje wiele, by górnicy odetkali główne kominy wulkanów i wyzwolili wybuch lawy.

- Wybuch... lawy... - jak automat powtórzył Sandecker. - Boże drogi, co myśmy narobili? Zginą setki ludzi.

- Niech się pan tak nie spieszy z wyznawaniem win - powiedział poważnie Bakewell. - O ile wiadomo, na wyspie Gladiator nie ma kobiet i dzieci.

Już pan uratował życie niezliczonych rodzin od pewnej śmierci. Pańska akcja obudzi Biały Dom i Departament Stanu, jestem pewien, że zostaną wprowadzone sankcje przeciwko Dorsett Consolidated Mining. Bez pańskiego działania kataklizm akustyczny wydarzałby się dalej i lepiej nie mówić, jakie portowe miasto byłoby obiektem kolejnej konwergencji.

- Ale mogłem kazać odbić wibracje ku terenom niezamieszkanym - powoli powiedział Sandecker.

- I patrzeć, jak trafia kolejną Bogu ducha winną flotyllę kutrów rybackich albo statek pasażerski. Już raz ustaliliśmy, że ten wybór był najbezpieczniejszy.

Niech pan da spokój, Jim, nie ma pan powodu się oskarżać.

- Chce pan powiedzieć, że tak czy owak będę musiał z tym żyć?

- Kiedy według oceny doktora Amesa fala dotrze do wyspy?

Sandecker popatrzył na zegarek.

- Zostało dwadzieścia jeden minut.

- Jeszcze czas, by ostrzec mieszkańców i przeprowadzić ewakuację.

- Próbowałem przez moje kontakty w Waszyngtonie ostrzec dyrekcję Dorsett Consolidated Mining przed niebezpieczeństwem, ale Dorsett osobiście zarządził zawieszenie komunikacji wyspy ze światem.

- Brzmi to tak, jakby się na coś szykował.

- Nie zamierza dać sobie przeszkodzić przed wyznaczonym przez siebie terminem.

- Zawsze istnieje możliwość, że nie dojdzie do wybuchu wulkanów. Energia wibracji może osłabnąć w drodze przez ocean.

- Wierząc szacunkom doktora Amesa, jest na to niewielka szansa. Jak wygląda pański najgorszy scenariusz?

- Góry Scaggsa i Winkelmana to wulkany tarczowe, które cechują spokojne wylewy law. Rzadko się zdarza, by takie wulkany gwałtownie eksplodowały, niestety Scaggs i Winkelman nie są typowymi wulkanami tarczowymi i w czasie ostatniej aktywności zachowywały się dość gwałtownie.

Tutejsi eksperci oczekują pęknięć nasad stożków, które doprowadzą do wylewu potężnych ilości lawy.

- Czy ktokolwiek na wyspie ma szansę przeżyć katastrofę?

- To zależy od tego, w którym miejscu dojdzie do wybuchu. Jeżeli nastąpi on ku zamieszkaną części zachodniej, czarno to widzę.

- A jeżeli ku wschodniej?

- Wtedy szansę uratowania ludzi nieco rosą, choć towarzysząca wybuchom działalność sejsmiczna prawdopodobnie zburzy większość znajdujących się na wyspie budynków.

- Czy istnieje ryzyko, że wstrząs spowoduje powstanie tsunami?

- Według naszej analizy będzie na to zbyt słaby. Na pewno nie do porównania z wybuchem Krakatau w 1883 roku. Do brzegów Tasmanii, Australii i Nowej Zelandii nie powinny dojść fale wyższe niż półtora metra.

- Przynajmniej coś - westchnął Sandecker.

- Zadzwoń znowu, kiedy będę wiedział więcej - powiedział Bakewell.

- Na szczęście przekazałem panu już najgorsze, teraz wiadomości mogą być tylko lepsze.

- Dziękuję, Charlie. Mam nadzieję.

Sandecker wyłączył telefon i przez chwilę stał w zadumie. Nie było po nim widać strachu ani zmartwienia, nawet nie drgnęła mu powieka, nie zacisnęły się usta, ale w głębi duszy był przerażony. Zauważył Rudiego Gunna dopiero, kiedy ten dotknął jego ramienia.

- Admirale, jest kolejny telefon do pana. Z biura w Waszyngtonie.

Sandecker włączył telefon i przyłożył go do ucha.

- Sandecker, słucham.

- Admirale? - rozległ się głos jego wieloletniej sekretarki, Marty Sherman. Jej zwykle spokojny głos był podniecony. - Proszę się nie wyłączać, przełączam rozmowę.

- Coś ważnego? - zapytał zirytowany. - Nie mam czasu na załatwianie codziennych spraw.

- Tę rozmowę na pewno zechce pan odebrać - powiedziała rozradowana. - Już przełączam.

Nastąpiła chwila ciszy, po której Sandecker ze złością rzucił do słuchawki:

- Halo! Z kim mówię?

- Witam z południa, admirale. Dlaczego wałkoni się pan na Hawajach?

Sandecker nie należał do ludzi, którzy dają się łatwo zaskoczyć, tym razem jednak miał wrażenie, że pokład zapada mu się pod nogami.

- Dirk, na Boga, to ty?

- To co jeszcze ze mnie zostało. Są ze mną Al i Maeve Fletcher.

- Nie mogę uwierzyć, że żyjecie - powiedział Sandecker mając wrażenie, że przez żyły przechodzi mu prąd.

- Al prosi, żeby zostawił mu pan jedno cygaro.

- W jakiej formie jest ten diabeł?

- Zły, bo nie pozwoliłem mu się najeść.

- Kiedy dowiedziałem się, że zostaliście wyrzuceni przez Dorsetta prosto w tajfun, poruszyłem niebo i ziemię, żeby rozpocząć akcję poszukiwawczą, ale jego długie ramię zniweczyło moje wysiłki. Po trzech tygodniach bez wiadomości byliśmy przekonani, że nie żyjecie. Opowiedz, jak udało się wam przeżyć.

- To długa historia i wolałbym, żeby mi pan opowiedział, co słyhać w sprawie kataklizmu wibracyjnego.

- To jeszcze bardziej skomplikowana historia od twojej. Opowiem szczegóły, jak się spotkamy. Gdzie jesteście?

- Udało nam się dotrzeć do wyspy Gladiator. Siedzę właśnie w gabinecie Arthura Dorsetta i rozmawiam z jego telefonu.

Sandeckera zatkało.

- Żartujesz.

- Nie. Zamierzamy zabrać synów Maeve i zniknąć stąd jak najszybciej w kierunku Australii. - Pitt powiedział to tonem, jakby wybierał się na drugą stronę ulicy po chleb.

Sandeckera załapała fala przerażenia, wynikającego z bezsilności i lęku. Wiadomość trafiła go tak nagle i nieoczekiwanie, że przez kilkanaście sekund nie był w stanie powiedzieć słowa. Z odrętwienia wyrwały go dopiero natarczywe słowa Pitta.

- Admirale! Jest pan tam?!

- Dirk, słuchaj uważnie! Waszemu życiu zagraża wielkie niebezpieczeństwo!

Uciekajcie z wyspy, i to natychmiast!

- Przepraszam, ale nie całkiem rozumiem.

- Nie ma czasu na wyjaśnienia! Powiem tylko, że za niecałe dwadzieścia minut wyspę trafi fala wibracyjna o ogromnej intensywności, a uderzenie wyzwoli aktywność sejsmiczną, która spowoduje wybuch obydwu wulkanów.

Jeżeli wybuchną ku zachodowi, nikt nie przeżyje. Musicie uciekać na morze, póki się da. Nic więcej nie mów. Koniec rozmowy.

Sandecker wyłączył telefon. Był w stanie myśleć jedynie o tym, że niechcący przypieczętował śmierć swego najlepszego przyjaciela.

Szokująca wiadomość trafiła Pitta jak pchnięcie sztyletem. Patrzył przez wielkie okno na stojący na jachcie helikopter. Oceniał, że jest oddalony od niego najwyżej o kilometr. Z dwójką dzieci

dotarcie do portu zajmie im przynajmniej kwadras. Na piechotę, bez samochodu albo chociaż ciężarówki - mogą nie zdążyć. Czas na ostrożność skończył się, jakby nigdy go nie było. Giordino i Maeve powinni już znaleźć chłopców. Musieli ich znaleźć! To, że jeszcze ich nie ma, oznaczało kłopoty.

Popatrzył w kierunku Góry Winkelmana, przeciągnął wzrokiem po centrum wyspy i zatrzymał się na Górze Scaggsa. Oba wierzchołki wyglądały niewinnie i przyjaźnie. Widząc soczystą zieleń na zboczach, trudno było uwierzyć, że to groźne wulkany, śpiące olbrzymy gotowe w każdej chwili siać śmierć i zniszczenie wystrzeliwując gazy i wypluwając płynną skałę. Energicznie, choć bynajmniej nie nerwowo wstał ze skórzanego fotela i obszedł biurko. Nim to zrobił, nagle stanął, zamierając na środku gabinetu, otworzyły się bowiem podwójne drzwi i do środka wszedł Arthur Dorsett. Niósł filiżankę z kawą, pod pachą ścisnął teczkę z dokumentami. Człapał w starych kapciach i miał na sobie kiedyś białą, a teraz pożółkłą koszulę i muchę. Myślami był gdzie indziej. Na widok intruza uniósł brwi, bardziej jednak z niechęci niż z zaskoczenia. Widząc, że intruz jest w mundurze, wziął Pitta za członka ochrony. Otworzył usta, by zażądać wyjaśnień, zamarł jednak jak skamieniały. Twarz mu zbladła, przemknęły przez nią przerażenie i dezorientacja. Teczka spod pachy pofrunęła na podłogę, dokumenty wysunęły się i rozłożyły jak talia kart. Druga ręka bezwładnie opadła, kawa zalała kapcie i chlusnęła na dywan.

- Ty... nie... żyjesz - wydyszał.

- Nawet pan nie wie, jakie to szczęście zaprzeczyć - powiedział Pitt, zauważając z zadowoleniem, że Dorsett ma oko zasłonięte klapką. - Choć tak się zastanawiając, wygląda pan, jakby już ujrzął jednego ducha.

- Sztorm... niemożliwe, byś przeżył tajfun. - Po wyrazie zdrowego oka widać było, że Dorsett powoli odzyskuje panowanie nad sobą. - Jak ci się udało?

- Dzięki pozytywnemu myśleniu i szwajcarskiemu nożowi oficerskiemu - odparł Pitt, myśląc o tym, jak niezwykle wysoki jest Dorsett. Bardzo się cieszył, że ma broń.

- A Maeve? Nie żyje? - zapytał Dorsett ostrożnie, patrząc na wycelowany prosto w jego pierś karabinek.

- Ponieważ wiem, że sprawi to panu wielką przykrość, powiem z przyjemnością, że żyje, czuje się dobrze i właśnie poszła po synów. - Pitt wbijał wzrok w czarne oko Dorsetta. - Niech pan powie, jak zamierzał pan uzasadnić zabicie własnej córki? Czy samotna kobieta próbująca odnaleźć swoją drogę w życiu była aż takim zagrożeniem dla pańskiego majątku? A może chciał jej pan jedynie ukraść synów?

- Imperium powinno być po mojej śmierci kierowane przez spadkobierców pierwszego stopnia. Nie chciała się z tym pogodzić.

- Mam w tym zakresie złe wieści. Pańskie imperium zaraz zwali się panu na łeb.

Dorsett nie rozumiał.

- Zamierzasz mnie zabić?

Pitt pokręcił głową.

- Nie będę pańskim katem. Szykuje się wybuch wulkanów. Śmierć w płynnej lawie to odpowiedni dla pana koniec.

Dorsett odzyskał panowanie nad sobą i lekko się skrzywił.

- Co to za bzdury?

- Nie ma czasu na dokładne wyjaśnienia, zwłaszcza że sam nie znam szczegółów, ale wiem to od

specjalistów. Musi mi pan uwierzyć na słowo.

- Zwariowałaś.

- Cóż za brak wiary.

- Jeśli zamierzasz strzelać - powiedział Dorsett, którego czarne oko pałało lodowatą wściekłością - rób to szybko i dokładnie.

Pitt obojętnie się uśmiechał. Czekał na Maeve i Giordina. Na razie Arthur Dorsett był mu potrzebny żywy - na wypadek gdyby zostali złapani przez ochronę.

- Przepraszam, ale proszę się odwrócić i wejść na górę do sypialni.

- Moi wnukowie... nie możesz zabrać moich wnuków! - mamrotał Dorsett pod nosem.

- Poprawka: synów Maeve.

- Nigdy nie przejdziesz przez ochronę.

- Dwójka przy bramie jest... jak to się mówi? - niezdolna do czynu.

- W takim razie będziesz musiał zamordować mnie z zimną krwią, a jestem gotów postawić cały mój majątek, że cię na to nie stać.

- Dlaczego ktoś ciągle uważa, że nie znoszę widoku krwi? - spytał Pitt dotykając spustu. - Ruszaj, bo odstrzelę ci uszy.

- Strzelaj, żółty bękartie - warknął Dorsett. - Jedno oko już mi zniszczyłeś.

- Chyba jeszcze nie rozumiesz, co się dzieje. - Arogancja Dorsetta rozpałała w Pittcie burzę wściekłości. Lekko uniósł broń i nacisnął spust. Broń prychnęła i na dywan poleciały poszarpane kawałki ucha Dorsetta. - Na schody! Jeden ruch, który mi się nie spodoba, i będziesz miał kulę w kręgosłupie.

W nieludzkim czarnym oku nie było bólu. Dorsett uśmiechnął się groźnie i Pitt mimo woli się wzdrygnął. Patrzył, jak jego więzień chwytą się za ucho i odwraca w kierunku drzwi. W tym momencie do gabinetu weszła Boudicca - wyprostowana, majestatyczna i kształtna - ubrana w dopasowaną jedwabną tunikę, kończącą się kilka centymetrów nad kolanami. Z początku nie poznała Pitta ani nie zauważyła, że jej ojciec znajduje się w niebezpieczeństwie.

- Co się stało, tato? Zdawało mi się, że słyszałam strzał. - W tym momencie zauważyła przeciekającą mu przez palce krew. - Jesteś ranny!

- Mamy niepożądanych gości, córko. - Dorsett, jakby miał oczy w potylicy, wyczuł, że Pitt przez chwilę skoncentrował uwagę na jego córce. Nie zdając sobie z tego sprawy, pomogła mu. Podchodząc do ojca, by obejrzeć jego ranę, zobaczyła Pitta kątem oka. Przez ułamek sekundy jej twarz wyrażała niezrozumienie, nagle jednak rozpoznała nieproszonego gościa.

- Nie! Nie, to niemożliwe!

Dorsett czekał na taki moment nieuwagi Pitta. Gwałtownie się odwracając, odtrącił przedramieniem lufę w bok. Pitt odruchowo nacisnął spust i seria poszła w wiszący nad kominkiem portret Charlesa Dorsetta. Reakcja osłabionego i ledwie trzymającego się na nogach z braku snu Pitta była odrobinę zbyt wolna. Wysiłki minionych trzech tygodni nie przeszły nie zauważone. Widział jak w zwolnionym tempie, że karabinek wypada mu z rąk, przelatuje przez gabinet i z chrzęstem wybijanej szyby wyfruwa za okno.

Dorsett rzucił się niczym oszalały nosorożec. Pitt złapał go w klincz, starał się z całej siły utrzymać na nogach, ale cięższy Dorsett machał pięściami jak kafarami i próbował wbić mu kciuki w oczy. Pitt kręcił głową na boki, nie uniknął jednak ciosu w skroń. We wnętrzu głowy wybuchły mu fajerwerki i zalała go fala niemocy. Rozpaczliwie się skulił i skoczył na bok, by uniknąć gradu

ciosów.

Na szczęście skoczył w odwrotnym kierunku niż tam, gdzie czekał jego przeciwnik. Dorsett posłał wielu mężczyzn do szpitala gołymi rękami, napędzanymi jednak potężnymi ramionami i barkami. W młodości, którą spędził w kopalni, chwalił się zawsze, że nigdy nie musi sięgać po nóż albo broń, a jego siła fizyczna wystarczy, by odprawić z kwitkiem każdego, kto ośmieli się stanąć przeciwko niemu. Nawet w wieku kiedy większość mężczyzn kapcanieje, jego ciało było twarde jak granit.

Pitt potrząsnął głową, by rozjaśniło mu się przed oczami. Był jak poobijany bokser, trzymający się rozpaczliwie lin w oczekiwaniu na gong, walczący o przytomność. Niewielu mogło istnieć na świecie mistrzów walki, którzy byliby w stanie pokonać taką górę mięśni jak Dorsett. Pitt zaczął myśleć, że mogłaby tego dokonać strzelba na słońce. Gdyby tylko zza wzgórza wychynął Giordino... w końcu miał pistolet... Myśli Pitta gnały, planował możliwe ruchy, odrzucał takie, które skończyłyby się połamanymi kośćmi. Uskoczył za biurko i próbował zyskać na czasie, zmuszając się do uśmiechu, od czego bolała go twarz. Po wielu bójkach w barach Pitt wiedział, że gołe pięści nie mają szans przeciwko krzesłom, kufłom i innym przedmiotom, poręcznym do rozwalania łbów. Rozejrzał się za jakąś bronią.

- No i co, staruszkę? Zamierzasz mnie pogryźć swoimi zepsutymi zębami? - spytał wyzywająco.

Obraza osiągnęła zamierzony efekt. Dorsett zaryczał jak wściekły i wyrzucił nogę w kierunku krocza Pitta. Rozminął się z celem o ułamek sekundy i jedynie drasnął piętą jego biodro. Potem rzucił się górą, nad biurkiem, na co Pitt spokojnie cofnął się o krok, złapał metalową lampę i zamachnął się nią z nową siłą, jaką natchnęły go gniew i nienawiść. Dorsett spróbował unieść przedramię, by zablokować uderzenie, ale nieco się spóźnił. Lampa trafiła go w nadgarstek, który z trzaskiem pękł, odbiła się i spadła ponownie, łamiąc mu obojczyk. Zawył jak ranne zwierzę i zaatakował Pitta ze zdwojoną, potęgowaną bólem pasją. Zrobił potężny zamach, by trafić go w głowę.

Pitt kucnął i pchnął podstawę lampy w dół. Trafiła Dorsetta w łydkę, ale impet poruszającej się nogi wytrącił Pittowi broń z rąk. Metal szczęknął o dywan i Dorsett zaatakował ponownie, jakby nie był ranny. Żyłki na szyi pulsowały mu jak szalone, oko rzucało błyskawice, a z kącików otwartych szeroko ust kapiała ślina. Wyglądał, jakby się śmiał. Chyba oszalał. Mruczał coś niezrozumiale pod nosem i szedł prosto na Pitta. Nigdy nie dosięgnął swej ofiary. Jego noga nie wytrzymała i padł na plecy w pół kroku. Pewnie miał złamany piszczel.

Tym razem Pitt zareagował jak kot. Błyskawicznym ruchem wskoczył na biurko i po chwili jego złożone razem stopy wystrzeliły w dół, wbijając się w odsłonięty kark Dorsetta. Paskudna gęba z błyszczącym szklisto okiem i wyszczerzonymi żółtymi zębami jakby się rozciągnęła. Potężna ręka chwyciła powietrze. Ręce i nogi machały chaotycznie wokół. Z gardła wydobył się zwierzęcy agonalny charkot, w strzaskanej grdyce bulgotało. W końcu życie uciekło, sadystyczny błysk w oku zgasł i ciało Dorsetta zamarło.

Pittowi jakimś cudem udało się ustać na nogach. Dyszał przez zaciśnięte zęby. Wbijał wzrok w Boudicę, która nie wiadomo dlaczego nie zrobiła nic, by pomóc ojcu. Patrzyła na martwe ciało na dywanie z mieszaniną obojętności i fascynacji, charakterystyczną dla gapiów wypadków samochodowych.

- Zabijeś go - powiedziała w końcu całkiem spokojnie.

- Niewielu bardziej zasłużyło na śmierć - odpowiedział łapiąc powietrze i masując rosnącego na głowie guza.

Boudicca odwróciła uwagę od trupa ojca, jakby nie istniał.

- Powinnam panu podziękować, panie Pitt, za dostarczenie mi Dorsett Consolidated Mining na srebrnej tacy.

- Jestem poruszony pani smutkiem.

Uśmiechnęła się znudzona.

- Wyrządził mi pan przysługę.

- Łupy dla kochającej córeczki. A co z Maeve i Deidre? Należy im się po trzydzieści procent majątku.

- Deidre dostanie swoje, Maeve, jeśli jeszcze żyje, nie dostanie nic. Tata ją wydziedziczył.

- A bliźniaki?

Wzruszyła ramionami.

- W przypadku małych chłopców wypadki są na porządku dziennym.

- Wydaje mi się, że nie jest pani kochającą ciocią.

Pitt był cały napięty zdając sobie sprawę z tego, co zaraz nastąpi. Jeszcze kilka minut i wulkany wybuchną. Zastanawiał się, czy została mu jeszcze siła do walki z kolejnym Dorsettem. Pamiętał, z jaką siłą Boudicca podniosła go i przycisnęła do ściany na wyspie Kungit - na samą myśl bolały go bicepsy. Jeżeli Sandecker się nie mylił, fala wibracyjna uderzy w wyspę za kilka minut. Skoro ma umrzeć, może wypisać się z tego świata walcząc. Bycie zmasakrowanym przez kobietę wydawało mu się mniej przerażające niż kremacja w płynnej lawie. Co będzie z Maeve i chłopcami? Nie dopuszczał do siebie myśli, że coś im się stało, zwłaszcza że poszedł z nią Giordino. Trzeba ją koniecznie zawiadomić - może jeszcze mieli szansę na ucieczkę z wyspy.

W głębi duszy wiedział, że nie jest dla Boudiccy przeciwnikiem, ale musiał działać, póki pozostała choć minimalna szansa na zaskoczenie. Ledwie dokończył myśl, rzucił się głową do przodu, podbiegł i grzmotnął Boudicce ramieniem w brzuch. Była nie przygotowana na cios, ale niewiele to dało. Dokładniej mówiąc - nic. Wzięła na siebie impet, jęknęła i choć zrobiła dwa kroki do tyłu, nie straciła równowagi. Nim Pitt odzyskał swoją, objęła go wokół klatki piersiowej, zrobiła pół obrotu i rzuciła nim o oszkloną gablotę. Nie wiadomo jak, ale choć nogi drgały mu jak galareta, nie przewrócił się.

Osiągnął granicę możliwości. Ledwie dyszał i miał wrażenie, że nie została mu jedna cała kość. Odsunął ból na skraj percepcji i znów zaatakował - hakiem z dołu. Cios powinien każdej kobiecie odebrać przytomność przynajmniej na tydzień, ale Boudicca jedynie otarła grzbietem dłoni krew z rozbitej wargi, uśmiechnęła się jak monstrum z innego świata. Zaciśnęła pięści i przyjęła bokerską postawę. Pitt pomyślał, że to dość nietypowe dla kobiety.

Wszedł w nią jak zawodowy bokser, skulił się pod jej prawym sierpowym i uderzył resztką siły. Poczuł, że trafił, zaraz jednak sam dostał potworny cios w klatkę piersiową. Miał wrażenie, że serce zmienia mu się w miążgę. Nie był w stanie uwierzyć, że kobieta może tak bić. Trafił ją w twarz z siłą wystarczającą do złamania szczęki, Boudicca dalej się jednak uśmiechała zakrwawionymi ustami i zrewanżowała się ciosem grzbietem dłoni, który posłał go do kominka wypychając resztkę powietrza z płuc. Upadł na plecy i minęło kilka sekund, nim odzyskał oddech. Widząc świat jak przez mgłę, wspiał się na kolana, potem udało mu się wstać. Stał drżąc na boki, szykując się na koniec.

Boudicca podeszła i brutalnie uderzyła go łokciem w pierś. Rozległ się suchy trzask łamanego żebra - może nawet kilku - i z klującym bólem w piersi Pitt opadł na kolana. Gapił się tępo na wzór na dywanie i marzył o tym, by nie musieć się podnosić. Może już nie żył i pozostał po nim jedynie

wzorek na dywanie?

Wiedział, że jego możliwości się skończyły. Chciał sięgnąć po pogrzebacz, ale wzrok miał tak zamącony, a ruchy tak nieskoordynowane, że nie mógł go zobaczyć ani wymacać. Zobaczył nad sobą rozmazaną Boudicę, która nachyliła się, złapała go za nogę i bez trudu pociągnęła po podłodze, aż załomotał o drzwi. Jedną ręką podniosła go za kołnierz, a drugą huknęła tuż nad okiem. Pitt leżał ześlizgując się w krainę nieświadomości, ogarnięty bólem. Wiedział, że krwawi z rany na czole, ale niezbyt ją czuł. Jak bawiący się z myszą kot, Boudicca wkrótce znudzi się zabawą i zabije go. Zamroczony, wydobywając z siebie siłę, jakiej wcale się nie spodziewał, powoli stanął na nogi. Był pewny, że po raz ostatni. Boudicca stała obok trupa ojca, uśmiechnięta i oczekująca. Jej mina wyrażała poczucie absolutnej władzy.

- Czas, byś dołączył do ojca - powiedziała. Jej głos był głęboki, zimny i sugestywny.

- Mam dla ciebie złą wiadomość - powiedział Pitt niewyraźnie, zachrypniętym głosem.

W tym momencie dostrzegł, jak z twarzy Boudicce znikła złość, i poczuł odsuwającą go na bok dłoń. Do gabinetu Dorsetta wszedł Giordino. Popatrzył pogardliwie na Boudicę i powiedział:

- Ten wypicowany goguś jest mój.

W tym momencie w drzwiach stanęła Maeve, prowadząc dwóch blondynków. Patrzyła to na krwawiącą twarz Pitta, to na Boudicę, to na leżące na podłodze ciało ojca.

- Co się stało tacie? - spytała.

- Ma coś z gardłem - wycharczał Pitt.

- Przepraszam za spóźnienie - spokojnie powiedział Giordino. - Paru służącym tak zależało na chłopcach, że zamknęli się z nimi w pokoju. Chwilę zajęło mi wyłamanie drzwi. - Nie wyjaśnił, co zrobił ze służącymi. Podał Pittowi pistolet Merchanta. - Jeżeli wygra, zastrzel ją.

- Z przyjemnością.

Z oczu Boudicce zniknęła pewność siebie. Zniknęła radość, że zaraz zrobi komuś krzywdę. Tym razem to ona walczyła o życie i wiedziała, że musi użyć każdej używanej w ulicznych bójkach sztuczki, jakiej nauczył ją ojciec. Nie będzie to boks ani karate z regułami. Ustawiała się na pozycji, która pozwoli jej zadać śmiertelny cios, cały czas zdając sobie sprawę z broni w ręku Pitta.

- A więc ty też wróciłeś ze świata zmarłych! - syknęła.

- Nigdy nie przestałem o tobie marzyć - odparł Giordino robiąc z ust dzióbek i posyłając Boudicce całusa.

- Przeżyłeś tylko po to, by umrzeć w moim domu.

To był błąd. Boudicca zmarnowała pół sekundy za dużo na gadaninę i Giordino zdążył skoczyć. Złożonymi stopami, na wyprostowanych nogach trafił ją prosto w pierś. Od uderzenia zgięła się wpół, jęknęła z bólu, ale nie wiadomo, jak udało jej się ustać. Chwyciła Giordina za nadgarstki, rzuciła się do tyłu, przeleciała przez biurko i upadła plecami na podłogę. Pociągnęła go przy tym za sobą tak, że leżał brzuchem na biurku. Zamarli. Z wyciągniętymi przed siebie i zablokowanymi rękami Giordino zdawał się bezbronny.

Boudicca patrzyła mu prosto w oczy. Trzymała przeciwnika w stalowym uchwycie, a na jej usta wracał diaboliczny uśmieszek. Nasilając uścisk, zaczęła wyginać Giordinowi nadgarstki, by złamać je potężnymi łapskami. Było to bardzo dobrze przemyślane. Mogła unieszkodliwić Giordina i zasłaniać się nim, aż wyciągnęłaby z górnej szuflady biurka rewolwer ojca. Pitt, czekający na sygnał Giordina by strzelać, nie był w stanie celować do Boudicce pod biurkiem. Ledwie żywy, walczył o utrzymanie przytomności, od uderzenia w czoło ciągle jeszcze widział niewyraźnie.

Przytulała się do niego Maeve, obejmująca synów i zasłaniająca im oczy przed okropnym widokiem!

Giordino leżał bez ruchu, jakby godził się na porażkę, a Boudicca powoli wyginała mu nadgarstki. Tunika zsunęła jej się z ramion i Maeve która jeszcze nigdy nie widziała siostry nago, patrzyła zadziwiona na sploty mięśni na jej barkach i ramionach. Potem przesunęła wzrok ku rozciągniętym na dywanie zwłokom ojca. Nie było w jej oczach smutku, jedynie przerażenie.

Powoli, jakby odzyskał siły, Giordino zaczął prostować nadgarstki. Boudicca wykrzywiła się z wściekłości, potem na jej twarz wypłynął wyraz niewiary.

Jej ciało zwinęło się, by wydobyć z siebie każdą resztkę oporu, mogącą powstrzymać bezlitosny nacisk. Nagle nie była w stanie utrzymać jego nadgarstków i musiała puścić chwyt. Natychmiast wyciągnęła ręce ku oczom Giordina, ale przewidział to i odtrącił jej dłonie na bok. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, sfrunął z biurka i leżał na niej obejmując nogami i przyciskając jej ramiona do tułowia. Trzymana przez siłę, której nigdy by się nie spodziewała, próbowała się wyrwać szaleńczymi szarpnięciami. Rozpaczliwie sięgnęła do szuflady, w której był rewolwer, ale kolana Giordina skutecznie paraliżowały jej ręce. Giordino napiął mięśnie ramion i złapał Boudicę za gardło.

- Jaki ojciec, taka córka - warknął. - Idź za nim do piekła.

Boudicca zrozumiała, że nie będzie litości. Była uwięziona, jej ciało, z którego Giordino wyciskał życie, szarpało się konwulsyjnie, lecz nic to nie dawało. Próbowala krzyczeć, ale jedynie cicho charkotała. Choć jej twarz się wykrzywiła, oczy wytrzeszczyły, a skóra zaczęła przebarwiać na fioletowo, uchwyt Giordina nie słabł. Zwykle przyjacielska twarz Włocha pozostawała bez wyrazu. Dramat trwał, aż ciało Boudicki kilka razy gwałtownie drgnęło i sflaczało. Nie puszczając jej gardła, Giordino przerzucił olbrzymkę przez biurko. Maeve patrzyła z chorobliwą fascynacją, jak ściąga z trupa tunikę. Kiedy skończył, zaczęła krzyczeć i musiała się odwrócić, nie mogąc dłużej patrzeć.

- Tak jak powiedziałeś, przyjacielu - stwierdził Pitt.

Giordino skinął nieznacznie głową. Jego oczy były w dalszym ciągu zimne i puste.

- Wiedziałem to w momencie, kiedy dała mi w zęby na jachcie.

- Musimy uciekać. Wyspa lada chwila wyleci w powietrze.

- Wrócimy tu? - tępo spytał Giordino.

- Później ci wszystko opowiem. - Zwracając się do Maeve zapytał: - Jest niedaleko domu jakiś samochód?

- W garażu z boku jest kilka łazików, którymi ojciec jeździł po terenie.

Pitt wziął jednego z chłopców na ręce.

- Który jesteś?

Przestraszony widokiem krwi spływającej Pittowi z twarzy, mały wymamrotał:

- Michael. - Wskazując na brata, powiedział: - On jest Sean.

- Latałeś kiedyś helikopterem, Michael?

- Nie, ale zawsze chciałem.

- Twoje życzenie zostanie spełnione.

Maeve przed wybiegnięciem z gabinetu ostatni raz spojrzała na ojca i Boudicę, którą zawsze traktowała jak siostrę, starszą siostrę, zawsze daleką i rzadko okazującą jej coś innego niż wrogość, ale jednak siostrę. Ojciec dobrze ukrył tajemnicę, wytrzymując wstyd i ukrywając prawdę przed światem. Było straszne odkryć po tylu latach, że Boudicca była mężczyzną.

W przytykającym do rezydencji garażu znaleźli łaziki, nieco przerobione australijskie holdeny. Z samochodów pousuwano drzwi, by łatwiej było wsiadać i wysiadać, i pomalowano je na jaskrawożółto. Pitt był niezmiernie wdzięczny świętej pamięci Arthurowi Dorsettowi za pozostawienie kluczyków w stacyjce pierwszego z brzegu samochodzika. Szybko wskoczyli do środka - Pitt i Giordino z przodu, Maeve z chłopcami z tyłu. Silnik natychmiast zapalił, Pitt wrzucił jedynkę. Wcisnął gaz i wyprysnęli z garażu. Przy bramie Giordino wysiadł i otworzył ją. Ledwie wyjechali na główną drogę, z naprzeciwka nadjechała ciężarówka strażników pod bronią.

„Nie mogło być inaczej - pomyślał Pitt. - Ktoś musiał narobić rabanu”. Natychmiast jednak się otrząsnął, zdając sobie sprawę, że była pora zmiany wart. Związani w stróżówce w bramie strażnicy zaraz zostaną uwolnieni.

- Machać i uśmiechać się - nakazał. - Zachowujcie się jak szczęśliwa rodzina.

Umundurowany kierowca ciężarówki zwolnił, popatrzył ze zdziwieniem na pasażerów holdena, potem jednak skinął głową i zasalutował. Choć nikogo sobie nie przypominał, musiał uznać, że są gośćmi Dorsettów. Ciężarówka dojeżdżała do bramy, Pitt przyspieszył i pognali do laguny.

- Kupili - powiedział Giordino.

Pitt uśmiechnął się.

- Tylko na minutę, po której będą wiedzieć, że koledzy z nocnej zmiany nie zasnęli z nudów.

Zjechał z okrążającej kopalnie głównej drogi. Widzieli przed sobą port. Nic nie zasłaniało im widoku na jacht. Pitt nie miał czasu patrzeć na zegarek, czuł jednak, że do zapowiedzianej przez Sandeckera katastrofy pozostało nie więcej niż pięć minut.

- Jadą za nami! - krzyknęła Maeve.

Pitt nie musiał patrzeć w lusterko ani być informowanym o tym, że ich droga ku wolności jeszcze się nie skończyła, a strażnicy szybko podejmą pościg. Jedynym istotnym pytaniem było, czy zdążą z Giordinem podnieść helikopter, nim strażnicy dojadą na tyle blisko, by ich zestrzelić. Byli już w porcie. Giordino wskazał na zbliżającą się przeszkodę: stojącego obok wartowni tuż nad wodą strażnika, uważnie lustrującego zbliżający się pojazd.

- Co z nim?

Pitt podał mu pistolet.

- Jeżeli nie przestraszę go, strzelaj.

- Jeżeli nie...?

Giordino nie zdążył dokończyć pytania. Jadąc z prędkością niemal stu dwudziestu kilometrów na godzinę, Pitt trącił bokiem solidne drewniane obramowanie nabrzeża, wcisnął hamulec i wpadł w poślizg, który skierował samochód prosto na strażnika. Ten, nie bardzo wiedząc dokąd uciekać, na chwilę zamarł, zaraz jednak wskoczył do wody.

- Dobra robota - pochwalił Giordino, podczas gdy Pitt wyprostował wóz i ostro zahamował tuż obok prowadzącego na jacht trapu.

- Szybko! - wrzasnął. - Al, biegnij do helikoptera i odwiąż przytrzymujące go liny. Maeve, ty bierz chłopców i schowaj się w salonie. Będziesz tam bezpieczniejsza, kiedy podjadą strażnicy. Czekaj, aż zobaczysz, że łopaty się kręcą, wtedy biegnijcie do helikoptera.

- A co z tobą? - spytał Giordino pomagając Maeve wyciągać chłopców z samochodu.

Pitt już odwiązywał z polerów cumy. Popatrzył na drogę, którą przyjechali. Kierowca ciężarówki źle wziął zakręti i wpakował się w błotnistą trawę. Nim wrócili na drogę, strażnicy stracili cenne

sekundy. Niemal równocześnie zakasłał silnik helikoptera i z wnętrza jachtu doleciał odgłos strzału.

Pitt pognął trapem. Wybuchł w nim strach, zdał sobie bowiem sprawę, że posłał Maeve do środka nie sprawdzwszy terenu. Sięgnął po pistolet, przypomniał sobie jednak, że oddał go Giordinowi. Przebiegł przez pokład mruczając „Boże!”, jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wpadł do środka. Zawirowało mu w głowie, kiedy usłyszał Maeve, która powiedziała:

- Nie, Deidre, tylko nie chłopcy.

Pitt natychmiast objął wzrokiem całą scenę. Maeve leżała na podłodze oparta plecami o regał z książkami i obejmowała płaczących ze strachu synów. Na górze brzucha jej bluzkę przesiąkała plama krwi. Na środku salonu stała Deidre ze skierowanym ku chłopcom pistoletem w dłoni. Twarz i gołe ręce miała jak z wypolerowanego mahoni. Ubrana była w podkreślający jej urodę kostium Ungaro. Jej oczy były zimne jak lód, usta zaciśnięte w cienką linię. Patrzyła na Pitta wzrokiem, który zamroziłby alkohol. Kiedy się odezwała, jej głos nie brzmiał jak głos człowieka zdrowego psychicznie.

- Wiedziałam, że nie zginiesz.

- Jesteś bardziej szalona niż twój zwariowany ojciec i zdegenerowany brat - spokojnie powiedział Pitt.

- Wiedziałam, że wrócisz, by zniszczyć moją rodzinę.

Pitt powoli posuwał się do przodu, aż zakrył ciałem Maeve i chłopców.

- Nazwijmy to kruczającą wyćpicią zarazę. Przy Dorsettach Borgiowie wyglądają na amatorów. Zabiłem twojego ojca. Wierzysz mi?

Powoli skinęła głową, ściskająca pistolet dłoń była spokojna i biała jak marmur.

- Służący, których Maeve i twój przyjaciel pozamykali w szafie, wiedzieli, że śpię na jachcie, i zadzwonili. Umrzesz tak samo jak mój ojciec, ale najpierw skończę z Maeve.

Pitt powoli spojrzał za siebie.

- Maeve nie żyje.

Deidre próbowała zajrzeć za niego, by sprawdzić, czy nie kłamie.

- To popatrzysz, jak zabijam jej cenne dzieciaki.

- Nie! - krzyknęła Maeve zza pleców Pitta. - Tylko nie moje dzieci!

Deidre straciła resztkę rozumu. Podniosła broń i obesła Pitta, by mieć wolne pole do strzału. Wściekły, nie przejmując się zdrowym rozsądkiem, skoczył jej pod nogi. Zrobił to szybko, zdążyła jednak obrócić lufę. Nie miał się co oszukiwać, że poradzi sobie z pistoletem. Dzieliły ich dwa metry - za dużo, by ją sięgnąć, za mało, by spudłowała.

Wyraźnie poczuł uderzenie obu kul w ciało, było w nim jednak tyle obrzydzenia i nienawiści, że stłumiły ból i spowolniły szok urazowy. Przewrócił Deidre z takim impetem, że jej delikatne rysy wykrzywił śmiertelny ból. Miał wrażenie, że wpadł na drobne drzewko. Deidre wygięła się do tyłu i spadła na stolik do kawy, przyciśnięta ciężarem Pitta. Rozległ się obrzydliwy trzask, przypominający pęknięcie twardej gałęzi - Deidre w trzech miejscach pękł kręgosłup.

Dziwny, wściekły wrzask nie wzbudził litości Pitta. Głowa Deidre była odrzucona daleko do tyłu, ale zamglone oczy były w dalszym ciągu pełne nienawiści.

- Zapłacisz! - jęknęła gniewnie, wbijając wzrok w rosnące na boku i szczycie piersi Pitta plamy krwi. - Zaraz będzie po tobie. - Pistolet trzymała ciągle w dłoni i próbowała celować w Pitta, ale ciało odmawiało wykonywania komend z mózgu.

- Możliwe - powiedział powoli, krzywiąc usta w uśmiechu przypominającym kształtem uchwyt

trumny. Zdawał sobie sprawę, że Deidre ma złamany kręgosłup. - Ale to i tak lepiej niż być sparaliżowanym do końca życia.

Oderwał się od Deidre i chwiejnie podszedł do Maeve. Dzielnie starała się nie zwracać uwagi na ranę i chroniła ramionami płaczących i trzęsących się synów.

- Wszystko już dobrze, kochani - mówiła łagodnie. - Wszystko będzie dobrze.

Pitt ukląkł przed nią i zbadał ranę. Nie było dużo krwi, jedynie niewielka dziurka jak po wkłuciu grubej igły. Nie miał możliwości ustalić, jak kula koziołkowała w ciele, jakie zniszczyła narządy i naczynia krwionośne i czy zatrzymała się w miękkich częściach ciała, czy w kręgosłupie, wiadomo było jednak, że musi być wewnętrzny krwotok i bez natychmiastowej pomocy lekarskiej Maeve wkrótce umrze.

Pittowi omal nie stanęło serce, czuł, jakby miał w piersi kawał lodu. Chciało mu się wyc z rozpacz, ale z gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Świtało, horyzont na wschodzie jarzył się pomarańczowo światłem szykującego się do wzejścia słońca. Giordino nie mógł dłużej czekać. Zeskoczył na pokład, schylił się pod wirującymi łopatami i spojrzał w kierunku zjeżdżającej do portu ciężarówki z ochroniarzami. Co, do diabła, działo się z Pittem i Maeve? Dirk nie marnowałby niepotrzebnie sekundy. Cumy zwisały luzem do wody, jacht został pochwycony przez odpływ i oddryfował już przynajmniej trzydzieści metrów od nabrzeża.

Pospiech był sprawą życia i śmierci. Ochroniarze nie otwierali ognia tylko dlatego, że bali się uszkodzić strzelaniem z daleka własność Dorsettów. Byli jednak nie dalej niż sto metrów i ciągle się zbliżali.

Giordino był tak zaangażowany obserwacją prześladowców i zastanawianiem się, co przydarzyło się jego przyjacielowi, że nie usłyszał szczekania psów, rozlegającego się z różnych zakątków wyspy, ani nie widział nagle wlatujących ptaków, które krążyły zdezorientowane po niebie. Nie usłyszał też dziwnego pomruku ani nie poczuł drżenia ziemi i wody. W podwodną część wyspy uderzyły intensywne infradźwięki.

Kiedy brakowało mu kilku kroków do drzwi salonu, rzucił okiem za siebie na strażników. Stali jak przymurowani do nabrzeża, a wszystko wokół nich zaczynało falować jak grzywacze na oceanie. Stracili zainteresowanie pościgiem i wbili wzrok w chmurę szarego dymu, który zaczął unosić się nad Górą Scaggsa. Giordino widział ludzi wybiegających z prowadzącego do wnętrza góry tunelu. Coś zaczynało się też dziać w Górze Winkelmana. Przypomniał sobie słowa Pitta, że wyspa zaraz wyleci w powietrze.

Wpadł do salonu jak bomba, zaraz jednak zamarł. Jednym spojrzeniem objął rannego w pierś i bok Pitta, trafioną w brzuch Maeve i niemal owiniętą wokół stolika Deidre Dorsett.

- Boże, co się stało?

Pitt popatrzył na niego, ale nie odpowiedział.

- Czy wybuch już się zaczął?

- Ze szczytów leci dym i trzęsie się ziemia.

- No to po nas.

Giordino ukląkł i popatrzył na ranę Maeve.

- Źle to wygląda.

Popatrzyła na niego prosząco.

- Weź chłopców i zostaw mnie.

Giordino powoli pokręcił głową.

- Nie mogę. Odlecimy wszyscy albo wszyscy zostaniemy.

Złapał go za ramię Pitt.

- Nie ma czasu. Lada chwila wyspa wybuchnie. Też jestem załatwiony.

Weź chłopców i uciekaj. Natychmiast!

Giordino otępieł jak trafiony odłamkiem. Spadła z niego zwykła nonszalancja i przemądrzały sarkazm. Potężne ramiona zdawały się kurczyć. Nie był przygotowany psychicznie na to, by zostawić na pewną śmierć kogoś, kto trzydzieści lat był jego najlepszym przyjacielem. Nie wiedział, co robić.

- Nie mogę cię zostawić.

Schylił się nad Maeve i spróbował ją podnieść. Odwrócił się do Pitta i powiedział:

- Zaraz po ciebie przyjdę.

Maeve odepchnęła jego rękę.

- Nie widzisz, że Dirk ma rację? - mruknęła słabo.

Pitt podał mu księgę logową i listy Rodneya Yorka.

- Niech dotrą do jego rodziny - powiedział ze stoickim spokojem. - Bierz chłopców i uciekaj!

Na zewnątrz niebo nagle zniknęło, zasłonięte wyrzuconą z Góry Winkelmana chmurą popiołu, która wyleciała z potwornym grzotem. Kiedy czarny pył zakrył wszystko jak wielki parasol, mogło się здаwać, że zapadła noc. Kolejna eksplozja wyrzuciła w niebo tysiące ton lawy.

Giordino poczuł, jakby wrywano mu duszę. Skinął głową i odwrócił się, rozumiejąc że musi zrobić to co konieczne.

- Dobrze. Jeżeli nikt mnie nie potrzebuje, idę.

Pitt chwycił go za rękę.

- Żegnaj, przyjacielu. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

- No to na razie - mruknął Giordino, któremu łzy zaczęły wypełniać oczy. Wyglądał jak starzec, który przeżył ogromną tragedię. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło. Złapał pod każdą pachę po dzieciaku i już go nie było.

56

Charles Bakewell i eksperci obserwatorium wulkanicznego w Auckland nie mogli zaglądać w głąb ziemi tak jak mogą obserwować atmosferę meteorologowie czy - w nieco mniejszym stopniu - patrzeć w głąb mórz oceanografowie. Nie byli w stanie dokładnie przewidzieć kolejności i siły wydarzeń, które nastąpią, kiedy wędrująca z Hawajów fala akustyczna trafi wyspę Gladiator. W odróżnieniu od większości wybuchów wulkanów i trzęsień ziemi nie mieli czasu na przebadanie zjawisk poprzedzających, takich jak przewstrząsy, zmiany w przepływie wód gruntowych czy w zachowaniu miejscowych zwierząt, zarówno udomowionych, jak i dziko żyjących. Choć dynamiką zjawiska rządził chaos, wszyscy naukowcy byli zgodni, że zbliżająca się katastrofa będzie potężna, a kipiące głęboko pod powierzchnią wyspy piekło zamierza się obudzić w bardzo gwałtowny sposób.

Rezonans powstały w wyniku trafienia wyspy falą dźwiękową wstrząsnął zdestabilizowanymi rdzeniami wulkanów i wyzwolił eksplozję. Kolejne etapy kataklizmu następowały szybko. Wydostająca się z głębokości wielu kilometrów rozpalona skała rozprężała się, upłynniała i natychmiast parła dalej do góry każdą powstałą w wyniku drgań szparą. Zatrzymując się po to, by przygotować się do zajęcia miejsca chłodniejszych skał, płynna masa stworzyła podziemny zbiornik zwany komorą magmową, w której tworzą się ogromne ciśnienia.

Czynnikiem uaktywniającym wulkan jest podgrzana do bardzo wysokiej temperatury para wodna, która tworzy tak zwany gaz wulkaniczny wyrzucający magmę na powierzchnię. Przechodząc w stan gazowy, woda zwiększa swą objętość mniej więcej tysiąckrotnie, co wytwarza astronomiczną siłę powodującą wybuch wulkanu. Wyrzucanie z kominów wulkanicznych bomb i popiołów powoduje powstanie typowego dla gwałtownych erupcji pióropusza dymu. Choć w trakcie wybuchu wulkanu nie dochodzi do zapłonu, odbijane w parze wodnej wyładowania elektryczne dają wrażenie ognia.

Robotnicy i inżynierowie zaczęli uciekać z kopalni po pierwszym zadrganiu ziemi. Temperatura w dołach wydobywczych gwałtownie rosła. Żaden ze strażników nawet nie próbował powstrzymać uciekającej fali ludzi. Wręcz odwrotnie - spanikowani, kierowali oszalałą horde tam, gdzie ich zdaniem ludzie będą bezpieczni - w kierunku laguny. Okazało się jednak, że najlepszą szansę przeżycia mieli ci, którzy pobiegli w odwrotnym kierunku - między podstawy obu wulkanów.

Oba stożki obudziły się z wiekowego snu jak giganty z bajek, ale w zupełnie odmienny sposób.

Góra Winkelmana pękła tuż nad podstawą w wielu miejscach, głównie od strony laguny, i przez długie szpary wysoko w niebo zaczęły wytryskiwać fontanny magmy. Kiedy wzdłuż brzegów pęknięć potworzyły się szeregi drobniejszych otworów, zaczęła tamtędy wylatywać rozżarzona para, co sprawiało wrażenie, jakby góra skąpała się w ogniu. Zboczami spływały ogromne ilości płynnej lawy, niszcząc wszelką roślinność, którą napotkały na drodze. Gwałtowny podmuch wytryskającego ze zbocza powietrza przewrócił pobliskie drzewa, połamał je jak zapalki, natychmiast spopielił, a resztki dmuchnął ku lagunie. Pozostało jedynie kilka nadpalonych kikotów. Ziemia pokryła się spadającymi z nieba martwymi ptakami, uduszonymi gazami i pyłem, które zabrały z powietrza tlen. Jak prowadzona boską ręką, fala lawy przepłynęła przez teren, na którym znajdowały się budynki strażników, omijając o pół kilometra kwatery robotników, dzięki czemu uratowało się ponad trzysta ludzi. Czoło fali lawy, choć nie powstrzymane, posuwało się nie szybciej, niż mógł biec człowiek, przez co magma z Góry Winkelmana spowodowała ogromne straty materialne, ale niewiele ofiar.

Teraz jednak nadeszła kolej na Górę Scaggsa.

Nazwany na cześć kapitana „Gladiatora” wulkan wydał z głębi swych czeluści potężny ryk, przypominający dudnienie setki pociągów towarowych w tunelu. Z krateru wystrzeliła chmura popiołu, znacznie większa od tej, jaką wystrzeliła Góra Winkelmana. Czarna groźna masa wirując unosiła się wyżej i wyżej. Choć chmura wyglądała tajemniczo i przerażająco, była jedynie preludium nadchodzącego dramatu. Zachodni stok Góry Scaggsa nie był w stanie wytrzymać wznoszącego się z tysięcy metrów pod ziemią nacisku. Ku powierzchni gnała skała zmieniona w rozżarzony do białości płyn. Niemożliwe do zmierzenia ciśnienie rozerwało górną część stoku, wyzwalaając z zamknięcia inferno kipiącej magmy. Z podobną do tysiąca grzmotów eksplozją lawa rozprysnęła się na miliony fragmentów.

Przypominało to salwę z najcięższych armat. Ogromna ilość rozpalonej magmy wyzwalała się tworząc potok utworów piroklastycznych, czyli mającej gęstość melasy mieszaniny rozżarzonych fragmentów skały i gazu, która porusza się z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przyspieszając, potok spływał z boczem dudniąc bez sekundy przerwy, niszcząc wszystko na drodze i pchając przed sobą cuchnącą siarką falę powietrza.

Wrzący strumień wszystko, co napotkał, niszczył ogniem i oblepiał twardej magmą. Roztopiał szkło, wgniatał w ziemię budynki, każda materia organiczna natychmiast zmieniała się w popiół. Kipiący potwór nie zostawiał za sobą niczego.

Przerażającą przetoczyła się przez grubą warstwę popiołu, pokrywającą wyspę jak upiorny

całun, i kiedy dotarła do brzegu laguny, woda zaczęła kipieć, a w niebo wzbily się tumany skotłowanej pary. Piękna laguna natychmiast pokryła się obrzydliwą warstwą szarego popiołu, brudnego mułu i poszarpanych resztek najróżniejszych przedmiotów pchanych przez czoło strumienia lawy.

Wyspa, która tak długo zaspokajała chciwość jednych ludzi, a zdaniem innych zasługiwała na śmierć, została zniszczona. Kładł się na niej całun śmierci.

Giordino uniósł smukłą angielską augustę nad pokład. Oddalił się na bezpieczną odległość od wyspy, nim na port i jacht spadł grad kamieni i fragmentów skał. Nie widział pełnego rozmiaru zniszczeń, skrywała go bowiem chmura popiołu sięgająca na trzy kilometry w górę. Niesamowity podwójny wybuch był nie tylko niszczycielsko gwałtowny, lecz równocześnie zadziwiająco piękny. Było w nim coś nierealnego. Giordino miał wrażenie, że patrzy ze skraju piekła.

Na krótko obudziła się w nim nadzieja, jacht bowiem ożył i ruszył w kierunku prowadzącego na otwartą wodę przesmyku w rafie. Choć ranny, Pitt jakimś sposobem uruchomił jacht. Nadzieja Giordina zaraz jednak zamarła, gdyż bez względu na szybkość, z jaką futurystyczny jacht mógł poruszać się po wodzie, nie był wystarczająco szybki, by umknąć przed falą płonącego popiołu, która spaliła wszystko na lądzie, a teraz obejmowała lagunę. Giordino z rosnącym przerażeniem obserwował nierówny wyścig. Chmura najpierw dogoniła spieniony kilwater jachtu, systematycznie skracała dystans i po kilku sekundach otoczyła uciekającą jednostkę, zasłaniając ją przed wzrokiem Giordina. Z wysokości ponad dwustu metrów widział, że nie można przeżyć w czymś takim.

Giordinowi ścisnęło się serce na myśl, że właśnie ogląda śmierć matki ściśniętych obok niego w fotelu drugiego pilota chłopców oraz przyjaciela, który przez tyle lat był mu bliski jak brat. Przeklinając wulkany i swoją bezradność, odwrócił wzrok. Twarz miał pobladłą i leciał kierowany bardziej instynktem niż doświadczeniem. Wiedział, że ból, który czuje w sobie, nigdy nie osłabnie. Jego zawadiackość umarła wraz z wyspą Gladiator. Przebył z Pittem tyle dróg i zawsze chronili się nawzajem przed niebezpieczeństwem. Przy tak wielu okazjach, kiedy Pitt musiał zginąć, Giordino doświadczał, że jego przyjaciel nie był kandydatem na śmierć. Pitt był niezniszczalny.

Mimo wszystko Giordino poczuł iskierkę optymizmu. Popatrzył na wskaźniki stanu zbiorników - były pełne. Spojrzał na zamocowaną poniżej tablicy wskaźników mapę i postanowił polecieć na zachód, ku Hobart na Tasmanii, najbliższemu i najlepszemu miejscu do udania się z chłopcami. Kiedy odda synów Maeve w pewne ręce, zatankuje i wróci na Gladiatora, choćby po to, by znaleźć ciało Pitta dla jego mieszkających w Waszyngtonie rodziców.

Nie mógł Pitta tu zostawić. Nigdy nie zapominał o nim za życia, nie zrobi tego też po śmierci. Dało mu to nieco ulgi. Obliczył, kiedy dotrze do Hobart, oszacował też, kiedy wróci na wyspę, i zaczął mówić do chłopców, którzy przestali się już bać i podnieceni wyglądali przez szybę na ocean w dole.

Wyspa zaczęła maleć w tyle i wkrótce Giordino, obróciwszy się, widział ten sam niewyraźny kontur, który sto czterdzieści cztery lata temu ujrzeli wycieńczeni rozbitkowie z tratwy „Gladiatora”.

Kilka sekund po tym jak miał pewność, że Giordino uniósł się nad pokład, Pitt podciągnął się do pozycji stojącej, zmoczył leżący w umywalce ręcznik i owinał nim głowę Maeve. Potem zaczął zarzucać ją wszystkim, co tylko mógł znaleźć w kabinie - poduszkami, krzesłami, połamanymi meblami - aż zniknęła pod stertą. Zrobiwszy co mógł, by ochronić ją przed zbliżającym się morzem ognia, pokuśtykał do sterówki. Cały czas trzymał się za bok w miejscu, gdzie kula przebiła mięśnie brzucha, sperforowała okrężnicę i zatrzymała się w pasie miednicowym. Druga kula odbiła się od

zębra w górnej części klatki piersiowej, zraniła płuco i wyszła plecami. Walcząc o utrzymanie przytomności, Pitt zaczął studiować wskaźniki instrumentów na konsolce sterowniczej.

W odróżnieniu od helikoptera, zbiorniki jachtu były prawie puste. Załoga nigdy nie martwiła się tankowaniem, dopóki ktoś z rodziny Dorsettów nie zaczynał szykować się do odpłynięcia. Pitt znalazł odpowiednią dźwignię i włączył wielkie blitzeny seastormy. Nie było słyhać ich pracy, póki nie pchnął dźwigni przepustnicy, zmuszając silniki do wejścia na wysokie obroty. Pokład zadrżał, dziób uniósł się, a woda za rufą zagotowała. Przełączył jacht na sterowanie ręczne i ruszył ku otwartemu oceanowi.

Z nieba spadał gorący popiół. Pitt słyszał trzask i pomruk zbliżającej się ściany ognia. Dymiące kawały skał spadały jak ostrza gilotyny, wyzwalaając przy zetknięciu z powierzchnią wody syczące słupy pary. Choć odległość od Góry Scaggsa była spora, we wnętrzu krateru panowało takie ciśnienie, że spadające bez końca bomby leciały jak wystrzelone z najbliższej odległości. Kamienie zasypały urządzenia portowe, spadały jednak coraz dalej, ścigając jacht. Dogoniły Pitta dwieście metrów przed przesmykiem. Kiedy wirująca masa dosięgła rufę, jacht został pchnięty do przodu niczym potężną ręką. Pierwsze uderzenie ścięło radar, anteny, szalupy, reling i wszelkie drewniane konstrukcje na rufie. Łódź walczyła o życie, przebijając się przez szalejący żywioł jak ranny wieloryb. Płonące kamienie zadudniły w nadbudówki i pokłady, robiąc ze wspaniałej jednostki poobijaną puszkę.

Temperatura w sterówce doprowadzała powietrze do wrzenia. Pitt miał wrażenie, jakby wysmarowano mu twarz papką z ostrej papryki. Oddychanie przychodziło z trudem, zwłaszcza że jedno płuco miał uszkodzone. Modlił się żarliwie, by Maeve nie umarła. Łapiąc z trudem powietrze, czuł, że zaczyna mu się nadpalać ubranie. Skwierczały mu włosy, ale nie puszczał steru. Gorące powietrze rozrywało płuca i każdy oddech był torturą. Huk otaczającego ognia mieszał się z łomotem serca i tętnieniem krwi w uszach. Na szczęście konstrukcja jachtu była niezwykle solidna, a silniki nie przestawały pracować.

Kiedy zaczęły pękać i wypadać szyby w sterówce, Pitt stracił wiarę w przeżycie, mimo to całą uwagę koncentrował na ruchu jachtu, jakby był w stanie przyspieszyć go siłą woli. Nagle kurtyna kamieni pozostała z tyłu. Brudnoszara woda zmieniła się na szmaragdową, a niebo na szafirowe. Fala ognia i rozżarzonego pyłu straciła impet.

Pitt wciągnął pierwszy haust czystego powietrza jak pływak, który właśnie wypłynął na powierzchnię po długim pobycie pod wodą. Nie wiedział, jak poważnie jest ranny, ale go to nie obchodziło. Znosił ból ze stoickim spokojem.

W tym momencie zauważył po prawej stronie i nieco z przodu wystający nad wodę wielki łeb i szyję. Zwierzę przypominało olbrzymiego węgorza, okrągły łeb mógł mieć średnicę dwóch metrów. Paszcza była otwarta i ukazywała dwa równe szeregi ostrych jak żyłki zębów. Pitt szacował całkowitą długość zwierzęcia na trzydzieści, może nawet czterdzieści metrów. Poruszało się nie wolniej od jachtu.

- A więc Bazyl istnieje - mruknął pod nosem, czując przy każdym słowie palenie w gardle. Uznał, że Bazyl nie jest taki głupi, jeżeli ucieka opuszczając swój świat, by znaleźć się w bezpiecznych wodach poza rafą. Po przepłynięciu przesmyku Bazyl natychmiast się zanurzył i wraz z pożegnalnym machnięciem ogonem zniknął w głębinie.

Pitt skinął mu głową na pożegnanie i ponownie skoncentrował się na konsolce. Instrumenty nawigacyjne nie działały. Spróbował nadać SOS, ale zarówno radio, jak i telefon satelitarny były

martwe. Wszystko przestało funkcjonować poza silnikami, które w dalszym ciągu pchały poobijany jacht przez fale.

Nie mając możliwości włączenia automatycznego pilota, Pitt przywiązał ster tak, by dziób wskazywał na południowo-wschodnie wybrzeże Australii, i przymknął przepustnicę, by oszczędzić resztkę paliwa. Miał nadzieję, że któryś ze statków ratowniczych, który usłyszał o katastrofie na wyspie Gladiator, przetnie jego kurs i sprawdzi, co się dzieje.

Zmusił bezwładne nogi do ruchu i wrócił do Maeve, oczekując ze strachem, co zastanie w wypalonym salonie. Wyglądał, jakby omieciono go miotaczem ognia. Choć grube ściany z włókna szklanego powstrzymały płomienie, dostały się one do środka przez powybijane szyby. Dziwnym trafem nie spalił się - jedynie przypalił - materiał, którym obite były krzesła i kanapy. Spojrzał na Deidre. Jej jeszcze niedawno piękne włosy były spalone do skóry, oczy mętne i białe jak ugotowane jajko, skóra koloru ugotowanego homara.

Z ubrania unosiły się smużki dymu. Wyglądała jak lalka, którą okrutne dziecko włożyło na chwilę do rozżarzonego piekarnika. Śmierć wyzwoliła ją od życia w sparaliżowanym ciele.

Nie zwracając uwagi na rany i ból, zaczął odrzucać meble ze sterty. Zrozpaczony wmawiał sobie, że Maeve musi żyć. Na pewno czeka mimo bólu i cierpienia, by nie stracić ponownie synów. Ściągnął ostatnią poduszkę i popatrzył ze strachem. Ogarnęła go fala ulgi, Maeve bowiem uniosła nieco głowę i uśmiechnęła się.

Wziął dziewczynę w ramiona. W tym momencie ujrzał kałużę krwi, która spłynęła jej po udach i rozlewała się na podłodze. Objął Maeve ramionami, przytulając jej głowę do barku. Ustami muskał jej policzki.

- Twoje brwi... - szepnęła z trudem.

- Co im się stało?

- Są spalone. Włosy też.

- Nie mogę cały czas wyglądać dziarsko i przystojnie.

- Dla mnie zawsze tak wyglądasz. - Jej oczy zasnuły się smutkiem. - Czy chłopcy są bezpieczni?

Skinął głową.

- Al odleciał, tuż nim uderzyła nas fala kamieni. Powinni być w drodze na bezpieczny ląd.

Maeve była blada jak chusta. Wyglądała jak delikatna porcelanowa laleczka.

- Nigdy ci jeszcze nie powiedziałam, że cię kocham.

- Nie szkodzi - powiedział walcząc ze zbierającym mu się w gardle łkaniem.

- Też mnie troszkę kochasz?

- Kocham cię z całej duszy.

Podniosła dłoń i delikatnie dotknęła jego spieczonej twarzy.

- Mój wspaniały przyjacielu, czekający zawsze za następnym zakrętem.

Obejmij mnie mocno. Chcę umrzeć w twoich ramionach.

- Nie umrzesz - powiedział czując, że serce roztrzaskuje mu się na kawałki. - Mamy przed sobą długie życie i będziemy krążyć po morzach i oceanach łodzią pełną dzieciaków, które nauczą się pływać jak ryby.

- „Rozbitków dwoje co chcą zbadać świat” - szepnęła cicho.

- „Bo świata tyle do zbadania jest” - dopowiedział Pitt słowa piosenki.

- Przenieś mnie przez Księżycową Rzekę, Dirk, przenieś mnie. - Maeve wyglądała niemal radośnie.

Zamrugnęła i zamknęła oczy. Jej ciało zwiędło niczym trafiony zimnym powiewem piękny kwiat. Twarz miała pogodną jak spokojnie śpiące dziecko. Przeszła na drugi brzeg.

- Nie! - zawył Pitt jak dzikie zwierzę, rzucające w noc wyzwanie światu.

Zdawało się, że życie opuściło także jego ciało. Nie walczył już o utrzymanie przytomności, nie miał po co dalej odsuwać od siebie czarnej chmury. Przestał chwytać się rzeczywistości i odpłynął w mrok.

57

Plan Giordina, by jak najszybciej wrócić na wyspę Gladiator, był od początku skazany na niepowodzenie.

Po zawiadomieniu znajdującego się niedaleko Hawajów na pokładzie „Glomar Explorera” admirała Sandeckera, skontaktował się z australijskimi i nowozelandzkimi jednostkami ratownictwa powietrzno-morskiego. Okazało się, że jest pierwszym, kto informuje świat o katastrofie. W czasie pokonywania pozostałego do Hobart odcinka był nieustająco indagowany przez wysoko postawionych polityków i dziennikarzy na temat okoliczności wybuchu wulkanów i oceny zakresu zniszczeń.

Nalatywał na stolicę Tasmanii wzdłuż otaczających miasto stromych wzgórz. Kiedy przeleciał na zachodni brzeg rzeki Derwent i zlokalizował lotnisko, połączył się z wieżą. Kontrola lotów skierowała go na oddalony pół kilometra od głównego terminalu teren objęty jurysdykcją wojska. Gdy zbliżał się do lądowania, zdziwiło go, jak gęsty tłum otacza wyznaczone mu miejsce.

Wyłączył silnik. Rozpoczęła się urzędnicza procedura. Wsiadli inspektorzy imigracyjni i zaczęli przeprowadzać formalności, konieczne do wpuszczenia go na terytorium Australii bez paszportu. Pracownicy opieki społecznej wzięli pod swoje skrzydła synów Maeve, zapewniając, że zostaną przekazani ojcu natychmiast po jego odnalezieniu. Kiedy Giordino stanął na płycie lotniska, umierający z głodu i wycieńczony jak pies, zaatakowali go dziennikarze. Podsuwali mu pod nos mikrofony, kierowali na niego kamery i wykrzykiwali nieskończone litanie pytań na temat erupcji. Odpowiadał tylko na jedno pytanie, ale z uśmiechem na twarzy: że jedną z pierwszych ofiar katastrofy został Arthur Dorsett.

W końcu udało mu się uwolnić od dziennikarzy i dotrzeć do biura ochrony lotniska, skąd zadzwonił do amerykańskiego konsula, który bardzo niechętnie i jedynie „ze względów humanitarnych” zgodził się zapłacić za zatankowanie helikoptera. Lot powrotny na Gladiatora został jednak opóźniony, ponieważ dyrektor australijskiej służby ratowniczej poprosił o zabranie leków i żywności. Giordino wielkodusznie się zgodził i chodził potem nerwowo wokół helikoptera przyglądając się tankowaniu, usuwaniu siedzeń i ładowaniu pakunków. Najbardziej był wdzięczny robotnikowi, który pomyślał o przyniesieniu mu torby kanapek i paru butelek piwa. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu, podjechał samochód i kierowca poinformował, że zaraz ma się na lotnisku zjawić admirał Sandecker. Giordino popatrzył na kierowcę jak na wariata, minęły bowiem dopiero cztery godziny od momentu złożenia raportu znajdującemu się na Hawajach admirałowi.

Sprawa wyjaśniła się, kiedy na niebie pojawił się należący do Marynarki Wojennej USA naddźwiękowy F-22A. Smukły myśliwiec, zdolny do lotu z prędkością Mach 3, wylądował i pokołował w kierunku Giordina. Osłona kabiny uniosła się i na skrzydło wyszedł ubrany w ubiór przeciwprzeciążeniowy Sandecker. Nie czekając na drabinkę, zeskoczył na asfalt. Podszedł prosto do zaskoczonego Giordina i objął go.

- Albercie, nawet nie wiesz, jak się cieszę na twój widok.

- Szkoda, że nie ma nas więcej, by pana powitać - ze smutkiem odpowiedział Giordino.

- No, nie ma sensu tak stać i zapłakiwać się. - Twarz Sandeckera była zmęczona i pocięta zmarszczkami. - Ruszajmy po Dirka.

- Nie chce się pan najpierw przebrać?

- Ściągnę to ubranie rodem z Gwiezdných Wojen po drodze. Marynarka dostanie je z powrotem, kiedy będę miał wolną chwilę.

Nie minęło pięć minut, a obładowani upchniętymi gdzie się dało dwoma tonami towaru byli w powietrzu i lecieli nad Morzem Tasmańskim w kierunku popalonych resztek wyspy Gladiator.

Ku wyspie wkrótce wyruszyły też australijskie i nowozelandzkie statki ratownicze, wiozące odpowiedni sprzęt i personel medyczny. Każdy znajdujący się w odległości do dwustu mil morskich statek towarowy otrzymał polecenie podpłynięcia do miejsca katastrofy i udzielania pomocy.

Straty w ludziach nie były tak wysokie, jak można by sądzić po rozmiarach kataklizmu. Większości chińskich górników udało się uciec przed strumieniami lawy i ogniem. Przeżyła połowa kadry nadzorczej kopalni, ale z osiemdziesięciu pracowników ochrony uratowało się jedynie siedmiu, za dodatek wszyscy byli poważnie poparzeni. Późniejsze sekcje wykazały, że większość zginęła wdychając popiół.

Późnym popołudniem erupcja osłabła. Magma co prawda w dalszym ciągu wypływała z pęknięć w zboczach gór, ale cienkimi strumykami. Oba stożki nie przypominały tego, czym jeszcze niedawno były. Scaggs praktycznie przestała istnieć, pozostawiając po sobie rozległy, obrzydliwy krater. Z Winkelmana pozostała mniej niż jedna trzecia wysokości.

Kiedy Giordino i Sandecker schodzili ku wyspie, w dalszym ciągu unosiła się nad nią czapa popiołu. Zachodnia część wyspy wyglądała, jakby ktoś ogromnymi grabiami zdarł aż do gołej skały warstwę gleby. Laguna była pełnym śmieci bagnem. Po wydobywczej działalności Dorsett Consolidated pozostało niewiele. Pokryte popiołem ruiny wyglądały, jakby miały tysiąc lat. Niemal całkowicie zniknęła roślinność.

Serce Giordina stanęło, nigdzie bowiem nie było jachtu. Pirsy spłonęły i wpadły do wody tuż obok zdemolowanych magazynów. Sandecker był przerażony. Przed przylotem nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów zniszczeń.

- To moja wina! To wszystko moja wina! - mamrotał.

Giordino popatrzył na niego nic nie rozumiejąc.

- Ale na każdego, kto tu zginął, przypadają dziesiątki tysięcy ludzi, których pan uratował.

- Mimo wszystko.

Giordino zatoczył koło nad pierwszym statkiem ratowniczym, który cumował w porcie. Zaczął redukować szybkość i przygotowywać się do posadzenia helikoptera na kawałku ziemi oczyszczonym przez australijskich saperów, którzy jeszcze przed ich przylotem zostali zrzućeni na wyspę na spadochronach. Ruch łopat wirnika wzbudzał ogromną chmurę popiołu, Giordino więc nic nie widział. Opuszczał się bardzo powoli, ostrożnie manipulując maszyną, ślepe lądowanie zakończyło się jednak dość twardo. Głęboko westchnął i wyłączył silnik. Popiół nie zdążył opaść, a już był przy helikopterze brudny od stóp do głów australijski major. Zajrzał do ładowni i popatrzył na wychodzącego przez tylny luk Sandeckera.

- Major O'Toole - przedstawił się z szerokim uśmiechem. - Miło was widzieć. Jesteście pierwszą pomocą na lądzie.

- Mamy do wykonania dwa zadania, majorze - powiedział Sandecker. - Poza przywiezieniem zapasów szukamy przyjaciela, którego ostatni raz widziano na jachcie Dorsetta.

O'Toole wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie zatonął. Miną tygodnie, nim woda się wyklaruje i będzie można zacząć poszukiwania pod wodą.

- Mamy nadzieję, że udało mu się wypłynąć na otwarte morze.

- Nie mieliście od niego żadnej informacji?

Sandecker pokręcił głową.

- W takim razie przykro mi, ale szanse są niewielkie, że udało mu się uciec.

- Mnie też jest przykro. - Sandecker zapatrzył się w punkt odległy o miliony kilometrów i przestał zwracać uwagę na otoczenie. Po chwili wziął się jednak w garść i zapytał: - Pomóc wam przy wylądunku?

- Każda para rąk się przyda. Większość moich ludzi rozeszła się szukać tych, co przeżyli.

Pod kierownictwem jednego z ludzi O'Toole'a wyniesiono jedzenie, wodę i leki z helikoptera i ustawiono je w zgrabną stertę nie opodal. Smutek i poczucie porażki powodowały, że Sandecker i Giordino milczeli aż do momentu, kiedy zaczęli szykować się do odlotu do Hobart. Włączyli silnik, a wówczas podbiegł do nich gestykujący z podnieceniem O'Toole. Giordino otworzył boczną szybą i wychylił głowę.

- Chyba was zainteresuje, że mój oficer łącznikowy otrzymał przed chwilą komunikat z jednego ze statków ratowniczych, że mniej więcej dwadzieścia pięć kilometrów na północny zachód widziano dryfujący wrak.

Wyraz zmęczenia natychmiast zniknął z twarzy Giordina.

- Zatrzymali się, by sprawdzić, czy ktoś jest na pokładzie?

- Nie. Wrak był bardzo zniszczony i wyglądał na pusty. Kapitan uznał, że ważniejsze jest dostarczenie na wyspę ekipy lekarzy.

- Dziękuję, majorze. - Giordino odwrócił się do Sandeckera. - Słyszał pan?

- Słyszałem! - warknął niecierpliwie admirał. - Podnoś ten złom!

Giordina nie trzeba było popędzać. Po kilku minutach lotu widzieli jacht, unoszący się na falach jak kawał martwego drewna. Był głęboko zanurzony i przechylony na bakburtę. Wyglądał okropnie. Jeszcze nie tak dawno szafirowy kadłub był teraz osmalony, pokłady pokrywała gruba warstwa popiołu. Jacht przeszedł piekło i dokładnie tak wyglądał.

- Lądowisko wygląda na używalne - powiedział Sandecker.

Giordino naleciał na rufę i opuścił się łagodnym łukiem. Na grzbietach fal nie było widać piany, co świadczyło o słabym wietrze, ale jacht kiwał się na boki, co znacznie utrudniało lądowanie. Zredukował moc i unosił się pod takim samym kątem do fal co jacht, siadając na lądowisku w momencie, kiedy łódź znajdowała się na szczycie fali. Natychmiast zaciągnął hamulce, by nie ześlizgnęli się za burtę, i wyłączył silnik. Wylądowali szczęśliwie i skierowali myśli ku temu, co za chwilę zastaną w środku.

Giordino wyskoczył pierwszy z maszyny i zamocował helikopter dodatkowymi linami. Potem obaj na chwilę stanęli, wzięli po dwa głębokie oddechy i weszli do salonu.

Wystarczyło jedno spojrzenie na skulone w kącie dwie postacie, by Sandecker z desperacją pokręcił głową. Zacisnął na sekundę oczy. Scena była tak straszna, że przez chwilę nie mógł się poruszać. Z sercem ściśniętym żalem patrzył bez ruchu na Pitta i Maeve. Był przekonany, że nie żyją.

Pitt trzymał Maeve w ramionach. Widoczna strona jego twarzy była maską zakrzepłej krwi z rany po uderzeniu Boudicki. Pierś i bok także miał purpurowe. Popalone ubranie, włosy i brwi, bąble na twarzy i rękach - wszystko to nadawało mu wygląd kogoś, kto znalazł się w epicentrum eksplozji. Wyglądało na to, że umarł w strasznym cierpieniu.

Maeve wyglądała, jakby nie zdawała sobie sprawy, że zapada w wieczny sen. Jej piękne rysy były jak z wosku i Sandecker pomyślał o białej, nie zapalanej świecy. Wiedział, że tej śpiącej piękności nie obudzi żaden pocałunek.

Giordino ukląkł obok Pitta, nie mogąc uwierzyć, że jego przyjaciel nie żyje. Delikatnie potrząsnął go za ramię.

- Dirk! Odezwij się!

Sandecker spróbował go odciągnąć.

- Odszedł - westchnął smutno.

Naraz obaj zamarli nie wierząc w to, co widzą. Pitt otworzył oczy i patrzył na nich nie poznając, niczego nie pamiętając. Otworzył słabo usta i wyszeptał:

- Boże, wybacz mi. Straciłem ją.

CZEŚĆ V
CIEMNOŚĆ OPADA
58

I tym razem nie było czuć napięcia, które towarzyszyło poprzedniej konferencji w Paryżu. Atmosfera była wręcz radosna. Członkowie zarządu Wielostronnej Rady Handlowej spotkali się w znacznie lepszych humorach, by omówić swe ostatnie zakulisowe interesy. Wszyscy zajęli miejsca wokół długiego mahoniowego stołu i przewodniczący czekał jeszcze, by zamilkły ostatnie szepty.

- Panowie, wiele się wydarzyło od ostatniego posiedzenia. Wtedy zagrożone były nasze interesy na rynku diamentów, dziś, dzięki kaprynowi natury, zagrożenie zniknęło wraz z przedwczesną śmiercią Arthura Dorsetta.

- Zgrabne pozbycie się śmieci - powiedział ze śmiechem członek zarządu kartelu diamentowego. Jeszcze nie do końca wierzył w wygraną i w to, że udało się usunąć tak poważne zagrożenie bez kosztownej i długotrwałej walki.

- Cisza! Cisza! - rozległy się głosy.

- Chciałbym z radością przekazać, że w ostatnich kilku dniach rynkowa cena diamentów gwałtownie wzrosła, a innych kamieni szlachetnych spadła - dodał przewodniczący.

Odezwał się siedzący przy drugim końcu stołu siwy przedstawiciel jednej z najbogatszych rodzin w Ameryce, były sekretarz stanu.

- Czy uda się powstrzymać członków zarządu Dorsett Consolidated Mining przed realizacją planu sprzedaży diamentów po cenach dumpingowych w ich własnej sieci sklepów?

- Arthur Dorsett był megalomanem - odpowiedział gestykulując zamaszycie belgijski przemysłowiec. - Jego sen o potęgę nie zakładał uczestnictwa innych ludzi. Jego firma nie ma zarządu. Arthur był jednoosobową orkiestrą i nie wierzył nikomu. Poza okazjonalnym, krótkotrwałym zatrudnianiem doradców, wyduszaniem z rzeczoznawcy wszelkich możliwych ekspertyz i wyrzucaniem go potem na bruk, prowadził Dorsett Consolidated bez dyrekcji.

Włoch, właściciel floty kontenerowców, uśmiechnął się.

- Kusi mnie, by wspiąć się na wulkany, które zlikwidowały Arthura Dorsetta i jego diabelskie przedsięwzięcie, i wlać do każdego po butelce szampana.

- Hawajczycy robią tak z kraterem Kilauea - powiedział Amerykanin.

- Znalaziono jego ciało? - spytał Japończyk, potentat elektroniki.

Przewodniczący pokręcił głową.

- Według oficjalnych czynników australijskich, nie udało mu się wyjść z domu, który znajdował się na drodze rzeki lawy. Jego ciało, czy raczej to, co z niego pozostało, leży pod dwudziestometrową warstwą lawy i popiołu wulkanicznego.

- Czy to prawda, że zginęły wszystkie trzy jego córki? - spytał Włoch.

- Jedna zginęła z nim w domu, pozostałe dwie znalaziono martwe na wypalonym wraku jachtu. Najprawdopodobniej próbowały uciec. Muszę przyznać, że sprawa jest nie do końca wyjaśniona, moje źródło w rządzie Australii twierdzi bowiem, że jedna z córek zmarła od ran postrzałowych.

- Została zamordowana?

- Plotka mówi, że zadała je sobie sama.

Prezes japońskiego kartelu elektronicznego skinął głową na prezesa kartelu diamentowego.

- Czy mógłby nam pan powiedzieć, jak wygląda teraz, po zniknięciu Arthura Dorsetta, przyszłość pańskiego rynku?

Ekskluzywnie ubrany Południowoafrykańczyk uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Nie mogłaby wyglądać lepiej. Rosjanie okazali się znacznie mniejszym zagrożeniem, niż przewidywaliśmy. Po wyprzedaniu zapasów surowych diamentów handlarzom w Tel Aviwie i Antwerpii po cenach zaniżonych, ale znacznie wyższych od tych, jakie planował Arthur Dorsett, sami położyli się na łopatki. Wrzenie w ich przemyśle doprowadziło bowiem praktycznie do zatrzymania wydobycia diamentów.

- Co z Australią i Kanadą? - spytał Holender.

- Kopalnie w Australii nie okazały się tak wydajne, jak przewidywano, a kanadyjska gorączka diamentów jest przesadzona. Jeszcze nie pokazali konkretnych efektów swoich prac wydobywczych. Jak na razie nie ma nawet projektu budowy w Kanadzie dużej kopalni.

- Czy zmiany w strukturach politycznych Afryki Południowej będą miały wpływ na nasze interesy?

- Od początku upadku apartheidu ściśle współpracowaliśmy z Nelsonem Mandelą. Mogę bez obaw twierdzić, że wkrótce wprowadzi nowy system podatkowy, bardzo dla nas korzystny.

Nad stołem skłonił się reprezentujący kartel naftowy szejk.

- Brzmi to zachęcająco, ale czy pańskie zyski będą wystarczające, by mógł pan ponosić razem z nami kosztą tworzenia ogólnoświatowego porządku ekonomicznego, co postawiła sobie za cel nasza Rada?

- Zapewniam, że kartel diamentowy wypełni wszelkie zobowiązania, jakie podjął - odpowiedział Południowoafrykańczyk. - Popyt na diamenty gwałtownie wzrósł i w pierwszych dziesięciu latach nowego wieku przewidujemy wzrost zysków. Nie ma wątpliwości, że podołamy naszej części obciążeń finansowych.

- Dziękuję panu z Afryki Południowej za jego słowa - powiedział przewodniczący.

- Co się stanie teraz z Dorsett Consolidated? - spytał szejk.

- Prawnie firma należy do jego dwóch wnuków, bliźniaków - odpowiedział przewodniczący.

- W jakim są wieku?

- Za kilka miesięcy skończą siedem lat.

- Tacy młodzi?

- Nie słyszałem o tym, by któraś z córek Dorsetta była mężatką - stwierdził Hindus, przedsiębiorca budowlany.

- Bo żadna nie była - powiedział przewodniczący. - Maeve Dorsett urodziła bliźniaki z nieprawego łoża. Ojciec pochodzi z bogatej rodziny hodowców owiec. Moje źródło twierdzi, że jest inteligentnym i rozsądnym człowiekiem i już został mianowany opiekunem i administratorem majątku Dorsett Consolidated.

Holender popatrzył wzdłuż stołu na przewodniczącego.

- Kto został upoważniony do reprezentowania chłopców?

- Nazwisko jest dobrze znane wszystkim panom - powiedział z sardonicznym uśmiechem przewodniczący. - Aż do pełnoletności bliźniaków działalność Dorsett Consolidated oraz podległych

firmie jednostek organizacyjnych będzie prowadzona przez rodzinę Strouserów.

- Dobra zemsta - powiedział Amerykanin.

- Jakże istnieją plany na wypadek, gdyby rynek diamentów rozpadł się sam z siebie? Nie będziemy wiecznie w stanie kontrolować cen.

- Jeżeli nie będziemy dalej w stanie tego robić - odpowiedział Południowoafrykańczyk - przejdziemy z obrotu diamentami naturalnymi na sztuczne.

- Są tak samo dobre? - spytał Anglik, wydawca.

- Obecnie produkuje się w laboratoriach szmaragdy, rubiny i szafiry o takich samych cechach fizycznych, chemicznych i optycznych co kamienie naturalne. Są tak doskonałe, że wykwalifikowany gemolog ma trudności w zauważeniu jakiegokolwiek różnicy. To samo dotyczy sztucznych diamentów.

- Czy można handlować nimi bez ujawniania faktu, że są sztuczne? - spytał przewodniczący.

- Nie ma powodu tego ukrywać. Tak samo jak nauczyliśmy ludzi, że diament jest czymś wyjątkowym, nauczymy ich, że sztuczny diament jest najpraktyczniejszy. Różni je jedynie to, że natura potrzebowała milionów lat na stworzenie tego, co w laboratorium zajmuje pięćdziesiąt godzin. Nazwiemy to na przykład „powiewem przyszłości”.

Zapadła cisza i wszyscy dumali nad nowym źródłem zysków. W końcu przewodniczący uśmiechnął się i skinął głową.

- Wygląda na to, panowie, że nieważne, jak wychyli się wahadło, nasze przyszłe zarobki są pewne.

59

Pitt miał szczęście, o czym nieprzerwanie zapewniała go każda pielęgniarka z jego oddziału szpitala w Hobart. Po opanowaniu przez lekarzy zapalenia otrzewnej i usunięciu kuli z pasa miednicowego, gdzie zrobiła niezłe wgniecenie w kości, zaczął się czuć, jakby wracał do życia. Kiedy wróciła sprawność płuca i znów mógł swobodnie oddychać, zaczął jeść jak wygłodniały drwal.

Giordino i Sandecker prawie bez przerwy siedzieli w szpitalu, aż ich zapewniono, że Pitt znajduje się na najlepszej drodze do zdrowia, co zostało potwierdzone prośbami, czy wręcz żądaniem dostania do picia czegoś innego niż sok owocowy albo mleko. Żądania te były notorycznie ignorowane.

Admirał i Giordino zawieźli synów Maeve do Melbourne, do ojca, który przyleciał na pogrzeb Maeve z rodzinnej farmy. Był potężnym, prawdziwym Australijczykiem, miał dyplom uniwersytecki z hodowli zwierząt i obiecał wychowywać chłopców dając im najlepsze możliwe warunki rozwoju. Choć miał zaufanie do Strousera i Synów, że dobrze poprowadzą Dorsett Consolidated, zatrudnił adwokatów, mających pilnować jak najlepiej interesów jego synów. Zadowoleni, że chłopcy są w dobrych rękach, a Pitt wkrótce wróci do domu, admirał i Giordino polecili do Waszyngtonu, gdzie przygotowano im gorące powitanie, a Sandecker dostał natychmiast zaproszenia na szereg hucznych bankietów, gdzie miano go świętować jako tego, dzięki którego samotnej walce uratowani zostali mieszkańcy Honolulu.

Oczywiście natychmiast zapomniano o prezydenckim pomysle zastąpienia go kimś innym na stanowisku dyrektora NUMY. Po Waszyngtonie krążyła nawet wieść, że admirał będzie prowadził swą ukochaną Narodową Agencję Badań Morskich i Podwodnych jeszcze długo po tym, jak obecna administracja opuści Biały Dom.

Do pokoju wszedł doktor i stwierdził, że Pitt stoi przy oknie, wyglądając na płynącą przez Hobart rzekę Derwent.

- Powinien pan leżeć w łóżku - powiedział australijskim dialektem, wymawiając „łóżku” jak „łyżku”.

Pitt nieprzyjemnie na niego popatrzył.

- Kazaliście mi leżeć na materacu, na którym leniwiec nie wytrzymałby trzech dni. Odleżałem swoje, a teraz wychodzę.

Doktor chytrze się uśmiechnął.

- Nie ma pan ubrania. To, w którym pana przywieziono, poszło na śmietnik.

- To wyjdę w szlafroku i tym idiotycznym kitlu. Ktokolwiek go wymyślił, powinno mu się taką jedną sztukę wetknąć w odbyty, aż troczki wyjdą mu uszami.

- Widzę, że rozmowa z panem to jedynie strata czasu, który mógłbym spędzić produktywnie z innymi pacjentami. - Doktor wzruszył ramionami. - Dziwne, że pański organizm jeszcze nie zastrajkował. Rzadko widziałem na kimś tyle blizn. Jeśli musi pan iść, trudno. Poproszę pielęgniarkę, by znalazła panu ubranie, w którym nie zostanie pan zaareztowany za wygląd amerykańskiego turysty.

Nie miał tym razem do dyspozycji samolotu NUMY, leciał zwykłym lotem United Airlines. Kiedy wczłapał na pokład i ciągle jeszcze sztywny i z kłującym bólem w boku zaczął szukać swojego miejsca, stewardesy i jeden steward przyglądali mu się nie kryjąc zdziwienia. Podeszła do niego jedna - brunetka o oczach niemal tak zielonych jak Pitta, pełnych współczucia.

- Czy mogę panu pomóc? - spytała.

Zanim zadzwonił z hotelu po taksówkę, kilka minut przyglądał się sobie w lustrze. Gdyby zgłosił się do horroru o żywych trupach, reżyser zaangażowałby go bez mrugnienia okiem. Czoło przecinała mu czerwona blizna, podkrążone oczy były pozbawione emocji, twarz miał bladą, poruszał się jak reumatyczny dziewięćdziesięciolatek. Skóra była pokryta krostami poparzeń, brwi nie istniały, a kiedyś gęste czarne włosy wyglądały, jakby obcięto je do skóry nożycami do strzyżenia owiec.

- Tak, poproszę - odpowiedział bardziej z zażenowania niż prawdziwej chęci.

- Czy nazywa się pan Pitt? - zapytała prowadząc go do pustego fotela przy oknie.

- Chciałbym być przez jakiś czas kimś innym, ale tak, nazywam się Pitt.

- Miał pan szczęście.

- Bez przerwy mówiło mi to tuzin pielęgniarek.

- Mam na myśli pańskich przyjaciół, którzy bardzo się o pana niepokoją.

Poinformowano załogę, że będzie pan z nami leciał, i poproszono, byśmy spróbowali zapewnić panu jak najlepsze warunki.

Ciekawe, skąd Sandecker wiedział, który to lot, jeżeli Pitt prosto po ucieczce ze szpitala wsiadł w taksówkę i tuż przed odlotem kupił bilet w okienku?

Stewardesy niewiele mogły mu pomóc. Większość lotu przespał, budząc się jedynie na posiłki, obejrzał film z Clintem Eastwoodem w roli dziadka i napił się trochę szampana. To, że wylądowali na lotnisku Dullesa, zauważył dopiero, kiedy koła uderzyły w pas i obudził go wstrząs. Wsiadł z dowożącego pasażerów do terminalu autobusu, wszedł do hali i z zaskoczeniem oraz rozczarowaniem stwierdził, że nikt na niego nie czeka. Jeżeli Sandecker zawiadomił załogę, wiedział, kiedy samolot ląduje. Nie było nawet Ala Giordino. Wyszedł na zewnątrz i wsiadł do taksówki, mając kolejny dowód, że ludzie mało się troszczą i szybko zapominają o znajomych.

Była prawie punkt ósma, kiedy wysiadł z taksówki pod swoim hangarem, wstukał kod w zamek i wszedł do środka. Zapalił światła, by otoczyły go jaskrawe kolory i błyszczący chrom jego samochodów.

Stał przed nim przedmiot, którego nie było tu, kiedy ostatni raz był w domu, przedmiot sięgający niemal sufitu. Przez kilka sekund Pitt patrzył zafascynowany na słup totemowy. Szczyt słupa zdobił pięknie rzeźbiony orzeł z rozpostartymi skrzydłami, potem, ku dołowi były niedźwiedź grizzly, kruk, ropucha, wilk, jakiś stwór wodny, a na samym dole ludzka głowa, przypominająca rysami jego samego. Przeczytał przypiętą do ucha wilka kartkę.

Przyjmij, proszę, ten totem od szczepu Haida w podzięce za wysiłki, jakie włożyłeś w usunięcie z naszej świętej wyspy szpecących ją urządzeń. Kopalnia Dorsetta została zamknięta i wkrótce rośliny i zwierzęta powrócą do swego prawowitego domu. Jesteś honorowym obywatelem Haida.

Twój przyjaciel Mason Broadmoor

Pitt był głęboko poruszony. Otrzymać wykonany ręką mistrza tak wielki wyraz uznania było rzadkim przywilejem. Za tak szczodry dar czuł wobec Masona Broadmoora i jego ludzi niezwykłą wdzięczność. Kiedy obszedł totem, stanęło mu serce. Niewiara zamglila jego opalizujące zielone oczy. Dokładnie za słupem, między dwoma samochodami, stała „Wspaniała Maeve”. Choć poobijana, wymęczona i bardzo zniszczona, stała pełna morskiej chwały. Pitt nie był sobie w stanie wyobrazić, jak to się stało, że wierna łódź przeżyła i została przetransportowana tysiące kilometrów do Waszyngtonu. Granoczyło to z cudem. Podszedł i wyciągnął rękę, by dotknąć rufy i przekonać się, że to nie halucynacje.

W momencie kiedy dotknął twardej powierzchni kadłuba, zza stojącego przy ścianie wagonu kolejowego Pullmana, z samochodów i mieszkania na piętrze zaczęli wychodzić ludzie. Nagle otoczyły go znajome twarze i wokół rozległo się „Niespodzianka!” i „Witaj w domu!”

Giordino, doskonale zdając sobie sprawę, że Pitta jeszcze wszystko boli, objął go bardzo delikatnie. Admirał Sandecker, rzadko pokazujący emocje, ciepło uściśnął jego dłoń i odwrócił się, kiedy poczuł, że zbierają mu się w oczach łzy.

Był Rudi Gunn, był Hiram Yaeger i ponad czterdziestu przyjaciół i współpracowników z NUMY. Przyjechali także rodzice. Senator George Pitt oraz pani Barbara Pitt byli zaszokowani wyglądem syna, ale robili dobrą minę do złej gry udając, że wygląda całkowicie normalnie. Zasiadająca w Kongresie Loren Smith, bliska przyjaciółka od dziesięciu lat, delikatnie go pocałowała, zasmucona mętnym, zmęczonym wyrazem zwykle błyszczących oczu. Julien Perlmutter dowodził trunkami i jedzeniem.

Pitt patrzył na maleńką, tak wiernie im służącą przez tyle dni łódkę. Odwrócił się do Giordina i zapytał:

- Jak to zrobiłeś?

Giordino uśmiechnął się triumfująco.

- Po tym jak zawieźliśmy cię z admirałem do szpitala, wróciłem na wyspę z kolejną turą jedzenia i leków. Szybki rzut okiem na klify po wschodniej stronie i wiedziałem, że „Wspaniała Maeve” przeżyła wybuch. Namówiłem kilku australijskich inżynierów, by polecili ze mną, i spuściłem ich do zatoczki. Podwiesili łódź do windy helikoptera, wciągnęliśmy ją na górę urwiska i zdemontowaliśmy tam na części. Trochę czasu to zajęło, ale dzięki temu mogliśmy mniejsze części załadować do helikoptera, a większe podwiązać pod kadłubem. Poleciałem tak na Tasmanię, pogadałem z pilotem samolotu transportowego, który leciał do Stanów i zgodził się przewieźć

„Maeve”. Tutaj poskładaliśmy ją razem z paroma ludźmi z NUMY akurat na czas.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem - powiedział Pitt. - Nigdy ci się nie odwdzięczę.

- Przynajmniej tyle byłem ci winien.

- Bardzo żałuję, że nie mogłem być na pogrzebie Maeve w Melbourne.

- Byłem tam z admirałem, chłopcami i ich ojcem. Tak jak chciałeś, kiedy opuszczali ją do ziemi, zagrali jej „Moon River”.

- Kto przeczytał mowę?

- Admirał odczytał to, co napisałeś. Nie było pary suchych oczu.

- Co z Rodneyem Yorkiem?

- Posłaliśmy jego listy i książkę logową kurierem do Anglii. Wdowa po nim, przemiła pani po siedemdziesiątce, mieszka nad zatoką Falmouth. Rozmawiałem z nią przez telefon. Dostała już paczkę. Nie da się wyrazić, jaka była szczęśliwa, kiedy dowiedziała się, jak York umarł. Jej rodzina planuje wyprawę po jego szczątki.

- Cieszę się, że w końcu dowiedziała się prawdy.

- Prosiła, żebym ci podziękował.

Perlmutter uratował Pitta przed popadnięciem w nadmierną zadumę. Włożył mu w dłoń kieliszek z winem.

- Zasmakuj ci, chłopcze. Doskonałe chardonnay z Plum Creek Winery w Kolorado.

Przyjęcie trwało jeszcze długo po północy. Przyjaciele podchodzili i odchodzili, aż Pitt stracił siły i zaczął walczyć ze snem. W końcu jego matka zażądała, by dali mu odpocząć. Pożegnano się więc, życzo no mu jak najszybszego powrotu do zdrowia i wszyscy ruszyli do domów.

- Nie wracaj do pracy, aż całkiem wyzdrowiejesz - oznajmił Sandecker. - NUMA poradzi sobie jakiś czas bez ciebie.

- Chciałbym przeprowadzić pewien projekt za miesiąc - powiedział Pitt i na chwilę wrócił mu do oczu zawadiacki błysk.

- Jaki?

Pitt uśmiechnął się.

- Chciałbym pojechać na wyspę Gladiator, kiedy woda się wyklaruje.

- Czego miałbyś tam szukać?

- Nazywa się Bazyl.

Sandecker nic nie rozumiał.

- Bazyl? Kto to jest Bazyl?

- Wąż morski. Myślę, że zechce wrócić na swój teren do laguny, kiedy popiół i śmieci opadną na dno.

Sandecker położył Pittowi dłoń na ramieniu i obdarzył go spojrzeniem, jakim patrzy się na dzieci, które twierdzą, że widziały straszidło.

- Odpocznij sobie, to porozmawiamy o tym. - Admirał odwrócił się, pokręcił głową i zamruczał pod nosem, że węże morskie nie istnieją.

Do Pitta podeszła Loren Smith i biorąc go za rękę, zapytała łagodnie:

- Chcesz, żebym została?

Pitt pocałował ją w czoło.

- Dziękuję, ale wolę przez chwilę zostać sam.

Sandecker zaproponował Loren, że odwiezie ją do miasta. Zgodziła się z radością, przyjechała bowiem do domu Pitta taksówką. Siedzieli w milczeniu, aż wjechali na prowadzący do miasta most.

- Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie - powiedziała zamyślona i zasmucona Loren. - Nigdy nie myślałam, że tego dożyję, ale ogień w jego oczach zgasł.

- Wróci do siebie. Kilka tygodni wypoczynku i znów będzie brylował.

- Nie sądzi pan, że powoli robi się za stary na nieustraszonego łowcę przygód?

- Nie wyobrażam go sobie za biurkiem. Nigdy nie przestanie krążyć po oceanach, to jego największa pasja.

- Co go tak napędza?

- Niektórzy ludzie są z natury niezmordowani - filozoficznie powiedział Sandecker. - Dla Dirka każda chwila kryje w sobie tajemnicę, którą należy rozwikłać, każdy dzień wyzwanie, które należy pokonać.

Loren popatrzyła na admirała.

- Zazdrości mu pan, prawda?

- Oczywiście. Ty też.

- Jak pan sądzi, dlaczego?

- Odpowiedź jest prosta. Jest w nas bardzo mało z Dirka Pitta.

Po wyjściu gości powstał między samochodami, z których każdy miał jakiś związek z jego przeszłością. Potem podszedł na sztywnych nogach do łodzi, którą zbudował z Maeve i Giordinem na Nieszczęściach, i wspiął się do kokpitu. Siedział tam bardzo długo, ogarnięty wspomnieniami.

Siedział we „Wspaniałej Maeve”, aż pierwsze promienie porannego słońca oświetliły zardzewiały dach starego hangaru, który nazywał swym domem. @